

**ANTOINE BELLO**

**FALSZERZE**



*Dla Laure, mojej małej księżniczce.*

Część pierwsza

Reykjavik

# 1

- Gratulacje, drogi chłopcze — powiedział Gunnar Eriksson, przyglądając się, jak podpisuję umowę o pracę. - I tak oto został pan jednym z nas.

Wsunąłem swój egzemplarz umowy do torby, po raz kolejny radując się z obrotu, jaki sprawy przybrały w ostatnim czasie. Dwa tygodnie temu byłem o włos od przyjęcia posady zastępcy dyrektora do spraw eksportu w fabryce konserw w Siglufjórdur (tysiąc osiemset piętnastu mieszkańców, nie licząc niedźwiedzi). Rekruter zachwalał dynamizm tego sektora oraz perspektywy rozwoju. Pensja - nędzna — nie powinna zbytnio mnie odstraszać, bo i tak nie ma tam na co wydawać pieniędzy.

Zarówno mama, jak i pracownica biura karier Uniwersytetu w Reykjavíku, gdzie ukończyłem studia, namawiały mnie do przyjęcia oferty, bo podobna okazja, jak mówiły, może się przez długi czas nie powtórzyć. Trzeba przyznać, że we wrześniu 1991 roku rynek pracy nie sprzyjał wcale dwudziestotrzyletniemu absolwentowi geografii. Pierwsza wojna w Zatoce pogrążyła światową gospodarkę w recesji i przedsiębiorstwa chętniej zatrudniały w tym czasie ekspertów od restrukturyzacji niż geologów czy kartografów.

Na szczęście rankiem tego samego dnia, który wyznaczyłem sobie jako ostateczny termin na podjęcie decyzji, natknąłem się na ogłoszenie, które wydało mi się napisane specjalnie dla mnie. „Biuro badań środowiskowych poszukuje kierownika projektu. Wymagane wyższe wykształcenie z zakresu geografii, ekonomii lub biologii. Oferta dla osób z niewielkim doświadczeniem zawodowym lub bez

niego. Posada w Reykjavíku. Podróże. Atrakcyjna pensja. Kandydatury proszę zgłaszać do Gunnara Erikssona, dyrektora operacyjnego w firmie Baldur, Furuset i Thorberg".

Zdecydowany pochwycić szansę, osobiście zaniósłem swój życiorys pod wskazany adres. Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu recepcjonistka zadzwoniła do Gunnara Erikssona, który zaproponował, że z miejsca się ze mną spotka. Zgodziłem się z chęcią, przepraszając przy tym za całkiem nieodpowiedni na rozmowę kwalifikacyjną strój.

- Eee - rzucił Eriksson, pokazując, że mam iść za nim. - Pański strój tyle mnie obchodzi, co moja pierwsza zorza polarna.

Była to zaskakująca uwaga ze strony kogoś, kto przykładał tak wielką wagę do własnego wyglądu. Nigdy nie widziałem osoby, która byłaby jednocześnie tak dobrze ubrana i tak niezmiennie niechlujna. Wydawało mi się, że gdybym sam miał kiedyś nosić koszule z monogramem, postarałbym się, żeby nie wylaziły mi ze spodni.

Eriksson zaprowadził mnie do swojego gabinetu. Zapierający dech w piersiach widok na port w Reykjavíku, który się stamtąd rozciągał, dał mi do zrozumienia, że stanowisko dyrektora operacyjnego nie jest jedynie tytularne. Drewniane lamperie, łagodne oświetlenie, gruby dywan, a nawet kominek - odnajdywało się tu wszystkie oznaki luksusu w islandzkim stylu. Eriksson zajął miejsce w eleganckim fotelu obitym mistrzowsko postarzoną skórą w kolorze czekolady, gestem nakazując, bym zrobił to samo.

- Zastanawia się pan pewnie, na czym polega nasza praca - zaczął. - Życzy pan sobie wersję ze ścierną czy bez?

- Chyba obie - odrzekłem, nieco zbity z tropu tym wstępem.

- Zacznijmy od wersji oficjalnej, którą znajdzie pan w broszurze naszej firmy. Każdemu nowemu projektowi z zakresu infrastruktury towarzyszy nieodwołalnie jedno badanie środowiskowe albo więcej. Zanim wzniesie się zapora, wytyczy autostradę czy zmieni bieg ciekła wodnego, staramy się ocenić wpływ tej ludzkiej interwencji na ekosystem. Pomysłodawca musi zagwarantować społeczności, że budowa nie zaszkodzi lokalnej faunie, florze, a czasami nawet równowadze demograficznej. To dla pana jasne?

- Jak dotąd jasne jak słońce.

- Ma się rozumieć, nasze badania nie przesądzają o ostatecznej decyzji - ciągnął. - Częściej stanowią raczej punkt wyjścia dla ożywionej i owocnej debaty pomiędzy przedsiębiorcą, rządem i organizacjami ekologicznymi.

Urwał i spojrzał na mnie z ironicznym wyrazem twarzy.

- Niesamowite, nieprawdaż? Sprawdźmy, czy jest pan w stanie naszkicować resztę obrazu sytuacji.

Zastanawiałem się przez kilka chwil, skubiąc dolną wargę palcami. Wstęp Erikssona zdawał się dopuszczać tylko jedną możliwą konkluzję.

- No cóż - powiedziałem - spodziewam się, że jeśli państwa raport wykaże jakieś zagrożenia dla środowiska, przedsiębiorca będzie musiał sfinansować programy adaptacyjne albo nawet zwyczajnie zrezygnować z projektu.

- Właśnie tak, dobrze pan zrozumiał. Mówiąc inaczej - i bez ścierny - będzie musiał wyłożyć kasę, żeby dostać pozwolenie na budowę. Kwota oraz charakter tej opłaty przyjmują najróżniejsze formy, które nigdy nie przestaną mnie zaskakiwać: czasem inwestor musi się zająć przywróceniem niedźwiedzia brunatnego w górach, czasem prosi się go o wsparcie finansowe dla przedsiębiorstw rolnych, których działalność i tak skazana jest prędzej czy później na porażkę. Mówi się nawet, że niektórzy rządzący żądają okazałych przelewów na anonimowe konta bankowe w Szwajcarii, choć trudno mi w to uwierzyć - oznajmił Eriksson, oceniając moją reakcję.

- I państwa biuro popiera podobne praktyki? - zapytałem, przeklinając się w duchu za to, że wychodzę na takiego świętoszka.

- Ależ skąd! - zawołał Eriksson komicznie, przesadnie szczerym tonem. - Nasi konkurenci to co innego, ale nie Baldur, Furuset i Thorberg. Nie, tak na poważnie, bardzo skrupulatnie przestrzegamy zasad etyki zawodowej. Przedstawiciele naszej profesji przyjęli nawet specjalny kodeks etyczny, co jasno pokazuje, że mamy czyste ręce. I proszę mi wierzyć, że te gierki, które panu opisuję, zawsze przyjmują niezwykle godne szacunku formy. Zdziwiłby się pan na przykład, ilu ludzi interesuje się naszą pracą. Rządzący, przemysłowcy, urbaniści, wszyscy chcą zapoznać się z naszą opinią, w miarę możliwości zanim opublikujemy ją na piśmie. Tym sposobem próbują

przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę. Ogólnie rzecz biorąc, najgłośniej krzyczą zawsze ci, którzy mają najwięcej do stracenia albo do zyskania. Słuchamy, co mają nam do powiedzenia - w końcu nasz zawód polega na gromadzeniu faktów i opinii - ale nigdy nie zdradzamy, co sami myślimy. Potrafi pan, mam nadzieję, dochować tajemnicy?

- Tak, tak sędzę - odparłem.

- Nie jest pan z tych, co paplają bez namysłu, prawda? - naciskał Eriksson.

- Nie, skąd. - Mogłem dorzucić, że mam tylko jedną o sześć lat starszą siostrę, a ojca straciłem bardzo wcześnie, w związku z czym pokusa, by szeroko rozpowszechniać wieści na swój temat, została mi oszczędzona.

- Całe szczęście. No dobrze, czego się pan nauczył na Uniwersytecie w Reykjavíku? To dobra uczelnia, prawda? Jeden z naszych współników, Furuset, zrobił tam doktorat. Pana pewnie nie było jeszcze wtedy na świecie.

Przez kilka minut usiłowałem sprawić, żeby mój harmonogram studiów wydał się bardziej imponujący niż w rzeczywistości. Tak po prawdzie specjalizacja z konfliktów terytorialnych, którą wybrałem na czwartym roku, nawet w przybliżeniu nie przygotowała mnie do prowadzenia badań środowiskowych, ale zdawało się, że Eriksson nie zwrócił na to uwagi. Prędko porzucił kwestie akademickie i zamiast tego zbombardował mnie pytaniami dotyczącymi aktualności, zasięgając mojej opinii na tematy tak zróżnicowane jak konflikt palestyński, rozpad Związku Radzieckiego czy korzyści, które przyniosłoby Islandii dołączenie do Wspólnoty Europejskiej. Następnie rozmawialiśmy o mnie, o moich zainteresowaniach, zamiłowaniu do podróży, wiejskich korzeniach (pochodzę z Husavíku, rybackiego miasteczka na północy Islandii, gdzie moja mama hoduje owce). Eriksson nigdy nie zadowolął się pierwszymi udzielanymi przeze mnie odpowiedziami, lecz systematycznie spychał mnie coraz głębiej w okopy za pomocą ciętych, niemal brutalnych komentarzy. Z początku poczułem się wstrząśnięty tym nietypowym traktowaniem, później zdecydowałem jednak, że na cios odpowiem ciosem i także będę mówił prawdę bez żadnego upiększania.

Po upływie dwóch godzin Eriksson przegnał mnie z gabinetu, wymuszając obietnicę, że wrócę nazajutrz na drugą rozmowę. Byłem tak podekscytowany, że nie doczekałem nawet powrotu do domu, lecz z budki telefonicznej zadzwoniłem do fabryki konserw w SiglufjórSur i odrzuciłem ich fantastyczną ofertę.

Po drugiej rozmowie nastąpiła trzecia, z udziałem kadrowca, potem czwarta z Furusetem, który wielokrotnie nazwał mnie „panem kolegą”, a wreszcie ciągnąca się w nieskończoność sesja testów psychologicznych. Po tym wszystkim Eriksson złożył mi konkretną propozycję, z pensją, która o dobrą jedną trzecią przewyższała moje oczekiwania. W międzyczasie przeprowadziłem własne dochodzenie i dowiedziałem się, że biuro uchodzi za jedno z najpoważniejszych w Europie i obsługuje klientów z całego świata.

A dziś oficjalnie rozpoczynałem życie zawodowe jako kierownik projektu u Baldura, Furusetta i Thorberga. Nie posiadałem się z radości.

- Dobrze - odezwał się Eriksson - skoro już załatwiliśmy co trzeba, co pan powie na wycieczkę po naszym biurze?

- Bardzo chętnie - odpowiedziałem, deptając mu po piętach. Tym razem to nie jego koszula stanowiła problem, ale pasek, który przechodził tylko przez jedną z dwóch szlufek.

- Firma zajmuje dwa piętra - deklamował Eriksson, jakby zwracał się do pełnego amfiteatru. - My siedzimy tu, na czwartym, piąte jest zarezerwowane dla działu dokumentacji i archiwów. Po lewej widzimy biura wspólników. W tej chwili ich nie ma. Furuset przebywa w Niemczech, a Baldur w Danii. Jeśli chodzi o Thorberga, nieczęsto go pan tu spotka: w przyszłym roku przechodzi na emeryturę i wszystkie popołudnia spędza na polu golfowym. Po prawej - księgowość i administracja. Łącznie siedem osób, zaraz pana przedstawię.

Korytarz doprowadził nas do otwartej przestrzeni biurowej sporych rozmiarów.

- A oto jaskinia handlowców. Jest ich czworo.

Trzy głowy odwróciły się w naszą stronę. Czwarta należała do ładnej blondynki, która, choć pogrążona w długiej rozmowie telefonicznej, przywitała mnie uniesieniem dłoni.



- Tylko czworo? - zdziwiłem się. - To chyba niewiele jak na stuosobową firmę...

- Dokładnie to dziewięćdziesięcioczworoosobową. Choć ma pan rację, nasz dział handlowy jest raczej nieduży. Ale nie sprzedajemy przecież długopisów. Najdrobniejszy kontrakt opiewa na setki tysięcy dolarów. Poza tym, z czego szybko zda pan sobie sprawę, nie tylko handlowcy zajmują się sprzedażą: kierownicy projektu również mają tu rolę do odegrania. Jeśli klient jest zadowolony z ich pracy, muszą to wykorzystać i trochę go urobić.

- Nie wiem, czy będę umiał...

- Ależ oczywiście, że będzie pan umiał - zapewnił Eriksson, wkładając koszulę do spodni (jego objaśnieniom towarzyszyło mnóstwo chaotycznych gestów, które dodatkowo rujnowały jego wygląd). - Zobacz pan, są na to sposoby. Szybko staje się to naszą drugą naturą. A teraz wróćmy do mojego gabinetu. Już coś dla pana mam.

Z przyjemnością rozsiadłem się ponownie w czekoladowym fotelu. Eriksson chwycił niebieską teczkę, która leżała na niskim stoliku, i zajął miejsce u mojego boku.

- Dostaliśmy tę sprawę w zeszłym tygodniu - zaczął. - To idealny przypadek na początek, żeby się pan podszkolił.

- Czego dotyczy?

- Autonomiczne terytorium Grenlandii planuje zbudować oczyszczalnię ścieków w Sisimiucie...

- Myślałem, że populacja Grenlandii od lat utrzymuje się na tym samym poziomie - przerwałem. - Po co im nowa oczyszczalnia?

Gunnar Eriksson uniósł głowę znad teczki i spojrzał na mnie.

- Trafna uwaga - stwierdził. - Wygląda na to, że nie pomyliłem się co do pana. Mają już oczyszczalnię w Nuuk, kawałek dalej na południe, ale awaria, do której doszło zeszłego lata, sparaliżowała wyspę na kilka tygodni i napędziła rządowi niezłego stracha. Niech pan pomyśli: wystarczy, że jakaś foka zaklinuje się w rurociągu, żeby ustały dostawy wody pitnej dla całego kraju. Z powodów podyktowanych co najmniej w takim samym stopniu względami politycznymi, co sanitarnymi - elektorat Sisimiutu tradycyjnie głosuje na partie lewicowe, a budowa oczyszczalni będzie oznaczać sporo nowych miejsc pracy - parlament niedawno opowiedział się

za podwojeniem krajowych możliwości uzdatniania wody. Nikt nie będzie się skarżył na tę decyzję, a już na pewno nie Baldur, Furuset i Thorberg, bo przy tej okazji wpadło nam warte sto trzydzieści tysięcy dolarów badanie mające na celu sporządzenie specyfikacji wymagań „ekologicznych”, która następnie zostanie przedłożona zakładom robót publicznych.

-Wydaje się to interesujące - stwierdziłem, nie znajdując żadnego inteligentniejszego komentarza.

Po sposobie, w jaki Gunnar na mnie spojrział, poznałem, że zastanawia się, czy mówię poważnie. Wyglądało na to, że moja skupiona mina go o tym przekonała.

- Niech się pan zbytnio nie ekscytuje. To skromny projekt, którym zajmować się będzie jedynie trzech pracowników i tylko przez dwa miesiące. Będę go nadzorował osobiście. Jeśli chodzi o konkrety, nasza rola polega na przygotowaniu zarysu specyfikacji, powołaniu ekspertów *ad hoc*. hydrologa oraz architekta krajobrazu, a wreszcie, rzecz jasna, na sporządzeniu raportu. Olaf Elangir, który jest u nas od pięciu lat, będzie współpracował z hydrologiem. Pan z kolei będzie towarzyszył niemieckiemu architektowi, Wolfensohnowi, w poszukiwaniach najodpowiedniejszego, ze środowiskowego punktu widzenia, miejsca budowy. Korzystaliśmy już z jego usług, ma doskonałe kwalifikacje do tego rodzaju zadania. Wyruszamy w środę. Klient zgodził się pokryć koszty tylko jednego biletu lotniczego, więc utknie pan na Grenlandii na dwa miesiące. Czy to będzie problem?

- Skądże - zaprzeczyłem.

-Jest pan pewien? - dopytywał Eriksson. - Nie ma pan dziewczyny, która z rozpaczy otworzy sobie żyły albo przyjdzie tu urządzić mi awanturę?

- Nie mam nikogo, kto nie przetrwałby dwóch miesięcy mojej nieobecności - oświadczyłem, udając, że zapomniałem o złożonej mamie obietnicy, że wkrótce odwiedzę ją w Husaviku.

- Doskonale. A przed wyjazdem niech pan się zapozna z odrobiną literatury na temat Grenlandii i z kilkoma podobnymi sprawami z naszego archiwum. Olaf wszystko dla pana zgromadził. Pytania?

- Nie, wszystko jasne. Nie mogę się doczekać, aż zabiorę się do dzieła.

- A ja, żeby zobaczyć pana przy pracy. Pokładamy w panu wielkie nadzieje, Sliv.

Podczas gdy ja z trudem podnosiłem się z fotela, Eriksson zadzwonił do swojej asystentki Margret i poprosił ją, by zaprowadziła mnie do mojego gabinetu.

Jeżeli nawet słowo „gabinet” pozwoliło mi żywić jakieś złudne nadzieje, prędko się ich wyżyłem na widok klitki z drzwiami z matowego szkła, której jedyne okienko jakimś cudem wychodziło na port. Choć spodziewałem się czegoś lepszego, szczególnie po ciepłym przyjęciu ze strony Erikssona, pojąłem, że uskarżanie się na warunki pracy byłoby nie na miejscu. Woźny, który przyszedł otworzyć drzwi, pozdrowił mnie skinieniem głowy i przybrał przejętą minę, oznajmiając, że przejmę ten pokój po Lenie Thorsen. Przez kilka sekund obracałem to nazwisko w głowie. Czy powinienem znać Lenę Thorsen? Czy zawdzięczamy jej jakieś ważne porozumienie w relacjach między Reykjavikiem a niezurbanizowaną częścią wyspy? Na szczęście z pomocą przyszła mi Margret.

- Lena skończyła ten sam uniwersytet co pan. Świetny nabytek dla firmy, być może najlepszy, jaki kiedykolwiek nam się trafił. Życzę panu podobnego sukcesu.

- Co się z nią stało? - spytałem. Nostalgiczna aura, jaką ci dwoje ją otaczali, nie wróżyła moim zdaniem nic dobrego.

- Odeszła od nas w zeszłym tygodniu. Znalazła inną pracę, lepiej płatną, w Niemczech.

W tym czasie woźny przymierzał do dziurki jeden po drugim z całego pęku kluczy. Pamiętam, że pomyślałem wtedy, że jedynie pozoruje poszukiwania tego właściwego, by jak najbardziej opóźnić chwilę, w której pogwałcę sanktuarium Leny Thorsen.

Powiedzmy sobie szczerze: linie lotnicze nie przepychają się o to, które z nich mają obsługiwać Grenlandię. W tamtym czasie tylko na trzech lotniskach (Kangerlussuaq, Ithule i Narsarsuaq) pasy były wystarczająco długie, aby umożliwić lądowanie samolotom odrzutowym. Ale stwarza to jedynie względny problem, zważywszy na jeszcze bardziej uderzającą znikomość innego zasobu: pasażerów pragnących dostać się na Grenlandię.

Uzgodniliśmy, że Hans-Peter Wolfensohn, niemiecki architekt krajobrazu, spotka się z nami w Reykjavíku. Tam weszliśmy na pokład kruchej awionetki wycarterowanej przez grenlandzki parlament, która miała nas zabrać do Sisimiutu. W ciągu ponad trzygodzinnego lotu miałem okazję poznać się z Wolfensohnem. Był to rosły facet o zaokrąglonym brzuchu i bujnej, jasnej brodzie, który okazał dużą życzliwość, kiedy dowiedział się, że dopiero zaczynam wykonywanie zawodu.

- Debiutant! - zawołał. - Cudownie! Zaczyna pan od prostego zadania, to dla pana szansa.

- Dlaczego sądzi pan, że będzie proste?

- Niech się pan minutkę zastanowi. Mamy się upewnić, że nowa oczyszczalnia nie wywrze żadnych negatywnych wpływów na środowisko. Przez środowisko rozumiemy zazwyczaj faunę, florę oraz społeczność ludzką. Najpierw fauna. Naprawdę uważa pan, że Sisimiut wyróżnia się niezwykłą bioróżnorodnością? Nie licząc kilku niedźwiedzi i reniferów, niczemu tam nie zawadzimy. Flora?

Moim zdaniem na pokrywie lodowej nie rośnie żadna bujna zieleń. A jeśli chodzi o ludzi...

- Mogliby zbudować po fabryce na głowę, a wciąż zostałyby im sporo miejsca - dokończyłem.

- Otóż to, zrozumiał pan. Nie, szczerze, nie martwię się o pańską przyszłość. - Z tymi słowy chwycił butelkę whisky i długo studiował etykietkę. Musiał na niej znaleźć to, czego szukał, bo napełnił sobie szklankę do trzech czwartych wysokości, zostawiając akurat w sam raz miejsca na dwie ogromne kostki lodu. Uniósł naczynie, jakby chciał się ze mną stuknąć.

- Powinien pan pójść za moim przykładem i pić póki czas. Kto wie, czy Lapończycy wiedzą o istnieniu gorzałki?

Przyjąłem propozycję, zachowując dla siebie uwagę, że Lapończycy żyją w północnej Skandynawii i nigdy nie postawili stopy na Grenlandii. Nie warto zrażać do siebie człowieka, z którym przez następne dwa miesiące miałem spędzać po dwanaście godzin na dobę. Wolfensohn wkrótce okazał się zresztą świetnym towarzyszem podróży. Przez pozostałą część lotu opowiadał mi o swoich najbardziej malowniczych misjach. Gdy dotarliśmy na miejsce, zdążyłem już wyrobić sobie dwa przekonania: po pierwsze, Gunnar oddał mnie w dobre ręce, a po drugie, pieniądze rządzą światem badań środowiskowych w takim samym stopniu jak niemal wszystkim innym.

Na temat Sisimiutu nie można zbyt wiele powiedzieć. Gdyby pilot nie oznajmił, że zbliżamy się do celu podróży, chyba nigdy bym nie zgadł, że tych kilka domków rozrzuconych po lodowej pokrywie tworzy drugie co do wielkości miasto Grenlandii. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu nie było zimno (zero stopni dziesiątego września), a pilot potwierdził, że śnieg nieczęsto spada przed piętnastym dniem tego miesiąca. „Później - oznajmił ze śmiechem - to co innego. Rzadko kiedy przestaje padać przed piętnastym czerwca”. Zgotowano nam na wpół oficjalne powitanie. Po tym jak z powagą uścisnęliśmy sobie dłonie, burmistrz Sisimiutu zaprosił nas do swojego starego volvo zaparkowanego przy pasie do lądowania. Cztery minuty później objęliśmy w posiadanie pokój hotelowy (przyjemny na swój surowy sposób); ledwie pół godziny po przybyciu udaliśmy

się na spotkanie z radą miejską. Na Grenlandii załatwia się sprawy w zawrotnym tempie.

Do tego stopnia, że pod koniec spotkania wiedzieliśmy już, czego się tu po nas spodziewają. Nikt nie czekał na wyniki naszych badań. Miejsce pod budowę zostało wybrane wieki temu. Hans-Peter, nieco rozgoryczony nad piwem, które piliśmy tego wieczoru w miasteczku (ponieważ alkohol jednak szczęśliwie dotarł aż na Grenlandię), posunął się do stwierdzenia, że decyzja zapadła jeszcze przed głosowaniem w parlamencie. W istocie dowiedzieliśmy się nieco później, że wspomniany teren należy do syna burmistrza. Fakt, że znajdował się w samym centrum Sisimiutu, podczas gdy oczyszczalnia mogłaby idealnie wtopić się w krajobraz strefy przemysłowej Novgatih, pozostawiał naszych rozmówców całkowicie obojętnymi; woleli spekulować nad wysokością kwoty odszkodowania za wywłaszczoną działkę. Zastępca burmistrza zresztą różnymi półsłówkami dał nam do zrozumienia, jaką rolę odegra nasz raport: im bardziej będzie zachwalać umiejscowienie zakładu wewnątrz miasta, tym chętniej parlament odblokuje poważne fundusze.

Przyznam szczerze, że wówczas sprawa mną wstrząsnęła. Nawet w tamtym czasie nie byłem kompletnym idiotą, a Gunnar starał się podkreślić, że nasza działalność wiąże się z implikacjami finansowymi, które nie nam osądzać. Ale nawet bez osądzania głupkowata prostolinijność urzędników miejskich z Sisimiutu miała w sobie szokujący aspekt, który stawał mi ością w gardle. Poza tym perspektywa spędzenia dwóch miesięcy na eskimoskiej ziemi wydała mi się nagle nieludzka. Na szczęście Wolfensohn, który niejedno już widział, zajął się ratowaniem mojego morale za pomocą niezliczonych żarcików. Zaczął od wskazania, że na ironię losu zakrawa samo istnienie odszkodowania za wywłaszczenie w kraju wielkim jak dwie trzecie Indii, a liczącym ledwie pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, potem zaś dorzucił: „Nikt nie przeczyta naszego raportu, a mimo to nam zapłaca. Wykorzystajmy sytuację, żeby miło spędzić czas. Nie co dzień trafia się okazja, żeby przemierzyć Grenlandię na cudzy koszt”.

A więc faktycznie przemierzyliśmy kraj. W niecały tydzień potwierdziliśmy to, co przewidział Hans-Peter, to znaczy, że choć

miejsce wybrane pod nową oczyszczalnię nie jest optymalne, jej budowa nie przyniesie żadnego ryzyka środowiskowego. Jeśli w ogóle mogła być mowa o negatywnych skutkach, to jedynie tych wymierzonych w duńskich podatników (Grenlandia stanowi oficjalnie prowincję administracyjną Danii), a nie oni byli naszymi klientami, jak zauważył Gunnar, kiedy zadzwoniłem do niego, żeby zdać sprawę z naszych konkluzji. Zakończywszy ten istotny etap naszego zadania (na pięć tygodni przed planowanym terminem), uzasadniliśmy ochotę zwiedzenia okolicy koniecznością oceny innych lokalizacji. Burmistrz, spanikowany, że moglibyśmy natknąć się na teren obdarzony większą ilością zalet niż samo centrum Sisimiutu, próbował nas odwieść od tego pomysłu, lecz Hans-Peter zmusił go do milczenia ledwie zawołaną groźbą, że zwróci się w tej sprawie do przewodniczącego parlamentu. Pokonany urzędnik wycofał się zatem rozsądnie i nawet zaproponował, że zorganizuje naszą wyprawę.

Przewędrowaliśmy całe zachodnie wybrzeże, które charakteryzuje się tym, że rozrasta się w zimie, gdy Morze Baffina skuwa lód, a cofa na wiosnę, kiedy całe kawały zmarzniętej skorupy odrywają się i dryfują w stronę kanadyjskich brzegów. Aasiaat, Ilulissat, Uum-mannaq, Upernavik, mnóstwo nazw, które ja przyswajałem z łatwością, a których Hansowi-Peterowi nigdy nie udało się zapamiętać, nie mówiąc już o poprawnym zapisaniu. Odwiedziliśmy kilka fabryk konserw, z których jedna miała podpisane porozumienie handlowe z przedsiębiorstwem z Siglufjórður, gdzie nieomal wylądowałem. Do dziś zdarza mi się zastanawiać nad torem, jakim mogło potoczyć się moje życie, gdybym zasilił szeregi przemysłu puszkowanej ryby.

Wszędzie, gdzie się zjawialiśmy, przyjmowano nas niczym królów. Za kręgiem polarnym rzadko spotykało się nie-Inuitów, a jeszcze rzadziej takich, którzy chcą przez parę dni (a raczej parę nocy, bo o tej porze roku słońce nie pokazywało się nigdy na dłużej niż trzy czy cztery godziny) dzielić codzienne życie z rdzennymi mieszkańcami. Z cieniem zawodu skonstatowałem, że Inuici nie mieszkają już w igloo, które buduje się jedynie jako prowizoryczne schronienia podczas długich wypraw myśliwskich. Na co dzień zajmowali wzniesione przez rząd drewniane domki. Mężczyźni z wioski po-

łożonej w kręgu polarnym zaprosili nas do wzięcia udziału w trzydniowym polowaniu na fokę. Muszę wyznać, że naiwnie spodziewałem się, iż będziemy ganiać za zwierzętami po lodzie. Okazało się jednak, że morsy raczej się łowi, niż ściga, umieszczając sieci pod zamrożoną pokrywą, choć puryści wciąż strzelają do pływających pod lodem ssaków z harpuna przez okrągłą dziurę.

Znałem już Północ, teraz odkrywałem Daleką Północ. Ja, któremu się wydawało, że jest przyzwyczajony do srogiej zimy, widziałem roześmiane kobiety stawiające czoła zamieci przy minus dwudziestu pięciu stopniach Celsjusza oraz ich dzieci z gołymi rękami i odkrytymi uszami prowadzące stada reniferów po łądo-lodzie.

Liczba ludności malała w miarę, jak posuwaliśmy się na północ. Ta połowa wyspy jest niemal całkiem opuszczona, poza godnym wzmianki wyjątkiem w postaci wzniesionej w latach pięćdziesiątych bazy lotniczej w Thule zamieszkiwanej przez trzy tysiące amerykańskich wojskowych, którzy stanowią tym samym sześć procent całej ludności Grenlandii. Słuchając komendanta przechwalającego się wkładem bazy w rozwój światowej nauki o klimacie, można prawie zapomnieć, że w Thule znajduje się najbardziej wyrafinowany system wczesnego wykrywania pocisków raketowych na całym świecie i że startujące stamtąd myśliwce mogą dotrzeć do Rosji w niecałe dwie godziny. Nie muszę chyba mówić, że zabroniono nam wstępu do bazy. Na pociechę wybraliśmy się na przejażdżkę saniami po Parku Narodowym Północno-Wschodniej Grenlandii, gdzie grubość pokrywy lodowej przekracza dwa kilometry i gdzie znajdują się ostatnie prawdziwie inuickie osady.

Nawet najlepsze rzeczy mają jednak swój koniec. Po trzech tygodniach musieliśmy wrócić do Nuuk, gdzie oczekiwał nas Gunnar Eriksson, w celu przystąpienia do drugiej, bardziej oficjalnej części zadania. Z przełożonym spotkaliśmy się w Hans Egede Hotel, najlepszym (jedynym?) hotelu w mieście, gdzie szef kazał sobie przyszykować najładniejszy pokój. Kiedy ujrzął nasze tłuste włosy, rozwichrzone brody i pogniecione płaszcze, sprawiał wrażenie przerażonego i wysłał nas natychmiast pod ciepły prysznic oraz do sauny (w zamyśleniu do saun Islandczycy niemal prześcigają



Finów). Nie określiłbym się mianem materialisty, ale muszę przyznać, że tego wieczoru rozkoszowałem się tym wszystkim.

Nuuk liczy sobie nieco ponad trzynaście tysięcy mieszkańców. Wedle grenlandzkich standardów niewątpliwie czyni to z niego prawdziwą metropolię, choć wcześniej nigdy się nie spodziewałem, że pewnego dnia odkryję stolicę osiem razy mniejszą niż ta w moim kraju. Nuuk to przede wszystkim ośrodek administracyjny, w którym mieszczą się wszystkie oficjalne budynki wyspy. Gunnar pozwolił, abym mu towarzyszył, podczas gdy Hans-Peter zostawał w hotelu i pracował nad swoim raportem. Na tym etapie spotkania, które odbywaliśmy, miały tylko dwa cele: potwierdzenie wyboru lokalizacji nowej oczyszczalni oraz próba zapewnienia Baldurowi, Furusetowi i Thorbergowi kolejnych lukratywnych kontraktów - co Gunnar nie tak dawno temu nazwał „urabianiem klienta”. W ciągu tygodnia odwiedziliśmy oczyszczalnię w Nuuk, tę samą, która przez zeszłoroczną awarię przyczyniła się do naszej obecności tutaj; spotkaliśmy się z najważniejszym dygnitarzem wyspy, Larsem Emilem Johansenem, który długo wypytywał mnie o moją wyprawę i ziemie inuickie; wreszcie odbyliśmy rozmowę z wysokim komisarzem mianowanym przez Danię, który zdradził nam, że duńskie hrabstwo Bornholm może wkrótce zwrócić się do nas, abyśmy przeszkodzili w wytyczeniu autostrady. Gunnar zanotował tę informację i zadzwonił do biura w Reykjavíku, żeby przekazać wieść handlowcom. „Badanie za trzysta tysięcy dolarów” - usłyszałem, jak mówi do telefonu, „albo w ogóle się na tym nie znam”.

Tego samego dnia miały miejsce pierwsze z długiej serii incydentów, które w krótkim czasie pchnęły moje życie na inne tory. Wyciągnąwszy się na łóżku, po raz kolejny czytałem wstępny raport, który Gunnar przekazał mi do wglądu, a który zamierzał wkrótce złożyć w parlamencie. Szybko przebiegałem wzrokiem pierwsze strony traktujące o ogólnikowych kwestiach środowiskowych związanych z projektem, gdy moje spojrzenie zatrzymało się na jednym z akapitów. Gunnar napisał, że mieszkańcy Skjoldungen niedawno zarzucili połowy dorsza, aby skoncentrować się na wydobywaniu rud toru, co przynosiło zupełnie inne dochody. Skjoldungen to miasteczko na południowym wschodzie kraju, nieco poniżej fiordu Gylden-

loves. Spędziłem tam noc podczas wyprawy saniami. Pamiętałem doskonale, że jadłem wówczas suszonego dorsza, a mój gospodarz pochwalił się, że sam go złowił zeszłego lata. Poza tym długo dyskutowałem z jego synem, który dobrze mówił po angielsku, lecz ani słowem nie wspomniał o torze. Zadzwoiłem do Gunnara przez wewnętrzną hotelową linię i zwróciłem mu na to uwagę. Odparł, że ktoś musiał mu dostarczyć nieprawdziwych informacji i dodał, że przy okazji tak krótkich misji nie zawsze jest czas, by sprawdzić źródła. Obiecał poprawić błąd i zachęcił mnie do dalszej lektury oraz ewentualnego zgłaszania kolejnych wątpliwości. Po przejrzeniu kilku stron natknąłem się na inną nieścisłość: oczyszczalnia w Nuuk została otwarta 23 marca 1982, a nie 19 lutego tego roku. Data, widoczna na pamiątkowej tablicy przy wejściu do budynku, utkwiała mi w pamięci, gdyż był to dzień urodzin Mathilde, mojej siostry. Gunnar zakonotował drugą poprawkę i na tym stanęło. Rzecz jasna w tamtym czasie nie przykładałem wielkiej wagi do tych drobnych błędów.

Osiem dni później Olaf Elangir i ja wymieniliśmy się raportami. Mimo że już od dawna nie łudziłem się co do wpływu, jaki wywrze nasza opinia, postawiłem sobie za punkt honoru dodanie wnioskom Wolfensohna odrobiny realizmu. Drogi Hans-Peter, świetny ekspert, któremu nie przyszłoby nigdy do głowy, by gryźć rękę, co jeść daje, opisał na trzydziestu stronach powody skłaniające go do zalecenia budowy oczyszczalni w centrum Sisimiutu. Poprawiając po nim, nie mogłem się powstrzymać, aby nie wskazać na płynące z takiego rozwiązania niedogodności: jeśli więc ktokolwiek zadałby sobie trud, żeby przeczytać nasz raport trochę uważniej, zrozumiałby, że nasze wnioski zostały podyktowane przesłankami, które z ekologią nie mają nic wspólnego. Moje sumienie odnajdywało w tej myśli skromną pociechę.

Raport hydrologiczny Olafa pozostawiał mniej miejsca na polemikę. Prawdą jest, że na planie czysto technicznym nie istniała żadna istotna różnica pomiędzy wzniesieniem oczyszczalni w Si-simiucie a w Novgatih. Koszty budowy i tak były na Grenlandii na tyle wysokie, że każda próba zaoszczędzenia na jakości technologicznej projektu zakrawałaby na kpinę. Nowa oczyszczalnia miała korzystać ze wszystkich postępowych nowinek w zakresie wentyla-

cji oraz obróbki osadów. Jedyna znacząca trudność dotyczyła lodu, który przez kilka miesięcy w roku uniemożliwiał wyprowadzanie oczyszczonej wody tradycyjnymi metodami. Twórcy projektu wpadli na pomysł, żeby pociągnąć rury odpowiednio daleko w morze, dwadzieścia metrów pod jego powierzchnią. Olaf i jego ekspert z dziedziny hydrologii zatwierdzili to rozwiązanie.

Moją uwagę przykuł jednak pewien szczegół. Olaf pisał, że w przyszłym roku, 19 lutego, będzie obchodzona dziesiąta rocznica otwarcia oczyszczalni w Nuuk. Gdy zapytałem, z jakiego źródła korzystał, odparł, że wyłuskał tę informację z ogólnego kontekstu zarysowanego w raporcie Gunnara Erikssona. Wtedy pomyślałem, że musiałem się pomylić. Niewątpliwie pamięć spletała mi figla, a Gunnar po naszej rozmowie zweryfikował poprawność wspomnianej daty. Jednakże nazajutrz, wróciwszy do oczyszczalni w Nuuk, miałem okazję się przekonać, że zmysły wcale mnie nie zawiodły. Tablica była na swoim miejscu, przytwierdzona nad ladą recepcji, i można było na niej przeczytać następujące zdanie: „23 marca 1982 roku burmistrz Godthaab\*, Poul Effelman, otworzył tę oczyszczalnię w obecności duńskiego premiera, Ankera Jorgensena". Zasygnalizowałem błąd Olafowi, który zapewnił, że się nim zajmie. Nasza misja zbliżała się ku końcowi. Wszystko to wciąż nie miało dla mnie wielkiego znaczenia.

Ostatni wieczór spędziliśmy w apartamencie Gunnara (szelma kazał przenieść swoje rzeczy do jedyne go hotelowego apartamentu, gdy tylko ten się zwolni - i dostał, czego chciał), wyglądając raport i pogryzając przyniesione przez obsługę kanapki. Z racji tego, że byłem najmłodszy w grupie, to ja siedziałem przy komputerze -a był to antyczny ibm Thinkpad - na którym wprowadzałem ostatnie zmiany dyktowane przez Gunnara i Olafa. Gdy natknąłem się na ustęp dotyczący oczyszczalni w Nuuk, wziąłem na siebie poprawienie błędnej daty, nawet nie wspominając nic na ten temat kolegom. Około północy wydrukowałem ostateczny raport i wszyscy poszliśmy się położyć, Gunnar w swoim łóżu rzymskiego cesarza, Olaf i ja na bardziej spartańskich posłaniach.

\* **Duńska nazwa Nuuk.**

Prezentacja odbyła się bez zakłóceń. Wszyscy udawali, że dopiero zapoznają się z treścią raportu i że spijają słowa z naszych ust. Przewodniczący parlamentu pogratulował nam rzeczowo wykonanego zadania i życzył udanej podróży powrotnej. Prace miały rozpocząć się następnego lata, kiedy wyznaczony już zostanie zakład robót publicznych mający wprowadzić naszą specyfikację w życie. Jeszcze tego wieczoru wróciliśmy do Reykjavíku tą samą awionetką, którą przylecieliśmy. Hans-Peter Wolfensohn wyruszył w dalszą drogę do Bonn, każąc mi obiecać, że pozostaniemy w kontakcie. Widziałem, jak wsuwa do torby piersiówkę pełną whisky, bez wątpienia z obawy, że podczas jego nieobecności Niemcy zakazały importu gorzałki.

W autobusie, który wiozł mnie tego poniedziałkowego ranka do biura, przeprowadziłem wielce pozytywne podsumowanie minionych dwóch miesięcy. Nigdy tak naprawdę nie czułem, że pracuję, zwiedziłem kraj, spotkałem raczej sympatycznych ludzi. Pensja była dobra, a nawet świetna, biorąc pod uwagę, że firma pokrywała wszystkie koszty.

Sekretarki wydawały się szczerze ucieszone na mój widok. Ledwie minęła ósma trzydzieści, a wszyscy już się krzatali, jakby od naszych badań środowiskowych zależały losy planety. Pamiętam, że popychając drzwi do mojej klitki, pomyślałem sobie, iż dokonałem dobrego wyboru i że spędzę u Baldura, Furuseta i Thorberga kawał czasu.

Moja euforia nie trwała długo. Na biurku czekał na mnie egzemplarz raportu złożonego w parlamencie. Gunnar wsunął do środka kartkę ze słowami: „Mam nadzieję, że zachowa Pan dobre wspomnienia ze swojej pierwszej misji. Ten raport w każdym razie wiele Panu zawdzięcza”. Nie wiedział nawet jak wiele. Pod kartonikiem, który - pojąłem to natychmiast i bez cienia wątpliwości - specjalnie został umieszczony właśnie w tym miejscu, rozciągało się wyzywająco pierwsze zdanie raportu: „W niemal dziesięć lat po wzniesieniu oczyszczalni w Nuuk (otwartej 19 lutego 1982) nadszedł chyba czas, aby Grenlandia zainwestowała w drugi tego rodzaju zakład”. Nigdy nie zrozumieć, co mnie w tamtej chwili opętało, ale wyrzuciłem z siebie strumień przekleństw, który pewnie dało się słyszeć aż w recepcji.

Myślę, że Gunnar Eriksson na mnie czekał. Nie wydawał się w każdym razie zaskoczony, kiedy wtargnąłem do jego gabinetu z rozwścieczoną miną i raportem w dłoni. Zdążył już ściągnąć marynarkę i powitał mnie bardzo serdecznie.

- Miło spędził pan weekend, Sliv? Oglądał pan wczoraj hokej?

- Pan stroi sobie ze mnie żarty! Co to wszystko ma znaczyć?

- Spokojnie, drogi chłopcze. O czym pan mówi? Nie lubi pan hokeja? Ewidentnie sobie ze mnie kpił. Wybuchnąłem:

- Dobrze pan wie, o czym mówię! O tym błędzie w dacie otwarcia oczyszczalni w Nuuk. Trzy razy zadałem sobie trud poprawienia go: w pana wstępnym raporcie, w raporcie Olafa i w czwartek wieczorem w hotelu. Nie było go w dokumencie, który wydrukowałem o północy. A tu nagle zjawia się znowu w ostatecznej wersji. Pan to robi specjalnie czy co?

- Oczywiście, że specjalnie. Nie sądzi pan chyba, że jestem na tyle głupi albo na tyle niereformowalny, żeby trzykrotnie pana korygować, doskonale zdając sobie przy tym sprawę, że to pan ma rację.

Opadła mi szczeka: mój szef, jedna z najważniejszych osób w firmie, wyznał mi właśnie, że świadomie sabotował moją pracę.

- Sliv - podjął, patrząc mi prosto w oczy - musimy sobie pewne kwestie wyjaśnić. Ale na samym początku chcę pana zapewnić, że raport, który trzyma pan w ręku, nie odpowiada temu, który złożyłem w piątek w parlamencie. To wersja, którą przygotowałem specjalnie dla pana. Wiem, że ten aspekt jest dla pana istotny, znam pana uczciwość zawodową.

- Moja z pewnością przewyższa pańską.

Już w chwili gdy te słowa padały z moich ust, wiedziałem, że posunąłem się za daleko. Eriksson nie mógł pozwalać na podobne uwagi ze strony dwudziestotrzyletniego smarkacza. A jednak nie okazał żadnych objawów zdenerwowania, zamiast tego przyglądał mi się niczym miłosierny ksiądz, któremu jakiś młody urwis przyznał się do popełnienia bluźnierstwa w domu bożym. Z kieszeni koszuli wyciągnął srebrne pudełko, a z niego papierosa, którego niespiesznie zapalił, nie spuszczając mnie z oka. Później usadowił się w jednym ze swoich czekoladowych foteli i gestem zaprosił mnie,

bym zrobił to samo. Machinalnie wykonałem polecenie, mimo woli zahipnotyzowany jego dobroduszością.

- Naprawdę pan w to wierzy, Sliv? Przez dwa miesiące przyglądał się pan mojej pracy. Rzeczywiście uważa pan, że źle ją wykonuję? Czy naprawdę mogliśmy, zważywszy na niezależne od nas ograniczenia czasu i środków, stworzyć lepszy raport? Szczerze mówiąc, nie sędzę.

- Byłby jeszcze lepszy bez tych błędów, które panu zgłosiłem, a pan uparcie ich nie poprawia.

Przerwał mi gwizd czajnika. Spokojnie, jakbym już opuścił jego biuro, Gunnar wyłączył go, chwycił filiżankę z cienkiej niebieskiej porcelany i przygotował sobie jeżynową herbatę. Brzeżkiem warg skosztował naparu, który musiał wydać mu się za gorący, bo odstawił filiżankę na blat przed sobą.

-Tak szczerze, Sliv, jakie znaczenie ma, czy ta oczyszczalnia rozpoczęła działanie dziewiętnastego lutego czy dwudziestego trzeciego marca?

- Ja jednak widzę różnicę.

- A jakąż to różnicę pan widzi?

- Taką, jaka oddziela prawdę od kłamstwa. - Wypowiadając tę kwestię, nie mogłem nie uznać jej za pompatyczną.

- Ho, ho, od razu wielkie słowa. Bo pan zna prawdę, czy tak?

- Powiedzmy, że umiem czytać. W holu wisiała oficjalna tablica.

-I to pana jedyny dowód? Tablica, którą pierwszy lepszy przedsiębiorca pogrzebowy wygrawerowałby panu w ciągu godziny?

- Do czego pan zmierza? Podważa pan datę otwarcia oczyszczalni?

- Ach, niech mi pan da spokój z tą oczyszczalnią! - Uniósł się, z trudem wstając z fotela i odsłaniając przy tej okazji włochaty pępek. Łyk herbaty pomógł mu odzyskać spokój. Podjął: - Pozwoli pan, że postawię sprawę inaczej. Zakładając, że oczyszczalnię faktycznie otwarto dziewiętnastego lutego osiemdziesiątego drugiego roku - celowo mówię „zakładając” - a pan musiałby kogoś przekonać, że stało się to dwudziestego trzeciego marca, jak by się pan do tego zabrał?

- Co za pytanie!
- Czysto retoryczne, przyznaję. To nieistotne, niech pan odpowie.
- No cóż, zacząłbym oczywiście od podmienienia tablicy.
- Jak? Niech pan nie mówi, że zjawiłby się w recepcji z nową tablicą pod pachą i zażądał zamiany...
- Jasne, że nie. Myślę, że znalazłbym jakiś pretekst. Udawałbym, że obsługa budynku kazała mi sprawdzić, czy dobrze się trzyma. Zdjąłbym ją ze ściany, żeby jej się przyjrzeć, i przy tej okazji podmieniłbym na tę, którą przyniósłbym w torbie.
- I co dalej, niech pan kontynuuje - zachęcił Gunnar. Jego herbata musiała już osiągnąć odpowiednią temperaturę. Pił małymi łydkami, obserwując mnie znad filiżanki.
- Ale po co to wszystko?
- Niech pan się nie zastanawia po co. W tej chwili chodzi o to jak.
- Nie można by poprzestać na tablicy. Lokalne gazety z pewnością relacjonowały wydarzenie. Trzeba by odnaleźć numery z tego dnia w archiwum miejskiej biblioteki.
- No właśnie, ludzie zawsze w pierwszej kolejności powołują się na gazety! - zawołał Gunnar. - Jakby wykradnięcie dziennika z biblioteki w Nuuk i zastąpienie go niemal identycznym wydaniem stanowiło trudność... A to przecież dziecinna igraszka! Zwłaszcza na Grenlandii, jednym z nielicznych krajów na świecie, w których znajduje się tylko jedna biblioteka. Chociaż... Pewnie wysyłają egzemplarz tego swojego szmatławca do Kopenhagi. Nawet na pewno. Do sprawdzenia. - Całkiem zatracił się w swoich rozmyślaniach. Wreszcie podjął: - Nie, Sliv, trudność nie na tym polega. Kryje się ona w detalach, na które nie mamy żadnego wpływu, takich jak wspomnienia mieszkańców wybrzeża, list, w którym dyrektor oczyszczalni, napęczniały z dumy, chwali się matce, że uściśnął dłoń premiera, wykaz płac z lutego osiemdziesiątego drugiego roku pieczołowicie przechowywany przez nocnego stróża, który chce mieć czym poprzeć swoje roszczenia emerytalne, billingi telefoniczne, o które poprosił szef działu, żeby skonfrontować z nimi nieuczciwego pracownika. Proszę mi wierzyć, nie porwałbym się na podobną



operację, chyba że dysponowałbym dziesięciocyfrowym budżetem i aktywnym wsparciem przynajmniej trzech centrów.

- Ale o czym pan w ogóle mówi? — Nagle doznałem wrażenia, jakbym przeniósł się do jakiegoś równoległego świata. A jednak za oknem wciąż widziałem jolki tańczące w starym dobrym porcie Reykjavíku.

- Wszystko to pokazuje, Sliv, że gdybym chciał zmienić datę otwarcia tej przeklętej oczyszczalni, mógłbym to zrobić. Kosztowałyby mnie to czas i sporo pieniędzy, ale udałoby mi się. Miłe za-danko, nieprawda?

- Skoro pan tak twierdzi - zgodziłem się, nie wiedząc, czy on mówi poważnie. - Gunnar, do czego pan zmierza?

Dolał sobie herbaty i tym razem także mnie zaproponował filiżankę, ale odmówiłem ruchem dłoni.

- Chcę powiedzieć, Sliv, że moglibyśmy się zabawić, pan i ja. Ma się rozumieć nie poprzestalibyśmy na nędznych bajeczkach o dacie otwarcia. Pamięta pan Skjoldungen? Moja historia z torem została całkiem niezłe przyjęta. Tor to metal radioaktywny, dzięki któremu można wytwarzać energię jądrową. Sprawdziłem, większość światowej produkcji pochodzi z Indii oraz Australii. Patrząc na ceny, jakie osiąga tona na rynku surowców, uważam, że pański poławiacz dorsza prędko zamieni sieci na kilof i sito. To tylko kwestia paru lat, może miesięcy. Czasami jedynie wyprzedzamy rzeczywistość.

- Wyprzedzamy? Więc w tę gierkę bawi się więcej osób?

- Ależ oczywiście, zdziwi się pan na wieść, ilu z pańskich kolegów oddaje się temu zajęciu.

- Kto na przykład?

- A kogo pan zna? A tak, nie trzeba daleko szukać: Elangir...

- Olaf Elangir? No co pan, żartuje pan sobie?

- Zdziwiająca, prawda? - rzekł Gunnar z namysłem. - Kto by pomyślał, że w ciągu pięciu lat ten chłopak zostanie ekspertem w sztuce falsyfikacji? Ale z nim sprawa jest prosta: nigdy nie można być niczego pewnym. A zatem, Sliv, czy mogę pana zaliczyć do naszego grona? Jestem przekonany, że okazałby się pan cennym nabytkiem... - Teraz studiowałem wyraz twarzy Gunnara, jakby zależało od tego moje życie. Czy to możliwe, żeby mówił poważnie?

W jego oczach skrzyły się te same iskierki, które widuje się u wariatów albo kaznodziejów.

- Nie mam nawet pojęcia, czym się zajmujecie. Niech pan mi powie coś więcej.

Zaraz zrozumiałem, że wpadłem w pułapkę, wypowiadając słowa, na które czekał, bo odrzekł natychmiast:

- Ach, ach, widzę, że podsyciłem pańską ciekawość. Ale na dziś już wystarczy. Niech pan wraca do domu, w tym tygodniu nie mam dla pana nic ciekawego. Porozmawiamy o tym wszystkim znowu w przyszły poniedziałek.

- Ale - zaprotestowałem - muszę pracować, są przecież teczki...

- Nie, naprawdę nic dla pana nie mam. A poza tym pracował pan ciężko przez dwa miesiące, tydzień wakacji dobrze panu zrobi.

Eriksson wstał, rozmowa się skończyła. Było za piętnaście dziewiąta, nie zdążyłem nawet zdjąć płaszcza. Gunnar odprowadził mnie aż na klatkę schodową i wcisnął guzik windy, jakby chciał się upewnić, że naprawdę sobie pójdę. Kiedy zamykały się za mną drzwi, przez głowę przemknęła mi myśl, że zapomniałem z biurka gazety, a nie przeczytałem jeszcze sekcji sportowej.

Jak powiedział Eriksson: miałem tydzień do namysłu. Ale do namysłu nad czym?

Nazajutrz po naszej rozmowie, wracając z supermarketu po zrobieniu małych zakupów, ze zdziwieniem odkryłem na korytarzu obok mojej wycieraczki otwarty mokry parasol. Ledwie przekręciłem klucz w zamku i pchnąłem drzwi, kiedy doleciał mnie wznoszący się z kanapy w salonie głos:

- O, Sliv, dzień dobry! - zawołał Gunnar Eriksson, jakby zaskoczony faktem, że oto przestępuję próg własnego mieszkania.

Poczułem pewną ulgę, że sprawa została w ten sposób przyspieszona. Od dwudziestu czterech godzin ciekawość dosłownie mnie zżerała. Przez cały wczorajszy dzień walczyłem z pokusą, by wrócić do Erikssona i wydobyć z niego całą historię. Do tego, co u mnie nietypowe, źle spałem. Z biegiem lat nabrałem zwyczaju, by polegać na tym symptomie bardziej niż na jakimkolwiek innym.

Gunnar czytał gazetę, którą porzuciłem na kuchennym stole. Każdy najdrobniejszy gest z jego strony był bez dwóch zdań starannie skalkulowany. Chciał, żebym wiedział, że może w każdej chwili dostać się do mojego domu i że choć wyznaczył mi spotkanie na za tydzień, to on - i tylko on - decyduje o terminach naszych rozmów. Postanowiłem jednak zignorować jego bezprawne wtargnięcie i, układając jednocześnie zakupy w lodówce, zapytałem, czy się czegoś napije.

- Nie odmówię herbatki. Przy całym tym deszczu i początkach chłódów boję się, że mogłem coś złapać.

A więc Gunnar przyszedł mnie poinformować o swoim stanie zdrowia. Skoro tak to chciał rozegrać, nie miałem zamiaru być tym, który zmieni temat.

- Tak, myślę, że czeka nas sroga zima.
- Z pewnością ucieszy pana wiadomość, że komisja do spraw architektury grenlandzkiego parlamentu zatwierdziła wczoraj po południu naszą specyfikację. To wspaniałe zakończenie misji.
- Rzeczywiście, nie mógłbym być szczęśliwszy - odrzekłem tonem sugerującym coś zupełnie przeciwnego.
- Ale domyśla się pan, że nie przyszedłem tu po to, żeby gawędzić o pogodzie.
- Ach tak? - odparłem, unosząc brew. - To o czym chce pan gawędzić?
- O panu, Sliv - odpowiedział, udając, że nie dosłyszał po-brzmiewającej w moim pytaniu bezczelności. Starannie złożył gazetę i położył ją na stole przed sobą. Oparty plecami o ścianę salonu czekałem na dalszy ciąg, lecz Gunnar gestem kazał mi usiąść. - Sliv - zaczął, kiedy już usłuchałem - zamierzam ujawnić panu ciąg rewelacji, które mogą zmienić bieg pańskiego życia. Wiem, że jest pan wściekły, ale jeżeli się co do pana nie mylę, wysłucha mnie pan uważnie i bez uprzedzeń. Przede wszystkim zaś proszę, w pana własnym interesie, żeby przerwał mi pan zaraz w momencie, kiedy uzna pan, że nie chce słyszeć więcej.
- Użył na tyle poważnego tonu, że powstrzymałem się przed wtrąceniem swoich trzech groszy.
- Czy mogę na pana liczyć, Sliv? - upewnił się, spoglądając mi prosto w oczy.
- Tak. Jestem ciekaw, co ma pan do powiedzenia.
- Dobrze. Powinien pan zatem wiedzieć, że wewnątrz biura Bal-dur, Furuset i Thorberg działa garstka mężczyzn i kobiet, dla których badania środowiskowe stanowią jedynie przykrywkę. Olaf Elangir, ja oraz kilku innych, których nazwisk nie musi pan na razie znać, pracujemy dla tajnej międzynarodowej organizacji. KFR - bo tak się nazywa - operuje na pięciu kontynentach i w ponad stu krajach. Placówka w Reykjavíku ma rangę stacji. Ponad stacjami znajdują się biura, które z kolei podlegają centrom. A, czy to nie moja herbata tam gwizdże?
- Pobiegnę wyłączyć gaz pod czajnikiem. Musiał gwizdać już od dłuższego czasu, bo sparzyłem się, łapiąc za uchwyt. Nalałem nam po filiżance wrzątku i szybko wróciłem na miejsce.

- Czym zajmuje się KFR? - zapytałem.
- Agenci KFR-u - odrzekł, zanurzając w wodzie torebkę z herbatą - tworzą całkowicie prawdopodobne scenariusze, którym następnie nadają formę, zmieniając istniejące źródła, a nawet sporządzając nowe. Innymi słowy: modyfikują rzeczywistość. Nie ma pan przypadkiem miodu? Herbata z miodem to najlepszy sposób na ból gardła.
- Nie, nie mam miodu - rzuciłem, nie ukrywając podenerwowania - a pańskie gardło nic mnie nie obchodzi. Niech mi pan poda przykład takiego modyfikowania rzeczywistości.
- A to szkoda, jak się pogorszy, grozi mi utrata głosu - skomentował Gunnar, jakby ta perspektywa miała mnie skłonić do przypomnienia sobie, gdzie ukryłem zapasy miodu. - Załóżmy, że nasze zadanie polega na sfalszowaniu daty otwarcia oczyszczalni w Nuuk. Jak już wczoraj wspominałem, taka misja nie nastęczyłaby najmniejszych trudności: tablica do zmiany, parę wydań lokalnej gazetki do przedrukowania i gotowe.
- Ale jaka z tego korzyść?
- W tym konkretnym przypadku - żadna. To jedynie przykład, który ma panu pokazać, w jaki sposób pracujemy. Plan nigdy nie zatwierdziłby tak bezużytecznej misji.
- Plan?Jaki Plan?
- Plan jest organem KFR-u, który wyznacza ogólne kierunki strategiczne naszej działalności. Jego priorytety ewoluują w czasie. W tym roku zachęca do tworzenia nowych szkół malarskich, w zeszłym roku polecił podkolorować prymitywne afrykańskie mitologie. Czasami związek z aktualnymi wydarzeniami jest bardziej oczywisty. Na przykład pod koniec lat pięćdziesiątych nasi poprzednicy zajmowali się podbojem kosmosu: jak skłonić wielkie potęgi do przeznaczenia pokaźniej szych funduszy na sprawę, którą jeszcze dziesięć lat wcześniej nikt się nie przejmował?
- Przepraszam - przerwałem mu - chce pan powiedzieć, że jeśli w sześćdziesiątym dziewiątym roku Armstrong spacerował po Księżycu, to zawdzięczamy ten fakt KFR-owi?
- Nie, oczywiście, że nie, sprawa nigdy nie jest taka prosta. Pomysł istniał już wcześniej i Amerykanie prędzej czy póź-

niej wprowadziliby go w życie. Ale jeśli pójdziemy dalej, dowiodę panu, podpierając się dokumentacją, że dzięki paru wyjątkowym agentom to, co mogłoby trwać dwadzieścia lat, zostało osiągnięte w ciągu dekady.

- Ten Plan, o którym pan mówi, jakie są jego cele? Tu afrykańskie mitologie, tam podbój kosmosu - przyznam, że nie widzę jasnych wytycznych jego działania.

- Obawiam się, że pana rozczaruję, Sliv, ale nie ma pan dostępu do informacji tego kalibru.

- Chwileczkę, Gunnar, próbuje mnie pan zwerbować do organizacji, której celów nie zamierza mi pan ujawnić?

- Właśnie to próbuję zrobić, tak. Muszę też od razu uprzedzić, że jeszcze wielu innych rzeczy nie mam prawa dziś panu wyjawiać. Nie zdradzę na przykład, kto zarządza KFR-em ani kiedy organizacja powstała.

- Co oznacza skrót KFR? Chociaż tyle może mi pan powiedzieć?

- Powszechnie przyjmuje się, że nazwa bierze się od francuskiego Consortium de Falsification du Réel, czyli Konsorcjum Fałszowania Rzeczywistości, ale szczerze mówiąc, nikt nie jest pewien.

- A zatem to francuska organizacja?

- Albo belgijska, albo szwajcarska, albo kanadyjska, albo afrykańska. Prawdę powiedziawszy, nic mi na ten temat nie wiadomo.

- Ale jak pan może się godzić na pracę dla kogoś, o kim tak niewiele pan wie?

- To uzasadnione pytanie i nieraz miałem okazję się nad nim zastanawiać. Ale niech pan zada sobie pytanie, co tak naprawdę wiedział pan o Baldurze, Furusecie i Thorbergu, kiedy przyjmował pan ofertę pracy. Znał pan nazwiska współników? Przejrzał broszurę reklamową? Z pewnością niewiele więcej. A jednak na podstawie tych lichych przesłanek zdecydował pan, że nie ryzykuje wiele, dołączając do nas i że w naszej firmie będzie pan miał świetne możliwości rozwoju. To samo tyczy się mnie oraz większości członków KFR-u. Nie wiem o organizacji wszystkiego, z całą pewnością mniej, niż pan mógłby się z biegiem czasu dowiedzieć na temat Baldura, Furusetta i Thorberga. A jednak czuję się dobrze w jej szeregach, lubię swoje

codzienne obowiązki, cenię sobie kolegów i dzielam większość wyznawanych przez KFR wartości - do tego stopnia, że dziś nie wyobrażam sobie pracy gdziekolwiek indziej.

- Niech pan mimo to pozwoli, że będę się upierał. Te codzienne obowiązki, o których pan wspomina, czemu one służą? Żeby odwołać się znowu do mojego własnego przykładu: wiem po co i dla kogo pracuję. Haruję dla pana i dla trzech starszych jegomościów z nadzieją, że mnie zauważycie, że będziecie mi powierzać coraz to ważniejsze zadania, aż do dnia, w którym wyniesiecie mnie do rangi wspólnika. Wiem też, że światem nie rządzi filantropia i że skoro udziałowcy firmy płacą za mój czas, to znaczy, że sami również czerpią z moich wysiłków zyski. Dodatkowo, praca pozwala mi uczyć się nowych rzeczy, zaspokajać ciekawość i nabywać umiejętności, które przydadzą mi się pewnego dnia, w tej lub w innej firmie.

- Pańskie argumenty równie dobrze mogłyby dotyczyć KFR-u, nie licząc fragmentu o zyskach. Wedle mojej wiedzy KFR nie szuka korzyści finansowych, tak samo jak nie dąży do przejęcia władzy ani nie stara się, by ludzkość osiągnęła kosmiczną równowagę. Motywy kierujące KFR-em, o ile w ogóle istnieją, są zupełnie innej natury.

- O ile w ogóle istnieją? - powtórzyłem trochę zbity z tropu. - Niech mnie pan upewni: pan zna cele KFR-u, prawda? W pańskim wieku musi pan chyba wiedzieć chociaż, czy pracuje dla najemników, bandytów czy iluminatów?

- Mniejsza z tym, co wiem albo w co wierzę. Nie o moim werbunku dyskutujemy, lecz o pańskim. - Musiał wyczuć, że ta ostatnia uwaga wypadła nieco sucho, bo dorzucił z uśmiechem: - I bardzo proszę nie wypominać mi wieku.

- Ilu agentów rocznie zostaje zwerbowanych?

- Łącznie, o to pan pyta? Kilkuset, może tysiąc.

- Nie, ilu zostaje zwerbowanych przez pana - uściśliłem, zdeteminowany, by wyciągnąć z niego tyle, ile tylko się da.

- Będzie pan dwunastym w ciągu dziewiętnastu lat.

- To niewiele - wymamrotałem.

- W przeciwieństwie do niektórych spośród moich kolegów, którzy godzą się z wysokim wskaźnikiem odstąpień, nie lubię po-

dejmować ryzyka. Odczuwam pewną dumę z faktu, że dotychczas nie poniosłem jeszcze nigdy porażki.

- Dlaczego ja? Ledwie mnie pan zna.

- Lepiej, niż się panu wydaje. Zgromadziłem relatywnie kompletny zestaw informacji na pański temat. Sama analiza psychologiczna kosztowała mnie tysiąc pięćset dolarów.

- A więc te tak zwane testy kwalifikacyjne, które kazał mi pan wypełniać, posłużyły do przygotowania mojego profilu psychologicznego? - zapytałem, starając się, by mój głos brzmiał, jakbym uważał to za skandal, podczas gdy tak naprawdę umierałem z chęci dostania tego dokumentu w swoje ręce. - A czy mogę wiedzieć, co z nich wyniknęło?

- Ze ma pan bujną wyobraźnię połączoną z silnie rozwiniętym poczuciem rzeczywistości. Pani psycholog uważa, że pragmatyzm zawdzięcza pan swoim wiejskim korzeniom. Podobna kombinacja zdarza się raczej rzadko i zazwyczaj rodzi doskonałych agentów. Poza tym opanował pan cztery języki, w tym trzy perfekcyjnie, to też nie było co.

Wstał, przeszedł kilka kroków i prawie przez minutę wyglądał przez okno. Na próżno szukałem dalszych pytań, które mógłbym mu zadać, gdy odwrócił się i podjął:

- Raporty bywają mylne, ale intuicja jeszcze nigdy mnie nie zawiodła. Uważnie pana obserwowałem podczas naszej misji na Grenlandii i wróżę panu świetlaną przyszłość, jakąkolwiek ścieżkę pan wybierze. Może pan kontynuować karierę w domenie badań środowiskowych: Baldur, Furuset i Thorberg to prawdziwe przedsiębiorstwo, które stworzy dobre perspektywy tak zmotywowanemu i kompetentnemu kierownikowi projektu jak pan.

- Proszę wybaczyć, ale jeśli odrzucę pańską ofertę rekrutacyjną, jakoś nie widzę tego, żebym miał zostać u Baldura, Furuseta i Thorberga. Wyobraża pan sobie, jak podczas spotkań firmowych przyglądam się kolejno kolegom, zastanawiając się, czy przynależą do tego pańskiego bractwa?

- Albo może pan dołączyć do KFR-u - kontynuował Gunnar, jakby nie dosłyszał mojej uwagi. - Wybrać tajną opcję. KFR pod wieloma względami przypomina inne firmy. Jeśli będzie się pan sta-



rał, wespnie się pan po szczeblach kariery: będziemy panu powierzać coraz ciekawsze misje i otrzyma pan regularne wynagrodzenie.

- Tak żebym wiedział, ile wynosi pensja agenta u kresu kariery? - spytałem niedelikatnie.

- Niech mi pan oszczędzi sarkazmu, Sliv. KFR traktuje swoich pracowników bardzo przyzwoicie. Poza tym obaj wiemy, że pieniądze pana nie interesują, więc niech pan nie próbuje mi wmówić, że uzależni pan swoją decyzję od ewentualnego zwrotu kosztów podróży czy bonów żywnościowych. W obu przypadkach - wrócił do przerwane go wątku - musi pan zachować tajemnicę odnośnie do działania KFR-u. Pierwsze naruszenie tej zasady spowodowałoby automatyczne wykluczenie pana zarówno z biura, jak i z organizacji. Pod tym względem jesteśmy bezkompromisowi.

- Ani chwili w to nie wątpiłem. Kiedy miałbym dać odpowiedź?

- Kiedy będzie pan gotowy. Musi pan sobie odpowiedzieć na inne istotne pytania. Co chce pan zrobić ze swoim życiem? I czy będzie pan potrafił żyć z ciężarem tajemnicy? Niech pan się namyśla bez pośpiechu; w biurze oczekuję pana dopiero w poniedziałek.

Włożył płaszcz i rozejrzał się za rękawiczkami, które zostawił na szafce w przedpokoju. Potem, jakby nagle sobie o czymś przypomniał, otworzył swoją skórzaną teczkę i wyjął z niej zielony folder zamykany na dwie gumki.

- Zachęcam pana do zapoznania się z tym dokumentem. Został przygotowany trzy lata temu przez młodą agentkę - była to jej pierwsza sprawa. Daleko jej do perfekcji, ale da panu dobry obraz naszej codziennej pracy. Tradycyjnie, w pierwszej części autorka przedstawia swój scenariusz: w co mają ludzie uwierzyć? W drugiej części zamieszcza listę środków, które należy przedsięwziąć, aby ten scenariusz uwiarygodnić. Jedna rada: jeśli ta lektura nie wzbudzi w panu choćby krzty intelektualnej radości, niech pan od razu sobie odpuści. Jeśli już przy drugim akapicie zacznie się pan głowić, czy nie dało się tego przeprowadzić lepiej i jak pan zabrałby się do rzeczy na miejscu autorki, to znaczy, że świetnie się pan nadaje.

Włożył rękawiczki, otworzył drzwi i podniósł parasol, teraz już całkiem suchy. Wyciągnął do mnie rękę, a potem odchrząknął i dorzucił:

-Ten folder nie może, rzecz jasna, opuścić pańskiego mieszkania.  
- To się rozumie samo przez się. Przykro mi z powodu miodu -  
odrzekłem.

Uniósł dłoń, jakby odpuszczał mi wstydlivy grzech. Właśnie wtedy, gdy patrzyłem, jak zmierza w stronę windy, zauważyłem, że oba sznurowadła ma rozwiązane. Gunnar Eriksson z całą pewnością nie przypominał arcyszpiega z moich wyobrażeń.

## Skitos, Nebraska, Stolica Tesalii (scenariusz)

#

28 maja 1854 roku, zaledwie parę dni po lądowaniu wojsk francusko-angielskich w Pireusie, Spyros Tadelitis, młody pasterz z greckiego regionu Tesalia, wszedł na pokład „Tarmaty” w charakterze majtki. Opłacił w ten sposób podróż do Genui, gdzie zamierzał wykorzystać tę samą strategię, aby dotrzeć do Nowego Świata.

Serce Spyrosa, który ledwie skończył siedemnaście lat, krwawiło na myśl, że oto porzuci najbliższych oraz rodzinną wioskę zwaną Actinonia. Młodzieniec zdawał sobie jednak sprawę, że po doznanym niedawno upokorzeniu nie ma innego wyjścia. Jego rozważania, które na próżno usiłował skierować w inną stronę, nieustannie powracały ku jakże bolesnej scenie sprzed miesiąca, kiedy to obserwował, jak jego życie wali się w gruzy.

Ludzie zjechali się ze Stavros, z Sofadhes, a nawet z Veletinon, żeby wziąć udział w zaślubinach Spyrosa i Dimitry Kallistos, najpiękniejszej, najbardziej czarującej, najdumniejszej dziewczyny w Tesalii. Młodzi znali się od zawsze; Constantin Tadelitis i Phaedon Kallistos paśli owce na tych samych halach; Lea Tadelitis i Andhrea Kallistos często razem prały i plotkowały przy studni; Spyrosa i Dimitrę łączyła więc zwykle zarezerwowana dla tych, w których żyłach płynie ta sama krew. Obie rodziny udostępniły swe niewielkie środki, aby zapewnić dzieciom niezapomniane wesele.

Niestety! W dzień po ślubie Dimitra oznajmiła całej wiosce, że wyrzeka się towarzystwa mężczyzn z zamiarem poświęcenia się medytacji oraz modlitwie. Na próżno Phaedon i Andhrea Kallistinos usiłowali przemówić córce do rozumu. Jeśli chodzi o Spyrosa, żona odmówiła mu nawet chwili rozmowy. Jeszcze tego wieczoru Dimitra wstąpiła do klasztoru w Margarition.

Kolejne dni okazały się najgorszymi w całym życiu Spyrosa. Wszystko było mu wstrętne: niezwykła troska, jaką otaczały go matka oraz trzy siostry, słowa pociechy, na które silił się niezdarnie Phaedon Kallistinos, ogłupiałe niezrozumienie mieszkańców wioski, niegodne pogłoski rozsiewane przez jego zacieklego wroga Coubilakisa, który twierdził, jakoby sam już dawno zajął jego miejsce w sercu Dimitry.

Wygnanie stało się dla Spyrosa jedynym rozwiązaniem. Od razu to wyczuł, a błagania matki nie osłabiły jego determinacji. Wyjedzie do Ameryki, daleko, jak najdalej od Actinonii. Tam znajdzie pracę i postara się zapomnieć o tej fatalnej niedzieli roku 1854, gdy jego życie rozpadło się na kawałki.

Spyros dotarł do Genui 3 czerwca 1854. W tydzień później zaokrętował się na parowiec o nazwie „Lorrimer” jako pomocnik kucharza. Po dwóch miesiącach jego oczom ukazała się Ellis Island. Podczas gdy wielu imigrantów wyobraża sobie, że posiadane kwalifikacje lub znajomość obcego języka okażą się niezwykle pomocne, Tadelitis prędko zrozumiał, że do zaoferowania ma jedynie parę rąk. Tak się złożyło, że firma Chicago and Rock Island Co. poszukiwała akurat wytrzymałych mężczyzn do budowy linii kolei żelaznej mającej połączyć Illinois z Missouri. Przez trzy lata po dwanaście godzin dziennie Spyros kruszył kamienie. Nauczył się angielskiego i gry w jukera, której nieskończone karciane kombinacje powoli przeganiały z jego snów wspomnienie Dimitry Kallistinos Tadelitis, jego małżonki w oczach Boga i ludzi.

Do Nebraski Spyros dotarł w 1858. Okolica musiała mu się spodobać, bo tam osiadł i tam miał któregoś dnia umrzeć. Powierzchnia Nebraski dwukrotnie przewyższa powierzchnię Grecji. Jest to kraina niemal tak płaska, jak Tesalia jest górzysta. Prawie nigdy nie pada tam deszcz.

Spyros poprosił o ziemię. Przyznano mu trzysta hektarów, które musiał samodzielnie ogrodzić. Zbudował chatkę, obiecując sobie, że powiększy ją, gdy tylko zgromadzi trochę grosza. W oczekiwaniu na ten moment wydał trzyletnie oszczędności na zakup stada świń. Największą ochrzcił Coubilakis.

Hodowla świń jest sprawą relatywnie prostą. Spyros wkrótce opanował wszystkie jej tajniki. Każdego miesiąca wyprawiał się do Omaha, gdzie sprzedawał najtłustsze egzemplarze. Cały zysk przeznaczał na zakup nowych macior, zawsze tych najdorodniejszych, najbardziej płodnych. Po niespełna pięciu latach jego pogłowie liczyło pięć tysięcy sztuk.

Lata 1863-1870 to czas ekspansji i rozwoju. Spyros zainteresował się rzeźnią w Omaha. W ten sposób miał wrażenie, że towarzyszy swoim zwierzętom najdłużej, jak to możliwe. Rozwinał nowe techniki pozwalające na szybsze tuczenie wieprzy, a zatem na zwiększenie tempa obrotu finansowego. W 1866 roku zajął się wreszcie rolnictwem. uprawiał już kukurydzę, którą żywiły się świny. Teraz zasiał zboża oraz soję, które przynosiły znaczne dochody, niemal nie generując kosztów krańcowych. Na Boże Narodzenie 1870 roku bank First Union powiadomił go, że środki zgromadzone przez niego w ich placówce w Omaha opiewają na kwotę stu tysięcy dolarów amerykańskich. Ta suma wydała się Spyrosowi niedorzeczna. Nigdy nie pracował dla pieniędzy, lecz dlatego, że praca wydawała mu się czymś właściwym i naturalnym. Zupełnie nagle zdał sobie sprawę, że stał się bogatym człowiekiem.

Dopiero wtedy poczuł się uprawniony, aby napisać do kraju. Pierwszy list wysłał do matki: „Minęło wiele czasu i pewnie jesteś już staruszką. Wiedz, że nigdy nie zapomniałem o Tobie ani o Tacie, o Dimitrze czy o tym prosiaku Coubilakisie”. Wiadomość wywołała w Actinonii spore poruszenie. Spyros żył! Przebył Atlantyk i mieszkał teraz na drugim krańcu świata. Lea odpowiedziała synowi, przekazując lokalne nowinki. Stary Gregorios kopnął w kalendarz, a burmistrzem został jego syn; mała Khondylis urodziła bliźniaki, które wszystkich doprowadzają do szału; Turcy skończyli wreszcie budowę drogi do Leondari. Na temat Dimitry nie padło ani jedno

słowo. Zupełnie jakby zawarli jakąś milczącą umowę, matka i syn nigdy o niej nie wspomnieli.

Nawiązała się korespondencja. Listów Tadelitisa wyczekiwano jak niegdyś słów wyroczni pytyjskiej. Gdy Mikis Almendros, listonosz, zauważał wśród poczty niebieską kopertę, przejeżdżał na rowerze główną ulicą, wołając: „Wieści od Spyrosa!”. Już po chwili połowa wioski truchtała u jego boku, odprowadzając go pod sam dom Tadelitisów, gdzie stara Lea odbierała list z rąk Mikisa. Wówczas nie mogła postąpić inaczej, jak tylko odczytać na głos linijki napisane przez syna, który z pewnością wcale nie przeczuwał, że jego najbliższe nawet odczucia były publicznie odkrywane, a następnie komentowane i rozbierane na części na wioskowym placu. Nawet nieszczęsny Coubilakis słuchał z przymkniętymi oczyma opowieści o dziwach amerykańskiego życia, a także nieuniknionych wzmianek o własnej podłości, które padały w każdym liście.

Bo Spyros, krok po kroku, otwierał przed nimi swe serce. Tak, zbił fortunę. Jego ziemia rozciągała się teraz na powierzchni kilku tysięcy hektarów i żeby objechać ją konno, potrzebował niemal całego dnia. Posiadał tyle świń, że jednemu z nieuczciwych pracowników udało się założyć drugą co do wielkości hodowlę w kraju jedynie dzięki podkradaniu jego zwierząt, czego właściciel nawet nie zauważył. A jednak - Spyros nie był szczęśliwy. Pieniądze nic dla niego nie znaczyły. Brakowało mu rodziny. „Nie jest dobrze” - pisał - „żeby człowiek zbyt długo żył z dala od swoich”. Przede wszystkim zaś tęsknił za rodzinną Tesalią. „Nadałem swojemu ranczu nazwę Skitos, wiesz, na cześć tego ciepłego wiatru, który pieścił nam policzki, gdy zapadał wieczór”.

Za jego pośrednictwem Actinonia doświadczała historycznych momentów z podboju Zachodu. Mieszkańcy wiwatowali, gdy dwie linie kolei żelaznej przecinające pionowo kraj złączyły się w Promontory Point. Ze znanstwem dyskutowali o najnowszych metodach irygacyjnych oraz o perspektywach, jakie dawało porzucenie kopalń złota w Kolorado na rzecz tych bardziej obiecujących w północnej Kalifornii.

W roku 1883, po trzynastu latach korespondencji, Spyros w końcu zaprosił rodziców do siebie. Lea powiadomiła go, że ojciec,

dotknięty chorobą dróg oddechowych, ma przed sobą ledwie kilka miesięcy życia. Myśl, że ojciec umrze, nie zobaczywszy się ponownie z synem, wydała się Spyrosowi nie do zaakceptowania, wysłał więc przekazem pocztowym okazałą sumę wystarczającą na pokrycie wszystkich kosztów podróży. Jednakże Constantin i Lea się wahali. Sława Spyrosa wykraczała daleko poza krąg rodzinny, niemal do tego stopnia, iż nie czuli, by mieli do własnego syna większe prawa niż listonosz czy piekarz. „To z pewnością wyda Ci się idiotyczne” - napisała Lea w pierwszych dniach roku 1884, „ale miałabym skrupuły, porzucając ludzi z Actinonii”. „No dobrze, przywieź ich” - brzmiała odpowiedź Spyrosa, który do swojego listu dołączył przekaz pieniężny nie pozostawiający żadnych wątpliwości co do jego intencji.

To wówczas zorganizowano najbardziej entuzjastyczną, najbardziej spontaniczną ze wszystkich migracji między Grecją a Stanami Zjednoczonymi. Pięć miesięcy i piętnaście dni - tylko tyle czasu potrzebowali mieszkańcy Actinonii na rozprzedanie mienia i przygotowanie podróży ku Nowemu Światu. Pozamykano domy, sprzedano stada. Młody Gregorios (jak uparcie nazywali go pozostali obywatele mimo siwej brody zdobiącej jego policzki), sprawujący urząd burmistrza, wygłosił zaskakujące przemówienie, w którym ni mniej, ni więcej, jak tylko rozwiązywał swoją gminę. I wyruszone. Czterdzieści dwie rodziny weszły na pokład „Tarmaty”.

Przepląnięcie Atlantyku zajęło mieszkańcom Actinonii sześć tygodni. Na Ellis Island poddano ich kwarantannie po tym, jak na ich statku odkryto kolonię spasionych szczurów. Constantin doznał nawrotu choroby, która niemalże zakończyła jego żywot. Ale w najtrudniejszych chwilach starzec czepiał się myśli o rychłym spotkaniu z synem. To on dał znak do dalszej drogi, podczas gdy Młody Gregorios biegał już po ulicach Manhattanu w poszukiwaniu popa, który udzieliłby mu ostatniego namaszczenia.

Po tych perypetiach pokonanie trzech tysięcy kilometrów, które dzielą Nowy Jork od Nebraski, okazało się dziecinnie proste. Pewna kobieta urodziła w pociągu, między Springfield a Dayton. 29 października 1884 roku lokomotywa wjechała na dworzec w Omaha. Młody Gregorios przywołał w pamięci tych kilka słów po angielsku,

których nauczył się na Ellis Island, żeby wypożyczyć trzydzieści powozów. Późnym popołudniem procesja minęła bramy rancza Skitos.

Spyros Tadelitis huśtał się w bujanym fotelu pod altaną, gdy chmura pyłu na horyzoncie obwieściła mu przybycie gości. Godnie znosił rozłąkę; męsko stawiał czoła ponownemu spotkaniu. Uścisnął rękę ojca, przygarnął matkę do piersi i gestem powitał stu trzydziestu czterech rodaków stłoczonych wokół powozów. „Trzeba będzie wam znaleźć jakieś mieszkanie” - stwierdził. „Naradzimy się nad tym jutro. Tymczasem urządzmy święto, gdyż mamy do uczczenia wiele zaległych radości”. Wezwał jednego ze swych ludzi, któremu nakazał ubić i przyrzadzić najtłustszego prosiaka w stadzie. Ucztowali całą noc.

Tadelitis dotrzymał słowa. Każdej rodzinie zapewnił dach nad głową, ponad pół hektara ziemi oraz pracę. Po kilku miesiącach mała społeczność przerodziła się w wioskę, której, naturalną kolejną rzeczą, nadano nazwę Skitos. Młody Gregorios ponownie objął urząd burmistrza. Starszy z bliźniaków Khondylis otrzymał gwiazdę szeryfa.

Okrutna zima 1888 roku wzięła górę nad słabym zdrowiem patriarchy Constantina. Lea przeżyła go o dwanaście lat. Spyros zaś miał to szczęście, że zdążył jeszcze ujrzeć na niebie pierwsze samoloty. Zostawił po sobie niesamowitą schedę, którą mieszkańcy Skitos z wielką roztropnością w całości zainwestowali w rozwój osady. Dziś Skitos jest kwitnącym miasteczkiem liczącym około dwunastu tysięcy mieszkańców. Poczesne miejsce, jakie zajmuje w przemyśle mięsnym, dosyć skutecznie chroni je przed wahaniami gospodarczymi. Przede wszystkim zaś stanowi jedną z najważniejszych ości kultury greckiej w Stanach Zjednoczonych. Można tam skosztować najlepszych suwłaków w Ameryce Północnej.

#

Działania, które należy podjąć w celu stworzenia nowej rzeczywistości

#

Punkty wyjścia

#



Actinonia istnieje. Jest to osada w Tesalii przycupnięta na wysokości 1850 metrów nad poziomem morza, pomiędzy Leondari i Karavą, na 39°13' szerokości geograficznej północnej i 21°43' długości geograficznej wschodniej. Na stałe mieszkają tam zaledwie dwie lub trzy rodziny. W lecie zatrzymuje się kilku pasterzy wraz ze stadami.

Skitos to miasteczko w Nebrasce liczące 12 500 mieszkańców, usytuowane w połowie drogi między Omaha a Norfolkem, na 41°38' szerokości geograficznej północnej i 96°49' długości geograficznej zachodniej. Data założenia miasta pozostaje niepewna. Powszechnie przyjmuje się, iż miało ono miejsce około 1880 roku.

#

Działania, które należy podjąć:

#

W Skitos w Nebrasce:

1) Powołanie do istnienia Stowarzyszenia na rzecz Kultury Tesalskiej, którego siedziba główna znajduje się w Skitos, lecz członkowie zarządu rozproszeni są po całych Stanach Zjednoczonych. Berlin, a także stacje w Richmond, Saint Paul, Thomasville i Decatur gotowe są dostarczyć nam cztery legendy: Wilbur Kapis (przewodniczący), Nikos Faraday (wiceprzewodniczący), Lynn Samarina (skarbnik) oraz Chrissantos Galatas (sekretarz generalny). Stowarzyszenie utworzone z datą wsteczną 25 marca 1971 (w sto pięćdziesiątą rocznicę powstania przeciwko Turkom). Praktycznie nie ma braków w protokołach z zebrań zarządu (ostatni opóźniony). Konto otworzono w oddziale banku First Union w Omaha 30 marca 1971 roku; dzięki pomocy stacji w Lincoln od tamtego czasu widoczny przepływ środków. Budżet na rok 1988: 134 000 dolarów amerykańskich. Główne cele: subwencja w wysokości 25 000 dolarów na rzecz Stowarzyszenia Amerykanów Greckiego Pochodzenia (którego przewodniczącym tradycyjnie zostaje jeden z członków rodziny Onassis); subwencja w wysokości 79 185 dolarów (20 milionów drachm) na rzecz muzeum folkloru tesalskiego w Larisie; sfinansowanie za kwotę 4000 dolarów stoiska „Produkty greckiej gastronomii” podczas festynu w Skitos; zakup za kwotę

7000 dolarów biletów na finał Super Bowl, aby setka młodych ludzi ze Skitos mogła obejrzeć Leacha Gravosa (amerykańskiego futbo-listę greckiego pochodzenia) rozgrywającego mecz ze swą drużyną Dallas Cowboys, etc.

2) Otwarcie dwóch greckich restauracji: Nocy Byblos przy Wayne Trace oraz Przysmaków z Mykonos przy Stelhorn Boulevard. Środki otrzymane dzięki wsparciu Fundacji Dukakis na rzecz Wspomagania Przedsiębiorców. Niedługo otwarcie punktu sieci franczyzowej Pita Express (trzysta pięćdziesiąt punktów sprzedaży na terenie Stanów Zjednoczonych).

3) Dotacja w wysokości 15 000 dolarów z własnej kieszeni Wilbura Kapisa na rzecz liceum Rosalind High School. Pan Kapis otrzymał tytuł honorowego obywatela Skitos. Pracownię chemiczną ochrzczono mianem „Laboratorium Tadelitisa”.

4) Przed rokiem 1900 miejsca pochówku na cmentarzu w Skitos były przyznawane na czterdzieści lat i termin ten można było przedłużyć tylko jednokrotnie. Nie dziwi więc nieobecność nagrobków Spyrosa, Lei i Constantina Tadelitisów. Wykorzystamy jednak rozbudowę zachodniej części cmentarza w celu położenia paru płyt nagrobnych, z których jedna głosić będzie: „Costis Gregorios (1831-1922), obywatel grecki i amerykański, burmistrz Actinonii oraz Skitos. Oby Bóg przyjął cię na swe łono”. Konieczność podpalenia budki strażnika w celu zniszczenia rejestru cmentarnego (strażnik potwierdził, iż istnieje tylko jedna kopia).

5) Wzniesienie pomnika upamiętniającego greckie dzieci ze Skitos, które zginęły podczas drugiej wojny światowej.

6) Wprowadzenie artykułów do trzech numerów „Nebraska Observer”. W każdym przypadku wycofanych zostanie około dziesięciu egzemplarzy gazety. Podmiany dokona się w archiwach gazety oraz w miejskich bibliotekach w Omaha i w Lincoln. Przykładowe tematy: Spyros Tadelitis i jego wieprz Coubilakis wygrywają konkurs na najładniejsze zwierzę podczas Jarmarku Rolniczego w Minneapolis w roku 1895; wywiad z Kostą Almendrosem, zdobywcą brązowego medalu w podnoszeniu ciężarów w najwyższej kategorii wagowej na Igrzyskach Olimpijskich w Antwerpii w 1920 roku; sprawozdanie z uroczystości pogrzebowych Costisa Grego-

riosa z dnia 7 marca 1922; spadek cen mięsa w roku 1953 ciężko dotyka małą społeczność Skitos, etc.

7) Publikacja własnym sumptem *Wspomnień dziecka Actinonii* (1949) przez Agamemnona Gregoriosa, syna Costisa Gregoriosa, który zastąpił ojca w pełnieniu funkcji burmistrza Skitos. Osiemdziesiąt stron anegdot przypisywanych zmarłemu Costisowi, a dotyczących życia w Tesalii (pierwsza część: *Grecka krew*) oraz zado-mowiania się w Stanach Zjednoczonych (druga część: *Nebraska przygarnia wędrowców*). Sto pięćdziesiąt stron wspomnień i obserwacji na temat amerykańskiego społeczeństwa widzianego oczami kogoś, kto określa się jako „grecki pasterz rzucony w świat przemysłu mięsnego” (taki jest też tytuł części trzeciej). Wydrukowano pięćset egzemplarzy. Czteryście rozesłano do szkolnych bibliotek w Nebrasce i Iowie wraz z listem od Stowarzyszenia na rzecz Kultury Tesalskiej.

#

W Tesalii:

1) Umieszczenie na ścianie jednego z pasterskich schronień w Actinonii tabliczki: „W tym domu mieszkali Constantin, Lea, Spyros, Anna i Vanina Tadelitisowie. Wyemigrowali, by żyć pod obcym niebem, lecz niewielu Greków kochało ojczyznę żarliwiej niż oni”. Tabliczka podpisana przez Stowarzyszenie na rzecz Kultury Tesalskiej.

2) Wysyłka *Wspomnień dziecka Actinonii* pióra Agamemnona Gregoriosa do pięćdziesięciu bibliotek miejskich w regionie.

3) Sfalszowanie rejestru urodzeń Actinonii przechowywanego obecnie w Leondari. Urodziny Spyrosa Tadelitisa dnia 7 maja 1837.

4) Utworzenie akt medycznych Georgesa Coubilakisa, który zmarł 20 lipca 1887, to jest w niespełna trzy lata po exodusie pozostałych mieszkańców. Coubilakis został w miasteczku sam i ostatecznie wprowadził się do domu Tadelitisów (a nawet spotkał swój koniec w łóżku Spyrosa), gdzie zapadł na skomplikowaną postać neurastenii.

5) Utworzenie akt zakonnych Dimitry Kallistinos, małżonki Spyrosa, która w dniu wstąpienia do klasztoru w Margarition przy-

brała imię Appollonia. W roku 1861 siostra Appollonia opuszcza Grecję i wyrusza do Indii, gdzie ginie po niej ślad.

6) Wprowadzenie do publikacji naukowej Odyseusza Gavrasa pod tytułem *Grecy na wygnaniu* wzmianki o masowej emigracji do Stanów Zjednoczonych całych tesalskich wiosek w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Autor, wydawca oraz posiadacze praw autorskich nie żyją.

7) Wpisanie „Tarmaty” oraz „Lorrimera” do rejestru statków handlowych uprawnionych do cumowania w porcie w Genui.

#

Plan działania oraz harmonogram #

Wszystkie opisane wyżej działania są wykonalne i zostały zasadniczo zatwierdzone przez zainteresowane stacje oraz biura. Jeśli otrzymam zgodę biura do spraw demograficznych przed 1 lipca 1989 roku, sądzę, że uda mi się przeprowadzić całość działań przed 1 stycznia 1991.

#

Budżet

#

Nie dostałam jeszcze kosztorysów z Decatur i z Patrasu. Niemniej jednak szacuję koszt wszystkich opisanych wyżej operacji na około 280 000 dolarów, czyli nieco mniej niż przyznana mi na tę pierwszą misję kwota 300 000 dolarów.

- Lena Thorsen miała - i nadal ma - niezwykle dar do fałszowania źródeł.

Gunnar Eriksson siedział na mojej kanapie i sącył whisky. Zadzwoiłem do niego następnego ranka po jego poprzedniej wizycie, a on zaproponował, że wpadnie po południu. Miałem masę pytań, lecz on, wierny swojemu przyzwyczajeniu, powiedział mi tylko tyle, ile musiałem wiedzieć.

- Bardzo rzadko spotyka się u młodej agentki tyle współgrających ze sobą zdolności. Zazwyczaj w pierwszej teczce agent dopieszcza przede wszystkim scenariusz, bez wątpienia ulegając wrażeniu, że to właśnie on najbardziej podniesie wartość jego pracy. Niestety, drugą część zadania, która wydaje mu się jednocześnie mniej ważna i mniej zajmująca, wykonuje byle jak. Zresztą, nawet jeśli przyłoży do falsyfikacji należyłą wagę, często poślizgnie się na zastosowaniu prymitywnych metod działania zaczerpniętych z kiepskich powieści szpiegowskich, bardzo różniących się od tych stosowanych przez nas na co dzień w terenie. Co mnie zdumiało podczas lektury projektu Leny, to fakt, że nowicjuszka bez żadnego szkolenia potrafiła tak bardzo zbliżyć się do rzeczywistości. Do tamtej pory byłem przekonany, że jedynie doświadczony agent pomyślałby o sfinansowaniu i otwarciu greckich restauracji. A co powiedzieć o cmentarzu? Iluż to widziałem młodych, którzy zaniedbali ten skądinąd fundamentalny w sztuce falsyfikacji aspekt! Nie znam ani jednej choć w przybliżeniu poważnej misji, która nie wiodłaby prędzej czy później za bramy cmentarza... Nie, nic więc dziwnego, że gdy

Rada Zatwierdzająca ujrzała tę teczkę, przewodniczący zadzwonił do mnie, żeby się upewnić, że nie prowadziłem tej panny za rączkę. „Ona naprawdę ma tylko dwadzieścia cztery lata?” - pytał mnie co najmniej trzykrotnie.

Trzeba przyznać, że do swej teczki Lena załączyła parę elementów, które wbiły tych starych pierników z Rady w fotele. Na przykład zawnocześnie zredagowała protokoły z kilku posiedzeń zarządu Stowarzyszenia na rzecz Kultury Tesalskiej. Bardzo prawdopodobne. Taki klejnocik, do którego wracam, gdy potrzebuję inspiracji. Słyszałem, że ich fragmenty studiuje się na Akademii. A ona na tym nie poprzestała. Kiedy dostała zielone światło, bez wahania zabrała się za pisanie reszty. Przygotowała protokoły z dwudziestu lat obrad stowarzyszenia, które nie istnieje. Jest w nich wszystko: debaty wyborcze, niekończące się dyskusje nad przedłużeniem umowy z firmą sprzątającą, ponure osobiste spory, a w 1982 roku nawet próba przewrotu.

Gunnar wyciągnął z kieszeni okulary, jakby szykował się do ponownego odczytania prozy Thorsen. Przypominał mi tych smakoszy, którzy gładzą się po brzuchach na wspomnienie niedawnych uczt.

- A jednak - wtrąciłem - czy naprawdę trzeba było posuwać się aż tak daleko?

- Nigdy nie posuwamy się za daleko. Praca Leny może wydać się panu nadmiernie szczegółowa jak na potrzeby jednej teczki i tak w istocie jest. Ale jej znaczenie wykracza daleko poza tę sprawę. Może pan być pewny, że Stowarzyszenie na rzecz Kultury Tesalskiej przyda się ponownie w innych okolicznościach. Za dziesięć lat jakiś tajwański agent pracujący nad kulturą żywieniową krajów śródziemnomorskich wykorzysta je, by zyskać potwierdzenie dla swojej argumentacji. Gdyby Lena ograniczyła się do postawienia paru nagrobków albo zasugerowania firmie Pita Express, żeby otworzyła knajpę w Skitos, nigdy tak szybko by się nie wybiła. Niech pan weźmie choćby tego Agamemnona Gregoriosa: po pierwsze, co za imię! Prawdziwy materiał na bohatera! Mogę pana zapewnić, że z tą swoją historią burmistrza rozdartego pomiędzy grecką kulturą a wonią świeżego mięcha nasz Agamemnon już wkrótce znów wychynie spod pióra któregoś z pańskich kolegów. A proszę

mi wierzyć, KFR potrafi rozróżnić wśród swoich agentów tych, którzy ciulają jedynie na własny użytek, od tych, którzy tworząc opowieści uniwersalne, o dużej sile oddziaływania, pracują dla dobra ogółu. Lena Thorsen niezaprzeczalnie należy do tej drugiej kategorii. Jej końcowy raport z misji, który wręczyła mi na kilka dni przed pańskim przybyciem, składa się z ponad pięciu tysięcy stron. Niech mnie powiesz, jeśli w ciągu najbliższych pięciu lat jej dzieło nie zostanie zacytowane ze sto razy...

- Chętnie się zgodzę, że Thorsen posiada pewien talent do podrabiania źródeł, ale sam pan przyzna, że jej scenariusz jest trochę słaby...

- Słaby? Jest okropny, tak! Och, nie chodzi nawet o temat: migracje ludności stanowią jedną z najczęściej poruszanych kwestii, szczególnie wśród młodych agentów. Każdy ma swoją małą wędrówkę ludów, stało się to niemal wprawką stylistyczną. Jej pierwotny zamysł nie jest, szczerze mówiąc, zły, nieco melodramatyczny, to fakt, ale to chyba cena, jaką musimy płacić, jeśli chcemy przyciągać i zatrzymywać u siebie kobiety - stwierdził Gunnar, mrugając do mnie porozumiewawczo. - Przejdźmy jednak do scenariusza. Samo obejście się z tematem to totalna katastrofa - a ostrożnie ważę słowa. Ta cała historia Skitos, „wiesz, tego ciepłego wiatru, który pieścił nam policzki, gdy zapadał wieczór”, to skończona niedorzeczność. Mdła, przyciężkawa, zawiera w sobie wszystkie znieawidzone przez nas elementy.

- A jednak jej projekt został zatwierdzony... - zauważyłem zadowolony, że Eriksson podziela moją opinię o scenariuszu Thorsen.

- Nie w takiej formie, może mi pan wierzyć. Gdybym złożył jej pracę do Komitetu Projektów w takim stanie, nie byłaby dziś zastępczynią dyrektora biura w Stuttgarcie. Kazałem jej przerobić tę historię z góry na dół. Rezultat nie dorównał, oczywiście, drugiej części, ale przynajmniej teczka jakoś przebrnęła przez proces oceny w Komitecie.

- Co pokazuje, że nie trzeba błyszczeć we wszystkich dziedzinach, żeby znaleźć sobie miejsce w konsorcjum.

- Właśnie tak. Niech pan będzie tak miły, Sliv, i naleje mi jeszcze szklaneczkę whisky, jest doskonała. - Zapomniał dodać, że sam

przyniósł butelkę. Obrócił w dłoni szklankę, którą mu wręczyłem, po czym udzielił mi rady: - Niech się pan zadowoli celowaniem w jednej z tych dwóch dziedzin, a dochrapie się pan trzeciej klasy przed trzydziestką. Poza tym zawsze znajdzie pan kogoś, kto dysponuje umiejętnościami, których panu brakuje.

- A jeśli chcę dojść wyżej?

- A, to już inna historia. Musi pan zostać mistrzem zarówno scenariusza, jak i falsyfikacji, ale od razu przestrzegam, że na palcach można policzyć takie fenomeny. No i pańska pierwsza teczka musiałaby nam jasno pokazać, do czego jest pan zdolny.

Prowadził mnie na ruchome piaski, czego nie omieszkałem skomentować.

- Mówi pan, jakbym już udzielił odpowiedzi. Ciągle nie podjąłem decyzji. Mam do pana jeszcze kilka pytań.

- Nic więcej pan ze mnie nie wyciągnie. Zero. Wie pan już wystarczająco wiele, żeby postanowić. Dlaczego miałbym wyjawiać coś jeszcze osobie, która nie jest nawet członkiem organizacji?

- Mógłbym dołączyć do KFR-u i zrezygnować kilka tygodni później, kiedy już zdobędę tyle informacji na temat waszego funkcjonowania, ile się da - odpowiedziałem bez namysłu.

Gunnar Eriksson spojrział mi w oczy, potem bardzo powoli odstawił szklankę na kredens. Ten prosty gest wystarczył, by momentalnie odmienić ton naszej niemal żartobliwej rozmowy.

- Niech pan nigdy nie wygłasza takich uwag, Sliv. Nigdy pan nie wie, z kim ma do czynienia. Osobiście nie biorę sobie tego do serca, ale niektórzy z moich kolegów, mniej wyrozumiali, nie zawahaliby się przed sięgnięciem po bezpośrednie środki odwetu.

Widząc, jakie wrażenie wywarły na mnie jego słowa, dorzucił:

- Niech pan nie myśli, że panu grożę, Sliv. Rozmawiamy o pańskim przyjęciu do tajnej organizacji. Powołać sekret do życia to jedno, zachować go - to zupełnie co innego. Jeśli nasi szefowie utrzymują w szeregach bezwzględność dyscypliny, to bynajmniej nie dla własnej przyjemności. W ciągu moich dwudziestu sześciu lat w organizacji zdarzyły się trzy poważne alarmy. Każdy na swój sposób naraził na szwank istnienie KFR-u. Nie ma pan pojęcia, jakiego arsenału podstępów i jakiej pomysłowości wymagało oddalenie groźby ze



strony natrętów, którzy się nami interesowali. Nigdy nie podejmujemy najmniejszego ryzyka, a raczej: podejmujemy jedynie starannie skalkulowane ryzyko. W obecnej sytuacji wewnętrzny kodeks postępowania, do którego przysięgałem się stosować, wstępując do KFR-u, nakazuje mi natychmiastowo przerwać proces rekrutacji. Nie uznajemy szantażu. Pańska kandydatura zostaje odrzucona.

- Ale ja wcale nie chciałem was szantażować - broniłem się oszołomiony.

Gunnar podniósł się już i szukał wzrokiem swojego płaszcza.

- Ależ, Sliv, pańskie słowa nie pozostawiały cienia wątpliwości. Nie ma się co obrażać, ale nie mówmy już o tym więcej, niech pan przyjdzie do mnie jutro. Mam dla pana bardzo ciekawe zadanie: chodzi o prace konstrukcyjne związane z zaporą wodną w Sabaudii.

Tego było już za wiele. Wybuchnąłem:

- Mam gdzieś zaporę! Co to za cyrk? Kwadrans temu byłem idealnym kandydatem, powierzał mi pan najskrytsze tajemnice, a teraz nagle, z powodu jednego nieszczęśliwego sformułowania, którego wcale nie traktowałem poważnie, odsyła mnie pan z powrotem do badań?

Wtem do mnie dotarło i pożałowałem, że poddałem się złości.

- Och, rozumiem, to jedna z waszych technik rekrutacyjnych! Najpierw się gościa nęci, wmawiając mu, że jest wprost stworzony na agenta, a potem tłumaczy mu się, że zaszła pomyłka i że ma zapomnieć o wszystkim, co usłyszał. Czy o to chodzi, Gunnar?

Eriksson nie szukał już swojego płaszcza. Podczas mojego monologu usiadł ponownie, chwycił szklankę i kręcił nią, poświęcając odtąd całą swą uwagę wirującej kostce lodu.

- No cóż, w uproszczeniu o to właśnie chodzi. Skoro tak pan to widzi, chętnie nagnę kodeks postępowania i uznam pański wyskok za żart. Ale żeby to się więcej nie powtórzyło.

Przestał obracać szklanką i patrzył, jak kostka lodu kończy swój ruch. Jej szaleńcze wybryki zredukowały ją niemal do zera, do grubego płątka dryfującego w bursztynowym alkoholu.

- Mówię poważnie, Sliv, jeśli planuje pan karierę w naszej organizacji, niech pan uważa na słowa. Wykluczaliśmy członków za mniejsze przewinienia. Teraz muszę już iść. Niech pan zadzwoni

jutro i da mi znać, czy możemy na pana liczyć. W razie wątpliwości proszę być tak miłym i wyświadczyć wszystkim przysługę, odrzucając ofertę.

Kiedy Gunnar wyszedł, zająłem zwolnione przez niego miejsce. Nie dopił whisky. Kostka lodu całkiem się już roztopiła.

W momencie, gdy miałem podjąć decyzję, która - jak poddał sam Eriksson - zaliczy się do najważniejszych w moim życiu, okazało się, że nie potrafię rozważyć istoty sprawy. Czy byłem stworzony do takiego życia, czy też nie? Czy bardziej się rozwinę, nadając formę zmyślonemu ruchom migracyjnym, niż przeprowadzając badania środowiskowe? Nie mogłem udawać, że nie pociąga mnie perspektywa tworzenia z niczego projektów takich jak ten przygotowany przez Lenę Hiorsen. Podobne zadanie, jednocześnie tak złożone i tak niezwykcyjne, wydawało mi się fascynujące. Poza tym, co tu kryć, po kilkukrotnej lekturze jej teczki rozwinąłem w sobie przekonanie, że mógłbym prześcignąć starszą koleżankę w tej grze. Dla kogoś tak mocno nastawionego na współzawodnictwo jak ja nie był to wcale nieistotny argument.

A jednak, jakkolwiek moja ciekawość była ogromna, jak tu porównać dwie opcje tak radykalnie od siebie różne? Podczas gdy miałem dość dobre pojęcie, jak może wyglądać moja kariera u Baldura, Furuseta i Thorberga, w żaden sposób nie potrafiłem przewidzieć, czy spodoba mi się w konsorcjum. Co dokładnie bym robił? Jakie relacje utrzymywałbym z kolegami z pracy? Czy nie znużyłaby mnie prędko ta w gruncie rzeczy udawana praca? I czy milczenie Erikssona w tym względzie nie powinno mnie zaniepokoić? Sprzedał mi wszystkie zalety stanowiska, słowem nie wspomniawszy o jego wadach; a nie słyszałem jeszcze o żadnej pracy, która byłaby ich pozbawiona.

A co z motywami KFR-u? Gunnar perorował zrećznie, nie ujawniwszy nic ważnego. Po trzech rozmowach z nim wiedziałem niewiele więcej niż pierwszego dnia. Po co KFR fałszował rzeczywistość? Na czyj koszt i w czyim interesie? Tyle pytań, na które wciąż nie znałem choćby cienia odpowiedzi. Co bym zrobił, gdybym za kilka tygodni dowiedział się, że organizację finansuje obcy rząd o wywrotowych zamiarach? Cała ta gra wydawała mi się teraz dużo mniej zabawna, zwłaszcza że, jeśli wierzyć Gunnarowi, złożenie

wypowiedzenia nie należało ani do popularnych, ani do zalecanych rozwiązań. Powszechnie wiadomo, że tajne organizacje niechętnie widzą swych byłych agentów wracających do cywila. Chwilę temu Eriksson mówił o odwecie. Czy rzeczywiście mogłoby do tego dojść? Czy byłem w niebezpieczeństwie?

Znałem tylko jednego reprezentanta KFR-u: Gunnara Erikssona. Obdarzyłem szefa instynktowną sympatią, gdyż potrafił przejść wprost do sedna, jednocześnie sprawiając, że rozmówca czuł się swobodnie. Ale czy ta szczerą osobowość nie była jedynie maską? Gunnar już się pokazał jako prawdziwie utalentowany manipulator i po prostu nie mogłem nie podziwiać opanowania, z jakim stopniowo uchylał rąbka tajemnicy na temat faktycznych działań Bal-dura, Furusetta i Thorberga. Na początku sprawdził moją bystrość; być może nie zyskałbym prawa do udziału w wielkiej rozgrywce, gdybym nie wyłapał jego pierwszych aluzji. Później powoli odkrywał karty, dając mi sporo możliwości, abym mu przerwał, a zatem podejmował - jak to sam określił, mówiąc o konsorcjum - jedynie starannie skalkulowane ryzyko. Najpierw podsunął mi fałszywą informację w taki sposób, żeby nie można było podejrzewać, że stoi za nią kto inny jak tylko on sam. Skoro nie robiłem problemów, napomknął następnie, że nie działa w pojedynkę, podając nawet nazwisko Olafa Elangira, co do którego byłem teraz gotów iść o zakład, że nigdy nie umoczył choćby małego palca w sprawach KFR-u. Do tego momentu Gunnar nie podjął najmniejszego ryzyka. Załóżmy, że poszedłbym na policję poinformować ich o naszych rozmowach - bez trudu mógłby udać, że tylko robił mnie w konia, albo nawet oskarżyć o ciężką paranoję. Nie miałem żadnego dowodu. Czy Gunnar nie zadał sobie trudu, aby mnie poinformować, że raport złożony do grenlandzkiego parlamentu nie zawiera żadnego błędu? Jasne, istniała niepoprawiona wersja, ale teraz nie przypomiąłem sobie, żebym po naszej rozmowie jeszcze gdzieś ją widział. Jeśli chodzi o Elangira, autentycznie ogłupiała mina, jaką przybrałaby w razie przesłuchania, z pewnością przekonałaby śledczego o czystym sumieniu mojego przełożonego.

Tak naprawdę pierwsze ryzyko podjął Gunnar podczas naszego kolejnego spotkania. Niewątpliwie niepokoił się, czy nie na-

gram naszej rozmowy, to tłumaczyłoby, dlaczego samodzielnie ją zainicjował, włamując się do mnie. Czy skorzystał z okazji i założył podsłuch w moim telefonie? Chciałbym móc kategorycznie wykluczyć tę hipotezę...

A jednak tamtego dnia Gunnar zostawił mi raport Lenylhorsen. Albo mówiąc dokładniej, raport, który przypisał Lenie Thorsen, choć o ile mnie pamięć nie myli, dokument nie nosił ani podpisu, ani daty. Nazwiska Erikssona, Baldura, Furuseta czy Thorberga tudzież nazwa KFR nie padły w tekście ani razu. Znowu - dobrze rozegrane.

Choć niepodpisany, ten raport był jedynym namacalnym elementem, który przeszedł przez moje ręce. Gunnar zabrał go później, ale zostawił go do mojej dyspozycji na ponad dobę, więcej czasu, niż potrzeba na wyprawę do urzędu pocztowego i skserowanie dokumentu. Ale nie zrobiłem tego; w ogóle nie wychodziłem z mieszkania pomiędzy dwoma wizytami Gunnara. Czy śledziłby mnie, gdybym postąpił inaczej?

Już po czasie rozgryzłem wybieg Gunnara. Zastosował się do szczegółowo opracowanego scenariusza, którego kolejne punkty dostrzegałem teraz, gdy było już za późno, gdy do niczego nie mogło mi się to przydać. Zostałem pokonany przez lepszego od siebie. Ta myśl była zarówno ekscytująca (ci ludzie to prawdziwi profesjonaliści), jak i trochę przerażająca (w pewnych kontekstach słowo „profesjonalista” może nabierać niepokojących konotacji).

Z tych wszystkich względów trudno mi było uwierzyć, że mógłbym jeszcze zatrzymać tę machinę, „odrzucić ofertę”, jak to ujął Gunnar. Mimo wszystko wiedziałem na ich temat dużo, z pewnością za dużo, nawet jeśli nie posiadałem żadnego dowodu na poparcie swych oskarżeń. Ciekawość popychała mnie do wstąpienia do KFR-u, lecz to pragnienie, pragnienie dzieciaka niecierpliwie wyczekującego początku zabawy, zaprawione było goryczą płynącą ze świadomości, że tak naprawdę nie mam wyboru. Ponieważ Eriksson w pewnych kwestiach zdradził mi za dużo, a w innych za mało, ta wolność, którą teoretycznie mi zostawił, była jedynie ułudą. W tamtej chwili wściekałem się okropnie na Gunnara Erikssona, na Olafa Elangira (choć nieszczęśnik z pewnością niczym sobie na to nie zasłużył), na Lenę Thorsen i na szczyh z KFR-u, wszyscy

oni sprawili, że szamotałem się z wątpliwościami natury moralnej. Wykaraskałem się z kłopotu, mówiąc sobie, że nic nie stracę, prowadząc podwójne życie przez rok czy dwa. Bo przecież nadal będę wykonywał pracę, do której zostałem zatrudniony. Zdażyłem się już przekonać, że Baldur, Furuset i Thorberg cieszą się w branży świetną reputacją; żaden przyszły pracodawca nie zarzuci mi, że zdobywałem doświadczenie w nieodpowiednim miejscu.

Pisząc te słowa, zdaję sobie sprawę, do jakiego stopnia potrafiłem być wówczas naiwny. Jakby postanowienie o przystąpieniu do KFR-u przypominało klasyczny wybór pracy! Bez wątpienia byłem za młody, żeby pojąć wszystkie implikacje swojej decyzji. Skończyłem szkołę, odbyłem w życiu sześć rozmów kwalifikacyjnych (jak odległe wydawały mi się teraz niedźwiedzie z SiglufjórSur!) i nigdy jeszcze nie zadałem sobie wielkiego egzystencjalnego pytania (co chcę zrobić ze swoim życiem?) inaczej jak tylko w kontekście czysto naukowym (ekonomia czy geografia? Stosunki międzynarodowe czy nauki polityczne?) albo praktycznym (Islandia czy kontynent? Sektor małych i średnich firm czy międzynarodowa korporacja?). Wstąpiłem do KFR-u z tych samych pobudek, z których jako student zapisałem się na dodatkowy kurs hiszpańskiego: żeby sprawdzić, jak będzie, i dlatego, że niewiele mnie to kosztowało.

Kilka lat później miałem okazję zastanowić się nad skutkami tej bez troski.

Tego samego dnia rozpocząłem dwie nowe misje: badanie nad pracami konstrukcyjnymi zapory wodnej w Sabaudii oraz wstępne rozpoznanie w sprawie mojej pierwszej teczki dla KFR-u.

Wstąpienie do KFR-u nie zwalniało z wykonywania przypadającej na mnie części obowiązków w firmie, wręcz przeciwnie. Zsumowawszy pewne udzielone przez Erikssona informacje, doszedłem do wniosku, że spośród Baldura, Furuseta i Thorberga tylko jeden wspólnik należy do KFR-u. Dwaj pozostali nie wiedzieli nawet o istnieniu organizacji, a mnie postrzegali jako zwykłego kierownika projektu. Stanowisko dyrektora operacyjnego pozwalało Gunnarowi zmniejszać mój przydział roboty biurowej do minimum, tak żeby starczało mi czasu na drugie zajęcie. Podczas półtora roku, które spędziłem w Reykjavíku, wziąłem udział w sześciu misjach, za każdym razem odpowiadając przed Gunnarem Erikssonem, który obdzielał moją pracą innych, pilnując starannie, by moi koledzy niczego nie zauważyli. Ogólnie rzecz biorąc, moje dni były wypełnione w całości. Bo w konsorcjum ciężko się haruje, z wielu różnych powodów: prawie wszyscy agenci prowadzą podwójne życie (z wyjątkiem pracowników oddziałów centralnych i tych powyżej pewnego poziomu w hierarchii), praca jest pasjonująca, a konkurencja wyjątkowo zażarta, co będę miał okazję opowiedzieć później.

Gunnar zwrócił mi uwagę na istotną rolę, jaką pierwsza misja odgrywa w karierze agenta. Twierdził, że w pierwszej teczce nowicjusza ujawnia zwykle całą swoją osobowość, można więc z niej wyczytać zarówno wszystkie jego obiecujące cechy, jak i ograniczenia.

Za każdym razem, gdy wspominaliśmy o jakimś agencie, szefie stacji albo nawet dyrektorze centrum, Gunnar nakreślał mi zarys jego pierwszego projektu i szukał tam, zazwyczaj z dobrym skutkiem, klucza do jego obecnego zachowania. Na początku postrzegałem to niewinne hobby jako jedno z dziwactw Erikssona. Później, kiedy zacząłem wspinać się po szczeblach kariery KFR-u, a każdy rozmówca gratulował mi diamentów z Kalahari, zrozumiałem, że stanowi to niezwykle rozpowszechnioną praktykę.

Dałem sobie piętnaście dni na znalezienie tematu swojej pierwszej teczki. Zdecydowany zacząć z hukiem, zamierzałem przyćmić dzieło tej Leny Thorsen, o której stale mi przypominano. Gunnar Eriksson, którego bez przerwy wypytywałem, wyznał, że świetne teczki rozpoznaje się po garstce jasno sprecyzowanych czynników. Zgodził się je dla mnie wymienić.

Najważniejszy z nich stanowiła według niego ambicja - którą nazywał też aspirowaniem do uniwersalizmu. Jeśli porównywalibyśmy dwie prace na takim samym poziomie technicznym, to bardziej opłacałoby się opisanie historii Atlantydy niż wymyślenie którejś z kolei odmiany orchidei. Pierwsza praca trafiłaby do wyobraźni ogółu i wywarła wpływ na tysiące poetów oraz utopistów, podczas gdy druga uradowałaby jedynie garstkę botaników, nie pociągając za sobą żadnych poważniejszych konsekwencji. „Niech pan myśli z rozmachem!” - wbijał mi do głowy Eriksson. „Stać pana na coś lepszego niż zapadła dziura w Nebrasce”.

Gunnar chętnie łączył tę ambicję z pokrewnym konceptem, który ochrzcił mianem „zdolności do wywołania poruszenia”. Niektóre teczki, jakkolwiek wysoko mierzące czy genialne, zwyczajnie nie miały przed sobą przyszłości. Dziesięć lat temu rumuński agent stworzył ważnego renesansowego malarza. Wszyscy historycy sztuki natychmiast się na niego rzucili, poświęcając temu nieznanemu dotąd artyście rozprawy i wykłady. Nowojorskie Metropolitan oraz Luwr prześcigały się podczas aukcji w Londynie, aby nabyć wielki obraz olejny przedstawiający pokłon Trzech Króli. To poruszenie zachwyciło, rzecz jasna, wszystkich, którzy w większym lub mniejszym stopniu przyczynili się do pojawienia się malarza, lecz na planie ogólnym jego wpływ okazał się praktycznie zerowy. „Rzecz mo-

głaby potoczyć się inaczej" - wyjaśnił mi Gunnar, „gdyby ten artysta wsławił się specyficzną techniką przygotowywania kolorów, która zainspirowałaby jego następców. Ale skoro niczym nie wyróżnia się spośród dziesiątek innych mistrzów, nasz malarz skazany został na przeminięcie bez śladu". Zdaniem Gunnara świetne teczki przypominały kamienie brukowe wrzucane do kałuży. Rozchlapwały wodę wszędzie dookoła, zmuszały ekspertów, a czasami nawet szeroką publiczność, do przewartościowania opinii. Przede wszystkim zaś dawały początek czynom, nie tylko słowom. Jako przykład podał mi teczkę pewnego Meksykanina, historię złoża ropy odkrytego rzekomo przez wieśniaków z Chiapas. Agent rozegrał sprawę tak dobrze, że rok później Texaco wszędzie wierciło dziury. Mówiło się, że firma utopiła w tej przygodzie dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów, przez dwa lata zapewniając utrzymanie tysiącpięćset-osobowej grupie ludzi.

Dobre teczki korzystały też z postaci oraz sytuacji uprzednio stworzonych przez KFR. Gunnar porównywał czasem naszą organizację do ekosystemu lub do samowystarczalnej gospodarki. „Jeśli będzie pan potrzebował powołać się na opinię dziewiętnastowiecznego krytyka literackiego, proszę unikać Sainte-Beuve'a, nad którym nie mamy żadnej kontroli, a zacytować Simoneta, którego tak zwane zaginione zeszyty publikujemy regularnie. Jeżeli pański scenariusz choć w znikomym stopniu wiąże się ze środkowym zachodem Stanów Zjednoczonych, niech się pan postara wspomnieć o Skitos w Nebrasce. Bo upiecze pan dwie pieczenie na jednym ogniu: wzmocni pan własny projekt, uwiarygodniając przy tym historię napisaną przez Thorsen. Nie przesadzam, kiedy mówię, że niektóre teczki cytowane są w innych naszych produkcjach po kilkaset razy. Proszę też myśleć w drugą stronę - o tych, którzy przyjdą po panu. Niech pan tworzy postacie, ekspertów, katalogi, bibliografie, nagrody, w których będą mogli z łatwością przebierać. Niech pan nie skąpi nowych źródeł".

Inne ważne kryterium stanowiła relacja czasowa. KFR preferował scenariusze długo dojrzewające, takie, które miały początek w dalekiej przeszłości i rozgrywały się na przestrzeni wielu lat, a nawet wieków. W tym względzieteczka Leny Thorsen była naprawdę



interesująca. Pomiędzy wyjazdem Spyrosa Tadelitisa z Grecji a jego śmiercią upłynęło sześćdziesiąt lat, co dało Thorsen okazję do przywołania, a także sfalszowania niezliczonych faktów oraz zdarzeń: greckiej emigracji, podboju Zachodu, budowy kolei żelaznej, industrializacji w hodowli świń i tak dalej. Co więcej, również dzięki takiej konstrukcji, scenariusz Thorsen wpływał na miasteczko Skitos w teraźniejszości, czy to w kwestii tamtejszych restauracji, miejscowych tradycji, czy też rodzaju turystów, którzy pragnęli je odwiedzić. „Pozwól, że sięgnę po inny przykład” - wykladał Gunnar. „Założmy, że przysłoby panu do głowy pisać o Johnie Fitzgeraldzie Kennedym. Osobiście bym to odradzał, tylu agentów mieszkało już w jego życiu, że stało się niemal czystą legendą. Ale gdyby pan koniecznie się na to uparł, niech pan obierze taki kąt, który pozwoli panu przelecieć przez całą jego karierę. Niech mu pan wymyśli chorobę nerwową, która wyjaśniałaby zarówno jego niezdecydowanie podczas lądowania w Zatoce Świń, jak i poczucie bezkarności, którym się wykazał, uderzając w mafię; albo niech pan wyjaśni, że jego kompulsywny stosunek do seksu wiązał się ze sposobem, w jaki kąpała go matka. Przede wszystkim niech się pan nie ogranicza do pojedynczego epizodu, do jednego dnia, jednego roku, bo pańskateczka sama nie przetrwa ani chwili dłużej”.

Gunnar nalegał też, żebym samodzielnie sfabrykował większość swoich źródeł. „Coraz więcej młodych agentów” - ubolewał - „uważa, że aby uwiarygodnić scenariusz, wystarczy zmienić nazwisko czy cyfrę w bazach danych. Popołniają w ten sposób poważny błąd. Modyfikacja, choć czasem niezbędna, nie zastąpi źródła przygotowanego specjalnie pod daną sprawę. Rozumiała to Lena Thorsen, kiedy tworzyła Stowarzyszenie na rzecz Kultury Tesalskiej i kiedy postanowiła zredagować protokoły posiedzeń z dwudziestu lat. Czy istnieje lepszy sposób na wprowadzenie bohaterów, ustalenie chronologii? Dobry agent kontroluje swoje źródła, a nasi nowicjusze, niewątpliwie przerażeni ilością pracy, jakiej wymaga tworzenie źródeł *ex nihilo*, zbyt często o tym zapominają”.

Wreszcie całą teczkę ocenia się w świetle stosunku ryzyka do opłacalności. Jeśli wierzyć Gunnarowi, napisanie spektakularnego scenariusza leży w zasięgu pierwszego lepszego dziennikarza, za

to wdrożenie go w życie bez narażenia KFR-u na szwank wymaga dużo rzadszych zdolności. „Niech pan nigdy nie zapomina” - oznajmił Gunnar nieco pompatycznie - „że jest pan jedynie ogniwem w łańcuchu. Jeśli KFR-owi udało się przetrwać tak długo, to tylko dzięki nieustannym wysiłkom mężczyzn i kobiet, którzy zawsze przedkładali bezpieczeństwo organizacji nad osobistą satysfakcję. Sam się pan zresztą przekona, że nasi zwierzchnicy mają nieskończenie mniejszą tolerancję na ryzyko niż pan. Tam, gdzie pan rozumuje w kategoriach prawdopodobieństwa, nimi kieruje świadomość, że pojedynczy błąd wystarczy, aby zagrozić całej organizacji”.

Gunnar mógł do tego dorzucić jeszcze ostatnie ograniczenie: respektowanie wytycznych Planu. Tymczasem dowiedziałem się, że agenci przygotowujący swoją pierwszą teczkę są szczęśliwie zwolnieni z konieczności stosowania się do nich i mogą w swej kreatywności obrać dowolny kierunek. „Niech pan to wykorzysta” - poradził mi Gunnar - „to pierwszy i ostatni raz, kiedy nadarza się panu taka okazja”.

W ciągu następnych piętnastu dni przewąłkowałem chyba setkę potencjalnych scenariuszy. Pomysły zjawiały się bez ostrzeżenia, kiedy biegałem, pod prysznicem albo podczas niekończących się spotkań z radą generalną Sabaudii. Wszystkie analizowałem bez uprzedzeń, lecz większość niemal natychmiast odrzucałem. Przez trzy dni zajmowałem się tą historią z torem, którą podsunął mi Gunnar. Niestety okazało się, że grubość stałej pokrywy lodowej na północy Grenlandii tak czy inaczej uniemożliwiłaby wydobywanie cennego minerału przy akceptowalnych kosztach. Mojateczka miałaby zerową zdolność do wywołania poruszenia, by użyć sformułowania Gunnara.

Pod koniec pierwszego tygodnia szczerze uwierzyłem, że znalazłem temat. Poinformowałem Gunnara, że stworzę od zera minimalistycznego francuskiego pisarza nazwiskiem Zu. Powieści Zu charakteryzowałyby się tą zaskakującą cechą, że nie liczyłyby więcej niż tysiąc słów; każda kolejna byłaby krótsza od poprzedniej. Gunnar nie próbował mnie odwieść od tego pomysłu, zamiast tego wysłał mnie na spotkanie z archiwistą biura w Grenoble (sekcja Literatura Francuska, od roku 1821 do współczesności), niejakim Nestorem

Bimardem. „Zobaczy pan” - uprzedził mnie Eriksson ze śmiechem - „będzie się starał pana przekonać, żeby zrobić z Zu poetę romantycznego. To jego ulubiony okres i bardzo trudno się z nim rozmawia o czymkolwiek innym”.

Otrzymawszy taką przestrożę, wsiadłem nazajutrz rano do pociągu do Grenoble, uzbrojony w akredytację z podpisem Pera Baldura. Wręczając mi ten niebieski arkusik, Gunnar wyjaśnił, że właśnie przeszedłem z rangi nowicjusza do rangi żółtodzioba. W terminologii KFR-u nowicjusz to ten, który całkowicie podlega władzy swojego opiekuna. Gdy zostanie spod niej wyzwolony, staje się żółtodziobem; będzie nim aż do momentu, w którym Komitet Projektów da mu zielone światło na realizację pierwszej teczki, co zapewni mu status agenta pierwszej klasy. Żółtodzioby oraz agenci pierwszej klasy nie mają dostępu do archiwów bez autoryzacji szefa stacji, której podlegają. W ten właśnie sposób dowiedziałem się, że to Baldur kieruje stacją w Reykjavíku. Baldur, jedyny spośród trzech współników, którego nigdy nie spotkałem...

Biuro w Grenoble mieści się w siedzibie administracji lokalnej, gdzie Bimard pełnił dogodną funkcję kierownika działu dokumentacji. Przyszedł po mnie na recepcję i zaprowadził do swojego gabinetu. Był niewysokim, zaokrąglonym człowieczkiem z karykaturalnie krzaczastymi brwiami i niemal kropka w kropkę przypominał mojego uniwersyteckiego profesora prawa międzynarodowego. Kazał mi spocząć, uważnie sprawdził moją akredytację i zapytał o Baldura, z którym piętnaście lat wcześniej współpracował przy tworzeniu pewnego wyśmienitego wina z gatunku chassagne-montrachet.

- Choć może się to wydać dziwne - wybełkotałem - nie poznałem jeszcze Pera Baldura.

Twarz Bimarda się rozjaśniła.

-Jest pan nowy, tak? Witamy w Konsorcjum Fałszowania Rzeczywistości, drogi chłopcze. Opublikował pan już coś?

- Nie, właśnie pracuję nad pierwszą teczką.

-I wybrał pan literaturę francuską? Gratulacje, bardzo rozsądna decyzja. Zna pan już autora, może epokę?

- Autora i epokę, wiek dwudziesty. Ale na tym w zasadzie koniec.

- Jak nazywa się autor?

- Maximilien Zu. - Niemal tonem usprawiedliwienia dorzuciłem: - Nie będzie on, rzecz jasna, romantykiem.

- Nie, oczywiście. Maximilien Zu, bardzo ciekawe. Pisze pan biografię?

W niespełną minutę grzecznościowe formułki zamieniły się w prawdziwą zawodową ciekawość. Czy myślałem o stworzeniu biografii? Bardzo dobre pytanie.

- Eee, jeszcze nie zdecydowałem. Jaki jest w tej kwestii zwyczaj?

Po przejętej minie Bimarda natychmiast poznałem, że wchodzimy na jego ulubiony temat. Odchylił się w fotelu, łącząc opuszki palców obu dłoni.

- Biografia to oczywiście znaczący gatunek. W zakresie samej tylko literatury francuskiej KFR powołał do życia około dwudziestu autorów. Niektórych może pan zna: Louis René Circulaire, Paul Dussard, Alain Fagot...

- Alain Fagot - wymamrotałem. - Piewca Mallarmégo i Blan-chota?

- Ten sam! Autor słynnego *Kto mówi, gdy ja milczę?* Odbiera mowę, prawda? Słyszałem, że Uniwersytet w Dijon chce mu poświęcić seminarium, wyobraża pan sobie?

Dał mi kilka sekund na przetrwanie tej wiadomości, a potem podjął z zapalem:

- Wartość biografii mierzymy według dwóch kryteriów: ważność autora oraz głębia dokumentacyjna. Jeśli chciałby się pan wprawić, polecam zacząć od jakiegoś romantyka, nieznanego towarzysza podróży Lamartine'a czy przyjaciela z dzieciństwa Charlesa Nodie-ra. Ryzyko jest znikome, zwłaszcza że może pan liczyć na pomoc ze strony „Zeszytów Romantyzmu”. To ważne, móc się powołać na sprzymierzeńczą publikację. Można dzięki temu skorygować swoje błędy. Wiem, nie zamierza pan żadnych popełniać, wszyscy tak mówią. Ale niech pan zawierzy mojemu doświadczeniu, pańska pierwszateczka będzie zawierała co najmniej trzy grube niedociągnięcia, a kiedy Hong Kong zacznie panu wiercić dziurę w brzuchu, bardzo chętnie się pan do nas zwróci. Errata albo artykuł o „publikacji, która w końcu ujawnia prawdę o Zu” i już, załatwione.

- A gdybym chciał stworzyć sławnego autora?

- Biedaku, niech pan o tym nie myśli! To by było samobójstwo. Ach, oczywiście, kto nie śnił kiedyś o stworzeniu noblisty? Ponieważ nie żywię aż tak wielkich ambicji, chętnie poświęciłbym dziesięć lat życia na zdobywcę Nagrody Goncourtów. Niespodziewanie ogłoszone miejsce *ex aequo*... Ale to tylko fantazje. Wyobraża pan sobie, ile mrowczej pracy trzeba by włożyć w uwiarygodnienie laureata Goncourtów. Bo rozumie pan przecież, im szerzej znany autor, tym staranniej trzeba zatroszczyć się o źródła. Stanowczo odradzam debiutantowi porywanie się na coś takiego.

- A oprócz biografii? - spytałem nieco rozczarowany.

- Oprócz biografii mamy twórczość autora, dziedzinę, która sama w sobie stwarza nieskończoną liczbę możliwości. Począwszy od nigdy niepublikowanej powieści Benjamina Constanta, którą ktoś znajdzie w ukrytej szufladzie w jego gabinecie, a skończywszy na niepublikowanym przekładzie - nieistniejącego, rzecz jasna - niemieckiego autora. A po drodze możemy jeszcze zastąpić prawdziwego klasyka przerobionym tekstem.

No proszę, każdego dnia uczyłem się czegoś nowego.

- Na przykład?

- Ha, osobiście nadzorowałem pracę nad sześcioma stronami do *Trzech muszkieterów* Alexandre'a Dumasa.

- Jak to możliwe?

- Powołaliśmy się na list Dumasa do jednej z jego kochanek, w którym wielki artysta skarży się, że wydawca zignorował pewne poprawki, które pisarz przekazał mu po ukazaniu się powieści w formie odcinkowej. Gdy tylko dowiedziałem się o istnieniu tego listu, nabytego przez kolekcjonera podczas aukcji w Hotel Drouot w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym, zabrałem się do dzieła. Pół roku później ukończyłem manuskrypt, którego autentyczność została potwierdzona przez Towarzystwo Przyjaciół Alexandre'a Dumasa. Wie pan dlaczego?

- Ponieważ podróbka była doskonałej jakości?

- Po części, ale także i przede wszystkim dlatego, że nasza wersja była lepsza niż ta napisana przez starego Alexandre'a! Zachęcam pana, żeby je pan przy okazji porównał, chodzi o fragment zaraz

po tym, jak Milady dostaje się do niewoli. Nasz twórca dialogów zdziałał cuda. Mieliśmy plan, on i ja, żeby całkiem przerobić sagę o muszkietierach. Niestety zmarł, zanim na poważnie zabraliśmy się do pracy.

Co bardziej dotknęło Bimarda - utrata współnika czy odstąpienie od projektu - trudno by mi było stwierdzić. A on kontynuował:

- Biografie, twórczość... Do tego trzeba dodać kilka pomniejszych podgrup: fałszywe aparaty krytyczne, prądy literackie, szkoły myślowe i tak dalej. Wszystkie miały swoje momenty, ale żadna nie doczekała się jeszcze arcydzieła. A zatem, czy teraz ma pan większą jasność?

- Najbardziej interesuje mnie jednak biografia.

- Doskonale. Dręczy mnie jedno pytanie. Bardzo dobrze mówi pan po francusku, ale jak u pana z językiem pisany?

- Przypuszczam, że podobnie. Jest dobrze, chociaż nie jakoś wyjątkowo.

- Tak właśnie sądziłem. Widzi pan, drogi chłopcze, boję się, czy pański poziom językowy nie jest odrobinę za niski, żeby mógł pan z powodzeniem przygotować biografię.

- Myślałem, żeby zrobić z Zu pisarza minimalistycznego - wybełkotałem. - Jego książki byłyby bardzo krótkie, niewiele ponad parę stron.

- To naprawdę świetny pomysł. Ale te powieści, jakkolwiek krótkie, trzeba będzie napisać. Rozważał pan zlecenie tego komuś innemu? Nie znam zbyt wielu agentów, którzy zgodziliby się wesprzeć w pracy żółtodzioba bez nadziei na jakiś własny, znaczący zysk.

- Myślałem, że pan mógłby mi pomóc... - rzekłem ostrożnie, doskonale zdając sobie sprawę, że to już ostatnia desperacka próba z mojej strony.

- Zrobiłbym to z przyjemnością - odparł Bimard z szerokim uśmiechem, odsłaniając dolne zęby, co jeszcze podkreśliło podobieństwo do mojego profesora prawa międzynarodowego. - Oczywiście pański projekt musiałby mnie zainteresować na poziomie intelektualnym. Ten Maximilien Zu, czy nie zawdzięczamy mu przypadkiem kilku sonetów o cierpieniach nieodwzajemnionej miłości? Wydaje mi się, że wspominał pan, że on i Musset mieli wspólną kochankę...

Proponowany układ przedstawiał się jasno: Nestor Bimard pomoże mi pod warunkiem, że zrobię z Zu pisarza romantycznego. W tamtej chwili pojąłem, że Gunnarowi nie podobał się mój projekt, ale wolał, żeby to ktoś inny go zniszczył. Zacząłem się wycofywać:

- To bardzo miło z pana strony, że zgodził się pan ze mną spotkać, ale nie chciałbym nadużywać pańskiej uprzejmości. Naświetlił mi pan liczne możliwości. Zastanowię się nad tym wszystkim i wkrótce znów się do pana odezwę.

Nie dając Bimardowi czasu na odpowiedź, wstałem i pozbierałem notatki. Na szczęście mój gospodarz godnie przyjął porażkę.

- Jak pan sobie życzy, Sliv - rzucił, również się podnosząc. -Ale niech pan nie zwleka z podjęciem decyzji; w przyszłym miesiącu wydaję specjalny numer „Zeszytów Romantyzmu” zatytułowany: „Twórcy, którzy żyli w cieniu geniuszy”. Nie wyobrażam sobie lepszej trampoliny dla Maximiliena Zu.

-Ja również - przyznałem, żegnając się.

Nie dodałem tylko, że rzeczona trampolina powinna mieć na celu napędzenie mojej własnej kariery, a nie jakiegoś tam egzaltowanego grafomana.

Po tym, jak już do woli ponabijał się z mojego sprawozdania ze spotkania z Bimarderm, Gunnar Eriksson potwierdził to, czego zdążyłem się domyślić: Maximilien Zu nie przypadł mu do gustu.

- Tani i pretensjonalny - obwieścił. - Szczerze, Sliv, naprawdę spodziewał się pan, że ten mało płodny prozator pomoże panu wsadzić kij w mrowisko?

- Pomysł wydawał mi się zabawny. A poza tym sądziłem, że minimalizm będzie mógł objawić się też w innych dziedzinach.

- Zeby była jasność: nie jest pan tu po to, żeby się dobrze bawić. I jak ja bym wyglądał, patronując tej pańskiej kiepskiej farsie? - zapytał, wznosząc oczy do nieba.

- Prawdę mówiąc, wcale nie podobają mi się te wyrzuty. Być może nie jestem tu wyłącznie po to, żeby się dobrze bawić, ale po to także. A kiedy wyjawiam panu swoje pomysły, to oczekuję, że wyrazi pan swoje zdanie wprost, a nie za pośrednictwem biura w Grenoble.

Gunnar długo mi się przyglądał. Wyraźnie szukał słów. Czasami wydawało mi się, że muszę mu podskoczyć, żeby zaczął traktować mnie poważnie.

- Ma pan rację, Sliv - odrzekł w końcu. - I najmocniej przepraszam, jeśli odczuł pan to jako stratę czasu. Ale pańska wyprawa do Grenoble miała w moim zamyśle spełnić rolę edukacyjną. Chciałem, żeby spotkał pan kogoś takiego jak Bimard. Uwielbiam Nestora, Bóg mi świadkiem, ale stanowi on typowy przykład agenta trzeciej klasy, który kompletnie stracił kontakt z rzeczywistością.



Czerpie satysfakcję z tworzenia nienaganych z technicznego punktu widzenia teczek, które jednakowoż już dawno przestały służyć naszym celom. A kiedy przysyłają mu młodego agenta, zamiast poszerzać jego horyzonty, stara się go zainteresować swoim konikiem, z którego nie mamy żadnego pożytku.

- Sądziłem, że Plan nakazuje agentom pracować nad konkretnymi tematami.

- Słowo „nakazuje” to, niestety, lekka przesada. Plan co roku publikuje listę priorytetów i, niech mi pan wierzy, literatura francuska nie widnieje na niej już od dłuższego czasu. Ale Bimard znalazł na to lekarstwo. Zawsze obmyśli sposób, żeby uzasadnić swoje projekty: a to chodzi jedynie o rozwinięcie starej teczki, a to musi wzmocnić niepewne źródło...

- Czym ryzykuje?

- Prawie niczym, właśnie w tym problem. Dział Kadr wzywał go na dywanik już kilkakrotnie, ale ponieważ nałożenie na niego prawdziwych sankcji nie leży w ich kompetencjach, te ostrzeżenia to tylko puste słowa. Bimard dobrze wie, że KFR nigdy nie pozwoli sobie na ryzyko odesłania go do cywila. A to jedyna groźba, która mogłaby na niego wpłynąć.

- Nie można by mu zmniejszyć pensji?

- Co najwyżej zamrozić. Układ zbiorowy pracy zabrania obniżania wynagrodzeń.

- Układ zbiorowy pracy? - powtórzyłem osłupiały.

- Właśnie tak, Sliv - zachichotał Gunnar. - Cały czas próbuję to panu wtłoczyć do głowy: KFR to ogromna organizacja, nie może funkcjonować całkiem bez zasad.

- A więc Bimard jest nie do ruszenia?

- Poniekąd tak. Na szczęście wkrótce skończy pięćdziesiąt pięć lat i Dział Kadr przepchnie go łagodnie w stan spoczynku. Przez kilka lat, zanim osiągnie oficjalny wiek emerytalny, będzie otrzymywał siedemdziesiąt procent normalnego wynagrodzenia. Ale niech to pana nie odstrasza. Zawsze będziemy potrzebowali młodych, zdolnych agentów.

Mimo słów zachęty ze strony Gunnara, pozostał mi po tej rozmowie gorzki posmak. Ledwie dołączyłem do KFR-u, a już do-

strzegałem niedociągnięcia. I mimo że jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mi, że w strukturze takich rozmiarów nie da się uniknąć tego rodzaju nadużyć, doznałem smutnego objawienia: KFR nie był i nie mógł być pracodawcą idealnym.

Wróciłem do poszukiwań tematu, zwłaszcza że czasu zaczynało brakować. Wizyta w Grenoble spowodowała opóźnienia w projekcie związanym z zaporą, a moi koledzy z biura dali mi do zrozumienia, że odtąd muszę wziąć na siebie więcej pracy.

Inspiracja nadeszła pewnego ranka, gdy jadłem śniadanie w hotelowej restauracji, czytając „Le Figaro”. Artykuł na stronie dwunastej informował o śmierci sławnego siedemdziesięciosiedmioletniego etnologa Gastona Chemineau, członka Akademii Nauk, profesora Collège de France i autora licznych prac na temat ludów afrykańskich oraz Aborygenów. Chemineau, podawał artykuł, trzy miesiące temu wrócił z dwuletniej wyprawy do Afryki, podczas której gościł u wielu plemion z dorzecza Zambezi. Umarł na zawał serca w swoim domu w Ville-d'Avray, gdzie mieszkał samotnie i pracował nad nową książką. Gazeta żegnała jednego z ostatnich gigantów nauk społecznych i cenionego na całym świecie humanistę.

Od razu dostrzegłem w tym zgonie błogosławieństwo. Pomysł przyszedł mi do głowy natychmiast: o ile tylko Chemineau nie zdążył wysłać manuskryptu do wydawcy, był jeszcze czas na zmodyfikowanie tekstu i, kto wie, dorzucenie sprawozdania z wizyty u fikcyjnego plemienia.

Szczerzącym zbiegiem okoliczności miałem niejakie pojęcie o afrykańskiej demografii, bo temat ten widniał w programie mojej magisterki z geografii. Przypomniałem sobie nawet, że na ćwiczeniach przerabiałem monografię Chemineau o habitacie Kikuju, kenijskiego plemienia z grupy Bantu. Tamtego ranka, popijając kawę, próbowałem zebrać w całość to, co pamiętałem ze studiów. Populację południowej Afryki stanowili w przeważającej części Bantu, zbiorowość złożona z tysięcy plemion mówiących około czterystoma różnymi językami. Bantu prowadzili osiadły tryb życia i uprawiali ziemię. Nauczyli się wytwarzać żelazo, co pozwoliło im stopniowo prześcignąć dwie historycznie starsze grupy: Buszmenów oraz Khoikhoi (która to nazwa dostarczyła wówczas nam, smarkaczom,

wiele radości). Buszmeni i Khoikhoi byli ostatnimi, którzy wciąż mówili językami khoisan, charakteryzującymi się częstym użyciem specyficznych spółgłosek zwanych „kliknięciami”. Na tamtym etapie nie pamiętałem wiele więcej. Czy teraz do gry mogła wkroczyć moja wyobraźnia?

Niestety czekał mnie intensywny poranek. Za godzinę miałem spotkanie w sprawie zatwierdzenia zapory z dwoma geologami, którzy przyjeżdżali z Lyonu, wobec czego pewnie byli już w drodze. Pojąłem, że już za późno na odwoływanie, zadzwoniłem więc do Gunnara, który spędzał ten tydzień w Reykjavíku. Na szczęście zastałem go w gabinecie. Krótco objaśniłem mu sytuację, a także pomysł stworzenia nowego plemienia. Zastanawiał się kilka sekund, podczas których słyszałem gwizdanie czajnika.

- To cholernie dobry pomysł - uznał w końcu. - W każdym razie lepszy niż poprzedni. Dlaczego pan dzwoni?

- Ponieważ przeczucie podpowiada mi, że będziemy mieli bardzo mało czasu. Być może już jest za późno. Mój plan ma sens tylko wtedy, jeśli uda mi się dołączyć dodatkowy rozdział do tekstu Chemineau. Wciąż mi pan powtarza, że każda teczka potrzebuje specjalnie dla niej stworzonego źródła.

- A jakie źródło nadałoby się lepiej niż pośmiertne dzieło jednego z najślynniejszych etnologów? - dokończył Gunnar. - Już dzwonię do Paryża, poproszę ich, żeby zbadali sprawę Chemineau.

- I jego wydawcy, jeśli to możliwe - dodałem.

- To się rozumie samo przez się. Czego jeszcze pan potrzebuje?

- Wrócę jutro. Praktycznie zakończyliśmy prace terenowe, powiem Mice, że potrzebuje mnie pan przy innym zadaniu. Czy mógłby pan w międzyczasie zgromadzić bibliografię? Wszystko, co pan znajdzie na temat demografii Afryki południowej, Bantu, Khoikhoi, Buszmenów, ich rytuałów, języków i tak dalej.

- A także wszystkie publikacje Chemineau. Jeśli ma pan napisać rozdział jego książki, musi pan poznać jego styl. Zanotowałem.

- Gunnar - zagadnąłem - myśli pan, że coś z tego wyjdzie? Minęło kilka sekund, zanim odpowiedział. Jego czajnik gwizdał teraz ogłuszająco.

- Szczerze? Myślę, że tak. Ale niech pan się zbytnio nie nastawia. Po pierwsze, Paryż może nas poinformować, że książka poszła już do druku. Poza tym...

- Tak, co poza tym? - zapytałem gorączkowo.

- Poza tym na razie ma pan tylko pomysł. Albo, gwoli ścisłości, pomysł oraz szansę na przejęcie źródła. Ale brakuje panu scenariusza, a bez scenariusza nie ma teczki.

- Wymyślę go - rzekłem, siląc się, żeby zabrzmiało to pewnie. - Dziękuję panu, zobaczymy się jutro.

Zanim następnego ranka wsiadłem do samolotu lecącego do Reykjavíku, znalazłem czas na odwiedzenie miejskiej biblioteki w Annecy. Tak jak się spodziewałem, dział poświęcony afrykańskiej demografii był kiepsko zaopatrzony, lecz mimo to uzyskałem parę cennych informacji. Większość społeczności Bantu jest matriarchalna i funkcjonuje w oparciu o system klanowy charakteryzujący się ogromnym szacunkiem wobec przodków. Bantu chętnie określają się także, niezależnie od więzi rodzinnych czy klanowych, na podstawie przynależności do różnorodnych bractw: polowania, tańca... albo nawet śmiechu. Kiedy tak przewracałem strony encyklopedii i robiłem notatki, poczułem, jak ogarnia mnie coraz większa ekscytacja, w miarę jak stawało się *oczywiste*, że środowisko afrykańskie z natury rzeczy świetnie nadaje się do falsyfikacji: wiązał się z nim bogaty i tajemniczy świat idei i nikogo nie dziwiło, że wykluwają się z niego najbardziej fantastyczne opowieści. Każdy miał w głowie jakiś obraz Afryki, lecz nikt tak naprawdę jej nie znal. W czasach, gdy kamery telewizyjne zdążyły pokazać każdy zakątek Europy oraz Ameryki Północnej, Afryka pozostawała w zasadzie dziewicza i nieznana. Była to ziemia dla demiurgów, nawet tych początkujących.

Jeden artykuł szczególnie mnie zainteresował: opisywał sytuację Buszmenów, jednego z najstarszych ludów na świecie, którzy raz po raz przeganiani byli z własnych ziem, najpierw przez Bantu, potem przez holenderskich i brytyjskich kolonizatorów, i którzy zdawali się skazani na wieczną tułaczkę. Buszmeni (po angielsku: **Bushmen**, nazywani też „ludźmi sawanny”) to wymierający lud, liczący prawdopodobnie - choć nie ma możliwości zdobycia dokładnych danych - nie więcej niż sto tysięcy członków. Buszmeni mieszkali

w szalaszach z gałęzi, tworząc wspólnotę kilku koczujących po sąsiedzkich rodzin, i żyli ze zbieractwa oraz myślistwa. Zdawało się, że ich rozwój zatrzymał się kilka tysięcy lat temu: nie potrafili wytwarzać żelaza, nie znali żadnych procedur chemicznych; nie umieli, rzecz jasna, ani czytać, ani pisać. Kiedy osoba w podeszłym wieku nie była już dłużej w stanie pracować na rzecz społeczności, Buszmeni budowali dla niej chatę, wypełniali ją żywnością i porzucali na pewną śmierć. Pożegnaniom nie towarzyszyła specjalna wylewność.

Pierwsi antropologowie, którzy natknęli się na Buszmenów, początkowo wzięli ich jakże niezwykły język za gdańskie kury. Później lingwiści ustalili, iż mówią oni dialektem z grupy khoisan. Jako ciekawostkę dodam, że Buszmeni nie posiadają określeń na poszczególne kolory ani na cyfry większe od trzech. „Sześć” to u nich „dwa i dwa i dwa”.

Mógłbym czytać o Buszmenach godzinami, ale nie chciałem spóźnić się na samolot. Skserowałem parę stron, po raz kolejny doświadczając refleksji, jak kiepsko znam ten nasz świat. Kto by pomyślał, że w roku 1991 istnieją ludzie, którzy wciąż żyją tak samo jak przed dziesięcioma tysiącami lat?

W czasie lotów - z Genewy do Paryża, a potem z Paryża do Reykjavíku - pozwoliłem myślowo błądzić. Co tu zrobić z tymi Buszmenami? Wymyślić im nowe zwyczaje, zmienić ich mitologię? Zrehabilitować lud, którego uprawnioną odmiennością wzgardzili Bantu oraz europejscy koloniści? Wszystko to było konieczne, ale niewystarczające. Dręczyło mnie przede wszystkim jedno pytanie: jak nadać historii Buszmenów uniwersalny wymiar?

Samolot wylądował chwilę przed osiemnastą, ale postanowiłem, że i tak zajrzę do firmy, z nadzieją że Gunnar zostawił mi zebrane dokumenty na biurku. Nie rozczarowałem się, gdyż przywitał mnie Eriksson we własnej osobie. Posadził mnie w moim ulubionym fotelu i zamknął drzwi gabinetu. Koszula wylazła mu zza paska, rękawy podwinął aż do łokci, zauważyłem też, że ma rozpięty rozporek. Nigdy nie widziałem go tak podekscytowanego.

- Drogi chłopcze - zaczął bez wstępów - można by pomyśleć, że bogowie panu sprzyjają. Nasi paryscy koledzy wykonali świetną robotę, a sytuacja wygląda dobrze. Zaczniemy od Chemineau.

Jego żona zginęła w 1985, w Paryżu, potrącona przez samochód. Wywnioskował z tego, że we Francji czyha na niego więcej niebezpieczeństw niż w Zimbabwie, wobec czego kilkakrotnie wyprawiał się samotnie do Afryki, mając już na karku siedemdziesiąt lat z hakiem. Zostawił po sobie córkę, która jest skrzypaczką w orkiestrze berlińskiej filharmonii. Była akurat w trasie po Azji, kiedy dowiedziała się o śmierci ojca. Paryż twierdzi, że przyleci na pogrzeb, a potem zaraz wraca.

- Jakieś rodzeństwo?

- Wszyscy nie żyją. Jedyna osoba, która może nam sprawić problem, to sprzątaczką. Pracowała dla Chemineau przez dwadzieścia pięć lat. Przychodziła trzy razy w tygodniu, nawet kiedy przebywał w Afryce. Przejdźmy do wydawcy. Nasz agent z Paryża zadzwonił do niego, podając się za dziennikarza. Szczerze mówiąc, trochę nagiął zasady, ale nie sądzę, żeby miał mu to pan za złe, kiedy panu powiem, czego się dowiedział.

- Wydawca nie widział jeszcze manuskryptu? - zapytałem z niepokojem.

- Nie tylko jeszcze go nie widział, ale też spodziewał się go dostać przed upływem trzech tygodni! - ryknął Gunnar tryumfalnie.

-1 to jest dobra wiadomość?

Wydawało się, że moje pytanie go zdumiało.

- To doskonała wiadomość - wyjaśnił. - To znaczy, że staruszek mniej więcej zakończył pracę nad tekstem. Niech pan sobie wyobrazi, co by było, gdyby jeszcze nie zaczął, musiałby pan napisać całą książkę, a tak wystarczy wpleść jeden rozdział.

- A jednak trzy tygodnie to niewiele. Tym razem Gunnar całkiem stracił nerwy.

- Sliv, specjalnie się pan wygłupia? Chemineau obiecał, że przyśle tekst za trzy tygodnie, ale teraz nie ma już jak go skończyć. W obecnej sytuacji wydawca musi zająć się manuskrytem od razu. Będzie chciał, żeby książka ukazała się jak najszybciej, jeszcze zanim trup ostygnie.

- Ale w takim razie mamy bardzo mało czasu - wybełkotałem.

- Na oko tydzień, maksymalnie dziesięć dni.

Na widok mojej zdruzgotanej miny Gunnar dorzucił:

- Może się wydawać, że to krótko, ale tak naprawdę na przygotowanie reszty teczki będzie pan miał więcej czasu. Nawet pracując w przyspieszonym trybie, wydawca nie da rady opublikować książki wcześniej niż za miesiąc lub dwa: trzeba będzie zredagować tekst, poprawić błędy, posłać do druku. Wykorzystamy te kilka tygodni na zajęcie się innymi źródłami. Nawet jeśli opieramy się głównie na Chemineau, nie może on być jedynym, który wspomina o tym plemieniu.

- Dziesięć dni — powtórzyłem oszołomiony. - Dziesięć dni na napisanie, po francusku i w stylu sławnego na cały świat etnologa, monografii o afrykańskim plemieniu, które nawet nie istnieje?

- Odwagi, drogi chłopcze. Kiedy przedstawia to pan w ten sposób, zadanie wydaje się ambitne, ale damy sobie z nim radę. Rozdzieliłem już wszystkie pańskie projekty pośród ludzi z biura i poinformowałem współników, że jutro wręczymy wstępny raport w sprawie tej przeklętej zapory. Nikt nie będzie się dziwił, że pracujemy po nocy. Jak pan zobaczy, zebrałem nieco literatury. Zaparzę kawę, to nam rozjaśni umysł. Szczególnie panu, będzie go pan potrzebował, żeby do jutra obmyślić scenariusz.

- Do jutra, nie ma sprawy - wydukałem nadal pod wpływem szoku. - Dziękuję za kawę.

- Ależ naprawdę nie ma za co. Spotkajmy się tu za dwie godziny, wykonam parę telefonów, postaram się dowiedzieć, czy organizacja zajmuje jakieś stanowisko w kwestii plemion Bantu.

- Nie Bantu - poprawiłem machinalnie, otwierając drzwi -tylko buszmeńskich.

Na biurku czekały na mnie dwa pudła pełne dokumentów. Rzuciłem swoje rzeczy na krzesło i zacząłem je segregować, nie tracąc czasu nawet na zdjęcie płaszcza. Było wśród nich sześć ostatnich książek Chemineau (nakład wcześniejszych został wyczerpany), były krótkie monografie o demografii każdego z krajów południowej Afryki (RPA, Zambii, Botswany, Suazi, Namibii, Mozambiku, Angoli oraz Zimbabwe), kilka publikacji o Bantu, kompilacja najświeższych artykułów prasowych dotyczących rozwoju geopolitycznego i gospodarczego regionu, dwa raporty Rady Gospodarczej i Społecznej ONZ-etu traktujące o wysiedlaniu natywnych ludów Afryki i wreszcie trzy książki o Buszmenach. Pierwsza, zatytułowana *The Harmless People* (czyli „nieszkodliwi ludzie”, jak Buszmeni określali samych siebie), napisana została przez Amerykankę Elizabeth Marshall Thomas, która w latach pięćdziesiątych była jedną z pierwszych kobiet Zachodu wiodących życie wspólnie z Buszmenami. Trzymałem w ręku wydanie z roku 1989, bogato ilustrowane i uaktualnione przez autorkę po niedawnych pobytach w Afryce. W tym samym roku niejaki Steyn, również pochodzenia anglosaskiego, napisał *The Bushmen of the Kalahari* (Kalahari to pustynia, na której żyje obecnie większość Buszmenów). Trzecią i ostatnią publikację wydano w roku 1954. Nosiała tytuł *Kalahari, życie Buszmenów*, a jej autorem był Francuz Jacques Mauduit.

Stłumiłem ochotę, by zacząć od książek poświęconych Buszmenom, i zmusiłem się do przyswojenia odrobiny literatury ogólnej. Moi profesorowie na geografii dobrze mnie pod tym względem



wyszkolili: zawsze postępuj od ogółu do szczegółu, żeby zachować jasny obraz całości.

Czego dowiedziałem się z lektury? Po pierwsze, że Afryka to kontynent, który zaludnił się najdawniej ze wszystkich. Pierwsi ludzie pojawili się tam na jakieś trzy lub cztery miliony lat przed naszą erą, oddzielając się od małp. Żyli na tak rozległym terenie, iż naturalnym było, że nie wszystkie ludy rozwijały się w taki sam sposób. Na przykład Egipcjanie na północy posiadli wiedzę z zakresu astronomii oraz kamieniarstwa i zostali zaliczeni do najbardziej zaawansowanych cywilizacji antycznego świata, podczas gdy na południu Buszmeni i Khoikhoi trwali w stagnacji, nieświadomi dobrodziejstw, jakie niosą ze sobą metalurgia czy uprawa ziemi. Później, krok po kroku, grupa plemion Bantu ustanowiła swoją wyższość. Bantu, znając żelazo, chętnie prowadząc ekspansję, stopniowo skolonizowali całą niżej położoną część kontynentu, spychając starsze ludy w rodzaju Buszmenów coraz dalej na południe. Między szesnastym a dziewiętnastym stuleciem także wielkie kolonialne potęgi Europy uszczknęły swój kawałek tortu, nie wspominając już o wspólnotach religijnych takich jak hugenoci, którzy osiedlili się w Południowej Afryce, uciekając prześladowcom. Pozbawieni broni, pozbawieni dyplomacji Buszmeni musieli ustępować miejsca intruzom, aż pewnego dnia znaleźli się na najbardziej niegościnnym terytorium, jakie istnieje: na pustyni Kalahari. Wiele organizacji pozarządowych starało się zwrócić uwagę krajów Zachodu na to skandaliczne wyrugowanie (najbardziej zjadliwe broszury używały nawet terminu „ludobójstwo”), lecz na próżno. Od tego czasu fakt, że Buszmeni wymrą w przeciągu kilku następnych pokoleń, nie pozostawiał już w oczach świata wątpliwości. Zresztą, nawet etnologowie zdawali się podzieleni odnośnie do najlepszego sposobu, w jaki można by Buszmenom pomóc. Pewne fragmenty z książki Elizabeth Marshall Thomas w elokwentnych słowach ukazywały, jak wsparcie niektórych organizacji pozarządowych miało się nieraz z celem. Na przykład, edukując buszmeńskie dzieci, pozbawiano matki z dawna przysługującej im roli; ofiarowując żywność, przytępiono u młodych mężczyzn wojownicze instynkty; opiekując się osobami starszymi, które wcześniej zostałyby

porzucone na pastwę losu, stawiano rodziny w obliczu dylematów moralnych, do których rozwiązania nie miały żadnych podstaw filozoficznych.

Było pewnie koło dwudziestej pierwszej, kiedy Gunnar wszedł bez pukania do mojego gabinetu i zastał mnie pogrążonego w myślach nad ilustracją przedstawiającą córkę z matką, która wykazywała typową steatopygę. Buszmeńskie kobiety rzeczywiście charakteryzuje nadmierne odkładanie się pośladkowej tkanki tłuszczowej. Innymi słowy, mają one ogromne i wystające pośladki.

- Niezły kuper - skomentował Gunnar z elegancją. - Chce pan kawałek pizzy? Dopiero co przyjechała, jeszcze ciepła.

- Nie odmówię - rzuciłem. Nie jadłem nic od czasu paczki wafelków na pokładzie lotu Genewa-Paryż.

- No to na czym stoimy? Ma pan mi coś do pokazania? Projekt? Szkic?

- Nic z tych rzeczy - westchnąłem. - Chcę mówić o tych ludziach - oznajmiłem, obracając zdjęcie w stronę Gunnara. - Ale nie wiem, jak to ugryźć.

- Niech mi pan przedstawi ich historię - zaproponował Gunnar, rozsiadając się naprzeciwko mnie. Założył ręce za głowę, jakby przygotowywał się na dłuższy wywód. - Niech pan będzie obiektywny, absolutnie nie chcę wiedzieć, po czyjej stronie się pan opowiada.

Zabrałem się do rzeczy bez spoglądania w notatki. Wstałem, bo zdążyłem już zauważyć, że łatwiej mi zebrać myśli, kiedy przechadzam się tam i z powrotem. Niejednokrotnie wracałem do biurka w poszukiwaniu mapy lub fotografii na poparcie moich argumentów. Gdy powiedziałem już wszystko, co wiedziałem, odwróciłem się do Gunnara w oczekiwaniu na cud.

- Diabelnie interesujące - skomentował ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń. - Rozumiem, co tu pana ciekawi, ale widzę też, czego panu brakuje.

- No, czego?

- Dwóch rzeczy - oznajmił Gunnar, nachylając się do przodu, jakby szykował się do wygłoszenia wykładu. - Po pierwsze, nadal nie widzę, w jaki sposób chce pan powiązać Chemineau z Busz-menami. Jeśli wierzyć pańskiej prezentacji, Buszmeni wcale nie są

nieznani. Nie posunąłbym się do określenia ich najslawniejszym ludem świata, ale nie słyszałem o zbyt wielu afrykańskich plemionach, które mogą się pochwalić, że napisano o nich aż trzy książki. Nie ma więc mowy o udawaniu, że to Chemineau odkrył Buszmenów. Mógłby, w granicach rozsądku, ujawnić mniej znane fakty z ich życia codziennego, ale tych troje autorów, którzy pewnie poświęcili badaniu Buszmenów wiele lat, wyczuje w tym jakąś sztuczkę. Zapragną sprawę wyjaśnić, wybiorą się na miejsce i za pół roku wydadzą publikację dementującą pańskie wymysły, tym samym unicestwiając pańską teczkę.

- Co próbuje mi pan powiedzieć, Gunnar? Ze powinienem zostawić Chemineau w spokoju?

- Ależ skąd. Ale za punkt wyjścia musi pan przyjąć, że Chemineau nie miał styczności z Buszmenami. Albo że spotkał tylko jakieś pomniejsze buszmeńskie plemię, a może ich braci krwi, którzy uciekli z Kalahari. Jeśli ma pan ujawniać jakieś rewelacje, nie może pan podejmować ryzyka, że zostaną one natychmiast obalone. To pierwsza rzecz. Drugą rzeczą, której panu brakuje, jest furka do wielkiego świata. Pańska teczka nie może koncentrować się wyłącznie na tragicznym losie Buszmenów. Nie wywołałaby wówczas poruszenia poza niewielkim kręgiem akademików i działaczy z organizacji pozarządowych. Trzeba rzecz zaprezentować jako emblematyczny przejaw jakiejś znaczącej i powszechnej tendencji, to nam zapewni ogólnoświatowy rozgłos.

- Tendencji takiej jak... ?

- Takiej jak stopniowe zanikanie dialektów albo, bo ja wiem, niemożność zachowania ziem przez tubylcze ludy, bo pretensje do nich zgłaszają prawnie usankcjonowane państwa. Musimy sprawić, żeby czytelnik książki Chemineau przejął się losem Buszmenów i żeby pomyślał sobie, że to, co ich spotyka, może równie dobrze spotkać jego.

- Rozumiem - odrzekłem, podczas gdy w rzeczywistości nie rozumiałem nic.

- Rzucił pan okiem na poprzednie publikacje Chemineau? - Jeszcze nie. Byłem ostatnio troszkę zawałony pracą - zauważyłem, mając nadzieję, że Gunnar pojmie aluzję i pozwoli mi wrócić

do moich zajęć. Ale zdawało się, że był tego wieczoru w nastroju na pogaduszki.

- Nasz agent z Paryża powiedział mi przez telefon, że Che-mineau był jedną z ulubionych postaci Francuzów i że jego sława wykraczała daleko poza kręgi akademickie. Stary mędrzec o pobielających skroniach, obrońca słusznych spraw, którego w wigilijny wieczór pyta się o miejsce ludzkości we wszechświecie, zna pan ten typ?

- Doskonale. Jeszcze kawałek pizzy i biorę się z powrotem do pracy, obiecuję.

- Zadzwoiłem też do starego znajomego z Planu. Nie mamy nic szczególnego w temacie ludów natywnych. Pański pomysł okrutnie go podekscytował, uważa, że nasze własne plemię mogłoby przynieść organizacji niezliczone korzyści.

- Dziękuję, Gunnar. Naprawdę powinienem już do tego wracać.

- Oczywiście, oczywiście, już się zmywam - odparł Gunnar i wyszedł z gabinetu.

Podjąłem przerwana lekturę, podkreślając niektóre zdania i robiąc obfite notatki na marginesach, nie wiedząc jednak, czego tak właściwie szukam. Około północy do drzwi zapukała sprzątaczką i spytała, czy może opróżnić kosz. Nie wydawała się zdziwiona, widząc mnie na stanowisku. Kiedy firma brała udział w wielu przetargach jednocześnie, niektórzy pracownicy nieraz siedzieli w biurze nawet dłużej.

Pierwszy promyczek nadziei dostrzegłem niedługo przed pierwszą w nocy, kiedy przeglądałem najbardziej znaną książkę Chemi-neau: *Miejsce ludów Ziemi w nowym porządku światowej gospodarki*. Francuski etnolog, piewca różnorodności etnicznej, wysunął szczególnie pesymistyczną hipotezę: wbrew powszechnej opinii to nie poszczególne państwa, lecz międzynarodowe korporacje zagrażają mnogości kultur. Nie mając praktycznie żadnych oponentów, to one dyktują warunki rządów „małych” krajów, szczególnie afrykańskich i azjatyckich, narzucając im reguły umożliwiające niewyobrażalny wyzysk. W ostatniej części swojej książki Chemineau otwarcie wymieniał trzy korporacje naftowe - francuską Elf Aquitaine oraz amerykańskie Chevron i Exxon - przedstawiając dowody na to, że firmy te usilnie nalegały na kilka afrykańskich państw, żądając „re-

lokacji" pewnych plemion, które utrudniały eksploatację złóż ropy. Oskarżone korporacje zareagowały wypuszczeniem kampanii społecznych, które miały za zadanie pokazać, że jest wręcz przeciwnie, że ich inwestycje bardziej niż jakakolwiek oficjalna pomoc przyczyniły się do rozwoju kontynentu afrykańskiego. Ale szkoda została już wyrządzona i w kolejnych latach organizacje pozarządowe powoływały się na publikacje Francuza w celu obnażenia rosnących wpływów korporacji.

Teza postawiona przez Chemineau przypomniła mi o informacji, którą wyczytałem w monografii na temat Botswany. W zeszłym roku południowoafrykańskie przedsiębiorstwo De Beers odkryło na wschodzie kraju, niedaleko granicy z Zimbabwe, bardzo obiecujące złoża diamentów znane jako Martins Drift. Botswański premier ogłosił, że liczy na to, iż to nowe znalezisko pomoże kontynuować rozwój krajowego przemysłu górniczego. Ta deklaracja dawała do zrozumienia, że eksploatowane są też inne złoża, zainteresowałem się więc ich położeniem. Myślałem, że zemdleję, gdy odkryłem, że De Beers od roku 1971 wydobywa diamenty w Ora-pie, w samym środku pustyni Kalahari. Wreszcie znalazłem punkt wyjścia do pracy. Nabazgrawszy kilka notatek, ruszyłem korytarzem w poszukiwaniu Gunnara.

Znalazłem go stojącego we własnym gabinecie, pogrążonego w rozmowie telefonicznej z jakimś Włochem. Nie wiedziałem, że zna włoski, ale mówił dobrze, a przynajmniej szybko, do tego wyższym niż zazwyczaj głosem. Gdy zdał sobie sprawę z mojej obecności, dał mi dłonią znak, że potrzebuje jeszcze dwóch minut.

- Niech pan usiądzie - wyszeptał, zakrywając mikrofon. Czekaając, aż się rozłączy, jeszcze raz prześledziłem w głowie

swoje rozumowanie, szukając w nim jakiejś wady, która mi wcześniej umknęła.

- Jestem do pańskiej dyspozycji - ogłosił Gunnar. - Przepraszam za tę przerwę: kolega z Mediolanu, potworny nudziarz.

-1 jeszcze nie śpi, o tej godzinie?

- Chciałoby się wierzyć, że smacznie chrapie, ale nie! Il *signore* Mattei czuwa, żeby podkreślić rangę swojej pozycji - odrzekł Gun-

nar, nie zdając sobie sprawy, że ten opis równie dobrze można by odnieść do niego.

- Myślę, że wreszcie udało mi się znaleźć powiązanie - ogłosiłem. - Wie pan, że Buszmeni od wieków regularnie skazywani są na wygnanie. Bantu, a potem Europejczycy, bez przerwy uszczuplali ich terytorium.

- Tak, wspominał pan o tym. I co w związku z tym?

-W końcu wylądowali na pustyni Kalahari, ziemi tak jałowej, że nikt nie przypuszczał, iż pewnego dnia ktoś zacznie się z nimi

0 nią wyklócać. A teraz niech pan sobie wyobrazi, że na Kalahari znaleziono diamenty. De Beers eksploatuje tam jedno złożę od dwudziestu pięciu lat.

-I co z tego? Skoro trwa to już ćwierć wieku, to znaczy, że Buszmeni i De Beers żyją w zgodzie - rzekł Gunnar, tłumiąc ziewnięcie.

- Z tym już można by polemizować - odparłem zdecydowany, że nie pozwolę mu na sprzeciwy. - Tysiące Buszmenów pracuje w kopalni odkrywkowej w Orapie. Zatracili umiejętność polowania

I nie będą w stanie przekazać tradycji przodków swoim dzieciom. Ale idźmy dalej, bo robi się jeszcze gorzej. Niedawne odkrycie złoża Martin's Drift dowodzi, że De Beers nie zaprzestał wiercenia dziur w Botswanie. Prędzej czy później Buszmeni staną De Beersowi na przeszkodzie, a wtedy firma grzecznie, acz stanowczo poprosi botswański rząd o pomoc...

- ...w usunięciu im z drogi problemu, a wraz z nim Buszmenów - dokończył Gunnar w zamyśleniu. - Tak, zaczynam rozumieć. Teczka wyraźnie nabiera znaczenia.

- Nie mówimy już o Buszmenach, ale o istniejącym od trzydziestu tysięcy lat ludzie przegnanym z własnej ziemi przez państwo powstałe w roku 1966, i to na prośbę międzynarodowej korporacji. To sprawa typowo z rodzaju tych, którymi zajmował się Chemineau. Najpierw cierpliwie gromadziłby informacje, a potem nadał im jak największy rozgłos.

- Proszę mi wierzyć, Sliv, narobimy piekielnego hałasu. No dobrze, sądzę, że ogólny zarys już pan ma. Teraz szczegóły...

Ponownie zabraliśmy się do pracy w jego gabinecie: Gunnar głośno myślał, przechadzając się tam i z powrotem, podczas gdy ja

siedziałem w jego fotelu z nogami przerzuconymi przez podłokietnik i robiłem notatki. Oficjalnie Gunnar nie miał prawa mi pomagać. To była moja teczka, nie jego, więc jego wkład powinien się ograniczyć do wsparcia metodologicznego. I faktycznie, nie podsunął mi żadnego pomysłu, choć posiadał charakterystyczną umiejętność kierunkowania moich refleksji tak, by narodziły się z nich główne fazy scenariusza. Nagle Gunnar spojrzął na zegarek.

- Dobrze, teraz przepisze nam pan to na czysto. Poulsson, woźny, zjawia się równo o szóstej trzydzieści, a nie chcę, żeby nas tu zastał.

Siadłem do komputera, żeby wystukać pierwszy szkic. Godzinę później Gunnar pochwyił jeszcze ciepłą kartkę, która wysunęła się z drukarki, wręczył mi ją i kazał czytać.

- „W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku” - zacząłem - „południowoafrykańskie przedsiębiorstwo De Beers odkryło złożę diamentów w Orapie, w regionie Makgadikgadi, usytuowanym w północno-wschodniej części pustyni Kalahari. Odkrycie to miało ogromne znaczenie dla Botswany, która rok wcześniej uzyskała niepodległość i desperacko poszukiwała sposobu na ożywienie rodzimej gospodarki. Jedynymi mieszkańcami pustyni Kalahari byli Buszmeni, grupa wędrownych plemion, których uważa się za jeden z najstarszych ludów świata, a którzy w ciągu minionych wieków już kilkakrotnie zostali skazani na wygnanie, najpierw na skutek pojawiania się plemion Bantu, a następnie za sprawą holenderskich oraz angielskich kolonizatorów. Buszmeni, w liczbie około sześćdziesięciu tysięcy, dzielą się na grupy kulturowe albo rodzinne, przy czym każdy klan żyje na terytorium zajmującym sto lub dwieście kilometrów kwadratowych. W Orapie nie zamieszkiwał żaden klan, wobec czego Botswana mogła bezproblemowo udzielić De Beersowi zgody na eksploatację nowego złoża, którego roczna produkcja sięga dziś dziesięciu milionów karatów”.

- Bardzo dobrze, bardzo przejrzyście - skomentował Gunnar z uznaniem.

- „W 1983 roku około dwudziestu buszmeńskich klanów spotkało się na pustyni z inicjatywy Maraqa, wodza klanu zwanego Morafe. Podobne zgromadzenia są ogromnie rzadkie, lecz Maraqa powołał się na nadzwyczajne okoliczności. Jego zdaniem Buszme-

ni powinni zająć wspólne stanowisko wobec botswańskiego rządu. Botswana powinna przestać grzebać pod powierzchnią Kalahari, która od tysięcy księżyców należy do Buszmenów".

- Niech pan sprawdzi, czy na pewno mierzą czas w księżycach. Wydaje się to logiczne, ale nigdy nie wiadomo - wtrącił Gunnar.

- Mam wrażenie, że gdzieś o tym czytałem, ale oczywiście sprawdzę - odrzekłem, robiąc notatkę na marginesie. - „Argumentacja Maraqo nie przyniosła wielkiego sukcesu, gdyż wodzowie pozostałych klanów okazali się fatalistami. «Ucieczka i poszukiwanie nowych ziem leżą w naszej naturze», oznajmili w skrócie. «Jeśli nas przegnają, pójdziemy gdzie indziej. Tak czy inaczej nie wiedzielibyśmy nawet, do kogo się zwrócić». Maraqo przyznał, że on również tego nie wie. Dyskusje ciągnęły się przez dwa dni, lecz wszystkie klany pozostały przy własnym zdaniu i w końcu rozeszły się każdy w swoją stronę.

W rok później obywatel RPA, którego tożsamości nie możemy ujawnić, ale którego nazywać będziemy Janem, udał się na spotkanie z Maraqo. Został właśnie zwolniony z De Beersa, gdzie pracował całe życie. Za pośrednictwem tłumacza wyjaśnił, iż sprzeciwił się pewnym metodom swego pracodawcy, a ten wolał go wyrzucić, niż ryzykować rozprzestrzenienie się podobnych poglądów. Jan, który świetnie znał swój zawód, odczuwał z tego powodu ogromne rozgoryczenie i postanowił pomóc Buszmenom. Zdradził Maraqo, że botswański rząd właśnie podpisał dekret zezwalający De Beersowi na przeszukanie kolejnych czterech obszarów Kalahari. Wedle słów Jana, kwestie finansowe okazały się zbyt istotne, by rząd przejmował się losem Buszmenów. Jedynie presja ze strony środowisk międzynarodowych mogłaby skłonić władze do przyjęcia delegacji tubylców i przyznania im prawa własności ziemi. Niestety Buszmeni nie mieli środków na sfinansowanie kampanii społecznej...".

- Niech pan wyrzuci to „niestety” - przerwał Gunnar. - Opowiadanie się po którejkolwiek ze stron to nie nasza rola.

- Ma pan rację. „Na te słowa Maraqo przykucnął przed swoją chatą i wykopał z ziemi przezroczysty klejnot. Jan wydał z siebie okrzyk i wyrwał skarb z rąk Maraqo. W tym zabrudzonym, choć błyszczącym kamieniu rozpoznał bowiem surowy diament, który po oszlifowaniu osiągnie co najmniej osiem karatów".



- Ta część opowieści może się wydać nieprawdopodobna. Trzeba, żeby Chemineau jasno wytłumaczył, że to całkiem możliwe. W ubiegłym wieku pewien południowoafrykański dzieciak znalazł na ziemi dwudziestą ednokaratowy diament.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Ale niech pan będzie spokojny, Gunnar, Chemineau spełni swoje pedagogiczne obowiązki. Czytam dalej: „Janowi, który zadawał mnóstwo pytań, Maraqo wyjaśnił, że ów kamyk, a także parę innych, mniejszych, znalazło jedno z klanowych dzieci. Wódz uważał ponadto, że będą w stanie zdobyć ich więcej, jeśli to miałyby sprawić, że głos Buszmenów wreszcie zostanie usłyszany. Jan odparł, że udałoby mu się pewnie sprzedać diament w Antwerpii, gdzie posiadał liczne kontakty, dodał jednak, że musiałby być ostrożny, aby nie zwrócić na siebie uwagi De Beersa. Oceniał, że na przeprowadzenie kampanii społecznej na skalę międzynarodową potrzeba około miliona dolarów. Jeśli Maraqo zdecyduje się mu zawierzyć, Jan otworzy w banku konto, na które wpływałyby zyski ze sprzedaży kamieni. Maraqo wyraził swoje zaufanie, podziękował Janowi za wszystko, ten zaś odszedł z diamentami. Ani razu nie poruszono kwestii jego wynagrodzenia”.

Gunnar podniósł rękę, żeby się wtrącić:

- Kładąc nacisk na ten ostatni punkt, sugerujemy, że intencje Jana nie są tak czyste, jak mogłoby się wydawać. Nie wiem, czy nie wyszło to panu trochę niezręcznie.

- Wręcz przeciwnie - odparłem. - Niejasność wprowadziłem celowo; przyda nam się.

- A, to w porządku, niech pan czyta dalej.

- „W kolejnym roku Jan trzykrotnie podróżował z Botswany do Belgii. Wróciwszy z trzeciej wyprawy, podzielił się z Maraqo podejrzeniem, iż ktoś go śledzi. Saldo konta, które otworzył w Brukselskim Banku Lambert, wynosiło obecnie ponad siedemset tysięcy dolarów. Jeszcze jedna taka podróż, a Buszmeni mogliby przystąpić do operacji odzyskiwania ziem. Tym razem Jan wyruszył z trzema ogromnymi kamieniami, obiecując wrócić w kolejnym miesiącu. Odtąd nie dał już znaku życia. Maraqo pozostawały jedynie domysły. Nie mógł całkowicie wykluczyć ewentualności, że Jan oka-

zał się oszustem. Choć pieniądze nie odgrywały dla Buszmenów znaczącej roli, Maraqo wiedział, jaką pokusę stanowiła dla białych perspektywa zysku. A jednak po namyśle ta hipoteza wydała mu się nieprawdopodobna. Przecież gdy Jan po raz pierwszy do niego przybył, nie był świadomy, iż plemię Morafe znalazło diamenty. Czy należało z tego wnioskować, że Jan został ograbiony albo i gorzej, zamordowany? Jak to potwierdzić? Maraqo nie znał nazwiska Jana; co się tyczy konta w Brukselskim Banku Lambert, nigdy nie miał w rękę choćby najdrobniejszego dokumentu.

Niedługo potem w pobliżu obozowiska Morafe zatrzymał się konwój terenowych samochodów. Wsiadło z nich około dwudziestu czarnych oraz dwóch białych mężczyzn uzbrojonych w sprzęt pomiarowy. Spędzili popołudnie na metodycznym mierzeniu parceli o powierzchni około pięciu kilometrów kwadratowych oraz na zbieraniu -jak się zdawało, na chybił trafił - kamieni, które wsuwali do ponumerowanych, przezroczystych, plastikowych torebek. Maraqo próbował nawiązać kontakt z czarnymi mężczyznami, lecz żaden z nich nie mówił buszmeńskim dialektem. Na czapce jednego z nich rozpoznał logo De Beersa, które widział uprzednio na tablicach przy wejściu do kopalni w Orapie. O zmierzchu konwój odjechał.

Przy następnym księżycu nad obozowiskiem Morafe przeleciał helikopter, napędzając dzieciom porządnego stracha. Maraqo, który nigdy wcześniej nie widział ani samolotu, ani śmigłowca, zastanawiał się, czy to wydarzenie ma coś wspólnego ze zjawieniem się konwoju. Zaczął się lękać. A jeśli Jan udał się do De Beersa i zdradził sekret klanu Morafe? Maraqo odkopał diamenty, które dzieci wciąż regularnie mu znosiły, i ukrył je poza obozowiskiem, w miejscu, którego położenia nikomu nie wyjawiał.

W roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym, goszcząc u kilku plemion z delty Zambezi, francuski etnolog Gaston Chemineau usłyszał o naradzie zwołanej parę lat wcześniej przez Maraqo. Autor *Miejsca ludów Ziemi w nowym porządku światowej gospodarki* nie mógł nie podekscytować się historią owego patriarchy, który usiłował zjednoczyć Buszmenów w walce przeciwko imperialistycznemu De Beersowi. Postanowił zmienić swoje plany i nadłożyć drogi, żeby zahaczyć o Botswanę i spotkać Morafe".

- Zakładam, że będzie pan mógł to wszystko udokumentować? - spytał Gunnar.

- Właśnie w tej sprawie chciałem pana prosić o radę. Wygląda na to, że Chemineau od trzydziestu lat utrzymywał ożywioną korespondencję z innym francuskim antropologiem, Claude em Lévi--Straussem. Myśli pan, że dałoby się sfabrykować list, podrabiając charakter pisma Chemineau, i nadać go z Maputo w Mozambiku ze sfalszowanym stemplem pocztowym?

- Bez dwóch zdań. Lévi-Strauss jest zaznajomiony z działaniem afrykańskiej poczty, nie zdziwi się, otrzymując list od przyjaciela z rocznym czy dwuletnim opóźnieniem. Żeby dobrze wypaść, trzeba będzie odnaleźć wcześniejsze wiadomości i trzymać się korespondencyjnego stylu Chemineau. Tak z głowy, wyobrażałbym sobie coś w tym guście: „Drogi stary druhu, przerywam podróż w górę Zambezi, by poczynić krótki wypad na Kalahari, gdzie, jak mi doniesiono, przebywa zdumiewające buszmeńskie plemię: Morafe. Wygląda na to, że wódz postanowił podjąć walkę z przedsiębiorstwami wydobywającymi diamenty. Najwyższy czas! Napiszę więcej, kiedy dotrę na miejsce”.

- Właśnie o coś takiego mi chodziło - przyznałem, mimo woli pod wrażeniem łatwości, z jaką Gunnar skomponował tę wiadomość. - Czytam dalej: „Maraqo nie zwierzył się Chemineau tak samo prędko jak Janowi. Stary etnolog musiał przywołać swoje zasługi w sprawie Aborygenów i posłużyć się całym arsenałem podstępów, by wyciągnąć z wodza jego historię. Chemineau sądził początkowo, że w nieskładnej opowieści buszmeńskiego patriarchy pobrzmiewają echa paranoi. Zdaniem Maraqo imadło De Beersa zaciskało się powoli, lecz skutecznie. W każdym znaku - w coraz częstszych przejazdach konwojów samochodowych, w osuszeniu źródła - upatrywał kolejnego dowodu na to, że południowoafrykańskie przedsiębiorstwo szykuje się do wysiedlenia Buszmenów. Sam Maraqo zapadł na jakąś chorobę i spodziewał się, że wkrótce umrze. Czy kiedy już odejdzie, Chemineau zgodziłby się zostać rzecznikiem Buszmenów i pokrzyżować diaboliczne plany De Beersa? Chemineau zapewnił solennie, że tak właśnie robi, na co Maraqo wyjawiał mu, gdzie zakopał diamenty”.

- To wszystko? - zapytał Gunnar.

- Na chwilę obecną tak.
- Bardzo dobrze. To porządny scenariusz, bo za jednym zamachem otwiera parę dróg. Rozumie pan, co mam na myśli, prawda?
- Tak sędzę. Musimy się przygotować na reakcję ze strony De Beersa. Najpierw spróbują zidentyfikować tak zwanego Jana. Zdradzę na jego temat tylko kilka szczegółów: pochodzi z RPA, przez długi czas pracował dla De Beersa, a potem został zwolniony. Te detale same w sobie nie pozwolą na ustalenie jego tożsamości.
- W następnej kolejności - podchwycił Gunnar - postarają się zlokalizować obozowisko klanu Morafe. A skoro wystarczy się schylić, żeby nazbierać diamentów wielkości kurzych jaj, naprawdę się do tego przyłożą.
- I tu mamy ich w garści. Klan Morafe nie istnieje, ale oni, rzecz jasna, nie będą o tym wiedzieć...
- Swoją drogą - przerwał Gunnar - myślę, że Chemineau powinien wspomnieć, iż wymyślił tę nazwę, aby chronić klan: całkowicie uzasadniony środek ostrożności, który dodatkowo skomplikuje stojące przed De Beersem zadanie.
- Ale przede wszystkim - podjąłem - zatroszczymy się, żeby nie ujawnić nic na temat miejsca pobytu klanu Morafe. De Beers będzie przemierzał pustynię, prowadząc swoje poszukiwania, a my zawiadomimy organizacje pozarządowe, które wkrótce same dojdą do wniosku, że Chemineau mówił prawdę.
- Oczywiście! - Gunnar nie posiadał się z radości. - „*Vade retro*, panowie diamentarze”, powiedzą, „nie zwiódą nas wasze kłamstwa. Wiemy, że szukacie klanu Morafe, żeby odebrać im ziemię i ukraść złóżę”. W tym tkwi całe piękno podobnych scenariuszy: same się napędzają. Przeczesując Kalahari w celu potwierdzenia plotki, De Beers nada jej formę i tym samym wykona robotę za pana!
- Przed Buszmenami świat stanie otworem, a botswański rząd nie odważy się więcej wydawać zezwoleń na wydobycie - ciągnąłem.
- Czy to za sprawą mojego scenariusza, późnej godziny czy zimnej pizzy, tego nigdy się nie dowiem, lecz w tamtym momencie euforia stała się namacalna.
- Jakie inne drogi miał pan na uwadze? - zapytałem kilka chwil później.

- Ten Jan, który zajmuje centralne miejsce w pańskiej opowieści - ofiaruje mu pan rzeczywisty kształt czy też skaże na pozostanie zjawą?

- A co pan o tym myśli?

- Musimy wyjść z założenia, że De Beers aktywnie poświęci się poszukiwaniom naszego dobrodzieja. Boję się, jak zareagują, jeżeli go nie znajdą. Albo zdadzą sobie sprawę, że ktoś z nimi pogrywa, albo porwą się na niewinne ofiary. Ani tego, ani tego nie chcemy. Niech się pan zwróci do Wydziału Legend, oni dostarczą listę profili, a pan będzie musiał jedynie wybrać taki, który panu odpowiada.

- Wydział Legend? To my mamy jakiś Wydział Legend? -Tak jest. Mieści się w Berlinie i stanowi część Planu. Stale będzie miał pan do nich jakąś sprawę.

- Ale jak to działa?

- Nigdy nie czytał pan powieści szpiegowskich? Nie? A to szkoda. Ha, to całkiem proste. Wyobraźmy sobie na przykład, że trzydzieści lat temu pochodzący z RPA nastolatek nazwiskiem Mark Miller zmarł podczas zagranicznej podróży. Z takiego czy innego powodu nikt nie doniósł południowoafrykańskiej administracji o jego zgonie. Kilka lat później jeden z naszych agentów występuje o akt urodzenia nieboszczyka. W tym celu wystarczy zjawić się w urzędzie miasta miejscowości, w której Mark Miller przyszedł na świat, z niezbyt szczegółowym pełnomocnictwem. Będąc już w posiadaniu wspomnianego aktu, agent wypełnia podanie o paszport i wysyła je pocztą. Sumienny urzędnik zagląda do scentralizowanej bazy danych, która informuje go, iż Mark Miller pozostaje przy życiu. Nic nie stoi na przeszkodzie wydaniu paszportu, który zresztą Wydział Legend będzie co dziesięć lat skrupulatnie odnawiał. Mark Miller staje się odtąd częścią naszego katalogu.

- Ależ to praca na miarę herkulesowej! - wykrzyknąłem, zdumiony fantastycznymi środkami, po jakie sięgał KFR, aby umożliwić mi stworzenie pierwszej teczki.

- Która w znacznym stopniu zautomatyzowała się wraz z rozwojem informatyki. To przede wszystkim cholernie nudne zajęcie, jeśli chce pan znać moje zdanie. Dobrze, ale nie zapomnijmy o kwe-

stii Buszmenów. Żaden z nich nie przypomni sobie, rzecz jasna, żeby brał udział w naradzie z osiemdziesiątego trzeciego roku...

- Nie, ale to nic wielkiego. Istnieją setki buszmeńskich klanów, a w spotkaniu udział wzięło rzekomo ledwie około dwudziestu. I tu Chemineau znowu może pozwolić sobie na pewną nieprecyzyjność, kierując się chęcią utrudnienia De Beersowi zadania.

- Dobra. Panuje pan nad swoim projektem, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Prześpijmy się parę godzin i spotkajmy się tu ponownie koło dziesiątej. Ustalimy, jakie źródła należy sfalszować w pierwszej kolejności, a ja wykonam parę telefonów do innych biur, żeby pańskateczka trafiła na wierzch kupki.

- Dziękuję za pomoc, Gunnarze - powiedziałem. - Nie wiem, co bym bez pana zrobił.

- Beze mnie przestawiałby pan właśnie przecinki w raporcie dotyczącym sabaudzkiej zapory - rzucił dowcipnie.

- Rozkoszna perspektywa!

- Niech mi pan wierzy - odparł - miną dwa tygodnie, a pozazdrości pan kolegom z Baldura, Furusetta i Thorberga.

I tym razem wcale nie żartował.

Gunnar nie kłamał. W całym swoim życiu nie pracowałem intensywniej niż w ciągu kolejnych dwóch tygodni. Tyle było do zrobienia, a tak niewiele czasu.

Kiedy następnego dnia wszedłem do gabinetu Gunnara, zastałem go głęboko pogrążonego w rozmowie z niskim, przysadzistym mężczyzną koło trzydziestki.

- Hej, Sliv- powitał mnie Gunnar. - Filiżankę herbaty? Przedstawiam ci Stéphane'a Brionceta. Stéphane pracuje dla paryskiego centrum. Przyleciał właśnie z Londynu.

- Miło mi pana poznać - odezwał się Brioncet, wyciągając do mnie rękę.

- Stéphane to mój dawny wspólnik. Parę lat temu pracowaliśmy razem nad tym, żeby letnie igrzyska olimpijskie odbyły się w Atlancie.

Nie dając mi czasu na uświadomienie sobie implikacji tego oświadczenia, Gunnar zwrócił się ku gościowi:

- Stéphane, niech pan opowie Slivowi, czego pan dzisiejszej nocy dokonał.

- Z przyjemnością - zgodził się Brioncet. - Dostałem się do domu Chemineau w Ville-d Avray.

- Kto pana wpuścił? - spytałem trochę głupawo. Brioncet uśmiechnął się, łaskawie udając, że wziął moje słowa za dowcip.

- Nikt. Tak się złożyło, że miałem przy sobie pasujący do zamka klucz, więc wszedłem. Zdawało mi się, że jeden z naszych agen-

tów z Reykjavíku pragnął położyć rękę na pewnym manuskrypcie. Przeszukałem gabinet Chemineau, a także bibliotekę - na próżno. W końcu znalazłem tekst w szufladzie szafki nocnej. Najwyraźniej nasz staruszek lubił pracować w łóżku.

- Ma pan manuskrypt? - wykrzyknąłem.

- Oto i on - oznajmił Brioncet, otwierając plecak, wyciągnął z niego czarny folder i wręczył go mnie. - Zwinąłem też dzienniki podróży oraz dziesiątki niewywołanych rolek filmu do aparatu.

- A maszyna do pisania? - przerwał mu Gunnar. - Pomyślał pan o maszynie do pisania?

- Underwood. Model standard numer pięć. Nie było oczywiście mowy o zabranii jej, sprzątaczką zauważyłaby zniknięcie.

- Oczywiście - przytaknął Gunnar. - Dobra robota.

- Przepraszam - wtrąciłem się. - Czy często włamuje się pan do cudzych domów?

Gunnar nie pozwolił Brioncetowi odpowiedzieć.

- Jasne, że nie. Kiedy to tylko możliwe, podzlecamy tego rodzaju operacje, ale w obecnej sytuacji nie mieliśmy wyboru. Gdyby coś poszło nie tak, Stéphane miał się podać za zwykłego złodziejaska.

- Nie mam kartoteki kryminalnej - postanowił wtrącić Brioncet, jakby chodziło o okoliczność tak rzadką, że po prostu trzeba o niej wspomnieć.

- A poprosiłem Stéphane'a, żeby doręczył panu owoc swojej drobnej kradzieży do rąk własnych - podjął Gunnar - ponieważ będziemy pracować wspólnie. Może pan wierzyć lub nie, ale Stéphane jeszcze zręczniejsze imituje style niż otwiera zamki. Pan będzie pisał po francusku albo po angielsku, a on zajmie się przełożeniem pańskich pomysłów na język starego Gastona.

- W samolocie rzuciłem okiem na jego ostatnią książkę. Jest raczej łatwy do naśladowania - stwierdził skromnie Brioncet.

- Jeszcze jedno - podjął Gunnar, nie pozostawiając mi czasu, abym się wtrącił. - Powiedziałem Stéphane'owi, że może go pan zakwaterować u siebie. O ile dobrze pamiętam, ma pan dwa pokoje, prawda? Nie możecie pracować tutaj, ktoś by zauważył.

- Dobrze - wybełkotałem, ponieważ nie wiedziałem, co innego miałbym powiedzieć.



- Dziękuję za pańską gościnność - rzucił Brioncet uprzejmie, jakby zaproszenie wyszło ode mnie.

Gunnar wstał, by zasygnalizować, że spotkanie dobiegło końca.

- No, panowie, do roboty! Będę wam składał dwie wizyty dziennie, rano i wieczorem. Sliv, przekaże mi pan instrukcje, które ja powtórzę reszcie siatki.

Później, ścieląc Brioncetowi łóżko, szykując dla niego czysty ręcznik oraz rękawicę kąpielową, miałem okazję porozmyślać nad niedogodnością tej sytuacji. Miałem przez dwa tygodnie dzielić własne mieszkanie z francuskim kolegą z pracy, o którego istnieniu jeszcze dwie godziny temu nawet nie wiedziałem. Wszystko odbywało się tak szybko i tak płynnie, jakby przeszkody nie istniały...

Na moje szczęście prędko się okazało, że ze Stephane'a był zarówno dobry towarzysz, jak i obrotny profesjonalista. W krótkim czasie stworzyliśmy budzący grozę tandem. Moja wymęczona, akademicka proza zmieniała się w rękach Brionceta w poetycką, soczystą narrację, w której przebijała subtelna mądrość Chemineau. Każdego wieczoru dostarczałem mu dzienną porcję tekstu, wiedząc, że następnego ranka po przebudzeniu czekać na mnie będzie kilka nienagannie wystukanych na maszynie stronic. Niestety, wsparcie genialnego plagiatora nie zwalniało mnie z odbębnienia własnej działki. Wyzaczyłem sobie granicę w postaci około czterdziestu stron: trzydzieści na opowiedzenie historii klanu Morafe oraz obnażenie postawy botswańskiego rządu i De Beersa, dziesięć na spojrzenie z szerszej perspektywy oraz rozpoczęcie debaty na temat prawa poszczególnych ludów do dalszego życia w zgodzie z obyczajami przodków, na przekór naciskom ze strony nowoczesnych społeczeństw. Każdy z tych dwóch fragmentów przedstawiał mnogość odmiennych trudności: w pierwszym ważyłem każde zdanie, świadom, iż wystarczy jedna niekonsekwencja, by skruszyć cały gmach zbudowanego przeze mnie scenariusza; w drugim wysilałem się, aby sformułować kilka oryginalnych myśli, wystarczająco prowokacyjnych, żeby wzniecić dyskusję, lecz na tyle przewidywalnych, by można je było przypisać profesorowi College de France.

Gunnar zgodnie z zapowiedzią wstępował dwa razy dziennie, żeby zapoznać nas z postępem pozostałych prac. Przygodny obser-

wator z łatwością mógłby mnie podczas tych spotkań wziąć za generała rozmieszczającego swe oddziały na polu bitwy i przekazującego rozkazy adiutantowi. Gunnar notował każdą najdrobniejszą uwagę w skórzanym notesiku. Na jedno słowo z moich ust budził agenta dyżurnego w Singapurze, dyktując mu litanie poleceń, które należało wykonać bez chwili zwłoki.

Wydział Legend zaproponował mi cztery tożsamości, spośród których wybrałem Nigela Maertensa. Pracowite dłonie berlińczyków działały teraz nieustannie, aby udokumentować każdy z aspektów scenariusza: obecność jego nazwiska na liście składek emerytalnych De Beersa, jego podróże między Kapsztadem a Antwerpią, konto, które otworzył w BBL i, rzecz jasna, jego zniknięcie w listopadzie 1984 roku. Przypisaliśmy też nazwisko buszmeńskiemu tłumaczowi, który pośredniczył pomiędzy Maraqa a Maertensem. Żeby zbytnio nie szastać legendami, Berlin zasugerował powołanie się na pewnego nieżonatego tłumacza zmarłego w 1987 roku, który był w sam raz prawdziwy, by zadowolić śledczych De Beersa, a przy tym w sam raz martwy, by nie móc odpowiedzieć na ich pytania.

Dziesięć tysięcy kilometrów dalej na wschód, w indyjskim Madrasie, gdzie mieści się biuro odpowiedzialne za kwestie demograficzne, sześć osób tyrało nad moją teczką na pełen etat. Ich misja: przeredagować wszystkie artykuły i publikacje wzmiankujące Buszmenów, systematycznie wyolbrzymiając wycierpiane przez nich niesprawiedliwości. Wedle indyjskich piór z KFR-u Bantu, którzy w rzeczywistości ustanowili swoją dominację dzięki opanowaniu metalurgii, winni byli niewymownych aktów przemocy, gwałtów na buszmeńskich kobietach oraz niewolenia ich dzieci. Anglicy i Holendrzy wcale nie okazali się lepsi: czyż nie zepchnęli Buszmenów na pustynię Kalahari celowo, aby ci pomarli tam z pragnienia? A cóż powiedzieć o hugenotach, którzy niektórym Buszmenom nadali miano Hotentotów, aby wyszydzić ich złożony z „kliknięć” język, przyrównując go do jąkania wioskowego głupka? Madrascy agenci nie oszczędzili też botswańskiego rządu, oskarżając go między wierszami o rozprowadzanie wśród Buszmenów alkoholu w nadziei, iż to przyspieszy ich upadek. Usadowiony przy biurku, poprawiałem zaproponowane teksty i modyfikacje, wiedząc, że Gunnar jeszcze

tego samego wieczoru odeśle je autorom. Czasami prosiłem, by zaakcentowali jakiś świetny, lecz zbyt pobieżnie zarysowany pomysł, czasami podsuwałem inne, dotąd nieopisane, acz prawdopodobne wizje buszmeńskich nieszczęść.

Nie było oczywiście mowy o skorygowaniu każdej książki czy każdego studium. Madras zajął się w pierwszej kolejności dziełami zmarłych już autorów. Te akademickie publikacje i tak nigdy nie doczekują się więcej niż kilku czytelników. Jeżeli z równania usunąć autora, ryzyko zostania zdemaskowanym gwałtownie spada niemal do zera. Stéphane poinformował mnie o innej technice, polegającej na wprowadzaniu zmian do tłumaczeń, podczas gdy oryginał pozostaje bez zmian. Jeśli zdarzyłoby się, że jakiś czujny poliglota porówna oba teksty, naturalną kolejną rzeczą winę przypisze zbytnej swobodzie tłumacza.

W tym samym czasie pewien agent z biura w Johannesburgu przemierzał Botswanę z aparatem fotograficznym, do którego wsunął film przypominający te używane przez Chemineau. Zatrzymał się w kilku buszmeńskich obozowiskach i zrobił ponad trzysta zdjęć: portrety, sceny z życia codziennego, pejzaże - wybrane celowo tak, by nie ukazywały żadnego charakterystycznego punktu - i, oczywiście, parę zbliżeń na dzieciaka, którego poprosił o potrzymanie na otwartej dłoni kupki przezroczystych kamyków. W swoim dziele Chemineau opisywał zachwyty, jaki go ogarnął na widok nieszlifowanych diamentów klanu Morafe, a jego wydawca prawdopodobnie będzie chciał zamieścić kilka fotek z tyłu książki.

Obliczyłem, że przy mojej teczce współpracowało ogółem około pięćdziesięciu osób. Nawet jeśli niektórzy, zwłaszcza ci na najniższych szczeblach hierarchii, wykonywali swe zadanie nieco mechanicznie, to większość włożyła w nie dużo serca i wykazała się podziwu godnym profesjonalizmem. Stéphane, by wspomnieć jedynie o nim, trudił się po osiemnaście godzin dziennie nad nie-swoim projektem. Jaka inna organizacja mogła się pochwalić podobnym oddaniem ze strony swoich członków?

To wsparcie nie było przesadne. Mimo że starałem się wydawać polecenia w możliwie najjaśniejszy sposób, zasypywano mnie prośbami o doprecyzowanie, co z całym okrucieństwem podkre-

śliło mój brak doświadczenia oraz, *a contrario*, sprawność agentów terenowych. Nikt zresztą, poza mną samym, nie wyrzucał mi niezdarności. Ta część projektu okazała się znacznie trudniejsza niż poprzednia. Podczas tych dwóch tygodni ani razu nie poczułem już owej mieszaniny dumy z własnych umiejętności oraz rozradowania, która ogarnęła mnie, gdy tworzyłem buszmeński scenariusz. Tyle było spraw wymagających nadzoru, tyle trzeba było przewidzieć. Jedna linijka, jedno słowo scenariusza mogły pociągnąć za sobą setki godzin pracy. Gunnar zmusił mnie do przelania na papier całości fabuły, nie tylko fragmentu tekstu przypisywanego Chemineau. Kim był Nigel Maertens? Kto był jego kontaktem w Antwerpii? Dlaczego spośród wielu instytucji wybrał akurat Brukselski Bank Lambert? Jakiego rodzaju wodzem był Maraço? Jakim wariantem buszmeńskiego dialektu mówili członkowie Morafe? Stworzyłem sześćdziesięciostronicowy dokument, który Gunnar nazywał biblią. Podczas naszych spotkań atakował ją linijka po linijce i nic nigdy nie uszło jego uwadze. Maertens wspominał o ośmiokaratowym diamencie: czy w roku 1984 poddano w Antwerpii obróbce jakieś kamienie tej wielkości? Czy w latach osiemdziesiątych De Beers faktycznie nadrukowywał swoje logo na czapkach? I czy Brukselski Bank Lambert nie musiałby zgłosić władzom znacznych sum deponowanych u nich w gotówce przez Maertensa? Na jakie maksymalne wpłaty zezwalało prawo?

Mogłem jedynie podziwiać drobiazgowość Gunnara, troskę, z jaką weryfikował każdą hipotezę, z jaką domykał każde uchylone drzwi. Ale jakże niezręczny i niepokładany się czułem w porównaniu z nim! Miałem cichą pewność, że sam nigdy nie osiągnę takiego poziomu skrupulatności. Gunnar jednak jej nie podzielał: to dopiero pierwsza teczka; jeśli tylko naprawdę będę tego pragnął, poczynię szybkie postępy, a moje umiejętności fałszerza dorównają w końcu mojej wyobraźni. Chciałbym móc w to wierzyć.

Nawet dzisiaj przechowuję w pamięci niejednoznaczne wspomnienie tych dwóch tygodni. Presja czasu (nawet Gunnar uznał goniące nas terminy za „próbę sił”) nie pozwalała mi spojrzeć na sprawę z dystansu, a tym bardziej cieszyć się chwilą. Ponieważ nieustannie pochłaniały nas jakieś pilne zadania, Stéphane owi i mnie

prawie nigdy nie udawało się zjeść wspólnie posiłku. Ja gotowałem ogromne ilości makaronu, które starczały mi na pięć do sześciu porcji. Stéphane z kolei przygotowywał sobie kanapki ze wszystkim, co mu wpadło w ręce. Jedliśmy przed ekranami komputerów, niechlujnie i zbyt spieszenie, jak muzycy.

Pewnej nocy, dochodziła właśnie trzecia (Stéphane chrapał w sypialni), nasza mnie ulotna myśl: „Podsumujmy. Jestem w trakcie snucia opowieści o całkowicie fikcyjnym afrykańskim plemieniu, które odkryło złożę niezwykłych diamentów i musi chronić je przed zachłannością południowoafrykańskiego przedsiębiorstwa międzynarodowego. W życiu nie postawiłem stopy w Afryce, nie potrafiłbym wyłowić diamentu spośród sterty szklanych paciorków i nie mam pojęcia o przemyśle wydobywczym. Czy to wszystko na pewno jest rozsądne?”. Podobne pytanie warto by chociaż poddać dogłębnemu zastanowieniu, lecz nie miałem na to ani czasu, ani szczególnej ochoty, wołąc już zawczasu gratulować sobie wpływu, jaki, zgodnie z przewidywaniami, wywrze moja teczka. Zmieniałem świat, ni mniej, ni więcej. Och, pewnie, nie wynalazłem szczepionki na raka, ale moja praca miała odbić się, pośrednio czy bezpośrednio, na życiu paru milionów kobiet i mężczyzn. Botswana będzie musiała poszukać nowych źródeł przychodu, De Beers — zmniejszyć wydobycie na Kalahari. Jeśli chodzi o Buszmenów, pozwalałem sobie na marzenia: być może któregoś dnia wszyscy zostawią ich w spokoju, by mogli żyć tak, jak im się podoba? Kto spośród moich kolegów z uczelni mógł się poszczycić taką siłą oddziaływania?

Jednak była też druga strona medalu, przeciwstawna do tych rojeń: stres sięgający pułapu, jakiego nigdy wcześniej nie zaznałem. Mój organizm, nadmiernie podniecony nierozważnymi dawkami kofeiny, które przyjmowałem, żeby utrzymać się na nogach, znalazł się na skraju wytrzymałości. W ostatnich dniach wybuchałem z byle powodu. Pewnego ranka rzuciłem Stéphanebwi w twarz zapisane przez niego kartki, gdyż zdawało mi się, że celowo przeinaczył sens konkluzji Chemineau. Biedak począł na czworakach zbierać papiery, potem zaś metodycznie wyłożył mi, w jaki sposób moje nieprecyzyjne użycie francuskiego doprowadziło do nieporozumienia. Nawet Gunnar działał mi na nerwy: każda kolejna perora na temat katastrofalnych

skutków, jakie może pociągnąć za sobą najdrobniejszy błąd, podnosiła mi poziom adrenaliny. Kiedy w dość ostrych słowach zwróciłem mu na to uwagę, odparł niewzruszenie, iż mniemał, że jestem w stanie znieść presję, ale że najwyraźniej się pomylił. Tamtego dnia zmusił mnie, żebym na chwilę się położył przed powrotem do pracy.

Trzynastego dnia po południu postawiłem ostatnią kropkę w opowieści Chemineau. Nie mogąc doczekać się wizyty Gunna-ra, postanowiłem wybrać się autobusem do firmy. Gunnar nie wyglądał na zachwyconego moim widokiem, gdy wkroczyłem do jego gabinetu zarośnięty i wygnieciony. Ponownie przeczytał mój tekst, popijając swoją nieodłączną herbatkę, ja zaś padłem bez sił na fotel i wreszcie przestałem walczyć ze zmęczeniem. Gunnarowi chwilę to zajmie, pomyślałem, pozwalając powiekom opaść i z rozkoszą oddając się drzemce. Mój spowolniony mózg nadal przekazywał mi, z coraz dalsza, coraz miękcej, pełne aprobaty pomruki Gunnara, szelest przewracanych kartek, skrzywienie pióra poprawiającego moje literówki, buszmeńskie śpiewy wokół trzaskającego ogniska, ogłuszające oklaski publiczności złożonej z członków KFR-u, zmysłowy głos Leny Thorsen, która przyznawała, że ją prześcignąłem, ucisk dłoni Gunnara na moim ramieniu i...

- A niech mnie, Sliv, pan śpi! - zawołał Gunnar.

- Kto, ja? Ależ skąd! - odparłem, gwałtownie się prostując. - Raczej się zamyśliłem. Skończył pan?

- Właśnie kazałem dostarczyć ostatnie strony Stéphane'owi. Ma roboty na parę godzin. Jutro rano wraca do Paryża, gdzie każe wystukać manuskrypt na maszynie do pisania tego samego typu, jaki posiadał Chemineau. Później wróci do domu w Ville-d'Avray, żeby podrzucić tekst oraz rolki filmu.

- Stéphane... - wybełkotałem, wciąż na wpół pogrążony we śnie. - Muszę mu podziękować. Pod koniec potraktowałem go nieco nieuprzejmie.

- Niech się pan nim nie przejmuje, nieraz już tego doświadczył. Proszę mi powiedzieć, Sliv, czy zanim się pan położy, chciałby się pan może dowiedzieć, co sądzę o pańskiej teczce?

Nie czułem się na siłach, żeby dyskutować o brakach mojego tekstu, dopóki nie zażyję przynajmniej osiemnastu godzin snu.

- Nie miałem zbyt wiele czasu, Gunnar, musi pan to wziąć pod uwagę. Następnym razem pójdzie mi lepiej...

- Na to liczę. Ale mimo to chciałem panu powiedzieć, że to najlepsza pierwsza teczka, jaką czytałem w całej mojej karierze. W sferze źródeł trochę słaba, ale ogólnie rzecz biorąc - znakomita, zwłaszcza zważywszy na ilość czasu, jaką pan dysponował.

Potarłem oczy i policzki, by się upewnić, że już nie śnię.

- Najlepsza, naprawdę? Lepsza niż Leny Thorsen?

- To delikatna kwestia, każde z was ma swój własny styl. Ale tak, w ogólnym rozrachunku pańską uznałbym za lepszą. Będzie jednak jeszcze czas, by o tym pomówić, niech pan teraz wraca do domu.

Zanim zapadłem w sen, zdążyłem jeszcze zadać sobie pytanie, jakież to przewrotny motyw skłania mnie do porównywania się z duńską agentką, którą znałem jedynie z nazwiska.

Nie potrzebowiałem wiele czasu, by zrozumieć, że wywołałem nie-małe poruszenie. Reakcja Gunnara Erikssona zdała mi się dobrą wróżbą; jeszcze bardziej zaskoczył mnie Per Baldur. Pewnego ranka minąłem go na korytarzu biura i pozdrowiłem zwyczajowym „dzień dobry panu”, które nie wymagało odpowiedzi. Ale okazało się, że tak łatwo się nie wywinę. Zaczny staruszek zaraz się rozradował, nigdy wcześniej nie widziałem go w takim stanie. „Ach, ach, nasz Liv!” (Biedakowi nigdy nie udało się zapamiętać mojego imienia; Gunnar zdradził mi któregoś dnia, że pod koniec całkiem pomieszało mu się w głowie). „Nasz mały miłośnik sekretów, a więc to tak! Piszemy sobie w czasie wolnym, hm?” Wybełkotałem kilka słów, a on przerwał mi ze śmiechem: „Narada buszmeńskich plemion w samym sercu botswańskiej pustyni to najlepsza historia tego roku! Mój chłopcze, zetrzemy tych durnych Meksykan na miazgę”. Z tymi słowy uderzył mnie pięścią w ramię i oddalił się, mówiąc do siebie: „Mina Levi-Straussa, kiedy przyszło mu otworzyć tę kopertę, ha, ha, ha!”. Wybuchy jego śmiechu niosące się po korytarzu spowodowały, że obróciło się za nim parę głów.

W przeciągu dwóch dni wieść rozeszła się wśród pracowników Baldura, Furuseta i Thorberga lotem błyskawicy. Nadal nie znałem kolegów z organizacji, lecz niektórych udało mi się zidentyfikować dzięki mrugnięciom, które kierowali w moją stronę w windzie. Wszyscy nosili na twarzach szerokie uśmiechy. Wydarzenia zaczęły zmierzać w pożądanym kierunku.



Nazajutrz Gunnar potwierdził mi to, co już przeczuwałem. Buszmeni zyskali powszechne poparcie. Nie było żadnych wątpliwości co do tego, że pełen cierpień los ludu tak dumnego, a jednocześnie tak wrażliwego na krzywdy, wzbudzi w międzynarodowej publice współczucie, zachłanny botswański rząd zaś jedynie napełni ją pogardą. Och, oczywiście,teczka nie była doskonała. Teraz Gunnar mógł już bez zastrzeżeń mi to powiedzieć; większość moich źródeł cechowała się pewną naiwnością. Arsenał zasugerowanych przeze mnie fałszerstw uznał Eriksson za toporny, a przy tym niekompletny. Nie powinienem się jednak niepokoić. W tej dziedzinie mój projekt znajdował się gdzieś pośrodku skali, na jakiej plasowały się pierwsze teczki. Gunnar ubolewał po prostu, że jeśli chodzi o drugą część zadania, nie rokowałem takich nadziei, jakie zdążyłem wzbudzić, tworząc część pierwszą.

Te uwagi, jak można się domyślić, ukłuły mnie do żywego, tym bardziej że zdawałem sobie sprawę, w jak dużej mierze były zasadne. Zgodnie z naszymi oczekiwaniami sprzątaczką Chemineau natknęła się na manuskrypt oraz zdjęcia i dostarczyła je wydawcy. Ten zaś natychmiast opublikował zawiadomienie o rychłym ukazaniu się pośmiertnego dzieła, ciesząc się w duchu, że tekst został niemalże ukończony i wymaga jedynie drobnej korekty. Stéphane przewidywał, że wydawca będzie chciał skorzystać z medialnego rozgłosu, jaki oferują zwykle Paryskie Targi Książki. To zostawiało nam nieco ponad dwa miesiące na wprowadzenie poprawek i dopracowanie ostatnich szczegółów. Nie było, rzecz jasna, mowy o dalszym modyfikowaniu tekstu Chemineau, który teraz bardziej niż kiedykolwiek stanowił nasz główny punkt odniesienia, nadal jednak mogłem zajmować się całą masą źródeł pobocznych.

Wróciłem więc do swojej teczki, patrząc pod tym właśnie kątem, dorzucając szereg nowych perspektyw, poświęcając się detalom, które wcześniej zlekceważyłem, a które - co pojąłem dopiero teraz - okazywały się absolutnie niezbędne. Czytając ponownie teczkę Leny Thorsen oraz parę innych dostarczonych mi przez Bimarda, zdałem sobie sprawę z przepaści, jaka dzieliła moje talenty bazarza od talentów fałszerza. Bez wysiłku improwizowałem w kwestii prześladowań, których ofiarami padali Buszmeni od dawien dawna,

ale gdy przyszło mi sporządzić listę źródeł do sfabrykowania w celu poparcia tego twierdzenia, nie posunąłem się dalej niż autorzy zwyczajnych doktoratów. Pracując nad tym samym tematem, niejaka Lena Thorsen namnożyłaby zatrzęsienie uwiarygodniających szczegółów: byłyby więc zeszyty z zapiskami odkrywców przechowywane przez muzea w ich rodzinnych miastach; byłaby petycja pewnej brytyjskiej organizacji pozarządowej w sprawie utworzenia statutu prawnego dotyczącego ludności natywnej; rymowana epepeja poety z plemienia Bantu mówiąca o wstydzie gnębicielei; rozsiane po całej południowej Afryce malowidła naskalne nieodwoalnie potwierdzające trasę wędrówki Buszmenów, i tak dalej. Po raz ostatni studiując kartki mojego dzieła, które jedna po drugiej wysuwały się z drukarki, doznałem przeczucia - które później miało się potwierdzić - że w dziedzinie fałszerstwa na zawsze pozostanę mozolącym się przeciętnikiem.

Zauważyłem, z jaką powściągliwością Gunnar zgodził się na przesunięcie mojego ostatecznego terminu o tydzień. Oficjalnie -nie życzył sobie, żebym dopieszczał teczkę zbyt długo. Parę tygodni później pojąłem, że bał się, bym nie przegapił końcowej daty przyjmowania kandydatur do dorocznej Nagrody za Najlepszą Pierwszą Teczke. I rzeczywiście, pewnego dnia, kiedy kończyłem właśnie dodatkowy raport, o który poprosiła rada generalna Sabaudii, do mojego gabinetu wkroczył Gunnar, machając trzymaną w dłoni kopertą.

- Sliv, szczęściarzu! - powitał mnie, wyraźnie zachwycony, że może przekazać mi dobre nowiny. - Coś mi mówi, że angażując pana, postawiłem na dobrego konia.

Położył list na moim biurku. Zrozumiałem, że nie wyjdzie z pokoju, póki go przy nim nie otworzę.

- Kto do mnie pisze?

- Baldur poprosił mnie, żebym przekazał panu tę kopertę. Stempel wskazuje, że nadano ją w Toronto.

- A co jest w Toronto?

- Niech pan otworzy, do diabła, a sam pan zobaczy.

Na zwykłej, pozbawionej jakichkolwiek oznaczeń kartce papieru niejaki William N. Dakin informował mnie, że mój projekt ***Diamenty z Kalahari*** znalazł się wśród pięciu finalistów do Nagrody

za Najlepszą Pierwszą Teczke 1992 roku. Zapraszał mnie na przyznanie trofeów, które odbędzie się dziewiętnastego czerwca w Honolulu. Koszty transportu oraz zakwaterowania zostaną oczywiście pokryte. Honolulu? Z własnej inicjatywy z pewnością nigdy bym się tam nie wybrał, ale skoro dawali mi bilet... Gunnar niemal wyrwał mi list z rąk.

- Gratulacje, drogi chłopcze, świetna robota. Ach, może się pan przechwalać, że napędził mi stracha! Wcale się panu nie spieszyło, już myślałem, że nas pan zdyskwalifikuje.

-Trzeba mi było o tym powiedzieć, pracowałbym szybciej!

- Odwalając robotę byle jak, nie, dziękuję! Poza tym regulamin zastrzega, że żółtodzioby nie mogą wiedzieć o istnieniu nagrody przed złożeniem teczki. No dobrze, przed panem najtrudniejszy etap. Baldurowi udało się rzucić okiem na listę zakwalifikowanych. Meksykanin, Sudańczyk, Indonezyjka oraz Włoszka. Pan reprezentuje najmniejszy kraj — i to bez porównania - ale to jeszcze nic nie znaczy.

- Meksykanin? - W pamięci zjawily mi się słowa Pera Baldura.

-Tak jest - podjął wyjaśnienia Gunnar. - Każdego roku umieszczają w finale jednego czy dwóch typków, aż można by pomyśleć, że przygotowują ich wyłącznie pod tym kątem. Swoją drogą, później niekoniecznie robią karierę. Natknąłem się na jednego z nich zeszłego lata w Singapurze. W osiemdziesiątym czwartym zajął trzecie miejsce, wykształcony, bystry, szalenie sympatyczny chłopak. No i cóż, może mi pan wierzyć albo nie, ale ciągle czekał jeszcze na awans do drugiej klasy.

- A to niedobrze?

Po skonsternowanym wyrazie, jaki przybrała twarz Gunnara, poznałem, że owszem, niedobrze.

-Jeśli po czterech, no, maksymalnie po pięciu latach nadal jest się agentem pierwszej klasy, to jest to powód do zmartwienia. Och, wyrzucić delikwenta nie wyrzucimy, gryzipiórków zawsze nam potrzeba, ale może się taki pożegnać ze służbowym samochodem, seminariami na Mauritiusie i wszystkim, co za tym idzie.

- Niech mi pan powie, Gunnarze, to pierwszy raz, kiedy jeden z pańskich podopiecznych dotarł aż do finału?

- Pan jest drugi.
- A pierwszą była...
- Lena Thorsen, tak. W osiemdziesiątym dziewiątym. -1 jak jej poszło?
- Drugie miejsce, pokonana przez Meksykanina. Perowi tkwi to ością w gardle. Nie wybije mu pan z głowy przekonania, że Mek-sykańce podkupili jury.
- A pan, Gunnarze, co pan o tym sądzi?
- Ze zważywszy na kiepską jakość jej scenariusza, nie mogła liczyć na więcej. Teczka tamtego Meksykanina była lepsza, dotyczyła tych złóż ropy, o których panu opowiadałem.
- A niech mnie, pomyślałem, nieźle jak na pierwszą teczkę.
- A ja, Gunnarze, uważa pan, że mam szansę? Długo się namyślał, zanim odrzekł:
- Może pan mieć spore szanse. Wie pan, co sądzę o drugiej części, mieliśmy już okazję o tym mówić. Ale pański scenariusz, Sliv, pański scenariusz sprawił, że oczy powychodziły im z orbit.
- Na to stwierdzenie przez głowę przemknęła mi pewna myśl.
- A zatem mój projekt został zatwierdzony?
- 1 to jak! Od dziś nie jest pan już żółtodziobem, ale agentem Dartunghuverem, klasa pierwsza. Niezwłocznie pójdzie pan do in-tendentury odebrać mundur.
- Mundur? Nigdy nic pan nie wspominał... Gunnar wybuchnął śmiechem.
- Ach, ten Sliv! Cóż za odświeżająca niewinność! Od razu idę to powtórzyć Baldurowi.

- Znałem Gastona Chemineau - oznajmił Angoua Djibo. - Wiele zrobił dla afrykańskich ludów.

Wokół nas krzatali się kelnerzy hotelu Hyatt w Honolulu, uprzątając ze stołu, lecz ja schwyciłem swój kieliszek czerwonego wina, ogrzewając je w dłoniach. Magawati Donogurai, kandydatka z Indonezji, spojrzeniem zachęciła mnie, bym coś odpowiedział. Myślę, że wszyscy pragnęliśmy przedłużyć tę rozmowę, o ile się tylko dało.

- Tego jestem pewien - odparłem nieco banalnie. - Afryce brakuje prawdziwie utalentowanych stronników. Chemineau był prawdopodobnie jej najlepszym adwokatem.

Ledwie słowa te wyszły z moich ust, a uświadomiłem sobie, jaką palnąłem głupotę. Angoua Djibo urodził się i wychował w Kamerunie. Potem studiował w Europie i w Stanach Zjednoczonych, lecz zapał, z jakim godzinę temu bronił Buszmenów, dowodził niezbitcie, że serce wciąż miał afrykańskie. A dochrapawszy się rangi dyrektora Planu w konsorcjum, sam zaliczał się do niewielkiej grupy osób na całym świecie, które faktycznie mogły pomóc Czarnemu Kontynentowi.

- Może nie najlepszym - poprawił uprzejmie - lecz niewątpliwie jednym z najlepszych. - Odwrócił się, by wezwać kelnera i poprosić go o przyniesienie karty win. - To, że przebywamy na amerykańskiej ziemi, nie znaczy jeszcze, że musimy ograniczać się do kalifornijskich cabernet sauvignon - wyjaśnił. Włożył okulary, pograżył w lekturze spisu i wskazał kelnerowi czerwone bordeaux.

Miał około pięćdziesiątki. Jego krótkie, kędzierzawe włosy zaczynały siwieć, ale wciąż był niezwykle przystojnym mężczyzną. Muszę zaznaczyć, że jego urok działał nie tylko na młode kobiety: nawet Fernando de la Pena, którego żadnemu z nas nie udało się dotąd rozweselić, dosłownie spijał słowa z jego ust. Djibo sprawiał wrażenie, jakby doskonale przyswoił sobie wszystkie możliwe kultury. Kiedy dyskutowaliśmy o szczególnym losie Islandii, zdało mi się, że mam przed sobą Skandynawa, wielbiącego sprawiedliwość społeczną pacyfistę. Potem rozmawiał z de la Peñą o dążeniach niepodległościowych chłopstwa z Chiapas w całkowicie południowoamerykańskiej odmianie hiszpańskiego, nie mającej nic wspólnego z kastylijskim, którego uczyłem się na uniwersytecie. Youssef Khrafedine, sudański kandydat, którego Djibo wypytywał o obowiązujące obecnie w jego ojczyźnie prawo Koranu, wyznał mi później, że był zdumiony jego znajomością zasad szariatu. Ale Djibo zyskał nas sobie przede wszystkim swoją uprzejmością oraz ciekawością. Treść naszych pięciu teczek miał w małym palcu i każdego uraczył miłym słowem.

Restauracja była już niemal pusta. Nasz kelner chyba się bał, że zapuścimy korzenie, bo wrócił do stolika wielkimi krokami, trzymając butelkę za szyjkę i wymachując nią niczym maczugą. Djibo potrząsnął smutno głową i chwycił butelkę, dając kelnerowi znak, że może odejść. Spostrzegłem wówczas, że było to chateau-haut-brion, rocznik 1983. Nie znałem się za bardzo na winach, ale wiedziałem tyle, by zdawać sobie sprawę, iż taka butelka kosztuje kilkaset dolarów. Djibo zauważył moje zaskoczenie.

- Jeśli nie skosztujemy takiego trunku dziś wieczorem, to kiedy? - spytał z uśmiechem. - Widział pan tego kelnera? Pomyślałby kto, że niesie nam lemoniadę.

- Uwielbiam dobre wino - odezwała się włoska kandydatka, Francesca Baldini, nieco już podchmielona, nieświadoma, że cena tej konkretnej butelki przekracza pewnie kwotę najmu jej mieszkania w Bolonii.

Djibo zaczął nam nalewać. Wywiązał się z zadania znakomicie, kończąc tym nieznacznym ruchem nadgarstka, który cechuje wpraw nego sommeliera. Tylko Youssef Khrafedine zakrył kieliszek dłonią.

- Dziękuję. Nie piję alkoholu.

- Ja zazwyczaj też nie - wtrąciła ze śmiechem Magawati Donogurai.  
— Ale coś mi mówi, że dziś trzeba zrobić wyjątek.

-Ja nie robię wyjątków - odparł Youssef, może trochę bardziej sucho, niż to było konieczne. Magawati zgarbiła ramiona.

Patrzyliśmy, jak Djibo kręci kieliszkiem, a następnie unosi go do ust. Jego twarz rozjaśniła się szczęściem.

- No dobrze. Temu przyglupowi nie udało się całkiem go zrujnować.

Przez parę minut nikt nic nie mówił, nawet Youssef, który przyglądał się, jak delectujemy się małymi łydkami naszego haut-brion. Wreszcie to Magawati ponownie zabrała głos, przerywając milczenie i pytając Djiba, czy dostrzegł w naszych teczkach jakieś elementy wspólne.

- Co mnie uderzyło - odrzekł - to ich idealizm.

- Chciał pan powiedzieć: ich naiwność - odparła przekornie Magawati, której buntowniczy wygląd w połączeniu z posturą rumuńskiej gimnastyczki przydawał niesamowitego uroku.

- Nie - zaprotestował Djibo. - Ich idealizm. Dwie spośród nich dotyczą ekologii. Trzecia bada owady, zapytując, czy mogą nas one czegoś nauczyć. Czwarta pochyła się nad pokrzywdzonym przez historię ludem, któremu grozi wyginięcie, jeśli nie zwrócimy na niego baczniejszej uwagi. W naturalny sposób przyrównałbym ją do dwóch teczek o tematyce ekologicznej; wyczuwa się w niej to samo przynaglenie, tę samą chęć, by bić na alarm i działać póki czas. Jeśli chodzi o piąty projekt, to chociaż koncentruje się na postaci konkwistadora Corteza, nie sposób nie pomyśleć przy okazji o losie cywilizacji zmiecionych z powierzchni ziemi przez chrześcijańskiego najeźdźcę.

- Kościół katolicki ma na sumieniu wiele przelanej krwi -stwierdził nieco sentencjonalnie Youssef Khrafedine. Jakoś nie czułem się na siłach, by podjąć z Sudańczykiem dyskusję na ten temat, być może dlatego, że mierzył dwa metry wzrostu i musiał ważyć ze sto dwadzieścia kilo.

- Wszystkie kościoły dały na tym czy innym etapie rozwoju wyraz nietolerancji - odrzekł spokojnie Djibo, jakby próbował zapobiec zaostrzeniu się naszej wymiany zdań.

- Ten idealizm - podjąłem - to dobra czy zła rzecz?

Djibo wydawał się zaskoczony moim pytaniem.

- Oczywiście, że dobra. Zaniepokoiłbym się, gdyby się okazało, że młodzi porzucili już jakkolwiek nadzieję na zmienienie świata. Jest na tej ziemi tyle spraw do naprawienia.

- I to KFR mają naprawiać? - spytałem śmiało.

- Widzę, do czego pan zmierza, Sliv - rzucił Djibo. - Powiedzmy, że to częściowo nasza rola i właśnie dlatego potrzebujemy idealistów. Ale potrzebujemy także pragmatyków - albo realistów, nieważne, jak ich nazwiemy - aby osiągnąć inne cele naszej organizacji.

- Którymi są...? - zagadnęła Magawati.

- Tego dowiecie się w swoim czasie. W piątek Ismail Habri wygłosi dla was wykład na temat głównych założeń Planu Trzyletniego. To trochę rozjaśni wam sytuację. Póki co zostawiliśmy wam wolną rękę, ale odtąd wasze teczki muszą wpisywać się w zalecenia Planu. Może odniesiecie wrażenie, że tracicie na niezależności, ale za to zyskacie wsparcie oraz spójność. Wierzcie mi, kiedy wszystkie tryby organizacji takiej jak KFR pracują z tym samym założeniem, naprawdę możemy zmienić świat, w większym stopniu, niż którekolwiek z was zdołałoby tego dokonać w pojedynkę, w większym stopniu, niż mogłoby wam się to nawet zamarzyć.

Jeszcze przez jakiś czas siedzieliśmy i rozmawiali. Gdy tylko któryś z naszych kieliszków został opróżniony, kelner wynajdywał sposób, by go przechwycić. Kiedy zaczął nakrywać stoliki wokół nas do śniadania, zrozumieliśmy, że czas zwinąć obóz. Djibo życzył nam dobrej nocy i oświadczył, że wróci w sobotę na oficjalne rozdanie nagród.

Gdy drzwi windy otwarły się na ósmym piętrze, gdzie znajdowały się nasze kwatery, Francesca i de la Peña od razu udali się na spoczynek. Ja, Magawati i Youssef kontynuowaliśmy konwersację na progu mojego pokoju, a potem zaprosiłem ich do środka, by poddać inspekcji zawartość minibaru. W ogóle nie chciało nam się spać.

- Te pokoje są naprawdę gigantyczne - zachwyciła się Magawati.

- Moje mieszkanie w Reykjavíku bez problemu zmieściłoby się w łazience - odparłem, tylko odrobinę przesadzając.

- Dobra, co my tu mamy? - rzuciła Magawati, otwierając minibar. - Koniak, whisky, wódka...



- Dla mnie koniak - poprosiłem.
- Mam też napoje gazowane i sok pomidorowy dla Youssefa
- ciągnęła Magawati.
- Gardzę tobą - oznajmił Youssef, uśmiechając się mimo woli.
- I wiesz, że prawdziwi przyjaciele nazywają mnie Kili.
- Kili?
- Od Kilimandżaro, najwyższej góry w Afryce - wyjaśnił Youssef, stając na palcach.
- Dobrze! - Magawati parsknęła śmiechem. - Ja jestem Maga.
- Zapamiętam - odparł Kili. - Dobra, podrzuć colę, Maga.
- Cieszę się, że nie zdecydowałeś się na sok pomidorowy
- oznajmiłem, uznając, że nadeszła moja kolej, by mu podokuczać.
- Maga i ja możemy go wkrótce potrzebować do krwawych mary.
- Youssef zręcznie złapał rzuconą przez Magawati puszkę i usiadł na fotelu, który prawie wcale nie ugiął się pod jego ciężarem. Trzeba zaznaczyć, że w świetle amerykańskich standardów Kili posiadał niemalże figurę primabaleriny. Magawati wyciągnęła się na materacu z pilotem od telewizora, ja zaś oparłem się plecami o łóżko, przycupnąwszy wprost na podłodze.
- Nie wiem, czy wolno nam o tym rozmawiać - zacząłem - ale jak trafiliście do KFR-u?
- Kili spojrzał na mnie z uwagą, jakby w duszy rozważał stosowność udzielenia mi odpowiedzi. Magawati z kolei odwróciła się do nas plecami i przeskakiwała kompulsywnie z kanału na kanał.
- No dobrze - odezwał się w końcu Youssef. - Nie widzę, w jaki sposób mogłoby to komuś zaszkodzić. Djibo sugerował nawet coś całkiem odwrotnego, prawda?
- Ściślej mówiąc, powiedział, że możemy wiele się od siebie nawzajem nauczyć. Tak jak i Youssef, zinterpretowałem te słowa jako zachętę do wymiany doświadczeń.
- Absolutnie - zgodziłem się. - Jeśli chcesz, ja opowiem swoją historię jako pierwszy.
- I ze szczegółami opisałem rekrutację do Baldura, Furusetta i Thorberga, pierwszą misję na Grenlandii oraz sposób, w jaki Gunnar Eriksson rozsiewał wokół siebie wskazówki, które przyciągnęły moja uwagę.

- Fascynujące - ocenił Youssef. - U mnie odbyło się to tak samo, co do najdrobniejszego detalu. Odpowiedziałem na ogłoszenie Banku Światowego w Chartumie, przeszedłem przez cztery rozmowy kwalifikacyjne z moim przyszłym zwierzchnikiem, bardzo sympatycznym Egipcjaninem koło pięćdziesiątki, który następnie kazał mi uzupełnić szereg testów psychologicznych. Moje pierwsze zadanie polegało na napisaniu raportu o niedawnej reformie polityki rolnej sudańskiego rządu...

- To twój zawód? - spytała zza moich pleców Magawati. Zdążyłem już niemal o niej zapomnieć.

-Tak. Bank Światowy pożyczył Egiptowi i Sudanowi ogromne sumy, więc mamy prawo sprawdzać, czy wprowadzane przez rządy tych krajów zmiany gospodarcze zmierzają w dobrym kierunku. W skrócie, oparłem się na kilku wcześniejszych raportach, które podsunął mi szef, i wykryłem w nich chmurę sprzeczności, z których niektóre wyglądały raczej na sabotaż niż na błędy wynikające z nieuwagi. Ale w przeciwieństwie do ciebie, Sliv, nie poszedłem zobaczyć się z szefem - wysłałem mu swoją rezygnację.

- Dość radykalnie - uznała Magawati. - Zawsze jesteś taki impulsywny?

- Powiedzmy, że nie zamierzałem pracować ani dnia dłużej dla tak nieprofesjonalnej organizacji - odparł Youssef, unikając bezpośredniej odpowiedzi na pytanie.

-I co zrobił twój przełożony? - chciałem wiedzieć.

- Złapał mnie za rękaw i zaserwował opowieść niemal identyczną jak ta, którą ty sam usłyszałeś. Kazał mi w swojej obecności przeczytać starą teczkę, nie pozwalając, żebym ją zatrzymał. To mnie strasznie zdenerwowało.

Wspomniałem Gunnara, który zostawił mi teczkę Leny Thor-sen na całą noc. Okazał mi zaufanie czy też miał obserwatorów gotowych deptać mi po piętach, gdybym opuścił mieszkanie? Skłaniałem się raczej ku tej drugiej hipotezie... Youssef chyba czytał mi w myślach, gdyż podjął:

-Tak czy inaczej, nigdy nie pozwalają zachować niczego kompromitującego: żadnych teczek, żadnych służbowych notatek, żadnej poczty. Kiedy wpada mi w ręce coś ważnego, mogę być pewny,

że mój szef znajdzie pretekst, by mi to odebrać, zanim zdążyłbym dotrzeć do kserokopiarki.

Ujrzałem ponownie Gunnara, który osobiście przyniósł mi list o nominacji, skierowany rzekomo do mnie. Kazał mi odczytać go na głos, a potem wyszedł razem z nim. A zatem nie było wątpliwości: nadal mi nie ufał.

- Mój szef w Dżakarcie regularnie urządza w biurach przeszukania, żeby znaleźć ewentualne mikrofony czy urządzenia nagrywające - dorzuciła Magawati. - Raz powiedział mi w żartach, że korzysta z usług tej samej firmy co indonezyjskie tajne służby.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - skomentował Youssef pośpiesznie. - A ty, Maga, jak dołączyłaś do KFR-u?

- Mój przypadek jest nieco inny - odparła Magawati, chwilowo wyłączając dźwięk w telewizorze. - Jestem od was trochę starsza. Studiowałam zarządzanie w Stanach Zjednoczonych i od pięciu lat pracowałam w firmie rodziców, kiedy zwróciło się do mnie przedsiębiorstwo rekrutacyjne.

- Co robią twoi rodzice? - przerwał Youssef.

- Mają licencję na import fordów do Indonezji. Zajmowałam się księgowością i finansami. Zresztą nadal trochę im pomagam.

- A ten rekruter, czego chciał? - zapytałem.

- Zaproponował mi stanowisko w dużej spółce zajmującej się PR-em. Ten sektor mnie interesował, a pensja była bardzo dobra; nie wahałam się długo.

- Na jakiej podstawie cię wybrali? - dociekałem.

- To samo pytanie zadałam podczas pierwszej rozmowy z rekruterem. Odparł, że to klient polecił mu do mnie zadzwonić. Mimo wielu wysiłków, nigdy nie udało mi się ustalić, kto mu podszeptał moje nazwisko.

- Ciekawe - stwierdził Youssef zamyślony. - To znaczy, że czasami wyszukują kandydatów bezpośrednio według profilu, który ich interesuje.

A zatem wszyscy nowi rekruci doświadczyli mniej więcej tych samych stanów ducha, które uważałem dotąd za wyjątkowe dla siebie. Nie byłem już sam, co - jak zwykle takie odkrycia - przepełniło mnie mieszaniną otuchy i rozczarowania.

- Moja kolej, by zadać pytanie - oświadczyła Magawati. - Macie jakieś pojęcie na temat liczby członków KFR-u w waszych jednostkach? Osobiście znam tylko mojego szefa.

- Powiedziałbym, że prawdopodobnie jakieś dziesięć osób, ale mógłbym zidentyfikować ledwie połowę z nich - odparłem.

- Mój szef, oczywiście - zaczął Youssef, odliczając na palcach.

- Dokumentalistka z biura w Kairze - co bardzo się przydaje - analityk kredytowy i ja. Ale podejrzewam, że w Banku Światowym aż roi się od agentów, i to nie tylko w Chartumie.

- To wydawałoby się logiczne - rzekłem. - Gdybym był szefem KFR-u, zacząłbym od zinfiltrowania organizacji międzynarodowych.

- Skoro mowa o szefach - odezwała się Magawati, która znów zaczęła skakać po kanałach - ten Djibo jest dość czadowy, nie?

- Masz na myśli: niezwykle imponujący, tak - rzuciłem, wciąż czując się mocno oderwany od rzeczywistości.

- Powiedzmy, że wykazuje pewną charyzmę - sprecyzował Youssef, zanim dodał: - Poza tym, odniosłem wrażenie, że nie jest uprzedzony do muzułmanów.

- Zważywszy na jego pozycję, nie sądzisz, że to absolutne minimum, jakiego można by od niego wymagać? - zapytała Magawati, która tymczasowo zdecydowała się na stary czarno-biały film.

- Zdziwiłabyś się - odparł Youssef- ilu ludzi w Banku Światowym wznosi oczy do nieba, słysząc muzułmanina wzywającego imienia Allacha, podczas gdy składanie przysięg z ręką na Biblii wydaje im się całkowicie normalne.

- Do czego, waszym zdaniem, nawiązywał, kiedy mówił o innych celach KFR-u?

- Dowiesz się tego w swoim czasie, Sliv - odparła Magawati, naśladowując, całkiem udatnie, ciepły głos Djiba. - Co ja mogę wiedzieć? Może chodzi o coś, czego pragną wszystkie organizacje: o władzę? Pieniądze?

- Wpływy? - zasugerowałem.

- Ale wpływy pożytkowane w jakim celu? - spytał Youssef.

- Na pewno mają jakiś program, jakąś doktrynę...

- To dla ciebie takie ważne?

- Wręcz pierwszorzędne - odrzekł Youssef. - Dołączyłem do KFR-u, żeby zmieniać świat, ale nie jest mi obojętne, w jaki sposób czy w jakim kierunku.

- A w jakim kierunku chciałbyś go zmienić? - dopytywałem.

- No cóż, po pierwsze, wierzę w pewną liczbę podstawowych wolności: wolność słowa, wolność przemieszczania się, wolność wyznania, prawo narodów do samostanowienia...

- Prawo do demokratycznych rządów? - podsunęła Magawati, która oglądała obecnie mecz koszykówki.

- Niekoniecznie w takim znaczeniu, w jakim ty to rozumiesz - odparł Youssef, który najwyraźniej zastanawiał się nad tą kwestią już wcześniej. - Długo moglibyśmy dyskutować, jaki reżim daje największą gwarancję, że te podstawowe wolności, o których właśnie wspomniałem, zostaną zapewnione. Wielu filozofów uważa, że monarchie konstytucyjne, na przykład skandynawskie, osiągają na tym polu lepsze wyniki niż demokracje w rodzaju Stanów Zjednoczonych.

- Albo Indonezji - uzupełniła Magawati. - Zgadza się z tobą. Jakie jeszcze zasady są drogie twojemu sercu?

- Zobaczymy - zaczął Youssef. - Umocnienie równości kultur, ochrona planety i zachowanie jej zasobów, wyzwajająca potęgę nauki i wiedzy...

Magawati łaskawie ściszyła mecz i odwróciła głowę.

- Nie słyszę, żebyś rozwodził się nad równością płci, drogi Kili - powiedziała. - A może uważasz, że to by się kłóciło z zasadą wolności religijnej?

Youssef nie dał się wyprowadzić z równowagi.

- Bez wątpienia nawiązujesz do faktu, że jestem muzułmaninem? - spytał spokojnie.

-Ja też jestem muzułmanką - odparła Magawati. - Ale, w przeciwieństwie do ciebie nie daje mi to prawa do ukamienowania małżonka, jeśli okaże mi niewierność, ani do żądania od niego, by zakrywał się od stóp do głów, kiedy wychodzi na ulicę.

- Rozumiem - rzucił Youssef tonem, który mówił: „Rozumiem przede wszystkim, że mam do czynienia z feministką pierwszej wody”.

- A ty, Maga, też się zatrudniłaś, żeby móc osiągnąć osobiste cele? - zapytałem, tak ze szczerzej ciekawości, jak i po to, by rozluźnić atmosferę.

- Moja lista nie jest tak długa jak Youssefa - odrzekła Ma-gawati z nutką drwiny - ale powiedzmy, że nie zmartwiłabym się, widząc miliard kobiet pozbawionych dziś prawa głosu udający się pewnego dnia do urn.

- A co pozwala ci sądzić, że KFR podziela twój pogląd?

- Póki co nic. Ale sam fakt, że indonezyjski rekruter mnie zatrudnił - mnie, młodą kobietę, która żyła wcześniej w Stanach Zjednoczonych - wydał mi się raczej dobrym znakiem.

- Tak czy owak - podjąłem - dostrzegam w was obojgu spore pokłady anielskości. Nie wiecie o konsorcjum nic poza tym, że dobrze płacą, stosują metody tajnych agentów i prawdopodobnie umieścili nasze linie telefoniczne na podsłuchu. Zgadzam się, że istnieje szansa, iż celem KFR-u jest ratowanie małych foczek i zapewnienie muzułmańskim kobietom prawa głosu, ale nie dałbym sobie za to ręki uciąć. Równie łatwo można sobie wyobrazić, że KFR to swego rodzaju zbrojne ramię międzynarodowych korporacji albo że pragnie zyskać kontrolę polityczną nad światem Zachodu.

- Faktycznie można to sobie wyobrazić - zgodził się Youssef, a jego ton wcale nie złagodniał - ale ja uważam, że to mało prawdopodobne. Wierz mi, Sliv, przez pięć lat studiowałem filozofię i etykę i taki, co by mnie zmusił do działania wbrew własnym przekonaniom, jeszcze się nie narodził. Na razie napisałem tylko jedną teczkę i nie sądzę, żeby stworzenie nadchlorofilowego fińskiego lasu mogło wielu osobom zaszkodzić, chyba że zakładamy, że nadrzędnym zamysłem KFR-u jest unicestwienie europejskiego przemysłu papierniczego.

- Podzielam opinię Youssefa - oznajmiła Magawati, zwracając się w moją stronę. - Oczywiście chciałabym wiedzieć więcej na temat celów KFR-u, ale dopóki będę odnosiła wrażenie, że swoimi teczkami przyczyniam się do czegoś pożytecznego, gotowa jestem obdarzać ich zaufaniem.

- Raz już złożyłem rezygnację. - Youssef poszedł o krok dalej. - Nie zawaham się zrobić tego ponownie, jeśli się dowiem, że mnie okłamali lub zmanipulowali.

- W to nie wątpię - odparłem. - Ale czy oni ci na to pozwolą? Ponieważ ani ty, ani ja nie słyszeliśmy przed przystąpieniem nic o konsorcjum, coś mi mówi, że byli agenci nie biegają sobie po ulicach. Naprawdę sądzisz, że twój szef pozwoliłby ci wrócić do cywila?

- Wspominał coś o miksturze wywołującej amnezję - odezwał się Youssef nieco mniej stanowczo.

- Słyszałam tę samą historię - dodała Magawati.

- Bzdury! - zawołałem trochę głośniejszym głosem niż zamierzałem. - Takie magiczne napoje nie istnieją.

- No ale w takim razie - podjęła Magawati, wyraźnie przejęta

- jak sobie z tym radzą?

- Nic na ten temat nie wiem i właśnie to mnie martwi. Techniki, które w pierwszej kolejności przychodzą mi do głowy, mają więcej wspólnego z praniem mózgu niż z cudownym lekarstwem...

Wyczułem, że moje słowa zadziałały niczym chłodny powiew. Magawati wyłączyła telewizor. Nagle cisza stała się ogłuszająca.

- A ty, Sliv? - Youssef zaczął pospiesznie. - Zachęcaj nas do mówienia, ale sam niewiele zdradziłeś.

Było to jedno z pytań, które budziło we mnie wątpliwości. Zadawałem je sobie od sześciu miesięcy, ale wciąż nie znalazłem satysfakcjonującej odpowiedzi.

- Och, ja... - westchnąłem. - Obawiam się, że moje aspiracje są dużo mniej szlachetne od waszych. Do KFR-u przyciągnął mnie przede wszystkim aspekt rozrywkowy. Nigdy nie przypuszczałem, że mógłbym tak dobrze się bawić i jeszcze dostawać za to pieniądze.

- Chcesz powiedzieć, że to, o czym mówił Youssef, jest ci obojętne? - spytała Magawati tonem, w którym dało się słyszeć rozczarowanie.

- Nie, oczywiście, że nie - odparłem, czując się niezręcznie.

- Podzielam na przykład pogląd Youssefa w kwestii środowiska. Dorastałem na wsi, w małym, dzikim i przepięknym kraju, i gotów jestem walczyć, by moje dzieci też miały taką możliwość. Ale jeśli chodzi o prawa narodów do samostanowienia albo kobiet do głosowania, to nie widzę, jaki wpływ mógłbym wywrzeć.

- To jakiś idiotyzm! - wykrzyknęła Magawati. - Możesz sobie chronić islandzkie wybrzeża, ale nie sudańskie kobiety? Jaki jest sens

w posiadaniu widoczków jak z obrazka, skoro połowa ludzkości nie może ich podziwiać, bo jest uwiązana w kuchni?

- Nie unośmy się - przerwał jej Youssef możliwie najłagodniejszym tonem.

- Będę się unosiła, kiedy mi się spodoba - mruknęła Magawati.

- Sliv - podjął Youssef-ja ci nie wierzę. Przejrzałem wczoraj wieczorem twoją teczkę. Nie czytałem jeszcze pozostałych, ale nie wiem, co mogłoby ci przeszkodzić w zdobyciu nagrody. Może i wstąpiłeś do KFR-u, żeby się zabawić, ale moim zdaniem wyraźnie widać, że na tym nie poprzestałeś. Dobrze wiem, jak działają organizacje międzynarodowe: wierz mi, twoja teczka da Buszme-nom więcej niż wszystkie petycje organizacji pozarządowych razem wzięte. Od czasu do czasu państwa zachodnie spoglądają w lustro i jeśli nie podoba im się to, co widzą, czują się w obowiązku wykonać jakiś gest, spowolnić nieodwracalny bieg tego ich tak zwanego postępu o kilka lat albo i kilka pokoleń. I tym razem skorzystają na tym Buszmeni. Tym lepiej dla nich, ale ja będę wiedział, komu zawdzięczają wybawienie.

- Naprawdę, Kili, nie wiem, co powiedzieć - wybełkotałem, wielce zakłopotany. - Zapewniam cię, że wcale o tym nie myślałem, kiedy rozwijałem scenariusz.

-1 znowu ci nie wierzę. Być może nie dostrzegłeś wszystkich implikacji, ale skoro byłeś w stanie napisać ten scenariusz, to znaczy, że wiesz, jak nasz świat funkcjonuje. Zauważyłeś pewną niesprawiedliwość i uznałeś, że dasz radę ją naprostować.

- Możliwe - przyznałem, rozmyślnie pozwalając, by w moim głosie zabrzmiało powątpiewanie. - A czego dotyczy twoja teczka? Wspominałeś o jakimś fińskim lesie - rzuciłem, pragnąc odwrócić od siebie uwagę.

-To jedna z dwóch teczek o tematyce ekologicznej, o których mówił Djibo - odrzekł Youssef. - Użyczyłem faktycznie istniejącemu lasowi na północy Finlandii niezwykłych biologicznych właściwości. Dzięki wyjątkowemu składowi zawieranego przez nie chlorofilu, drzewa w Karigasniemi pochłaniają każdego roku około pięciu milionów metrów kwadratowych dwutlenku węgla na kilometr kwadratowy, czyli prawie piętnaście razy więcej niż puszcza amazońska.



- Boskie! - zawołała Magawati.
- Pozwól, że odgadnę resztę - powiedziałem. — Amerykańska korporacja międzynarodowa szykuje się do wyrżnięcia lasu, nie zważając na konsekwencje dla środowiska?
- Nie jestem aż takim miłośnikiem karykatury - uśmiechnął się Youssef. - To fińskie przedsiębiorstwo papiernicze otrzymało przed trzema laty pozwolenia na eksploatację. Mieli rozpocząć wycinkę w zeszłym miesiącu, ale fiński rząd, po zapoznaniu się z raportem pewnego japońskiego akademika, powołał komisję śledczą.
- Zobaczmy, ile w rzeczywistości warte są te słynne skandynawskie demokracje, tak drogie twojemu sercu - stwierdziłem. - A ty, Maga, nad czym pracowałaś? - zapytałem, podnosząc się. Nogi całkiem mi zdrętwiały.
- To zabawne - odparła Magawati, patrząc na Youssefa. - Słuchając cię, pomyślałam sobie, że nasze teczki są do siebie strasznie podobne. Moja nosi tytuł: *Ratujmy galosza*. Wymyśliłam nowy gatunek ryby tylko po to, żeby zaraz zasugerować, że grozi mu wyginięcie.
- Ryby jakiego rodzaju? - spytał Youssef.
- Jest to ryba kostnoszkieletowa z rodziny makrełowatych, jak tuńczyk albo makrela właśnie. Galosz żyje w zimnych wodach Morza Północnego oraz Bałtyku. Przetrwanie gatunku stoi pod znakiem zapytania od czasu pożaru platformy wiertniczej Piper Alpha u wybrzeży Szkocji w osiemdziesiątym ósmym...
- Pamiętam tę historię - oznajmiłem. - Dwie eksplozje w kilkuminutowym odstępie czasu, a ratownicy przyglądali się płonącej platformie bez możliwości podjęcia jakichkolwiek działań. Były setki ofiar śmiertelnych, prawda?
- Dokładnie sto sześćdziesiąt siedem. W każdym razie spadek liczby galoszków w Morzu Północnym niemal idealnie pokrywa się w czasie z datą katastrofy. Kilka liczących się statystyk w tej dziedzinie zachęciło wojujących szkockich ekologów o szlachetnych sercach do założenia stowarzyszenia. Nazwali się: „Ratujmy galosza!”.
- Genialne - uznał Youssef spokojnie. - To prawda, że nasze projekty są do siebie podobne. Sposób działania mamy identyczny: oboje zwracamy uwagę na nieistniejące niebezpieczeństwo z nadzie-

ją, że uzmysłowienie ludziom zagrożenia pozwoli zapobiec innym, jakże realnym katastrofom.

- Właśnie tak - potwierdziła Magawati. - Myślisz, że to islamski sposób rozumowania?

- Wątpię - odparłem z namysłem. - Chyba że ja też jestem muzułmaninem, bo mojateczka funkcjonuje w oparciu o niemal identyczny schemat. Wszyscy wiedzą o prześladowaniach Buszme-nów, ale zamiast czekać, aż botswański rząd albo De Beers popełnią gafę, która pozbawiłaby ich poparcia międzynarodowej społeczności, wolałem ich uprzedzić i samodzielnie opracować taki scenariusz.

Przez moment zastanawialiśmy się nad tą ciekawą zbieżnością. Magawati i ja sączyliśmy drinki, Kili zdawał się pogrążony w myślach.

-Tak czy owak - podjął po chwili Youssef- to podobieństwo jest zdumiewające. Jak myślicie, dlaczego troje młodych agentów, którzy nie znają się nawzajem i wychowali się na trzech różnych kontynentach, bez żadnego porozumienia stworzyło takie same teczki?

- Może dlatego - odparła Magawati bardzo cicho - że nie trzeba być jasnowidzem, by zrozumieć, że na tym świecie istnieje mnóstwo spraw i mnóstwo ludów, które potrzebują ochrony przed lepiej uzbrojonymi przeciwnikami.

Nie padło już ani słowo więcej. Niewiele można było na to odpowiedzieć.

- Kwestia prawdopodobieństwa scenariusza odsyła nas do fundamentalnego pytania, które brzmi następująco: dlaczego wierzymy w daną historię? Generalnie rzecz ujmując, rozróżnia się cztery podstawowe przyczyny, ale wolałbym je usłyszeć z waszych ust. Jakiś ochotnik?

Ignacio Vargas, oschły, nerwowy Kolumbijczyk przybyły z Londynu, prowadził drugi z pięciu wykładów, które składały się na naukowy program tego tygodnia. Siedzieliśmy wokół owalnego stołu w salce konferencyjnej hotelu Hyatt w Honolulu. Każdy miał prawo do małej butelki wody mineralnej, lecz nie do zwyczajowego notatnika. Robienie zapisków było niedozwolone.

Pierwszy wykład pod tytułem *Ogólny schemat organizacyjny KFR-u* nieco mnie rozczarował. Nie dlatego, że mówcy, Terence owi Brabhamowi, wicedyrektorowi Planu odpowiedzialnemu za relację z jednostkami, brakowało talentu; po prostu szybko się przekonałem, że Gunnar pozwolił mi już wyrobić sobie dość dobre pojęcie o strukturze organizacji. Z kolei siedząca po mojej lewej Francesca Baldini zdawała się dopiero odkrywać koncepcję centrów zasobów, a nawet istnienie dyrekcji Planu. Choć Brabham odmówił udzielenia konkretnej odpowiedzi na pytanie Youssefa o liczbę agentów KFR-u, wydawało się jasne, że mówimy tu o kilku tysiącach ludzi. Zresztą wykaz specjalności poszczególnych stacji i biur dawał lepszy obraz panującej w konsorcjum różnorodności niż jakiegokolwiek słowa: Starożytne Cywilizacje w Stuttgarcie, Ruchy Niepodległościowe w Limie, Gry Słów w Wilnie, Rolnictwo w Indianapolis,

Muzyka Kameralna w Wenecji, Broń Chemiczna i Niekonwencjonalna w Osace i tak dalej. O jakim temacie by wspomnieć - czy były to ruchy wojsk na granicy indyjsko-pakistańskiej, czy wpływ modyfikowanych genetycznie organizmów na politykę agrarną krajów rozwijających się - Brabham zawsze wyciągał z kapelusza biuro lub stację, która poświęcała się temu zagadnieniu w stu procentach albo prawie.

Dzisiejszy temat — *Tworzenie teczki:pisanie scenariusza* — bardziej mnie interesował. Niestety, ilość spożytego ubiegłego wieczoru alkoholu poważnie ograniczała moje zdolności umysłowe. Chociaż zaraz po przebudzeniu połknąłem trzy aspiryny, słowa Vargasa z wielkim trudem przedzierały się przez spowijającą mój mózg mgłę.

- Nikt? Magawati - zdecydował Vargas, spoglądając na moją sąsiadkę.

Magawati, która wczoraj odkryła w sobie upodobanie do krwawej mary, wyglądała na jeszcze bardziej wymiętą ode mnie. Vargas postąpił naprawdę okrutnie, atakując ją w ten sposób.

- Słucham? - rzuciła Magawati. - Jak dokładnie brzmi pytanie?

- Pytam panią - powtórzył Vargas cierpliwie - co stanowi o tym, czy wierzymy w daną historię czy nie.

- Myślę - zaczęła Magawati odważnie - że to zależy, kto tę historię opowiada.

- To rzeczywiście pierwsze kryterium. Nieświadomie pokładamy większą wiarę w historii przekazanej nam przez osobę lub instytucję, do której mamy zaufanie, pod jednym wszakże warunkiem: że jej neutralność i bezstronność nie ulega wątpliwości. Jeśli na przykład konstruktor samochodów ogłosi, że badania naukowe dowodzą, iż pojazdy z silnikiem diesla wcale nie wytwarzają większej ilości zanieczyszczeń niż te z silnikiem spalinowym, pomyślicie sobie, że ów konstruktor stara się uzasadnić własne wybory produkcyjne. Jeśli zaś do takich samych wniosków dojdzie australijskie laboratorium badawcze, które nie korzysta z żadnego finansowania ze strony przemysłu motoryzacyjnego, będziecie dużo bardziej skłonni je przyjąć. Stąd ważne jest, oczywiście, by móc powołać się na tak zwane pewne źródła informacji. Ale nie wspominam już na ten temat nic więcej, bo kwestia ta zostanie szeroko omówiona podczas

jutrzejszego wykładu o falsyfikacji i tworzeniu źródeł *ad hoc*. Kto może mi powiedzieć, jakie są pozostałe kryteria?

- Łatwiej nam uwierzyć w historię, która potwierdza dotychczas żywione przez nas przekonanie - rzekł Fernando de la Peña.

Zauważyłem, że Francesca kiwa energicznie głową. Sama podniosła rękę, lecz Fernando ją uprzedził.

- Tak jest - zgodził się Vargas. - To dobrze znany humanistycy fenomen, który jak potwierdzono, sprzyja i przyspiesza szerzenie się plotek. Jeśli na przykład powiem Europejczykowi, że Żydzi wymigują się od służby wojskowej dwa razy częściej niż katolicy, to niestety wykazano, iż uwierzy dwakroć częściej, niż gdybym odwrócił twierdzenie.

- A nie wspomnę nawet o muzułmanach - rzucił Youssef cicho, ale tak, żebym go dosłyszał.

- Prędzej wierzymy w historie, które dobrze się kończą? - zasugerował ponownie de la Peña.

- Tak przynajmniej sądzą hollywoodzcy scenarzyści! - zażartował Vargas. - Ale na poważnie, dotyka pan pewnej istotnej kwestii. Prędzej uwierzymy w historię, która nam się podoba. To znaczy, że - uwaga - nie wszyscy mamy takie same gusta. Niektórym spodoba się historia, która ich rozśmieszy, a innym taka, która doprowadzi ich do łez. Niektórym taka, która skłoni do refleksji, innym zaś taka, która pozwoli zapomnieć o troskach. W związku z tym sposób przedstawienia waszej historii koniecznie musi zależeć od publiki, do której ją kierujecie. Jeśli, jak zdarza się to najczęściej, zwracacie się do kilku oddzielnych publik, opowiedzcie tę samą historię na różne sposoby. A przede wszystkim tak często jak to możliwe odnoście się do uniwersalnych motywów narracyjnych: mówcie o śmiałku, który rzuca wyzwanie mistrzom i ku powszechnemu zdumieniu zwycięża; o człowieku bez przeszłości, który powraca, by pomścić swoich bliskich; o młodej kobiecie, która zrywa z miliarderm, żeby wyjść za przyjaciela z dzieciństwa, który skrycie się w niej kochał, i tak dalej. Prowadzę w Akademii kurs, w trakcie którego puszczam studentom dwadzieścia najpopularniejszych filmów wszechczasów. Następnie dokładnie analizujemy scenariusze, aby zrozumieć, co nadaje im tak uniwersalnego wydźwięku.

Gunnar wspominał już o tej Akademii. Bez wątpienia będzie o niej mowa podczas piątego wykładu zatytułowanego: *Perspektywy kariery w Konsorcjum Fałszowania Rzeczywistości*.

- Pozostaje ostatni czynnik - ciągnął Vargas. - Być może najważniejszy, gdyż jako jedyny wiąże się raczej z dynamiką scenariusza niż z samą jego treścią. - Widząc, że nikt nie wyrywa się do odpowiedzi, kontynuował: - Niektóre historie są więcej niż tylko historiami, są punktami wyjścia. Gdy tylko rzuci się je w świat, wymykają się autorowi z rąk. Pewne grupy ludzi je sobie przyswajają, modyfikują, upiększają i tym samym nadają im formę, dzięki której zyskują akceptację co większych sceptyków. Rzecz zasadza się na tym, że twórcy tych historii nie zadowolają się wymyśleniem kilku przejmujących perypetii albo zaludnieniem swej opowieści nadzwyczaj prawdziwymi postaciami, oni przewidują konsekwencje, jakie wywoła ich narracja, i zawczasu uwzględniają je w scenariuszu, a wtedy stają się one ważnymi trybikami. Ale musi wam się to wydawać całkowitą abstrakcją. Pozwólcie, że opowiem wam historię. Kto zna imię pierwszego zwierzęcia w kosmosie?

- To była suczka Łajka, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym roku - odparła Francesca Baldini, która - ze swoimi nienagannie uczesanymi włosami i haftowaną koszulą - niewątpliwie posiadała wszystkie cechy prymuski.

- A w każdym razie to właśnie imię zna cały świat - rzekł Vargas, podnosząc się z miejsca.

To było coś, co zauważyłem już wcześniej: większość ludzi, sam byłem tego najlepszym przykładem, wolała spacerować podczas snucia opowieści. Ślepo polegałem na dwóch oznakach, dzięki którym poznawałem, że dana osoba szykuje się, by wcisnąć mi kit: czy wstała i czy rozpoczęła swą przemowę od słów: „tak szczerze ?

- Najpierw trochę historii - ciągnął Vargas, robiąc obchód po sali. - Dwa inne psy, Dezik i Cygan, odbyły lot suborbitalny w roku pięćdziesiątym pierwszym, ale z niewiadomych względów potomność zapamiętała właśnie imię Łajki. A teraz przenieśmy się w czasie do roku pięćdziesiątego siódmego i zarysujmy kontekst. Czwartego października ZSRR umieścił na orbicie Sputnika 1, pierwszego sa-

telitę, który będzie krążył wokół Ziemi przez dwadzieścia dwa dni. Amerykanie, których program kosmiczny nie jest nawet w przybliżeniu tak zaawansowany, szaleją ze złości. Niektórzy wysoko postawieni dygnitarze dostrzegają nawet w tej porażce dowód na nieodpowiedniość amerykańskiego systemu szkolnictwa! Z kolei Nikita Chruszczow, przewodniczący Rady Najwyższej ZSRR, postanawia jeszcze zwiększyć swą przewagę. Chce teraz, by w kosmos wysłano istotę ludzką, i to przed siódmym listopada, kiedy to przypadała czterdziesta rocznica rewolucji październikowej. Siergiej Korolów, szef programu kosmicznego, sprzeciwia się, twierdząc, że nie będzie to możliwe wcześniej niż w grudniu. Chruszczow wyzywa wszystkich od dyletantów, ale godzi się z sytuacją: Sputnik 2 wyruszy pusty, a zebrane przez niego dane pozwolą na przygotowanie lotu załogowego w grudniu.

Vargas urwał na chwilę, by powieść po nas wzrokiem. Spijaliśmy słowa z jego ust. Nagle przestała mnie boleć głowa.

-1 tu na scenę wkracza młody agent KFR-u, którego dla ułatwienia ochrzcimy Iwanowem, bo jego prawdziwego nazwiska nie mogę ujawnić. Iwanow pracuje dla jednego z członków Prezydium Rady Najwyższej i z tego względu zna szczegóły dotyczące rychłego startu Sputnika 2. W przeciągu paru godzin opracowuje plan, który wydaje mu się tak postrzelony, że nie ma odwagi przedstawić go swojemu bezpośredniemu zwierzchnikowi w konsorcjum, którego nazwiemy Poliakovem. Na szczęście dla nas, Iwanow w końcu się decyduje. Tak jak się spodziewał, Poliakov odrzuca plan, uznając go za czyste szaleństwo. Na szczęście - po raz kolejny - pochyla się nad projektem ponownie, oceniając go pod każdym możliwym kątem, by wreszcie dojść do wniosku, że szanse powodzenia niewątpliwie przekraczają pięćdziesiąt procent.

- Na czym polegał plan? - spytała Magawati nagłym tonem.

- Plan zakładał, że dokładnie w godzinę po starcie Sputnika 2 w imieniu agencji TASS wyśle się do jakichś pięćdziesięciu redakcji prasowych informację, że satelita niesie na pokładzie dwuletnią suczkę imieniem Łajka.

- Podczas gdy w rzeczywistości był pusty? - zapytał Youssef z niedowierzaniem.

- Podczas gdy w rzeczywistości był pusty - powtórzył Vargas. - I co się stało? Komunikat dotarł niemalże w tym samym momencie do wszystkich największych redakcji, tak na wschód, jak i na zachód od żelaznej kurtyny. Nikt nawet nie przypuścił, że mógł zostać wydany przez instytucję inną niż TASS, to jest oficjalną agencję prasową Związku Radzieckiego. Inny komunikat, ten akurat autentyczny, dotarł wprawdzie pół godziny wcześniej, potwierdzając powodzenie startu, ale ta dodatkowa wiadomość nikogo nie zdziwiła, gdyż agencja TASS miała zwyczaj zalewać dziennikarzy powodziami triumfalnych doniesień. Zresztą oba komunikaty wyglądały identycznie, oba zawierały też cytaty z Siergieja Koralowa oraz towarzysza Chruszczowa. Nie, doprawdy nikt nie zwęszył podstępu.

A jednak nie wszyscy dziennikarze rzucili się, by natychmiast opublikować historię Łajki. Agencja TASS cieszyła się niechlubną reputacją ze względu na rozdmuchiwanie radzieckich dokonań. Amerykańska agencja prasowa Associated Press postarała się więc o potwierdzenie ze strony Pentagonu oraz Białego Domu. Eisenhower, ówczesny prezydent Stanów Zjednoczonych, zwołał nadzwyczajne spotkanie w situation roomie, czyli w gabinecie dowodzenia. Allen Dulles, dyrektor CIA, oznajmił, że Agencja nie posiada żadnych informacji na temat wysłanej na orbitę suczki, ale nie może wykluczyć, że Rosjanie są w stanie dokonać takiego wyczynu. Eisenhower również wyzwał wszystkich od dyletantów i kazał rzecznikowi Białego Domu przygotować oświadczenie, w którym uznaje się chwilową przewagę Sowieców i ogłasza niezwłoczne podjęcie spektakularnych amerykańskich inicjatyw.

Tymczasem w Europie pewien dziennikarz Bułgarskiego Radia Narodowego zatelefonował do swojego źródła na Kremlu - nazwijmy go Orłowem - w celu potwierdzenia historii. Zazwyczaj przyjmował na wiarę wszystkie informacje noszące stempel TASS, mimo to dziwne mu się zdało, że Moskwa nie nakazała publicznym kanałom telewizyjnym oraz stacjom radiowym, by zawczasu roztrąbiły tę zdumiewającą nowinę. Orłow odebrał. Sprawiał wrażenie zakłopotanego i odparł, że jego zwierzchnik, członek Prezydium Rady Najwyższej, właśnie parę minut temu udał się na spotkanie



z towarzyszem Chruszczowem. Dziennikarz zgodził się wstrzymać pół godziny. Orłów obiecał, że do niego oddzwoni.

Vargas zatrzymał się gwałtownie. W ciągu tych kilku minut wykonał tyle okrążeń wokół stołu, ile Łajka wokół Ziemi.

- A teraz - zagadnął, w pełni świadomy, że czekamy z zapartym tchem - jak myślicie, co zostało na tym spotkaniu powiedziane? Fernando?

De la Peña wymamrotał parę słów gardłowym głosem.

- To po rosyjsku - wyjaśnił. - I znaczy: „Co to za burdel?”. Wszyscy wybuchliśmy śmiechem. Francesca również, choć

z opóźnieniem, jakby śledziła rozmowę przez słuchawki do tłumaczeń symultanicznych.

- Faktycznie, od tego właśnie, w przybliżeniu, Chruszczow rozpoczął zebranie. Najpierw sądził, że Korolów zadziałał wbrew jego woli i zamiast człowieka umieścił na pokładzie Sputnika zwierzę. Kiedy zrozumiał, że nikt nie ma zielonego pojęcia, jakim sposobem ta suczka wylądowała w maszynie, skoncentrował się na odkryciu tożsamości autora komunikatu. Jednak podczas gdy szef KGB zapewniał, że capną winnego i zmuszą do wyjawienia nazwiska jego mocodawcy, do sali weszło kilka sekretarek, by doręczyć zwierzchnikom wiadomości. Prośby o potwierdzenie - w tym ta od Orłowa - napływały zewsząd i szybko stało się jasne, że należy podjąć jakąś decyzję jeszcze przed wyjaśnieniem całej tej afery. Wszyscy uczestnicy zebrania zwrócili się ku Chruszczowowi, który miał prawo samodzielnie zarządzać poczynaniami Prezydium Rady Najwyższej. Jak sądzicie, co zrobił?

Nikt nie odpowiedział. Spojrzenia moje i Magawati spotkały się, a potem skoczyłem na głęboką wodę.

- Postanowił nie dementować plotki - rzuciłem, nie do końca w to wierząc.

- Oczywiście, że tak - potwierdził Vargas, przyglądając się każdemu z nas po kolei, by się upewnić, że nadążamy za jego rozumowaniem. - Skoro po dziś dzień wszyscy są przekonani, że Łajka okrążyła Ziemię dwa tysiące pięćset razy, to znaczy, że ZSRR potwierdził komunikat agencji TASS. Ale Iwanow i Poliakov wcale nie liczyli na łut szczęścia. W jaki sposób doszli do wniosku, że Chruszczow potwierdzi ich scenariusz?

Przez kilka sekund każde z nas obracało w głowie części składowe problemu. Spróbowałem po raz drugi:

-Trzeba wczuć się w ówczesny klimat, tak jak pan powiedział. Zimna wojna w pełnym rozkwicie, Stany Zjednoczone i Związek Radziecki toczą z sobą walkę, w której nie ma zmiłuj, a przestrzeń kosmiczna to ni mniej, ni więcej jak tylko ostatnie pole bitwy. Te dwa kraje nienawidzą się nawzajem, ale także się siebie boją. Stany Zjednoczone wiedzą, że zostały w tyle za Sowietami. Zresztą w sześćdziesiątym drugim Kennedy zainicjuje program Apollo, by wysłać człowieka na Księżyc, zanim zrobią to Rosjanie.

- To wszystko prawda - uznał Vargas - ale do czego pan zmierza?

- Chcę powiedzieć, że reakcję Eisenhowera łatwo dało się przewidzieć. Amerykanie nie wiedzieli, czy Rosjanie rzeczywiście wysłali psa w kosmos, wiedzieli jednak, że są do tego zdolni, i tylko to się liczyło.

- Eisenhowera jeszcze rozumiem - wtrącił Youssef - ale jak wytłumaczysz postawę Chruszczowa?

-Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, wydaje się ona jeszcze bardziej przewidywalna - odparłem. - Zważ, jakie skutki pociągnęłyby za sobą alternatywa. Gdyby Chruszczow zdementował pogłoskę i zaprzeczył obecności Łajki na pokładzie, ośmieszyłby się podwójnie. Po pierwsze, przyznając, że ZSRR nie jest jeszcze w stanie wysłać zwierzęcia w kosmos, a po drugie, oświadczając publicznie, że jacyś mali dowcipnicy położyli łapę na stercie kartek z nagłówkiem oficjalnej agencji prasowej. Z kolei jeśli potwierdzi obecność Łajki, znakomicie podkreśli wyższość radzieckiej kosmonautyki i jeszcze umocni swój wizerunek wizjonera. Czy sam nie upierał się w końcu, by wysłać w kosmos istotę żywą z okazji czterdziestej rocznicy rewolucji październikowej?

- Kiedy przedstawić to w taki sposób, to jasne, że nie mógł się długo wahać - skomentowała Magawati. - Orzeł, ja wygrywam. Reszka, ty przegrywasz. Tylko imbecyl zdementowałby tę plotkę.

-I jeśli jest coś, co Iwanow przewidział w swoim scenariuszu, to właśnie fakt, że Chruszczow imbecylem nie był - dodał Vargas. - Moje gratulacje, Sliv, dokładnie tak się to rozegrało.

- A jednak - wtrącił Fernando - zbyt wielu ludzi znało prawdę: uczestnicy tego spotkania, KGB, pracownicy programu kosmicznego. ... Jak udało się utrzymać ten sekret przez taki kawał czasu?

- Tak też brzmiało pierwsze pytanie Poliakowa. Przekonajmy się, czy potrafilibyście rozwiązać jego obawy. Sliv?

- Chruszczow kazał wszystkim zaangażowanym w sprawę przyrzec, że dochowają tajemnicy? - podsunąłem.

- Och, nie! - zachichotał Vargas, jakbym powiedział coś zabawnego. - Chruszczow gardził przysięgami swoich podwładnych. Wierzył w terror, nie w obietnice. Ale wykazywał też większą subtelność, niż można przypuszczać. Owego dnia sformułował swoje stanowisko w taki sposób, że można było mniemać, że osobiście autoryzował operację „Łajka”. W tajnym języku Kremla oznaczało to, że jeśli ktokolwiek zakwestionuje prawdziwość tej wersji wydarzeń, podważy autorytet samego przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej i otrzyma bilet w jedną stronę na Syberię. Korolów podjął się wyłuszczenia swoim ludziom, że osobiście wprowadził suczkę do kabiny tuż przed startem Sputnika. Chruszczow odwdzieczył mu się prezentem w postaci daczy nad Morzem Czarnym.

- Mimo wszystko trudno w to uwierzyć - odezwał się Fernando, podsumowując odczucia nas wszystkich.

- Zgadza się z panem - przyznał Vargas - i gdyby Iwanow nie pociągnął swojej prezentacji dalej, Poliakow pewnie nigdy nie udzieliłby mu zgody. Ale Iwanow był o dwa kroki do przodu i postanowił wyłożyć Poliakowowi, co się wydarzy w ciągu kolejnych dziesięciu lat.

„Kreml” - ogłosił na początku - „potwierdzi obecność Łajki na pokładzie Sputnika 2”. Tak też się stało. Orłów oddzwonił do tamtego dziennikarza i bułgarskie radio jako pierwsze podało nowinę. W ślad za nim poszły wszystkie media bloku wschodniego, a niedługo potem także Stany Zjednoczone, Anglia oraz Francja.

„KGB” - przewidywał dalej Iwanow - „nie podejmie śledztwa”. Poszukiwanie autora komunikatu oznaczałoby tyle, co podważenie jego autentyczności: fakty pokazały, że i w tej sprawie się nie pomylił.

„ZSRR będzie regularnie publikował najświeższe wiadomości o Łajce, a następnie ogłosi, że suczka zdechła, nie zaznawszy cierpie-

nia". I rzeczywiście, po dziesięciu dniach ludzie usłyszeli, że Łajka została uśpiona za pomocą trucizny podanej w jedzeniu.

„Rosjanie prędko wyślą w kosmos prawdziwego psa". Iwanow zasadniczo miał rację, ale pomylił się co do terminu. Dopiero w roku 1960, trzy lata później, ZSRR wystrzelił w kosmos dwie suczki, Bielkę i Strielkę.

„Budżet CIA zostanie zwiększony". Tak też najwyraźniej się stało; zresztą CIA potrafi wykorzystać zarówno swoje sukcesy, jak i porażki w charakterze argumentu przemawiającego za przyznaniem im dodatkowych funduszy.

„Pentagon wkrótce wystrzeli własnego satelitę". Faktycznie, niecałe dwa miesiące później, po starcie Explorera I, Stany Zjednoczone zyskały miano drugiego kosmicznego narodu.

„Podbój kosmosu stanie się rozgrywką polityczną". Istotnie okazało się, że program Sputnik rozpoczął szaleńczy, trwający dwanaście lat wyścig, który zakończył się amerykańskim zwycięstwem oraz lądowaniem na Księżycu - transmitowanym w telewizji i tym razem całkowicie autentycznym - promu Apollo 11.

Vargas doszedł do końca swej opowieści. Odwracając głowę, spostrzegłem, że nie jestem jedynym, który próbuje zwalczyć wywołany tymi wszystkimi rewelacjami szok.

- Rzeczywiście - odezwałem się, głośno myśląc. - Teczka Iwanowa poruszyła cały świat.

- Właśnie tak - zgodził się Vargas, siadając. - A ponieważ poruszyła cały świat, zadanie naszego fałszerza zostało zredukowane do minimum, Rosjanie i Amerykanie sami zajęli się bowiem zatarciem pozostawionych przez Iwanowa śladów. Za dziesięć czy piętnaście lat wszyscy bohaterowie tej historii wymrą. Niektórzy z pewnością opowiedzą dzieciom lub kochankom o podejrzanym przez siebie oszustwie, ale to nie będzie już miało znaczenia. Łajka stała się częścią mitologii popularnej, człowiek spacerował po Księżycu, a KFR zajął się innymi sprawami... Tak, Youssefie?

- Jaki był cel tego projektu? - zapytał Youssef, wyraźnie najbardziej z nas wszystkich wstrząśnięty.

- Co dokładnie ma pan na myśli? - nie rozumiał Vargas, marszcząc brwi.

- Co Iwanow chciał osiągnąć? Czemu wmówienie światu, że pewna suzuczka krąży po orbicie ziemskiej, okazało się takie ważne?

A więc to go dręczyło, kwestia przyczyny, jak wcześniej, jak zawsze. Ja wciąż podziwiałem „jak”, podczas gdy on już rozważał „dlaczego”.

- To pytanie powinien pan zadać Ismailowi Habriemu, który pod koniec tygodnia zapozna was z wytycznymi Planu, ale sądzę, że nie miałby nic przeciwko temu, że panu odpowiem. Trzeba wam wiedzieć, że na początku lat pięćdziesiątych dyrekcja Planu, zatrwożona kierunkiem, jaki przybierała zimna wojna, poszukiwała wielkich idei zdolnych zjednoczyć wszystkich ludzi wokół wspólnego zamysłu. Wybór padł na podbój kosmosu, temat, który zresztą od tamtej pory rzadko kiedy znika z listy priorytetów Planu. Teczka Iwanowa mogła nadać rozpędu kosmicznemu wyścigowi na scenie politycznej. Późniejsza rywalizacja pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim do reszty załatwiła sprawę i w ciągu dziesięciolecia nauka poczyniła ogromne postępy.

- Proszę wybaczyć, że się sprzeciwię - podjął Youssef - ale amerykańsko-radzieckie współzawodnictwo nigdy nie było tak zastrzeżone jak w kwestii podboju kosmosu. Niweczy to wizję braterstwa między ludźmi, o którym marzył Plan...

- Na początek spieszę pana uspokoić - rzekł Vargas z uśmiechem. - Jak najbardziej zgadzam się, że mamy tu do czynienia ze sprzecznością. Nasi wielcy mędrcy z Planu zawczasu odgadli, że na początku dojdzie do zażartej walki między Rosjanami a Amerykanami. Ale mieli nadzieję, że po paru dekadach do głosu dojdzie rozsądek. I to właśnie dzieje się obecnie. Bardzo niedawno NASA sprzymierzyła się ze swoim rosyjskim odpowiednikiem, aby zrealizować projekt międzynarodowej stacji orbitalnej. A w siedemdziesiątym piątym roku piętnaście europejskich krajów zjednoczyło się, żeby powołać do życia Europejską Agencję Kosmiczną. Świat nie zmienia się w przeciągu jednego dnia...

Wydawało się, że ta odpowiedź usatysfakcjonowała Youssefa, a ja skorzystałem z okazji, by zadać pytanie, które męczyło mnie już od dłuższego czasu.

-W jaki sposób oceniacie scenariusz?

Vargas przez kilka sekund spoglądał na zegarek, jakby się zastanawiał, czy nie lepiej zostawić ten temat na po obiedzie. Mimo wszystko pospieszył z wyjaśnieniem:

- Bezpośredni opiekunowie stanowią, rzecz jasna, pierwszą zaporę. Mogą oni odrzucić waszą teczkę. Macie prawo odwołać się od ich decyzji, lecz, o ile nie czujecie, że padliście ofiarą ogromnej niesprawiedliwości, odradzałbym to posunięcie. Wasi zwierzchnicy posiadają wieloletnie doświadczenie i sami są systematycznie oceniani przez Londyn.

Od wczoraj wiedzieliśmy, iż w brytyjskiej stolicy mieści się Wydział Teczek.

- Każdateczka jest przedmiotem podwójnej oceny - ciągnął Vargas. - Najpierw Plan upewnia się, czy nie stoi ona w sprzeczności z ogólnymi wytycznymi KFR-u. Toronto przyjmuje czasami teczkę, które nie wpisują się w Plan, ale nie zachęca do ich tworzenia. Jedyne prawdziwe wyjątki dotyczą sag, czyli teczek o takiej sile oddziaływania, że ich autorzy odnawiają je lub wzbogacają okresowo.

Mój zespół w Londynie zajmuje się drugą lekturą. Każdy z nas kolejno ocenia znaczenie oraz bezpieczeństwo danego scenariusza, przyznając dwa zestawy punktów w skali od jeden do dziesięć. Przez „znaczenie” rozumiemy zdolność scenariusza do wywołania konkretnych, pozytywnych konsekwencji - a przynajmniej pozytywnych w naszych oczach. Jeśli chodzi o bezpieczeństwo, nie zależy ono wcale, jak mogłoby wam się wydawać, od waszych zdolności fałszerskich. W każdy scenariusz wpisane jest pewne ryzyko - i to je bierze się pod uwagę przy ocenie bezpieczeństwa - niezależne od wysiłków fałszerzy, którzy będą wprowadzać go w życie. Ów poziom ryzyka wiąże się zwykle z naturą medialną danego tematu, z wybranym okresem, z liczbą żyjących specjalistów i tak dalej. Umiejętny fałszerz zmniejszy ryzyko, nieumiejętny je pogłębi, ale co do samej oceny bezpieczeństwa - jej można dokonać jeszcze przed rozpoczęciem jakichkolwiek działań. Ma się rozumieć, że scenariusze o największym znaczeniu są zazwyczaj również najmniej pewne. I odwrotnie, jeśli nie jesteście gotowi podjąć choćby najmniejszego ryzyka, prawdziwym ryzykiem staje się to, że wasz scenariusz nikogo nie obejdzie.

- Na przykład? - rzuciła Francesca, która nie potrafiła się powstrzymać, by nie poprzedzać każdej wypowiedzi podniesieniem ręki.

- Weźmy przypadek scenariusza, z którym zetknąłem się w ubiegłym miesiącu, a który dotyczy akurat pani kraju, Włoch. Autor opowiada w nim, że Fontana, architekt, który w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku odkrył zasypane miasto Pompeje, umyślnie zapomniał odkopać paru libertyńskich fresków i mozaik, bo te godziły w jego pruderię. Znaczenie scenariusza: dwa na dziesięć. Bezpieczeństwo: dziewięć na dziesięć. Wynik ogólny: osiemnaście na sto, bo zapomniałem uściślić, że mnożymy przez siebie obie wartości jednostkowe, żeby otrzymać wynik na sto.

-Jak oceniliby pan scenariusz Iwanowa? - zapytałem.

- Mógłbym wam zdradzić, że otrzymał odpowiednio dziesięć i dziewięć punktów, ale nie byłoby to uczciwe. Bezpieczeństwo teczki można określić wyłącznie w danym momencie i w danym kontekście. Nie ma też sensu nadmieniać, że ani Londyn, ani Toronto nie zatwierdzały scenariusza Iwanowa. Zważywszy na ograniczenia czasowe, to jego opiekun prowadzący dał mu zielone światło.

Spróbowałem wyobrazić sobie Gunnara w takiej samej sytuacji. Czy wzięłoby na siebie podobną odpowiedzialność?

-Jeśli nasz komitet rekrutacyjny nie pomylił się co do waszych osobowości - podjął Vargas - spędzicie całe życie w pogoni za Świętym Graalem KFR-u: teczką doskonałą, ocenioną na dziesięć i dziesięć. To mnie cieszy. Ale proszę was, a nawet błagam: bądźcie ostrożni. Bezpieczeństwo przede wszystkim. Projekt z wynikiem pięć i osiem zawsze będzie wart więcej niż taki z wynikiem osiem i pięć.

I tymi zagadkowymi słowy Vargas zakończył spotkanie.

Wreszcie nadeszła wielka chwila. Pod koniec fantastycznego tygodnia, podczas którego na zmianę uczestniczyliśmy w pasjonujących wykładach oraz bardziej rozrywkowych zajęciach, Angoua Djibo, dyrektor Planu, zebrał nas razem, aby ogłosić laureatów Nagrody za Najlepszą Pierwszą Teczkę. Miejsca po obu jego stronach zajęli Ignacio Vargas oraz Jiro Nakamura, dyrektor do spraw kadrowych KFR-u. Na elegancko nakrytym stole za ich plecami czekały napoje i przekąski. Co dość niezwykle, Magawati, Francesca, Fernando, Youssef i ja byliśmy usadowieni przy prostokątnym stole ramię w ramię, twarzami do nich. Gdyby nie różnica wieku, można by odnieść wrażenie, że Djibo szykuje się do zdania egzaminu, my zaś jesteśmy komisją.

Między sobą udawaliśmy, że prawie w ogóle nie poświęcamy uwagi nagrodom. Gdy rankiem tego dnia Francesca oświadczyła przy śniadaniu, że już samo dotarcie do finału to świetny wynik, wszyscy głośno jej przytaknęliśmy. Potem Magawati dorzuciła, że mimo wszystko jeszcze milej byłoby zgarnąć nagrodę, i nikt nie zaprotestował. .. Powiadomiono nas już wcześniej, że przyznane zostaną tylko trzy trofea. Dwoje niewyróżnionych zawodników musiało pocieszać się faktem, że nikt nigdy się nie dowie, kto zajął ostatnie miejsce. Każdy spośród pięciorga kandydatów miał przede wszystkim nadzieję uniknąć tej hańby.

Fernando de la Peña był najbardziej z nas poruszony, a w każdym razie najgorzej maskował podenerwowanie. Poprzedniego dnia, podczas wycieczki po pobliskich górach, wyznał mi, że w jego biurze każde miejsce poza pierwszym uznawano za plamę na honorze.



- Na wstępie chciałbym powiedzieć - zaczął Angoua Djibo -jak wielką przyjemnością okazał się dla nas ten tydzień w waszym towarzystwie. Ponieważ przeczytaliśmy i należycie doceniliśmy wasze teczki, wiedzieliśmy, że mamy do czynienia z utalentowanymi profesjonalistami; ale przy spotkaniu twarzą w twarz okazaliście się również obiecującymi, ujmującymi osobami i mam nadzieję, że wspólnie przemierzemy długą drogę. Ale nie zwlekam dłużej, bo wiem, że z niecierpliwością oczekujecie na wyniki, przedstawię więc teraz laureatów.

Wyciągnął z kieszeni kartkę papieru i włożył okulary.

- Komisja Pierwszej Teczki, którą mam zaszczyt dziś wieczór reprezentować - odczytał Djibo - postanowiła, że trzecie miejsce otrzyma Fernando de la Peña za projekt pod tytułem *Prawdziwe przyczyny hańby Corteza*.

Fernando podniósł się przy wtórze gorących oklasków z naszej strony i złożył niezdarny ukłon. Uśmiechał się, ale nie udało mu się całkiem ukryć rozczarowania. Niewątpliwie już myślał o tym, jak przedstawi sprawę, gdy wróci do domu.

-Jak wszyscy wiemy - podjął Djibo - Ferdynand Cortez podbił Meksyk w pierwszej połowie XVI wieku, niemal całkowicie unicestwiając przy tym wspaniałą cywilizację aztecką. Zdobywszy fortunę, wrócił do Hiszpanii w roku tysiąc pięćset czterdziestym, gdzie służył Karolowi V pomocą podczas oblężenia Algieru. Następnie, pomimo ważkich dokonań na polu militarnym i nieocenionych zasług oddanych hiszpańskiej koronie, z nieznanых historykom powodów popadł w niełaskę, a wreszcie zmarł w Sewilli w roku tysiąc pięćset czterdziestym siódmym. Wasz kolega Fernando utrzymuje, że w rzeczywistości tajna policja Karola V odkryła w tysiąc pięćset czterdziestym trzecim roku, że Cortez nie został nigdy ochrzczony, o czym sam konkwistador nie miał pojęcia. Cóż za ironia losu, jeśli sobie przypomnimy, że Hiszpanie zmasakrowali tysiące Azteków z tego tylko powodu, iż ci odmawiali przyjęcia wiary katolickiej, a pięćdziesiąt lat wcześniej Izabela Kastylijska wygnała z Hiszpanii wszystkich żydów, którzy nie zgodzili się przechrzcić. Teczka Fernanda de la Peñi spodobała nam się, ponieważ odwołując się do jednego z tych spowitych przez cienie fragmentów historii, w fan-

tastyczny i niezwykły sposób zwraca uwagę na nietolerancję religijną, jakiej dowód dały wielkie europejskie potęgi. Kto dziś pamięta, że papież Juliusz III w tysiąc pięćset pięćdziesiątym trzecim roku kazał spalić Talmud na placu miejskim albo że ta sama Hiszpania w tysiąc sześćset dziewiątym wydała dekret skazujący na wygnanie pod groźbą kary śmierci wszystkich Morysków, czyli mówiących po arabsku muzułmanów, których przyjęła w swe granice wraz ze zdobyciem Granady w roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim?

- Pół miliona wysiedlonych w tamtym tylko okresie - uściślił Youssef na użytek siedzącej obok Magawati.

- W czasach, kiedy obserwujemy niepokojący rozwój zachowawczych nurtów religijnych, szczególnie islamistycznych - ciągnął Djibo - chcieliśmy przypomnieć, do jakich okropieństw prowadzą wąskie horyzonty myślowe oraz ograniczenie swobody wyznania. Nasze gratulacje, Fernando!

Fernando ponownie się uklonił, tym razem z większą radością. Mowa pochwalna dyrektora Planu wyraźnie okazała się balsamem na jego serce.

- Nie masz nic więcej do powiedzenia, Kili? - spytała niewinnie Magawati swojego sąsiada, który zmagał się z przyjęciem konkluzji Djiba.

- Drugie miejsce otrzymuje Magawati Donogurai za swoją teczkę ***Ratujmy galosza.***

Magawati wydała uroczy okrzyk i zaczęła sama sobie bić brawo. Przyjemnie było patrzeć na jej radość, oczy błyszczały jej intensywniej niż kiedykolwiek wcześniej. Djibo podjął się streszczenia historii galosza, by następnie zachwycić się świadomością ekologiczną młodych rekrutów, jednak Francesca, Youssef i ja nie bardzo mogliśmy się skupić na jego słowach, zbyt zajęci ocenianiem własnych szans na zgarnięcie głównej nagrody. Ogromnie cenilem scenariusz Kiliego, ale uważałem go za nieco przewidywalny i szczerze powiedziałem, mniej złożony od mojego. Teczka Franceski Baldini, ***Geometria w mrowiskach***, reprezentowała moim zdaniem zupełnie inny poziom. Ukryta za nazwiskiem profesora Spadera, doktora ***honoris causa*** Uniwersytetu Wellington i cieszącego się uznaniem entomologa, Francesca dzieliła się z nami owocami swoich obserwacji prze-

prowadzonych na polinezyjskich mrówkach. Jak wszyscy ich pobratymcy, także i one dzieliły liście na małe kawałki, aby móc łatwiej je transportować. Ale jeśli wierzyć profesorowi Spaderowi, jedynie kawałeczki wycinane przez mrówki polinezyjskie tak konsekwentnie przyjmowały kształt pięciokąta foremnego! Inne, równie zdumiewające, spostrzeżenie głosiło, iż mrówki mające wkrótce złożyć jajeczka poruszały się po sinusoidzie, której amplituda rosła wraz ze zbliżającym się końcem ciąży. Gunnar, który czytał teczkę Franceski, miał wiele dobrego do powiedzenia na jej temat. KFR zawsze wykazywał pewne upodobanie do zoologii i kilkakrotnie już poczynił znaczący wkład w tę dziedzinę. Gunnar ostrzegał mnie, że paru członków jury może żywić szczególną słabość do projektu Włoszki. A zatem, w starciu mrówki kontra Buszmeni, kto będzie miał ostatnie słowo?

-I wreszcie: mam wielką przyjemność przyznać nasze trofeum Slivowi Dartunghuverowi za jego fantastyczną pierwszą teczkę zatytułowaną *Diamenty z Kalahari*.

Wypełniła mnie ogromna duma. Moje myśli pobiegły w pierwszej kolejności ku Gunnarowi oraz, co dziwne, ku mojemu zmarłemu przed trzynastoma laty ojcu. Co by sobie pomyślał, gdyby mnie teraz zobaczył? Czy zaaprobowałby tę jakże niezwykłą ścieżkę, którą obrałem?

Poczułem, że ktoś ciągnie mnie za rękaw. To była Magawati, która dawała mi znaki, żebym wstał, bo Djibo wyglądał na gotowego, żeby wręczyć mi swego rodzaju szklaną rzeźbę, która jak za sprawą cudu zmaterializowała się w jego dłoniach. Przechodząc za plecami Kiliego i Franceski, poklepałem ich przyjaźnie po ramionach. Kili uścisnął mi dłoń.

- Sliv - odezwał się Djibo, wpierw mnie objąwszy - proszę przyjąć tę oto statuetkę zaprojektowaną specjalnie na tę okazję przez jedną z naszych najlepszych agentek, a przy tym utalentowaną rzeźbiarkę. Przedstawia różę pustyni, której płatki symbolizują kolejne warstwy skrywające prawdę. Zauważ pan, że artystka użyła około dziesięciu rodzajów szkła, mniej lub bardziej przezroczystego, aby zilustrować relatywizm poznania oraz absurdalność pojęcia przejrzystości.

Uniosłem rzeźbę do oczu. Promienie zachodzącego słońca wpadające przez wykuszowe okna poczęły błaznić wśród warstewek szkła, wzbudzając nieskończone migotanie. Był to niezwykle spektakl i od razu wiedziałem, że nigdy się nim nie znudzę.

- Choć istnieje ryzyko, że ucierpi na tym skromność Sliva -ciągnął Djibo, gestem nakazując mi, abym pozostał u jego boku -chciałbym podzielić się z wami powodami, które kierowały nami, gdy postanowiliśmy wyróżnić jego teczkę. W wyniku swego rodzaju niewiarygodnego zbiegu okoliczności *Diamenty z Kalahań* idealnie łączą w sobie cele określone w bieżącym Planie. Ismail Habri miał wczoraj okazję przedstawić wam główne osie działania KFR-u w latach tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dwa-dziewięćdziesiąt cztery. Tak się składa, że ochrona ludów natywnych stanowi właśnie jedną z tych osi, a nasi najlepsi agenci mieli problem ze znalezieniem kąta patrzenia, dzięki któremu udałoby się zaalarmować szeroką publikę oraz wspólnotę międzynarodową.

Jeżeli KFR wykazuje taką wrażliwość na los ludów tubylczych, to nie z powodu jakiejś tam nadwiedłej nostalgii. Świat się zmienia, ludy ewoluują, granice się przesuwają, wszystko to wiemy już od dawna i uczestniczyliśmy w tym organicznym procesie aktywniej niż ktokolwiek inny, a czasem wręcz go inicjowaliśmy.

Prawdziwe powody, dla których KFR - i cała ludzkość - powinny czuć się w obowiązku, aby udzielić pomocy ludom natywnym, są w istocie wielorakiej natury. Po pierwsze w grę wchodzi fakt, iż samym sobie wymierzamy w ten sposób sprawiedliwość. Większość ludów tubylczych, czy mowa o Buszmenach, czy o Indianach Guarani z Brazylii, może powołać się na oficjalne prawa obowiązujące na zamieszkiwanych przez siebie terytoriach. Kiedy rząd posyła wojsko, by wypędziło indiańskie plemię, albo gdy przegłosowuje nową ustawę, nie przyznawszy uprzednio rzeczonemu plemieniu reprezentacji w parlamencie, w odrażający sposób egzekwuje prawo silniejszego i demonstruje pogardę dla mniejszości. Ośmielony sukcesem, nie zatrzyma się na swej drodze i nazajutrz być może zdelegalizuje religie, które mu zawadzają, albo partie polityczne, które wąż się kwestionować jego władzę.

Djibo urwał na moment, by łyknąć wody. Podejmując wykład, schował okulary do kieszeni i mówił dalej bez notatek.

-Jestem pewien, że teraz tylko czekacie, aż wspomnę o potrzebie zachowania tego, co przyjęliśmy nazywać różnorodnością kulturową. A i owszem, nie lękam się tego powiedzieć: musimy chronić Buszmenów, mimo że potrafią liczyć tylko do dwóch, a zapasy wody przechowują w wysuszonych żyrafich pęcherzach. Celowo wybrałem te przykłady, gdyż to na nie zwykle powołują się heroldzi postępu, aby zdeprecjonować plemienne kultury i zrelatywizować niebezpieczeństwo związane z ich zanikaniem. Wzniesmy się nieco ponad ten spór i chciejmy dostrzec to, co w buszmeńskiej kulturze nowatorskie, a przynajmniej godne najgłębszego szacunku. Busz-meńscy mężczyźni polują wspólnie i po równo dzielą się zdobyczą. A zatem? Czy to czyni z nich imbecyli? Czyż nie jest to postulat podobny do tamtych głoszonych przez bolszewickich teoretyków, którzy próbowali zbudować społeczeństwo idealne? I czyż zasada solidarności nie leży u podstaw systemów redystrybucji i opieki społecznej, które tak są drogie starej Europie? Buszmeni nie noszą nic poza przepaską, spod której wyziera czasami ich płeć. Czy to wystarczy, by nieodwracalnie ich zdyskredytować? Oczywiście, że nie. Pojęcie wstydlivosti w społeczeństwach zachodnich w znacznym stopniu ewoluowało na przestrzeni wieków. Ponieważ zmieniają się mody, mężczyźni i kobiety w naszych tak zwanych rozwiniętych społeczeństwach uznają teraz za całkiem normalne pokazanie łydki czy ramienia, które jeszcze przed dziesięciu laty tak starannie zakrywali. A tak poza tym, kiedy Francesca powie, że jest wstydliva, to czy sądzicie, że ma na myśli to samo co Fernando albo Youssef ?

- Na pewno nie - zawołali wszyscy troje zainteresowani niemal jednym głosem, wywołując ogólny wybuch śmiechu. Byłem Djibowi wdzięczny za rozluźnienie atmosfery i ponowne przywołanie uśmiechu na usta Youssefa. Ten ostatni zauważył, że na niego patrzę; bezgłośnie wymówił wyraz: „brawo”.

- Przyzwyczajaliśmy się - kontynuował dyrektor Planu - aby traktować ludy plemienne jako zacofane, jakby historia stanowiła niezmienny proces, jakby - ponieważ odnajdujemy echa niektórych ich praktyk we własnej przeszłości - były one skazane na przyszłość

podobną do naszej. Odrzucam tę wizję, KFR odrzuca tę wizję. Ludy plemienne nie są zacofane, one żyją w innym czasie, ani przeszłym, ani przyszłym, ani lepszym, ani gorszym. Obecnie nasz czas i ich czas są od siebie oddzielone, ale kto może przewidzieć, czy pewnego dnia się nie połączą? Buszmeni porzucają starców na pewną śmierć, gdy wiedzą, że nie mają już więcej środków na ich utrzymanie. Kto w tej sali mógłby się założyć, że nasze społeczeństwa nigdy nie uciekną się do takiej ostateczności, skoro wydatki na opiekę zdrowotną pochłaniają coraz większą część światowego bogactwa, a prawie wszystkie zachodnie systemy emerytalne znalazły się praktycznie w ruinie? Pytam was: czy jeśli dla dobra swoich dzieci będziemy musieli pozwolić naszym rodzicom zgasnąć niczym świece, to czy nie nauczymy się wówczas czegoś od Buszmenów? Czy też wciąż będziemy utrzymywać, że to oni powinni podpinąć swoich starców do żelaznych płuc, by przedłużyć ich egzystencję o kilka nędznych miesięcy? Djibo znowu łyknął wody.

- Doskonale zdaję sobie sprawę, że mówiąc w ten sposób, zachwiałem waszymi przekonaniem. Nie robię tego dla przyjemności czy w ramach jakiejś niezdrowej prowokacji. Chciałbym skłonić was do przełamania uprzedzeń etnicznych i kulturowych, do uznania panującej na świecie różnorodności w dosłownym znaczeniu tego słowa. Wasze przejścia, wasze doświadczenia przygotowują was do stania się obywatelami świata. W pewnym sensie już nimi jesteście. Wiecie - wiedzą o tym wasze mózgi - że należy szanować Buszmenów oraz ich tradycje. Ale w głębi duszy, i mimo że walczyacie z tym wewnętrznym głosem, żywcie przekonanie, że Buszmeni skończą, upodabniając się do nas, ulegając powabowi łatwiejszego i dłuższego życia. I w tym względzie wasza edukacja nie osiągnęła jeszcze doskonałości. Dobiegnie kresu w dniu, w którym pozazdrościcie Buszmenom ich prostoty i spokoju ducha, w którym sami zapragniecie stać się podobnymi do nich, złączyć się z nimi w jedno, poślubić ich kobiety, aby powołać na świat pierwszych prawdziwych obywateli świata.

Widząc, w jakie zmieszanie jego ostatnie słowa wprawiły wszystkich obecnych na sali mężczyzn, Djibo uznał za słuszne dorzucić:

- Mówię, rzecz jasna, w sensie metaforycznym. Ale te rozważania, jakkolwiek szlachetne, nie zdołają wystarczająco zmobilizować

zować obywateli, a tym bardziej nie skłonią rządów do ugięcia się. Największą liczbę zwolenników pozyskamy nie inaczej, jak tylko pokazując im, że zachowanie społeczności plemiennych przyniesie wymierne korzyści. Na tym, w moim rozumieniu, polega podstawowy błąd organizacji pozarządowych, które bronią ludów natywnych: sprawa, za którą walczą, wydaje im się w tak oczywisty sposób słuszna, że czują się zwolnione z udzielania jakichkolwiek wyjaśnień. Ja uważam, że przeciwnie, powinniśmy pokonać rządy ich własną bronią, uświadamiając im, że wykorzenienie plemion to zwyczajnie najgorsza możliwa decyzja z ekonomicznego punktu widzenia, innymi słowy, że więcej na niej tracą, niż zyskają. Weźmy przykład Botswany. Skoro posiada terytorium zbliżone rozmiarami do Francji i zaledwie półtora miliona mieszkańców, czy nie mogłaby jednocześnie wydobywać diamentów i przyznać jakiegoś terenu pięćdziesięciu tysiącom nieszczęsnych Buszmenów? Czy jej raczkujący przemysł turystyczny nie mógłby jakoś na tym skorzystać? Nie mówiąc już o jej wizerunku na arenie międzynarodowej, wizerunku, który automatycznie odbiłby się na wysokości stopy procentowej jej długu zewnętrznego. Zamiast tego botswański rząd woli potwierdzać opinię głoszącą, że wszyscy jego ministrowie są skorumpowani, i narażać kraj na bojkot handlowy i turystyczny, który może go kosztować nieskończenie więcej.

I tu do gry włączamy się my. Jeżeli chcemy uratować Buszmenów od niemal pewnego wyginięcia, musimy wpłynąć jednocześnie na obie strony równania, pomniejszając nadzieje na zysk, jaki Botswana czerpie z ich prześladowań, oraz zwiększając profity, które przyniosłoby jej zajęcie szlachetnej postawy. I takie właśnie wysiłki podjął Sliv w swojej pierwszej teczce; dlatego pošlemy wielu agentów, aby podążali ścieżką, którą wytyczył. Po niespełna dwóch miesiącach *Diamenty z Kalahari* przyniosły już znaczny oddźwięk. Francuskie gazety licznie recenzowały pośmiertne dzieło Gastona Chemineau, „Le Monde” posunął się nawet do stwierdzenia: „Trzeba, by rząd pana Masire'a wytłumaczył się z tej odrażającej polityki ostracyzmu, i to w chwili, gdy stara się o wsparcie finansowe ze strony wspólnoty międzynarodowej”. Najwyższe botswańskie władze postanowiły początkowo zignorować atak dziennika. A jednak,

widząc, jakim echem odbił się on w prasie anglojęzycznej, prezydent Ketumile Masire oświadczył w zeszłym tygodniu przy okazji szczytu w Lagosie, że Botswana będzie skrupulatnie przestrzegać praw buszmeńskich ludów. Teczka zainteresowało się także kilka organizacji pozarządowych. Najaktywniejsza spośród nich, Survival International, ogłosiła właśnie, że umieści Buszmenów w sercu swej jesiennej kampanii zbierania datków, która to perspektywa, zdaje się, zaniepokoiła De Beersa, ponieważ nasze południowoafrykańskie przedsiębiorstwo diamentowe niedawno zatrudniło agencję doradztwa specjalizującą się w komunikacji kryzysowej. I na koniec, choć nie jest to wcale najmniej istotna zasługa teczki Sliva, nasze kontakty w ONZ-ecie doniosły o pewnym poruszeniu w ławach Zgromadzenia Ogólnego. Możecie na nas liczyć: wzmożemy to poruszenie i nadamy mu tak konkretną postać jak to tylko możliwe. Jak widzicie, Slivowi udało się wprawić w ruch historię, a coś mi mówi, że na tym się nie skończy. Proszę zatem, byście jeszcze raz nagrodzili kolegę brawami, bo z pewnością na to zasługuje.

Youssef, Magawati, Francesca i Fernando wstali i zgotowali mi burzę oklasków. Już przemowa Djiba sprawiła, że w oczach stanęły mi łzy i tylko z wielkim trudem zapanowałem nad sobą, by nie rozpłakać się jak dziecko. Na szczęście dyrektor Planu podjął swoją wypowiedź:

- Chciałbym jeszcze słowem pogratulować Francesce Baldini oraz Youssefowi Khrafedine, których jedynie ostra konkurencja pozbawiła miejsca na podium. Francesco, Youssefie, wasze te czki są świetne i sądzę, że jeszcze o nich usłyszymy. Pozostaje mi jedynie podziękować wam wszystkim za to, co nam ofiarowujecie. Spotkanie z wami, poznanie każdego z was z osobna sprawiło mi ogromną przyjemność. Pewnie za kilka lat zobaczymy się znowu w Akademii. Wszyscy macie potencjał, by zrobić karierę w naszej organizacji, a przyjęcie do Akademii będzie stanowiło kolejny etap waszego rozwoju osobistego oraz zawodowego. A teraz, przyjaciele, jedźmy i pijmy!

Bo Angoua Djibo, kiedy tylko mógł, pielęgnował swoje wcielenie afrykańskiego patriarchy.



Część druga

Córdoba

# 1

Obudził mnie piskliwy głos stewardesy obsługującej lot Santiago-Córdoba. Wypowiedziała dobrych dwieście słów, z których zrozumiałem zaledwie trzy: Aerolineas (nazwa linii lotniczych), Córdoba (nasz cel w Argentynie) oraz **gracias** (dziękuję). Dość kiepski wynik jak na kogoś, kto od trzech tygodni odświeżał swój hiszpański, słuchając kaset po cztery godziny dziennie.

Stewardesa odłożyła mikrofon i ruszyła przejściem między fotelami. Gdy znalazła się blisko, przywołałem ją gestem i łamanym hiszpańskim zapytałem, w jakimż to języku przed chwilą przemówiła.

- ***Pero en español, como vos, señor*** - odrzekła ze zdumieniem. „No przecież po hiszpańsku, jak pan”. Dziwne, pomyślałem, wyciągając się w zbyt wąskim fotelu, dźwięki, z których składało się ogłoszenie, w niczym nie przypominały moich nagranych lekcji.

Każdy, kto często podróżował samolotem, musi w końcu dojść do wniosku, że personel pokładowy nie lubi, kiedy pasażerowie śpią. Gdy tylko wpadną w objęcia Morfeusza, już budzi ich pilot albo szef załogi, by w rozlicznych językach podzielić się z nimi rozważaniami od trywialnych („osiągnęliśmy właśnie wysokość przelotową”) po haniebnie merkantylne („oferujemy państwu szeroki asortyment bezcłowych artykułów”). Chciałbym spotkać geniusza, który postanowił pewnego dnia, że niewczesne, wielokrotne pobudki stanowiąc będą odtąd rutynowy element podróży lotniczej.

Ponieważ jeżeli istniał na świecie ktoś, kto naprawdę potrzebował się wyspać, byłem to ja. Wystartowałem z Reykjavíku jakies

dwadzieścia siedem godzin wcześniej, przesiadając się następnie w Nowym Jorku, Miami oraz chilijskim Santiago. Czułem się brudny i niedogolony, a jeśli dobrze odczytałem ledwie zauważalny odruch wymiotny stewardesy, musiał być ode mnie nieco mdlący za-paszek. Istniało niestety ryzyko, że ten problem nieprędko znajdzie rozwiązanie, gdyż uważne przestudiowanie statystyk Iceland Air, American Airlines oraz Aerolineas ujawniło, że pasażer podróżujący kolejno tymi trzema liniami ma zaledwie dwie szanse na tysiąc, że po przylocie będą na niego czekały jego bagaże. I tak zaplanowałem już, że zrobię małe zakupy w pobliżu hotelu, by jutro móc godnie zaprezentować się w Compañía Argentina del Reaseguro przed moim nowym zwierzchnikiem, Alonsem Diazem.

Kiedy przed miesiącem Gunnar Eriksson oznajmił mi, że opuszczę Reykjavik, wołał podkreślać niezwykle szybkie nadejście mojej pierwszej nominacji, niż rozwodzić się nad przyszłym stanowiskiem. „Został pan agentem drugiej klasy w dwadzieścia jeden miesięcy” - oznajmił, ściskając mi z zapałem rękę. „Muszę to jeszcze sprawdzić, ale z pewnością blisko panu do pobicia rekordu. Wspaniale to wróży pańskiej dalszej karierze”. Dorzucił, że moja chwała częściowo objęła też tych, którzy mnie ukształtowali, co zinterpretowałem, może zbyt swobodnie, jako potwierdzenie plotki głoszącej, iż dzięki zdobyciu przeze mnie Nagrody za Najlepszą Pierwszą Teczkę mój opiekun został awansowany na agenta specjalnego najwyższej klasy.

Gunnar zrobił się bardziej powściągliwy, gdy począłem dopytywać, co takiego robią w Córdobie. „Zasadniczo będzie się pan zajmował falsyfikacją. Centrum w Hong Kongu, które odpowiada za kwestie związane z falsyfikacją, polega na trzech biurach pomocniczych: w Córdobie, w Malmö i w Vancouverze”. Musiałem trochę się skrzywić, bo Gunnar dodał: „Bez wątplenia wolałby pan San Francisco albo Sydney, ale muszę panu powiedzieć, że osobiście interweniowałem, aby skierowano pana do Argentyny. Ogromnie pan skorzysta na znajomości z Alonsem Diazem. To mój przyjaciel i jeden z najlepszych fałszerzy naszej organizacji”.

Od zawsze wiedziałem, że nie będę wiecznie tkwił na Islandii, lecz nowina o wyjeździe okazała się zaskoczeniem. Lubiłem pracę

u Baldura, Furusetta i Thorberga, swoje mieszkanie w starej części Reykjavíku, naprzemiennie teczek dla KFR-u oraz badań środowiskowych, całkowicie opłacone podróże do najodleglejszych zakątków globu, a przede wszystkim świadomość, że mogę czerpać nauki od nieporównywalnego mentora w osobie Gunnara. Próbowałem wynegocjować kilkutygodniowe opóźnienie, ale Gunnar wyjaśnił, że już i tak korzystam ze specjalnego traktowania i że inni, mniej uprzywilejowani agenci musieli rozprzedać swe życie w ciągu jednego weekendu. Wypowiedziałem więc umowę najmu, sprzedałem meble (Dział Kadr obliczył, że taniej będzie kupić wszystko na miejscu) i wybrałem się do Húsavíku ucałować matkę, której oznajmiłem (tak jak trzy dni wcześniej kolegom z Baldura, Furusetta i Thorberga), że zostałem zastępcą dyrektora sekcji przewidywania katastrof naturalnych w południowoamerykańskim towarzystwie reasekuracyjnym.

Aż do tej pory miałem jedynie niejasne pojęcie, na czym reasekuracja polega, lecz lektura raportu rocznego wydanego przez firmę Compañía Argentina del Reaseguro potwierdziła moje przeczucia. Dowiedziałem się mianowicie, że tradycyjni ubezpieczyciele sami chronią się przed pewnymi rodzajami ryzyka, których zaistnienie mogłoby nawet doszczętnie ich zrujnować. Kiedy ktoś traci dom w pożarze, zwraca się do ubezpieczyciela, który wypłaca odszkodowanie (zazwyczaj kiepskie i poprzedzone wieloma wykrętami). Ale kiedy dach nad głową traci jednocześnie dziesięć tysięcy osób, przykładowo na skutek cyklonu albo trzęsienia ziemi, towarzystwa ubezpieczeniowe nie mają już tyłu środków, aby wypłacić odszkodowania wszystkim. Zwracają się więc do reasekuratora, któremu troskliwie przekazywali niewielki odsetek składek otrzymywanych corocznie od klientów. W pewnym sensie Compañía Argentina del Reaseguro była firmą ubezpieczeniową jak każda inna, tyle że posiadała jedynie garstkę klientów, a najmniejsza klęska żywiołowa kosztowała ją dziesiątki milionów dolarów. Tym bardziej miała więc powód, by starannie szacować ryzyko podejmowane wraz ze zgodą na reasekurację takiego czy innego kontraktu.

Sekcja przewidywania katastrof naturalnych zatrudniała sześć osób, z wykształcenia nieodmiennie geografów lub geologów. Dyrektor, *señor* Osvaldo Ramirez, z którym tydzień wcześniej roz-

mawiałem przez telefon, wyjaśnił, że moja praca będzie polegała na sporządzaniu notatek oceniających, jakie jest ryzyko, że Buenos Aires zostanie zatopione przez olbrzymią falę albo że przebudzi się wulkan na szczycie Lullaillaco. Z jego wywodów zapamiętałem przede wszystkim, że w Ameryce Południowej naprawdę znajduje się wulkan, którego nazwa zawiera w sobie sześć „1”. Było to fascynujące.

Samolot gładko dotknął ziemi - zaliczyłem czwarte lądowanie tego dnia - i wydało mi się, że zrozumiałem, iż temperatura powietrza wynosi osiemnaście stopni. Było tak samo ciepło jak w Reykjavíku, z tą tylko różnicą, że w Córdoba w lipcu przypadał sam środek zimy.

Po godzinnym oczekiwaniu na walizki, a następnie wypełnieniu formularza zagubienia bagażu, przeszedłem przez odprawę celną i wyłoniłem się w skromnym terminalu międzynarodowym lotniska w Córdoba. Od razu rozpoznałem mojego przewodnika, a to dzięki tabliczce, którą wymachiwał nieopodal wejścia do budynku: „Witamy p. Dartungovera”. Ledwie dwa błędy ortograficzne, niemal rekord. Mój cicerone, który nosił czarne wąsy, tak gęste, iż przez moment sądziłem, że są doklejane, miał na imię Manuel. Uparł się, że poniesie mój mały plecak aż do samochodu, limuzyny z przyciemnianymi szybami, z rodzaju tych, które w moim dotychczasowym przekonaniu istniały wyłącznie w serialach o mafii, a potem zasiadł za kółkiem i włączył się płynnie do ruchu.

- Witamy w Córdoba, *señor* Dartungover - odezwał się po angielsku, spoglądając na mnie w lusterku wstecznym. - Wielka dla mnie przyjemność być szoferem dla pan.

Wiem, że składnia Manuela może wydawać się nieco uproszczona, a jednak - była jego mocną stroną, o niebo lepszą od zasobu słownictwa oraz akcentu.

- Nie za bardzo zmęczony? Ze zmianą godzin może pan nie spać?  
- Bardzo zmęczony, ale wkrótce noc i spać bardzo długo - odparłem, mimo woli małpując jego styl.

- Teraz nie spać, *el señor Ramirez espera el señor Dartungover a la compama*. - Kiedy długość zdania przekraczała magiczny próg

dziesięciu słów, Manuel wplatał w nie stale rosnącą liczbę hiszpańskich zwrotów. Obawiałem się, niestety, że świetnie pojąłem sens jego wypowiedzi.

- *Ciertamente un error* - wybełkotałem, gorączkowo zbierając do kupy swoje podstawy hiszpańskiego. - *Voy al hotel. Iré a la oficina mañana.*

- Nie *mañana*, teraz - powtórzył kategorycznie Manuel, jakby spodziewał się oporu z mojej strony. Potem włączył radio i skupił się na drodze, żeby dać mi do zrozumienia, że dyskusja została zamknięta.

Wielka jest udręka podróżnika bez bagażu, którego czeka dzień pracy w obcym języku, kiedy zdaje sobie sprawę, że położy się spać nie wcześniej niż za dziesięć godzin. Wydałem z siebie przeciągłe westchnienie i skierowałem uwagę na widok za oknem. Nieliczne zabytki z XVII i XVIII wieku nie pozwalały zapomnieć, że w Cór-dobie bije serce krajowego przemysłu. A serca przemysłu rzadko kiedy charakteryzują się szczególnym wdziękiem.

Compañía Argentina del Reaseguro - albo po prostu Compañía, jak nazywali ją pracownicy - mieściła się w ośmiopiętrowym budynku w dzielnicy biznesowej. Manuel, w swojej jakże niezwykłej mieszance angielskiego i hiszpańskiego, zwrócił moją uwagę na fakt, że autobus linii trzydzieści dwa zatrzymuje się na rogu ulicy, i stanowczo poradził, żebym zdecydował się na ten środek transportu. Z jego nalegań wysnułem, iż nie spodziewa się, abym był w stanie prowadzić samochód w natężonym ruchu ulicznym Córdoby. Świetnie, pomyślałem, wyjmując z bagażnika plecak, skoro firmowy szofer zdążył już wyrobić sobie na mój temat tak kiepską opinię, to co powiedzą moi nowi współpracownicy, kiedy usłyszą, jak peroruję po hiszpańsku o reasekuracji?

Manuel zostawił mnie w rękach recepcjonistki, która zajmowała się akurat malowaniem paznokci oraz słuchaniem radia. Gunnar kazał mi stawić się u Alonsa Diaza, który zarządzał biurem, mimo że oficjalnie podlegałem Osvaldowi Ramirezowi. Niestety, Gunnar nie był chyba na bieżąco, gdyż recepcjonistka poinformowała mnie, że *señor* Diaz jest chory i że zejdzie po mnie *señor* Ramírez. Następnie, zamiast zaoferować mi coś do picia czy zaproponować,

żebym usiadł, zaczęła miarowo i jednostajnie dmuchać na wszystkie dziesięć paznokci.

- *Mister Dartunghuver! What a pleasure to see you!* — zawołał do mnie z końca korytarza niewysoki, przedwcześnie wyłysiały jegomość.

Nie mając zielonego pojęcia co do jego poziomu wtajemniczenia, zwróciłem się do Ramireza tak, jak zrobiłby to każdy nowoza-trudniony: przepraszając za swój strój.

- To nie ma żadnego znaczenia, nie szata zdobi człowieka -odparł, podając mi rękę; jego uścisk był delikatny, lecz długi. Trzeba powiedzieć, że sam ubrał się jak klaun, łącznie z pomarańczowym krawatem, który podkreślał jego oliwkową karnację.

Ani słowem nie wspomniał o nieobecności mojego bagażu, jakby za normalne uznał, że przybyłem zamieszkać na drugim krańcu ziemskiego globu wyekwipowany jedynie w kosmetyczkę oraz „International Herald Tribune”. Wymamrotał kilka słów, w których mowa była, zdaje się, o jedzeniu, i chyba wziął mój otepiały wyraz twarzy za znak zgody, bo popchnął mnie w stronę windy i zjechaliśmy do podziemia, gdzie mieścił się firmowy bufet. Tam zaczął nalegać, bym spróbował specjalności kantyny, czyli półkilowego steku w sosie berneńskim. Kiedy tak słuchałem, jak zachwalał wykwint-ność argentyńskiej kuchni, podczas gdy mnie dawały się we znaki skutki zmiany czasu, pojąłem bez cienia wątpliwości, że nigdy nie dotrвам do końca tego dnia i że w trakcie popołudnia będę musiał znaleźć jakiś pretekst, by móc przekimać się pół godzinki w toalecie.

W konsorcjum obowiązuje zwyczaj, wedle którego młodego agenta nie zaznajamia się z nazwiskami kolegów po fachu w jednostce, do której zostaje oddelegowany. Trudno mi było sobie wyobrazić, żeby Ramirez, mój bezpośredni zwierzchnik, nie był w całą sprawę wtajemniczony i aby naprawdę sądził, że zamierzam poświęcić się obniżaniu współczynnika szkodowości w firmie. Jednakże, ponieważ nie miałem absolutnej pewności, przez cały czas trwania posiłku dopatrywałem się w jego słowach aluzji albo zmian w tonie głosu, które pozwoliłyby mi posłać moją tacę w diabły, nie martwiąc się przy tym, że zostanę zwolniony. Ale niczego takiego nie zauważyłem, musiałem wobec tego uznać Osvalda Ramireza za to,

czym istotnie był: za okropnego nudziarza. Jego jedynym pozytywnym wkładem w ten dzień okazało się wyjaśnienie zagadki, która prześladowała mnie od chwili przyjazdu: czemu, u licha, nikt nie rozumie, co mówię? Ramirez wytłumaczył mi, że język argentyński znacznie różni się od hiszpańskiego, nie tyle w sferze gramatyki (choć dla drugiej osoby liczby pojedynczej Argentyńczycy używali zaimka *vos* zamiast *tu*), co w kwestiach wymowy. Na przykład „c” występujące przed samogłoską, które w dialekcie kastylijskim wymawia się jak angielskie „th”, tutaj staje się głoską „s”. Z kolei „s” na końcu wyrazu jest prawie niesłyszalne, a - co wprawiało w jeszcze większą dezorientację - podwójne „l” wymawiano jako „sz”. Nic więc dziwnego, że w naszych rozmowach Manuel trzymał się swojego angielsko-hiszpańskiego żargonu. Natychmiast postanowiłem, że odstawię kasety, a przerzucę się na telenowełe, mierne tasiemcowate melodramaty, które mieszkańcy Ameryki Południowej darzyli takim upodobaniem.

Dowiedziałem się również, że Alonso Diaz naprawdę jest chory dużo poważniej, niż się spodziewałem. Trzy miesiące temu zdiagnozowano u niego raka prostaty w stadium wymagającym zastosowania chemioterapii. Zachodził do biura jedynie sporadycznie, a większość obowiązków przekazał swojemu zastępcy. Cały czas słuchając Ramireza i starając się stosować do jego zaleceń fonetycznych, zastanawiałem się, czy Gunnar nie zdawał sobie sprawy ze stanu Diaza, którego przed miesiącem przedstawił jako bliskiego przyjaciela. A może ten ostatni zapewnił go, że mimo wszystko znajdzie pomiędzy kolejnymi dawkami chemioterapii trochę czasu na moją edukację?

Ramirez w każdym razie wyraźnie nie miał zamiaru mnie opuszczać. Z szerokim uśmiechem oznajmił, że zarezerwował sobie dla mnie całe popołudnie i że czterej nowi koledzy niecierpliwie czekają, by mnie poznać. Żywiłem niejasną nadzieję, iż może niektórzy z nich okażą się Europejczykami, a nawet Islandczykami, lecz wszyscy bez cienia wątpliwości pochodzili z Argentyny. Nie przeszkodziło im to w zgotowaniu mi ciepłego przyjęcia. W szczególny sposób doceniłem fakt, że żaden nie wspomniał o tym, iż najmłodszy spośród nich był co najmniej dwadzieścia lat starszy ode



mnie. Z satysfakcją odnotowałem też, że przydzielono mi osobny gabinet (przez chwilę obawiałem się, że będę musiał dzielić pokój z Ramirezem) i że mój komputer został wyposażony w modem. W roku 1993 nie było to wcale zbyt częste.

Z niekończącego się popołudnia, które nastąpiło później, zachowałem jedynie mgliste wspomnienia: rozognionej tyrady Ramireza na temat fantastycznych możliwości, jakie stwarzało zastosowanie wzorów Riemanna w badaniach seismologicznych, równań, które gryzmolił obsesyjnie na czarnej tablicy, a następnie ścierał rękawem, zanim zdażyłem je przepisać, głupawego gdakania sekretarki, którym kończyła się każda z moich prób skruszenia muru wzajemnego niezrozumienia między ludźmi, uporu, z jakim pewien nieforemny człowieczek usiłował przysposobić mnie do lektury wykresów pływów morskich zebranych w swego rodzaju bezkresnym almanachu, przymocowanym łańcuchem do jego biurka, jakby facet bał się, że księga mu zniknie... Jedyna rzecz, którą pamiętam niemal jasno, to film zrealizowany na zamówienie Compañii w celach edukacyjnych techniką animacji komputerowej. Film ten, trwający niespełna dziesięć minut, ukazywał wyimaginowaną wioskę, której nazwa mi teraz umyka, doświadczaną kolejno przez wszystkie ziemskie plagi. Niczym ów bohater *Mechanicznej pomarańczy* zmuszony do kontemplowania najnikczemniej szych występków, poprosiłem o zmiłowanie po tym, jak chmara żarłocznej szarańczy zniszczyła plony, a wezbrany strumień uniósł ze sobą lokale socjalne północnej dzielnicy, lecz tuż przed lawiną, która jak obiecał monotony głos komentatora, miała poczynić prawdziwe spustoszenie.

Wymknąłem się cichcem koło siedemnastej, oznajmiając, że zrobię sobie wycieczkę po innych działach. Odrzuciłem ofertę Ramireza, który zaproponował, że dotrzyma mi towarzystwa, argumentując, iż wolałbym samodzielnie wyrobić sobie opinię na temat panującej w firmie atmosfery. W ramach tejże wycieczki wsiadłem w taksówkę i pojechałem prosto do hotelu, gdzie zwałem się na łóżko.

Dzwonek telefonu wyrwał mnie ze snu chwilę po dwudziestej, choć bez trudu mógłbym przespać dwanaście godzin. Rozmówczynią okazała się kobieta, która - co niezwykle jak na hotel w samym sercu Córdoby - wysławiała się po islandzku.

- Czy to pokój Sliva Dartunghuvera?

- A kto pyta?

- Lena Thorsen.

Teraz już do reszty się obudziłem. Wsparłem się na łokciu, przez parę sekund wahając się co do dalszego postępowania.

- Halo, słyszy mnie pan?

- Doskonale.

- Wie pan, kim jestem?

- Tak. Spędziła pani trzy lata u Baldura, Furusetta i Thorberga.

- Dwa i pół roku, ale to nie dlatego dzwonię.

- Jest pani w Córdobie? Myślałem, że w Stuttgarcie...

- Teraz jestem tutaj - przerwała mi, jakby doszła do wniosku, że straciliśmy już wystarczająco dużo czasu na wstępy. - Spodziewałam się, że dziś pana spotkam. Ramirez nie oprowadził pana po firmie?

- Yyy, nie - wybełkotałem. - Rozmawialiśmy głównie o matematyce.

- O matematyce?

- Pokłada wielkie nadzieje w równaniach Riemanna.

- Ach tak? Nie wiedziałam. - Wszystko wskazywało, że absolutnie jej to nie obchodzi.

- Zważywszy na obecny stan wiedzy naukowej, sądzę, że nie możemy ostatecznie obalić jego toku rozumowania - powiedziałem w dosyć żalostnej próbie nawiązania pierwszej nici porozumienia.

- Możliwe, w ogóle się na tym nie znam. Dobrze, proszę powiedzieć, nie ma pan na dzisiaj żadnych planów?

Ależ oczywiście, że miałem - jeden plan. Ściślej mówiąc, byłem nawet w trakcie wprowadzania go w życie, kiedy zadzwonił telefon. Ale pojąłem, że Thorsen także miała jakiś plan i że ja byłem jego częścią.

- Właściwie to nie.

- Doskonale. Przyjdę po pana za kwadrans. Niech pan zejdzie do recepcji.

Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź.

Kiedy Lena Thorsen podeszła do mnie w hotelowym holu, zrozumiałem, czemu pracownicy Baldura, Furuseta i Thorberga zachowali w pamięci tak wyraźne wspomnienie jej pobytu w Reykjavíku. To dlatego, że Leny Thorsen nie zapominało się tak łatwo jak Silva Dartunghuvera. Mogła się pochwalić wprost idealną powierzchownością: była wysoka, szczupła, wysportowana, o idealnie regularnych rysach, orzechowych oczach i zachwycających ustach, a całości dopełniała niezwykle jak na Skandynawkę ciemna cera, podkreślana przez upięte w kok jasne włosy. A niech mnie, pomyślałem, jak Dział Kadr mógł wysłać tę nordycką piękność do kraju samych macho? I czy Compañía Argentina del Reaseguro była na tyle bogata, że mogła sobie pozwolić na takie obniżenie produktywności wśród pracowników płci męskiej?

- Dartunghuver? - spytała ze zdumieniem, skupiając spojrzenie na wzorku z narzuty, który odcisnął mi się na policzku. Ledwie zdążyłem wziąć prysznic i prowizorycznie przyczesać włosy.

- Dobry wieczór - odparłem po islandzku, choć wiedziałem, że Thorsen, Dunka, mówi także po angielsku oraz po niemiecku.

Wymieniliśmy krótki uścisk dłoni i przez chwilę żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć. Wreszcie to ja przełamałem lody.

- To miło z pani strony, że już pierwszego wieczoru postanowiła pani mnie gdzieś zabrać - oznajmiłem.

Oczywiście wcale tak nie uważałem. Byłoby naprawdę miło, gdyby pozwoliła mi spać do woli.

- Diaz mnie o to poprosił - odparła, nie siląc się na kłamstwo. - Mam od groma roboty, pewnie po kolacji wrócę do biura. No dobrze, idziemy?

-Jestem do pani dyspozycji - odrzekłem, myśląc sobie, że wielu mężczyzn z radością skierowałoby do niej podobne oświadczenie.

Temperatura spadła o kilka stopni. Już dawno zapadła noc, jednakże tłumy ludzi spieszyły gdzieś jak w samym środku dnia. Mój hotel usytuowano przy jednej z głównych arterii, Isabel la Católica, ale Thorsen bardzo szybko wprowadziła mnie w labirynt źle oświetlonych uliczek. Szła prędko, jakby się bała, że będzie musiała ze mną rozmawiać, jeśli tylko zdołam dotrzymać jej kroku. Przyjrzałem jej się lepiej, kiedy, nieco mnie wyprzedzwszy, przechodziła przez ulicę. Miała na sobie sprane dzinsy, białą koszulę prosto z działu męskiego i czarne pantofle na płaskim obcasie. Dwóch kierowców zatrzymało się, aby ją przepuścić, pozerając ją przy tym wzrokiem z tupetem i lubieżnością charakterystycznymi dla latynoskich samców.

W końcu zniknęła w niewielkiej, mieszczącej się w piwnicznej restauracji, do której schodziło się po wąskich krętych schodach. Przywitała właściciela raczej chłodno, co nie przeszkodziło mu usadzić nas przy najlepszym stoliku.

- Witamy w Córdoba, Dartunghuver - rzuciła w końcu Thorsen, rozkładając serwetkę.

- Bardzo tu przyjemnie - orzekłem, rozglądając się wokół. Bielone wapnem ściany pokrywały czarno-białe fotografie scen z corridy. - Często tu pani przychodzi?

- Chciałabym, ale absolutnie nie mam na to czasu. Najczęściej jem kolację w biurze.

- Za dużo pracy?

- Tego nie powiedziałam - odparła, posyłając mi wściekłe spojrzenie, jakbym próbował zastawić na nią pułapkę. - Wystarczy stwierdzić, że odkąd Diaz ma problemy zdrowotne, trochę przybyło mi obowiązków.

Nagle pojąłem, że to Thorsen jest tą sławną asystentką, która tymczasowo przejęła funkcję Diaza. Nie mogłem powstrzymać kolejnego już ukłucia zazdrości. Ile ona miała lat? Dwadzieścia

dziewięć, najwyżej trzydzieści? Thorsen chyba czytała mi w myślach, bo podjęła:

- Nic nie przygotowało mnie do dźwigania takiej odpowiedzialności w wieku dwudziestu ośmiu lat, ale sądzę, że w obecnych okolicznościach wojna czyni żołnierza. - Czy to było jakieś duńskie przysłowie? W każdym razie na pewno nie islandzkie.

- Kiedy zaczęły się te problemy zdrowotne Diaza? - pociągnąłem temat.

- Osiem dni po moim przyjeździe. Miał trudności z oddawaniem moczu, poszedł do urologa, który prędko dodał dwa do dwóch. Pobrali krew i po upływie doby diagnoza została potwierdzona, a Diaz zaczął chemioterapię. - Albo sekretarka Diaza pozwoliła sobie na niedyskrecję, albo Thorsen sama poszperała: tak czy owak, jej opowieść wydawała się diabelnie przekonująca.

- Od razu przestał pracować?

- Och, nie, z początku chciał zgrywać bohatera - wyjaśniła Thorsen, jakby uznawała wysiłki Diaza za nieodwołalnie skazane na porażkę. - Najpierw zaczął przychodzić jedynie rano, potem zjawiał się co parę dni, a teraz już prawie w ogóle go nie widzimy. To jest, chciałam powiedzieć: pracownicy prawie go nie widują. Ja zachodzę do niego codziennie, żeby zdać sprawę z naszych aktualnych działań.

- Oczywiście - przytaknąłem, jakbym aprobował ten nowy model organizacji.

- Nie stracił nic ze swoich zdolności, proszę mi wierzyć. To wielki profesjonalista.

- Tak też mówił Gunnar - zgodziłem się z nadzieją, że podchwyci wzmiankę o naszym wspólnym mentorze. Ale ona mnie nie słuchała.

- Dlatego właśnie byłem taka wzruszona, kiedy wczoraj powiedział, że poprawiłam tę teczkę o Napoleonie naprawdę po mistrzowsku - kontynuowała, badając moją reakcję. Postanowiłem dać jej nieco satysfakcji, nie zamierzałem jednak prosić, by przytoczyła całą historię.

- Rzeczywiście piękna pochwała. Może coś zamówimy? - zaproponowałem, otwierając kartę.

- Dobry pomysł. Polecam panu stek, bratanek właściciela ma własną, hodowlę na pampie.

Spędziłem w Córdoba dwa lata. Możecie mi wierzyć, gdy mówię, że Argentyńczyk zawsze ma w zanadrzu anegdotkę o najlepszym steku, jaki zdarzyło mu się jeść. Każdy ma też brata lub kuzyna hodowcę, który bezpośrednio go zaopatruje. Dodam jeszcze, że w menu kilogram mięsa stanowił wielkość podstawową. Przynajmniej tym razem udało mi się wymigać od sosu berneńskiego.

- Czy się myślę, czy pani pobyt w Stuttgarcie był bardzo krótki? Trwał niespełna półtora roku, prawda?

- Dokładnie siedemnaście miesięcy, o dwa krócej niż pański w Reykjaviku - odpowiedziała Thorsen, która jak się zdawało, śledziła moją karierę tak samo uważnie jak ja jej.

- Jaka jest specjalność Stuttgartu?

- Starożytne cywilizacje. Ponoć wysłano mnie tam dlatego, że potrafię przeczytać Cyncerona w oryginale. Wynudziłam się na śmierć.

- Nudziła się pani? - powtórzyłem zaskoczony. - Jak można się nudzić, mając do dyspozycji tak bogaty temat?

- Bogaty, ale całkiem bez znaczenia. To było o wiele za łatwe. Starożytność nikogo już nie interesuje. Chrześcijańskiego męczennika tworzy pan w trzy miesiące, powstanie niewolników w dwa tygodnie. Kto panu zaprzeczy? Jeśli tylko źródła są w porządku - a proszę mi wierzyć, moje były - nikt nie podważy pańskiego zdania. Akademyści są tak zajęci rekonstrukcją pompejańskich mozaik płytka po płytce, że nigdy nie znajdują czasu, żeby szukać dziury w całym.

- A pani opiekun, tam na miejscu? Pełniła pani funkcję zastępcy dyrektora biura, prawda?

- Tak jest. To był przyzwoity gość, taki właśnie akademik. Miał pewne trudności z popychaniem swoich projektów do przodu. Kiedy mówiliśmy mu „na jutro”, on rozumiał przez to „przed końcem roku”.

Znałem ten typ. Przypominał mi jednego z moich profesorów nauk politycznych. Doprowadzał swoich doktorantów do szału. Na pierwszym spotkaniu rozrysowywał im plan pracy na kolejnych piętnaście lat.

- A tutaj dobrze się pani bawi? - spytałem, podczas gdy właściciel położył przede mną kawał wołowiny wielkości mojej wątroby.

Thorsen spojrzała na mnie, jakby słyszała to słowo po raz pierwszy w życiu.

- Nie użyłabym takiego sformułowania, ale tak, jestem raczej zadowolona. Praca jest ciekawa, a kłopoty zdrowotne Diaza stwarzają pewne możliwości.

- Jak na przykład? - chciałem wiedzieć, myśląc, że Diaz z pewnością byłby zachwycony, słysząc, że chorobę nowotworową, która przykuła go do łóżka, dało się zaliczyć do kategorii drobnych życiowych wypadków.

- Och, dobrze pan wie, co chcę powiedzieć - odparła, obdarzając mnie anielskim uśmiechem. - Już otrzymanie posady zastępcy dyrektora centrum w wieku dwudziestu ośmiu lat nie zdarza się zbyt często, ale skuteczne zarządzanie operacjami w imieniu szefa to prawdopodobnie najlepsza rzecz, jaka mogła mi się przytrafić z punktu widzenia mojej kariery. Niech pan pomyśli: dyskutuję z innymi dyrektorami centrów jak równy z równym.

- I nie boi się pani, że popełni jakiś błąd? W końcu odrobinę brakuje pani doświadczenia operacyjnego, prawda?

- Dziękuję za troskę, Dartunghuver, ale na ten moment świetnie sobie radzę sama i nie zamierzam nic w tej kwestii zmieniać. Niech ten układ utrzyma się jeszcze przez rok czy dwa, a po prostu będą musieli awansować mnie do trzeciej klasy.

Po jej zacietrzewionym tonie poznałem, że nic nie wskóram, drażąc temat.

- Sliv - odezwałem się cicho.

- Co Sliv?

- Może pani nazywać mnie Sliv. I proponuję, żebyśmy przeszli na „ty”.

Wydawało się, że dogłębnie analizuje moją sugestię.

- Zgodzę się na Sliva - oznajmiła wreszcie. - Ale wolę nadal zwracać się do pana przez „pan”. Ta forma pozwala mi zachowywać do ludzi szacunek.

- A co na to pani chłopak? - spytałem na wpół żartobliwie. Na moje nieszczęście Thorsen nie wyczuła dowcipu.

- Nie sędę, żebyśmy znaleźli się tutaj, aby rozmawiać o moim chłopaku - odparła sucho. - Zakładając, że jakiegoś mam, oczywiście - postanowiła doprecyzować.

Była to niepotrzebnie rozbudowana klaryfikacja, która na dodatek nie odpowiadała na moje pytanie. Czy zwracała się do swoich chłopaków per „pan”? A jeśli mówiła im na „ty”, to czy należało z tego wnioskować, że ich nie szanuje? Zdawałem sobie sprawę, że wkraczam na grząski grunt, wołałem więc chwilowo zająć się stekiem, zastanawiając się przy tym, co miłego mógłbym powiedzieć.

- Czytałem pani teczkę, *Skitos, stolica Tesalii* - rzekłem wreszcie. - Niezwykły pokaz falsyfikacji.

Jej twarz rozjaśniła się, kiedy Thorsen uraczyła mnie promiennym uśmiechem. Boże, jakaż była piękna! Co za szkoda, że trzeba jej było schlebić, żeby się rozchmurzyła.

- Ja nigdy bym nie wpadł, żeby stworzyć to Stowarzyszenie na rzecz Kultury Tesalskiej - ciągnąłem. - Co za genialny pomysł!

- Dziękuję - odparła. - Ważne było, żeby znaleźć źródło, które ustanowi związek między Nebraską a Grecją. Stowarzyszenie dodaje wiarygodności pozostałym źródłom, a te z kolei uwiarygodniają istnienie Stowarzyszenia.

Wcześniej nie patrzyłem na to pod tym kątem, ale po chwili refleksji zrozumiałem skuteczność tego rozwiązania. Umieszczając tabliczkę na pasterskiej chatce w Actinonii, Thorsen upiekła dwie pieczenie na jednym ogniu: poświadczyła historię Spyrosa oraz udowodniła żywotność stowarzyszenia. Czemu ja nigdy nie miałem takich pomysłów?

-To dla Córdoby wielki zaszczyt móc przyjąć laureata Nagrody za Najlepszą Pierwszą Teczke - odwzajemniła się.

- Och, znowu o tej nagrodzie! - zawołałem z niechęcią, odsuwając talerz. - Nie ma co się nad tym rozwodzić.

- A jednak pańskateczka zasługuje, żeby chwilę się nad nią zatrzymać, jest znakomita - stwierdziła Thorsen.

A więc ją czytała. Nie będę zaprzeczał, że ta rewelacja sprawiła mi pewną przyjemność.

- Aktualny temat, pomysłowy, ale wiarygodny scenariusz, oryginalni bohaterowie, wszyscy jednak martwi albo niemożliwi do odnalezienia. .. - wyliczała, nalewając sobie wody do szklanki.



- Leno, pani mnie wprawia w zakłopotanie - przerwałem, zastanawiając się, dokąd ona zmierza.

- Nie, mówię prawdę. Skąd przyszło panu do głowy, żeby zająć się Buszmenami?

Opowiedziałem jej, jak za sprawą nekrologu Chemineau zainteresowałem się ludami południowej Afryki. Po jej zdumionym wyrazie twarzy poznałem, że sama byłaby niezdolna do takiego oportunistycznego.

- To był śmiały krok, moje gratulacje - skomentowała w końcu. - I podejrzewam, że musiał pan dopracowywać źródła w pośpiechu?

- Poniekąd, tak - odparłem. - Miałem niespełna dwa tygodnie na całkowite przerobienie manuskryptu Chemineau i dodatkowo dwa miesiące na uporządkowanie reszty.

- Ach, jednakowoż... - rzuciła Lena. - Myślałam, że dysponował pan jeszcze mniejszą ilością czasu.

- To już i tak wydawało mi się diabelnie krótko, proszę mi wierzyć - rzekłem, wspominając dwa tygodnie z Brioncetem, wypełnione pracą bez chwili wytchnienia. Czy ona właśnie insynuowała, że jedynie ekstremalny pośpiech mógłby usprawiedliwić kiepską jakość moich źródeł?

- Nie, nadmieniam o tym tylko dlatego, że Gunnar nie przysłał nam pańskiej teczki do zatwierdzenia.

Właściciel wybrał akurat ten moment, by podejść i zapytać, czy kolacja nam smakowała. Thorsen ucięła jego przymilną przemowę, balansując na granicy uprzejmości.

- Może wysłał ją do Hong Kongu albo do Malmö? - zasugerowałem, gdy się oddalał.

- Nie, sprawdziłam, archiwa są scentralizowane.

- I co pani z tego wysnuła? - spytałem, czując niejasny niepokój.

- Och, nic - odpowiedziała. - Ze Gunnar się nie zmienił. Woli postępować wedle własnego widzimisię, niż poprosić o opinię prawdziwych profesjonalistów.

Wcale nie podobało mi się, że mówi o Gunnarze w taki sposób, zwłaszcza kiedy sobie przypominałem, z jakim uwielbieniem on wspominał ją. Upiłem łyk wina, żeby się opanować i na nią nie naskoczyć.

- Patrząc na rezultaty jego działań, trudno odmówić mu słuszności - stwierdziłem.

- Jest jeszcze troszkę za wcześnie, żeby to oceniać - oświadczyła Thorsen sentencjonalnie. - Dobre teczki to takie, które wytrzymują próbę czasu. Wciąż czekamy, by się przekonać, czy legenda Nigela Maertensa przetrwa śledztwo De Beersa. Nie postawiłabym na to swoich oszczędności.

Tym razem niespiesznie opróżniłem kieliszek aż do dna. Powziąłem silne postanowienie, że nie pozwolę, by puściły mi nerwy. Co mógłbym zyskać, idąc na noże z Leną Thorsen już przy pierwszym spotkaniu?

- Pracuje pani nad jakimś nowym projektem? - spytałem głosem tak słodkim, jak się tylko dało.

- Nie - odparła niechętnie, jakby zamierzała uniknąć celnego ciosu z mojej strony. - I obawiam się, że pan również będzie musiał chwilowo odesłać swoją wyobraźnię do lamusa. Jesteśmy zalewani pytaniami, a mamy za mało ludzi. Zamierzał pan bawić się w turystę?

- Tak sądzę, chyba tak - odrzekłem, jakbym rozważał tę kwestię po raz pierwszy. W rzeczywistości Youssef i Magawati zlecili mi już zorganizowanie na przyszły rok pieszej wycieczki przez Patagonię i miałem nadzieję dostać na tę okazję cztery tygodnie urlopu.

- Niech pan na to nie liczy - oświadczyła kategorycznie Lena. - Albo niech pan zrobi tak jak ja: weźmie pół dnia wolnego, kiedy najdzie pana ochota, by odwiedzić muzeum.

- Dziękuję za radę - rzuciłem, spoglądając kątem oka na młodego sprzedawcę róż, który zbliżał się do naszego stolika, śpiewając na całe gardło.

Lena odwróciła się gwałtownie i kazała mu spływać, lecz chłopak, któremu nie dałbym więcej niż dwanaście lat, nie pozwolił się zbyć tak łatwo jak właściciel knajpki.

- Kwiatek dla pięknej damy? - zagadnął mnie, zmuszając Thorsen, by powąchała zawartość koszyka.

- Kwiatek, Leno? - powtórzyłem. - To byłaby dla mnie przyjemność.

- Proszę mu powiedzieć, żeby się stąd zabierał, Dartunghuver - zapiekliła się Thorsen, sadowiąc się głębiej na krześle. - Posłucha tylko pana.

- Jest pani pewna? Są naprawdę piękne - stwierdziłem, dając małemu sprzedawcy znak, by podjął śpiew. Zabrał się do rzeczy z zapalem, ku rosnącej uciechu gości przy sąsiednich stolikach.

- Na miłość boską, niech on stąd zniknie albo to ja odejdę od stołu! - zawołała Thorsen u kresu wytrzymałości.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli sobie pójdiesz — zwróciłem się do sprzedawcy, wsuwając mu w zwiniętą dłoń banknot.

Wybrał najpiękniejszą ze swoich róż i wręczył mi ją z powagą, składając ukłon. Odciałem łodygę nożem do steków i wsunąłem kwiat do butonierki, podczas gdy Thorsen poprosiła o rachunek, unikając patrzenia w moją stronę.

Kiedy udałem, że chcę wsunąć rękę do kieszeni, Thorsen powstrzymała mnie gestem i wyjęła kartę kredytową.

- Firma płaci, to się rozumie samo przez się. To była służbowa kolacja.

- Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości, Leno - odparłem, głaszcząc różę wierzchem dłoni.

Dwa dni później Ramirez wsunął głowę do mojego gabinetu, żeby mnie powiadomić, iż Alonso Diaz przebywa w budynku i chciałby mnie poznać. Ponieważ już od dwóch godzin ślęczałem nad tabelami szkodliwości morskiej, z radością powitałem tę odmianę. Znacznie nie doceniłem matematycznej składowej mojego nowego stanowiska i czekałem tylko, aż Ramirez zorientuje się, że nie pojmuję nawet pierwszej linijki z równań, którymi naszpikowane były wszystkie jego notatki służbowe.

W windzie, która wiozła mnie na ósme piętro, oddałem się marzeniom, że Diaz oświadczy, iż moja przykrywka reasekuratora została już należycie ustanowiona i że odtąd mogę poświęcić się wyłącznie sprawom KFR-u. Wiedziałem, niestety, że istnieją niewielkie szanse, aby moje życzenie miało się spełnić. Wszyscy agenci pierwszej i drugiej klasy wiodą podwójne życie. Jedynie agenci klasy trzeciej oraz, rzecz jasna, szefowie KFR-u dysponują czasem wedle własnego upodobania.

Spodziewałem się, że zastanę Diaza w kiepskiej formie, ale nie że przyjdzie mi rozmawiać z żywym trupem. Ubrania na nim wisały. Stracił włosy, lecz - czy to przez brawurę, czy przewrotność - nie nosił peruki. Zdawało się, że krew odpłynęła mu z twarzy, która wyglądała, jakby wykuto ją z kamienia. Przyciągnął mnie do siebie w niezdarnym uścisku, ja jednak nieświadomie trzymałem się na dystans, bojąc się, że przelecę przez niego na wylot.

- Sliv, mój drogi, Gunnar tyle mi o panu opowiadał, że mam wrażenie, jakby stał przede mną stary przyjaciel - odezwał się po angielsku.

- I nawzajem - skłamałem, starając się ukryć niepokój, jaki wzbudzała we mnie jego widmowa aparycja. Ale po kiego diabła Gunnar ukrywał przede mną stan Diaza, jeżeli o nim wiedział? Czyżby się domyślał, że nie zachwyci mnie perspektywa pracy dla Leny Thorsen?

- Żałuję, że nie mogłem pana powitać osobiście w dniu pańskiego przyjazdu. Być może słyszał pan, że cierpię obecnie pewne problemy zdrowotne... - rzekł Diaz, śledząc moją reakcję.

- Rzeczywiście, była o tym mowa - odparłem, jakbym przechowywał tę informację w tej samej przegródce co godziny otwarcia firmowego bufetu.

Diaz posłał mi długie spojrzenie, a ja wyczytałem w jego oczach, tak jak i on musiał wyczytać w moich, że żaden z nas nie ma ochoty rozwodzić się nad jego chorobą. Odniosłem wrażenie, że ulżyło mu na tę konstatację, i jego głos nabrał bardziej ożywionej barwy.

- Napije się pan czegoś? Cola? Sok?

- Poproszę tylko szklankę wody. - Jeśli miałem przyjmować dziennie tysiąc kalorii pod postacią steku, dobrze by było zacząć uważać na całą resztę.

- Zaraz każę przynieść, niech pan spocznie, drogi chłopcze - zachęcił Diaz, podnosząc słuchawkę, aby zadzwonić do sekretarki.

Przyciągnąłem sobie spartańskie drewniane krzesło, wracając myślami do skórzanych foteli Gunnara. Ci dwaj mężczyźni mienili się przyjaciółmi, lecz ich style nie mogły bardziej się od siebie różnić. Gunnar umeblował swój gabinet komfortowo, a nawet luksusowo, starannie dobierając oświetlenie i materiały, podczas gdy Diaz, mając na względzie jedynie funkcjonalność, usiłował, zdaje się, upodobnić swój do komisariatu wschodnioniemieckiej policji. W tej kwestii Gunnar niewątpliwie wygrywa, pomyślałem, próbując - na próżno - znaleźć sobie na krześle wygodną pozycję.

W tym momencie do pokoju weszła Lena Thorsen, niosąc tacę. Zarumieniła się, gdy zrozumiała, że karafka wody przeznaczona jest dla mnie i że cokolwiek by powiedziała, ja nie zapomnę, że pewnego dnia przydybałem ją w tej służebnej roli.

- Ach, dziękuję, Leno - przywitał ją Diaz. - Proszę to postawić tam. Sliva już pani zna, jak mniemam.

Istotnie, już się poznaliśmy - potwierdziła Thorsen, kiwając głową w moją stronę.

- Tym lepiej, tym lepiej - stwierdził Diaz, nalewając mi szklankę wody. - Często będziecie razem pracowali. Leno, może mogłaby pani w weekend pokazać Slivowi najciekawsze punkty w mieście, co pani na to?

- Z przyjemnością - odrzekła Lena, również nalewając sobie wody, aby ukryć, w jak dużym stopniu wymuszona jest ta oferta.

- Ale może Sliv ma jakieś pilniejsze sprawy do załatwienia?

- Jak najbardziej - przytaknąłem, przychodząc jej na ratunek.

- Ale zapamiętam sobie to zaproszenie - dodałem, spoglądając Thorsen w oczy.

- Proszę spocząć, Leno - podjął Diaz. - Zjawiała się pani w samą porę. A zatem, Sliv, jak minęły panu pierwsze dni w naszej Compañía Argentina del Reaseguro?

- Dobrze - odpowiedziałem. - Choć szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że mój bezpośredni przełożony okaże się cywilem.

- Tak, wiem - przyznał Diaz - nie jest to rozwiązanie idealne. Mieliśmy serię nieudanych rekrutacji i chronicznie brakuje nam ludzi. Ale Ramírez jest nieszkodliwy. Zadowala się tym, że pozwalamy mu siedzieć we własnym kąciuku i wypisywać te swoje równania. Uważa, że odkrył niezawodny model przewidywania.

- Oparty na funkcji Riemanna - uzupełniłem. - Tak, zdążył wyjaśnić.

- Doskonale pan sobie poradzi - uznał Diaz, niweczając w ten sposób resztki moich nadziei na uwolnienie się od monotonii życia aktuarusza. - A z poważniejszych spraw, domyślam się, że Gunnar wytłumaczył panu, na czym polega rola centrum w Cór-dobie.

- Prawdę mówiąc, raczej niezbyt szczegółowo. Wiem tylko, że Córdoba to jedna z czterech jednostek zajmujących się kwestiami falsyfikacji.

Diaz upił łyk wody i przytaknął. Był tak blady, że przez chwilę myślałem, że zaraz zemdleje.

- Ponieważ sam pan stworzył kilka teczek, wie pan, że opiekun prowadzący ma za zadanie kontrolować pańskie źródła i upew-

nić się, że podjął pan wystarczające wysiłki w celu uwiarygodnienia scenariusza.

- Naturalnie - potwierdziłem. Jak mógłbym zapomnieć dwa spotkania dziennie, podczas których Gunnar dopieszczał buszmeńską teczkę?

- Jeśli cokolwiek wzbudzi w opinii prowadzącym choćby najmniejszą wątpliwość - kontynuował Diaz — wysyła on teczkę do Hong Kongu, który badają na miejscu albo przekazuje jednemu z centrów pomocniczych w Córdobie, Malmö lub Vancouverze. A my poddajemy tu taką teczkę sekcji, sprawdzamy źródła, potwierdzamy dane, zlecamy wewnętrznym ekspertom weryfikację podstawowych hipotez.

- Mógłby mi pan podać jakiś przykład? - poprosiłem. - Nie wyobrażam sobie, jaką zmianę moglibyście wprowadzić, nie będąc wcześniej zaangażowanymi w powstawanie scenariusza.

- No dobrze - rzucił Diaz złośliwie. - Weźmy pańską trzecią teczkę: ***Der Bettlerkönig***.

- Jak to? - zawołałem. - Czytał pan ***Bettlerköniga***?

- Czy go czytałem? - powtórzył Diaz. - Ja go pochłonałem. Gunnar wysłał mi folder w lutym ubiegłego roku, nalegając, żebym zajął się nim osobiście. Wie, jaki ze mnie kinoman...

- Czy ktoś mógłby mnie wtajemniczyć? - wtrąciła się Thorsen. - ***Bettlerkönig***, król żebraków?

- Mmm... Tak, to dobre tłumaczenie - ocenił Diaz. - Sliv, niech pan zaprezentuje swój scenariusz.

- Od czego by tu zacząć? W tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku młody niemiecki arystokrata nazwiskiem von C. przedstawił kilku producentom projekt filmu zatytułowanego ***Der Bettlerkönig***. Wszyscy go odrzucili, podając różnorodne wymówki. Klaus Hoffmann z wytwórni UFA (Universum Film AG) napisał do von C. tak: „***Der Bettlerkönigowi*** brakuje wartości moralnych, których naród niemiecki oczekuje od nowoczesnej produkcji”.

- Co stanowiło uprzejmy sposób na poinformowanie pomysłodawcy, że jego dzieło jest politycznie niepoprawne - przełożył Diaz, któremu wróciły kolory. Postanowiłem, że zrobię mu przyjemność, rozciągając swoją przemowę.

- *Der Bettlerkönig* opowiada historię małego bawarskiego księstwa z XIV wieku. Książę Friedrich nie może dojść do siebie po śmierci żony, księżnej Hildę. Przeczuwając zbliżający się koniec, gorąco pragnie wydać za mąż jedyną córkę, Gudrun, która kocha się w rycerzu Haraldzie, jednym z najbardziej prawych i szanowanych ludzi w promieniu wielu kilometrów. Harald walczył za cesarza Ludwika IV Wittelsbacha, szczerze kocha Gudrun, a książę Friedrich widzi w nim idealnego następcę.

Ale do zamku zaczynają docierać anonimowe doniesienia, dzięki którym książę poznaje nieoczekiwany aspekt osobowości przyszłego zięcia. Dowiadujemy się, że Harald zachęca kmieci w księstwie, by przestali płacić podatek w naturze. „Ziemia należy do tych, którzy ją uprawiają. Przed wami uprawiali ją wasi rodzice, a przed nimi rodzice waszych rodziców. Dlaczego mielibyście oddawać jej owoce tym, którzy są zbyt leniwi, aby siać i orać?”. Friedrich jest zszokowany. Wzywa Haraldą do zamku, aby się z nim skonfrontować. Harald pozostaje wierny swoim przekonaniom, nawet gdy Friedrich grozi mu banicją. „Kocham Gudrun nad życie - odpowiada Harald - lecz moje miejsce jest pośród żebraków”.

- Bardzo wzruszające - orzekła Thorsen cokolwiek drwiąco.

- Niech pani poczeka - zachęcił Diaz, który cieszył się jak wariat - najlepsze jeszcze przed nami.

- Friedrich powiadamia o wszystkim Gudrun, mając nadzieję, że córce uda się przemówić Haraldowi do rozumu. Ale Gudrun bierze stronę swojego konkurenta. Tłumaczy ojcu, że sam uosabia przebrzmiałą epokę i że własność ziemską to przeżytek. Nagle rozlega się przeciągła skarga myśliwskiego rogu. Friedrich spieszy do okna i widzi u bram zamku zgraję żebraków zgromadzoną przez Haraldą. Gudrun oznajmia ojcu, że od tej pory jego ludzie będą przyjmowali rozkazy od niej. Jej ton jest niewzruszony, nieznoszący sprzeciwu. Dziewczyna schodzi na dół, by samodzielnie opuścić most zwodzony. Skamieniałemu ojcu, który przypatruje się, jak żebracy ze spokojem opanowują jego zamek, oznajmia: „Nie zrobimy ci krzywdy”.

- To wszystko? - spytała Thorsen.

- To jedynie fabuła filmu! - wykrzyknął Diaz. - Nic dziwnego, że UFA miała opory, żeby zrobić z tego superprodukcję!



- Trzeba zaznaczyć - wyjaśniłem w stronę Thorsen - że ideał kolektywistyczny nie był raczej w nazistowskich Niemczech witany brawami. Cztery lata wcześniej Hitler podpalił Reichstag, zwalając winę na komunistów, aresztował cztery tysiące działaczy, a później po prostu zdelegalizował KPD, Kommunistische Partei Deutschlands.

- W tym okresie lepiej było nakręcić *Olimpiadę* - uzupełnił Diaz.

- Ale von C. się nie zniechęca. Jest młody, bogaty, idealistyczny i nieświadomy. Nikt nie chce zrealizować jego scenariusza? Nie szkodzi, sam sfinansuje produkcję. W czerwcu trzydziestego siódmego, za pośrednictwem podstawionego człowieka nazwiskiem Günther Niemals, wynajmuje studio w Babelsbergu. Dwa tygodnie później Gestapo robi na Babelsberg nalot. Von C. jakoś się wydostaje, lecz Niemalsowi oraz paru aktorom szczęście nie sprzyja i zostają skazani na pięć lat więzienia.

- Zakładam, że wszystko to jest udokumentowane — rzekła Thorsen tonem, który pozwalał niemal bez cienia wątpliwości odgadnąć jej opinię w tej sprawie.

- Właśnie do tego zmierzamy - odparł Diaz. - Ale tak, ogólnie rzecz biorąc, Sliv wykonał kawał dobrej roboty. Niemals istniał naprawdę i faktycznie poszedł do więzienia, choć miało to związek z pewnym ponurym przypadkiem pedofilii. Wątpię, by jego potomkowie rwali się, żeby podważać naszą wersję. Jeśli chodzi o dwa tygodnie w studiu, należyty zapisek widnieje w harmonogramie zdjęć przechowywanym w archiwach w Babelsbergu.

- To nie wystarczy, by powstrzymać von C, który tylko mgliście zdaje sobie sprawę z faktu, iż jego beztroska kosztowała kilku współpracowników wolność. Rozpoczyna poszukiwania średniowiecznego zamku, w którym mógłby podjąć przerwane zdjęcia, cały czas płacąc aktorom oraz technikom. Pewien pomocnik myśliwego wskazuje mu zamek Unterweikertshofen na północy Bawarii, nieopodal miejsciny o nazwie Erdweg. Von C. udaje się tam natychmiast i wprowadza w błąd właściciela, hrabiego von Hunda, dając mu do przeczytania mniej upolitycznioną wersję scenariusza. Zdjęcia rozpoczynają się w nierealnej atmosferze. Aktorzy boją się o swoje bezpieczeństwo: niektórzy chcą grać w maskach albo silnie ucharakteryzowani, żaden nie godzi się, by jego nazwisko umieszczono w napisach. Von C. na-

grywa pewną liczbę bezużytecznych scen po to jedynie, by uspokoić von Hunda. Zatrudnia okolicznych wieśniaków do odegrania tłumu. Aktorce grającej rolę Gudrun przytrafia się kontuzja i von C. zastępuje ją własną siostrą, Marią. Po siedmiu tygodniach zdjęcia dobiegają końca. Von C. montuje film samodzielnie, używając materiałów z drugiej ręki. Powierza jedyną kopię Marii i kontaktuje się z paroma niezależnymi dystrybutorami. Jeden z nich donosi na niego do Gestapo, które aresztuje go jeszcze tego samego dnia. Von C. zostaje skazany na dziesięć lat pozbawienia wolności. W tysiąc dziewięćset czterdziestym zostanie przeniesiony do Dachau, które leży ledwie parę kilometrów od Unterweikertshofen, gdzie w styczniu czterdziestego piątego padnie ofiarą epidemii tyfusu.

- To wszystko? - spytała Thorsen oszołomiona tym zatrząśnięciem szczegółów.

- Trochę cierpliwości, tak naprawdę historia dopiero się zaczyna! - zażartowałem. - Na początku lat sześćdziesiątych Maria, siostra von C, nagle staje na czele kampanii mającej na celu wyświechtanie *Der Bettlerköniga*. Zachowała rolki z filmem przez te wszystkie lata, nikomu nie wyjawiając ich istnienia. Przeczytawszy pewnego dnia artykuł na temat Manifestu z Oberhausen, w którym dwudziestu sześciu młodych niemieckich filmowców ogłasza śmierć dawnego kina, Maria kontaktuje się kolejno z jego sygnatariuszami i usiłuje zainteresować ich swoją historią. Jeden z nich, Franz-Josef Spieker, odpowiada przychylnie. Zgadza się obejrzeć film i natychmiast pojmuje, że oto ma przed sobą arcydzieło. Wyjaśnia Marii, że w kontekście obecnej niemieckiej polityki nadzieje na znalezienie dystrybutora są znikome, ale proponuje, że pokaże film swojemu francuskiemu przyjacielowi, Georgesowi Sadoulowi, wielkiemu krytykowi kina, autorowi monumentalnej historii siódmej sztuki, a przede wszystkim - żarliwemu działaczowi komunistycznemu. Maria się zgadza, a *Bettlerkönig* oczarowuje również Sadoula, który pospiesznie uruchamia swoje kontakty, aby zorganizować specjalny pokaz w Cinémathèque Française.

- Nasz przyjaciel niczego się nie boi - skomentował Diaz - lecz *Der Bettlerkönig* faktycznie pojawia się w programie Cinémathèque z dwunastego listopada sześćdziesiątego trzeciego roku.

- Sala Cinémathèque, wówczas mieszcząca się przy rue d'Ulm, może pomieścić około dwustu osób, ale rzędy świecą pustkami. Sadoul zbyt szybko się pospieszył i nie miał czasu zgromadzić inteligencji. Przybył jednak Truffaut, a także Daney i Doniol-Valcroze. Chris Marker zjawia się spóźniony. Sadoul w kilku zdaniach zapowiada film, zapraszając przyjaciół, by zapoznali się z „ważnym dziełem ekspresjonizmu o sile wyrazu większej nawet *mż M - Morderca*”.

- Jeszcze większej! - wyśmiała tę uwagę Thorsen, która wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy nie widziała *M - Mordercy*, a Fritza Langa uważała pewnie za berlińskiego projektanta mody.

- Z tej pamiętnej projekcji zachowało się kilka świadectw. Daney pisze: „Wczorajszego wieczoru narodził się i umarł geniusz”. Truffaut zwierza się w swym dzienniku, że gęby bawarskich kmieci wzruszyły go do łez, dogmatyczna bezkompromisowość Gudrun zaś zmroziła mu krew w żyłach. Marker ze wzburzeniem stwierdza, że von C. już w trzydziestym siódmym roku opanował technikę zdjęć statycznych komentowanych spoza planu, która rok temu zdecydowała o sukcesie *Filaru*. Pomimo wszystkich tych sprawozdań, pewne aspekty pokazu wciąż owiewa dziwna tajemnica. Według niektórych film jest niemy, a historię opowiedziano za pomocą wmontowanych klitek z tekstem. Doniol-Valcroze twierdzi, że aktorzy mówią po niemiecku, Sadoul zaś zatrudnił na ten wieczór dwóch tłumaczy, którym polecono na bieżąco przekładać długie monologi Haralda i Gudrun.

Ale *Der Bettlerkönig* naprawdę przechodzi do legendy tydzień później, kiedy rolki z filmem ulegają zniszczeniu w pożarze monachijskiego studia Marii. Załamany Sadoul - który jako jedyny widział obraz dwukrotnie - spisuje główny zarys scenariusza, wyrażając nadzieję, iż pewnego dnia jakiś reżyser, równie jak von C. natchniony, pozwoli jego postaciom odżyć na ekranie.

- I podejrzewam, że jak za sprawą jakiejś klątwy - wysnuła przypuszczenie Thorsen - wszyscy bohaterowie tej uroczej historyjki znikają w późniejszych latach z pola widzenia, zostawiając panu wolną rękę, aby mógł pan mówić i pisać w ich imieniu.

- Ależ tak - przyznałem spokojnie. - I abym mógł stworzyć mit *Bettlerkôniga*, który już w niespełna rok po powstaniu został zaliczony do wielkiej spuścizny przedwojennego kina.

- W zeszłym tygodniu - dorzucił Diaz - Godard zwierzył się dziennikarzowi telewizyjnemu ze szwajcarskiej Romandii, że nigdy sobie nie wybaczy, że przegapił pokaz w Cinémathèque dwunastego listopada sześćdziesiątego trzeciego. Wyobraża sobie pani?

- Godard? - powtórzyła Thorsen. - Nie znam.

- Ależ, Leno - zaprotestował Diaz. - Jean-Luc Godard: *Do utraty tchu, Pogarda...*

- W życiu o nim nie słyszałam - wymamrotała Lena, poirytowana protekcyjnym tonem Diaza.

- Nic nie szkodzi - wtrąciłem, żeby załagodzić sytuację. - Wystarczy powiedzieć, że to wielki reżyser i że takim stwierdzeniem chroni *Der Bettlerkonig* przed wściubiającymi nosy szperaczami. - Widząc, że Diaz nie ma dość, dodałem: - Ale nie w takim stopniu jak francuski filmowiec Claude Chabrol, który niedawno porównał udrękę księcia Friedricha do tej doświadczonej przez Claude'a Rainsa pod koniec *Oslawionej* Hitchcocka.

- Nie, naprawdę tak powiedział? - Diaz spytał z niedowierzaniem. - Ależ...

- Właśnie tak - dokończyłem, wcale zadowolony z efektu, jaki udało mi się wywołać. - Chabrol utrzymuje, że brał udział w projekcji z sześćdziesiątego trzeciego. Ja na pewno nie będę mu zaprzeczał. .. - Kątem oka badałem reakcję Thorsen. Niemożliwe, żeby nie dała wyrazu zdumieniu, słysząc o tak doskonałym potwierdzeniu dla mojej historii.

- Nie do wiary... - skomentował Diaz. - Ale niech mi pan powie, Sliv, skąd przyszedł panu do głowy pomysł na ten scenariusz.

- No cóż, od dawna interesuję się kwestią zaginionych dzieł sztuki. Czy wie pan, że nigdy nie odnaleziono ośmiu z czterdziestu płócien przypisywanych Leonardowi da Vinci? Ze *Malarz w drodze do pracy* van Gogha przepadł bez wieści?

- Zdaje się - wtrąciła Thorsen, która odzyskała wigor, gdy tylko przestaliśmy rozmawiać o kinie - że KFR stworzył fałszywą powieść Alexandre'a Dumasa.

- Jak najbardziej - przytaknął Diaz. - *Kawaler de Sainte-Hermine*. Ale chociaż podsunęliśmy ją Francuzom pod sam nos, ciągle

jej nie znaleźli. Tak samo działamy w muzyce klasycznej: jeden z naszych agentów komponuje aktualnie arię Bacha.

- No właśnie - powiedziałem. - Zauważyłem, że KFR zajmował się już w przeszłości wszystkimi sztukami z wyjątkiem kina. Musiałem przy tym zarysować scenariusz von C. w taki sposób, żeby mieścił się w dyrektywie Planu na temat własności ziemskiej.

Hasło: „ziemia dla tych, którzy ją uprawiają” figurowało wśród priorytetów Planu Trzyletniego 1992-94.1 choć Toronto poinformowało mnie, że od mojej średniowiecznej bawarskiej kroniki woleliby współczesny scenariusz ulokowany w Ameryce Południowej, zatwierdzili teczkę przez wzgląd na jej przyszły potencjał.

Wróciłem do początku rozmowy:

- A właśnie, Alonso. Pozwoli pan, że będę się do niego zwracał Alonso? Co pan poprawił w mojej teczce?

- Ach, więc dochodzimy do sedna sprawy - odparował Diaz. -Właściwie to sporo rzeczy. Powinienem był przesłać panu poprawki, ale ponieważ wiedziałem, że wkrótce się pan tu zjawi, wolałem zaczekać i przekazać je panu osobiście.

Po pierwsze, popełnił pan kilka błędów faktograficznych. Dla przykładu, seanse w Cinémathèque rozpoczynały się w tamtym okresie o dwudziestą trzydziestą, nie zaś o dwudziestą... Dalej, von C. za nic nie wysłałby swojego scenariusza do UFA w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku, kiedy to naziści przejęli siedemdziesiąt dwa procent jej kapitału. Sprawdziłem, wieść o tym zdominowała nagłówki gazet. Von C. był może śmiały, ale nie głupi.

- Zgadza się - rzekłem. - Był z niego twardy zawodnik.

- Większy kłopot w tym - podjął Diaz - że François Truffaut nie mógł wziąć udziału w projekcji z dwunastego listopada sześćdziesiątego trzeciego. Przebywał tego dnia w Lizbonie, gdzie kończył kręcić *Gładką skórę*.

- Och... - rzuciła Thorsen, przybierając skonsternowany wyraz twarzy.

- To właśnie tego rodzaju głupie błędy mogą pana bardzo drogo kosztować. Przenieśliśmy pokaz na trzeciego grudnia, bo wtedy wszystkie wybitne osobistości, o których pan wspomina, przebywały w Paryżu. Ale zdarza się też panu podejmować ryzyko, czasem

świadomie, czasem nie. Nie uznał pan na przykład za konieczne, by sfałszować archiwa Gestapo, które wszakże aresztowało von C.

- Ze wstydem przyznaję, że nie wiedziałem o ich istnieniu -wyjawiłem.

- Och... - Thorsen znów westchnęła.

- Alianci odzyskali je prawie w całości w roku czterdziestym piątym. Najważniejsze przechowuje się w Arolsen-Waldeck w Niemczech. Zrobiliśmy, co trzeba. Muszę powiedzieć, że jeszcze mocniej zaniepokoił mnie pan, wspominając o zamku Unterweikertshofen oraz szanowanej rodzinie von Hund, do której od dwóch wieków należał. Naprawdę pan sądzi, że trwające siedem tygodni zdjęcia mogłyby ująć uwagi zarówno okolicznych wieśniaków, jak i spadkobierców hrabiego von Hunda, którzy byli w tamtym czasie dziećmi i pewnie mieszkali w zamku?

- To rzeczywiście mało prawdopodobne - zgodziłem się.

- Najłagodniej rzecz ujmując - dodał z naciskiem Diaz. - A najgorzej, że decyduje się pan na takie ryzyko bez powodu. Historię kręcenia filmu znamy jedynie z przekazu Sadoula, który usłyszał ją od Spiekera, któremu z kolei opowiedziała ją Maria. Niech pan się zadowoli stwierdzeniem, że obraz powstał w Bawarii, regionie, gdzie znajdują się setki zamków, i że von C. okłamał właścicieli. I kolejne ryzyko, tym razem może lepiej skalkulowane: przecież zdaje pan sobie sprawę, że Chris Marker nadal żyje.

Owszem, zdawałem sobie z tego sprawę, ale uważałem, że w tej kwestii mam odpowiednie argumenty.

- Marker nigdy nie pojawia się publicznie i od dziesięciu lat nie udzielił wywiadu. Jakoś nie widzi mi się, żeby miał wyjść z ukrycia, aby zdemaskować oszustwo.

- Mnie również - uznał Diaz. - W końcu nie może być tak, że wszystkie postacie z pańskiej teczki już nie żyją. Powiedzmy, że skoro jedna z nich musiała przetrwać, to cieszę się, że padło na Markera. Przejdźmy teraz do ulepszeń - ciągnął. - Po pierwsze, zmieniłem Hilde na Hildegard. Powszechnie przyjmuje się, że zdrobnienie Hilde powstało dopiero w XIX wieku. Następnie zająłem się technikami filmowymi. Przerobił pan biografie kilku aktorów, ale ciekawym zbiegiem okoliczności zapomniał o technikach. Teraz jednak

pewien dźwiękowiec wzmiankuje pracę przy *Bettlerkönig* w swoich wspomnieniach, a operator zdjęć w paru wywiadach opowiada, że podczas konfrontacji Friedricha z Gudrun von C. polecił mu robić krótkie zbliżenia. Rozwinąłem także aparat krytyczny. Czy wiedział pan przykładowo, że zanim w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim Sadoul wstąpił do Partii Komunistycznej, należał do ruchu surrealistycznego i miał tam przyjaciół, którzy nazywali się André Breton i Louis Aragon? Z uwagi na prezentowaną pogardę dla władzy, śmiałość formy oraz eliptyczną konstrukcję *Der Bettlerkönig* nieuchronnie wywołał w Sadoulu surrealistyczne reminiscencje, które reżyser opisał w liście do swojego przyjaciela Aragona, a którego kopię mogę panu przesłać, jeśli to pana interesuje.

- Istotnie, bardzo chciałbym go zobaczyć - odrzekłem.

- Ale przede wszystkim - kontynuował Diaz - rozszerzyliśmy oddźwięk *Bettlerköniga* na inne sfery poza kinematografią. Pańskateczka ukazuje kreację jako odgradzoną od reszty świata, podczas gdy w naszych czasach - a zresztą pewnie i w każdych innych - wielkie dzieła przenikają do innych dziedzin sztuki i doczekują się prawdziwie interdyscyplinarnego potomstwa.

- To oczywiste - potwierdziła Thorsen ciężkim tonem. Już miałem ją poprosić, by rozwinęła uwagę Diaza; na jej szczęście dyrektor sam podjął wykład:

- Ekspresjonizm, o którym przed chwilą pan mówił, był nurtem malarskim, nim jeszcze znalazł odzwierciedlenie w kinie. Niech pan pomyśli o Schiele, Munchu, Kokoschce... Zresztą ekspresjonizm nie dotyczy wyłącznie sztuk wizualnych. Wpłynął na Schönberga w muzyce, na Kafkę w literaturze, do pewnego stopnia na Mendel-sohna w architekturze.

- Historia sztuki to konik Alonsa - wyjaśniła Thorsen, co stanowiło jej jedyny użyteczny wkład w dyskusję.

- Tak samo z minimalizmem czy neorealizmem, a nie wspomnę już nawet o kubizmie, który wyszedł poza ramy malarstwa, by oddziaływać na rzeźbę i sztuki plastyczne w ogóle.

Diaz zrobił pauzę, by łyknąć wody. Rozmowa mu służyła. Gdybym był jego lekarzem, zaleciłbym jedną sesję falsyfikacji rano, w południe i na wieczór.

- Rozumiem - odezwałem się - ale *Der Bettlerkönig* nie wprowadził tak naprawdę nowego stylu...

- Jest pan pewien, drogi chłopcze? - zapytał Diaz, spoglądając na mnie z rozbawieniem.

Tak po prawdzie, wcale nie byłem. Nie widziałem tego filmu. Nikt nie widział.

- Pojmuje pan, dokąd zmierzam, prawda? - rzucił Diaz. - Ja panu mówię, że w *Der Bettlerkönig* von C. nawiązuje do problematyki surrealizmu, że wizualna siła jego hordy żebraków zainspirowała milczące protesty przeciwko wojnie w Wietnamie, że być może Marker kłamie, gdy twierdzi, że wymyślił narrację nałożoną na statyczne plany, że niemiecki fotograf Andreas Gursky zaczerpnął pomysł na swoje przebogate tekstury z komentarza Sadoula o „ekspresywnej ziarnistości” filmu von C! Niech się pan nie boi wykraczać poza przyjęty temat, a ofiaruje pan swojej teczce dużo większą stabilność.

- Dziękuję za radę - powiedziałem. - Mam wrażenie, żeteczka *Der Bettlerkönig* nie ma już wiele wspólnego z projektem, który złożyłem u Gunnara...

- Ależ skąd, myli się pan - odparł łaskawie Diaz. - Powiedzmy, że nieco wygładziłem teczkę, która już wcześniej była wspaniała. A teraz niech pan powie, Sliv, tak między nami, myśli pan już o dalszym ciągu, co?

- O dalszym ciągu? - powtórzyła Thorsen. - Jaki tu może być ciąg dalszy?

- Przed nalotem Gestapo von C. kręcił w Babelsbergu przez dwa tygodnie - wyjaśniłem z uśmiechem. - Taśm nigdy nie odnaleziono.

- To odpowiadałoby jakimś trzydziestu minutom filmu, nieprawdaż, Sliv? - rzucił Diaz, mrugając do mnie porozumiewawczo. Stary łotr odgadł mój następny ruch, podczas gdy Gunnar nie miał bladego pojęcia, co knuję.

- Mniej więcej - odparłem, niebezpośrednio przyznając, że mnie przejrzał. - Ale moje umiejętności kończą się na pisaniu. Jeśli jednak mamy u siebie młodego reżysera, który chciałby spróbować swoich sił w politycznym średniowiecznym obrazie, to ja chętnie mu pomogę...



- Znajdziemy kogoś takiego - zapewnił Diaz, zacierając ręce. - Znajdziemy. Ach, drogi chłopcze, to błogosławieństwo mieć cię tu przy sobie. Genialni scenarzyści trafiają się tak rzadko.

- Pochlebia mi pan, Alonso - wdziękuję się, zerkając na Thor-sen, która gotowała się ze złości. - Tyle jeszcze muszę się nauczyć.

- A do tego jaki skromny! - wykrzyknął Diaz. - To prawda, że musi się pan jeszcze wiele nauczyć. Bardzo bym chciał zostać pańskim instruktorem, ale obawiam się, że los zdecydował inaczej. Zostawiam pana w rękach Leny. Niech pan się zdaje na jej osąd w każdych okolicznościach, jej umiejętności falsyfikatorskie nie mają sobie równych.

Czekałem, aż teraz z kolei Thorsen zacznie protestować, ale nic takiego nie nastąpiło. Wręcz przeciwnie, rzuciła mi pełne satysfakcji spojrzenie, które zdradzało, jak wielką rozkosz sprawiła jej ta konkluzja.

W następnym tygodniu podpisałem dwuletnią umowę najmu na trzypokojowe mieszkanie w centrum Córdoby. Miałem już dosyć gnieźdzenia się w hotelu, więc z przyjemnością wprowadziłem się do słonecznego apartamentu usytuowanego za Cabildo, najświetniejszym kolonialnym budynkiem Córdoby, obecnie przekształconym w muzeum historyczne. Dwa kroki dzieliły mnie od Plaža San Martín, gdzie pod wieczór gromadzili się studenci, jeszcze bliżej miałem do szesnastowiecznej katedry, która do dziś stanowi główną atrakcję turystyczną miasta. Stopniowo zmieniłem swoją opinię o Córdobie. Nawet jeśli spacer po historycznym centrum nie budził żadnych emocji architektonicznych (ciężkie, pompatyczne budowle z okresu kolonialnego, zwyczajnie brzydkie konstrukcje współczesne), trudno było nie ulec czarowi argentyńskiej ulicy, tej niedefiniowalnej mieszance nonszalancji, dumy oraz słodyczy. Do tego dokładało się - po raz pierwszy w moim życiu - cudowne poczucie materialnego dobrobytu. W ciągu dwóch lat Gunnar dwukrotnie podnosił mi pensję, a agentce nieruchomości, która przeproszała, iż musi mnie prosić o zapłatę za trzy miesiące z góry, pewnie nawet nie przyszło do głowy, że plik pesos, który jej wręczyłem, stanowi ledwie równowartość mojego jednomiesięcznego czynszu w Reykjavíku. Krótko mówiąc, elementy mojego nowego życia gładko wpasowywały się na swoje miejsca i mało brakowało, a zapomniałbym o uciążliwym Ramirezie. Niestety Ramirez nie zapomniał o mnie. Na moją prośbę Diaz poinformował go, że całkiem brakuje mi doświadczenia w kwestiach

ubezpieczeniowych, i poradził poddać mnie przyspieszonemu szkoleniu. Oficjalnie Compañía Argentina del Reaseguro wybrała mnie ze względu na moje solidne kompetencje z zakresu geografii i geologii. Praca dla Baldura, Furusetta i Thorberga rzekomo nauczyła mnie szacowania konsekwencji, na jakie nowa konstrukcja czy zagospodarowanie terenu mogą narazić ekosystem. Liznałem też nieco sejsmologii - była to scheda po wybranym przeze mnie temacie magisterki - ale wszystkie te drobne talenty, nawet zsumowane, choćby w przybliżeniu nie kwalifikowały mnie do pełnienia obowiązków.

Przez osiem dni praktycznie nie wychodziłem z gabinetu Ramireza. Wtajemniczył mnie w sztukę czytania tabel szkodowości, odkurzył moje podstawy statystyki i wytłumaczył, w jaki sposób pewne katastrofy naturalne mogą zmienić się w katastrofy ekonomiczne dla naszej firmy. Nie potrzebowałem niczyjej pomocy, by zrozumieć, że cyklon uderzający w wybrzeża Florydy kosztuje naszych klientów, ubezpieczycieli, zdecydowanie drożej niż huragan

O porównywalnej sile nawiedzający Bangladesz, ale Ramirez z przerażającą precyzją przypisywał wszystkim tym wydarzeniom cyfry

1 proporcje matematyczne. Dla uproszczenia: obywatel amerykański reprezentował taką samą wartość co rodzina Europejczyków, południowoamerykańska wioska czy średniej wielkości afrykańska osada. Nie słyszałem zresztą, żeby te stosunki uległy w ostatnim czasie znaczącej zmianie.

Ramirez wydawał się usatysfakcjonowany moimi postępami, ja zaś, jeśli mam być szczerzy, zacząłem rozwijać w sobie autentyczne zainteresowanie tematem. Choć odebrane przeze mnie wykształcenie może sugerować co innego, zawsze cieszył mnie kontakt z liczbami i potrafiłem z dość dużą łatwością je klasyfikować, manipulować nimi, pojmować ich znaczenie. Bez trudu zapamiętuję wskaźniki demograficzne i ekonomiczne, mniej rozwlekłe i, paradoksalnie, dające lepsze wyobrażenie niż często ogólnikowe opisy antropologów. Moja wyobraźnia chętniej rusza na wędrowkę, kiedy dowiaduję się, że populacja chińskiego miasta Shenzhen w ciągu dwudziestu lat wzrosła z trzydziestu tysięcy do trzech milionów mieszkańców, niż gdy czytam w jakimś czasopiśmie, że „na ulicach roi się od biznesmenów” albo że „rada administracyjna lotniska właśnie przegłos-

wała budowę nowego terminalu". Jak więc mógłbym się nie dogadać z Ramirezem, który zamiast powiedzieć: „Ładna dziś pogoda” oznajmiał: „Temperatura wynosi dwadzieścia siedem stopni Celsjusza, a ciśnienie atmosferyczne ustaliło się na poziomie około tysiąca dwudziestu hektopaskali”?

W tym okresie nie było raczej mowy o falsyfikacji. Umierałem z chęci, by przymierzyć się do nowego stanowiska, lecz Ramirez nie zostawiał mi choćby minuty wolnego. Później zrozumiałem, że nieświadomie wyświadczył mi przysługę. Godząc się na kilka tygodni intensywnej pracy, zwiększyłem swoje szanse na opanowanie tematu, co pewnego dnia pozwoli mi bumelować przez większą część czasu bez zwracania na siebie uwagi.

W jakiś miesiąc po moim przyjeździe sytuacja zmieniła się bardziej radykalnie, a sprawy przybrały pomyślniejszy obrót, niż śmiałybym sobie życzyć. Ramirez poprosił mnie, abym ocenił nasze zagrożenie sejsmiczne, czyli, mówiąc językiem laika, abym wyznaczył prawdopodobieństwo wystąpienia trzęsienia ziemi i wyliczył jego skutki finansowe dla przedsiębiorstwa Compañía Argentina del Reaseguro w zależności od lokalizacji oraz skali wyrządzonych szkód. Na podstawie mojego raportu zarząd miał zdecydować, czy nie należałoby renegotjować kontraktów. Poświęciłem tydzień na zebranie całej dostępnej literatury na ten temat, co pozwoliło mi zrewidować parę niesłusznie żywionych poglądów. Można by na przykład pomyśleć, że niedawne trzęsienia ziemi zaliczają się do najbardziej zabójczych, choćby z powodu ciasnej miejskiej zabudowy i wzrostu liczby ludności na świecie. Ale nie: najtragiczniejsze w skutkach trzęsienie ziemi znane ludzkości miało miejsce w roku 1556 w chińskiej prowincji Shaanxi; zginęło wówczas ponad osiemset tysięcy osób. Chiny mogły zresztą pretendować do tytułu najniebezpieczniejszego kraju, bo pięć z dziesięciu najbardziej jak dotąd zabójczych trzęsień ziemi wystąpiło na ich terenie. A podawane przez Chińczyków liczby i tak należało traktować z przymrużeniem oka: powszechnie przyjmowało się, że Pekin zaniża bilans ofiar o co najmniej trzydzieści procent. Dowiedziałem się także, że następstwa trzęsień ziemi - pożary, tsunami oraz wybuchy paniki - często powodują większe straty niż same wstrząsy. Katastro-

fa sejsmiczna, która w 1923 roku dotknęła japoński region Kanto, niewątpliwie przyniosłaby niecałe trzydzieści tysięcy ofiar śmiertelnych, gdyby nie ogień, który następnie spustoszył Tokio, zabijając sto dwadzieścia tysięcy osób. A co powiedzieć o Lizbonie, która w roku 1755 w niespełna dobę została zrujnowana przez wstrząs, którego siłę szacuje się na 9 w skali Richtera, ogromny pożar oraz olbrzymią falę? To rozróżnienie nie uszło uwagi ubezpieczycieli, bo polisy z zakresu katastrof naturalnych zawsze redagowano przy użyciu niezwykle restrykcyjnych terminów. Na kilka dni przed moim przyjazdem do Córdoby tsunami spowodowane wstrząsem o sile 7,8 przetoczyło się przez niewielką japońską wyspę Okushiri, zmiotło połowę mieszkańców i zabiło dwieście osób. Nie chciałbym być na miejscu eksperta tłumaczącego wdowom po rybakach, którzy zginęli na morzu, że towarzystwo ubezpieczeniowe potrąci im kwotę udziału własnego dwukrotnie, ponieważ wstrząs i ogromną falę należy uznać za dwie odrębne klęski.

Zniechęcenie zaczęło mnie ogarniać, kiedy zabrałem się za lekturę cotygodniowych raportów stacji seismologicznych rozsianych po całej planecie. Naiwnie spodziewałem się, że znajdę w nich zestawienia historyczne, a nawet tabele prawdopodobieństwa, z pomocą których mógłbym przewidzieć, gdzie nastąpi najbliższe zderzenie płyt tektonicznych. Niestety, każdy kolejny raport okazywał się sformułowany ostrożniej od poprzedniego i przypominał, że w skali historii ludzkości seismologia to nauka bardzo młoda (konstatacja trudna do podważenia) i że potrzeba jeszcze paru wieków zbierania danych, by można było wygłaszać choć w przybliżeniu wiarygodne przepowiednie. Mojego raportu zaś oczekiwano przed końcem tygodnia, postanowiłem więc potraktować naukowe wytyczne z pewną dozą swobody i od razu wymyślić wnioski, których spodziewał się po mnie Ramirez, kiedy dawał mi do uważnego przestudiowania swoje wypełnione cyframi tabelki.

Podczas mojej misji w Sabaudii półtora roku temu czytałem pasjonujący artykuł brytyjskiego geologa, który uważał, że inżynierowie lądowi regularnie lekceważą ciśnienie hydrostatyczne, za sprawą którego wody zatrzymywane przez zapórę naciskają na płyty tektoniczne. „Miejmy nadzieję - pisał - że budowniczowie tam wezmą

pod uwagę to dodatkowe ograniczenie, zanim zdarzy się tragedia, która wysunie rzeczzone zagadnienie na pierwszy plan". Jak wiele pobożnych życzeń, to również pozostało, wedle mojej wiedzy, bez odzewu. Postanowiłem porównać mapę znanych płyt geologicznych z rozmieszczeniem zapór wzniesionych w ciągu ostatnich trzydziestu lat. W oczy rzuciło mi się kilka zbieżności i następny dzień spędziłem na analizowaniu ich jedna po drugiej. Przy czwartej wydałem z siebie okrzyk radości i zdziwienia: w roku 1962 indyjski stan Maharashtra ukończył budowę tamy na rzece Koyna. Zbiornik mogący pomieścić 2,8 miliarda metrów sześciennych wody został napełniony w roku 1963. W tamtym czasie nikt nie przykładał wagi do faktu, że Koyna leży w pobliżu dwóch dobrze znanych sejsmologom płyt: holocenowej oraz donichiwada. Wiosną 1967 roku sejsmografy zarejestrowały kilka wstrząsów o magnitudzie między 3 a 4, ale władze nie uznały za stosowne ewakuować mieszkańców. Dziesiątego grudnia tego samego roku trzęsienie ziemi o sile 7 spustoszyło miasto Koynanagar, powodując śmierć dwóch tysięcy osób, a pięćdziesięciu tysiącom odbierając dach nad głową.

Czy największa demokracja świata zamknęła wówczas zapórę? Oczywiście, że nie. Przemysłowcy potrzebowali produkowanej dzięki niej energii wodnej, a rolnicy przyzwyczaili się do regularnego nawadniania pól, na które pozwalał rezerwuar. Ale studia geograficzne nauczyły mnie, że natura jest uparta i że jednakowe przyczyny prowadzą zwykle do jednakowych skutków. Rzecz polegała nie na tym, by stwierdzić, czy ziemia w Maharasztrze znów zadrży, ale by przewidzieć, kiedy to nastąpi. Gdy więc przejrzałem ostatnie pomiary stacji sejsmologicznej w Bombaju, wcale nie zaskoczyło mnie odkrycie, że od początku roku zanotowano w rejonie rzeki Koyna parę wstrząsów o sile pomiędzy 2 a 3 w skali Richtera.

Zredagowałem raport w przeciągu trzech dni, z taką samą łatwością, z jaką napisałem scenariusz o *Bettlerkónigu*. Jeśli jakiejś informacji nie mogłem poprzeć bezpośrednim odniesieniem, wymyślałem ją, powołując się na „szereg podających zgodnie źródła” lub na „liczne amerykańskie laboratoria przodujące w dziedzinie analiz sejsmicznych”. Szeroko cytowałem japońskiego eksperta, profesora Yuichiro Nakasone, „którego badania nad wewnętrzną strukturą

Ziemi prowadzone na Uniwersytecie Waseda zrewolucjonizowały nasze rozumienie propagacji fal powierzchniowych".

Na koniec wydałem opinię, wedle której istnieje trzydzieści procent szans, iż w ciągu dwóch kolejnych lat w Maharasztrze nastąpi trzęsienie ziemi pociągające za sobą poważne straty w ludziach i majątku (wyrażenie to było reasekuratorom miłsze od frazy „kosztowna szkoda”). Może się zdawać, że to niewielkie prawdopodobieństwo, lecz tak naprawdę w zawodzie, w którym ryzyka mierzy się zwykle w promilach, jest ono ogromne. Jeśli chodzi o moje dwa lata, bynajmniej nie wybrałem tego terminu na chybił trafił: mniej więcej w tym czasie spodziewałem się opuścić Córdobę. Jeśli w ciągu dwudziestu czterech miesięcy ziemia jednak nie zadrży, mnie przynajmniej już tu nie będzie, kiedy góra zacznie ciskać gromy. „Podsumowując” - pisałem - „usilnie zalecam ponowną weryfikację kontraktów na subkontynencie indyjskim, gdyż pojedyncza klęska o rozmiarach trzęsienia ziemi w regionie Koyna może kosztować firmę równowartość składek ubezpieczeniowych uzbieranych w ciągu stu lat”.

Ramirez z rozkoszą zapoznał się z moim raportem. Pamiętałem, by poprosić go o pomoc i, zgodnie z moimi przewidywaniami, przyjemność, jaką sprawiło mu odnalezienie w samym środku mojego wywodu ukochanych równań Riemanna, wystarczyła, aby przełknął całość. Przekazał mój raport - żeby nie powiedzieć: moją teczkę - zarządowi Compañii, dodając wspaniały odręczny dopisek: „poziom wiarygodności: 4/5”.

Patrząc z perspektywy czasu, późniejszy rozwój wydarzeń zakrawa na cud. Zarząd, wstrząśnięty wysokim prawdopodobieństwem mojej prognozy, postanowił zrewidować wszystkie umowy w Indiach. Zlikwidował te mniej rentowne (które, niesłychanym zbiegiem okoliczności, wygasły w następnym miesiącu), a na innych klientach wymusił pięćdziesięcioprocentowy wzrost składek. Taka decyzja wzbudziła plotki. Na korytarzach szeptało, że firma zamierza wkrótce definitywnie wycofać się z rozwijających się rynków. Koledzy zaczęli dziwnie mi się przyglądać, wahając się co do postawy, jaką powinni wobec mnie przyjąć: czy byłem wizjonerem, który potrafi czytać we wnętrzościach Ziemi, czy Kasandrą, która

skazała przedsiębiorstwo na zrobienie kroku w tył? Przez sześć tygodni to pytanie napędzało rozmowy przy ekspresie do kawy. A później, trzydziestego września, wyrwałem z dalekopisu świeżo nadesłany telegram z agencji prasowej Reuters i położyłem go na biurku Ramireza. Wiadomość nie była długa, wystarczyła jednak, żeby wyrobić mi renomę w zamkniętym świątku reasekuratorów: „Potężne trzęsienie ziemi w Killari, w dystrykcie Latur (Maharasztra, Indie). Liczbę ofiar szacuje się w tysiącach. Znaczne straty materialne”.

- *Fantástico!* - ryknął mój szef bez specjalnego współczucia dla tysięcy Hindusów pogrzebanych w tej samej chwili pod gruzami. - *Riemann justificado!*

Riemann potwierdzony, no doprawdy, to się nazywa sposób patrzenia na świat.

-Jak najbardziej - przyznałem. - I piekielna oszczędność dla firmy.

-Tak, tak, oczywiście - odparł Ramirez machinalnie, już zajęty obmyślaniem, jak najlepiej wykorzystać sytuację.

Telegramy, które nadchodziły przez kilka kolejnych dni, przyczyniły się do rozbudowania legendy. Około trzeciej nad ranem w nocy z dwudziestego dziewiątego na trzydziestego września psy i zwierzęta hodowlane zaczęły wykazywać oznaki nerwowości. Ale mieszkańcy, którzy poprzedniego wieczoru obchodzili święto religijne Ganeśaturthi, spali głęboko. Wielu pomarło we śnie, kiedy sufity zwały im się na głowy. Inni, obudzeni przez pierwsze wstrząsy, zdążyli wybiec na zewnątrz w samą porę, tuż przed tym, jak ziemia zadrżała ponownie i obróciła w gruzy ostatnie budynki. Wieśniacy twierdzili, że spodziewali się jakiejś katastrofy, odkąd dwa miesiące wcześniej, w samym środku pory monsunowej, wyschła studnia w świątyni Nilkantheshwar. Klęskę żywiołową porównywano do tej, która uderzyła w region Koyna, nie rozwodząc się jednak nad potencjalnie zgubnym wpływem zapory.

Trzęsienie ziemi w Killari zniszczyło łącznie siedemnaście wiosek, zbierając żniwo w postaci dziesięciu tysięcy ofiar śmiertelnych, co stanowiło jedną piątą populacji zamieszkującej obszar stu kilometrów kwadratowych wokół epicentrum. Ucierpiało sto pięćdziesiąt tysięcy domostw. Państwo indyjskie wstępnie oszacowało



koszty odbudowy na dwa miliardy rupii, lecz rzeczywiste wydatki znacznie przekroczyły tę kwotę. Większość mieszkań nie była, rzecz jasna, ubezpieczona. Trzęsienie ziemi o takiej sile spowodowałoby nieskończenie większe straty w położonym dwieście kilometrów dalej na wschód Bombaju. Mimo to Compañía obliczyła, że mój raport pozwolił jej zaoszczędzić osiemset tysięcy dolarów. Zarząd w hojnym geście przyznał mi premię w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów, z czego każdemu z moich sześciu współpracowników przekazałem po tysiącu. Jak można się domyślać, ten gest ostatecznie przypieczętował moją integrację z grupą.

Jednakże to osiągnięcie nie przez wszystkich zostało docenione. Alonso Diaz, którego nie widziałem od czasu rozmowy w jego gabinecie, przesłał mi krótką wiadomość, w której przestrzegał mnie przed, jak to ujął, mieszaniem gatunków. Gunnar, który zadzwonił wkrótce potem, zademonstrował jeszcze większą powściągliwość: „Niech się panu nie pomylą odgrywane role, drogi chłopcze: Compañía Argentina del Reaseguro zatrudniła analityka, nie scenarzystę” - oznajmił, a następnie poradził mi, żebym wracał do szeregu. Ale niezaprzeczalnie największe wzburzenie okazała Lena Thorsen. Już w dniu mojego tryumfu wpadła do mnie do gabinetu, gdzie siedziałem wygodnie rozparty w fotelu i po raz enty oglądałem obrazy transmitowane przez CNN; pazury miała wysunięte, włosy w nieładzie. Gdybym choć przez chwilę się łudził, że mój raport wywoła uśmiech na jej twarzy, to pierwsze wypowiedziane przez nią słowa prędko rozwiałyby wszelkie wątpliwości:

- Mój Boże, Dartunghuver, niech mi pan powie, że to nieprawda! - wykrzyknęła, zagłuszając mówiącego z teksańskim akcentem prezentera, który z uporem nazywał Maharasztrę Maharadżą.

- Tak naprawdę to cholerny zbieg okoliczności - odparłem, odrobinę za późno zdając sobie sprawę, że nie wziąłem poprawki na wyczuwalną w jej pytaniu wściekłość.

- Zbieg okoliczności! Ośmiela się pan nazywać to zbiegiem okoliczności. A niech mnie! Pan jest niebezpieczny.

- No ale - zacząłem, zdecydowany uniknąć starcia - przyzna pani, że ta przygoda jedynie umacnia moją przykrywkę eksperta do spraw reasekuracji.

Już miała coś odpowiedzieć, lecz nagle się rozmyśliła i obdarzyła mnie długim spojrzeniem, jakby właśnie zaczęła powątpiewać w moją poczytalność.

- Nie do wiary - rzuciła półgłosem. - Jemu naprawdę trzeba wszystko tłumaczyć. - A potem ciągnęła, znów przybierając gniewny ton: - Nie ma pan odgrywać eksperta, Dartunghuver. Zależy nam jedynie na tym, żeby się pan nie wychylał. To nie takie znowu trudne. Niech pan przytakuje wszystkiemu, co mówi Ramirez, zasugeruje niezauważalną zmianę w polityce firmy wobec ryzyka ubezpieczeniowego w Afryce, subtelnie da do zrozumienia, że wcale nie ma pan ochoty zostawać na tym stanowisku przez kolejne dwadzieścia lat, ale potrzebuje trochę czasu, by ułożyć sobie wszystko w głowie. Za dwa, najwyżej trzy lata dostanie pan nową pracę, a tutaj nikt już słowem nie wspomni o Slivie Dartunghuverze.

- A jednak - broniłem się, przyciszając dźwięk w telewizorze - ten sukces dodał mi wiarygodności.

- Wiarygodności? - wyrzuciła z siebie. - Wiarygodności, mówi pan? Ależ wręcz przeciwnie. Żaden ekspert reasekuracyjny nie poważiłby się na oznaczenie katastrofy naturalnej trzydziestoprocentowym prawdopodobieństwem, a jeśli już, to rozciągnąłby swoją prognozę na pięćdziesiąt lat, bo do tego czasu na pewno zdąży przejść na emeryturę.

- Nie rozumiem, co tak właściwie mi pani zarzuca, Leno. Ze chciałem ożywić swoją postać? Ze podjąłem ryzyko? Zgoda, więcej tego nie zrobię. Ale proszę tymczasem przyznać, że sytuacja ma też swoje zalety. Wreszcie będę mógł zabrać się do pracy, tej prawdziwej, z powodu której pokonałem Atlantyk. Czy pani się zdaje, że dobrze się bawię, korygując tabelki opadów na Kostaryce?!

- Żeby była całkowita jasność, chcę jak najszybciej zaprząć pana do roboty - odparła Thorsen. - Diaz leży przykuty do łóżka, a ja mam do uciągnięcia dwa etaty, proszę mi wierzyć, że sama też nie zbijam bąków. Ale nie mam w zespole miejsca dla głąba, który powołuje do życia japońskich ekspertów, żeby potwierdzić swoje wymysły. Nie żebym porównywała Compañię Argentina del Reaseguro do izraelskiego Mosadu, ale niech pan będzie świadomy, że firma zatrudnia trzech specjalistów od audytu wewnętrznego. Proszę

sobie wyobrazić, że jeden z nich pochyla się nad pańskim raportem z czerwonym długopisem w ręku, że dzwoni na Uniwersytet Wa-seda, tak tylko na wszelki wypadek, no, proszę sobie to wyobrazić!

- Zrozumiałem, to się więcej nie powtórzy - zapewniłem, wytrzymując jej spojrzenie i po raz kolejny zauważając, jaka jest piękna, kiedy się złości.

- Jeszcze nie skończyłam. Przypuśćmy, że zarząd pana zdemaskuje i po nitce do kłębka trafi do osoby, która pana zatrudniła, czyli do Diaza. Nie sądzi pan, że biedak ma w tej chwili dość zmartwień? A jeśli wyjdzie na jaw, że Diaz przyjął pajaca, to może powstać podejrzenie, że zdarzyło mu się to niejednokrotnie. Pomyślał pan o tych wszystkich agentach, których pańska niefrasobliwość stawia w niebezpieczeństwie?

- Już dobrze, Leno, zrozumiałem - rzuciłem, czując skrępowanie, odkąd wmieszała w całą sprawę Diaza. - Chciałbym panią przeprosić.

- Przeprosiny przyjęte - odrzekła chłodno - ale wyczerpał pan tym samym swój kredyt zaufania.

Gdybym wiedział, co przyniesie przyszłość, zrobiłbym z mojego dzokera lepszy użytek.

Co by na ten temat myślała Lena Thorsen, raport *Maharasztra* (jak ochrzcił go jeden z członków zarządu) znacznie ułatwił mi odnalezienie swojego miejsca w Compañii Argentina del Reaseguro. Osvaldo Ramirez głosił z dachów domów, że moje przewidywania opierają się na modelu Riemanna, i zyskał dzięki temu podwojenie funduszy na podstawowe badania prowadzone w tym zakresie. Koledzy, nienaciskani, zaofiarowali się przejąć moje codzienne obowiązki, abym mógł całkowicie poświęcić się prognostyce. Oczywiście ich pomoc nie była taka znowu bezinteresowna: dobrze pamiętali tysiąc dolarową premię i przynaglali, żebym zabrał się do studiowania huraganów, które jak wszyscy wiedzą, stanowią podstawę biznesu reasekuracyjnego. Chętnie przyjąłem ich ofertę i udawałem, że interesuję się korelacją pomiędzy współczynnikiem erozji wybrzeża a występowaniem cyklonów. Ten, kto udowodni istnienie związku między tymi dwoma czynnikami, zyska znaczącą przewagę nad konkurencją, wyjaśniłem pewnego październikowego ranka na spotkaniu zespołu, czując na sobie pełne aprobaty spojrzenie Ramireza. Ale tak naprawdę potrzebowałem spokoju. Spokoju i czasu. Współpracownicy zapewnili mi jedno i drugie, pozostawiając samemu sobie na ponad rok.

Skoro ta kwestia została tymczasowo załatwiona, zająłem się dwoma pozostałymi wyzwaniem: nauką hiszpańskiego oraz objęciem stanowiska fałszerza. Przez pierwsze miesiące wychodziłem z domu prawie każdego wieczoru. Zaprzyjaźniłem się z dwoma wesółkami z działu handlowego, Alexem i Sergiem, którzy, nie ka-

ząc się prosić, wprowadzili mnie w nocne życie Córdoby. Po pracy spotykaliśmy się w Café Atlantico przy ulicy San Jeronimo, gdzie wypijaliśmy kufel piwa (albo dwa, a nawet trzy). Następnie Sergio, którego ojciec był krytykiem kulinarnym, zabierał nas za każdym razem do innej restauracji serwującej steki, a później Alex - jedyny znany mi Argentyńczyk rozróżniający ponad dwadzieścia gatunków belgijskiego piwa - ciągał nas po barach do pierwszej lub drugiej w nocy. Prędko odczułem skutki takiego trybu życia, zarówno te negatywne (w ciągu trzech miesięcy przytyłem pięć kilo, a moje oszczędności topniały szybciej niż na Islandii), jak i pozytywne (mówiłem tak szybko jak prawdziwy *gaucho* i poznałem mnóstwo plotek na temat Leny Thorsen). Uznałem, że w ogólnym rozrachunku te nocne wypadki ogromnie mi się opłaciły i że wreszcie mogę trochę przystopować. Pozbyłem się akcentu, a Córdobę znałem niemal tak dobrze jak Reykjavik: nadszedł czas, by zabrać się poważnie do pracy.

A tej nie brakowało. Każdego tygodnia do biura spływało z najróżniejszych jednostek KFR-u od trzydziestu do czterdziestu teczek. Thorsen rozdzielała je między nas na podstawie, jak mówiła, poziomu trudności i złożoności, jaki sobą reprezentowały, a także naszych indywidualnych kompetencji. Miałem wrażenie, że do mnie trafiają najgorsze przypadki. Podczas rozmów z kolegami zawsze zaskakiwała mnie prostota ich zadań; chętnie zamieniłbym jedną ze swoich teczek na pięć cudzych. Tak naprawdę istnieją tylko dwa rodzaje teczek, tak jak i dwa rodzaje opiekunów prowadzących. Typ pierwszy, do którego zaliczał się na przykład Gunnar Eriksson, samodzielnie rozwiązuje maksymalną liczbę problemów. Do Hong Kongu czy Córdoby zwraca się jedynie w ostateczności, kiedy nie potrafi rozwiązać jakiejś wątpliwości albo przeczuwa, że inne podejście, które jemu jakoś umyka, poprawiłoby stosunek opłacalności do ryzyka. Ich teczki są jednocześnie stymulujące i nieco frustrujące, bo skoro opiekun prowadzący na próżno studiował tekst i łamał sobie nad nim głowę, to znaczy, że niełatwo znaleźć rozwiązanie. Druga grupa opiekunów prowadzących bez zbędnych skrupułów wysyła do akceptacji wszystkie projekty swoich agentów, nawet ich nie przeczytawszy. Przynajmniej nikt nie może im zarzucić jakiegoś niedopatrzenia: są kryci. Tak więc przychodzące teczki znacznie

różniły się między sobą jakością, wobec czego trzy na cztery wystarczyło kontrolnie przeczytać, co pozwalało skoncentrować się na tej czwartej, która naprawdę wymagała uwagi. Ale mnie oczywiście dostawały się niemal wyłącznie teczki należące do pierwszej kategorii.

Ocena projektu składa się z dwóch oddzielnych etapów. Najpierw trzeba skrupulatnie sprawdzić, czy agent rzeczywiście wprowadził w czyn opisane przez siebie fałszerstwa. Weźmy za przykład przypadek *Bettlerkóniga*: twierdziłem, że dwa tygodnie zdjęć w Babelsbergu widnieją w archiwach studia. Diaz nie uwierzył mi na słowo. Skontaktował się z agentem z Berlina, który osobiście zlecił wykonanie fałszywego dokumentu i umieścił go wśród autentycznych rejestrów. Ta systematyczna weryfikacja, która może wydawać się nużąca, często pozwala na wykrycie przeoczeń. Scenarzysta przekazuje prośbę lokalnemu fałszerzowi, który potwierdza otrzymanie zlecenia, obiecuje, że zajmie się nim w ciągu tygodnia... a potem, w nieustającym wirze pilnych spraw, całkiem o nim zapomina. Teoretycznie scenarzysta nie może zamknąć teczek (a opiekun prowadzący jej zaaprobować), dopóki nie otrzyma wszystkich potwierdzeń. Ale niektórzy agenci nie przechowują kopii zleceń, które rozesłali do innych jednostek, a przy kolejnej lekturze swojej prozy mają nieraz problem z odróżnieniem prawdy od tego, czemu trzeba dopiero nieco dopomóc, aby się nią stało...

Moi koledzy często narzekali na tę część pracy, uznając ją za bezbarwną i, ogólnie rzecz biorąc, niegodną ich talentu. Ja natomiast całkiem ją sobie ceniłem: pozwalała mi wydzwaniać do ludzi na całym świecie i zapoznawać się z szeroko rozgałęzioną strukturą KFR-u. Nauczyłem się, w jakich porach najlepiej się łączyć, kogo prosić do telefonu i jak formułować pytania, aby uniknąć niekonkretnych odpowiedzi, które nie posunęłyby mnie ani o krok do przodu. Chętnie poświęcałem parę minut na luźną pogawędkę, a także pytałem rozmówców o zdanie co do jakości omawianej teczek. Kiedy ktoś wyświadczał mi przysługę, przyznawałem, że mam u niego dług, i proponowałem, że odwdzięczę się przy najbliższej okazji. Krótko mówiąc, wyrabiałem sobie kontakty.

Drugiej części zadania nie sposób tak łatwo opisać. Polega ona na poprawianiu stosunku opłacalności teczek do ryzyka, ja-

kie ta ze sobą niesie, innymi słowy: na próbie osiągnięcia takich samych wyników przy jednoczesnym obniżeniu ryzyka, że zostaniemy odkryci. Odwołując się znowu do przykładu *Bettlerkóniga*, można by zapytać: czy naprawdę musiałem wymyślać ów specjalny pokaz w Cinémathèque, żeby potwierdzić istnienie dzieła von C? Czy nie mogłem zadowolić się prywatną projekcją zorganizowaną dla Sadoula? Nie trzeba by wówczas wspominać Daneya, Markera i Doniola-Valcroze'a. Zniknęłoby też niebezpieczeństwo pomyłki co do godzin seansów albo błędnego umiejscowienia Truffauta w Paryżu, podczas gdy reżyser kręcił akurat w Portugalii... A jednak w tym konkretnym przypadku Diaz zdecydował, że ryzyko jest uzasadnione i że scenariusz nie wywierałby tak silnego wrażenia, gdyby usunąć z niego wzmiankę o tym wyjątkowym seansie kinematograficznym dla paryskiej inteligencji. Ale równie dobrze mógł odrzucić to rozwiązanie, zobowiązując się tym samym do zaproponowania mniej niebezpiecznych źródeł.

I bez wątpienia na tym właśnie polega trudność zawodu fałszerza. Leniwi - a z żalem przyznaję, że czasem się do nich zaliczałem - ograniczają się do usuwania źródeł lub powoływania się w nieskończoność na te, co do których mają całkowitą pewność. Oczywiście zmniejszają w ten sposób ryzyko, ale także atrakcyjność projektu, czasami wręcz niwecząc wszystkie jego szanse na znalezienie odbiorców. Z kolei prawdziwi fałszerze prędzej by umarli, niż zubożyli scenariusz. Każdą teczkę postrzegają jako nowe wyzwanie, jako historię, którą autor stworzył nie bez powodu i którą należy teraz uwiarygodnić z pomocą wszelkich dostępnych środków. Praca im niestraszna, wręcz przeciwnie: nic nie sprawia im większej przyjemności niż nieprzespana noc spędzona nad doprowadzaniem do porządku kiepsko wykonanego projektu. Żadne źródło nie stanowi dla nich świętości, wszystkie dopuszczają zmiany, więc można, a nawet trzeba je ulepszać. Załóżmy, że autor pragnie przedstawić swoją opowieść za pośrednictwem dziennikarza „Business Week” - a dlaczego by od razu nie włożyć jego słów w usta zdobywcy Nagrody Nobla z ekonomii? Załóżmy, że zamierza powołać do życia nowy niemiecki nurt malarski - stwórzmy więc dla niego opozycję, którą nazwie się Stowarzyszenie z Berchtesgaden albo Stop Dada-

istom! i która przysporzy kreacji wiarygodności, i nie szkodzi, że to oznacza znalezienie siedziby, wybór prezesa z katalogu berlińskich legend oraz doroczną publikację mdłego, acz dobrze przemyślanego biuletynu.

Wszystko to dobrze rozumiałem. Jak dotąd trafiali mi się świetni instruktorzy: najpierw Gunnar Eriksson, później, w Honolulu, najwięksi specjaliści w całym konsorcjum, a obecnie Alonso Diaz i Lena Thorsen. A jednak z trudem brnąłem przez kolejne teczki, nie potrafiąc się wybić ponad tradycyjne źródła (takie jak praca dyplomowa, raport eksperta czy nekrolog) ani wyobrazić sobie postaci lub sytuacji, które w radykalny sposób zmieniłyby wydźwięk danej historii. A w rzadkich przypadkach, kiedy udawało mi się wzmocnić szkielet opowieści, popełniałem jakieś głupstwo, które przekreślało wszystkie moje wysiłki, jak wtedy gdy przypisałem autorstwo datowanej na rok 1971 analizy rywalizacji etnicznej w Afryce pewnemu angolskiemu generałowi, nie zdając sobie sprawy, że Angola uzyskała niepodległość dopiero w 1975 roku. Do tej pory rumienię się na to wspomnienie.

Staralem się, rzecz jasna, zwalczać swoje słabości. W końcu po to właśnie przyjechałem do Córdoba. Ale mijały kolejne miesiące, a ja - mimo że poczyniłem niezaprzeczone postępy metodologiczne - wciąż czułem się niepewnie, kiedy przychodziło mi wydać sąd nad solidnością jakiejś teczki. Trzeba dodać, że Thorsen bynajmniej nie podbudowywała mojego morale. Po pierwsze, wszystko po mnie sprawdzała. Każdy najmniejszy raport i najdrobniejsza nawet notatka na marginesie lądowały przed jej oczyma i ściągały mi na głowę wyrzuty, a czasem wpędzały Lenę w desperację: „Proszę sobie powtórzyć zasady dotyczące różnorodności źródeł”, „Pański emerytowany sędzia śledczy jest niewiarygodny, proszę zwrócić się do Berlina po legendę”, „Zeznanie portiera w zupełności wystarczy - po co chce pan coś jeszcze do niego dodawać?”. Nieraz próbowałem uniknąć tej groźnie brzmiącej krytyki, poddając teczkę jak najdokładniejszym oględzinom, ale Thorsen zachowywała stałą czujność. Zazwyczaj dzwoniła do mnie tuż przed ostatecznym terminem, aby się upewnić, że zdążę na czas. „No, Sliv, pora wziąć się za ten projekt w sprawie Konga, jeśli chce pan, żebym go popra-



wiła, zanim od nas wyjdzie". Można by pomyśleć, że śledziła każdy mój krok dzięki zamontowanej nad drzwiami kamerze... Swoją drogą często się zastanawiałem, czy wszyscy doświadczają takiego samego traktowania jak ja. Było nas ledwie dziesięcioro, a musieliśmy obrobić całą masę teczek, które przychodziły każdego tygodnia. Z czysto logistycznego punktu widzenia Thorsen nie mogła poświęcać każdemu z nas aż tyle uwagi; nawet jej doba miała tylko dwadzieścia cztery godziny. Kiedy pewnego razu zadałem jej to pytanie wprost, odparła ze zdziwieniem: „To przecież normalne, że pomagam przede wszystkim najsłabszym, prawda?”, jakby powszechnie wiadomo było, które miejsce w tym rankingu zajmują poszczególni agenci.

Szanowałem profesjonalny osąd Thorsen; mniej podobało mi się to, że nieustannie wtrąca się w moje sprawy, chociaż oficjalnie nie pełniła funkcji mojej przełożonej. Czerpała przewrotną przyjemność z łajania mnie przy świadkach, szczególnie w dni, w które Diaz zaglądał do biura. Najbardziej lubiła mi wyrzucać mój rzekomy brak poczucia obowiązku. To prawda, że żaden ze mnie pracoholik - nigdy zresztą nie udawałem, że jest inaczej. Każdego ranka zjawiałem się w firmie punktualnie o ósmej i nie widziałem powodu, by w okolicach osiemnastej trzydzieści, kiedy cały budynek zaczynał pustoszeć, nie przyłączyć się do pospolitego ruszenia. W końcu nie przeniosłem się na drugi koniec świata po to, żeby cały dzień gnić przed komputerem. Ale Thorsen najwyraźniej mieszkała w swoim gabinecie. Sprzątaczkę opowiadały każdemu, kto chciał słuchać, że *señorita* Thorsen codziennie dociera do biura jeszcze przed nimi, a nieraz wychodzi dopiero po północy. Do domu zaglądała jedynie po to, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Przez resztę czasu zostawiała na mojej automatycznej sekretarce wygłaszane przesadnie profesjonalnym tonem wiadomości w stylu: „Sliv, mówi Thorsen. Jest dwudziesta pierwsza trzydzieści. Proszę do mnie zadzwonić, kiedy wróci pan z kolacji” albo: „Sliv, dochodzi siódma piętnaście. Czekam na pana sprawozdanie dotyczące teczek z tego tygodnia. Utknął pan w korkach?”.

Wiem też, że nie pochwałała mojej postawy wobec Argentyńczyków. Szczególnie nie cierpiała Alexa, który krótko po jej

przyjeździe zaczął się do niej zalecać. „Niech pan ich nie traktuje jak kolegów” - powtarzała bez przerwy. „Ale oni są moimi kolegami” - odpowiadałem szczerze. „Manolita uczy mnie tańczyć tango, a w każdy wtorek gram z księgowością w nogę”. Na te słowa kręciła głowę ze współczuciem. „Biedny Sliv, nigdy nie zyska pan sobie szacunku” - mówiła. Nie wiedziałem, co mógłbym na to odpowiedzieć, chyba tylko tyle, że nie mam ani podstaw, ani chęci, by domagać się szacunku. Ale zdawałem sobie sprawę, że nie mnie pouczać Thorsen w tym temacie. Bo ona potrafiła sprawić, że ją szanowano, a nawet się jej bano. Ludzie z jej zespołu widzieli w niej niewzruszoną westalkę, która wiele od siebie wymaga, a innych traktuje bez cienia wyrozumiałości. Nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, żeby spóźnić się z oddaniem teczki albo zapomnieć oddzwonić, kiedy zostawiała wiadomość. Ale posunąłbym się o krok za daleko, gdybym stwierdził, że podwładni ją kochali. Mężczyźni usiłovali wkraść się w jej łaski (biedacy nie mieli żadnych szans); kobiety jej nie znosiły, po pierwsze za urodę, ale też za pogardę, jaką okazywała Argentynkom, które godziły się na odgrywanie jedynie ostatnich ról.

Powracająca plotka, z którą nie mogłem się nie zetknąć, głosiła, iż Lena Thorsen rzuciła swojego niemieckiego chłopaka, gdy tylko otrzymała zawiadomienie o przeniesieniu do Córdoby. Nieszczęśnik zaproponował ochoczo, że weźmie tymczasowe zwolnienie z pracy i wyruszy wraz z nią, lecz ona jednym zdaniem pogrzebała jego nadzieje. Krążyły różne wersje owego sławnego zdania: „Będę miała inne zajęcia niż uczenie cię hiszpańskiego”; „Biorąc pod uwagę, ile trudu kosztowało cię znalezienie tej pracy, lepiej zrobisz, trzymając się jej rękami i nogami”; „Już prędzej znajdę sobie kogoś na miejscu” i tak dalej... Plotkarze preferowali rzecz jasna tę ostatnią ewentualność, gdyż pozwalała na najróżniejsze spekulacje: czy Lena Thorsen znalazła wśród narodu argentyńskiego osobnika, którego uznała za godnego, by dzielił z nią życie? Osobiście raczej w to wątpiłem, ale nigdy nie byłem w tych tematach zbyt obeznany. Muszę jednak wyznać, że zacząłem przykładać do tego większą wagę, odkąd któregoś dnia Alex oznajmił w obecności Leny, że spoczywa na nas, to jest na mnie i na niej, obowiązek przedłużenia skandynawskiej rasy. Oboje się zarumieniliśmy (każdy mężczyzna powinien choć

raz w życiu doznać przywileju, jaki stanowi widok policzków Leny Thorsen barwiących się za sprawą gwałtownego napływu krwi), a wściekły błysk, który dostrzegłem w jej oczach, sprawił, że całym moim ciałem wstrząsnęły przyjemne, zmysłowe dreszcze. (Później wyjaśniłem Alexowi, że wbrew powszechnemu mniemaniu Islandia nie zalicza się wcale do krajów skandynawskich. Łajdak odparł, że doskonale o tym wie).

Surowość, z jaką odnosiła się do mnie Thorsen, niewątpliwie wynikała częściowo z zazdrości. Tak przynajmniej sobie wmawiałem, kiedy wychodziłem do domu z trzema teczkami do poprawienia pod pachą, nadal trochę roztrzęsiony po wysłuchaniu lapidarnych, wygłoszonych po islandzku opinii, którymi uraczyła mnie pod koniec popołudnia. Thorsen wciąż nie mogła przeżyć, że zdobyłem statuetkę za najlepszą teczkę; często wracała do tego tematu, a to po to, by tam właśnie szukać przyczyn moich niedociągnięć jako fałszerza, a to by kwestionować kwalifikacje jury, „tej bandy biurokratów, którzy całkiem stracili kontakt z rzeczywistością pracy w terenie”. Jak już wspominałem, Nagroda za Najlepszą Pierwszą Teczkę towarzyszy agentowi przez całą jego karierę. Diaz długo opiewał ten mój sukces, kiedy przedstawiał mnie kolegom po fachu. Było to jedyne wyróżnienie, którego brakowało w skądinąd nieposzlakowanym katalogu osiągnięć zawodowych Thorsen, i wiedziałem, że stanowi to dla niej powód do rozgoryczenia. Pewnego wieczoru, kiedy zbeształa mnie nieco ostrzej niż zwykle, przekazałem jej do wglądu właśnie zredagowaną wiadomość do centrum w Londynie. Natychmiast skontaktowała się ze mną przez wewnętrzną linię telefoniczną, żeby spytać, czemu uznałem za stosowne opatrzyć swój podpis gwiazdką.

- Och, o to chodzi? - rzuciłem. - To znak, którego używają zdobywcy Nagrody za Najlepszą Pierwszą Teczkę, żeby się nawzajem rozpoznać.

Wyraźnie usłyszałem, jak na drugim końcu linii Thorsen przełyka ślinę.

- W życiu o tym nie słyszałam - odparła odrobinę zbyt szybko.

- To normalne - rzekłem, rozkoszując się tryumfem. - Djibo zdradził mi, że nie chce, by wieść o tym się rozeszła, bo zbyt wielu

ludzi, którym gwiazdka się nie należy, mogłoby uzurpować sobie do niej prawa. -1 odłożyłem słuchawkę, jednocześnie rozradowany i nieco zawstydzony tą swoją małostkowością.

Żywię jednak przekonanie, iż agresywność Thorsen wynikała z czegoś innego. Nie chciałbym uciekać się do taniej psychologii, ale sądzę, że fakt, iż jest kobietą, potęgował w niej ducha rywalizacji. Kobiety stanowią zaledwie trzydzieści do trzydziestu pięciu procent załogi KFR-u, choć trudno ten stan rzeczy wytłumaczyć. „Kobiety rzadziej przyjmuje się do pracy” - sugerują mężczyźni. „Ale posuwając się w górę hierarchii, nie zauważymy znaczącej dysproporcji płci”. „Nieprawda” - odpowiadają niezmiennie kobiety. „Gdyby stawiano nam te same wymagania do awansu co mężczyznom, już dawno stanowiąłybyśmy większość w Komitecie Wykonawczym”. Ten spór zawsze wydawał mi się nieco bezsensowny, zważywszy na to, że nikt spośród agentów czy opiekunów prowadzących, z którymi miałem okazję rozmawiać, nie znał składu Komitetu Wykonawczego. Ale Thorsen zawsze wyrażała przekonanie, że to kobieta kieruje losem KFR-u. Podejrzewam, że ta pewność dostarcza jej dodatkowych powodów, by miażdżyć swoich mizernych współpracowników.

A więc Thorsen mnie nie lubiła. Trudno. Na moje nieszczęście miała w tej naszej rozgrywce przewagę. Jej umiejętności fałszerskie budziły respekt; sam nigdy nie osiągnę takiego poziomu. Oczywiście w dziedzinie scenariuszy nie dorastała mi do pięt, ale w strukturze KFR-u Córdoba zajmuje się źródłami, a nie scenariuszami. Nie potrzebowałem wiele czasu, by pojąć, że nominacja na to stanowisko postawiła mnie w nieprzychylnej sytuacji. Żaden aspekt nowej pracy nie uwypuklał moich zalet, można by nawet przypuścić, że posadę tę stworzono wyłącznie dla podkreślenia moich braków. Znalazłem się w położeniu tenisisty, którego przeciwnik z uporem bombarduje krótkimi uderzeniami z backhandu. W najlepszym wypadku nasz zawodnik przegrywa z honorem, w najgorszym - zostaje ośmieszony. Mnie zwykle spotykało to drugie.

Ostatecznie to chyba Lena najtrafniej opisała stan rzeczy, gdy pewnego dnia oznajmiła bez cienia złośliwości: „To zabawne, Sliv, robi pan postępy jeszcze wolniej, niż się spodziewałam”.

Parę miesięcy później miałem okazję osobiście przekonać się o niezwykłych talentach falsyfikatorskich LenyThorsen. Pewnego poniedziałkowego ranka położyła na moim biurku grubą teczkę.

- Napisała ją jedna z pańskich przyjaciółek. - Tyle tylko powiedziała słowem wstępu. - Zobaczymy, jak pan sobie z nią poradzi.

Rzeczoną przyjaciółką okazała się Francesca Baldini, jedna z finalistek Nagrody za Najlepszą Pierwszą Teczke. Utrzymywaliśmy kontakt. W ostatniej kartce z życzeniami pisała, że nadal siedzi w Bolonii, ale ma nadzieję, że za rok przeniosą ją do Stanów Zjednoczonych. Często wracałem do *Geometrii w mrowiskach*, którą uważałem za jedną z najlepszych teczek związanych z królestwem zwierząt, jakie kiedykolwiek wyprodukował KFR. Jakimkolwiek tematem zajęła się tym razem, niecierpliwie czekałem, by zapoznać się z jej twórczością.

We wstępie zaznaczała, że jej projekt - przygotowany w języku angielskim - wpisuje się w ramy czwartej dyrektywy Planu Trzyletniego zatytułowanej: *Ukazanie słabych stron nadmiernego ujinanso-wienia gospodarki*. Ismail Habri, jeden z wykładowców z Honolulu, długo omawiał tę dyrektywę, którą postrzegał jako jedno z najważniejszych zaleceń Planu 1992-1994, i choć nie zrozumiałem niektórych użytych przez niego terminów, pamiętałem prawie wszystkie najważniejsze punkty jego wystąpienia.

Od początku lat osiemdziesiątych, tłumaczył Habri, obserwujemy wzrost finansowego charakteru gospodarki. Fundusze inwestycyjne odkupują rodzinne przedsiębiorstwa, które restrukturyzują,

a następnie odsprzedają pospiesznie temu, kto zaoferuje najwyższą cenę; spółki, chcąc poprawić rentowność kapitału powierzonego im przez akcjonariuszy, zadłużają się coraz poważniej, narażając się na okrutne rozczarowanie w razie zmiany koniunktury; a co najważniejsze, wygląda na to, że inwestorzy zaczęli preferować wirtualne transakcje od kupna i sprzedaży namacalnych towarów. Zafascynowała mnie na przykład wiadomość, że baryłka ropy od momentu wydobywania z ziemi do chwili dostarczenia jej do rafinerii zmienia właściciela od pięciu do dziesięciu razy; dopiero co należała do japońskiego banku, a w trzy sekundy później pojawiała się w księgach rachunkowych brytyjskiego spekulanta giełdowego. Co jeszcze bardziej zadziwiające, rynki finansowe poczęły zachęcać przedsiębiorców do monetyzacji (zwanej też sekurytyzacją) wszystkich posiadanych aktywów. Jeżeli towarzystwo ubezpieczeniowe posiadało tysiąc nieruchomości, mogło uzyskać ich rynkową równowartość, wydając zwykły świstek papieru, który gwarantował nabywcom dochody z przyszłych umów najmu. Gdy rynek nieruchomości się załamywał, a lokatorów zaczynało ubywać, ubezpieczyciel nic sobie z tego nie robił: przecież „przeniósł ryzyko” (wyrażenie to padało z ust finansistów tak często, iż można by pomyśleć, że grają w Czarnego Piotrusia).

Widząc nasze osłupiałe miny (jedynie Magawati, która studiowała ekonomię w Stanach Zjednoczonych, zdawała się zaznajomiona z tymi praktykami), Habri postanowił przypomnieć, że KFR nie kwestionuje mechanizmów działania kapitalizmu. „Martwi nas jedynie fakt” - wyjaśnił - „że główni gracze w gospodarce rynkowej sprawiają czasami wrażenie zaślepionych wiarą w stabilność tego systemu. Zapominają - albo udają, że zapomnieli - że te nowe instrumenty, choć dodają rynkowi płynności, czynią go również bardziej kruchym. Niektórzy spekulanci angażują się w tak złożone operacje, że sami nie są w stanie ocenić, ile stracą w przypadku gwałtownej hossy lub bessy dolara czy ropy. Czwarta dyrektywa ma na celu zwiększenie świadomości w tym zakresie wśród rządzących krajami, władz rynku oraz samych inwestorów”.

Osobiście nigdy nie wyprawiałem się w tak trudne rejony, lecz Francesca poczuła się na siłach, by podjąć wyzwanie. Wymyśliła,

ze dwóch badaczy z Uniwersytetu Chicagowskiego, Fiedler i Staransky, opracowało nowy model analizy spółek giełdowych. Podczas gdy banki zwykle oceniały spółki na podstawie porównania ich przychodów, przepływu gotówkowego i posiadanych zaświadczeń, Fiedler i Staransky próbowali zrozumieć postawy danej firmy, jej idiosynkrazje, jednym słowem: jej osobowość. Jak wszyscy wiemy, każdy człowiek charakteryzuje się pewnymi uwarunkowanymi genetycznie cechami fizycznymi oraz intelektualnymi, które determinują jego zachowanie. Fiedler (biolog) uznał, że to samo rozumowanie można - pod pewnymi warunkami - rozszerzyć na przedsiębiorstwa i że to, co powszechnie nazywamy wartościami firmy, to ni mniej, ni więcej jak tylko suma cech odziedziczonych (związanych z osobowością założyciela) oraz wpływu środowiska (to jest warunków, w jakich spółka pierwotnie się rozwijała). Była to, naturalnie, niezwykle porywająca koncepcja, która - skoro już została sformułowana - uderzała swą prostotą i natychmiast znalazła potwierdzenie, przynosząc nieoczekiwane wyniki. Można by się na przykład spodziewać, że Microsoft i Apple, firmy założone w latach siedemdziesiątych przez dwóch przedsiębiorców urodzonych tego samego roku, będą mieć wiele cech wspólnych. Fiedler (a raczej Francesca za pośrednictwem Fiedlera) wykazywał jednak, że radykalnie odmienne doświadczenia życiowe ich szefów wykluczały istnienie jakichkolwiek podobieństw. Bill Gates to syn znanego prawnika biznesowego. Uczęszczał do najlepszych szkół, firmę Microsoft zaś otworzył podczas studiów informatycznych na Harvardzie. Z kolei Steve Jobs został porzucony przez matkę w tydzień po urodzeniu, a wychowali go rodzice adopcyjni o umiarkowanych dochodach. Krótco studiował kaligrafię na drugorzędnej uniwersytecie, później wybrał się w podróż do Indii, gdzie ogolił głowę i zaczął nosić sarong, by wreszcie założyć z kolegą Apple'a. Podsumowując, oznajmiał Fiedler, Microsoft i Apple mają tak różnych ojców, że o podobieństwie ich dzieci nie może być mowy.

I tu na scenę wkracza Staransky, finansista ze szczególnym zacięciem do liczb, który dodał teczce Franceski skrzydeł. Zamiast krytykować osobowości firm takich jak Sony czy General Motors, zajął się przygotowaniem modelu analizy opartej na pięćdziesię-

ciostronicowym kwestionariuszu, który pozwalałby na ewaluację dowolnego przedsiębiorstwa. Największa liczba pytań dotyczyła założyciela firmy: jego rodziców, liczby rodzeństwa, poziomu edukacji i tak dalej. Czy jako dziecko posiadał zwierzątko? Czy przed ukończeniem dziesiątego roku życia zetknął się ze śmiercią? Czy grał na instrumencie muzycznym? W jakim wieku zawarł związek małżeński (jeśli w ogóle)? W jakim wieku po raz pierwszy został rodzicem? Czy wyznawał jakieś przekonania religijne? Niemal tak samo ważne wydawały się kwestie związane z miejscem założenia firmy oraz pierwszymi latami jej istnienia. Czy siedziba znajdowała się na wsi, czy w mieście? Na eleganckim przedmieściu czy w centrum społeczności rolniczej? Jaki odsetek spośród pierwszych zatrudnionych stanowili: kobiety, czarnoskórzy, obcokrajowcy, inżynierowie? Po ilu latach działalności firma otworzyła kapitał dla inwestorów? Pod uwagę należało wziąć także inne, zaskakujące i trudniejsze do pozyskania dane: preferencje seksualne rady nadzorczej, iloraz inteligencji założyciela, wiek, w jakim zarobił pierwszy milion dolarów i tak dalej.

Staransky bardzo szybko dostrzegł niezwykle korzyści, jakie roztropnemu zarządcy portfela może przynieść koncept Corporate DNA, (czyli DNA przedsiębiorstwa, jak ochrzcił projekt Fiedler). Zarządcy zajmują się porównywaniem spółek i wykrywaniem podobieństw między nimi, co pozwala im zidentyfikować te, których notowania wkrótce wzrosną. Przykładowo, jeśli pod wpływem analizy starych kursów giełdowych dojdą do przekonania, że zróżnicowane przedsiębiorstwa osiągają lepsze wyniki niż reszta, zakupią akcje właśnie takich przedsiębiorstw. Staransky zaczął więc poszukiwać związków pomiędzy spółkami odnoszącymi największe sukcesy, związków tak zaskakujących, że do tej pory nikt ich nie zauważył. Efekty przeszły jego najśmielsze oczekiwania. Dzięki nowej metodzie Staransky udowodnił na przykład, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat firmy powołane do życia przez białych mężczyzn wyznania prezbiteriańskiego, którzy w młodości grali w koszykówkę, rozwijały się średnio dwa razy szybciej niż inne. Po przestudiowaniu statystyk doradzał z kolei, by trzymać się z dala od spółek zlokalizowanych w odległości większej niż dziesięć kilometrów od lotniska i takich, któ-



rych założyciel w okresie dojrzewania opłakiwał śmierć ukochanego zwierzątka: często przynosiły one niższe dywidendy niż konkurenci.

W marcu 1991 roku Fiedler i Staransky udali się do Bostonu, by zaprezentować swój pomysł Edwardowi „Nedowi” Johnsonowi, prezesowi rodzinnej spółki Fidelity, światowego lidera na rynku zarządzania aktywami. Johnson, choć podekscytowany projektem Corporate DNA („najprostszy pomysł od czasu wynalezienia wskaźnika zysk na akcję” - uznał), wahał się przed powiązaniem nazwy Fidelity z czymś, co trzeba by określić mianem śmiałego eksperymentu. Poradził naukowcom, by założyli własny fundusz i zainteresowali nim trzech prywatnych inwestorów, którzy z pewnością chętnie zaryzykują kilkadziesiąt milionów dolarów, żeby „przekonać się, co i jak”. Dwa lata później wszyscy członkowie przedsięwzięcia zdążyli wzbogacić się o jakieś sto milionów dolarów, nowy fundusz zaś, ochrzczony WinDNA, w latach 1992 i 1993 rozłożył na łopatki indeks akcji Dow Jones.

Teczka kończyła się dziwacznie. Fiedler pokłócił się ze współnikami. Pragnął ogłosić światu model Corporate DNA i cieszyć się renomą akademicką, którą przyniosłaby publikacja, podczas gdy Staransky oraz trzej prywatni inwestorzy nie mieli nic przeciwko zachowaniu anonimowości i chcieli jedynie nadal bogacić się w swoim kąciku. W końcu Fiedler wyzwolił się spod ich wpływu i wysłał do magazynu ekonomicznego „Fortune” szczegółową rozprawę, w której objaśniał swój podstawowy zamysł, przyznawał jednak, że nie zna detali złożonego modelu opracowanego przez byłego partnera. Francesca miała najwyraźniej nadzieję, iż perspektywa bajecznych zysków popchnie inwestorów do utopienia milionów w próbach odtworzenia sławnych algorytmów. Prędzej czy później zdadzą sobie sprawę, że ścigają chimery i że lepiej postąpią, analizując fundamentalne wartości leżące u podstaw danej firmy. Był to oryginalny i elegancki sposób na pokazanie inwestorom, że stracili kontakt z rzeczywistością.

W osobnym liście opiekun prowadzący Franceski pytał wprost, czy jesteśmy w stanie zamieścić artykuł w „Fortune”, a także sprawić, że WinDNA pojawi się na listach dorocznych rankingów giełdowych.

Przeczytałem całą teczkę ponownie, raz, a potem drugi, bardzo powoli, rozbierając każde zdanie na czynniki pierwsze. Odczuwałem, jak mi się to czasem zdarzało, mieszaninę rozradowania oraz zazdrości. Dlaczego sam wcześniej nie wpadłem na ten pomysł? Wydawało mi się, że wyciągnąłbym z niego jeszcze więcej. Później westchnąłem, bo w głębi duszy wiedziałem, że Francesca świetnie sobie poradziła z trudnym tematem i że frustrował mnie przede wszystkim fakt, iż ja od ośmiu miesięcy nie stworzyłem ani jednego scenariusza. Chwyciłem słuchawkę i wybrałem numer stacji w Bolonii. Francesca odebrała po pierwszym dzwonku i jak zwykle zachowywała się bardzo wylewnie. Wydawała się szczerze ucieszona moim telefonem, zwłaszcza kiedy dotarło do niej, że dzwonię, aby jej pogratulować.

- Och, Sliv, to takie kochane z twojej strony. Miałam cichą nadzieję, że mojateczka wyląduje na twoim biurku, ale nie ośmielałam się w to wierzyć.

- Nigdy nie lekceważ siły przypadku - odparłem, zastanawiając się, czy Thorsen kierowała się jakimś szczególnym zamysłem, powierzając mi ten projekt.

- Myślisz, że uda wam się zadziałać w sprawie tego artykułu, Sliv? I notowań funduszy inwestycyjnych? Ich sfalszowanie na pewno nie jest łatwe...

- Nie martw się - odpowiedziałem, może trochę się pospieszywszy. - To już załatwione.

- Och, *carissimo*, jakiś ty dobry! Już pół roku temu prosiłam, żeby mnie przenieśli na Wschodnie Wybrzeże, gdzie mieszka mój narzeczony, ale kadry się ociągają. Jeśli mojateczka zrobi furorę, nie będą mogli dłużej mi odmawiać.

- Zastanawiałem się tylko - zacząłem - czy zgodziłabyś się, żebym nieco wzbogacił twój scenariusz. Wiem, że tak naprawdę nie tego się ode mnie oczekuje, ale mam kilka ciekawych pomysłów.

- Na przykład?

- No cóż, widzę tylko jedno ograniczenie dla koncepcji Corporate DNA, a mianowicie, że stosować ją można wyłącznie w odniesieniu do niczym nieskażonych spółek, które rozwijały się siłą rozpędu nadaną przez założycieli. Tymczasem wielkie koncerny

prawie zawsze powstają w wyniku połączenia mniejszych przedsiębiorstw, z których każde miało własnego założyciela, a wobec tego posiada odmienne DNA. Chciałbym znaleźć jakiś sposób na rozwiązanie tego problemu.

- No widzisz, byłam pewna, że dostrzeżesz rzeczy, które mnie umknęły - stwierdziła Francesca z podziwem. - Naprawdę jesteś najlepszy, Sliv!

- Nie przesadzajmy - odrzekłem skromnie, marząc przy tym, by Lena Thorsen mogła słyszeć naszą rozmowę. - Dobrze, od razu się do tego zabieram, zadzwonię do ciebie za tydzień.

- Dziękuję, *carissimo* — rzuciła Francesca, a ja poczułem się jak w siódmym niebie.

Zaparzyłem dzbanek kawy i zacząłem gryzmolić uwagi na marginesach projektu Franceski. Wyobraź sobie, że jesteś zarządcą portfela, myślałem. Do czego jeszcze wykorzystałbyś Corporate DNA? W zaledwie kilka godzin opracowałem Wskaźnik Kompatybilności Genetycznej, który służył do mierzenia prawdopodobieństwa, z jakim dwa przedsiębiorstwa mogły harmonijnie złączyć się w jedno. Z wymienionych wyżej powodów próba fuzji między Microsoftem a Apple em skazana byłaby na porażkę, ale co myśleć o przymierzu Mercedesa z Fordem albo zakupie Evian przez Coca-Colę? Gdyby Wskaźnik Kompatybilności Genetycznej - WKG - się sprawdził (a zrobiłem co w mojej mocy, by uczynić go nieomylnym), drapieżniki mogłyby używać go do identyfikacji ofiar, ofiary - do dokonywania wyboru pomiędzy dwoma drapieżnikami, a zarządcy portfeli - do przewidywania operacji fuzji i przejęć. Przedsiębiorcy finansowi zyskaliby nowe narzędzie analityczne, przynajmniej do czasu, aż na podporządku zjawi się jakaś jeszcze bardziej naciągana strategia, która zastąpiłaby WKG.

Przez trzy dni czerpałem radość z tego zadania, obracając Corporate DNA i WKG na wszystkie strony, dodając ze dwieście nowych kryteriów do modelu Staransky ego i wygładzając postać Fiedlera, którego opisałem jako rozdartego między żądzą sławy a nęcącą wizją bogactwa. Na falsyfikację źródeł poświęciłem niewiele czasu - wyglądało na to, że wszystko jest w porządku - i bez namysłu zatwierdziłem pomysł wprowadzenia artykułu do „Fortune”.

W czwartek koło północy położyłem teczkę na biurku Thorsen. Ten jeden raz wyszła do domu przede mną.

Następnego poranka zjawilem się późno. Lena zostawiła wiadomość, w której zapraszała, bym złożył wizytę w jej gabinecie. Na pewno chce mi pogratulować jako pierwsza, pomyślałem, czekając na windę.

- No wreszcie, Sliv - powitała mnie z autentycznie skonsternowanym wyrazem twarzy. - Przeczytałam pańską teczkę zaraz po przyjściu, ale ciągle jeszcze się zastanawiam, co właściwie pan robił od poniedziałku.

W ogóle nie spodziewałem się takiego wstępu, więc moja pewność siebie natychmiast wyparowała. Usiadłem, starając się odzyskać ducha.

- Proszę wybaczyć, Leno, ale wykonałem kawał dobrej roboty. Scenariusz opiera się na genialnym pomysle, ale kuleje: Francesca tylko z grubsza zarysowała postacie, podała jedno jedyne konkretne zastosowanie Corporate DNA, a kryteria Staransky ego spisała w przypadkowej kolejności. Niech mi pani wierzy, od czterech dni pracowałem bez chwili wytchnienia.

- Najgorzej, że naprawdę panu wierzę - westchnęła. - Nie wiem, czy to coś da, ale mimo wszystko proszę, żeby mi pan przypomniał, jaką funkcję pełni biuro w Córdoba...

- Fałszowania źródeł? - strzeliłem, czując się nieswojo.

- A pan skupił się niemal wyłącznie na... ?

- Scenariuszu Franceski - dokończyłem, spuszczać głowę niczym uczeń przyłapan na gorącym uczynku.

Thorsen pozwoliła, żebym przez kilka sekund pokontemplował własną odpowiedź, a potem westchnęła ponownie, jakby szykując się wyjaśnienia już zdążyły ją zmęczyć. Nadzwyczaj łagodny ton jej głosu zaskoczył mnie nawet bardziej niż treść wypowiedzi.

- Sliv, uważam, że musimy poważnie porozmawiać. Mam wrażenie, że nadal do pana nie dotarło, czego od pana oczekuję. Z pewnością część winy za to nieporozumienie spada na mnie.

- Dziękuję, że pani to przyznaje, Leno - odparłem, zachowując tyle godności, ile się tylko dało. - To prawda, że nie mieliśmy zbyt wiele czasu na omówienie moich zadań.

- Zaczniemy od kwestii praktycznych. W żadnym razie nie wolno panu modyfikować scenariuszy, które do nas docierają. To po prostu nie nasza rola. Jeśli przyjdzie panu do głowy jakieś ulepszenie, proszę napisać notkę do agenta, wysyłając ją również do wiadomości opiekuna prowadzącego. Tak właśnie powinien pan postąpić ze Wskaźnikiem Kompatybilności Genetycznej, który nawiasem mówiąc, jest świetną innowacją.

- Rozumiem - rzuciłem pokornie, mimo wszystko ciesząc się, że Thorsen docenia WKG.

- Dzięki temu zostałooby panu sporo czasu na wzięcie pod lupę fałszerskiej strony projektu, której stanowczo by się to przydało - ciągnęła Thorsen, po równo rozdzielając pochwały oraz słowa krytyki. - Zamiast tego zajął się pan tak zwanym wzbogacaniem scenariusza, choć każda jedna zmiana, jaką pan wprowadził, pogarsza stosunek opłacalności do ryzyka naszej teczki.

-Jak to?

- Po pierwsze, pańskie nowe kryteria niczego nie wnoszą do modelu Staranskyego. Powielają jedynie pomysł Baldini, zakrawając niemal na żart. Następnie rozwija pan osobowość Fiedlera, nie zadawszy sobie nawet pytania, czy Fiedler i Staransky powinni istnieć.

- Co pani chce przez to powiedzieć? — spytałem zdziwiony.

- Baldini czyni ze swoich postaci profesorów Uniwersytetu Chicagowskiego - naprawdę pan sądzi, że tak łatwo będzie wyciągnąć z kapelusza naukowców powiązanych z jedną z najbardziej prestiżowych uczelni w Stanach Zjednoczonych? Zwłaszcza że jeśli naprawdę opracowali niezawodną strategię giełdową, wszyscy dziennikarze oraz inwestorzy będą chcieli się z nimi spotkać. Nie może pan tak po prostu przypisać twórcom Corporate DNA twarzy i nazwiska...

- A jednak - wtrąciłem się - szeroka publiczność musi znać autorów, żeby emocjonować się ich osiągnięciami: wśród stu osób, które słyszały o Einsteinie, nie znajdzie pani ani jednej potrafiącej wytłumaczyć teorię względności. Boję się, że jeśli odbierzemy Corporate DNA patronów, to tak, jakbyśmy schowali projekt do szuflady.

- Jest pan pewien? - zapytała Thorsen. - Niech pan weźmie scenariusz Baldini i zastąpi Fiedlera „biologiem o idealistycznych

poglądach, który woli pozostać anonimowy", a Staransky ego - „pozbawionym skrupułów geniuszem finansowym". Nie sądzę, by opowieść miała na tym ucierpieć.

- Wręcz przeciwnie - przyznałem po krótkim namyśle. -Dziennikarze rzucają się na tę historię i rozpoczną poszukiwania, a inwestorzy zatrudnią prywatnych detektywów i każą tropić naszych bohaterów choćby i na krańcach świata.

- Proszę zauważyć - zaznaczyła Lena - że mniej troszcę się o ubarwienie scenariusza Baldini, a bardziej o zminimalizowanie ryzyka, iż oszustwo zostanie odkryte. Wiem, że wymyślanie japońskich akademików, kanadyjskich odkrywców czy południowoafrykańskich koncernów to kusząca perspektywa, ale płynące z takiego zabiegu korzyści rzadko kiedy usprawiedliwiają ryzyko, na jakie naraża on tak scenariusz, jak i całą organizację. Jeśli zastosuje się pan do moich rad, znajdą się wprawdzie sceptycy, którzy z miejsca odrzucą koncepcję Corporate DNA, trudno im jednak będzie udowodnić fałszywość jej założeń, nawet jeśli włożą w to wiele wysiłku.

- Rozumiem - rzuciłem. - Ale wobec tego wszystkie wzmianki o funduszu WinDNA...

- .. .trzeba koniecznie usunąć - dokończyła Thorsen. - Ma pan pojęcie, z jak poważnymi formalnościami wiąże się rejestracja funduszu inwestycyjnego w Stanach Zjednoczonych? Ile by się trzeba namęczyć, żeby zmienić archiwalne notowania? Jak dotąd wszystkie nasze próby zinfiltrowania firmy Micropal, która gromadzi informacje o wartościach aktywów netto tysięcy funduszy inwestycyjnych, zakończyły się zderzeniem z niemożliwym do obejścia systemem bezpieczeństwa. Stawką w grze są interesy tak wielu podmiotów, że nie można pozwolić, by jacyś spryciarze narazili na szwank prze-najświętszą wydajność rynku. Proszę mi wierzyć: łatwiej byłoby pomniejszyć PKB Senegalii o trzydzieści procent niż dorzucić choćby centa do notowań giełdowych IBM-u z siódmego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku.

- Ale co w takim razie zrobimy z funduszem Staransky'ego?

- Zmienimy go w bermudzką spółkę komandytową, która nie podlega kontroli amerykańskich władz rynku. Oczywiście nie może się nazywać WinDNA. Pozwólmy więc poszukiwaczom spekulować

na ten temat; niech przeczesują listy stu najlepszych funduszy w latach tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dwa-dziewięćdziesiąt trzy.

- Może się okazać, że nie znajdą żadnych, które spełniałyby kryteria - zauważyłem.

- No i co z tego? Im więcej wysiłku włożą w rozwikłanie tej sprawy, tym bardziej obrośnie ona legendą. To poszukiwania napędzają powstawanie mitu, nie na odwrót. Myśli pan, że wciąż mówilibyśmy o Graalu albo kamieniu filozoficznym, gdyby najtęższe umysły świata nie zmarnowały tylu lat na pogoń za nimi?

- To też jakiś punkt widzenia - przyznałem, wbrew sobie podziwiając sposób, w jaki Thorsen teoretyzowała swą pracę.

- Jedyne słuszne - odpowiedziała nieznoszącym sprzeciwu tonem. - Ale może uważa pan, że usiłuję załatwić sprawę tanim kosztem: w końcu jeżeli usunę nazwiska wszystkich bohaterów, zostanie sama historia, owszem, ciekawa, ale wydrążona, bez czegokolwiek, co skłaniałoby do uwierzenia w nią. I tu do akcji wkracza talent falsyfikatora, o ile ów takowy posiada. Nie zdradzę panu nazwy funduszu, ale gotowa jestem odkryć przed panem całą resztę: wyjawię, z którego budynku w stylu kolonialnym nieopodal plaży nim kierują; jaką moc ma superkalkulator, który każdej nocy przetwarza miliony danych i odnajduje między nimi nieprawdopodobne powiązania; co zapisano w dwudziestostronicowej umowie, która rozdziela zyski pomiędzy inwestorów pasywnych oraz zarządców portfela. Wszystko tam będzie, Sliv: niech pan utopi czytelników w morzu detali, dzięki czemu zapomną, że ukrył pan przed nimi to, co najistotniejsze.

- Sprawozdania ze spotkań zarządu Stowarzyszenia na rzecz Kultury Tesalskiej - wymamrotałem.

- Właśnie. Gunnar panu o tym opowiadał? - spytała Lena z uśmiechem. Po raz pierwszy poczułem krótki przeblysł porozumienia między nami. Lena podjęła główny wątek: - Przejdźmy teraz do kwestii artykułu w magazynie „Fortune”. Uważam, że popełnia pan poważny błąd, zatwierdzając sugestię Baldini.

- Dlaczego? Nie jesteśmy w stanie zamieścić artykułu w „Fortune”?

- Nie w tym rzecz. Czy koncepcja głównego źródła odniesienia jest panu znana?

-Tak sędę, tak - wybełkotałem, doznając nieprzyjemnego wrażenia, jakbym był uczniem wywołanym do tablicy. - Główne źródło odniesienia to takie źródło, które prezentuje scenariusz całościowo. Ponieważ z założenia ma się na nie powoływać całe mnóstwo innych tekstów, które nazywamy źródłami pomocniczymi, musi z powodzeniem opierać się wszelkim atakom.

- Dobrze - wyraziła swą aprobatę Thorsen. - Przynajmniej ma pan podstawy teoretyczne. Pozwoli pan, że opowiem pewną historię. Z pewnością przypomina pan sobie epizod z masowymi grobami w Timisoarze. Odkrycie tych cmentarzysk, których powstanie przypisano okrucieństwu służb bezpieczeństwa Ceausescu, poważnie wstrząsnęło opinią międzynarodową, sprawiając, że opowiedziała się po stronie przeciwników rumuńskiego dyktatora. Gdyby nie te groby, NATO i ONZ, z natury rzeczy zwolennicy legitymizmu, prawdopodobnie dużo dłużej popierałyby istniejący reżim. Tymczasem pozwoliły społeczeństwu zatrzymać Ceausescu wraz z małżonką, a następnie ich rozstrzelać. Parę tygodni później pewien dziennikarz z Zachodu ujawnił, że srodze przeceniono znaczenie masowych grobów. Owszem, rzeczywiście istniały, lecz skrywały od pięciu do dziesięciu razy mniej ciał, niż ogłoszono w czasie trwania demonstracji. Rozdźwięk okazał się tak duży, że nie sposób go było zrzucić na karb niedopatrzenia. A teraz, Sliv, czy domyśla się pan, jakim trybem postępował nasz agent z Krajowy?

Rzecz jasna wcale się nie domyślałem. Prawdę powiedziawszy, dopiero wtedy dowiedziałem się, że to, co uznawałem za jedną z najpiękniejszych polityczno-medialnych manipulacji naszego wieku, było dziełem KFR-u. Odczułem z tego powodu pewną dumę.

- Niech się pan zastanowi: jeśli chce pan puścić w eter nieprawdziwą informację i sprawić, by rozeszła się w przeciągu kilku godzin, który kanał pan wybierze?

- CNN? - zaryzykowałem.

- CNN, bez dwóch zdań. Nieco paradoksalnie stację tę śledzą wszyscy szefowie redakcji, mimo że na całym świecie nie cieszy się oglądalnością większą niż rai. Ilie, nasz agent z Krajowy, musiał jedynie zaciągnąć na miejsce korespondenta CNN. Pokazał mu kilka czaszek, dwóch lub trzech okaleczonych nieboszczyków, a potem



zapewnił, że grób zajmuje obszar kilku tysięcy metrów kwadratowych. Ponieważ większość zwłok wciąż znajdowała się pod ziemią, Ilie zaproponował, żeby ułożyć ciała, którymi dysponował, w taki sposób, by zyskać wrażenie ciągnącej się po horyzont mogiły. Amerykanin nakręcił materiał, który prędko wysłał przez satelitę do Atlanty. W dwie godziny później wszystkie stacje telewizyjne przerwały program, aby pokazać obrazy wyemitowane pierwotnie przez CNN. W międzyczasie Ilie, wówczas, nawiasem mówiąc, chłopak niewiele od pana starszy, rozplątał się jak we mgle.

- Cóż za zagranie... - wymamrotałem prawdziwie oszołomiony.

- Prawda? Wykazał się wyjątkowo rzadkim u agentów terenowych wyczuciem czasu. Od momentu, w którym pomysł przyszedł mu do głowy, do chwili, gdy reportaż trafił na antenę, upłynęło niespełna sześć godzin. Ale jego plan zadziałał, bo Ilie zidentyfikował główne źródło odniesienia, to, z którego czerpią wszystkie pozostałe. Jeśli uda się panu sfalszować główne źródło, zwykle połowę roboty ma pan już za sobą. To nie znaczy, że na tym powinien pan poprzestać; często przydaje się podrobienie jeszcze dwóch czy trzech innych, które, jakkolwiek mniej istotne, ostatecznie przechylą szalę zwycięstwa na pańską stronę. W dziedzinie komunikacji finansowej, na przykład, nigdy nic pan nie osiągnie, jeśli nie kontroluje pan serwisu Reuters. To powiedziawszy, radziłabym dla wszelkiej pewności sfalszować również strony Bloomberg i Telerate. Niech się pan postawi w sytuacji spekulanta giełdowego, który na Reutersie odkrywa zaskakującą dla siebie wiadomość. Jeśli nie znajdzie podobnej wzmianki na Bloombergu, ogarną go wątpliwości. I przeciwnie, jeśli Bloomberg i Telerate potwierdzą tę informację, miałby pan ogromny kłopot, żeby go przekonać do zmiany opinii.

Cała trudność w naszym zawodzie polega na wyróżnieniu tych sławetnych głównych źródeł odniesienia. Przykłady CNN czy Reutersa bez wątpienia wydają się panu trywialne; nazwy te same przychodzą do głowy po paru chwilach zastanowienia. Mogę jednakowoż zapewnić, że poszukiwania nie zawsze okazują się tak łatwe. No, proszę powiedzieć, co by pan wybrał, jeśli chodzi o wina?

Przyznaję się do pewnej ignorancji w dziedzinie enologii, ale chciałem zepsuć Lenie tę jej demonstrację.

- Podejrzewam, że istnieje jakaś publikacja czy słownik, do którego należy się odwołać. Z pewnością jakiś francuski przewodnik?

- Klasyczny błąd, w pierwszej kolejności trzeba zająć się amerykańskim magazynem „The Wine Spectator”. Został założony przez zakochanego w winorośli emerytowanego adwokata i stanowi obecnie punkt odniesienia także dla europejskich winiarzy. Inny przykład: zamierza pan wprowadzić nową koncepcję zarządzania, taką jak ścisła kontrola jakości albo planowana hojność, w każdym razie coś w tym guście. Jak się pan do tego zabierze?

- Napiszę książkę i postaram się, żeby przedmową opatrzył ją laureat Nagrody Nobla?

- I przy odrobinie szczęścia sprzeda pan dwa tysiące egzemplarzy, reszta skończy na półkach antykwariatu w Minnesocie. Nie, istnieje niezmienna strategia: artykuł w „Harvard Business Review”, kilka tygodni później poparty obszerniejszym materiałem w „McKinsey Quarterly”. Dzięki tym dwóm tytułom rozpowszechni pan swoje idee w jakichś pięćdziesięciu krajach.

- Ale kto mi zagwarantuje, że zgodzą się opublikować moje teksty?

- Po pierwsze, nie sygnuje ich pan nazwiskiem Sliv Dartun-ghuver. Przypiszemy je któremuś z naszych prywatnych guru. Mamy ich z tuzin na podorędziu. Opublikowali same bzdury, ale my czuwamy nad tym, żeby pojawiali się w każdej najmniejszej bibliografii.

Wciąż byłem sceptyczny.

- To nie wystarczy, żeby przekonać ludzi z prasy. Nie dadzą się nabrać tak łatwo jak CNN.

- Ale domyśla się pan pewnie, że dysponujemy pewnymi wpływami w redakcjach największych gazet. Proszę mi wierzyć, wystarczająco obciążają nasz budżet, żeby od czasu do czasu móc wyświadczyć nam drobną przysługę.

- Wobec tego wszyscy ci ludzie wiedzą o istnieniu KFR-u. To szalenie ryzykowne!

- Proszę, Dartunghuver, naprawdę pan sądzi, że jestem na tyle głupia, żeby tłumaczyć jakiemuś żółtodziobowi z „Harvard Business Review”, że zamierzamy posłużyć się jego pismem do fałszowania rzeczywistości?

- Czemu więc godzą się na współpracę? Dla pieniędzy?  
- Czasami, owszem. Ale zwykle sądzą po prostu, że robią grzeczność jakiemuś starzejącemu się konsultantowi, ofiarowując mu dwie strony na wyłuszczenie jego najnowszej teorii. Tak czy owak, coś trzeba drukować. A swoją drogą, jeśli dobrze się nad tym zastanowić, ścisła kontrola jakości nie wydaje się wcale bardziej niebezpieczna od downsizingu czy strategii JIT. Jeśli chodzi o teczkę Baldini - ciągnęła Thorsen - widzę dwa źródła odniesienia, które nadawałyby się równie dobrze: specjalistyczny magazyn pod tytułem „Institutional Investor” lub miesięczny dodatek do „Wall Street Journal” na temat funduszy inwestycyjnych. „Fortune” skierowany jest do zbyt szerokiej publiczności jak na początek.

- Poprawię teczkę pod tym kątem - zapewniłem. - Dziękuję za ten wykład, bardzo mi się przyda.

- Powinniśmy byli odbyć tę rozmowę pierwszego dnia — odparła łaskawie Lena. - Proszę chwilowo wyłączyć scenarzystę, który w panu siedzi, i myśleć jedynie w kategoriach ryzyka, pamiętając stale, że jakkolwiek by pan uważał, z pewnością zdarzy się panu popełnić błąd. Nasza praca zależy częściowo od tego, co irracjonalne, a także od szczęścia. Pewnego dnia stworzy pan postać urodzoną w małej miejscinie na samym krańcu szkockiego regionu Highlands. Pechowym zrządzeniem losu pańska opowieść wpadnie w ręce położnej, która przez trzydzieści lat pracowała we wspomnianym przez pana szpitalu, gdzie nabrała zwyczaju, aby zapisywać w notesiku nazwiska wszystkich dzieci, którym pomogła przyjść na świat. Spróbuje pan ratować, co się da, sugerując w kolejnym artykule, że okoliczności narodzin naszego wielkiego człowieka nadal owiane są pewną tajemnicą. Ale będzie już za późno...

- No właśnie, co należy zrobić w takiej sytuacji?

- Otóż nic. KFR jakoś się pozbiera po zdemaskowaniu legendy, to zdarzało się już wcześniej. Ale nie możemy pozwolić, żeby któregoś z naszych agentów złapano na gorącym uczynku. Przesłuchiwano by go, może nawet torturowano...

- Co pani opowiada?!

Thorsen nadała swoim słowom tak pompatyczny ton, że nie mogłem się powstrzymać od tego wykrzyknienia. Lena musiała

wyczuć, że żałuję wtrącenia się, bo wykorzystwała przewagę, kręcąc w nieskończoność głową, a następnie obdarzając mnie spojrzeniem weterana, który zamierza wytłumaczyć młodemu rekrutowi, że cierpienia doznane w bitewnym zgiełku wymykają się opisowi. Manewr ten odniósł zamierzony skutek, gdyż nagle poczułem się dogłębnie nieszczęśliwy.

- Wydaje mi się, że nie docenia pan lęku, jaki wzbudziłyby nasze poczynania, gdyby dowiedziały się o nich rządy niektórych państw. W wielu krajach tajne służby uznają fałszowanie rzeczywistości za najskuteczniejszą i najniebezpieczniejszą formę działalności wywrotowej. Jesteśmy w stanie wojny, Dartunghuver, uśpionej wojny, która nigdy nie wybuchnie oficjalnie, lecz nasi przeciwnicy mimo to strzelają prawdziwymi nabojami. Jak długo by pan milczał, gdyby wyrwali panu jeden paznokieć po drugim? Czy udałoby się panu dochować sekretu naszych oszustw, gdyby całe pańskie ciało razili prądem? Życzę panu, żeby nigdy nie wpadł w ręce naszych adwersarzy...

-To pierwsze miłe słowa, jakie padły z pani ust, jestem wzruszony - rzuciłem, uważając tę odpowiedź za inteligentną.

Uiorsen po raz kolejny posłała mi pełne litości spojrzenie, a jej riposta okazała się miazdząca:

- Nie myślałam wcale o panu, ale o setkach agentów, których mógłby pan pociągnąć za sobą. Niech pan ich, z łaski swojej, nie naraża na takie ryzyko. Proszę niczego nie fałszować osobiście, delegować zadania do profesjonalistów. A jeśli nie pozostanie panu nic innego jak tylko ubrudzić sobie ręce, niech pan korzysta przede wszystkim ze źródeł elektronicznych; w najgorszym razie poda się pan za jednego z tych hakerów, którzy zakładają się z kolegami, że uda im się włamać do komputerów Pentagonu. Źródła elektroniczne mają też inną zaletę: zależą od tylu czynników, że trudno wyizolować przyczynę konkretnego błędu. Czy mowa o zmienionej cyfrze, czy o dodatkowej linijce w raporcie - zrzuci się je na karb omyłki komputerowej i nikt nie będzie dalej dochodził, co się stało. Patrząc pod tym kątem, postęp działa na korzyść KFR-u, ale jednocześnie obliguje nas do modyfikowania stale rosnącej liczby źródeł.

Pamiętam, że nasza mnie w tamtym momencie refleksja, iż Lena Thorsen dogłębnie kocha swoją pracę. Możliwości oferowane przez nowe media prawdziwie ją ekscytowały. W przeciwieństwie do mnie, który ceniłem sobie przede wszystkim rozrywkowy aspekt tego zawodu, Thorsen nie bawiła się w żadne gierki. A jeśli już decydowała się na partyjkę, to z nieodwołalnym zamiarem wygrania jej, zawczasu przyznając sobie prawo do korzystania z wszelkich dostępnych środków. Odpowiedź, jakiej udzieliła na moje następne pytanie, potwierdziła słusność moich domysłów.

- Ponieśliśmy już jakieś straty? - rzuciłem. - To znaczy, nie wie pani może, czy policji albo kontrwywiadowi któregoś kraju udało się dotrzeć po nitce do kłębka, aż do nas?

- Nic mi o tym nie wiadomo, ale biorąc pod uwagę strukturę KFR-u, zdziwiłabym się, gdyby to się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Wiem, że jeden z moich poprzedników, Włoch, na początku lat osiemdziesiątych złożył wymówienie w dziwacznych okolicznościach. Dział nie chce mi opowiedzieć tej historii, ale ponieważ w tym samym czasie nastąpiło w Biurze poważne przetasowanie, podejrzewam, że pewnego dnia nieborak kiepsko zatarł za sobą ślady. Mnie coś podobnego w życiu się nie przytrafi. Dopóki zajmuję to stanowisko, nie pozwolę nikomu wywinąć takiego numeru.

Thorsen nie wyglądała wcale, jakby żartowała, więc z miejsca zacząłem współczuć nieszczęśnikowi, który stanie jej na drodze ku wyższym szczeblom w hierarchii KFR-u. Skąd mogłem wiedzieć, że tym nieszczęśnikiem będę ja?

Tygodnie upływały w szalonym tempie. Poprawiłem teczkę Franceski Baldini, która została następnie przeniesiona do biura w Waszyngtonie (Zdrowie i Medycyna). Moje relacje z Leną Thorsen nabrały pacyfistycznego zabarwienia, pozostały jednak czysto zawodowe. Rozumiałem teraz lepiej, czego może mnie nauczyć, zdawało się też, że ona ze swej strony postanowiła dać mi szansę, abym się wykazał. O nic więcej nie prosiłem.

Pracy nadal było dużo, ale w miarę jak nabywałem pewnych automatyzmów, lepiej organizowałem swój czas i zwykle mogłem wykroić dla siebie jakieś trzy wieczory tygodniowo. We wtorki grałem w piłkę nożną, a w czwartki chodziłem na kurs tanga z Mano-litą, pracownicą zaplecza administracyjnego, która oczarowała mnie wielkimi czarnymi oczyma. W zimie 1994 roku zajmowaliśmy się nawet czymś więcej, niż tylko tańczeniem tanga, ale żadne z nas nie było gotowe na pogłębienie tej relacji, więc na wiosnę zakończyliśmy ją za obopólną zgodą. Rok później Manolita zaręczyła się z agentem ubezpieczeniowym, takim prawdziwym.

Nie straciłem kontaktu z Islandią. Każdego miesiąca Gunnar telefonował do mnie do domu. Bardzo ceniłem sobie te rozmowy, na wpół prywatne, na wpół służbowe, podczas których Gunnar opowiadał mi kolejno o ostatnich misjach podjętych przez Baldura, Furusetę i Thorberga, o renowacji lodowiska w Reykjavíku i o rekrutacji - jak można się było spodziewać, udanej - zastępstwa za mnie. Byłem w Córdoba całkiem sam, z dala od przyjaciół, matki i siostry. Nie wiedziałem jeszcze o istnieniu poczty elektronicz-

nej, a minuta połączenia między Argentyną a Europą kosztowała ponad dwa dolary. Wierny Gunnar powoli stawał się, pomimo różnicy wieku, pomimo łączącej nas relacji zwierzchności, moim najlepszym przyjacielem i powiernikiem. Zachował szczególnie czuły stosunek do Leny Thorsen, a pewnie i do pozostałych jedenastu agentów, których wykształcił, mimo że Franca nie dała mu znaku życia od czasu wyjazdu z Islandii. Regularnie dowiadywał się też o stan zdrowia swojego przyjaciela Diaza, bo był zbyt dyskretny, aby wypytywać go osobiście. Ale przede wszystkim mówiliśmy o moich teczkach, o tych, które już napisałem, i o tych, które napiszę pewnego dnia, gdy już wydostanę się z czyścica (jak przezwałem Córdobę).

Zadzwoił do mnie pewnego październikowego wieczoru 1994 roku, kiedy oglądałem mecz piłki nożnej z udziałem drużyny Boca Juniors, ściskając w rękę piwo Quilmes. Z tonu jego głosu, jeszcze bardziej ożywionego niż zwykle, odgadłem od razu, że ma mi do zakomunikowania dobre nowiny.

- Serdeczne pozdrowienia z przysypanego śniegiem Reykjavíku - zaczął.

- Serdeczne pozdrowienia z nawiedzonej plagą moskitów Córdoby - odpowiedziałem natychmiast.

- Miał pan dobry tydzień, drogi chłopcze?

- Ot, rutyna: wczoraj wieczorem Lena doprowadziła swoją sekretarkę do płaczu, każąc jej przepisać trzydziestostronicowe pismo; mieliśmy szkolenie z tego nowego wymysłu, Internetu; poza tym mnóstwo roboty przy referendum o przyłączeniu Norwegii do Unii Europejskiej...

- Naprawdę, u was też? Ja w zeszłym miesiącu nadzorowałem przygotowanie dla Moskwy raportu o zagospodarowaniu rejonu Trondelag. Ciekaw jestem, co z nim zrobią. Ale zostawmy to. Mam panu ciekawsze rzeczy do przekazania.

- Zamieniam się w słuch.

- Nasze kontakty w ONZ-ecie donoszą, że Boutros-Ghali szykuje się, żeby zaprosić Johna Harbottle'a do wystąpienia przed Zgromadzeniem Ogólnym Organizacji Narodów Zjednoczonych.

- Niemożliwe! - wykrzyknąłem.

Hardbattle, syn buszmeńskiego farmera, w 1992 roku powołał do życia stowarzyszenie First People of the Kalahari, wykorzystując falę międzynarodowego oburzenia, jakie wzbudziła publikacja książki Gastona Chemineau, w której Francuz relacjonował wymuszenia botswańskiego rządu. Hardbattle, aktywnie wspierany przez brytyjską organizację Survival International, sterował swą łodzią pewnie i prosto do celu: w niespełna dwa lata udało mu się ograniczyć - choć nie zatrzymać - program wysiedlania. W następstwie jego działań zachodnie potęgi odkryły w sobie powszechną sympatię dla słabych i uciśnionych, do tego stopnia, że w grudniu 1993 roku ONZ ogłosiła lata 1995-2004 „międzynarodową dekadą ludności autochtonicznej”. Tamtego dnia mój przyjaciel Youssef zadzwonił z Kairu, aby przypomnieć mi dyskusję, którą odbyliśmy półtora roku wcześniej w Honolulu: moja teczka naprawdę zmieniała oblicze świata.

- Oczywiście Botswana agituje w swoich kręgach, żeby zapobiec zaproszeniu - podjął Gunnar - ale stary Boutros-Ghali jest uparty jak osioł i prawdopodobnie dopnie swego.

- To... Nie wiem, co powiedzieć...

- Proszę więc nic nie mówić i zadowolić się smakowaniem tej chwili. Pańska teczka ujrzała światło dzienne w najlepszym możliwym momencie, nadając formę temu, o czym wszyscy wiedzieli, ale o czym nikt nie miał odwagi powiedzieć na głos. Może pan być z siebie dumny, drogi chłopcze.

Bardziej nawet niż medialna popularność Johna Hardbattle'a upajało mnie poczucie, że moje dzieło wymknęło mi się z rąk i żyło odtąd własnym życiem. Naprawdę niewielu ludzi może się czymś takim pochwalić.

- Ale nie dzwonię wyłącznie po to, by wygłaszać mowy pochwalne na pańską cześć. W zeszłym tygodniu skontaktował się ze mną młody agent z Hamburga, Jürgen Dorfmeister. Chciałby dopisać do pańskiej teczki ciąg dalszy.

- Ciąg dalszy? - powtórzyłem podekscytowany do granic możliwości.  
- Ale to by znaczyło, że Buszmeni staną się...

- Sagą, tak. Nieźle jak na dwudziestosześcioletniego podrostka. W żargonie KFR-u saga to historia, którą podtrzymuje się i przedłuża za pomocą regularnie powstających teczek. Okoliczności



śmierci papieża Jana Pawła I czy kosmici z Roswell to przykłady sag, które scenarzyści z KFR-u okresowo rozwijają. Niektóre rozciągają się na tak długie okresy, że ich twórcy samodzielnie szkolą swoich następców. Pomysłodawca Roswell, ponad siedemdziesięcioletni Kanadyjczyk, już przygotował wytyczne do odcinków na najbliższe dwadzieścia lat. Spisał je w liście przechowywanym obecnie w sejfie Planu w Toronto. Nie znałem żadnego młodego agenta, który nie marzyłby o stworzeniu sagi. Do tej pory pokładałem nadzieje raczej w **Bettlerkónigu**. Teraz mogłem śnić o pobiciu rekordu Węgra nazwiskiem Bebeth, który wydał na świat trzy sagi przed ukończeniem trzydziestego czwartego roku życia.

- Dobrze znam opiekuna prowadzącego Jurgena - ciągnął Gunnar - który nalegał, żeby Dorfmeister przedłożył mi projekt scenariusza. Bardzo chciałbym poznać pańskie zdanie.

- Niech pan mówi. Ciekaw jestem, co wymyślił.

- Zamierza skupić się na skarbie Maraço. Na pewno pan sobie przypomina, że plemię Morafe odkryło złożę ogromnych diamentów o niezwyklej czystości. Ich wódz, Maraço, przekazał kilka z nich Nigelowi Maertensowi, aby ten je sprzedał, a zyski przeznaczył na sfinansowanie międzynarodowej kampanii społecznej. Po zniknięciu Maertensa Maraço popadł w paranoję, lecz mimo to pokazał kilka kamieni Chemineau, który je sfotografował.

- Pamiętam tę historię tak samo dobrze jak i pan, Gunnarze. Razem ją napisaliśmy.

- Dobrze, tak czy inaczej, można się zastanawiać, co się z tymi diamentami stało. Jurgen chciałby sfabrykować nowe źródło, które potwierdzi opowieść Chemineau, a także podekscytuje poszukiwaczy skarbów i innych awanturników. Mówi, że w Ameryce istnieją firmy, które specjalizują się w odzyskiwaniu skarbów i wyławianiu wraków. Botswański rząd z pewnością nie byłby zachwycony, widząc tych ludzi lądujących na Kalahari. Może nawet zaproponuje Buszmenom współpracę przy wydobywaniu diamentów w nadziei, że plemiona wyjawią wówczas lokalizację sekretnych złóż.

- Moglibyśmy swoją drogą podsunąć ten pomysł ze wspólnym wydobywaniem Survival International - rzuciłem z namysłem.

- Sam kontekst antropologiczny nie wystarczy, myślę, że przeniesienie debaty na grunt ekonomiczny leży w naszym najlepszym interesie.

- Właśnie to sugeruje Jurgen - odrzekł Gunnar. - Już samo słowo „skarb” przypomni społeczności międzynarodowej, że w wysiedlaniu Buszmenów chodzi tak naprawdę o grubą kasę.

- No cóż, sądzę, że coś z tego może być. Niech pan mu powie, że uważam jego pomysł za wyśmienity, o ile oczywiście potrzebuje mojej aprobaty.

- Jest pan pewien, że nie ma nic przeciwko temu, że inny agent wprasza się do pańskiego projektu? - spytał Gunnar. - Niektórzy scenarzyści są na tym punkcie bardziej przewrażliwieni.

- Wręcz przeciwnie, traktuję to jako wyraz uznania dla mojej pracy. Niech zresztą bez wahania do mnie dzwoni, jeśli na czymś utknie - powiedziałem, mając nadzieję, że Gunnar weźmie mnie za słowo.

- Na pewno mu przekażę. Proszę na siebie uważać, drogi chłopcze.

Pod koniec roku 1994 zacząłem planować wyprawę do Patagonii. Lena Thorsen unicestwiła moje nadzieje na otrzymanie miesięcznego urlopu i łaskawie przyznała mi dwa tygodnie wolnego „w martwym okresie” (była jedyną osobą, która uważała, że biznesem falsyfikatorskim rządzi jakaś sezonowość). Uzgodniliśmy, że spotkamy się z Youssefem i Magą w Córdoba, skąd wspólnie wyruszymy do Ushuai, gdzie będzie czekał na nas przewodnik. Mogłem zdecydować się na gotową wycieczkę, lecz zamiast tego pograżyłem się w lekturze atlasów i dzienników z podróży, aby zmapstrować szyty na miarę plan wędrówki, którego kopie wysłałem przyjaciołom. Youssef zadzwonił do mnie wkrótce potem ze stacji w Ho Chi Minhie (Zasoby Naturalne), gdzie dopiero co objął nowe stanowisko w Banku Światowym. Przejście do prawdziwego powodu stojącego za tym telefonem zajęło mu kilka minut.

- Dostałem trasę podróży. Rzekłbym, że naprawdę się przyłożyłeś.

- Mam nadzieję, że jesteś w formie - odparłem. - To będzie wymagające.

-Jeśli dobrze rozumiem, na początku spędzimy dwa dni w Cór-dobie. Gdzie się zatrzymamy?

- U mnie, rzecz jasna! Nie chcesz chyba mieszkać w hotelu?

- Myślałem, że masz tylko kawalerkę. Nie będziemy chyba wszyscy spać w jednym pokoju? - spytał Youssef bardzo zawstydzony.

A więc o to chodziło: nie chciał spać obok kobiety, nawet jeśli była jego najlepszą przyjaciółką.

- Ależ skąd - uspokoiłem go. - Mam dwie sypialnie. Ty zajmiesz moją, a Maga gościnną. Ja się przekimam na kanapie w salonie.

Usłyszałem, jak na drugim końcu linii Youssef się odpręży.

- Zostaniesz w swoim pokoju, a ja pójdę do salonu. Tak, tak, nalegam. I wiesz, tak tylko spytałem. Nie ma powodu, żeby wspominać o tym Madze.

- Przecież mnie znasz - rzuciłem, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. - Jestem dyplomatą na miarę rzecznika prasowego Banku Światowego. A skoro o tym mowa, jak tam w nowym miejscu?

Wyczułem, że na nowo się spiął.

- Dobrze, dobrze. Obowiązki służbowe dla Banku Światowego nie zajmują mi wiele czasu, a Ho Chi Minh jest... pasjonujące, z braku lepszego słowa.

- Pracujesz teraz nad jakąś teczką? - zapytałem, przeczuwając, że jego niepokój nie wiąże się z oficjalnie pełnioną funkcją ani sytuacją mieszkaniową.

Youssef wahał się kilka sekund, zanim odpowiedział:

- Nie. Chociaż właściwie tak. Nie nad teczką, ściśle rzecz biorąc. Nazywa się to inicjatywą.

Inicjatywą? Gunnar wspominał mi kiedyś o tych zbiorowych projektach o szerokim zasięgu, których czas powstawania mierzyło się w latach, a nawet dekadach. Youssef był pierwszą znaną mi osobą, która brała udział w inicjatywie. Poczulem ukłucie zazdrości.

- Naprawdę? - drążyłem. - A czego dotyczy?

- Ropy. Tylko zachowaj to dla siebie: zamierzamy, jeśli się uda, znacznie podnieść ceny ropy nierafinowanej.

- Co? - zawołałem. - Przecież to szaleństwo! Masz pojęcie, iloma setkami miliardów dolarów obraca rokrocznie przemysł naf-

towy? Szanse powodzenia macie prawie tak niewielkie jak flotylla kaczek usiłująca zawrócić parostatek.

- Cóż, początkowo też tak sądziłem, ale teraz nie jestem już taki pewien. Przyjrzyj się wahaniom kursu baryłki w ciągu ostatnich trzydziestu lat, a zrozumiesz, że cena ropy nie jest uzależniona wyłącznie od zmian na polu gospodarczym.

- Wszyscy to wiedzą - odrzekłem. - Odzwierciedla też sytuację geopolityczną.

- Między innymi. Na przykład, kiedy w siedemdziesiątym trzecim roku OPEC zdecydował w trybie jednostronnym o poczwórnym wzroście ceny za baryłkę, odwzorował jedynie nowy stosunek sił między krajami produkującymi ropę a wielkimi potęgami Zachodu. Podobnie stało się w roku dziewięćdziesiątym, gdy Saddam Husajn zajął Kuwejt: inwestorzy, którzy obawiali się spowolnienia produkcji, sprawili, że kurs znowu znacznie wzrósł. To właśnie próbuję ci powiedzieć: zjawiska psychologiczne odgrywają istotną rolę w ustanawianiu cen ropy, a podejrzewam, że to samo można by powiedzieć także o innych zasobach naturalnych.

- A kto lepiej manipuluje niczego nieświadomą zbiorowością niż KFR? - uzupełniłem. - Masz rację, może to jednak da się zrobić. Ale po kiego diabła brać się za ropę? I po co zawyżać ceny?

- Na tym właśnie polega mój problem. Zadałem to pytanie, ale w odpowiedzi usłyszałem, że nie muszę tego wiedzieć, żeby wykonywać swoje obowiązki.

- Zasada *need-to-know*, zawsze i wszędzie... - rzuciłem, czyniąc aluzję do fundamentalnej reguły narzucanej agentom tajnych służb na całym świecie, rzekomo dla ich własnego bezpieczeństwa. Jeśli jeden z nich zostanie schwytyany, nawet tortury nie zmuszą go do wyjawienia tego, czego nie wie.

- Niech sobie to nazywają, jak im się podoba - oburzał się Youssef-aleja nie zamierzam poświęcać dwóch lat swojego życia na projekt, którego celów nie znam, nie mogę więc mieć pewności, czyje popieram.

- Powinieneś był sobie to przemyśleć, zanim przystąpiłeś do organizacji, stary - odparłem. - Zresztą, gdzie tu problem? Wszyscy wiedzą, że rezerwy ropy nie są niewyczerpane. A zatem, jeżeli kurs

wzrośnie, kraje przemysłowe zaczną z większą uwagą kontrolować zużycie. To chyba raczej pozytywny wynik, co?

— To nie takie proste — jęknął Youssef. - Wierz mi, analizowałem ten problem na wszystkie strony, lecz wciąż wahałbym się przed wydaniem ostatecznego wyroku. Weź na przykład taki kraj jak Indie, które importują dwie trzecie zużywanej przez siebie energii: każdy wzrost ceny za baryłkę, choćby o jednego dolara, zmniejsza ich szanse na rozwinięcie własnego przemysłu. Czy tego właśnie chcemy: odebrać miliardowi Hindusów możliwość korzystania z dobrodziejstw postępu? I po co to wszystko? Żeby brunejski sułtan mógł odnowić wszystkie osiemdziesiąt łazienek w swoim pałacu i zafundować sobie najnowszy myśliwiec od McDonnella Douglasa? Znasz mnie, Sliv - mówił dalej Youssef. - Nie uważam wcale, że pozjadałem wszystkie rozumy. Poznałem koordynatora inicjatywy. To Rosjanin, ledwie ode mnie starszy, ale naprawdę łebski. Na pewno ma doskonałe powody, żeby planować wzrost cen ropy. Gdyby tylko zechciał się nimi ze mną podzielić...

Naszła mnie pokusa, żeby uraczyć go ciętym komentarzem, w którym wypomniałbym mu, że spośród moich przyjaciół to właśnie on największej ilości rzeczy może być pewien. Ale Youssef potrzebował wsparcia, nie sarkazmu.

- Porozmawiamy o tym znowu w Patagonii - obiecałem. - Skrobnę w tej sprawie do Gunnara, może dojdą go jakieś słuchy. A tymczasem trzymaj się tam. Sam też rozważę temat. Skoro oni znaleźli jakiś motyw, to nam również powinno udać się go odkryć. W końcu należymy do jednej i tej samej organizacji, prawda?

Ale jak powiedziała Youssef, to wcale nie było takie proste.

Samolot z chilijskiego Santiago z Youssefem i Magawati na pokładzie spóźniał się dobre trzy godziny. I pomyśleć tylko, że spieszyłem się, żeby wyekspediować stertę pilnych teczek przed wyjazdem na wakacje... Przez cały tydzień usiłowałem udowodnić Lenie Thorsen, że biuro z powodzeniem obejdzie się beze mnie przez dwa tygodnie, a ona każdego dnia kładła mi na biurku nowe projekty, udając, że zapomniała, iż z uwagi na nieobecność nie będę mógł się nimi zająć. Syknęła pogardliwie, widząc, jak wymykam się wczesnym popołudniem, podejrzewałem więc, że w chwili obecnej zajmuje ją ni mniej, ni więcej, jak tylko dopracowywanie planów zemsty.

Usadawiłem się w jedynej kawiarni hali przylotów lotniska w Córdobie, spelunce, która aspirowała do miana pubu, sprzedając guinnessa po cenach, na jakie mogli sobie pozwolić wyłącznie amerykańscy turyści. Tak naprawdę wcale mi nie przeszkadzało, że mam trochę czasu na zapoznanie się z lokalną prasą. Nigdy nie wpadało mi do głowy tyle pomysłów na scenariusze, co podczas kartkowania takich tytułów jak „Gente” („magazyn o gwiazdach i innych atrakcyjnych ludziach”), „Pescar” („przegląd dla miłośników wędkarstwa”) czy „Grill” („numer specjalny: 101 sposobów na przygotowanie steku”). No i jak tu nie czuć ogromnego zawodowego szacunku dla dziennikarzy, którzy są w stanie co tydzień zapełnić trzy gazety poświęcone w całości klubom Belgrano i Talleres, dwóm pochodzącym z Córdoby drużynom futbolowym, które w zeszłym roku po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat razem awansowały do *primera division*.

Z głośników oznajmiono wreszcie lądowanie lotu czterdzieści pięć linii Aerolineas z Santiago. Setki osób pospieszyły cisnąć się przy barierkach, ja zaś rozsądnie postanowiłem trzymać się z tyłu. W końcu nie groziło mi, że przegapię Youssefa i jego dwa metry wzrostu. A poza tym nie skończyłem jeszcze długiej rozprawy na temat długości kolców w korkach, w które należałoby obuć zawodników Belgrano w przyszłą sobotę, na czas ich niebezpiecznej wyprawy do Rosario. Dziewięć czy dwanaście milimetrów - autor artykułu nie śmiał ostatecznie rozstrzygnąć tego dylematu.

To Magawati wypatrzyła mnie pierwsza. Zamknęła mnie w uścisku i cmoknęła w policzek, raz, po amerykańsku. Jeśli chodzi o Youssefa, wkrótce pojąłem, dlaczego go nie zauważyłem: niemal całkowicie tonął pod stertą plecaków, namiotów oraz śpiworów, które taszczył na ramionach.

- A ty bez bagażu, Maga? - spytałem. - Czy też mam rozumieć, że Kili to prawdziwy džentelmen?

- Chciałeś powiedzieć: prawdziwy frajer - poprawił zrzędlawie Youssef, a następnie rzucił na podłogę wszystkie swoje ciężary i przygarnął mnie do siebie. Poczuję się, jakbym tulił menhir.

- Pewnie jesteście wykończeni - domyśliłem się, dostrzegając ciemne kręgi pod ich oczami.

- No co ty? - ziewnęła Magawati. - Zastanawiam się, kiedy linie lotnicze łaskawie otworzą bezpośrednie połączenie między Dżakartą a Córdoba.

- Albo chociaż postanowią, że na jedną podróż mogą przypadać maksymalnie trzy międzylądowania - dodał rozsądniej Youssef, który usiłował odkleić niezliczone etykiety zdobiące jego plecak.

- Przynajmniej nie zgubili waszych bagaży - pocieszyłem ich, zgarniając namiot i śpiwory. - Chodźcie za mną, złapiemy taksówkę. A właśnie, Maga, nigdy nie zgadniesz, nad czym pracowałem dziś po południu. Nad dalszym ciągiem galosza!

- Poważnie? Wiedziałaś, że powstaje, ale nie spodziewałam się, że wyląduje u ciebie na biurku. Tak szczerze, jest to coś warte?

- Powiem ci, że wydało mi się całkiem niezłe. Wygląda na to, że galosz na dobre wymarł w Europie. Ale nadzieja płynie skądinąd: odkryto bardzo podobny gatunek na Południowym Pacyfiku.

Autor mnoży przypuszczenia: co ryba z rodziny makrełowatych robi w ciepłych wodach i co najważniejsze, w jaki sposób galosz pokonał tak wielką odległość? Czy gatunek zmutował?

- Podoba mi się ten pomysł z mutacją - skomentowała radośnie Magawati. — Otwiera drogę najróżniejszym ekstrawagancjom. Ha, sama napisałabym ciąg dalszy!

Czekałem, aż Youssef zgani Magawati za to beztroskie podejście, lecz ten zdążył już zasnąć na tylnym siedzeniu taksówki. Obudził się jedynie na czas potrzebny na dowleczenie się do mojego łóżka, na które zwał się w pełni ubrany. Kusilo mnie, żeby położyć Magę obok niego, tylko po to, by zobaczyć, jaką minę zrobi po przebudzeniu.

Planowałem oprowadzić przyjaciół po Córdobie, bo nasz samolot startował dopiero w niedzielę rano. Ale kiedy koło południa Youssef i Maga wyłonili się ze swoich pokoi, zamiast na zwiedzanie, wybraliśmy się na rundkę po sklepach, uzupełniając ekwipunek poszukiwaczy przygód.

Już w chwili, gdy samolot zaczął zniżać się do lądowania w Ushuai, wiedziałem, że czeka nas niezwykle doświadczenie. Właściwie, patrząc z perspektywy czasu, mogę chyba powiedzieć, że nigdy nie odbyłem piękniejszej podróży niż tamta dwutygodniowa wędrówka przez Patagonię. Jeśli Patagonia i Ziemia Ognista fascynowały tak wielu słynnych odkrywców (Magellana, Drake'a, Darwina. ..), to dlatego, że obie stanowią prawdziwe marzenie geografów, swego rodzaju wysmagane wichrami laboratorium, w którym natura eksperymentuje z najbardziej nieoczekiwanymi połączeniami (morze i góry, fiordy i las, wulkany i lodowce, pumy, pingwiny i flamingi różowe). Człowiek na darmo stara się zostawić w Patagonii swój ślad. Cieśniny Magellana, która łączy Atlantyk z Pacyfikiem i zawdzięcza swą nazwę portugalskiemu żeglarzowi, który przebył ją jako pierwszy w 1520 roku, nie używa się od czasu otwarcia Kanału Panamskiego. Z pięcioletniej podróży Darwina na pokładzie statku „Beagle” też częściej pamięta się obserwacje wielkiego badacza na temat żółwi z Galapagos niż jego pobyt na Ziemi Ognistej w 1832 roku. W ludzkiej pamięci niezmiennie trwa jedynie nadana przez Indian Yamana nazwa Ushuaia, niewątpliwie dlatego, że naj-



dalej na południe wysunięte miasto świata dba, aby nie pozbawiano go należnego mu tytułu.

Pierwszego dnia wyjaśniłem przyjaciołom, że słowo Patagonia oznacza „wielkie stopy”, legenda podaje bowiem, że Magellan napotkał tu plemię olbrzymów. Jeden z jego towarzyszy, Pigafetta, opisał w swoich dziennikach z podróży „ludzi tak wysokich, że sam sięgał im ledwie do pasa”! Ponieważ Ferdynand Cortez (hiszpański konkwistador, któremu mój przyjaciel Fernando de la Peña odmówił łaski chrztu świętego) doniósł, że i on w tym czasie widział gdzieś w Andach olbrzymów, Europejczycy przez dwa stulecia żyli w przekonaniu, iż Patagonię zaludniają giganci. Dopiero w XVIII wieku brytyjscy odkrywcy o prawdziwie kartezyjskim podejściu dokładnie zmierzili rzeczonych gigantów i odkryli, że ich wzrost waha się w okolicach dwóch metrów. Na „wielkie stopy” pasowały buty w rozmiarze czterdzieści sześć, ale nie większe. Nikt nie zasugerował jednak, żeby Patagonię przechrzcie.

Dziś terytorium wielkości całej Skandynawii zamieszkują dwa miliony ludzi. Gospodarka opiera się przede wszystkim na hodowli zwierząt i na wykorzystywaniu zasobów naturalnych: drewna, rud żelaza... oraz ropy. Nasz przewodnik, trochę nieokrzesany, acz czarujący chłopak imieniem Felipe, powiedział, że jego wuj posiada złożę ropy, ale czeka z wierceniem, aż wzrosną jej ceny na światowym rynku. „Przy obecnym kursie” - wyjaśnił - „nie byłoby to opłacalne”. Biedak nie spodziewał się z pewnością lawiny pytań, która nastąpiła po tej uwadze. I choć Youssef zrzucił swą ciekawość na karb pełnionej przez siebie funkcji w Banku Światowym, widziałem, że Felipe uznał jego zainteresowanie za nieco przesadne.

Starłem się możliwie jak najbardziej ograniczyć liczbę przejazdów autobusami, lecz były one niezbędne, jeśli chcieliśmy w ciągu dwóch tygodni zaliczyć najważniejsze punkty. Wylądowaliśmy w Ushuai, skąd wyprawiliśmy się do Chile, gdzie leży Cieśnina Magellana, a potem znów przekroczyliśmy granicę argentyńską. Zwykle maszerowaliśmy przez siedem czy osiem godzin dziennie, ale bez plecaków i sprzętu biwakowego, które wieczorami dostarczał nam do obozowiska pracownik biura podróży. O zmroku, podczas gdy my stawialiśmy namioty (ja dzieliłem jeden z Youssefem, a Fe-

lipę i Magawati spali każde w osobnym), nasz przewodnik rozpałał ogień i przygotowywał kolację, nieodmiennie złożoną ze steku, choć codziennie przyrządzonego według innego przepisu (można by pomyśleć, że czytał specjalny numer „Grilla”).

Nadnaturalne piękno krajobrazów nieustannie skłaniało do cichej refleksji, a jednak zachowałem z tej podróży wspomnienie nieprzerwanych dyskusji, które rozpoczynały się rankiem na ścieżkach, trwały w najlepsze wokół ogniska i które ciągnęliśmy z Youssefem we dwóch, leżąc w śpiworach, chyba że Magawati ze swojego namiotu przyłączała się do konwersacji.

Zdawało się, że mówienie nigdy Magawati nie męczy. Potrafiła, podążając za jakimś ciągiem myślowym, nieoczekiwanie zmienić temat i nieraz dziwnym trafem zbliżała się w ten sposób do sedna sprawy. Zdarzało się, że w jednej chwili opowiadała mi o najnowszym hicie w indonezyjskich kinach, a w następnej pytała, czy nie odnoszę wrażenia, że czerpię od KFR-u więcej, niż organizacja zyskuje dzięki mojej pracy. Miała też niezwykle talent do odszyfrowywania reakcji rozmówcy i na ich podstawie sterowała rozmową, jak wtedy kiedy spytała mnie, co sądzę o Lenie Thorsen pod względem zawodowym, moralnym i estetycznym (przez chwilę sądziłem, że dorzuci do tego взгляд „proporcjonalny”), i z okrucieństwem przyglądała się, jak wylałam się w niepotrzebnie skomplikowaną odpowiedź; kiedy zamilkłam, rzuciła drwiąco: „Krótko mówiąc, nie wyrobiłeś sobie jeszcze opinii. No ale przecież znasz ją dopiero od roku”. Magawati o niczym nie zapomniała, niczego nie odpuszczała i chociaż nie uważam, by jakoś szczególnie brakowało mi lotności, raz za razem zaskakiwała mnie bystrością jej umysłu oraz umiejętnością trafnego ripostowania. Dwojakie tło kulturowe - indonezyjskie i amerykańskie - pozwalało jej dyskutować bez przeszkód i bez uprzedzeń na niemal każdy temat, podczas gdy taki na przykład Youssef jasno dawał wyraz ograniczeniom swojej edukacji. Tolerancja Kiliego wynikała z pobudek filozoficznych, Madze zaś przychodziła w sposób naturalny, jak zdarza się to jedynie tym, którzy podczas swych podróży poznali wiele różnych kultur albo jeszcze lepiej - w wielu różnych kulturach wzrastali.

Uporczywość, z jaką Magawati usiłowała ze mnie wyciągnąć strzępki informacji na temat mojego życia osobistego, z począt-

ku sprawiała, że czułem się nieswojo. Bez końca wypytywała mnie o ojca, który zmarł na błyskawicznie postępującego raka mózgu, gdy miałem jedenaście lat. Czy wiedział, że umiera? Czy poruszył ze mną kwestię swego odejścia? Czy potrafię powiedzieć, co zdażył mi przekazać? Ta ciekawość - którą Youssef nazywał bezwstydną - w rozumieniu Magi współgrała z koncepcją przyjaźni. Sondowała moją duszę ot tak, bez przesadnej wzniosłości, ale i bez ostrożności, jakby zamierzała mi powiedzieć: „Jeśli chcesz, żebym była twoją przyjaciółką, musisz mi pozwolić na zgłębienie twojego serca i umysłu”. Ostatecznie podzieliłem się więc z Magą rzeczami, o których nigdy nikomu nie mówiłem albo których samodzielne odkrycie zajęłoby mi jeszcze parę lat. Nigdy nie sądziłem, że mogę obdarzyć takim zaufaniem osobę, w której towarzystwie spędziłem na dobrej sprawie ledwie kilkadziesiąt godzin. Gunnar posiadał podobny dar, choć różnica wieku oraz zajmowanych w konsorcjum pozycji *de facto* uniemożliwiała nam poruszanie niektórych tematów.

Ja nie miałem takiego talentu do zadawania pytań, lecz Maga mimo to zaszczyliła mnie kilkoma zwierzeniami. KFR męczył ją, żeby wróciła na studia do Stanów Zjednoczonych i zrobiła dyplom magisterski z biznesu. Ekonomia i życie spółek stanowią, rzecz jasna, kuszącą domenę dla fałszerzy, ale niewielu jest agentów, którzy opanowali logikę i mechanizmy działania świata biznesu w stopniu wystarczającym, aby móc odcisnąć na nim wyraźny ślad. KFR, który rekrutował głównie młodych agentów, nie miał innego wyjścia, jak tylko ich doksztalcać, nie żałując zresztą środków. Magawati zdradziła mi, że nie przeszkadzałoby jej spędzenie dwóch lat na Harvardzie czy Stanfordzie, ale żywiła obawę, iż później musiałyby ograniczyć się do teczek z dziedziny ekonomii, podczas gdy znacznie bardziej interesowały ją tematy społeczne. Wyznała także, że boli ją to, że nie wolno jej omawiać swojej tajnej działalności z niewtajemniczonymi przyjaciółmi. Rozumiała oczywiście, czemu musimy trzymać ją w sekrecie, ale to wcale nie czyniło sytuacji znośniejszą. „Kiedy Djibo zachęcał nas do dzielenia się doświadczeniami, powinien był raczej oznajmić, że od tej pory nie wolno nam się przyjaźnić z nikim spoza KFR-u. Wtedy przynajmniej przedstawiłby sprawę uczciwie” - oświadczyła któregoś dnia.

Rozmowy z Youssefem w niczym nie przypominały tych z Magawati. Youssef otwarcie gardził czczymi pogaduszkami nazywanymi przez Anglosasów *smali talkiem*. Wolał tematy poważne, a nawet doniosłe, a szczególną tkliwością darzył dylematy moralne, o których potrafił rozprawiać w nieskończoność; bo chociaż poglądy miał jasne, myśli wyrażał powoli, starannie ważąc każde słowo, każdy argument ozdabiając licznymi przykładami. Mógłbym go słuchać godzinami. Jego wyczerpujące wykłady, tak doskonale konsekwentne, dodawały mi pewności. Ucieszyłaby mnie wiadomość, że nad wielkimi problemami tego świata rozważają mędrcy pokroju Youssefa, a jeszcze większą radość sprawiłoby mi uzyskanie przekonania, że nigdy nie zadowolą się oni uproszczonymi rozwiązaniami. Maga nieraz wykazywała się mniejszą cierpliwością. Kiedy uznawała, że Youssef rozwodzi się nad czymś dłużej, niż nakazywałby rozsądek, naciskała go, by się pospieszył, zwykle osiągając wręcz przeciwny efekt. „A cóż miałyby być bardziej nagłą sprawą niż ustalenie sprawiedliwego poziomu zadłużenia krajów Trzeciego Świata?” - spytał Magę z odrobiną irytacji owego wieczoru, kiedy mówiliśmy o długach umorzonych niedawno przez Bank Światowy. „Przesunięcie mojego namiotu” - odparła, obdarzając go promiennym uśmiechem. „Do śpiwora wprowadziła mi się kolonia mrówek”.

Tych dwoje chętnie się przekomarzało, ale zacząłem podejrzewać, że rodzi się między nimi jakieś głębsze uczucie. Począwszy od epizodu na lotnisku, zauważyłem, że Youssef drobnymi gestami daje wyraz troski o Magawati. Rozstawiał jej namiot, nosił torbę, a rano parzył dla niej kawę. Maga nie nadużywała okazywanych jej względów, ale też nie robiła nic, by Youssefa zniechęcić. I jeśli wspomniałem, że czasem mu przerywała, to jednak powstrzymywała się przed tym zawsze, kiedy opowiadał o sobie. W takich wypadkach słuchała go z jeszcze większą uwagą niż mnie. Innym wiele mówiącym znakiem był fakt, że przestała mu dokuczać na temat islamu, dochodząc niewątpliwie do wniosku, że gnębienie go tak delikatną w jego oczach kwestią nie przyniesie nic dobrego. Moje domysły zmieniły się w pewność, gdy któregoś wieczoru, podczas rozmowy o największych cudach świata, Magawati opisała swoje zdumienie na widok kamiennych kolosów z Abu Simbel.

- Kiedy byłaś w Egipcie? - zapytałem.
  - Och, w zeszłym roku - odrzekła, czerwieniąc się. Youssef wstał nagle, żeby zająć się ogniskiem, choć wcale nie było takiej potrzeby.
  - Z Kilim? - naciskałem, zdecydowany wykorzystać swoją przewagę.
  - No oczywiście - rzuciła Maga. - Z kim innym?
  - Musiałem odwiedzić pewne przedsiębiorstwo rolne nad brzegiem jeziora Namera, w interesach Banku. Stamtąd to już tylko godzina jazdy autobusem - uzupełnił Youssef, jakbym naprawdę dbał o odtworzenie trasy jego podróży z Kairu. Dużo bardziej ciekawiło mnie, jak Magawati dostała się do Egiptu z Dżakarty.
  - Rozumiem - odparłem, udając, że analizuję implikacje tej informacji.
  - Nic nie rozumiesz, wścibski wstręciuchu - odparowała Maga z enigmatycznym uśmiechem, który sprawił, że zacząłem się zastanawiać, czy nie popełniła początkowego lapsusu celowo.
- Widziałem też wyraźnie, że Youssef nie jest tak odprężony, jak być powinien. Jego teczka na temat Karigasniemi, owego fińskiego lasu, który rzekomo posiadał niezwykle właściwości ekologiczne, odniosła zasłużony sukces. Dwa lata temu sto tysięcy demonstrantów przeszło ulicami Helsinek, żądając anulowania przyznanego przedsiębiorstwu papierniczemu pozwolenia na wycinkę. Cel osiągnęli. Opromieniony blaskiem tego osiągnięcia Youssef stworzył dwa kolejne, bardziej osobiste scenariusze, jeden dotyczący organizmów modyfikowanych genetycznie, który to temat dobrze znał z uwagi na pełnione w Banku Światowym obowiązki, a drugi traktujący o *Baśniach z tysiąca i jednej nocy*. Równie szybko piął się po szczeblach kariery w Banku Światowym i wyznał mi, że nie całkiem odrzucił możliwość faktycznego podążenia tą ścieżką zawodową. Chwilowo nie zamykał sobie żadnych drzwi, a gdy nadejdzie właściwy moment, zamierzał podjąć decyzję w oparciu o to, gdzie będzie mógł najbardziej się przydać.
- Podejrzywałem, że powodem udręki Youssefa jest sławna Inicjatywa w sprawie Ropy. Sam zainteresowany nie wprost potwierdził to przypuszczenie, kiedy pewnego wieczoru, po tym, jak Felipe położył się spać, spytał nas o zdanie.

- W kwestii sposobów działania mamy wolną rękę, ceny ropy powinny wzrosnąć w ciągu trzech do pięciu lat, to jedyna wytyczna - wyjaśnił opatulony w swój śpiwór, z filiżanką parującej herbaty w dłoni. - Szacuję, że nad projektem pracuje kilkudziesięciu, jeśli nie stu agentów i już wydaliśmy parę milionów dolarów.

- Przypomnij nam podstawowe dane - poprosiłem, bardziej z uwagi na Magę niż na siebie.

- To niezwykle skomplikowany temat - westchnął Youssef. - W ciągu niespełna wieku ropa stała się najważniejszym światowym źródłem energii. Zaspokaja około czterdziestu pięciu procent potrzeb całej planety. Głównymi importerami są Stany Zjednoczone, Japonia i, ogólnie rzecz biorąc, duże kraje przemysłowe. Główni producenci to państwa Bliskiego Wschodu, przede wszystkim Arabia Saudyjska, a także Rosja, Norwegia, Wielka Brytania, Meksyk i Wenezuela. W przeszłości wielkie potęgi, szczególnie Stany Zjednoczone, zawierały z krajami produkującymi porozumienia, dzięki którym za drobną opłatą zyskiwały prawo do poszukiwania i wydobywania ropy na ich terenie. W latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku najwięksi producenci zorganizowali się w kartel z nadzieją, że uda im się w ten sposób uzyskać od firm paliwowych lepsze warunki. Swój cel osiągnęli w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim, kiedy czterokrotnie podnieśli cenę za baryłkę.

Jakież to dla niego typowe, pomyślałem. Ani jednego zbędnego słówka i ton profesora uniwersyteckiego.

- Jak wszystkie rynki, także rynek paliwowy podlega prawom popytu i podaży. Popyt w ogromnej mierze zależy od aktywności gospodarczej: w okresie światowego rozkwitu zużywa się więcej ropy, co powoduje wzrost cen. Jeśli chodzi o podaż, sprawa jest bardziej złożona. Kraje produkujące ropę posiadają pod ziemią olbrzymie rezerwy, ale wydobywają tylko tyle, ile wiedzą, że uda im się sprzedać, i to w miarę możliwości po dobrych cenach. W tym właśnie celu powołano do życia OPEC: jego członkowie umawiają się między sobą, aby nie wyprodukować zbyt dużo i by utrzymywać napięcie na akceptowalnym poziomie. Oczywiście to ostatnie pojęcie jest bardzo subiektywne: Arabia Saudyjska mogłaby na przykład zmniejszyć produkcję i uzyskać wzrost cen za baryłkę,

przynajmniej tymczasowo; ale ryzykowałyby zirytowaniem swoich amerykańskich przyjaciół, którzy nieoficjalnie gwarantują jej ochronę militarną.

Sprawy zaczęły się dla kartelu pogarszać, kiedy jego członkowie podzielili się w kwestii stanowiska, jakie należy zająć wobec inwazji Iraku na Kuwejt i wojny w Zatoce, która wybuchła w jej następstwie. W tym samym czasie inne państwa, niebędące członkami organizacji, gwałtownie zwiększyły produkcję. Paru wolnych strzelców wystarczyło, by nadszarpnąć pozycję OPEC, a w ostatnich latach cena za baryłkę znowu spadła, wahając się między dziesięć a piętnaście dolarów.

- Mówisz o równowadze popytu i podaży w chwili obecnej - wtrąciłem - ale nie możemy zapominać, że zasoby ropy nie są niewyczerpane.

- Właśnie do tego zmierzałem - odrzekł Youssef. - Fakt ten istotnie komplikuje sytuację. W siedemdziesiątym pierwszym roku amerykański geofizyk nazwiskiem Hubbert oszacował, że światowa produkcja osiągnie punkt kulminacyjny w roku dwutysięcznym, innymi słowy, że od tego momentu każdego roku będziemy wydobywać więcej ropy, niż jej znajdować. Trudno podważyć teorię Hubberta, ale ponieważ koncerny paliwowe wciąż odkrywały nowe złoża, milenijna prognoza wydała im się nadto pesymistyczna, także najwięksi gracze na rynku wcale nie spieszą się z podjęciem przygotowań na świat bez ropy.

- Co za durnie! - osądziła Magawati zwięźle i, moim zdaniem, niesprawiedliwie: firmy paliwowe zasługują na wiele epitetów, ale na ten z pewnością nie.

- Dobrze, wytłumacz nam teraz, co cię trapi - poprosiłem. - To proste: nikt nie jest w stanie wyjaśnić mi, dlaczego to takie

ważne, by ceny wzrosły. Zarządzający inicjatywą Rosjanin zaznaczył, że to ściśle tajna informacja i że zadając pytania, marnujemy tylko czas. Nie muszę wam mówić, że niezbyt dobrze to przyjąłem. A jednak ostatecznie zgodziłem się wziąć w tym udział, przekonując samego siebie, że będę mógł przynajmniej wpływać na kierunek, w którym projekt zmierza. I wtedy, o zgrozo, wpadłem w jeszcze większą pułapkę.

- Co się stało? - spytała Maga, której nie podobała się myśl, że ktoś zastawił sidła na jej Kiliego.

- W pierwszym odruchu, jak większość kolegów, uznałem, że trzeba zaaranżować jakiś stan wyjątkowy: gdybyśmy rozpowszechnili przekonanie, że popyt jest większy niż w rzeczywistości, a przy tym zasugerowali, że światowe rezerwy zaczynają się wyczerpywać, zachwilibyśmy równowagę, a cena za baryłkę poszłaby w górę.

- To wydaje się logiczne - przyznała Maga. - Twój pomysł się nie przyjął?

- Gdzie tam - odparł Youssef. - Rosjanin powołał się na jakiś podobno dobrze znany wśród ekonomistów paradoks, żeby zaproponować całkiem odwrotną strategię. Jego zdaniem lęk przed wyczerpaniem światowych rezerw pociągnąłby za sobą wzrost lokowania funduszy w badaniach nad alternatywnymi źródłami energii. Bo przemysłowcy, którzy inwestują na dziesięć czy dwadzieścia lat do przodu, nigdy nie podjęliby ryzyka ewentualnej konieczności modernizacji swoich fabryk. Woleliby z własnej woli odwrócić się od ropy już dziś, niż zostać do tego zmuszonymi przez wydarzenia najbliższych dwudziestu lat. Kursy innych źródeł energii skoczyłyby więc błyskawicznie, a ceny ropy, tak samo jak jej zużycie, by zmały, rezerwy zaś — i tu pojawia się paradoks - starczyłyby na dłużej. Jego pomysł wygląda więc następująco: przekonajmy wszystkich, że zapasy są nieskończone, zachęcajmy konstruktorów samochodów do projektowania coraz to żarłoczniej szych modeli, a dzięki temu popyt, a wraz z nim ceny, gwałtownie wzrosną.

- Przecież to zbrodnia! - zawołała Magawati. - Zamierzacie dopingować rozrzutności na skalę światową!

- To niestety może się udać - stwierdziłem z namysłem. - Wielu ludzi na tym skorzysta.

- I to właśnie mnie niepokoi - rzekł Youssef. - Nie mówię jedynie o firmach paliwowych, które niezmiernie się ucieszą, mogąc wywiercić więcej dziur i zainkasować rekordowe zyski. Powszechnie wiadomo, że kraje OPEC już teraz przeszacowują posiadane zasoby. Jeśli teraz pomożemy im sfałszować liczby, sam nie wiem, dokąd nas to doprowadzi. Nie wspomnę nawet o użytkownikach końcowych. Nikt nie lubi przykręcać ogrzewania ani pilnować prędkości: kiedy



konsumenci dowiedzą się, że widmo niedoboru ropy się oddaliło, zapomną o dobrych przyzwyczajeniach z takim trudem wpajanych im przez rządzących.

- Już zaczęliście? - zapytałem, wstając, żeby także przynieść sobie śpiwór.

- Tak. Rozważaliśmy różne sposoby doprowadzenia do ponownej ewaluacji wielkości zasobów i postanowiliśmy skupić się na pewnym konkretnym typie węglowodorów - na piaskach bitumicznych. Ponieważ trudno je wydobyć, zwykle nie uwzględnia się ich w światowych rezerwach. Żeby dać wam jakieś pojęcie, o jaką stawkę toczy się gra, powiem tyle: gdyby wzięto je pod uwagę, taka chociażby Kanada okazałaby się nagle równie bogata co Arabia Saudyjska. Spróbujemy więc przekonać rynek, że nowe techniki pozwolą pewnego dnia radykalnie zredukować koszty wydobycia, dzięki czemu eksploatacja złóż bitumicznych stanie się opłacalna. Wówczas nikt już nie sprzeciwi się doliczeniu ich do całości.

- Ciekawa próba sił - rzuciłem, mimo woli zaintrygowany intelektualnym wyzwaniem. - Przynajmniej będziesz się dobrze bawił...

- Wątpię - zgasił mnie Youssef - bo mam zamiar złożyć wymówienie.

- Kili! - wykrzyknęła Maga. - Chyba nie mówisz poważnie?

- A czemu nie? - spytał Youssef. - Sama zobacz: nie chcą mi wyjawiać stojącego za operacją motywu, a później każą wprowadzić w czyn strategię, która wywrze niszczycielski wpływ na środowisko. Nawet jeśli założymy, że cel uświęca środki - co bynajmniej nie zostało filozoficznie udowodnione - to nie wiem, jak mógłbym w dalszym ciągu brać udział w akcji, której ostatecznego zamysłu nie potrafię przejrzeć, a przyjęte metody działania mnie odrzucają. - Widząc nasze skonsternowane miny, uśmiechnął się smutno i dodał: - A teraz, jeśli chcecie poddać pod rozwagę jakieś inne argumenty, słucham uważnie.

Zastanawialiśmy się przez kilka minut. Magawati wyraźnie umierała z ochoty, by zareagować od razu, ale chyba rozumiała, że Youssef nie zadowolony się uproszczonymi argumentami. Wreszcie to ja odezwałem się jako pierwszy:

- Uważam, że popełniłbyś błąd. Z jednego z dwóch powodów: albo ich motywacje są słuszne i w przyszłości będziesz mógł wyrzucić im jedynie to, że trzymali je przed tobą w tajemnicy, albo słuszne nie są, a wtedy fakt, że zostaniesz jeszcze kilka miesięcy, i tak nie zrobi większej różnicy.

- Im może nie, ale mnie tak. Stałbym się współnikiem niegodziwego czynu, choć miałem okazję się wycofać - odparł Youssef.

- Ale, wybac mi szczerą, patrząc w ten sposób, już się nim stałeś. Nie jestem moralistą, ale wydaje mi się, że w sytuacji takiej jak ta liczą się twoje intencje. Póki nie masz pewności co do celów Inicjatywy w sprawie Ropy, nie możesz postrzegać siebie w kategoriach współnika zbrodni.

- Wiem, co chcesz powiedzieć - zamyślił się Youssef. - Ale zdajesz sobie sprawę, że to niebezpieczne rozumowanie. Wystarczy, bym udawał, że wciąż mam jakieś wątpliwości, aby utrzymać *status quo*. I nawet jeśli pewnego dnia szef zdradzi mi stojące za tą inicjatywą motywacje, a mnie się one nie spodobają, zawsze mogę pocieszać się nadzieją, że jednak ukrył przede mną prawdę w imię wyższego interesu KFR-u.

- Mógłbyś tak zrobić - wtrąciła się Magawati - ale nie zrobisz. Znamy cię, Youssefie Khrafedine: będziesz na bieżąco oceniał sytuację na podstawie wszystkich dostępnych danych i w odpowiednim momencie, bez użalania się nad sobą, podejmiesz decyzję, która wyda ci się najszlachetniejsza.

- Ale im więcej czasu spędzę w konsorcjum, tym trudniej będzie podjąć taką decyzję - zauważył Youssef. - Każdy miałby problem z przyznaniem, że błędni od dawna.

- Ale ty nie jesteś jak każdy - oświadczyła prosto Magawati. Nawet ze swojego miejsca widziałem, jak błyszczy jej oczy.

Drżała i promieniała jednocześnie. Właśnie byłem świadkiem wyznania miłości, choć nie mogłem być pewien, czy Youssef zdaje sobie z tego sprawę.

- Zauważ - podjąłem - że nasza sytuacja wcale nie różni się tak bardzo od twojej. Nie wiesz, jakie efekty ma przynieść Inicjatywa w sprawie Ropy, ale czy sądzisz, że ja wiem, czemu posłużą te wszystkie teczki, które przechodzą przez moje ręce? Prawda jest

taka, Kili, że w istocie nic się nie zmieniło od czasu naszej rozmowy w Honolulu. Ufamy przełożonym, ponieważ nie mamy wyboru i ponieważ gdybyśmy się sprzeciwili, wyłączyliby nas z gry. Wspominałeś przed chwilą o milionach dolarów, które już wydaliście. Masz choć cień pojęcia, skąd się biorą te pieniądze? Nie i ja też nie. A jednak nie powstrzymywało nas to dotąd przed ich wydawaniem. Jak mówi Maga, możemy jedynie zachowywać czujność i nie pozwolić, by coś nam umknęło.

- Mhm - wymruczał Youssef z namysłem. - Maga?

- Sliv ma rację. Daj sobie trochę czasu. Minęło dopiero kilka miesięcy. Poza tym, jeśli sprawy przybiorą obrót, który ci się nie spodoba, bardziej się przydasz w środku. Bądź ostrożny, o tyle tylko cię proszę.

- Tak - zgodził się Youssef, który chyba nie zwrócił uwagi na ostatnie wypowiedziane przez Magawati zdanie. - Myślę, że mógłbym jeszcze trochę poczekać. Ale nie w nieskończoność. Jeśli za rok nadal nie uzyskam odpowiedzi, odejdę. Życie jest za krótkie, żebym ryzykował poświęcanie się sprawie, która może okazać się nic niewarta.

- I nie będziesz sam - oznajmiła Magawati, obejmując Youssefa ramieniem. - Jeżeli złożysz wypowiedzenie, ja zrobię to samo.

Tamtego wieczoru Youssef długo przewracał się w namiocie z boku na bok, zanim udało mu się zasnąć.

Po powrocie do Córdoba znów czekała na mnie rutyna: mnóstwo pracy, powierzchowne przyjaźnie, kolejny przelotny romans, tym razem z hiszpańską studentką na wymianie międzyuczelnianej. Koledzy z Compañii coraz bardziej otwarcie zaczęli dziwić się brakiem praktycznych zastosowań moich badań nad huraganami. Diaz żył, lecz jego stan wciąż się pogarszał. Lena modliła się, by nie umierał: w przepływie szczerości wyznała mi, że w ten sposób mogłaby nadal zarządzać biurem i nikt nie postawiłby jej nad głową nowego szefa. Wiedziała, że jest za młoda, żeby awansowano ją na dyrektorkę.

A później, pewnego czerwcowego dnia 1995 roku, może szesnastego albo siedemnastego, kiedy omawialiśmy możliwe sposoby dostania się w najbliższym czasie do archiwów CIA, Lena przerwała mi gwałtownie:

-Wiedział pan, że Francja szykuje się do ponownego podjęcia testów nuklearnych w Polinezji?

- Tak, czytałem o tym. Jaki to ma związek z tą teczką?

- Z tą tutaj - żaden, ale pamięta pan z pewnością projekt dotyczący galosza, który otrzymaliśmy na początku roku. O ile mnie pamięć nie myli, jakaś część akcji rozgrywała się w Australii czy Nowej Zelandii...

- Mówi pani o teczce Ramy Chandrapaja? Owszem, cały projekt oparł na pojawieniu się pochodnego gatunku galosza w wodach Południowego Pacyfiku.

-I jego argumentacja trzymała się kupy?

- Hmm, tak sędę, tak - odparłem, nie mając pojęcia, do czego Lena zmierza. - Z tego co pamiętam, nie znaleźliśmy nic do poprawki. Czemu pani pyta?

- Och, bez powodu. Po prostu mam wrażenie, że ekosystem tej części świata stanie się w najbliższych tygodniach przedmiotem szczególnej uwagi.

Thorsen udało się wzbudzić we mnie strach. Po skończonej rozmowie wyszukałem w swojej biblioteczkę wspomnianą teczkę, zatytułowaną **Powrótgłosza**. Tkwiła w tym samym miejscu, w które włożyłem ją parę miesięcy temu, tego dnia, kiedy odbierałem Youssefa i Magawati z lotniska. Przebiegłem wzrokiem pierwsze strony, żeby przypomnieć sobie zarys historii.

Chandrapaj zaczynał od skrótowego przedstawienia sytuacji glosza w trzy lata po tym, jak Magawati w swojej pierwszej teście zwróciła uwagę społeczności międzynarodowej na los tej ryby kostnoszkieletowej z rodziny makrełowatych. Sprawy nie toczyły się dla glosza pomyślnie. Dotacje Wspólnoty Europejskiej nie wystarczyły, by zapobiec stopniowemu zanikaniu gatunku, co Maga przypisała zawaleniu się platformy wiertniczej u wybrzeży Norwegii. A przecież Bruksela zakazała połowów glosza. Wszystkie złapane w sieci osobniki należało pod karą grzywny natychmiast wrzucić z powrotem do morza. Obiecano również hojne subwencje dla rolników, którzy zdecydują się na hodowlę. Niestety, z każdym cyklem rozrodczym malała ilość składanych przez ryby jajeczek, co czyniło jakąkolwiek eksploatację komercyjną niemożliwą. Myląc (trudno powiedzieć, celowo czy też nie) glosza z **galuchatem** - materiałem pozyskiwanym głównie z płaszczyk - Chandrapaj pisał, że organizacje ekologiczne występują przeciwko rzemieślnikom, którzy używają skór cennej ryby do tapicerowania foteli i wyrobu torebek.

Tymczasem dość niezwykły gatunek glosza zaobserwowano u wybrzeży Nowej Zelandii. Galosz pacyficzny różnił się od swego europejskiego imiennika kilkoma cechami anatomicznymi, ale pokrewieństwo obu gatunków zostało potwierdzone. Chandrapaj nie tłumaczył, w jaki sposób ten nowy gatunek tak nagle pojawił się w basenie oceanicznym tworzonym przez Australię, wyspy Fi-

dzi oraz Nową Zelandię. Zadowolili się stwierdzeniem, że nagle, z roku na rok, galosz pojawił się w statystykach nowozelandzkiego Ministerstwa Rolnictwa i Rybołówstwa. Na koniec rzeczywiście wysuwał hipotezę o mutacji gatunku, chociaż podejrzewałem, że zamierzał dostarczyć środowisku naukowemu bardziej przekonującego wyjaśnienia w trzecim odcinku sagi.

Moja opinia na temat *Powrotu galosza* się nie zmieniła. Była to poprawna teczka, której w moim odczuciu brakowało odrobiny humoru, ale która wymagała jedynie drobnych poprawek. A jednak, z nieznanej mi przyczyny, niepokój Leny Thorsen - choć może to nieco za mocne słowo w odniesieniu do zwykłej, rzuconej w powietrze uwagi — sprawiał, że czułem się jakoś nieswojo.

Nawet nie zdając sobie z tego sprawy, zacząłem uważniej śledzić wiadomości. Nie mogłem już przejść obok dalekopisu Associated Press, który przez całą dobę wypluwał doniesienia ze wszystkich stron świata, nie podnosząc machinalnie spisu tematów i nie wypatrując słów „nuklearny” czy „Nowa Zelandia”. Byłem niewątpliwie jednym z pierwszych, którzy zauważyli rosnącą irytację rządów państw Południowego Pacyfiku oraz wściekłą determinację stowarzyszeń ekologicznych, świadomie podtrzymywaną przez lobby azjatyckich przemysłowców, którzy z radością powitali fakt, iż francuskim produktom grozi bojkot. Biedny Chirac najwyraźniej nie przygotował się na to, że ponowne podjęcie przez Francję prób nuklearnych wzbudzi aż tak powszechne niezadowolenie. Im bardziej się tłumaczył, tym mniej można go było zrozumieć. Choć powtarzał, że to już ostatnie testy, że od tej pory Francja będzie sprawdzała swój arsenał za pomocą symulacji komputerowych, opinia publiczna uparła się, by negocjować jego prawo do suwerennego podjęcia takiej decyzji.

Nie byłem jedynym, który się niepokoił. Również Lena Thorsen uważnie śledziła rozwój antyfrancuskich nastrojów w tej części świata. Pogłębiła moją nerwowość, wzywając mnie na początku lipca do siebie i zarzucając szeregiem pytań. Czy teczka Chandrapaja na pewno jest dopięta na ostatni guzik? Czy nie zauważyłem niczego, co mogłoby zwrócić uwagę lokalnych władz? I wreszcie, czy mogę zapewnić, że żaden z agentów KFR-u nie zostawił za sobą

śladu? Thorsen musiała wyczuć moją niepewność, bo kazała mi na następny tydzień przygotować listę wszystkich zmian, które wprowadziłem do projektu.

Nie dała mi czasu na wywiązanie się z zadania. Już nazajutrz wpadła do mojego gabinetu z egzemplarzem „International Herald Tribune” w rękę. Bez słowa, za to w stanie podenerwowania bliskim hysterii, podetknęła mi gazetę pod nos, wskazując palcem jeden z tytułów. Premier Nowej Zelandii zwierzał się z zamiaru przeprowadzenia „niepodważalnych badań naukowych mających na celu ocenę niszczycielskiego wpływu francuskich prób nuklearnych na ekosystem Południowego Pacyfiku”. Tłumaczył, że podjął decyzję po naradzie z sąsiadami z Australii oraz Fidżi, którzy przykładają taką samą wagę do ochrony lokalnej flory i fauny.

- No i? - rzuciłem trochę kretyńsko.

- No i? - wrzasnęła Thorsen. - Zdaje pan sobie sprawę, jaka lawina złych wiadomości spadnie nam wkrótce na głowy?

- To czysto polityczny gest!

- Ależ oczywiście, czysto polityczny gest, ma pan rację. Ach, już widzę te sceny, jakby rozgrywały się tuż przed moimi oczami: powołanie niezależnej komisji, sformowanie zespołów badawczych, złożenie oficjalnego raportu do parlamentu!

- Przecież to niedorzeczne, wszyscy wiedzą, że podziemne próby w miejscu oddalonym o cztery tysiące kilometrów nie mogą w żaden sposób wpłynąć na ekosystem.

- Pan to wie i prawdopodobnie Bolger, premier Nowej Zelandii, również to wie. Ale zwykły zjadacz chleba nie posiada pańskich kompetencji. Uwierzy w to, co się mu powie, zwłaszcza jeśli w ten sposób potwierdzą się jego szowinistyczne poglądy. A ponieważ organizacje pozarządowe takie jak Greenpeace zrobią wszystko, by uzyskać dostęp do badań, można się spodziewać, że analiza faktów nie okaże się taka znowu bezstronna.

Miała oczywiście rację.

- Nie szkodzi, niczego nie znajdują... - uznałem.

- Naprawdę jest pan tego taki pewien?

- Przestrzegałem wszystkich zasad bezpieczeństwa - oznajmiłem, zdając sobie sprawę, że nie jest to odpowiedź na jej pytanie.

- No mam nadzieję, do diabła! Tak czy inaczej, wkrótce się przekonamy. Bo może pan być pewny, że ci tam wezmą pana pod lupę. Czeka pana kontrola na wielką skalę; proszę mi wierzyć, sprawdzą wszystko. Ta lista, o którą prosiłam, już gotowa?

- Mówiła pani, że na poniedziałek...

- Zmiana planów. Chcę, żeby znalazła się na moim biurku jutro o trzynastej. To jest wojna, Dartunghuver, dobrze pan słyszy, wojna.

Potrzebowałem kilku minut, by odzyskać ducha. To zajście pozostawiło we mnie wyjątkowo nieprzyjemne poczucie niepokoju. Och, oczywiście, zbyt dobrze znałem Lenę Thorsen, żeby nie wychwycić w jej wściekłości także cienia emfazy. Zamierzała mnie nastraszyć i jej się udało. A więc sprawa wygląda poważnie, w porządku. Przyjąłem do wiadomości. Tymczasem w trakcie rozmowy uważnie ją obserwowałem. Spodziewałem się dostrzec w jej twarzy swego rodzaju podniecenie wywołane wizją szykującej się walki. Ta dziewczyna była wojowniczką przyzwyczajoną do wydawania rozkazów, więc perspektywa porządnej potyczki powinna dodać jej skrzydeł. A jednak to, co ujrzałem w jej oczach, nie miało nic wspólnego z bitewnym szałem i nosiło inne miano: lęk. Ale czego się bała? Ze zostanie świadkiem mojego pierwszego błędu? Na pewno nie. No więc czego? Ze wypuściła teczkę zawierającą jakiegoś byka? Ze spadnie na nią odpowiedzialność za spażanie roboty, że będzie musiała ponieść karę? Gunnar Eriksson lubił powtarzać, że aby zrobić karierę w konsorcjum, trzeba się znaleźć w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie. Nigdy nie wpadłem na to, żeby go zapytać, co spotykało młodych agentów, którzy znaleźli się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie...

Spędziłem wieczór i sporą część nocy na opracowywaniu listy, której zażyczyła sobie Thorsen. Teczka nie była gruba, lecz każdy akapit rozbierałem na czynniki pierwsze, jakby od tego zależało moje życie - może zresztą zależało. Uparcie trwałem w przekonaniu, że sprawiliśmy się, Chandrapaj i ja, całkiem nieźle. Opis zwyczajów galosza brzmiał przekonująco, ale najważniejszy element teczki stanowiła niezaprzeczalnie dyrektywa Unii Europejskiej w sprawie ochrony gatunku, napisana tak nadętym i tak technicznym stylem, że podejrzewałem, iż Chandrapaj zlecił jej redakcję emerytowane-



mu brukselskiemu urzędnikowi. Mówiąc szczerze, europejska część projektu prawie w ogóle mnie nie martwiła. Wiedziałem, że badania komisji skoncentrują się na basenie pacyficznym. Na szczęście Chandrapaj nie podjął zbyt wielu działań. Epizod nowozelandzki wyraźnie był dla niego jedynie sprytnym sposobem na nadanie teczce rozpędu z myślą o kolejnym odcinku sagi. Świadcstwa rybaka, który jako pierwszy złowił w sieci galosza, nie dało się podważyć; idąc za radą Thorsen, zapłaciłem niewielkiej zbiorowości hurtowników ryb, którzy w razie potrzeby mieli potwierdzić zeznanie kolegi. Zresztą, opublikowane w „Pacific Rim Oceanographic Review” zdjęcia były więcej warte niż wszystkie opowieści świata. Dwie sąsiadujące ze sobą fotografie przedstawiały galosza bałtyckiego oraz galosza pacyficznego. William N. Donnaught, profesor mianowany katedry ichtiologii Uniwersytetu Christchurch (całkiem prawdziwy), wymieniał minimalne różnice między obiema rybami, jednak bez najmniejszego zawahania zaliczał je do tego samego gatunku.

Dotarłem do końca teczki i prawie całkiem wyzbyłem się już wątpliwości, kiedy zauważyłem wykres, który miał przypieczętować mój los. Nosił tytuł *Era ryb chrzęstnoszkieletowych dobiega końca?* i ukazywał powolny, acz niepowstrzymany wzrost liczebności ryb o skostniałym szkielecie wewnętrznym, czyli kostnoszkieletowych. Częścią tego zestawienia była tabela wymieniająca najbardziej spektakularne przyrosty w latach 1988-1993: tarpony (+ 36%), belony (+ 51%), balistydy (+ 85%)... i galosze (+ 118%). Zaniepokoił mnie nie sam wykres ani publikacja, w której Chandrapaj owi udało się go zamieścić (doroczny raport Greenpeaceu w sprawie fauny oceanicznej!), ale dopisek widniejący beztrzesko u dołu strony: „Źródło danych: Ministerstwo Rolnictwa i Rybołówstwa, Wellington”. Chandrapaj nigdzie w swoim raporcie nie wspominał o sfalszowaniu źródeł wewnątrz Ministerstwa Rolnictwa. Ja zaś nie przypominałem sobie, żebym mobilizował nasze kontakty w nowozelandzkiej administracji.

Ponieważ godzina była późna, minęło trochę czasu, nim uporządkowałem sobie w głowie składowe problemu. Chandrapaj użył jednego źródła (statystyk Ministerstwa Rolnictwa) do uwierzytelnie-

nia drugiego (raportu Greenpeaceu), a więc zastosował klasyczną, całkiem bezpieczną technikę, którą z powodzeniem posługiwał się byle agent pierwszej klasy. Ale metoda była bezpieczna tylko pod warunkiem, że nie zapomnią się sfałszować źródła numer jeden, bo w przeciwnym wypadku cała konstrukcja groziła zawaleniem. Jak mogłem przegapić tak ogromny błąd? I zaraz zaatakowało mnie drugie, równie niepokojące pytanie: co sobie pomyśli Lena Thorsen?

Zerknąłem na zegarek: pierwsza w nocy. W Wellington musiało być koło siedemnastej. Czas naglił. Niewiele myśląc, zadzwoniłem do nowozelandzkiego Ministerstwa Rolnictwa. Przedstawiłem się telefonistce jako niemiecki dziennikarz i poprosiłem o rozmowę z osobą odpowiedzialną za kwestie rybołówstwa. W chwilę później połączyła mnie z niejakim Johnem Harkleroadem.

-John Harkleroad, słucham.

- Hans Messerhalb z Monachium, jestem dziennikarzem z „Natur und Wissenschaft”...

- Nie słyszałem o tej gazecie, ale to nieważne. Co mogę dla pana zrobić?

Te dwa zdania oraz ton głosu pozwoliły mi sklasyfikować go jako przyzwoitego gościa. Może nie wszystko stracone.

- Z tego, co mi wiadomo, każdego roku publikujecie statystyki dotyczące różnych gatunków ryb Południowego Pacyfiku...

- Zgadza się. Ale tegoroczny raport jest jeszcze niegotowy.

- A kiedy się ukáže? - Zmusiłem się, by zadać to pytanie, choć odpowiedź nic a nic mnie nie obchodziła.

- Och, obawiam się, że najwcześniej w sierpniu. A czego sprawa dotyczy?

- Tak się zastanawiałem... Czy byłaby możliwość zdobycia kopii zeszłorocznego raportu?

- Oczywiście, drogi panie, żaden problem. Ma pan Internet?

- Yy, tak.

- W takim razie proszę wejść na rządową stronę i podążać za wskazówkami, doprowadzą pana prosto do raportu z roku dziewięćdziesiątego czwartego.

- Dziękuję - wybełkotałem.

- Nie ma za co, drogi panie, do usług.

Na początek musiałem sprawdzić, czy ministerialny raport zawiera dane na temat galosza. Jeśli tak, to by oznaczało, że Chandrapaj wywiązał się ze swoich obowiązków, korzystając z pomocy współpracowników wewnątrz ministerstwa. Musiałby wówczas odpowiedzieć za nieuwzględnienie tego faktu w swojej teczce. W przeciwnym razie... Nie, nie chciałem nawet wyobrazić sobie tej drugiej ewentualności. Chandrapaj na pewno sfałszował raport. Włączyłem komputer.

Powolność modemu przyprawiła mnie o męczeńską śmierć w fotelu. Strona główna nowozelandzkiego rządu ładowała się prawie minutę, później wykonałem fałszywy ruch i musiałem się cofnąć, co kosztowało mnie kolejne kilkadziesiąt sekund. Wreszcie dotarłem do podstrony Rolnictwa i Rybołówstwa. Raport znajdował się dwie strony dalej, gotowy do pobrania w wersji pdf.

Kwadrans później musiałem spojrzeć prawdzie w oczy. Galosz nie pojawiał się w tekście ani razu. Tabela zamieszczona w raporcie Greenpeace'u istniała, a jakże. Można w niej było znaleźć tarpony, belony i balistydy, ale galosza ani śladu.

Co ja, u licha, powiem Lenie Thorsen?

Postanowiłem powiedzieć prawdę. Jeden jedyny raz zrywając z tradycją, dotarłem do biura przed nią. Ale tego dnia musiałbym o wiele bardziej się postarać, żeby poprawić jej humor.

- Podsumujmy, dobrze? - Była bardzo spokojna, cerę miała świeżą (w przeciwieństwie do mnie, który wyglądałem, jakbym spał w ubraniu), włosy jeszcze wilgotne i zaczesane do tyłu. - Chandrapaj chce wmówić ludziom, że galosz pojawił się w wodach Południowego Pacyfiku. W tym celu fałszuje rozmaite źródła, łącznie z publikacją Greenpeace'u. Owa publikacja odwołuje się bezpośrednio do raportu nowozelandzkiego Ministerstwa Rolnictwa i Rybołówstwa. Chandrapaj zapomniał o sfałszowaniu tego raportu, a pan, który miał za zadanie wyłapać jego błędy, niczego nie zauważył. Zgadza się?

- W stu procentach - potwierdziłem. Mógłbym dorzucić, że Lena Thorsen, odpowiedzialna za kontrolowanie mnie, również niczego nie zauważyła, ale czułem, że w zaistniałych okolicznościach taka odpowiedź wypadłaby dość niezręcznie. Dalszy ciąg rozmowy pokazał, że przynajmniej w tym względzie się nie pomyliłem.

- Chyba nie muszę panu tłumaczyć - podjęła Thorsen - dlaczego ten pierwszy błąd jest wprost karygodny. Ogromny, głupi i oczywisty. Z rodzaju tych, z których natrzęsają się żółtodzioby, bo nie przyjdzie im do głowy, że istnieją agenci na tyle durni, by naprawdę sobie na nie pozwolić. Moje gratulacje, Dartunghuver, właśnie zapewnił pan sobie miejsce w podręcznikach KFR-u. Jedno moje słowo, a pańska kariera zakończy się w Córdobie.

- Nie przesadzajmy...

- Ma pan rację, być może Główny Inspektorat wybaczyłby panu tę gafę. Nie jest pan w końcu pierwszym kretynem, który szybciotko odesłał teczkę, żeby móc wyjechać na wakacje. Ale co mam powiedzieć o reszcie?

-Jakiej reszcie? - zapytałem, mimo woli okazując zdziwienie.

- Jakiej reszcie? - powtórzyła Lena teatralnie. - No przecież o pańskiej idiotycznej reakcji wczorajszej nocy! „Dzień dobry, mam na imię Hans, noszę skórzane gatki i interesuję się rybkami z Pacyfiku...”.

- Co? Co ja takiego zrobiłem?

- Nadal pan nie rozumie? Do diabła, naprawdę jest pan ciemny jak tabaka w rogu. Przedstawię sprawę inaczej. Weźmy dziesięcioletniego dzieciaka. Pewnego razu, gdy mama nie patrzy, podwędza ze spiżarni słój konfitury. Po jej spałaszowaniu zaczyna żałować swojego postępu i modlić się, żeby nikt nie zauważył zniknięcia słoika. Co, pana zdaniem, powinien zrobić, skoro przyznanie się do winy nie wchodzi w grę?

- Nic — odparłem, nagle ogromnie przybity. Pojąłem, dokąd Lena zmierza, i ta perspektywa nie niosła z sobą nic przyjemnego.

- Oczywiście, że nic - przytaknęła Thorsen, która uparła się, by nie darować mi żadnego etapu rozumowania. - Zamyka buzię na kłódkę i czeka. No dobrze, a teraz załóżmy, że nasz dzieciak ma na imię Sliv i iloraz inteligencji bliski zeru, i co robi? Dzwoni do mamy, podaje się za kogoś innego i pyta, czy nie zauważyła niczego podejrzanego w szafce na konfitury. Teraz pan rozumie?

- Tak - przyznałem zmieszany. - Lepiej bym postąpił, nic nie mówiąc...

- O wiele lepiej! Proszę sobie wyobrazić, że za trzy miesiące ludzie z Greenpeaceu zdadzą sobie sprawę z zaistniałego matactwa. Zadzwonią do Ministerstwa, a tam powiedzą im, że galosz nigdy nie istniał. Ekolodzy będą chcieli sprawę wyjaśnić, więc poproszą o możliwość rozmowy z autorem raportu. Przełączą ich do Johna Harkleroda, który stanowczo zaprzeczy wszystkiemu, co związane z galoszem. Ale chwileczkę, teraz, gdy o tym wspominacie, pamięta telefon od podejrzanego typa z obcym akcentem...

- I tyle. Na tym się skończy, niczego więcej nie dojdą - oświadczyłem pewnie, w dużej mierze próbując przekonać samego siebie.

- A billingi to co, pies? - wybuchła Lena. - Jeśli przypomni sobie datę i każe sprawdzić na wykazie rozmów ministerstwa... Telefon z Córdoby raczej rzuca się w oczy, zwłaszcza jeśli w Argentynie była akurat pierwsza w nocy! - Potrząsnęła ze smutkiem głową, mamrocząc bardziej do siebie niż do mnie: - Przegrana sprawa, nie wykaraskamy się z tego.

Jej katastrofizm sprawił, że nagle zacząłem spodziewać się najgorszego.

- Co jest przegraną sprawą? I co pani teraz zrobi?

- Na początek porozmawiam z Diazem, który najpierw mnie ochrzani, a potem przystąpi do obmyślania sposobów ratunku. Biedny Diaz, tak bliski kresu, to okropne. - Sprawiała wrażenie niemal szczerzej.

- A ja, co mogę zrobić?

- Pan? Nic.

- Jeśli mogę jakkolwiek pomóc... - obstawałem przy swoim, może nieco zbyt natarczywie.

- W takim razie proszę się modlić w swoim ulubionym języku do dowolnie wybranego boga. Niech pan się modli za KFR i za siebie samego. A jeśli ta afera musi eksplodować, niech pan nie zapomni go poprosić, żeby w chwili, kiedy się o tym dowiem, dzieliło mnie od pana wiele kilometrów. Nie ufałam panu i miałam rację. Od teraz żadne skrupuły nie przeszkodzą mi pana zmiążdżyć.

Przez kilka tygodni żyłem w kompletnym zawieszeniu. Na rozkaz Diaza - przynajmniej oficjalnie, bo doskonale wiedziałem, kto w rzeczywistości wydał to zarządzenie - zostałem poddany kwarantannie. W niespełną godzinę po mojej rozmowie z Thorsen wpisałem hasło do komputera, a ten w odpowiedzi wyświetlił komunikat: „odmowa dostępu”. Koledzy z KFR-u odwracali wzrok, kiedy mijali mnie na korytarzu. Żadne nowe teczki nie spłynęły w miejsce tych, które już odesłałem. Ale powagę sytuacji uświadomiło mi tak naprawdę dopiero nadejście na mój domowy adres pełnej słów zachęty wiadomości od Gunnara Erikssona („Jestem z panem podczas tej ciężkiej próby, niech pan się nie poddaje, i tak dalej”). Sądzę, że w tamtym okresie, gdybym następnego dnia nie zjawił się w pracy, nikt nie zauważyłby mojej nieobecności.

Ale jakoś się trzymałem, nie tyle po to, by sprawić przyjemność Gunnarowi Erikssonowi, ale dlatego, że nie całkiem opuściła mnie myśl, iż mogę się jeszcze do czegoś przydać. W ciągu dnia całą swą energię poświęcałem na wykonywanie obowiązków w sekcji przewidywania katastrof naturalnych; możliwe, że Compañía Argentina del Reaseguro nigdy wcześniej nie zatrudniała tak gorliwego pracownika. Wieczorami robiłem obchód po firmie w poszukiwaniu jakiegoś zajęcia dla wolontariusza, które ulżyłoby mojemu sumieniu, lecz kadry KFR-u odrzucały moje oferty pomocy z elokwentną jednomyślnością. Jedynie księgowy zgadzał się, bym od czasu do czasu udzielił mu wsparcia. I tak zaczęły się wieczory spędzane z ołówkiem w dłoni, wypełnione sprawdzaniem na wy-

ciągach bankowych wartości odczytywanych jego monotonnym, sepleniącym głosem.

Czytałem gazety - tylko tego prawa jeszcze mi nie odebrano, więc korzystałem z niego bez ograniczeń. Szóstego lipca „Wellington Times” opublikował skład komisji powołanej przez premiera Bolgera. Zapoznałem się ze wszystkimi nazwiskami, mając nadzieję, że natknę się na jakiegoś sprzymierzeńca, a nawet agenta KFR-u. Na próżno: na liście widnieli wyłącznie praworządni urzędnicy oraz paru reprezentantów społeczności cywilnej, wśród których z przestrochaniem zidentyfikowałem nazwisko dyrektora Greenpeace'u na Nową Zelandię. Ten miał już pewnie wyrobione zdanie w całej sprawie. Wszystkie elementy powoli wpasowywały się na swoje miejsca, wprawiając maszynę w ruch.

Osiem dni później przewodniczący komisji, niejaki Abernathy, zwołał otwartą konferencję i ogłosił, iż wstępne badania ujawniły garść niepokojących faktów, które zdawały się wynikać z mutacji genetycznej kilku gatunków zwierząt. „Sytuacja nabierze większej jasności za parę tygodni” - obiecał - „gdy nasi eksperci naukowci przedłożą swoje wnioski”. Oczywiście było, że szanowny pan Abernathy nieprzypadkowo wybrał datę swojego przemówienia, które zauważalnie wpłynęło na atmosferę panującą podczas dorocznego przyjęcia u francuskiego ambasadora. Co do mnie, nie byłem wprawdzie Francuzem, lecz ów czternasty lipca i tak pozostawił mi w ustach gorzki posmak. „Prowadzą dochodzenie zaledwie od tygodnia, a już wpadli na trop galosza” - pomyślałem.

Lena Thorsen, którą nękałem prośbami o spotkanie, nie chciała mnie przyjąć. Przez swoją sekretarkę przekazywała mi niepokojące wycinki z gazet albo, rzadziej, ręcznie pisane i otwarcie alarmistyczne notki, jak ta z dwudziestego drugiego lipca: „Sieć się zaciska, Dartunghuver. Już wkrótce przyjdzie nam zapłacić...”. Pamiętam, że tamtego dnia przez godzinę medytowałem nad znaczeniem użytego przez nią wielokropka.

Wreszcie nadeszło to, co musiało nadejść. Pewnego piątkowego ranka (w życiu nie wstawałem tak wcześnie, jak wówczas, gdy nie miałem już nic do roboty) znalazłem na biurku podpisaną przez Lenę Thorsen notatkę informującą, że jeszcze dziś zjawi się w Córdoba

ekipa Operacji Specjalnych. Miałem się stawić na naradę służbową rozpoczynającą się o jedenastej w sali konferencyjnej. Pospieszyłem do gabinetu Hiorsen, która zbierała się właśnie do wyjścia.

- Ach, Dartunghuver! Dostał pan moją wiadomość? - spytała sucho.

- Tak - wybełkotałem. - Co się tak właściwie dzieje? Wychodzi pani?

-Jadę ich odebrać z lotniska. Samolot ląduje o dziewiętej czterdzieści pięć.

- Mogę jechać z panią? Wy tłumaczyłaby mi pani sytuację w samochodzie...

Namyślała się kilka sekund, a potem zdecydowała:

- A niech mnie, przyjeżdżają specjalnie dla pana. Dobrze będzie, jeśli przynajmniej zjawi się pan na lotnisku, żeby im ponieść walizki.

Thorsen jeździła dwudrzwiowym chryslerem lebaronem ze składanym dachem. Zająłem miejsce po stronie pasażera i natychmiast przystąpiłem do ataku.

- Kim są ci goście i po co przylatują?

- A jak pan sądzi? Żeby naprawić pańskie głupie błędy, oczywiście. Nie znam ich, nie podali mi nawet nazwisk. Wiem tylko, że jest ich dwóch i wystartowali z Montrealu. To oni wyznaczyli godzinę spotkania, nie będzie nawet czasu, żeby zahaczyć o hotel.

- Zarezerwowała pani pokój? - spytałem, czepiając się pierwszego lepszego konkretnego.

- W Hiltonie. Dwa apartamenty, wzięłam te najdroższe. - Najwyraźniej Thorsen podzielała mój niepokój.

- Świetnie - uznałem. To idiotyczne, ale w tamtej chwili świadomość, że moi kaci położą się dziś spać w jedwabnej pościeli, w niewytłumaczalny sposób dodała mi otuchy. Przez głowę przemknęła mi nowa myśl:

- Kto weźmie udział w tym spotkaniu?

- Pan, ja i oni.

- I już? Diaz nie przyjdzie?

- Gdyby znał go pan lepiej, wiedziałby pan, że boi się splamić sobie ręce krwią. Wymówił się jakimiś badaniami w szpitalu.



Splamić sobie ręce krwią? Rozmowa zmierzała w kierunku, który wcale mi się nie podobał. Samochód mknął teraz po autostradzie, więc musiałem wrzeszczeć, żeby Thorsen mnie słyszała.

- Co się dzieje, Leno? Mam prawo wiedzieć.

- Zorientowali się. Facet z Greenpeace'u zaklina się na wszystkie świętości, że otrzymał dane z ministerstwa, ale tam nikt nie słyszał o galoszu. Zeby sprawę wyjaśnić, komisja wezwała Harkleroda; ma zeznawać w poniedziałek.

A więc stało się - i to szybciej, niż się spodziewałem. Spojrzałem na swoją dłoń spoczywającą na kolanie. Drżała. Byłem przerażony.

- Co teraz zrobimy?

- Co oni zrobią, chciał pan powiedzieć. To specjaliści, oni decydują. W każdym razie niech nie liczą, że ja im coś podpowiem. Przeanalizowałam problem pod każdym możliwym kątem. Rozwiązanie nie istnieje.

Powrót na lotnisko w Córdoba nie sprawił mi przyjemności. W pubie, w którym pół roku temu piłem piwo, siedział podróżny, kartkując jakieś czasopismo. Wyglądał na absolutnie spokojnego, jak ja wtedy. Czy pewnego dnia uda mi się odzyskać ten stan ducha? Głośniki nad naszymi głowami oznajmiły, że lot z Montrealu ma półgodzinne opóźnienie.

Uważnie przyglądałem się wszystkim pasażerom przechodzącym przez bramkę kontroli celnej, nie bardzo wiedząc, czego właściwie wypatruję. Chyba spodziewałem się dwóch mężczyzn o pociągłych twarzach, wciśniętych w ponure garnitury i uzbrojonych w nesesery. Thorsen, która wiedziała tyle co i ja, wymachiwała nad głowami tłumu kompletnie absurdalną tabliczką z napisem «Compañía Argentina del Reaseguro». Nigdy nie widziałem jej tak podenerwowanej.

Brutalny szturchaniec w plecy prawie powalił mnie na ziemię. Odwróciłem się żwawo, gotowy otaksować grubianina spojrzeniem z wysokości mojego metra dziewięćdziesięciu, i znalazłem się twarzą w twarz z roześmianym olbrzymem, który wyciągał do mnie łapę wielkości kotleta.

- Więc to pan jest naszym podpalaczem? - zapytał poprawną angielszczyzną, w której pobrzmiwał jednak charakterystyczny sło-

wiański akcent. - A pani to pewnie Thorsen - dodał, bezwstydnie rozbierając Lenę wzrokiem. - Khoyoulfaz, Operacje Specjalne. A to Jones - oznajmił, wskazując podbródkiem gościa o szczuplejszej twarzy i ostrzejszych rysach, który w większym stopniu odpowiadał wyobrażeniu o agencie Operacji Specjalnych, jakie w sobie pielęgnowałem. Podałem Jonesowi rękę. Jego była chłodna niczym skóra węża.

- Jak udało się panom tak szybko wydostać? - zapytała Thor-sen. - Samolot dopiero co wylądował...

- Ha, ha! Wcale nie przylecieliśmy z Montrealu, panienko!

- Podstawowy środek ostrożności... - uzupełnił Jones. - Dotarliśmy na miejsce godzinę temu, więc mieliśmy trochę czasu, żeby wyczuć atmosferę.

-1 okazuje się, że jest cholernie gorąco! - włączył się Khoyoulfaz. Dwa wielkie kręgi potu pod pachami potwierdzały jego słowa.

- Chcieliby panowie zatrzymać się po drodze w hotelu, żeby się trochę odświeżyć? - zaproponowałem. Z mojego punktu widzenia każdy sposób na odwleczenie składania zeznań wydawał się dobry.

- Nie ma sensu - odparł Jones.

- Zarezerwowałam dwa apartamenty w Hiltonie - postanowiła dorzucić Thorsen.

- Niepotrzebnie. Wylatujemy jeszcze dziś wieczorem.

- Dziś wieczorem?

- Jeden dzień powinien wystarczyć na uprzątnięcie tej nieszczęsnej afery, co, Yakoub? - zagadnął Jones, wyraźnie wprawiony w uzyskiwaniu poparcia od swojego współnika.

- O tak, to nawet za dużo! - przechwalał się Khoyoulfaz. Potem zainicjował coś, co wydawało się dobrze wyćwiczonym rytuałem, przeciągając ostatnią sylabę: - Namysł...

-1 akcja! - dokończył Jones, błyskając uśmiechem i uderzając pięścią w otwartą dłoń Khoyoulfaza.

Nie mieli walizek. Poprowadziłem ich do samochodu. Thorsen szła przed nami w milczeniu. Najwyraźniej spodziewała się najróżniejszych sytuacji, ale nie takiej.

Jones usiadł z przodu, obok Thorsen. Ja dzieliłem tylne siedzenie z Khoyoulfazem. Choć sprawiedliwiej byłoby powiedzieć, że to Khoyoulfaz dzielił je ze mną.

- A więc jak się sprawy mają? - zagadnąłem, nie mogąc czekać z poruszeniem wiadomej kwestii, aż dotrzemy do siedziby KFR-u.

- Źle, jak widać. Co ty sobie myślałeś, mały? Że przylecieliśmy do Córdoby na lekcje tanga?

- Nie, oczywiście, że nie - wycofałem się, trochę wytrącony z równowagi. - Ale mają panowie plan? Sposób na naprawienie sytuacji?

Khoyoulfaz odwrócił się do mnie z nieco zboląłym wyrazem twarzy. Położył swą wielką dłoń na moim kolanie, a ja instynktownie napiąłem mięśnie.

- Posłuchaj, mały, będzie mnóstwo czasu na omówienie twojej sprawy. Więc teraz na trochę się zamknij i pozwól mi podziwiać widoki...

W tym momencie pochwyciłem w lusterku wstecznym spojrzenie Thorsen. Wyglądała na tak samo spanikowaną jak ja. Odnalazłem w tym drobną pociechę.

Khoyoulfaz zwrócił się teraz do Jonesa. Pędziliśmy autostradą ponad sto trzydzieści na godzinę, ale on nie musiał krzyczeć, by jego głos był słyszalny.

- Guillermo, czy twój sąsiad z samolotu kogoś ci nie przypominał?

- Małego Leonida?

- Właśnie tak! - Khoyoulfaz gruchnął śmiechem.

- To panów przyjaciół? - dociekałem.

- To był nasz przyjaciel - odparł Khoyoulfaz. - Miał wypadek.

- Tragiczny wypadek - podkreślił Jones.

- Znaleźli go w zatoce w Sydney w cementowych bucikach - rzucił Khoyoulfaz żartobliwie.

- A był to szybkooschnący cement - dorzucił Jones. - Nie zdążył się uwolnić.

- Biedny Leonid... - zmartwił się Khoyoulfaz. - Taki zdolny chłopak. Kto by pomyślał, że zdradzi?

Wszystko toczyło się za szybko. Znałem tych dwóch cwaniaków dopiero od kwadransa, a już opowiadali mi o facecie zlikwidowanym za zdradę. Ale kogo zdradził? KFR? Przecież to śmieszne. Jak można było sobie wyobrazić, że organizacja w rodzaju KFR-u,

hierarchiczna i demokratyczna, zleca złowrogim typom usuwanie niektórych spośród swoich członków? Podejrzewałem, że to jakiś teatrzyk. A jednak... Ten cały Khoyoulfaz, którego obserwowałem kątem oka, doskonale nadawał się do podobnego zadania. Miał koło czterdziestki, był wielki jak deska windsurfiingowa, zbudowany jak szafa z Ikei, a jeden cios jego pięści ogłuszyłby byka. Jego głos niósł się mniej więcej na odległość półtora kilometra, a jego śmiech, jeszcze straszliwszy, dało się pomylić z pierwszymi objawami trzęsienia ziemi. Nosił beżowy garnitur, mocno zabrudzony, który pomógł mi wyrobić sobie zdanie na temat jego gustów kulinarnych. Nie włożył krawata, a prawie całkiem rozpięta koszula odsłaniała kolosalny tors, różowy i bezwłosy, o skórze gładkiej jak u niemowlęcia.

Z co poniektórych jego wypowiedzi wywnioskowałem, iż jest Azerbejdżaninem i ma spore doświadczenie w kwestii technik KGB, choć nie udało mi się ustalić, czy sam je stosował, został im poddany czy tylko je zwalczał. Należał do Operacji Specjalnych od dziesięciu lat, co kazało mi zmienić opinię na temat tych podobno elitarnych służb. Czym taki cham, który obecnie sypał sprośnymi żartami kosztem Thorsen, mógł sobie zasłużyć na przyjęcie do Akademii? I jakie musiał mieć znajomości, że skończył ją jako jeden z najlepszych, skoro wszyscy wiedzieli, że posady w Operacjach Specjalnych należały do tych najbardziej pożądanых?

Jones wystawiał Operacjom Specjalnym lepsze świadectwo. W jego na wpół przymkniętych oczach dało się wyczytać chłodną, wyrachowaną inteligencję, bardziej rozumną niż u Khoyoulfaza, lecz niekoniecznie mniej przerażającą. W oczywisty sposób to on stanowił mózg ekipy, Khoyoulfaz zaś reprezentował mięśnie. Nietrudno było sobie wyobrazić, jaki panował między nimi podział ról. Jones oceniał sytuację, stawiał diagnozę i wydawał wyrok, a Khoyoulfaz wprowadzał go w życie. Dyskretnie, o ile to możliwe, ale słuchając licznych anegdotek hałaśliwego Azerbejdżanina, dowiedziałem się, że dyskrecja nie zawsze wchodziła w grę.

Dotarliśmy do Compañii. Rzekomo podziwiający widoki Khoyoulfaz bez ustanku kłapał dziobem, a Jones jedynie z rzadka mu odpowiadał. Lena z kolei ani razu nie otworzyła ust. Wzrok utkwiała w jezdni, jakby cały czas się bała, że wpadnie w jakąś dziu-

rę. Kiedy wsiadaliśmy do windy, nasze spojrzenia się spotkały. Była wylęknięta, a to, co zobaczyła w moich oczach, chyba nie dodało jej otuchy. Po raz pierwszy poczułem, że tworzy się między nami rodzaj solidarności.

Ale nie na długo. Thorsen poprowadziła nas do sali konferencyjnej, gdzie zajęliśmy miejsca wokół długiego stołu z polerowanego orzecha. Jones i Khoyoulfaz rozsiedli się na jednym jego końcu, mnie zaś wskazali drugi. Thorsen, która wyszła jeszcze, by zamówić napoje, wróciła akurat do pomieszczenia i usiadła między nami, a jednak trochę bliżej naszych gości. Skojarzenia z procesem, które do tej pory systematycznie od siebie odsuwałem, przybrały na sile. Dwaj sędziowie zwróceni byli twarzami do mnie, po swojej lewej miałem prokuratora, ale miejsce adwokata pozostawało beznadziejnie puste. Będę musiał bronić się sam.

- No dobra, Thorsen - odezwał się Jones. - Proszę nam przedstawić fakty.

Thorsen tylko na to czekała.

- Sprawa jest relatywnie prosta... - zaczęła. A potem ze szczegółami opowiedziała nieszczęsną historię galosza. Najpierw pochwaliła jakoś pierwszej teczki, która zapewniła Magawati wyróżnienie w Honolulu. Druga teczka, oznajmiła, już na samym początku wydała jej się mniej interesująca, choć wiedziała, jak trudne jest rozwijanie sagi. Mnożąc brukselskie raporty, Chandrapaj ograniczył się głównie do eksploatacji początkowego tematu. Ale ponieważ wyraźnie cierpiał na brak natchnienia, wprowadził wątek nowozelandzki w ramach przygotowania do trzeciego odcinka sagi. Przesłana do biura w Córdobie część projektu związana z falsyfikacją źródeł zawierała wiele słabych punktów. Była bardzo niespójna, bardzo nieprecyzyjna. Thorsen twierdziła, że od razu to zauważyła. Zawsze przegląda wszystkie teczki, zanim rozdzieli je między swoich agentów, a ta dotycząca galosza wydała jej się raczej słaba. Zasygnalizowała to zresztą agentowi Dartunghuverowi, kiedy mu ją powierzała. (Co było totalną nieprawdą. Wykonałem ruch, jakbym chciał zaprotestować, ale Khoyoulfaz nakazał mi gestem, bym pozwolił Thorsen kontynuować. Nie wyglądał, jakby robił sobie żarty, więc nie nalegałem). Kiedy Dartunghuver oddał jej teczkę, uważnie

ją przeczytała. Ogólnie rzecz biorąc, Dartunghuver dobrze się spisał. Mimo to zwróciła mu uwagę na kilka niedociągnięć: przekłamanie w dacie objęcia stanowiska przez pewnego urzędnika Komisji Europejskiej (to się zgadzało), nieprawdopodobną częstotliwość cyklu rozrodczego galosza (to także) oraz to sławetne zaniedbanie w kwestii falsyfikacji źródła w nowozelandzkim Ministerstwie Rolnictwa i Rybołówstwa.

Szczęka mi opadła. Thorsen nigdy ani słowem mi o tym nie wspominała. Zresztą nie wprost przyznała, że sama też nie zauważyła błędu Chandrapaja. Skoro nie mogłem jej przerwać, próbowałem nawiązać z nią kontakt wzrokowy. Na próżno. Siedziała zwrócona do Jonesa i Khoyoulfaza, którzy nie spuszczała z niej oczu.

Jej błąd, biła się w piersi Thorsen, polegał na tym, iż nie sprawdziła, czy Dartunghuver zastosował się do poprawek, które zleciła. Ten zapewnił ją, że tak właśnie zrobił, a ona uwierzyła mu na słowo. Gorzko tego żałowała i przepraszała cały KFR.

- Tego już za wiele! - zawołałem. - Wcale mi pani nie mówiła o tym przeoczeniu Chandrapaja. Pamiętałbym, gdyby było inaczej!

- A ja doskonale pamiętam, że zwracałam panu na to uwagę - odparła chłodno Thorsen, patrząc mi prosto w oczy. - Choć zgodzę się, że powinnam była zrobić to na piśmie.

- Teraz to już naprawdę przesada! - wybuchnąłem. - Czemu, u diabła, nie przyzna się pani do pomyłki? Każdemu może się zdarzyć...

- Potrafię uznać swój błąd, jeśli takowy popełnię, Dartunghuver. Ale tym razem nie mam sobie nic do zarzucenia.

- Pani kłamie!

- Spokój, moje aniołeczki! - przerwał nam Khoyoulfaz. - Gdzieś mamy te wszystkie krętactwa. Nie przyjechaliśmy tu po to, żeby dochodzić, ile prawdy kryje się w waszych historyjkach. Tym zajmie się Główny Inspektorat...

- Główny Inspektorat? - stęknęła Thorsen.

- No a jak! A co nasza Miss Świata sobie wyobrażała? Ze wysła się OS, żeby posprzątały ten bałagan, i na tym koniec? No już, proszę opowiadać dalej, bardzo nas to z Jonesem pasjonuje.

Thorsen była otumaniona. Znałem ją dość dobrze, by wiedzieć, o czym myśli. O oddalających się nadziejach awansu. O nieusuwalnej plamie na karierze, jaką stanie się dla niej Córdoba. O szczęśliwym życiu, które wiodła, zanim trafiłem pod jej rozkazy. Odwróciła się do mnie i wycedziła przez zęby, na tyle głośno, bym na pewno ją usłyszał:

-Już pan nie żyje, Dartunghuver.

Potem przytoczyła epizod z nocnym telefonem, troszcząc się, by jak najbardziej mnie pogrążyć. Nie skorzystałem z bezpiecznej linii telefonicznej, podałem fałszywe nazwisko i powołałem się na nieistniejącą gazetę. Co gorsza, przyznałem wprost, że interesuje mnie właśnie raport, o który wszystko się rozbija. Przy każdym argumencie Jones powoli i potępiająco kręcił głową.

- Ajjj... Co za szkoda... - skomentował.

- Potworny bajzel, tak! - potwierdził Khoyoulfaz.

- Ja też tak uważam - wyrwała się Thorsen. - Gdyby nie ta godna pożałowania inicjatywa, myślę, że jakoś udałoby nam się z tego wywinąć...

- Może... - powątpiewał Jones. - Teraz w każdym razie wystarczy, żeby szli po nitce do kłębka, a trafią prosto na nas.

- Po co mieliby to robić? - przerwałem. - W końcu rozmawiamy tu o rybie. Nie zrobią z tego przecież sprawy wagi państwowej!

- Yakoub, streść młodzieńcowi sytuację - poprosił Jones, nalewając sobie wody do szklanki.

- Pętla się zaciska, mały - oznajmił Khoyoulfaz. - Komisja zażądała, by każdy ruch ekologiczny dał jej znać o anomaliach, które zaobserwował w ciągu ostatnich paru lat. Pomysł polega na tym, żeby wszystko to złożyć na karb prób nuklearnych i obwinie Francuzów o niszczenie planety.

- To się nie trzyma kupy - zaprotestowałem.

- Młody jesteś, mały. Nie wiem, czy pozwolimy ci wykonywać ten zawód dużo dłużej, ale jeszcze wiele musisz się nauczyć. Greenpeace od razu podniósł temat galosza. Ich zdaniem żadne naturalne zjawisko nie może tłumaczyć tak nagłego pojawienia się nowego gatunku. Mówią o mutacji genetycznej...

- Mutacji spowodowanej poprzednimi testami atomowymi -uściślił Jones.

- Wiedziałam! - wykrzyknęła Thorsen.  
- Mamy w komisji swojego człowieka - ciągnął niewzruszony Khoyoulfaz. - Wczoraj rano przesłuchali ekspertów z Greenpeaceu. Przedstawiciel Ministerstwa Rolnictwa, także członek komisji, zauważył, że dane Greenpeaceu są sprzeczne z raportem przygotowanym przez jego instytucję. Wezwali Harkleroda na poniedziałek rano. To pozostawia nam niewiele czasu.

- Co może się wydarzyć? - spytałem, choć znałem już odpowiedź.  
- Harklerod potwierdzi autentyczność swojego raportu. Być może poświęci kilka dni na weryfikację danych. To zresztą bez znaczenia. Wyjdzie na jaw, że informacje z oficjalnego raportu zostały sfałszowane na skutek interwencji z zewnątrz.

- A to nie żarty - stwierdził z powagą Jones.  
- Od tego momentu, mały - podjął Khoyoulfaz - sprawy mogą przybrać dwojaki obrót. Albo Harklerod zdążył zapomnieć o twoim telefonie i wówczas tajemnica pozostanie nierozwikłana. Co by znaczyło, że KFR-owi paliło się pod tyłkiem, ale jakoś się wywinął...

- Nie postawiłbym na tę ewentualność swojej emerytury - skomentował Jones.  
- Albo Harklerod o tobie pamięta - kontynuował Khoyoulfaz - a wtedy zlokalizują cię w niespełna kwadrans.

- Jest pan tego pewien?  
- A jakże! Zostawiłeś ślad równie wyraźny, co ścieżka prochu usypana na śniegu!

Musiałem przyznać, że mają rację. Co mnie podkusiło, żeby tak dzwonić na drugi koniec świata o pierwszej w nocy? Całe szczęście, że Operacje Specjalne wzięły sprawy w swoje ręce. Bo przecież nie przyjechali do Córdoby tylko po to, by mi wypomnieć, że zapędziłem ich w kozi róg.

- To co teraz zrobimy?  
- Najpierw coś zjemy! - zawołał Khoyoulfaz. - Thorsen, słodziutka, zamów nam po zestawie obiadowym. Dla mnie porządny kawał mięcha, tylko krwisty. I zimne piwko, tu się można udusić!  
- Dla mnie nic, Leno, nie jestem głodny - rzuciłem.



- Posłuchajcie go tylko! - zaśmiał się Khoyoulfaz. - Jedz, mały, musisz mieć siłę.

Thorsen podniosła słuchawkę i zamówiła cztery zestawy obiadowe.

- A wracając do twojego pytania, mały: nie mam bladego pojęcia, do cholery.

- To nie macie planu ratunku?

- A coś ty sobie myślał? Jesteśmy tu po to, żeby go obgadać. Podsumujmy: co nam zagraża?

- Zawsze należy spojrzeć na sprawę z dystansu - oznajmił sentencjonalnie Jones, zwracając się do Thorsen. - Dla każdego problemu istnieje rozwiązanie, pod warunkiem, że odpowiednio się go sformułuje. - Lena przytaknęła energicznie, być może sądząc, że dzięki temu na jej głowę nie posypią się gromy.

- Naszym problemem jest Harkleroad - stwierdziłem. - Bez Harkleroada nie mają nic, a w każdym razie nic, co pozwalałoby dotrzeć aż do nas.

- Interesujące, mów dalej...

- Teraz, kiedy komisja jest z całą sprawą na bieżąco, nie zdołamy całkiem pozbyć się ryzyka. Będziemy musieli się zadowolić zniwelowaniem go do akceptowalnych rozmiarów. Jeżeli Harkleroad stawi się w poniedziałek na wezwanie, znajdziemy się na łasce jego pamięci.

- Czy takie ryzyko określiliby pan mianem akceptowalnego? - dociekał Jones.

- Oczywiście, że nie - odparłem. - Tak na oko oceniałbym, że wynosi ponad pięćdziesiąt procent. Ale jeśli Harkleroad nie przyjdzie zeznawać, momentalnie staje się ono znacznie niższe.

- Ale czy akceptowalne? - nalegał Jones. Namyślałem się chwilę.

-Tak sędzę. A przede wszystkim uważam, że nie mamy wyboru. Zważywszy na okoliczności, już bardziej obniżyć się go nie da.

- Zgadzam się z tą analizą - oznajmił Jones dobrodusznym tonem, w końcu mi odpuszczając.

Do sali weszła sekretarka Leny, niosąc tace zjedzeniem. Przez jakiś czas Jones, a przede wszystkim Khoyoulfaz pożerali swo-

je porcje. Azerbejdżanin połykał olbrzymie kęsy. Hiorsen dłużyła widelcem w talerzu. Najnowszy rozwój wydarzeń wrócił jej nieco kolorów. Co do mnie, nie umiałem się przemóc, by zabrać się do posiłku. Puchnąca w żołądku bańka sprawiała, że sama myśl o jedzeniu zdawała mi się nie do zniesienia.

Zrywając zawiązaną pod brodą serwetkę, Khoyoulfaz rzekł n aj naturalniej w świecie, jakby podejmował rozmowę w miejscu, w którym ją przerwaliśmy:

- No dobrze, namysł... i akcja. Trzeba usunąć tego Harkleroda.

- Później rzucił w stronę Jonesa: - Nie ma co zwlekać, widziałem lot o szesnastej pięćdziesiąt.

- Chwileczkę - przerwałem. - Co pan rozumie przez „usunąć”? Azerbejdżanin odwrócił się do mnie ze szczerze zdumioną miną.

- No jak to, to samo co i ty, mały. Zneutralizować, zlikwidować, wyłączyć z obiegu, co innego! - Na mojej twarzy musiał odmalować się szok, bo dodał: - O tym przecież mówiłeś, prawda?

-Ja? Pan chyba oszalał! Ja tylko powiedziałem, że dla nas byłoby lepiej, gdyby Harkleroad nie zjawił się w poniedziałek przed komisją.

- A jak konkretnie chciałbyś powstrzymać tego typa przed zastosowaniem się do polecenia wydanego przez rząd jego kraju, mały? - wciął się Jones. On również zaczynał pozwalać sobie na poufałość.

- Ja? Nie wiem - wyjąkałem, trochę wytrącony z równowagi.

- Zamknąłbym go, wyjaśnił mu sytuację twarzą w twarz... - Nagle przypomniało mi się zdanie wypowiedziane niegdyś przez Gunnara Erikssona. - Podałbym mu napój wywołujący amnezję! - wykrzyknąłem.

- Napój wywołujący co? - spytał Khoyoulfaz.

- Amnezję. Utratę pamięci - wyjaśnił Jones. - Nie ma czegoś takiego, mały. Oglądasz za dużo filmów.

- Pfff... - mruknął pod nosem Khoyoulfaz. - Ci młodzi uwierzą we wszystko.

Panika powoli brała nade mną górę. To tylko sen, pomyślałem. Zaraz się obudzę, bo to niemożliwe. A jednak spektakl rozgrywający się przed moimi oczami zdawał się wściekle realny. Jones nie

sprawiał wrażenia, jakby się wygłupiał. Kiedy zapytał mnie, czy znam inny sposób na skłonienie człowieka do milczenia, słuchał odpowiedzi z ciekawością, jakby po latach spędzonych w Operacjach Specjalnych nadal miał nadzieję odkryć metodę, która dotąd mu umykała. Khoyoulfaz wyjął obcinacz do paznokci. Wściekły, że wykazał się przed nami ignorancją, wycofał się na z góry upatrzone pozycje, pozwalając, byśmy sami rozstrzygnęli dzielące nas różnice zdań. Ale to reakcja Thorsen najmniej mi się spodobała. Dunka wpatrywała się w jakiś punkt na suficie, jakby ta dyskusja wcale jej nie dotyczyła, jakby uprzejmość nakazywała, by się do niej nie mieszała. Zaapelowałem do niej z wyrzutem:

- No już, Leno, niech pani coś powie. Słyszała ich pani, mówią tu o zabiciu człowieka, biednego gościa, który nic nie zrobił, który być może jest czyjś mężem i ojcem.

- Ma dwie córeczki — poinformował Khoyoulfaz. — Sprawdziłem przed wyjazdem.

- Słyszysz to pani, Leno? To brutal, który przed niczym się nie zawaha.

- Ach, niech się pan zamknie, Dartunghuver! - Thorsen odwróciła się gwałtownie. - Stanowczo niczego pan nie ułatwia! I co też pan sobie myślał? Ze Operacje Specjalne zjawią się i uporządkują nasze sprawy jednym machnięciem czarodziejskiej różdżki? Nawalił pan, powstał problem i nic już tego nie zmieni. Więc co teraz zrobimy? Będziemy myśleć nad innym rozwiązaniem i czekać, aż nowozelandzki kontrwywiad do nas dotrze? Aż zapuszkują setki agentów KFR-u, których jedynym błędem okaże się znajomość ze Slivem Dartunghuverem?

- Niech mnie przesłuchują, nic nie powiem... - odparłem.

- Ależ ja nie mówię o przesłuchaniu - wyrzuciła z siebie wyprawiona z równowagi Lena. - Mówię o pobiciu na kwaśne jabłko, o wyrywaniu paznokci, o łamaniu palców...

- O roztrzaskiwaniu stawów młotkiem, o ściskaniu czaszek w imadle... - uzupełnił Khoyoulfaz.

- Czy to się panu podoba czy nie, to właśnie wisi nam nad głową! - ciągnęła Thorsen. - Więc jak, zakładamy ręce na piersi czy próbujemy zminimalizować straty?

- Nie wiem, co na to powiedzieć... - wybełkotałem. - Za dużo ode mnie wymagacie... Zastraszcie go, poddajcie naciskom, do pewnego stopnia, ale go nie zabijajcie...

- Ale przecież - przerwał mi Jones - wiedziałeś o tym, kiedy do nas dołączałeś, mały.

- Nie! - zawołałem. Nagle odniosłem wrażenie, że Jones rzucił mi właśnie koło ratunkowe. Uczepiłem się go z rozpaczliwą zawziętością.

- Nie, nikt nigdy mi o tym nie wspominał. Gdyby było inaczej, nigdy bym się nie zapisał!

- Ale musiałeś się domyślać, może nie? - naciskał zdumiony.

- W żadnym razie, zapewniam pana. - Jones nadal wyglądał na zaskoczonego. Być może odstąpiłby od swojego zamiaru, gdybym zdołał go przekonać, że organizacja zdradziła moje zaufanie. Ale Thorsen unicestwiła moje ostatnie nadzieje.

- To do Dartunghuvera bardzo podobne - oceniła pogardliwie. - Ma głowę na karku, ale robi z niej użytek tylko wtedy, kiedy mu się podoba. Wystarczy zastanowić się pięć minut, żeby pojąć, że w organizacji takiej jak KFR z pewnością zdarzały się już potknięcia. Trzeba być mocno ograniczonym, żeby przypuszczać, że zniknął same z siebie.

- Pani o tym wiedziała, Leno? To nie pierwszy raz, kiedy się to pani przytrafia? - przystąpiłem do kontrataku.

- Owszem, pierwszy. Ale nie powiem, że o niczym nie wiedziałam. Wiedziałam, gdzieś w głębi duszy. W głębi duszy wszyscy agenci to podejrzewają.

- Ja nie!

- W takim razie jest pan jeszcze głupszy, niż sądziłam.

Ta wymiana zdań wprawiła mnie w odrętwienie, z którego nie mogły mnie wyrwać nawet ohydne słowa Khoyoulfaza docierające do mnie jedynie fragmentarycznie. Po raz kolejny Thorsen miała rację. Nagle przypomniały mi się zasłyszane tu i tam frazy i wszystko nabrało sensu. Te środki odwetu, o których mówił Gunnar Eriksson, te straty uboczne, jak się wyraził jeden z wykładowców w Honolulu, odnosiły się do fizycznej eliminacji uciążliwych osób, które ośmieliły się stanąć KFR-owi na drodze. A ja, Sliv, jak wszystkie żółtodzioby, jak wszyscy moi młodzi, genialni koledzy, udawałem, że

nie rozumiem. Ja, który szczyłem się tym, że wszystkie scenariuszowe koncepcje rozwijam i drążę do granic możliwości, zatrzymałem się u bram pozorów, nie chcąc widzieć tego, co wszak aż kłuło w oczy, ani przyjąc do wiadomości, iż organizacja tak rozrośnięta jak KFR z pewnością niezliczoną ilość razy stanęła w obliczu zagłady i w zaistniałych okolicznościach nie miała innego wyjścia, jak tylko wyrwać grożące jej niebezpieczeństwo z korzeniami. A z tyłu głowy, skryte za tymi kłębiącymi się myślami, tkwiło dręczące mnie uporczywie pytanie, na które, jak jasno przeczuwałem, przyjdzie mi pewnego dnia odpowiedzieć, lecz którego wszystkich implikacji chwilowo nie ogarniałem rozumem: czy dołączyłbym do KFR-u, gdybym o tym wszystkim wiedział? Słyszałem własny głos żywo zapewniający Thorsen, że nigdy bym tego nie zrobił. Ale czy byłem tego pewien? Czy zaślepienie, któremu dałem dowód - w dużej mierze nieuświadomione, co jednak niczego nie usprawiedliwiało

- nie świadczyło, iż gdzieś w głębi siebie milcząco przystałem na reguły gry, nie chcąc ich znać? Później będę musiał to przemyśleć, akurat czasu na pewno mi nie braknie. Ale w chwili obecnej czekało mnie pilniejsze zadanie: powstrzymanie zabójstwa człowieka, którego sam wskazałem katom.

- Chyba mam pomysł - oświadczyłem. Thorsen, Jones i Khoyoulfaz zwrócili się w moją stronę. Wyglądało na to, że pochłonięci dopracowywaniem praktycznych szczegółów planu zapomnieli o mojej obecności. - Wezmę na siebie odpowiedzialność za całą tę aferę. Wyjaśnię, że to miał być żart. Udam wariata, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Thorsen potrząsnęła głową. -To się nie uda...

- Dlaczego? Szukają winnego, więc im go dostarczę.

- Nie sądzisz chyba, że KFR nie wziął takiej opcji pod uwagę

- wtrącił Jones. - Regulamin Operacji Specjalnych zakazuje nam porzucenia agenta.

- Ale wcale byście mnie nie porzucali! - zaprotestowałem. -Sam oddałbym się w ich ręce. I nic bym nie zdradził, nie macie się czego bać.

- Przykro mi - uciął Jones. - Nie ma takiej możliwości.

-Ale...

- Nie upieraj się, mały - poradził Khoyoulfaz.

Przeniosłem rozmowę na inny grunt, usiłując przekonać Jonesa (już dawno pojąłem, że w przypadku Khoyoulfaza nie ma co liczyć na wymianę tego, co powszechnie zwykło się nazywać myślami; zresztą i tak ostatecznie podporządkowywał się opinii swojego zwierzchnika), że nie rozważyliśmy jeszcze wszystkich opcji. Z początku wydawał się sceptyczny, ale potem zgodził się wysłuchać moich argumentów. Próbowałem zanalizować problem pod innym kątem, nie wiedząc tak naprawdę, dokąd mnie to zaprowadzi, licząc, że odkryję wyjście z sytuacji, które do tej pory umykało całej naszej czwórce. Prawie przez godzinę dawałem żarliwy popis elokwencji. Za każdym razem, gdy zaczynało mi brakować natchnienia, wyobrażałem sobie Johna Harkleroda z żoną oraz dwoma córkami. W mojej wizji dziewczynki były pyzaty blondynkami, dość ładnymi, z pewnością zaś szaleńczo przywiązany do ojca. Wtedy do głowy przychodził mi zawsze nowy pomysł i wypuszczałem się na kolejny szlak, choć raczej nie posuwałem się naprzód. Muszę przyznać, że Jones słuchał mnie z uwagą, a nawet starał się nadażyć za mglistymi meandrami mojego rozumowania. Khoyoulfaz nie zadał sobie tego trudu. Już na początku tyrady wyjął z kieszeni nóż, który po rozłożeniu dorównywał długością mojemu przedramieniu. Wsuwał ostrze pod paznokcie, za każdym pociągnięciem wyskrobując na brzeg stołu nitki gumiestego brudu. Jeśli chodzi o Thorsen, najwyraźniej czekała, by zobaczyć, na którą stronę przechyli się szala decyzji, żeby móc stanowczo ją poprzeć.

Gdy stało się oczywiste, że wyczerpałem już wszystkie sztuczki retoryczne, Jones dobił mnie jednym zdaniem.

- Dobrze - powiedział - myślę, że teraz możemy się zgodzić, że problem nie ma innego rozwiązania.

Thorsen przytaknęła potulnie, a potem zwróciła się do mnie, żebym i ja okazał poparcie. Khoyoulfaz wytarł ostrze noża palcami, a następnie złożył go ze złowieszczym szcęknięciem. Nie przysłuchiwał się ani słowu z mojej interwencji i spieszyło mu się, by wyruszyć na lotnisko. Perspektywa zabicia człowieka nie martwiła go w najmniejszym stopniu; podejrzewam, że wręcz go ekscytowała.

Ponieważ ja milczałem, Jones wyjął z niedużej torby kartkę oraz ołówkę, które wręczył Thorsen.

- To rozkaz wykonania misji - oznajmił. — Szef postawił swoją parafkę, ale potrzebuję też waszych podpisów.

- Czy to naprawdę konieczne? - spytała Thorsen. Patrząc z perspektywy czasu, sędzę, że ta wątpliwość podyktowana została nie tyle zakłopotaniem w związku z faktem, iż wysyła człowieka na śmierć, lecz obawą przed pozostawieniem trwałego śladu swojego współdziałania w sprawie, co pewnego dnia mogło obrócić się przeciwko niej.

- Tak nakazuje regulamin - odparł Jones.

- Toniemy w papierkowej robocie - narzekał Khoyoulfaz. Kartka papieru kontra ludzkie życie, a ten potwór śmie mówić o biurokracji!

Thorsen bardzo szybko przebiegła wzrokiem rozkaz wykonania misji i złożyła podpis. Później wstała, podeszła do mnie i podsunęła mi dokument.

- Może to pani zabrać, ja nie podpiszę.

- Niech pan nie robi z siebie durnia, Dartunghuver - syknęła Thorsen.

- Podpisze pan, oni stąd znikną i już nigdy więcej nie usłyszy pan o tej aferze.

- Nie uda wam się mnie zmusić - odrzekłem hardo.

W późniejszym czasie często zastanawiałem się nad tym gestem. Czym wytłumaczyć tak ewidentnie daremny opór z mojej strony? Prawdę mówiąc, choć przyznaję to ze wstydem, myślę, że w tamtej chwili poddałem się już w podstawowej kwestii. Los Johna Harkleroda został przesądzony i w żaden sposób nie mogłem tego zmienić. Mogłem za to odmówić umieszczenia swojego nazwiska w sąsiedztwie podpisów Thorsen oraz szefa rzeźników KFR-u i byłem zdeterminowany, by skorzystać z tego prawa, ostatniego, jakie mi przysługiwało. Co w istocie zakrawało na kpinę...

- Przykro mi, że do tego dochodzimy — zaczął Jones - ale tak po prawdzie nie ma pan wyboru. Jeśli odmówi pan złożenia podpisu, samodzielnie wykluczy się pan z KFR-u. A w świetle wszystkiego, co pan wie, nie będziemy mogli pozostawić pana przy życiu.

- Decyzja należy do ciebie - podsumował Khoyoulfaz z obojętnym wyrazem twarzy.

W ciągu kilku minut atmosfera uległa niezwykłemu ochłodzeniu. Jeszcze niedawno wspólnie szukaliśmy sposobów na usunięcie z równania nowozelandzkiego urzędnika, a teraz proszę, uzbrojony osobnik (wyraźnie widziałem wyrzuczenie pod marynarką w miejscu, gdzie trzymał pistolet) żądał, żebym podpisał świstek papieru, bo inaczej „nie będzie mógł pozostawić mnie przy życiu”.

Przeczytałem rozkaz wykonania misji. Charakteryzował się wyjątkową zwięzłością: „Ponieważ agenci drugiej klasy Thorsen i Dartunghuver przez swą nieostrożność narazili naszą organizację na niebezpieczeństwo wykrycia, poleciłem agentowi specjalnemu najwyższej klasy Jonesowi z Operacji Specjalnych, aby z pomocą wszelkich niezbędnych środków, w tym najbardziej ekstremalnych, złagodził skutki działania wyżej wymienionych agentów. Podczas wykonywania misji Jones może skorzystać z pomocy dowolnie wybranego agenta Operacji Specjalnych. Osoby czytające niniejszy dokument uprasza się o pełną współpracę z agentem Jonesem oraz o udostępnienie mu wszystkich zasobów ludzkich i logistycznych, których będzie potrzebował. Wydano w Berlinie, 5 sierpnia 1995 roku”. Nie udało mi się rozszyfrować parafki osoby sygnującej rozkaz, którą określono tytułem „Główny Kontroler”. Odcyfrowałem za to podpis Jonesa pod ręcznie dodaną adnotacją: „Przyjmuję misję”. Thorsen naskrobała swoje nazwisko bez żadnych dodatkowych formalności, pozostawiając mi miejsce po prawej stronie kartki. Uniosłem głowę. Wlepiły się we mnie trzy pary oczu. Nagle wybuchnąłem. Cała wściekłość, którą tłumilem w sobie od rana, teraz gwałtownie eksplodowała:

- No dalej, Thorsen, proszę mi powiedzieć, że śnię. Przecież nie po to wstąpiliśmy do KFR-u. Pani... sam nie wiem... Ale ja tylko szukałem rozrywki. Naprawdę zabawnie tworzyło się zmyślane postacie, opracowywało anegdotki, podrabiało źródła. Nikogo nie krzywdziliśmy i mieliśmy przynajmniej złudzenie, że dysponujemy odrobiną władzy. Pani, Gunnar i inni, wszyscy wspominaliście o wojnie, aresztowaniach, torturach, ale ja nigdy nie brałem tego serio. W moim odczuciu stanowiło to jedynie dodatkowy element



gry, sposób na ubarwienie reguł. Kto mógłby mieć jakieś „ale” do takich jak my, do ludzi, którzy spędzają dni na zapełnianiu na papierze głębin Bałtyku? Nie powie mi pani chyba, że istotnie zagrażamy światowemu bezpieczeństwu!

- Ostrzegałam pana, Dartunghuver - wymamrotała Thorsen - ale pan mnie nie słuchał.

- Nie, to prawda, nie słuchałem pani. Ale co to za pomysł, żeby mówić zagadkami! A tak poza tym, to musiała pani zdawać sprawę, że nie jestem tak zaangażowany jak pani. Tyle razy mi to pani wyrzucała!

- Nie wiem - przyznała szczerze. - Zawsze wykazywał pan taką bez troskę...

- Boja się bawiłem, Leno. To wszystko to tylko gra, nic więcej.

- Zapewniam cię, że to wcale nie gra - sprostował Khoyoulfaz.

- Wszystko bardzo pięknie - ciągnąłem. - Zgoda, spieprzyłem sprawę. Ale nie musimy zaraz z tego powodu wysyłać człowieka na śmierć.

- Już za późno, Sliv - rzuciła Thorsen całkiem zagubiona. Nigdy jej takiej nie widziałem. Właśnie w przeciągu jednego poranka straciła wszystkie znaki orientacyjne, którymi się dotąd kierowała. - Oni są od nas silniejsi, nic nie poradzimy.

- Proszę tak nie mówić, to zbyt łatwe. Bo z tego wynika, że skoro Operacje Specjalne przysłały nam dwóch drabów, to musimy się poddać. A odpowiedzialność, pomyślała pani o tym? O zabójstwie ciężącym na sumieniu się nie zapomina. Sądzi pani, że po tym wszystkim będzie jeszcze mogła spojrzeć sobie w twarz?

- Niech się pan zamknie - poleciła błagalnie. - Niech pan nie utrudnia sprawy. Proszę podpisać papier, żeby oni mogli ruszyć w dalszą drogę.

- Bo mamy akurat coś niecoś do załatwienia - dodał Khoyoulfaz.

- Słyszysz go pani, Leno? I to dla ochrony tego rodzaju typów chcemy wyeliminować ojca rodziny? A panowie? Jones, Khoyoulfaz? Na pewno pamiętacie dzień, w którym wszystko się dla was zmieniło, kiedy wasz szef wezwał was do siebie i kazał zamordować człowieka. Co mu odpowiedzieliście? „Tak, szefie”, „dobrze, szefie”?

- Właśnie tak - odparł Khoyoulfaz. Chyba uznał, że to przedstawienie ciągnie się już wystarczająco długo, bo złożył nóż, który wyjął ponownie podczas mojej dyskusji z Thorsen. - To co, idziemy? - zwrócił się do Jonesa. Spojrzał na mnie z rozbawieniem. - Nie proponuję, żebyś towarzyszył nam w drodze na lotnisko...

- Nigdzie nie pójdziecie - oświadczyłem.

- Patrzcie państwo - zakpił Jones.

- Nie opuście tego pomieszczenia - powtórzyłem, zasłaniając sobą drzwi. Thorsen przyglądała mi się z przestraszeniem. Khoyoulfaz znalazł się przy mnie w dwóch krokach.

- Zabieraj się stąd, przyjacielu.

- Nie ma mowy!

- Głupiś - orzekł Azerbejdżanin i ogłuszył mnie jednym ciosem.

Odzyskałem zmysły nazajutrz po południu, apatyczny i dręczony nudnościami. Potrzebowałem kilku minut, by dojść do siebie. Jones i Khoyoulfaz odurzyli mnie i zanieśli do mieszkania, aby się upewnić, że nie przeszkodzę im w ich planach. W chwili obecnej złowieszczy zamiar musiał już zostać wykonany. Na samą myśl o tym chwyciły mnie mdłości, więc pobiegłem do łazienki. O dziwo, ostatecznie wcale nie zwymiotowałem, co pogłębiło we mnie poczucie wstydu i winy.

Była sobota. Wstąpiłem do biura, żeby zostawić swoją rezygnację na biurku Thorsen. Nie rozwodziłem się nad przyczynami tej decyzji, znała je aż za dobrze. W drugim piśmie, skierowanym do dyrektora Compañii Argentina del Reaseguro, zwalniałem się ze stanowiska w jego firmie. Twierdziłem, że muszę wrócić do Europy z powodów osobistych, i prosiłem o pilne skrócenie okresu wypowiedzenia (choć prawdę powiedziawszy, praktycznie nie zostawiłem mu wyboru). Było mi trochę głupio z powodu Osvalda Ramireza, ale nie wyobrażałem sobie, bym mógł spędzić w tych murach chociaż dzień dłużej. Zostawiłem też po krótkiej notce dla Alexa, Sergia i każdego z kolegów z zespołu. Wszystko przygotowałem zawczasu, żeby jak najkrócej przebywać w siedzibie Compañii.

Później wróciłem do siebie, aby się spakować. Mniejsza z meblami, sprzętem gospodarstwa domowego czy kaucją, wiedziałem, że te pieniądze tak czy owak paliłyby mi palce niczym judaszowe trzydzieści srebrników. Wszystko bez problemu zmieściło się w dwóch walizkach oraz kufrze podróżnym. Zrobiłem selekcję posiadanych rzeczy, zostawiając za sobą część ubrań, książek, część mojego ży-

cia. Najpierw chciałem też porzucić różę pustyni, którą dwa lata wcześniej wręczył mi Djibo - trofeum, z którego byłem taki dumny, na które spoglądałem każdego wieczoru przed zaśnięciem - ale po namyśle znalazłem dla niej miejsce na dnie walizki i zabezpieczyłem parą skarpet. W końcu stanowiła dowód. Wtedy zdałem sobie sprawę, że to jedyny przedmiot, który mógłbym pokazać policji na poparcie moich słów. Błyskotka. Doprowadziło mnie to do łez.

Wieczorem zadzwonił telefon. Uruchomiłem automatyczną sekretarkę i w salonie rozbrzmiał głos Leny Thorsen:

- Musimy porozmawiać, Dartunghuver. Jeśli pan tam jest, proszę odebrać.

Pół godziny później Lena zapukała do drzwi, najpierw delikatnie, a potem coraz mocniej.

- Niech pan otworzy, Dartunghuver - odezwała się po is-landzku. - Wiem, że jest pan w domu, widziałam pana przez okno. Zajrzałam do biura i znalazłam pańską rezygnację. Nie może pan odejść w ten sposób. Musimy porozmawiać.

Powstrzymałem się przed otwarciem drzwi i rzuceniem jej w twarz, co sądzę o niej i jej koleżkach. Donikąd by nas to nie zaprowadziło. Stanęliśmy w obliczu tego samego kryzysu, kryzysu, w którym stawką było życie Johna Harkleroda. Thorsen pokazała, że wyżej ceni osobisty interes niż moje wezwanie do sprawiedliwości. Pogrzyżyła mnie, żeby ratować własną skórę. Nie miałem jej nic więcej do powiedzenia.

Dobijała się do drzwi przez dłuższy czas, aż sąsiad z klatki, poważnie wyprowadzony z równowagi, zagroził, że wezwie policję.

- Chłopak nie chce z tobą gadać - doleciała mnie jego uwaga wygłoszona z typową argentyńską bezpośredniością. - Znajdź sobie innego, to nie powinno być trudne.

Skryty za zasłoną, patrzyłem, jak Lena wychodzi z budynku i odjeżdża swoim kabrioletem.

Opuściłem Córdoba następnego dnia, nie oddzwoniwszy do niej. Znowu spędziłem jakieś trzydzieści godzin w samolocie. Tym razem zrozumiałem każde słowo wypowiedziane przez stewardesę linii Aerolineas. Nie sprawiło mi to najmniejszej przyjemności. A więc mówiłem po hiszpańsku: wielka mi rzecz, miliony ludzi

mogły powiedzieć o sobie to samo. Ale ja przyczyniłem się także do śmierci człowieka; ten klub liczył sobie dużo mniej członków.

Moją matkę zaskoczył, ale i zachwycił mój widok. Wyjaśniłem jej, że nudziłem się w pracy, więc wróciłem, by zamieszkać w Europie. Zaproponowałem, że spędzę kilka pierwszych tygodni u niej i poświęcę ten czas na zaplanowanie swojej przyszłości. Z jej oczu wyczytałem, że nie całkiem mi uwierzyła, ale wcale jej to nie obeszło. Odzyskała syna i tylko to się liczyło. Wprowadziłem się do pokoju, który zajmowałem jako nastolatek.

Powiedzieć, że życie w Husaviku nie bardzo przypomina to prowadzone przez agenta KFR-u, to mało. Ów pobyt u matki w lecie 1995 roku uświadomił mi, na jakie wyrzeczenia zdobywałem się od czterech lat, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. A tak w ogóle, to jak chłopak ze wsi taki jak ja mógł pozwolić, by na całe dni zamykano go w biurze, siedemset kilometrów od morza?

Na nowo odkryłem zalety życia na świeżym powietrzu. Rano, począwszy od godziny piątej (w sierpniu na Islandii słońce prawie wcale nie zachodzi), jeśli nie wypływałem z okolicznymi rybakami, aby wyciągać sieci, pomagałem matce przy hodowli. Naciskała, żebym jadał z nią kolacje, ale perspektywa konieczności udzielania odpowiedzi na jej pytania skłaniała mnie do ucieczki; wolałem przekąsić coś w towarzystwie drwali z Husaviku. Ci szorstcy mężczyźni, wśród których znalazło się paru przyjaciół z dzieciństwa, traktowali mnie początkowo z pewną dozą nieufności; przekonałem ich do siebie, perorując o skandynawskich lasach, na których znałem się dość dobrze od czasu służbowego wyjazdu do Danii jeszcze za Baldura, Furusetta i Thorberga. Ostatecznie zdobyłem sobie ich uznanie, kiedy odtrąciłem oferowaną mi przez brygadzystę wypłatę. Jeśli będę pracował za darmo, to może wtedy...

Na co mi były pieniądze? Chętnie oddałbym wszystko, co posiadałem, żeby ktoś wyczyścił mi mózg. Na szczęście każde uderzenie siekierą na kilka sekund przeganiało z mojej głowy wspomnienie Johna Harkleroda. Intensywny wysiłek fizyczny i wywołane nim zwierzęce posapywania działały niczym terapia. Zakotwiczały mnie w rzeczywistości tak mocno, że zagadnienia intelektualne, które od czterech lat stanowiły moją jedyną pożywkę, zostawały zepchnięte

na dalszy plan. Zdarzało się, że wspominałem Buszmenów, **Bettler-kóniga** czy galosza, ale nigdy nie trwało to długo. Zawsze było coś innego do zrobienia, baran, o którego trzeba się było zatroszczyć, drzewo, które należało ścinać...

Wkrótce pojawił się nowy problem: Gunnar usiłował się ze mną skontaktować. Nazajutrz po moim przyjeździe przysłał mi telegram (czyżby namierzał moją kartę płatniczą, czy też odgadł, że wrócę do rodzinnego domu niczym zbiegły więzień?) składający się z trzech słów: „Bardzo mi przykro”. Teraz telefonował o różnych porach dnia i za każdym razem trafiał na moją matkę, która sądziła, że dawny szef pragnie mnie przekonać do powrotu do Baldura, Furuseta i Thorberga. Pewnego wieczoru, kiedy zachwalała mi uroki badań środowiskowych („dobry zawód, który chyba ci pasował”), wziąłem kartkę i napisałem do swojego byłego mentora. Słowa spływały z pióra z zaskakującą łatwością.

#

*Gunnarze,*

#

*chciałbym napisać „Drogi Gunnarze”, ale to ponad moje siły. Kochałem Pana, przez pewien czas traktowałem Pana nawet jak ojca. Ale Pan mnie zdradził, sprawiając, że straciłem szacunek do siebie, a tego nigdy Panu nie wybaczę. Czemu więc do Pana piszę? Niewątpliwie po to, by ulżyć swojemu sumieniu. A także — i przede wszystkim — żeby poinformować Pana, co przeżywam już od dwunastu dni. Kiedy odzyskałem przytomność po tym, jak zostałem skutecznie uciszony przez brutali z Operacji Specjalnych (ale może nie wiedział Pan o tym epizodzie, który w smutny sposób ujawnia metody działania KFR-u?), na Nowej Zelandii była szósta rano, co oznaczało, że stałem się mordercą. Pośrednio, powie Pan, a jednak mordercą. Trzy osoby oplakiwały właśnie mężczyznę, który zawinił jedynie tym, że spotkał na swojej drodze niezdarnego młodego agenta.*

*Fakt, że Pan znajdował się dwadzieścia tysięcy kilometrów od miejsca zbrodni, nie przeszkodzi mi w uznaniu Pana współwinnym. Porównałbym Pańską rolę do tej odgrywanej przez dróżnika, który przyjmował konwoje w obozach koncentracyjnych. Ci ludzie nigdy nie stanęli przed trybunałem historii, a jednak nikt nie wątpi w spoczywającą na nich odpowiedzialność. Nie wiem, jak może Pan żyć z tą świadomością. Z pewnością przychodzi to Panu łatwiej niż mnie, bo podejrzewam, że podczas gdy mną tak mocno dziś ona wstrząsa, Panu towarzyszy już od wielu lat.*

*Jestem wrakiem człowieka, Gunnarze, i niech mi Pan nie mówi, że czas uleczy moje rany. Nie wierzę w to, a poza tym, wcale tego nie chcą. Popelnilem ciężką zbrodnię, więc zasługuję na ciężką pokutę. W tej chwili tego właśnie doświadczam i trudno mi na nowo wpasować się w świat żyjących, mimo że wiejskie zakątki Islandii dostarczają mi próbkę tego, co w ludzkości najlepsze. W każdej minucie myślę o Johnie Harkleroadzie, któremu jego zabójcy nie wyjaśnili może nawet, dlaczego umiera. Mam nadzieję, że nie cierpiał. Niestety nawet tego nie jestem pewien. Kochałem KFR oraz gry, w które grywaliśmy. Ale musicie darzyć swoich agentów pogardą, skoro ukrywacie przed nimi reguły. Prawdopodobnie dlatego, że w głębi duszy wiecie, iż żaden by ich nie zaakceptował. Zwalniam Pana z obowiązku odpowiadania na ten list. Proszę mi oszczędzić tanich wymówek.*

#

*Sliv*

#

*PS. Niech Pan przestanie nękać mnie i moją matkę. Uważam, że po tym wszystkim mam prawo prosić Pana chociaż o tę uprzejmość.*

#

Minęło kilka tygodni. Moja wrażliwość malała. Poczucie winy nie znikło, ale rozpacz stopniowo ustępowała miejsca swego rodzaju znieczuleniu, coraz to większej gruboskórności, czego dowiodła moja reakcja w dniu, kiedy, wracając z połowu, z daleka dostrzegłem na molo sylwetkę Gunnara Erikssona.

Miesiąc wcześniej prawdopodobnie poszukałbym schronienia w ładowni albo poprosił kapitana, żeby wysadził mnie wprost przy brzegu. A dziś perspektywa rozmowy z Gunnarem wydawała mi się już mniej niestosowna, a nawet, jeśli mam być całkiem szczery, niemalże rozsądna. Doskonale rozumiałem, że nie mogę oddzielić grubą kreską czasu spędzonego w konsorcjum, dopóki po raz ostatni nie pomówię z człowiekiem, który mnie do niego wciągnął.

Gunnar prawie wcale się nie zmienił. „Bardzo mi przykro” - napisał w telegramie; spodziewałem się więc, że ujrzę wyostrome rysy, wyniszczone ciało. Nic podobnego. Było mu przykro, ale zachował formę, twarz miał trochę opuchniętą, brzuch nieco bardziej zaokrąglony. Och, jasne, przybrał odpowiednią do okoliczności minę, poważną i uroczystą, ale musiałby dużo bardziej się postarać, żeby mnie obłaskawić.

- Witaj, Sliv - odezwał się, gdy dołączyłem do niego na nabrzeżu.

- Dzień dobry, Gunnarze - odparłem tak chłodno, jak się tylko dało. Nie wyciągnął do mnie ręki. Wiedział, że bym jej nie uściśnął.

- Jeśli zechciałby mi pan poświęcić parę minut, to w porcie widziałem jedną knajpkę.

- Znam ją, dziękuję - odrzekłem sucho. - Dziesięć minut i ani chwili dłużej.

Szliśmy ramię w ramię bez słowa, aż dotarliśmy do niewielkiego bistra. Usiedliśmy w głębi sali, ja zamówiłem kawę po irlandzku, Gunnar swą nieodłączną herbatę. Odczekał, aż kelnerka się oddali, a wtedy przemówił:

- Dostałem pański list, nieskończenie żałuję...

- A co ja mam powiedzieć! - zakpiłem.

- Z pewnością doświadczył pan niezwykle trudnych chwil - ciągnął Gunnar, udając, że nie zauważył bijącej z moich słów agresji. - Powinien pan być do mnie zadzwonić, może bym pomógł.



- Wątpię. Niech pan posłucha, Gunnar, nie będziemy owijać w bawełnę. Chciał się pan ze mną zobaczyć i oto jestem. Jeżeli ma mi pan do zaoferowania jedynie własne żale, to może pan wracać do Reykjavíku.

Kelnerka wybrała ten właśnie moment, by przynieść nasze zamówienie. Podczas gdy stawiała napoje na stole, Gunnar nadaremno próbował pochwycić moje spojrzenie.

- Posłuchaj, Sliv. - Po raz pierwszy zwrócił się do mnie per „ty”. - Twój list bardzo mnie zabolął. A jednak nie mogę cię winić. Na twoim miejscu pewnie zareagowałbym tak samo.

- A więc - wtrąciłem gorzko - dlaczego mnie pan okłamał?

- Tak naprawdę wcale cię nie okłamałem - odpowiedział łagodnie. - Jedynie ukryłem przed tobą pewne kwestie. Nie zawsze wszystko jest tak proste, jakbyśmy sobie życzyli.

- „Świat jest skomplikowany”, dość oklepana wymówka - rzuciłem ironicznie.

- Zamieńmy się na chwilę miejscami i postaraj się rozważyć sytuację z mojego punktu widzenia. Moje zadanie polega na rekrutowaniu agentów do stacji w Reykjavíku. To trudna praca, wymagająca nieskończonej subtelności oraz ostrożności. Przy dobrych wiatrach udaje mi się zwerbować jednego agenta rocznie, w wyjątkowych wypadkach dwóch. Jeśli rok jest kiepski, nie znajduję nikogo. Nie skarżę się, moi koledzy osiągają bardzo podobne wyniki. A teraz, czy sądzisz, że zwiększyłem swoje szanse, tłumacząc kandydatowi na agenta, że jego błędy mogą kosztować kogoś życie? Kto w takich okolicznościach odważyłby się podjąć wyzwanie? Swoją drogą, gdyby któregoś kandydata nie przeraziła ta perspektywa, jak by to o nim świadczyło?

Nie wierzyłem własnym uszom.

- Naprawdę, Gunnar, czy zdaje pan sobie sprawę z tego, co mówi? Tu nie chodzi o to, czy ucierpiałyby na tym pańska statystyka rekrutacji, ale o poszanowanie wolnej woli kandydatów.

- Masz całkowitą rację, ale w głębi duszy wiesz, że to niemożliwe. Co byś sobie o mnie pomyślał, gdybym rozpoczął dyskusję w taki sposób? Powiem ci: uznałbyś, że należy mnie zamknąć i natychmiast donieść na policję.

-1 dobrze bym zrobił!

- Nie, nie sędzę - odparł, jakby zastanawiał się nad tą kwestią już tysiące razy - Widzisz, życie w zbiorowości wymaga pewnych poświęceń; to, przez co teraz przechodzisz, jest jednym z nich. Nawet w ustroju demokratycznym obywatel musi czasami zaakceptować rozwiązanie czy pogląd, z którym osobiście się nie zgadza. KFR zrzesza tysiące, może nawet dziesiątki tysięcy agentów. Nie byłoby sprawiedliwie, gdyby zostali aresztowani, a niektórzy nawet rozstrzelani, z powodu błędu popełnionego przez młodego agenta drugiej klasy z biura w Córdobie.

Wciąż ten sam argument: twoje błędy mogą kosztować życie niewinnych ludzi. Miałem czas, by starannie go rozważyć.

- Rozumiem pańskie porównanie, Gunnarze, ale uważam je za zwodnicze. Obywatel, który nie zgadza się z rządzącymi, może uczeplić się dwóch kwestii. Może powiedzieć sobie, że podjęta przez nich decyzja, mimo że narusza jego osobisty światopogląd, służy wyższemu interesowi narodu albo że została pośrednio zatwierdzona przez większość współobywateli, z czym wiąże się zresztą fakt, że społeczeństwo w każdej chwili może wybrać nowy rząd. W konsorcjum nie widzę podobnych opcji. Po pierwsze, ja, agent drugiej klasy Dartunghuver, nie jestem w stanie stwierdzić, czy eliminacja Johna Harkleroda przysłużyła się interesom KFR-u, ponieważ nic o nich nie wiem; no właśnie, już prawie cztery lata pracuję dla tej organizacji, nie mając pojęcia, jaki cel jej przyświeca. Poza tym, muszę podporządkowywać się przełożonym, nawet jeśli wydają mi się niekompetentni. Nie, doprawdy, porównywanie KFR-u do demokracji wydaje się nie na miejscu.

- W tym, co mówisz, tkwi wiele prawdy, Sliv - orzekł Gunnar po chwili namysłu. - Nie wybieramy naszych szefów, ale, co ważniejsze, żaden z nas nie zna motywu działania KFR-u...

- Pan też go nie zna? - wykrzyknąłem.

- Nie - potwierdził marzycielskim tonem, mieszając herbatę łyżeczką.

- Nie znam i myślę, że nigdy nie poznam. To najlepiej strzeżony sekret organizacji, choć, jak wiesz, tych nie brakuje. Ale ty pewnego dnia go poznasz, dałbym sobie za to rękę uciąć.

- Ach, skoro tak, Gunnarze, to niech mi pan wytłumaczy, jak może pan werbować agentów, nie wiedząc, na czym polega ich misja. - Mimo woli znów ogarnęła mnie ciekawość.

- Ależ ja wiem, na czym polega ich misja: na tworzeniu scenariuszy i fałszowaniu rzeczywistości. Wiem, w jaki sposób się to odbywa, brakuje mi tylko odpowiedzi na pytanie: „po co”. Nie twierdzę, że nie cierpiałem z tego powodu. Byłem młodym agentem, któremu wszystko się udawało, jak ty. Ale w przeciwieństwie do ciebie, ja myślałem tylko o jednym: żeby odkryć cele KFR-u; każdy mój ruch, każde działanie miały mnie przybliżyć do rozwiązania tej zagadki...

- No i? - spytałem niecierpliwie. Gunnar Eriksson jeszcze nigdy nie opowiadał mi tyle o sobie.

- No i to był błąd. Nasi zwierzchnicy nie lubią szperaczy. Z powodów, których wyjaśnienie zajęłoby zbyt wiele czasu, przestałem awansować i pojąłem, że sekret KFR-u na zawsze pozostanie przede mną zakryty. To był najgorszy okres w moim życiu.

- A potem?

- Potem przestałem zadawać to pytanie. Z tego co mi wiadomo, KFR ma tylko jeden cel: przetrwać. Staram się wszystkie swoje decyzje podejmować w oparciu o to założenie: czy kandydat siedzący po przeciwnej stronie biurka przyczyni się do wydłużenia istnienia KFR-u, czy też doprowadzi go do zguby?

- W moim przypadku się pan pomylił - oświadczyłem gorzko.

- Przyszłość pokaże. - Spojrzał mi prosto w oczy i dorzucił: - Sliv, chciałbym, żebyś mi uwierzył, choć rozumiem, że po tym, co zaszło, nic sobie nie robisz z moich zapewnień. Tego rodzaju incydenty zdarzają się bardzo, bardzo rzadko.

- To znaczy? - dociekałem. I zaraz tego pożałowałem, bo można by teraz odnieść wrażenie, że jeśli padnie jakaś niska liczba, przestanę się kłopotać.

- Nie wiem, może dwa lub trzy razy do roku.

- To dużo... - wymamrotałem.

- W skali globalnej, nie aż tak dużo - zaproponował Gunnar. - Nie miałeś szczęścia, to wszystko...

Czułem, że powoli i mnie opanowuje przepelniający Erikssona spokój. Usiłowałem się przed nim bronić, przywołując wspomnienie Khoyoulfaza.

- Jest coś jeszcze, Gunnar. Te typy z Operacji Specjalnych nie były takie jak pan czy ja. Oni byli okrutni...

- Jak się nazywali?

- Szef miał na nazwisko Jones. Panamczyk. Nie potrafię go opisać. Twardziel, okropnie chłodny, ale mimo wszystko profesjonalny. Naprawdę próbował znaleźć wyjście z sytuacji. Ale ten jego podopieczny... Azerbejdżanin nazwiskiem Khoyoulfaz. Złakniony krwi brutal, który zabija dla przyjemności. Wspominał o agencie, który dopuścił się zdrady, niejakim Leonidzie, powinien pan zobaczyć, jak mu wtedy błyszczały oczy. Jak KFR może tolerować w swoich szeregach takich ludzi?

- Nie znam żadnego z nich. Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, to sprawa wygląda bardzo poważnie. Spróbuję się czegoś dowiedzieć o tym Khoyoulfazie. Może Główny Inspektorat ma na niego teczkę.

Później nastąpiła długa chwila ciszy, podczas której dopiłem kawę. Kelnerka przyjęła zapłatę za napoje, zabrała naczynia i przetarła blat szmatką. Wreszcie to Gunnar podjął przerwana rozmowę:

- Co pan teraz robi?

Zadawałem sobie to pytanie od dwóch miesięcy, ale jak dotąd o niczym nie postanowiłem.

- W najbliższym czasie zamierzam wybrać się w odwiedziny do siostry w Niemczech. Odmalować mamie płot wokół zagrody. Trochę popodróżować.

- Ale co później?

- Później poszukam pracy na kontynencie, może w sektorze badań środowiskowych. Wtedy wyszłoby na to, że KFR przynajmniej wyuczył mnie zawodu...

- Nie możesz tak po prostu złożyć broni, góra ciągle na ciebie liczy.

- Zrezygnowałem, Gunnar, odzyskałem wolność. Nic nie powiem, jeśli to ich niepokoi.

- Nie o to chodzi. Nie słyszałeś? Twoje wypowiedzenie nie zostało przyjęte.

- I co jeszcze? Będą musieli pogodzić się z faktem, że moje życie należy do mnie, przynajmniej dopóki nie dowiodą, że jest inaczej.

- Oczywiście, Sliv. Wiedz tylko, że nikt nie chowa do ciebie urazy. Komisja Dyscyplinarna pewnie dla zasady nałoży jakąś sankcję...

- Komisja Dyscyplinarna? - powtórzyłem ze zdziwieniem.

- Ależ tak. Widać, że nie jesteś na bieżąco. Zbiorą się w przyszłym tygodniu, żeby zbadać sprawę twoją i Thorsen.

- Thorsen też?

- Oczywiście. Była twoją bezpośrednią przełożoną, więc i na niej spoczywa odpowiedzialność. Zresztą podejrzewam, że wlepią jej cięższą karę niż tobie.

Co, moim zdaniem, wcale nie było sprawiedliwe. A jednak nie wykreślono mnie jeszcze z listy członków. Nie mogłem się powstrzymać przed zadaniem Gunnarowi pytania:

- Co dokładnie jej grozi?

- Sześciomiesięczne zawieszenie. Może nawet roczne. Znając ją, źle znieście pójdzie w odstawkę. A jeśli chodzi o ciebie...

Czyżby wyczuł, że dowiadywałem się o los Thorsen, bo nie miałem odwagi zagadnąć wprost o mój własny?

- Och, to nieistotne - rzuciłem.

- Dostaniesz najwyżej pół roku.

- To nieistotne - powtórzyłem.

- Ostatnia sprawa - oznajmił Gunnar, podnosząc się z miejsca. - Twoja przyjaciółka Magawati próbuje się z tobą skontaktować. Dzwoniła do Thorsen, a ta poinformowała ją, że zrezygnowałaś. Nie wiem, skąd wytrzasnęła mój numer, ale wczoraj zostawiła wiadomość, prosząc, żebym jak najszybciej do niej oddzwonił. Co mam jej powiedzieć?

Tego się właśnie obawiałem. Wiedziałem, że ten moment nadejdzie, ale wciąż nie byłem gotowy, by się z nim zmierzyć.

- Proszę jej tylko przekazać, że mam się dobrze - odparłem drżącym głosem. - Albo nie, niech jej pan powie, że żyję. Kiedyś jej to wyjaśnię.

Dziesięć dni później przyszedł list z Toronto. Komisja Dyscyplinarna postanowiła zawiesić mnie w pełnieniu wszystkich obowiązków agenta KFR-u na sześć miesięcy. Przez ten okres miałem nie otrzymywać wypłaty. Przysługiwały mi dwa tygodnie na odwołanie się od decyzji.

Tego samego dnia poleciałem do Bremy, żeby odwiedzić siostrę. Mathilde była ode mnie sześć lat starsza. Ta różnica wieku tłumaczy, dlaczego jako dzieci nigdy nie byliśmy ze sobą bardzo blisko. Jednak wraz z upływem lat przepaść zaczęła się zamykać, a my odkrywaliśmy, że łączy nas coraz większa zażyłość. W roku 1989 Mathilde wyszła za Horsta Menschela, Niemca, którego poznała podczas stażu w Kolonii i z którym pozostawała w kontakcie przez kilka lat. W 1990 roku zamieszkali w Bremie, gdzie Horst zajmował ważne stanowisko (tak przynajmniej twierdziła moja matka) w przedsiębiorstwie chemicznym. Mathilde na jakiś czas zrezygnowała z pracy, żeby zająć się małym Ulim, urodzonym w roku 1992, ale ponieważ chłopiec chodził już teraz do przedszkola, podjęła przerwane studia z rysunku, których ukończenie miało dać jej prawo do nauczania w gimnazjum.

Mathilde wyjechała po mnie na lotnisko. Ostatnio widziałem się z nią dwa lata temu, a obecna wizyta w Niemczech była dopiero trzecią w całym moim życiu. Odniosłem wrażenie, że siostra wygląda jeszcze bardziej kwitnąco niż zazwyczaj. Trzeba przyznać, że Mathilde ma predyspozycje do bycia szczęśliwą. Nic jej nie dosięga i nawet w najgorszych okolicznościach, jak po śmierci ojca, wyka-

zuje się zaraźliwym spokojem ducha. Tym razem też miała mi do zakomunikowania jedynie dobre nowiny. Ich mała rodzina wprowadziła się ubiegłej zimy do dużego domu, który kazała dla siebie wybudować w Lilienthal, na przedmieściach Bremy. Horst dostał właśnie z dawna upragniony awans, a jego pensja zauważalnie wzrosła. Uli zaś miał wkrótce doczekać się braciszka lub siostrzyczki: Mathilde była w drugim miesiącu ciąży, a ponieważ spodziewała się mojego przyjazdu, postanowiła poinformować mnie jako pierwszego. Złożyłem należne gratulacje, a potem, nie wiedząc właściwie dlaczego, uniosłem dłoń do kieszeni marynarki, gdzie upchnąłem otrzymany tego rana list z Toronto. Witaj w prawdziwym świecie, Sliv, pomyślałem.

Horst wcześniej wrócił z pracy. Najpierw sądziłem, że to szczególna okoliczność, o którą wystarał się na moją cześć, lecz wytłumaczył mi, że w Niemczech nawet kierownictwo wychodzi z biura o siedemnastej. Dwa razy w tygodniu po kolacji wybierał się na trening firmowej drużyny piłki nożnej. Ponieważ wiedział, że ja również gram, wymusił na mnie obietnicę, że któregoś wieczoru będę mu towarzyszył.

Koło osiemnastej zasiedliśmy do stołu, do tradycyjnej kolacji przygotowanej przez Mathilde: podała wędliny oraz sałatkę ziemniaczaną, a do picia jasne piwo. Kiedy przyszła pora na deser, uroczyście wręczyłem małemu Uliemu drewniany pociąg, typowy wyrób rzemieślniczy z Husaviku. Mathilde, rozpoznając model, którym sama bawiła się w dzieciństwie, zaśmiała się radośnie i klasnęła w dłonie. Podczas gdy Uli zapoznawał się z nową zabawką, Horst rozsiadł się w fotelu - który wyraźnie należał do niego i nikogo innego - po czym włączył telewizor, żeby obejrzeć wiadomości. Wtedy po raz pierwszy od powrotu do Europy dotarły do mnie jakieś wieści ze świata. Ja, który w Córdoba na co dzień czytywałem z dziesięć różnych gazet, od sześciu tygodni zadowalałem się pisemkiem „Posłaniec z Husaviku”, w całości opracowywanym przez nauczyciela z podstawówki i powielanym na szkolnej kserokopiarce, sympatycznym, acz nie mogącym się pochwalić otwartością na zagranicę. Chętnie nadrobiłbym zaległości, ale Horst miał inne plany. Zabrał się za szkicowanie mi swoich perspektyw zawo-

dowych w firmie Rheinberger. Miesiąc temu awansowano go na stanowisko szefa eksportu w dziale propylenu. Z jego wywodów wywnioskowałem, że posiadał kompetencje skromniejsze, niż był skłonny przyznać, i że nie wiedział wiele o świecie poza Europą Zachodnią. Ale jak zauważył z zadowoleniem, dyrektorzy Rhein-bergera nie powierzyliby takiej odpowiedzialności osobie w jego wieku, gdyby już nie szykowali dla niej prawdziwie ważnej posady. Na chwilę obecną priorytet stanowiła dynamizacja sprzedaży i podniesienie zysków. Ostatnie lata okazały się dla propylenu trudne, ale pojawiły się znaki świadczące, że na niemieckim i francuskim rynku coś drgnęło. Pozostawało mieć nadzieję, iż dobra nowina rozprzestrzeni się na Włochy i Hiszpanię, dwa kraje, które jak dotąd pozostawały nieczułe na uroki propylenu. Jeśli chodzi o Portugalię, Horst postawił sobie za cel, by raz na zawsze ustanowić z nią relację handlową. Przedstawił mi w zarysie plan działań, które zamierzał podjąć, i spytał mnie o zdanie. Za bardzo się nie wysilając, odpowiedziałem, że uważam jego zamysł za niezwykle imponujący i że w tych warunkach nie wyobrażam sobie, by portugalscy przemysłowcy mieli długo obstawać przy swoim antypropylenowym obskurantyzmie.

Kiedy zrobi już porządek z Półwyspem Iberyjskim, Horst będzie mógł zacząć marzyć o stanowisku na miarę swoich umiejętności - czemu właściwie nie miałby od razu zostać dyrektorem sprzedaży, którą to funkcję pełnił obecnie znany ze swej niekompetencji Hans-Harald Durchstetter? Jego nazwisko opatrzył Horst porozumiewawczym spojrzeniem, jakby chciał zasugerować, że reputacja rzeczonoego Durchstettera wykracza poza granice kraju. Właśnie miałem temu zaprzeczyć, kiedy Mathilde wróciła po ułożeniu Uliego do snu i przerwała mężowi, proponując, żebyśmy obejrzeliby albumy ze zdjęciami. Zgodziłem się, choć wcale nie miałem na to ochoty. Zmęczenie zaczynało dawać mi się we znaki; pozwalałem, by Mathilde komentowała fotografie, a sam ponownie analizowałem monolog Horsta. Nie zadał ani jednego pytania związanego z moją pracą. Odczułem z tego powodu więcej ulgi niż rozgoryczenia. Nie lubiłem okłamywać najbliższych, a poza tym, jak moja skromna kariera reasekuratora mogła się równać z epickim sukcesem mojego



szwagra w przemyśle chemicznym? KFR skazywał swych członków na utrzymywanie sekretów oraz na samotność. W ciągu tych dwóch lat spędzonych w Córdobie nie do końca zdawałem sobie z tego sprawę, ale teraz, gdy wróciłem do Europy, nie potrafiłem sobie wyobrazić ciągłego oszukiwania matki i siostry.

Horst miał duże ambicje, chciał, jak to się mówi, „zrobić karierę”. Czy to sformułowanie można by odnieść do KFR-u? - zastanawiałem się nieco później, rozbierając się w swoim pokoju. Absurdem byłoby zaprzeczać, że część młodych agentów pragnęła wspinać się w hierarchii KFR-u jedynie po to, by zdobyć wyższe pensje i znaczne dodatkowe korzyści. Przeczytałem kilka książek o teorii organizacji i, w oparciu o własne doświadczenia, mogłem stwierdzić, że KFR tak naprawdę nie różnił się od bardziej tradycyjnych jednostek w rodzaju firm czy instytucji państwowych. Najambitniejsi, oczywiście pod warunkiem, że posiadali niezbędne kwalifikacje, w sposób nieunikniony wyprzedzali osoby w mniejszym stopniu nastawione na sukces zawodowy, aż zagarnęli dla siebie najbardziej odpowiedzialne stanowiska i najlepsze wynagrodzenia. To, co odróżniało KFR od klasycznych organizacji, to możliwość awansu także dla jednostek obojętnych na zaszczyty i gratyfikacje, napędzanych wyłącznie głodem wiedzy i umiłowaniem prowadzonej przez siebie gry. Mając już pewną perspektywę, oceniałem, że przynależę do tej drugiej kategorii. Jeśli ucieszyła mnie wiadomość o błyskawicznej nominacji na agenta drugiej klasy, to nie ze względu na wiążący się z tym prestiż czy wyższy o parę tysięcy dolarów przychód roczny. Wzbudziła we mnie przede wszystkim podekscytowanie w rodzaju tego, jakie odczuwa gracz komputerowy na widok okienka z informacją, że ukończył poziom i może przejść do kolejnego etapu. Agent pierwszej klasy dysponuje tylko ograniczonym arsenalem środków, kiepsko zna tajniki sztuki i rozwija się w wąskich ramach wyznaczonych przez opiekuna prowadzącego. Agent drugiej klasy posługuje się szerszym wachlarzem metod; rozumie zasady gry i nieraz zabawia się naginaniem ich do swoich potrzeb; jego zwierzchnik sprawuje nad nim mniej surowy nadzór. Nie znaczy to, że jest wszechmogący: organy o wiele mówiących nazwach, takich jak Plan, Główny Inspektorat czy Dyrekcje Funkcjonalne, mają za zadanie

utrzymywać w ryzach jego kreatywność, ale powiedzmy, że cieszy się relatywną samodzielnością.

Gdybym został w konsorcjum, pomyślałem, wślizgując się pod kołdrę, prędko awansowałbym na agenta trzeciej klasy. Ileż to razy śniłem o dniu, w którym, wyzwoliwszy się spod tyranii Leny Thor-sen, mógłbym poświęcić się spisywaniu oszałamiająco śmiałych scenariuszy, które nosiłem w sobie od przyjazdu do Córdoby! Koniec z cotygodniowymi odprawami z opiekunem prowadzącym i przyjacielskimi radami starszych kolegów, którzy klepali cię po ramieniu na korytarzach. Agent trzeciej klasy pracował sam i nikomu nie musiał zdawać sprawy ze swoich poczynąń, no chyba że Głównemu Inspektoratowi. Mieszkał, gdzie tylko zapragnął, posiadał dostęp do wszystkich baz danych KFR-u i mógł w każdej chwili skorzystać z pomocy wybranych przez siebie agentów pierwszej klasy. Musiał stworzyć przynajmniej jedną teczkę rocznie, dostosowując się do ogólnych zaleceń Planu, ale ponieważ te stanowiły dość szerokie spektrum, pozostawiały mu znaczne pole manewru.

W przeciwieństwie do takiej choćby Thorsen, która jak podejrzewałem, żyła pragnieniem, by zarządzać zespołami albo sprawować władzę, ja przez te cztery lata karmiłem swoje ambicje nadzieją, iż pewnego dnia będzie mi dane uprawiać moją sztukę bez czyjego-kolwiek nadzoru i w oderwaniu od cudzych wpływów. Ta konstatacja tak wyraźnie ukazywała głęboko indywidualistyczne motywacje, które przyciągnęły mnie do KFR-u, że na jej podstawie uznałem, iż nie pasuję do profilu agenta. Gdyby Gunnar Eriksson potrafił czytać w myślach (i gdybym jaw czasie rekrutacji był w stanie tak jasno je sformułować), bez wątpienia wykreśliłby mnie z listy kandydatów. Przynajmniej, powiedziałem sobie, moja rezygnacja doprowadzi sprawy do porządku: w końcu nie byłem stworzony do tej roboty.

Tej nocy spałem jak zabity, pierwszy raz od kilku tygodni. Mathilde zostawiła mi wiadomość na kuchennym stole. Przez całe przedpołudnie miała zajęcia i planowała wrócić z Ulim w porze obiadu. Jeśli przyjdzie mi ochota wybrać się do miasta, przystanek autobusowy znajdę na końcu ulicy. Postanowiłem pójść za jej radą i w godzinę później włączyłem się bez celu po ulicach Bremy. Pogoda była ładna i już panował upał. Schroniłem się w katedrze Świętego

Piotra i przysiadłem na chwilę, żeby poczytać o jej historii w przewodniku turystycznym. Wtedy właśnie odkryłem, że tylko dwa kroki dzieli mnie od Sandstrasse, której nazwę kojarzyłem, bo mieściła się przy niej stacja KFR-u specjalizująca się w prawie handlowym. Nie mogłem oprzeć się pokusie, aby się tam przespacerować, na każdej fasadzie wypatrując wymownej tabliczki. Dostrzegłem ją wreszcie pod numerem czterdziestym drugim, na okazałym, nowoczesnym budynku, będącym siedzibą kancelarii adwokackiej Claas i Rathenau. W tej właśnie chwili ze środka wyszedł mężczyzna. Miał siwiejące skronie, w rękę trzymał aktówkę z monogramem i wyglądał na cudownie swobodnego w swoim szytym na miarę garniturze z kremowego lnu. Perfekcyjny rynsztunek adwokata biznesowego, uznałem, lecz zaraz zmieniłem zdanie: równie dobrze mogłem mieć przed oczami przykrywkę dyrektora stacji, który udawał adwokata biznesowego. Mężczyzna zniknął w dużym sedanie o przyciemnianych szybach, który czekał na niego przy krawężniku, zostawiając mnie własnym rozważaniom.

Tego wieczoru Horst po raz kolejny pozbawił mnie możliwości obejrzenia dziennika telewizyjnego, pytając o zdanie w sprawie nieistotnego sporu, jaki prowadził z tym uzurpatorem Durchstet-terem (im bardziej szwagier oczerniał swojego szefa, tym większą miałem ochotę się z nim poznać). Prędko pojąłem, że moja opinia wcale go nie obchodzi: żywił wystarczająco wiele przekonań, by zarówno stawiać pytania, jak i samemu sobie na nie odpowiadać. Nie bez ukłucia w sercu zaobserwowałem, że Mathilde dosłownie spija słowa z jego ust. Jakże kontakt z przeciętnymi osobnikami zawęża horyzonty, pomyślałem ze smutkiem. I biedny Uli, którego rodzice wychowują w kulcie chemii specjalistycznej... Już teraz wyobrażałem sobie, jak Horst po raz setny opowiada mu historię o propylenie, który odebrał oliwie z oliwek palmę pierwszeństwa wśród najważniejszych produktów śródziemnomorskiego gospodarstwa domowego...

KFR-owi mnóstwo można było zarzucić, ale na pewno nie to, że na coś się zamykał. W jakiej firmie tak bardzo ceniono osobistą ciekawość i otwarcie na świat? Przeprowadziłem małe obliczenia: w ciągu niespełna czterech lat miałem kontakt z agentami repre-

zentującymi jakieś trzydzieści różnych narodowości. Opanowałem płynnie pięć języków, przestudiowałem ponad dwieście teczek ze wszystkich zakątków świata i wziąłem udział w kilku najwspanialszych mistyfikacjach dekady. Nieźle jak na ledwie dwudziestosiemioletniego młokosa.

Tego wieczoru nie mogłem zasnąć. Z rękami podłożonymi pod głowę odtwarzałem w pamięci najlepsze momenty z tych czterech lat w konsorcjum: wyprawę na Grenlandię, dyskusję z Bimar-dem i jego obsesję na punkcie poetów romantycznych, trzynaście dni i trzynaście nocy spędzonych ze Stephanem Brioncetem nad teczką o Buszmenach, elektryzujące rozmowy z Angouą Djibem w Honolulu, poczucie upojenia, które mnie ogarnęło, gdy usłyszałem w radiu sekretarza generalnego ONZ zapowiadającego międzynarodową dekadę ludności autochtonicznej... Córdoba również dostarczyła swoją porcję wspomnień: niekończące się wywody Ramireza na temat równań Riemanna, wieczory z piłką nożną na stadionie San Feliz, a wreszcie burzliwe spotkania w cztery oczy z Leną Thorsen. Lecz nagle w mojej głowie rozbrzmiał głos Har-kleroda, głuszac we mnie nostalgię. Zaatakowały mnie inne obrazy, ostre, bolesne. Niektórym z nich nie poświęciłem swego czasu uwagi, ale teraz wracały, by mnie nękać: Khoyoulfaz jedzący stek palcami, Jones kręcący ze smutkiem głową po wysłuchaniu mojej błagalnej mowy, Thorsen bez czytania podpisująca rozkaz wykonania misji, który skazywał Harkleroda... Mówiąc o teczkach Leny Thorsen, Gunnar lubił powtarzać, że to, co najlepsze, spotykało się tam z tym, co najgorsze. To sformułowanie jeszcze lepiej nadawało się do opisanie KFR-u. Ale czy można czerpać z tego, co najlepsze, unikając przy tym najgorszego? Nie, co do tego nie było wątpliwości. Śmierć człowieka stanowiła cenę, jaką co jakiś czas należało zapłacić, aby garstka żartownisiów dalej mogła zabawiać się kosztem świata. Ale uznanie tego argumentu nadal nie tłumaczyło zachowania Khoyoulfaza. Nawet kraje w dalszym ciągu stosujące karę śmierci wymagają od katów odrobiny godności. Bezceremonialność Azerbejdżanina odcisnęła na mnie piętno, ta oburzająca swoboda, z jaką rzucił: „Nie proponuję, żebyś towarzyszył nam w drodze na lotnisko”, to żarłoczne okrucieństwo, które rozjaśniło mu twarz, gdy

wspominał małego Leonida... Co KFR chciał osiągnąć, zatrudniając płatnych zabójców jego pokroju?

Sen wciąż nie przychodził. Po raz tysięczny zastanawiałem się, jak postąpić wobec Youssefa i Magawati. Czy powinienem odnowić z nimi kontakt? I jak miałbym im opowiedzieć swoją historię? Pół roku temu w Patagonii przysiągłem, że nigdy niczego przed nimi nie zataję. A dziś zapytywałem sam siebie, czy lepiej okłamać ich wprost, czy poprzez przemilczenie... Bo aż za dobrze wyobrażałem sobie, jak zareagowałby Youssef. Kazałby mi obiecać, że powiadomię o wszystkim policję, podczas gdy sam spróbowałby zdobyć dowody w biurze w Ho Chi Minhie, narażając się tym samym na niebezpieczeństwo, na które nie miałem najmniejszego zamiaru go wystawiać. Przede wszystkim zaś bałem się jego osądu. Nigdy by nie zrozumiał, jak mogłem opuścić Córdobę, uciec przed odpowiedzialnością, zgodzić się na ponowne spotkanie z Gunnarem Eriks-sonem, a poprzez swoją bezczynność - pośrednio popierać istnienie oraz metody działania Operacji Specjalnych. Sam nie wiedziałem, czym to uzasadnić, ale trzymałem się założenia, że upływ czasu niczego tutaj nie zmieni, że moje przyznanie się do winy będzie miało taką samą wartość i znaczenie, nawet jeśli wcześniej dam sobie trochę czasu do namysłu. Nieprawda, absolutna nieprawda, stwierdziłby Youssef, słusznie zauważając, że każdy kolejny dzień zwłoki stwarza mordercom Harkleroda okazję na pozbycie się dowodów niezbędnych do doprowadzenia ich przed oblicze sprawiedliwości. Nie miałem na to żadnej odpowiedzi, nie licząc tej, że nie jestem gotów. Nie jestem gotów posłać za kratki tysięcy agentów, w tym Gunnara Erikssona i Alonsa Diaza. Nie jestem gotów spowodować rozpadu sekretnej organizacji istniejącej od dziesiątków lat, może nawet od wieków, która - co mogłem osobiście poświadczyć - miała na swoim koncie niekwestionowane osiągnięcia (Buszmenów, las Karigasniemi, podbój kosmosu i tak dalej).

A Magawati? Ona niewątpliwie okazały się mniej sztywna, przynajmniej pod względem formalnym. Ponieważ była z natury współczująca, w większym stopniu niż Youssef starałaby się zrozumieć, przez jakie fazy przechodziłem. Ale czy by mnie rozgrzeszyła? Na pewno nie. Przeprowadziłaby sekcję moich motywacji

w ten sam delikatny, metodyczny sposób, w jaki wypytywała mnie w Patagonii o okoliczności śmierci ojca. Prędko więc dostrzegłaby w moim postępowaniu sprzeczności, które sam zauważałem, kiedy podejmowałem ten wysiłek i zagłębiałem się we własne myśli. W końcu padłby wyrok, a wraz z nim KFR. Nie, zdecydowanie nie mogłem zdobyć się na powiedzenie im prawdy. Tej nocy śniły mi się koszmary.

Następnego poranka wyprawilem się aż na dworzec w Bremie, gdzie nabyłem około dziesięciu dzienników z różnych krajów, „Frankfurter Allgemeine”, „The Times”, „El Pais”, „Il Corriere della Sera”, „Le Monde”, „The International Herald Tribune”, „USA Today”, a nawet anglojęzyczne wydanie „Yomiuri Shimbun”. Miałem przed sobą cały dzień na odnowienie kontaktu ze światem. W autobusie wiozącym mnie z powrotem do Lilienthal zdałem sobie sprawę, że to pierwsza przyjemność, na jaką pozwoliłem sobie od czasu powrotu do Europy. Ta myśl nieco zwarzyła mój dobry humor.

Usadawiłem się przy stole w kuchni z dużą filiżanką kawy i położyłem przed sobą stertę gazet. Zeby było sprawiedliwie, zacząłem od wiadomości lokalnych we „Frankfurterze”. Na pierwszy rzut oka żadnych wielkich nowości. Opozycja wyrzucała Kohlowi koszty związane ze zjednoczeniem kraju. Skandal polityczno-finansowy wstrząsnął Badenią-Wirtembergią. Neonazistowska organizacja przyznała się do zamachu na turecki lokal mieszkalny. Nic z tego nie było ani trochę interesujące, ja jednak z rozkoszą dałem nura z powrotem w złożoność świata. Autor jednej z czołówek wymieniał partię liberalną, o której nigdy nie słyszałem, jako faworyta w zbliżających się wyborach. Trener niemieckiej reprezentacji w piłce ręcznej rozplątywał się w zachwytach nad młodym zawodnikiem, którego talent ujawnił się podczas greckich mistrzostw. Ileż faktów do przyswojenia, ileż informacji do pogodzenia, ileż materiału dla fałszerza! A żaden naród nie miał lekko. We Włoszech (gdzie mówiło się wyłącznie o młodym projektancie mody nazwiskiem Venozzi) po raz setny stwarzali pozory, jakoby właśnie odkryli, że mecze w mistrzostwach były ustawione. W Anglii wybryki księżnej Walii zapoczątkowały całą serię artykułów o nieszczęśliwych przypadkach korony. Szczególną przyjemność sprawiła mi lektu-

ra tekstu w „El Pais” zatytułowanego *Cena honoru*. W 1962 roku słynny Rodrigo Calmacho zasztylował swoją małżonkę Manolitę (jak moja partnerka do tanga!), która w programie na żywo dała do zrozumienia, że jej mąż torreador odnosi w łóżku mniej imponujące sukcesy niż na arenie. Calmacho wrzucił zwłoki do studni, a później sam zgłosił się na policję, oznajmiając, że pokłada ufność w sprawiedliwości swojego kraju. Jego proces pasjonował całą fran-kistowską Hiszpanię, a także zainicjował ogólnokrajową debatę nad znaczeniem słowa „honor”. Ostatecznie Calmacho został skazany na piętnaście lat więzienia przez trybunał w Walencji, który wziął pod uwagę okoliczności łagodzące, uznając telewizyjne zwierzenia Manolity za przejaw okrucieństwa psychicznego. Trzydzieści trzy lata później to psychiczne okrucieństwo wydało się sądowi najwyższemu tak niezaprzeczalne, że właśnie postanowił wynagrodzić byłemu torreadorowi doznane krzywdy, przyznając mu odszkodowanie w wysokości siedmiu milionów peset za nieuzasadniony pobyt w więzieniu. Co za historia, niemalże zbyt piękna, by mogła być prawdziwa! Przez chwilę zabawiałem się wyobrażaniem sobie miny Thorsen, gdybym jej przedłożył podobny scenariusz... Do głowy odruchowo przyszło mi parę pomysłów na fałszywe źródła: artykuł psychoanalityka stanowczo podkreślający symboliczne znaczenie studni, komunikat prasowy, podający przy okazji Festiwalu w Cannes, że Almodovar zamierza nabyć prawa do autobiografii Calmacho, kompletny opis sprawy w czasopiśmie madryckiej adwokatury, pełen rozważań nad szansami powodzenia apelacji...

Wystarczyło, że rozłożyłem „Le Monde”, by wrócił mi poważny nastrój. Nieświadomie zostawiłem Francję na sam koniec swojej wycieczki po Europie, pewnie dlatego, że aż za dobrze wiedziałem, czego będą dotyczyły aktualności zza Renu. Wciąż wiele się mówiło o próbach nuklearnych. Mimo presji opinii międzynarodowej, Jacques Chirac nie zatrzymał maszyny; zapowiedziane testy odbyły się zgodnie z planem. W relacje dyplomatyczne między Francją a Nową Zelandią ponownie wkraść się chłód, który charakteryzował je dziesięć lat wcześniej, po epizodzie z okrętem „Rainbow Warrior”. Na szczęście, pisał „Le Monde”, raport Bolgera nie pozwala jednoznacznie stwierdzić, aby francuskie próby atomowe miały ja-

kikolwiek wpływ na florę lub faunę w tej części świata. Kilkakrotnie odczytałem to zdanie: „nie pozwala jednoznacznie stwierdzić...”. A więc galosz przemknął niezauważony, chwala Panu. Do tej pory miałem świadomość, że muszę nauczyć się żyć ze śmiercią człowieka na sumieniu; gdybym się dowiedział, że na dodatek na nic się ona nie zdała, to zadanie stałoby się niewykonalne.

A co się działo w Ameryce? „USA Today” po raz kolejny ukazał mi obraz nacji niewzruszonej, pewnej swoich praw i pisanego jej losu, zafascynowanej spektaklem składającym się z wewnętrznych sprzeczności oraz wahań kursów na giełdzie. Podano już do wiadomości listę kandydatów do republikańskiej nominacji prezydenckiej w wyborach 1996 roku. Jeden z nich przykuł moją uwagę: teksasński miliarder nazwiskiem Randolph „Scottie” Marshall. Nie znalazłem go. „Co w tym dziwnego?”, spytacie. Prawyborcy zwykle dają nadzianym świrusom z obu obozów możliwość wyrażenia raczej oryginalnych poglądów. Zazwyczaj ponoszą później porażkę w New Hampshire i znikają tak nagle, jak się pojawili. Problem w tym, że na początku roku zajmowałem się republikańskimi prawyborami. Stacja z Dundee planowała wystawić fałszywego kandydata i spytała nas o zdanie co do kroków, jakie należy podjąć. Wydaliśmy negatywną opinię, uznając ryzyko za zbyt wysokie. Mimo to spędziłem nad tym projektem trzy tygodnie i sądziłem, że znam wszystkich zarówno zadeklarowanych, jak i potencjalnych kandydatów do republikańskiej nominacji. A jednak nazwisko Marshalla zupełnie nic mi nie mówiło. Czyżby opiekun prowadzący z Dundee postanowił mimo wszystko spróbować swoich sił? Ciekawie by było się tego dowiedzieć...

Założę się, że nikt, kto miał styczność z KFR-em, nie jest w stanie przeczytać gazety bez doszukiwania się w niej oznak fałszerstwa. Wywiad z jakimś akademikiem przeprowadzony z okazji międzynarodowego szczytu, recenzja twórczości ważnego polskiego powieściopisarza, niesłusznie nieznanego poza granicami ojczyzny, opis nowej dyscypliny sportowej, czegoś pomiędzy judo a zapasami, która miała zostać zaprezentowana podczas najbliższych letnich igrzysk olimpijskich... Okazało się to dziwnym doświadczeniem. Ponieważ przez kilka miesięcy nie czytałem gazet, teraz wysilałem się, by znaleźć ślady działalności moich byłych kolegów. Tu nieco



absurdalny wykres, tam zbyt wyważona myśl jakiegoś guru New Age; i choć wiedziałem, że z punktu widzenia statystyki istnieje bardzo niewielkie prawdopodobieństwo, by rozłożone przede mną gazety zawierały choćby najdrobniejszą manipulację, to jednak poszukiwałem jej niczym pies myśliwski, który złapał trop, żeby upewnić się co do własnych talentów, a może także aby pokazać tym, którzy mnie odsunęli, że jestem i zawsze będę od nich lepszy.

Usłyszałem przekręcający się w zamku klucz Mathilde. Złożyłem „Herald Tribune”. Okazało się, że cztery godziny to wcale nie za długo na nadrobienie zaległości. Mathilde ze zdziwieniem rzuciła okiem na stertę gazet i zaproponowała, żebym poszedł z nią odebrać Uliego z przedszkola. Po drodze rozpocząłem dyskusję na temat najświeższych wiadomości, pytając siostrę, co myśli o programie gospodarczym SPD. Ku mojemu wielkiemu zdumieniu, nie myślała nic. Znała jedynie jego podstawowe założenia, które prawie wcale nie różniły się od poglądów prezentowanych przez wszystkie pozostałe europejskie partie socjalistyczne. Przyznała, że nie śledzi aktualności zbyt uważnie.

- Tak czy owak, Horst mówi, że wszyscy oni są siebie warci - pospieszyła z usprawiedliwieniem. Fakt, że taka inteligentna i wykształcona osoba jak Mathilde może wykazywać się taką obojętnością w kwestii spraw lokalnych, wpawił mnie w osłupienie. W konsorcjum uczono nas, że zmysł krytyczny jest niczym mięsień, któremu grozi atrofia, jeśli nie będzie się go używało. Ostatni żółtodziób ze stacji w Rovaniemi mógłby rozprawiać o wewnętrznych konfliktach, które szalały w SPD, przynajmniej przez kwadrans; a jeśli nie, opiekun prowadzący skazałby go na lekturę „Bildu”, od deski do deski przez bite trzy miesiące, co stanowi okrutną karę, której nikomu nie można z czystym sumieniem życzyć.

Planowałem spędzić u Horsta i Mathilde dwa tygodnie. Po pięciu dniach, znużony ich wąskimi horyzontami, udałem, że muszę wracać do Reykjavíku na rozmowę kwalifikacyjną, i spakowałem walizki. Horst był nie tylko zakochany w sobie, ale też cierpiał na rodzaj umysłowej prostoty, która czyniła przebywanie w jego towarzystwie nieznośnym dla każdego normalnie funkcjonującego człowieka. Doskonale zdaję sobie sprawę, pisząc te słowa, że wykluczam

z tego grona własną siostrę, lecz doszedłem wówczas do wniosku, że Mathilde niestety straciła zdrowy rozsądek.

Odstawiając mnie na lotnisko, szwagier zaszczyił mnie ostatnią radą:

- Dobrze robisz, że wracasz, nigdy nie wolno za bardzo oddalać się od głównej siedziby firmy, bo inaczej szefowie zapomną, jak się nazywasz.

Pomijając fakt, że jego uwaga była zupełnie nietrafiona (najwyraźniej nikt mu nie powiedział, że nie mam obecnie pracy, a on sam z pewnością mnie o to nie pytał), to jednak skłoniła mnie do namysłu. Czy moi szefowie zapominali właśnie, jak się nazywam? A tak w ogóle, to gdzie znajdowała się siedziba główna?

25 lutego 1996 r., Reykjavik

#

Gunnarze,

#

*od wydarzeń, które doprowadziły do mojego odejścia z KFR-u, minęło pół roku. Często rozmyślałem nad naszym ostatnim spotkaniem, a moje uczucia względem Pana przeszły przez kilka stadiów. Teraz się zabliźniają. Zeby niczego nie utrudniać, powiedzmy, że uznaję Pańskie motywy, choć ich nie rozumiem. Bardzo chcę Panu wierzyć, kiedy mówi Pan, że niemożliwością byłaby rekrutacja młodych agentów bez okłamywania ich, choćby tylko poprzez przemilczenia. Zauważyłem jednak, że nie odpowiedział Pan nigdy na jedyne pytanie, które warto postawić: czy należy rekrutować agentów? Czy powinno się przedłużyć istnienie KFR-u? Mam nadzieję, że los pozwoli nam pewnego dnia odbyć rozmowę na ten temat. Mam też nadzieję, że zwierzchnicy KFR-u debatują nad tym regularnie, a nie tylko dwa czy trzy razy do roku, kiedy Główny Kontroler podpisuje rozkaz wykonania misji podobny temu, który trzymałem w ręku w Córdobie. Nie jestem z tych, którzy się nad sobą użalają; a jednak trzeba przyznać, że przeżyłem straszne chwile. Z począt-*

*ku nienawidziłem KFR-u, jego braku etyki, jego rozdrobnionej struktury organizacyjnej, dzięki której nikt nie musi spoglądać sobie w twarz; później poczucie winy przeważało nad gniewem, kiedy zrozumiałem, że ten stanowił jedynie próbę przerwania odpowiedzialności za własne czyny na kogoś innego, i to w dodatku na anonimowe ugrupowanie. Przez trzy miesiące mogłem myśleć jedynie o H., jego żonie oraz córkach. Wyprawilem się do Wellington, gdzie pomodliłem się nad grobem H.; wysłałem pieniądze wdowie po nim, aby mogła godnie wychować dzieci. Ta pielgrzymka mnie nie uleczyła, ale przyniosła ukojenie. Miałem wrażenie, że pokonałem dystans, jaki dzielił mnie od H.; bo paradoksalnie wolałbym dźgnąć go sztyletem prosto w serce, niż potwierdzić wyrok śmierci przez naciśnięcie guzika w oddalonej o siedem tysięcy kilometrów sali konferencyjnej. To byłoby bardziej... ludzkie. Od kilku tygodni mniej o tym wszystkim myślę, ale to nie sprawia, że czuję się szczęśliwszy, wręcz przeciwnie. Szczególnie smuci mnie nie fakt, że zabiłem H., lecz konstatacja, że moje wyrzuty sumienia błędne. Jak Pan widzi, zmienia się natura moich skrupułów, ale one same wcale nie znikają.*

*Z pewnością domyślił się Pan już, że uraza, którą żywię do KFR-u, nieco zmalęła. KFR nie istnieje jako samodzielny byt, jest tylko sumą jednostek, które go tworzą. Gdybym w dalszym ciągu przeprowadzał badania środowiskowe, H. nadal by żył. A zatem nie ma powodu, bym kierował swoją złość przeciwko KFR-owi: dotyczy ona wyłącznie mnie samego.*

*Czuję się z tym okropnie, Gunnarze. Wyrzucam sobie, że nie usiłowałem zawczasu dowiedzieć się więcej o konsorcjum. Niewątpliwie nie trafiłbym na nikogo, kto odpowiedzialny na moje pytania, ale mimo to trzeba je było zadać. Jak organizacja zrzeszająca kilka tysięcy członków mogła przez tak długi czas utrzymać swoje istnienie w tajemnicy? Czy nigdy nie znalazła się kłopotliwej sytuacji, je-*

*śli tak, to w jaki sposób zareagowała? Wystarczy zastanowić się pięć minut, by zgadnąć, że w przeszłości KFR z pewnością zaliczył kilka potknięć (według Pana - dwa lub trzy rocznie), a jednak ja nie poświęciłem tych pięciu minut na refleksję. Cóż za niewybaczalny brak rozwagi! Wciąż nie mogę uwierzyć, że popełniłem taki błąd... Zawsze brałem słowa opiekunów prowadzących za dobrą monetę. A co gorsza, nie chciałem słyszeć tego, co w ich wypowiedziach mogłoby okazać się niezgodne z obrazem KFR-u, który sobie stworzyłem: organizacji nastawionej na dobrą zabawę, pacyfistycznej, niegroźnej. A jednak z perspektywy czasu przypominam sobie Pańskie ledwie skrywane groźby w momencie mojej rekrutacji, przesadzone uwagi Leny Thorsen („ To jest wojna, Dartunghuver!"J, quasi-militarne słownictwo instruktorów (JVic nie mówcie nawet na torturach", „Musimy opracować strategię infiltracji rządów państw" i tak dalej). Teraz rozumiem, że KFR jest przerażającą organizacją, gotową na wszystko, byle tylko jej istnienie nie wyszło na jaw. Skoro już ustaliłem tę niepodważalną prawdę, czuję się w obowiązku kontynuować tę refleksję: czy KFR nie ukrywa czegoś jeszcze? Czy naprawdę ma na celu jedynie produkcję scenariuszy? Czy nie jest instytucją szpiegowską albo organizacją przestępczą? Znalazłem się w sytuacji gościa, którego już raz okłamano i który nie potrafi się pozbyć myśli, że mogło się to zdarzyć wielokrotnie, więc wszystko podaje w wątpliwość. Gdybym miał słuchać instynktu, spróbowałbym uzyskać odpowiedzi na moje pytania właśnie od Pana, ale czy naprawdę mogę ufać człowiekowi, który wciągnął mnie do KFR-u? Zmanipulował mnie Pan, Gunnarze, a do tego nie wystarczyło wam zrobienie ze mnie głupca — Pańscy koledzy uznali mnie za najzdolniejszego scenarzystę mojego pokolenia. Co zafarsa... Ale to wszystko nie ma znaczenia. Bo na koniec powiem Panu, co najbardziej mnie boli. Mianowicie to, że wciąż się zastanawiam, czy jakąś głęboko ukrytą częścią siebie*

*nie przegnałem tych niepokojów ze strachu przed tym, co mógłbym odkryć. Jak taki inteligentny i niezależnie myślący chłopak jak ja (nie czas nafalszywą skromność) mógł pozwolić, by owinięto go sobie wokół palca, ani razu nie nabierając podejrzeń czy wątpliwości względem organizacji? Czy to nie znak, że podświadomie przeczuwałem, iż KFR, poddany krytycznej analizie, długo by nie wytrzymał? Doprowadźmy to rozumowanie do samego końca: skoro unikałem tej niewygodnej introspekcji, to czy nie z obawy, że przyjdzie mi porzucić spokojne życie agenta? Innymi słowy, czy nie zdusiłem w sobie skrupułów w zamian za parę groszy? Oto co mnie doprowadza do furii, i to skierowanej nie przeciw KFR-owi, ale przeciwko sobie samemu. Pozornie zachowywałem się jak imbecyl-to, do pewnego stopnia, byłbym w stanie sobie wybaczyć. Ale nigdy się nie dowiem, co rozegrało się w głębi mojej duszy, a tego nie potrafię zaakceptować. Dochodzę teraz do najprzykrzejszego fragmentu tego listu. Nawet jeśli moja prośba nie okaże się dla Pana zaskoczeniem, nawet jeśli w skrytości ducha nigdy Pan nie wątpił, że na tym się skończy, proszę, żeby Pan tego nie okazywał. Chciałbym wrócić, Gunnarze. Za bardzo brakuje mi dawnego życia w charakterze agenta KFR-u. Przez te pół roku dużo podróżowałem i odbyłem liczne rozmowy kwalifikacyjne. Nie wyobrażam sobie, bym mógł wrócić do „normalnej” egzystencji anonimowego pracownika. Po tym, czego doświadczyłem w konsorcjum, miałbym wrażenie, że jestem statystą, marionetką w rękach reżysera. Być może pamięta Pan, że pewnego dnia zapytałem, co się dzieje z byłymi agentami. Teraz rozumiem, że z całą pewnością nie ma ich wielu. KFR działa jak narkotyk; nie wiem, jak miałbym się bez niego obyć. Do głowy przyszło mi za dużo pomysłów na scenariusze; najpierw próbowałem je od siebie odsunąć, ale wie Pan, jak to jest, kiedy raz obierze się jakąś ścieżkę, nie sposób z niej zawrócić, zaczyna się odgryzmołonych*

*na kolanie notatek, a kończy na zapelnianiu całych zeszytów. Jasne, to wszystko daremny wysiłek. Ale co nim nie jest? A poza tym, nie stworzyłem dotąd teczki, która zasługuje, aby przejść do historii. Nie odżegnuję się od swoich pierwszych projektów, ale postrzegam je jako to, czym w istocie są: jako brudnopisy. Czy wszystko będzie jak dawniej? Nie, oczywiście, że nie. W nic już nie uwierzę, nikomu nie zaufam. Będę ważył konsekwencje każdej decyzji, aby w miarę możliwości zachować niezależność działania. Podejmę obowiązki agenta, nie łudząc się co do posiadanej władzy, ale też nie mając samego siebie żadnymi bajeczkami. Wyobraża Pan sobie, ile mnie to wyznanie kosztuje. Najpierw łomotałem wściekle do drzwi, a teraz wracam, by prosić moich sędziów o zmiłowanie. Moja miłość własna poważnie na tym cierpi. To proste oświadczenie powinno przekonać Pana o mojej determinacji i być może ułatwić wyświadczenie mi przysługi, o którą chcę Pana prosić.*

*Oficjalnie KFR nigdy nie przyjął mojej rezygnacji. Co więcej, Thorsen nie potwierdziła nawet jej otrzymania. Później Komisja Dyscyplinarna nałożyła na mnie sankcję w postaci sześciomiesięcznego zawieszenia. Nie odwołałem się od tej decyzji, ale też nie potwierdziłem, że akceptuję karę. Tak właśnie przedstawia się sytuacja. Za kilka dni okres zawieszenia dobiegnie końca. Nie wiem, jakie KFR ma względem mnie plany; czy powinien ponownie nawiązać kontakt? A może czekać na zawiadomienie o powołaniu na jakieś stanowisko? Chciałbym, żeby przekazał Pan górze, że jestem gotowy wrócić. Jeśli tylko nasi przełożeni nie boją się sceptyków w szeregach, to powinni zgotować mi gorące powitanie. Z góry dziękuję.*

#

Sliv

*Szanowny Panie,  
z przyjemnością zawiadamiamy, iż otrzymał Pan awans na agenta trzeciej klasy. Zgłosi się Pan do placówki w Krasnojarsku na Syberii, gdzie odbędzie Pan trzyletnie studia w Akademii. Proszę stawić się przed agentem specjalnym najwyższej klasy Quinterosem, który będzie odpowiedzialny za Pańskie szkolenie, dnia 10 marca 1996 roku o dziewiątej rano.*



Część trzecia

Krasnojarsk

Czy należy dopatrywać się w tym znaku? Mój powrót w szeregi KFR-u rozpoczął się od kłamstwa. Kiedy młody, jasnowłosy urzędnik imigracyjny zapytał mnie o cel wizyty w Rosji, odparłem, że zamierzam studiować język Tołstoja. Pokazałem mu jednoroczną odnawialną wizę, którą przed piętnastoma dniami znalazłem przypiętą do mojej nominacji i którą sam już wielokrotnie badałem. Została wydana przez rosyjską ambasadę w Londynie i nosiła datę z 10 lutego 1996 roku. Mogło to oznaczać dwie rzeczy: albo wystawiono ją, jeszcze zanim poprosiłem Gunnara o pomoc przy ponownym wcieleniu mnie do organizacji, albo została sfalszowana. Nie potrafiłbym zdecydować, która z tych dwóch hipotez wydaje mi się bardziej niepokojąca.

Urzędnik długo lustrował mnie spojrzeniem, a później podniósł wizę do światła, żeby sprawdzić znak wodny. Zalała mnie fala paniki. Nawet ze swojego miejsca widziałem, że papier niczym się nie wyróżnia. Czyżbym ja, który przetrwałem rządowe śledztwo nowozelandzkiej komisji, miał polec w wyniku tak podstawowego błędu?

- *Haraszo* - rzucił w końcu blondyn, energicznie przybijając pieczęć w moim paszporcie. - *Welcome to Moscow.*

- *Spasiba* - odparłem, by uwiarygodnić swoją przykrywkę studenta języków obcych.

Czułem ulgę, ale nie spokój. Po raz pierwszy postawiłem stopę za żelazną kurtyną i choć ta oficjalnie opadła kilka lat temu, miejsca takie jak Moskwa, Sofia czy Praga wciąż otaczała w moich oczach aura tajemniczości wywołująca bliżej nieokreślony lęk. Kto mógł

stwierdzić, czy ten mężczyzna w cienkich okularach w drucianych oprawkach, który stał obok mnie przy obrotowej taśmie i cierpliwie czekał na swoje walizki, nie jest policjantem w cywilu, mającym śledzić mnie po wyjściu z lotniska? Co do kamer KGB, które w czasie zimnej wojny nieustannie rejestrowały twarze dziesiątek tysięcy obcokrajowców lądujących każdego dnia na Szeremietiewie, jakoś trudno mi było uwierzyć, że wszystkie je wyłączono 26 listopada 1991 roku, w dniu rozwiązania Związku Radzieckiego.

Ale teraz było za późno, by się wycofać, więc popchnąłem wózek bagażowy ku terminalowi lotów wewnątrz krajowych linii Aero-flot, gdzie personel naziemny powinien był już rozpocząć odprawę do Krasnojarska. Choć nazwy miast zapisano cyrylicą, bez wahania ustawiłem się w kolejce za najcieplej ubranymi pasażerami. Z początkiem marca w tej części Syberii temperatura wynosi średnio minus dwadzieścia stopni, a przy takim mrozie nawet wódka nie zastąpi futrzanego płaszcza.

Mimo że wiadomość o wyjeździe otrzymałem z bardzo niewielkim wyprzedzeniem, znalazłem czas, by dowiedzieć się czegoś o celu mojej podróży. We wszystkich encyklopediach, do których zajrzałem, najpocześniejsze miejsce zajmowały kwestie termometryczne, ale dowiedziałem się także dwóch innych rzeczy: Krasnojarsk leżał na trasie legendarnej kolei transsyberyjskiej, a w przeszłości mieściła się tam również kwatera główna radzieckiego Gułagu. Ta ostatnia informacja wcale nie pomogła mi się rozluźnić.

Bo wątpliwości opadły mnie na nowo, gdy tylko zapoznałem się z nowym przydziałem. Radość z powrotu prędko została zastąpiona chaotyczną mieszaniną składającą się ze znajomego smutku wynikającego z poczucia winy, obawy, że nie podołam zadaniu, oraz fali mdłości na myśl, że znów mam być członkiem organizacji, do której należy też ten odrażający Khoyoulfaz. Akademia, która jeszcze rok temu jawiła mi się jako raj, teraz zdawała się w najlepszym razie czyścem. Pozostawało mi żywić nadzieję, że nie zamieni się w piekło, jak stało się to w przypadku milionów politycznych dysydentów deportowanych przez Stalina i Berię.

W jakich sprawach ci wszyscy ludzie mogą udawać się do Krasnojarska? - pytałem w duchu, gdy samolot zaczął zniżać się do

ładowania. Do pewnego stopnia potrafiłem zrozumieć wędrowca, który może pewnego dnia rozstawił tam swój namiot, olśniony połyskiwaniem wód Jeniseju w majowym słońcu. Ale że obecnie, kiedy naród rosyjski rzekomo korzystał ze swobody przemieszczania się, osiemset tysięcy osób postanowiło wychowywać dzieci w miejscu, w które reżim bolszewicki zsyłał swoich wrogów, to już przechodziło ludzkie pojęcie. Niewątpliwie należało to złożyć na karb umiłowania otwartych przestrzeni czy innej śmieszności charakterystycznej dla rosyjskiej duszy, nad którą z takim zachwytem rozwodziły się wszystkie przewodniki, a której ja nie potrafiłem jeszcze zdefiniować.

Stało się już tradycją, że na lotnisku czekał na mnie szofer z tabliczką. Ten tutaj bezbłędnie zapisał moje nazwisko, jakby chciał pokazać, że w Krasnojarsku nie ma miejsca na amatorszczyznę, która królowała w prowincjonalnych stacjach i biurach. Nosił białe rękawiczki oraz słuchawkę w uchu, doskonale mówił po angielsku i zaprowadził mnie do samochodu, czarnej limuzyny marki ZiŁ, podobnej do tych, z których korzystali dygnitarze Politbiura. Zanim zajął miejsce z przodu, usłyszałem, jak mamrocze do butonierki:

- Przesyłka przejęta. Powtarzam: przesyłka przejęta.

Oczywiście nie można było wykluczyć, że swój zestaw tajnego agenta znalazł w pudełku płatków śniadaniowych, ale tak czy owak robiło to dość imponujące wrażenie.

Spodziewałem się, że Akademia znajduje się w centrum miasta, lecz szefowie musieli uznać, że naszym poczynaniom lepiej przysłuży się izolacja. Prawie godzinę jechaliśmy przez las olbrzymich sosen, nie natykając się na żaden inny wóz, mknąc wzdłuż nieskalanych, ściętych lodem jezior. Ził bezgłośnie sunął przez półmrok, choć nie wiedziałem, czy zasługę za to przypisać geniuszowi producenta, czy umiejętnościom kierowcy.

Wreszcie skręciliśmy w nieoznakowaną, wąską ścieżkę wspinającą się po zboczu wzgórza, ledwie zauważalną z głównej drogi. Dwa kilometry dalej przekroczyliśmy bramę Międzynarodowej Akademii Współpracy Lingwistycznej, a szofer zaparkował przed gankiem domu z czerwonej cegły, który przypominał pałacyk myśliwski.

Gdy braliśmy ostatni zakręt, za zasłoną iglastych drzew zdążyłem zauważyć dwa długie, jednopiętrowe budynki najeżone antenami.

- Przesyłka dostarczona - wyszeptał kierowca do butonierki, tym razem nie widząc potrzeby, by powtarzać (widać miał lepszą łączność). Następnie, z taką precyzją, jakby odtwarzał wielokrotnie ćwiczony układ taneczny, wyjął z bagażnika moje walizki, ustawił je jedna obok drugiej na najwyższym stopniu schodków i wrócił, by otworzyć mi drzwi auta. Na koniec pogłaskał bok ziła, tak jak się gładzi pysk konia po udanym biegu. Syberyjczycy wiele wymagają od swoich pojazdów i nie wahają się okazywać im względów, które mieszkańcom krajów o bardziej umiarkowanym klimacie wydają się przesadne.

- *Señor* Dartunghuver, co za radość móc powitać pana w Kra-snojarsku! - zawołał po hiszpańsku nieduży, okrągły niczym piłka jegomość, który jak za sprawą magii zmaterializował się u szczytu schodów. - Nazywam się Alfredo Quinteros i jestem dyrektorem Akademii.

- Miło mi pana poznać - odparłem, wyciągając do niego rękę. Chwytał ją z zapalem i ścisnął w swoich dłoniach odrobinę za długo jak na mój gust, jakby był przyzwyczajony do rozwlekłych, oficjalnych sesji zdjęciowych. - Mam nadzieję, że nie zjawiam się za późno - dorzuciłem. - Mój samolot miał lekkie opóźnienie.

- Niech się pan nie przejmuj - odpowiedział Quinteros.

- Wieża kontroli lotów informowała nas na bieżąco o szacowanej godzinie pańskiego lądowania.

Z całą pewnością nie był ani Hiszpanem, ani Argentyńczykiem. Może Kolumbijczykiem.

- Pochodzę z Peru - oznajmił, jakby czytał mi w myślach.

- A pan przyjechał z Córdoby, jak sądzę. Gratuluję doskonałej znajomości hiszpańskiego. Pracował pan z moim przyjacielem, Alon-sem Diazem. Prawdziwy profesjonalista, nieprawdaż?

Prawdziwy profesjonalista, który boi się splamić sobie ręce krwią, jak to ujęła Thorsen.

- Owszem - zgodziłem się automatycznie. - A do tego erudyta.

- Święta prawda. Co za strata! - westchnął Quinteros. - Jak to? Nie żyje?

- Ach, nie wiedział pan? - spytał Quinteros, kiwając głową. - Zmarł dwa miesiące temu. Straszliwy koniec, z tego co mi mówiono.

- Przykro mi - rzekłem. - Nikt mnie nie powiadomił.

- Więc zdążył pan wyjechać?

- Tak, po odejściu ze stanowiska wybrałem się na kilkumiesięczny urlop - wyjaśniłem, bo brzmiało to lepiej niż: „Wziąłem nogi za pas jak pierwszy lepszy typ spod ciemnej gwiazdy, a potem spędziłem parę miesięcy na dumaniu”. Czy to możliwe, że Quinteros nie wie o tym smutnym epizodzie z mojej biografii? Jakże to, przecież z pewnością czytał moją teczkę.

- Pozwoli pan, że zaprowadzę go do apartamentu. Nie, niech pan zostawi - dodał, kiedy udałem, że zamierzam podnieść walizki. - Ktoś dostarczy je panu później.

Odsunął się, żeby mnie przepuścić. To, co wzięłem za pałacyk myśliwski, było w istocie ultranowoczesną recepcją z ochroniarzem, centralką telefoniczną godną Pentagonu oraz zajmującymi całą ścianę ekranami monitoringu. Najbliższy, opisany jako „palarnia”, transmitował partię szachów rozgrywaną przez dwóch Azjatów.

- Prosiłbym, żeby zawsze korzystał pan z tej drogi, gdy będzie pan opuszczał teren lub wracał do Akademii. Regulamin każe nam odnotowywać każde wejście i wyjście. - Czemu nie powie wprost, że chce wiedzieć, gdzie jesteśmy o każdej porze dnia i nocy? - Oficjalnie działamy jako instytut lingwistyczny - ciągnął Quinteros. - Ale w rzeczywistości wszyscy tu pracują dla KFR-u, nawet personel pomocniczy. Można więc rozmawiać otwarcie przy kierowcach czy pokojówkach. Nasi studenci potrzebują zwykle kilku tygodni, by się do tego przyzwyczaić.

- Wyobrażam sobie.

- Latem otwieramy przejście na tyłach recepcji. Widzi pan tę ścieżkę?

- spytał Quinteros, wskazując dróżkę za dużymi oknami balkonowymi.

- Prowadzi do budynku mieszkalnego i sal wykładowych. W lipcu to czarujący spacer, ale o tej porze roku nie polecałbym tego rozwiązania.

Złapał mnie za ramię i pokierował ku na wpół zamaskowanym tapiserią drzwiom.

- Lepiej pójść tunelem. Podłoga jest lekko pochyła, żeby umożliwić dostęp wózkom inwalidzkim. Dwieście metrów przyjemnie ogrzanych korytarzy. Może czuje się pan trochę klaustrofobicznie? Szybko pan przywyknie. Niektórzy studenci nawet przychodzą tu rano pobiegać.

Moje poczucie zagrożenia powodowała nie tyle okropna ciasnota, co kamery zamontowane ostentacyjnie co trzydzieści metrów. Jeśli chodzi o poranne wypluwanie płuc pod okiem mówiących do butonierek strażników, to ja podziękuję.

- Kiedy powstał ten ośrodek? - zagadnąłem.

- Och, bardzo niedawno - odparł Quinteros. - Budowę zlecił Andropow, kiedy doszedł do władzy w osiemdziesiątym trzecim roku. Zmarło mu się tydzień przed uroczystym otwarciem. Biedny drań, podobno ten projekt był szczególnie bliski jego sercu.

- Chwileczkę - rzuciłem, przystając. — Jurij Andropow? Przywódca Związku Radzieckiego?

- Ależ tak - zaśmiał się Quinteros, ciągnąc mnie za ramię. - I były szef KGB. Proszę mi wierzyć, prace się nie opóźniały.

- A w jakim celu go wzniesiono? - zapytałem, bojąc się poznać odpowiedź.

- Jako centrum szkoleniowe dla agentów terenowych KGB. Andropow nie skąpił funduszy, pragnął dla swoich ludzi wszystkiego, co najlepsze.

- Rozumiem - powiedziałem, myśląc o Khoyoulfazie.

- Działo tylko przez osiem lat. Odkupiliśmy budynek w dziewięćdziesiątym drugim roku. Administracja Jelcyna potrzebowała świeżego dopływu gotówki, więc nie dali się prosić. Wprowadziliśmy się w dziewięćdziesiątym trzecim, po dokonaniu paru przeróbek. Warunki są, rzecz jasna, nieco surowsze niż w Hamburgu, gdzie mieściliśmy się uprzednio, ale pod każdym innym względem ogromnie na tej zmianie skorzystaliśmy.

- Oczywiście - zgodziłem się, uznając w duchu, że w obecnych okolicznościach Hamburg niewątpliwie bardziej by mi odpowiadał.

- Dochodzimy do rozgałęzienia - ogłosił Quinteros, zatrzymując się. - Na lewo mamy budynek uczelniany, gdzie spotkamy się jutro. Na prawo - budynek mieszkalny dla studentów oraz ciała

pedagogicznego. Proszę za mną, wskażę panu drogę do pańskiego lokum.

Tunel wychodził na kolejną recepcję, również wyposażoną we własnego ochroniarza oraz ekrany monitoringu. Na ścianie po prawej stronie znajdowały się skrzynki na listy, na pierwszy rzut oka około dwustu.

- Poczta dociera późnym rankiem - poinformował Quinteros. - System działa dość sprawnie, ale radzę, by wychodził pan z założenia, że rosyjskie władze mogą przechwycić pańską korespondencję. Szyfrujemy wszystkie listy o poufnym charakterze.

W to nie wątpię. Chętnie dowiedziałbym się za to, czy agenci KGB byli jedynymi, którzy zaglądali do zaklejonych kopert.

- Tu mamy foyer - kontynuował Quinteros, prześlizgując się do sąsiedniego pomieszczenia, w którym za pomocą licznych szczegółów (takich jak boazeria, grube dywany, wygodne skórzane kanapy) usiłowano odtworzyć atmosferę angielskiego klubu. Przed ogromnym kominkiem ozdobionym wypchaną głową jelenia siedział jeden ze studentów pogrążony w lekturze magazynu, który wybrał z bogato wyposażonego stojaka. Był odwrócony do nas plecami i zdawał się nawet nie zauważać naszej obecności. U stóp wielkiego ekranu telewizyjnego leżały w rzędzie zestawy słuchawkowe na podczerwień pozwalające śledzić program bez przeszkadzania sąsiadom.

- Zważywszy na dość ograniczony rozmiar apartamentów - tłumaczył Quinteros - studenci wolą gromadzić się tutaj, żeby poczytać albo obejrzeć telewizję. Odbieramy stacje z całego świata. Możliwe, że mamy nawet islandzkie kanały - dorzucił, sądząc, że sprawi mi tym przyjemność.

O ile foyer robiło wrażenie przytulnego, o tyle rezydencji mieszkalnej wyjątkowo brakowało uroku. Wszystkie długie korytarze, rozjaśnione świetlówkami i regularnie poprzecinane drzwiami pożarowymi, wyglądały tak samo i zdawały się zaprojektowane po to, by pchnąć do samobójstwa osoby już wcześniej osłabione emocjonalnie przez długą syberyjską zimę. To, co Quinteros nieco górnolotnie nazywał apartamentami, okazało się w rzeczywistości studiami o powierzchni około trzydziestu metrów kwadratowych,



umeblowanymi po spartańsku, ale bez wyjątku wyposażonymi w łazienkę, odbiornik telewizyjny oraz komputer podłączony do sieci KFR-u. Jurij Andropow musiał uznać, że agenci terenowi KGB nie będą zaprzętać sobie głowy gotowaniem. Posiłki podawano w kantynie mieszczącej się w budynku uczelnianym. Jeśli dodać do tego fakt, iż Krasnojarsk nie słynie z butików z wyposażeniem wewnątrz, już mogłem szykować się na spędzenie trzech kolejnych lat mojego życia w otoczeniu mniej więcej tak ujmującym jak toaleta na lotnisku.

Quinteros zapowiadał właśnie, że dwa razy w tygodniu pokój odwiedzi sprzątaczką, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Sliv? Jesteś tam? - zapytał znajomy głos.

- Stéphane? - wykrzyknąłem, odpychając Quinterosa, żeby otworzyć Brioncetowi. Francuz wybuchnął śmiechem i padł mi w ramiona.

- W ogóle się nie spodziewałem, że znów cię zobaczę - oświadczyłem trochę wzruszony. - Nie mów, że tu pracujesz!

- Stéphane przyjechał dziś rano - wtrącił Quinteros, o którym zdążyłem zapomnieć. - Również przygotowuje się do rozpoczęcia nauki w Akademii.

- Powrót do szkoły w moim wieku, rozumiesz coś takiego? - zażartował Stéphane, choć co prawda z łatwością mógł być ode mnie siedem czy osiem lat starszy.

- Co się z tobą działo przez te cztery lata? - spytałem. - Wciąż w Paryżu?

Quinteros odchrząknął, aby przypomnieć nam o swojej obecności.

- Myślę, że nie jestem panom już dziś potrzebny - oznajmił. -Czekam na panów jutro rano. Zaczynamy punktualnie o dziewiątej. Bardzo się cieszę, że mogłem pana poznać, Sliv.

Ruszyłem za Stéphane'em do jego pokoju. Miał wcześniej czas, żeby porozkładać swoje rzeczy, i już zdążył przytwierdzić do ściany wspaniałą reprodukcję mapy Francji z roku 1803, kiedy Sabaudia i Górna Sabaudia przynależały jeszcze do Włoch. Nastawił płytę z jazzem, zaparzył ziołowej herbaty i opowiedział mi o wszystkim, co robił od 1992 roku.

Udział w tworzeniu teczki o Buszmenach zapewnił mu awans na agenta trzeciej klasy. Ponieważ mógł od tej pory mieszkać, gdzie mu się podobało, wyjechał do Montrealu.

- Gdybym wiedział, że w następnej kolejności wyląduję w Krasnojarsku, zdecydowałbym się raczej na Florydę - dowcipkował. Napisał pięć teczek, pomógł Jurgenowi Dorfmeisterowi przy kontynuacji buszmeńskiej sagi i wziął udział w inicjatywie dotyczącej wojny w Jugosławii. Ożenił się też z Kanadyjką z Quebecu, ale niemal natychmiast się z nią rozwiódł. Po drzeniu jego głosu poznałem, że rana jeszcze się nie zabiła i że Stéphane nie chce o tym mówić.

Przyjęcie do Akademii całkiem go zaskoczyło. Sądził, że nie czekają go już żadne zawodowe zaszczyty. Miał trzydzieści sześć lat, a w tym wieku przed agentami trzeciej klasy rzadko kiedy otwierają się jakieś dalsze perspektywy, zaczynają więc przejmować się takimi sprawami jak pojemność silnika ich służbowego samochodu czy pracowniczy program emerytalny. Ktoś z Działu Kadr wyjaśnił mu, że otrzymali polecenie, aby stopniowo podnosić średnią wieku studentów przyjmowanych do Akademii, żeby zachęcić młodych scenarzystów do nawiązywania relacji z bardziej doświadczonymi agentami.

- Liczą, że taki stary małpiszon jak ja nauczy cię paru nowych min - zażartował Stéphane.

Potem przyszła kolej na mnie, więc streściłem mu swoje przygody. Opis Osvalda Ramireza i tego, jak na wieść o trzęsieniu ziemi w Killari wydał z siebie okrzyk radości („*Fantastico! Riemann justificado!*”), przyprowadził Stéphane'a o głośny wybuch śmiechu, tak samo jak projekt scenariusza, który miałby na celu zastąpienie widniejącego na argentyńskiej fladze słońca wołowym stekiem. Zbombardował mnie pytaniami o Lenę Thorsen, która najwyraźniej cieszyła się międzynarodową reputacją. Chaotycznie opowiedziałem o jej urodzie, profesjonalizmie oraz chłodnym sposobie bycia, nie wspominając o owym sierpniowym dniu 1995 roku, kiedy tak dogłębnie i nieodwołanie mnie rozczarowała. Oczywiście nie nadmieniłem też ani słowem o okolicznościach, w jakich opuściłem Córdoba, powtarzając wersję wydarzeń, którą zaserwowałem Quinterosowi.

Wróciłem do pokoju około północy. Moje bagaże czekały pod drzwiami. Przez jakiś czas nie mogłem zasnąć, bo głowę zaprzętały mi sprzeczne rozważania. W przeciągu kilku ostatnich godzin okłamałem trzy osoby, z których przynajmniej jedna pragnęła wyłącznie mojego dobra. Poznałem już, z jakim trudem przychodzi mi prowadzenie podwójnego życia; skąd więc wezmę siłę, by prowadzić życie potrójne? Na nowo odkryłem też KFR z jego niezaprzeczalnym ogromem (o czym świadczył peruwiański dyrektor Akademii), odstręczającymi wadami (niepotrzebnie enigmatyczny szofer, wszechobecne kamery) i wyjątkową zdolnością do wytworzenia natychmiastowego porozumienia pomiędzy Islandczykiem a Francuzem, którzy nie widzieli się od czterech lat. Jak często wieczorami, moje myśli powędrowały ku Youssefowi i Magawati, którzy w moich oczach uosabiali to, co w konsorcjum najlepszego. Czy pewnego dnia uda mi się odzyskać ich szacunek?

- Jeśli wszyscy już są, proponuję, żebyśmy zaczęli - odezwał się Alfredo Quinteros, podnosząc głos, by przekrzyczeć harmider.

Było piętnaście po dziewiątej, a my wciąż staliśmy z kubkami kawy w dłoniach, szukając wyrażenia, które najtrafniej oddałoby charakter uczelnianego budynku. „Pohiroszimowy koszmar senny”, „Orwellovskie koszary” czy „kafkowska bombonierka” stanowiły ciekawe propozycje, ale największe poparcie uzyskał Stéphane ze swoim „niedokończonym koncertem na pustaki i metalowe belki”.

Usiadłem właśnie obok Brionceta, w trzecim rzędzie. Sala tonęła w świetle syberyjskiego poranka; gałęzie sosen uginały się pod śniegiem.

- Witam wszystkich. Nazywam się Alfredo Quinteros i pełnię funkcję dyrektora Akademii od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Sam w latach sześćdziesiątych, jeszcze w Hamburgu, ukończyłem kurs, który odbędziecie i wy. Następnie zajmowałem różne stanowiska w Planie, w Ameryce Północnej i w Japonii. Ach, no i z pochodzenia jestem Peruwiańczykiem, ale już od dłuższego czasu nie przykładam wagi do koloru paszportu, którym się legitymuję.

Tego typu komentarze zawsze sprawiały, że czułem się nieswojo: czemu prawdziwi obywatele świata - a Quinteros miał pełne prawo pretendować do tego tytułu - tak często poczuli się w obowiązku, aby odcinać się od swoich korzeni? Osobiście nigdy nie czułem się bardziej Islandczykiem, niż odkąd mieszkałem za granicą.

- A teraz oficjalnie ogłaszam rozpoczęcie pięćdziesiątej drugiej sesji Akademii - rzekł dyrektor tonem tak przejętym, jakby otwierał igrzyska olimpijskie przed kamerami telewizyjnymi z całego świata. Jego patos nie był jednak całkiem bezużyteczny, gdyż pozwalał uważnemu słuchaczowi ustalić, że Akademia została założona około 1945 roku. W dobie, gdy świat opatrywał rany, KFR zajmował się kształceniem swoich elit.

Quinteros zrobił pauzę i przesunął spojrzeniem po audytorium, wyraźnie oczekując wyrazów aprobaty dla tak elokwentnego wstępu. Niezniechęcony, ciągnął dalej:

- Akademia ma za zadanie przygotować najlepszych agentów do objęcia kierowniczych stanowisk. Wszyscy członkowie Komitetu Wykonawczego, wszyscy bez wyjątku dyrektorzy terenowi i generalni przeszli przez Akademię. Nie myślcie sobie jednak, że wasz pobyt tutaj stanowi automatycznie gwarancję sukcesu. Jedyne ci najzdolniejsi i najbardziej pracowici wzniosą się w hierarchii naszej organizacji; biada tym mniej energicznym albo takim, którym się wydaje, że studia na Akademii to trzyletnie luksusowe wakacje.

Zdaje się, że nie doceniłem poczucia humoru Quinterosa. Bo jeśli naprawdę uważał nasz syberyjski blokhauz za pięciogwiazdkowy hotel, to nie śmiałem nawet zgadywać, jak wyobraża sobie kamping. A jednak, dowcip, nie dowcip, zaskakująco ostry ton dyrektora dawał do myślenia. Mowa powitalna składa się zwykle z dwóch etapów: na początku osoba przewodnicząca ceremonii ustanawia wśród słuchaczy poczucie solidarności („jesteście najlepszymi z najlepszych”), a następnie przedstawia im zarys idyllicznych perspektyw. Publiczność zwykle nie daje się nabrać, ale dużo chętniej łyka obietnice sławy i zaszczytów niż zapowiedzi potu i łez. Wygłaszając te ledwie zawoalowane groźby, Quinteros przypominał raczej adiutanta oddziałów marines niż śliskiego biurokratę, którego chciałoby się w nim widzieć. Jakby po to, by zadać kłam moim przemyśleniom, wyjął z rękawa chusteczkę i otarł czoło.

- A teraz podstawowe dane liczbowe, które lepiej niż jakiegokolwiek długie przemówienia przekonają was o strategicznej roli Akademii: jest was tylko dwadzieścioro, ale reprezentujecie siedemnaście różnych krajów i sześć kontynentów. Łącznie władacie dziewiętna-

stoma językami. Macie średnio trzydzieści trzy lata i spędziliście osiem lat w terenie. Podczas trzyletnich studiów w Krasnojarsku wysłuchacie tysiąca pięciuset godzin wykładów, a KFR wyda na waszą edukację ponad milion dolarów.

Tę ostatnią wartość powitały niedowierzające mamrotania.

- Tak, nie pomyliłem się, milion dolarów, i to nie wliczając waszych pensji - powtórzył z dumą Quinteros, jakby wykladał tę kwotę z własnej kieszeni. - W każdego z was inwestujemy niebagatelną sumę, współmierną do żywionych przez nas nadziei na to, że pewnego dnia obejmiecie ważne funkcje.

To by znaczyło, że roczny budżet Akademii wynosi ponad dwadzieścia milionów dolarów. Skąd się brały te pieniądze, oto czego chętnie bym się dowiedział.

- Na pierwszym roku studiów przerabia się materiał ogólny. Pogłębicie swoją znajomość mechanizmów działania KFR-u, przy pomocy naszych najlepszych scenarzystów wzbogacie paletę technik narracyjnych, zapoznacie się z nowinkami z dziedziny falsyfikacji elektronicznej, a wreszcie odkryjecie pewne chwalebne oraz tragiczne epizody z dziejów naszej organizacji. Wszystkie wasze projekty, zarówno indywidualne, jak i grupowe, zostaną ocenione. Pod koniec roku czeka was dodatkowo seria egzaminów, które pomogą ustalić wśród was niepodlegającą dyskusji hierarchię. Będziecie mogli, zależnie od zajętej w rankingu pozycji, wybrać organ, któremu poświęćcie kolejne dwa lata studiów. Organy są trzy. Plan, zarządzany przez Angoué Djiba, którego niektórzy z was mieli już okazję poznać, co trzy lata wytycza najważniejsze kierunki działania KFR-u. Główny Inspektorat, pod wodzą Claasa Verplancka, upewnia się, czy wszystkie reguły postępowania i procedury są ściśle przestrzegane, tak na poziomie centralnym, jak i w lokalnych stacjach czy biurach. Jeśli chodzi o Operacje Specjalne, dowodzone przez Yakouba Khoyoulfaza, ten wydział interweniuje za każdym razem, gdy naszej organizacji grozi zdemaskowanie.

Podskoczyłem na siedzeniu. Khoyoulfaz, ten spragniony krwi brutal, kierował Operacjami Specjalnymi? A ja sądziłem, że podlega rozkazom Jonesa. Jak mogłem się w tej kwestii pomylić? I jak Azerbejdżanin mógł zajmować w strukturze KFR-u stanowisko

porównywalne z tym sprawowanym przez Angoué Djiba, najbardziej wysublimowanego człowieka, jakiego dane mi było spotkać?

- I wreszcie - ciągnął Quinteros, nie zauważając malującego się na mojej twarzy szoku - ci z was, którzy nie załapią się na stanowiska w najważniejszych organach, zostaną przypisani do Dyrekcji Funkcjonalnych: do Działu Finansów, Działu Kadr i Działu Informatycznego.

Innymi słowy, czekało ich pogrzebanie żywcem: nikt nie wstępował do KFR-u po to, by skończyć jako dyrektor IT w biurze w Jackson w stanie Missisipi. I znowu, nasz gospodarz nie silił się na gładkie słówka, lecz jasno dał do zrozumienia, że dobre miejsca będą drogo kosztować.

- Spędzimy razem trzy lata - kontynuował Quinteros - i choć nie zabraknie okazji, by lepiej się nawzajem poznać, chciałbym, aby każde z was w kilku słowach opowiedziało o sobie. Może na początek pani w pierwszym rzędzie?

- Lena Thorsen, lat trzydzieści, Dunka - oznajmiła Lena, odwracając się. - Zaczynałam w wielozadaniowej stacji w Reykjavíku. Następnie przeniosłam się do biura w Stuttgarcie, które specjalizuje się w starożytnych cywilizacjach. Później pełniłam obowiązki zastępczyni dyrektora biura w Córdoba, które wszyscy znacie. I prawie bym zapomniała: zajęłam drugie miejsce w Honolulu w 1989 roku.

Cała Lena, pomyślałem. Wspomniała o swoim młodym wieku i zdobytej nagrodzie, ale o powołaniu przed Komisję Dyscyplinarną to już nie.

- Dziękuję, Leno - odezwał się Quinteros, wyraźnie pod wrażeniem. - Rzeczywiście bardzo imponująca kariera. Może jakiś akcent osobisty?

- W tej chwili nic mi nie przychodzi do głowy - odparła Lena tym samym suchym tonem, którym usadziła mnie pewnego wieczoru w Córdoba, gdy napomknąłem o jej potencjalnym chłopaku.

- Matt Cox. - Przejął pałeczkę jej sąsiad, olbrzymi blondyn o ustach pełnych zębów i gęstym jak melasa amerykańskim akcencie. - Pochodzę z Lansing w stanie Michigan. Grałem na pierwszej bazie w drużynie bejsbolowej instytutu Georgia Tech. Pracowałem

w biurach w Chicago, na Tajwanie i w Nairobi. Ja też byłem w Honolulu, tyle że z okazji wieczoru kawalerskiego mojego brata. Może i zdobyliśmy jakąś nagrodę, ale szczerze mówiąc, niewiele pamiętam.

Jego żart rozśmieszył wszystkich z wyjątkiem Leny, która zaczerwieniła się jak burak.

- To mój pierwszy pobyt w Europie - dorzucił Matt. Wydał mi się naprawdę sympatyczny, ale ktoś mimo wszystko powinien mu powiedzieć, że Krasnojarsk leży w Azji.

Przedstawiliśmy się kolejno. Liczba reprezentowanych przez studentów narodowości mogła przyprawić o zawrót głowy: było wśród nas dwoje Włochów, Japończyk, dwoje Amerykanów, Brazylijka, Irlandka, Niemiec, Rosjanin, Ukrainiec, dwie Hinduski, Chinka, Nigeryjczyk, Australijczyk, dziewczyna z Południowej Afryki, Dunka, Francuz, Islandczyk oraz, ma się rozumieć, nieunikniony Meksykanin. Nie znałem nikogo poza Stéphane'em i Leną, a coś mi mówiło, że ta nie była do końca zachwycona, kiedy tego ranka natknęła się na mnie w kantynie. Mnie zaś jej obecność wcale nie zaskoczyła. Razem wypadliśmy z obiegu, było więc logiczne, że razem powrócimy w szeregi. Zresztą Lena zasłużyła na miejsce w Akademii co najmniej w równej mierze jak i ja.

Długo się jej przyglądałem, podczas gdy wszyscy pozostali recytowali swoje kwestie. Ścięła włosy do ramion, co podkreślało surowość jej twarzy, ale czyniło ją jeszcze atrakcyjniejszą. Miała na sobie golf z szarego lnu. Do tej pory widywałem ją wyłącznie w letnich ubraniach. Westchnąłem na myśl o wszystkich mękach, jakie mnie czekały: Lena w śniegu, Lena w uszance, Lena grzejąca się przed kominkiem we foyer...

Kiedy zaprezentowała się ostatnia ze studentek, Irlandka imieniem Aoifa o płomiennie rudych włosach i porcelanowej cerze, Quinteros zerknął na zegarek i ponownie zabrał głos:

- Wasze pierwsze zajęcia rozpoczną się za piętnaście minut. W międzyczasie z przyjemnością odpowiem na parę pytań.

-Jaki jest cel działania KFR-u? - wypaliła Amanda Postlewaite, dziewczyna z RPA usadowiona obok Matta Coxa.

Odkrycie, że wszystkich nas zajmują podobne sprawy, napełniało otuchą.



- Trochę za wcześnie na takie pytania, nie sądzi pani? - Quinteros odbił piłeczkę niewzruszony.

- Ależ skąd, ani trochę - odparła spokojnie Amanda. - Proszę się postawić w mojej sytuacji. Pracuję dla KFR-u już od dziesięciu lat, lecz za każdym razem, kiedy poruszałam ten temat, przełożeni odpowiadali, że mój poziom dostępu nie uprawnia mnie do zapoznania się z tą informacją. Dzisiaj słyszę, że należę do wybrańców i że następne trzydzieści sześć miesięcy spędzę w miejscu, gdzie temperatura zewnętrzna tylko z rzadka przekracza tę panującą w mojej zamrażarce. Zgodzi się pan, że w tych warunkach prośba o ujawnienie paru sekretów nie wydaje się tak całkiem nieuzasadniona.

Dobrze powiedziane - ale trzeba by czegoś więcej, żeby wytrącić Quinterosa z równowagi.

- Rozumiem pani niecierpliwość - zapewnił - ale obawiam się, że po raz kolejny będziemy musieli odłożyć tę dyskusję na później.

- Czy przynajmniej uzyskamy odpowiedź przed końcem pobytu tutaj? - naciskałem. Paru kolegów pokiwało głowami na znak poparcia.

- Możliwe - przyznał Quinteros zdawkowo. - Ale na pewno nie dzisiaj.

- Czy jest pan członkiem Komitetu Wykonawczego? — dociekał Stéphane.

- Dlaczego mnie pan o to pyta? - rzucił dyrektor Akademii, nagle przechodząc do defensywy.

- Ponieważ chciałbym wiedzieć, czy jest pan członkiem Komitetu Wykonawczego - wyjaśnił Brioncet z rozbijającą prostotą.

- Skład Komitetu Wykonawczego jest ściśle tajny - odrzekł Quinteros. Wyciągnął z rękawa chusteczkę i zaczął obracać ją w dłoni, szukając czystego skrawka.

- Skąd się biorą pieniądze? - Matt Cox zapytał z szerokim uśmiechem, odsłaniając kilkadziesiąt idealnie prostych zębów.

- Budżet Akademii zostaje przegłosowany przez Komitet Wykonawczy, a finansują go w równym stopniu główne organy KFR-u, Dyrekcje Funkcjonalne oraz lokalne jednostki - wytłumaczył Quinteros, który odzyskał swobodę, gdy tylko dotknął kwestii administracyjnych.

- Ale skąd się biorą te pieniądze? - upierał się Cox. Quinteros otarł czoło, a potem ponownie spojrzął na zegarek.

Widać było, że nie podoba mu się kierunek, w jakim zmierza rozmowa.

- Pomówimy o tym nieco później w ciągu roku. Dziś nie mogę zdradzić wam na ten temat nic więcej.

Pospiesznie zebrał notatki, oceniając odległość dzielącą go od drzwi.

- Dobrze, zostawię was teraz w rękach waszego wykładowcy, Leopolda... Tak, Witalij?

Witalij, na wpół łysy Ukrainiec, podniósł rękę na tyle wysoko, że Quinteros nie mógł udawać, iż tego nie zauważył.

-Jakie stosunki utrzymuje KFR z rosyjskimi władzami? Przebywamy obecnie w budynku niegdyś należącym do KGB, który nie figuruje w książkach telefonicznych i nie pojawia się na żadnej mapie. Wnioskuje z tego, że KFR, a przynajmniej ta placówka, korzysta z ochrony osób na najwyższym szczeblu Federacji Rosyjskiej. Mylę się?

Przez sekundę sądziłem, że Quinteros rzuci się do drzwi i spróbuje ucieczki, wiedząc, że nikt nie ośmieli się go powstrzymać. Ale jednak odpowiedział, uważnie dobierając słowa:

- Utrzymujemy bardzo przyjazne stosunki z rządem, to znaczy z narodem rosyjskim. Tak, właśnie tak, jesteśmy przyjaciółmi rosyjskiego narodu i... yyy... rosyjskiej duszy. A teraz państwo wybaczą.

I ulotnił się, zostawiając nas pogrążonych w zadumie nad jego ostatnimi słowami. Witalij, wściekły, zwrócił się do swojego sąsiada w nieznanym mi języku. Stéphane podniósł się, by rozprostować nogi, a ja poszedłem w jego ślady. Nasz wykładowca jeszcze się nie zjawił.

- Dartunghuver...

Odwróciłem się. Stała przede mną Thorsen z jeszcze bardziej niedostępnym wyrazem twarzy niż zazwyczaj. Mimowolnie wciągnąłem w nozdrza zapach jej perfum, który jak mi się zdawało, zdążyłem zapomnieć.

- Dzień dobry, Leno - przywitałem ją, bezskutecznie usiłując nadać swojemu głosowi stanowcze brzmienie.

- Dzień dobry. Niech pan posłucha: spędzimy w tym bunkrze trzy lata, więc w sposób nieunikniony będziemy się widywać, a nawet wspólnie pracować.

- To rzeczywiście prawdopodobne - przytaknąłem, zastanawiając się, czy zamierza wyciągnąć z rękawa gałązkę oliwną.

- Nie zamierzam mówić panu, żeby nie wchodził mi w drogę... - podjęła.

- To bardzo miło z pani strony - uznałem, mentalnie stawiając krzyżyk na hipotezie z gałązką.

- Niech mi pan da dokończyć. Proszę jedynie, by nigdy nie odzywał się pan do mnie w jakiegokolwiek sprawie innej niż zawodowa. Przysporzył mi pan już wystarczająco wielu zmartwień.

I odwróciła się na pięcie, a Stéphane, który nie uronił ani słowa z naszej wymiany zdań, stwierdził z podziwem:

- Czy jest profesjonalistką, tego nie wiem. Ale co do urody i chłodnego sposobu bycia nie mam cienia wątpliwości.

Gunnar miał zwyczaj twierdzić, że przestaje obawiać się odstępstwa zwerbowanych przez siebie agentów z chwilą, gdy wstępują do Akademii. Nie byłem jeszcze gotowy, by zapewnić, że dożyję kresu swoich dni w konsorcjum, ale rozumiałem teraz uwagę Gunnara. Kto nie czułby się mile połączony na myśl, że należy do garstki wybrańców, którzy pewnego dnia pokierują jedną z najtajniejszych organizacji na świecie? A poza tym, czy istniał inny pracodawca, który byłby w stanie tyle zainwestować w wykształcenie przyszłego zarządu? I co dyrektorzy działów kadr z wielkich międzynarodowych spółek pomyśleliby o trwającym trzy lata programie edukacyjnym, skoro krzywili się już na konieczność sfinansowania tygodniowego szkolenia? Tak naprawdę jedynie akademie wojskowe i szkoły oficerskie mogły faktycznie równać się z Krasnojarskiem.

Na tym podobieństwa się nie kończyły. Tygodniowy harmonogram zajęć, który otrzymywaliśmy w niedzielę wieczorem, roz-planowywał nasz czas z istic wojskową precyzją. Większość kursów - modułów, jak nazywał je Quinteros w swoim obrzydliwym, urzędowym żargonie - rozciągała się na sześć lub osiem tygodni, z czego w każdym tygodniu odbywały się dwie półdniowe sesje. Wykładowcy, często także absolwenci Akademii, na czas trwania kursu zatrzymywali się w tym samym budynku mieszkalnym co my. Niektórzy instruktorzy zjawiali się, by przeprowadzić jedne jedyne zajęcia. Przyjeżdżali zimą późnym rankiem, załapywali się na lunch z Quinterosem w jego prywatnej jadalni na piętrze pałacyku myśliwskiego, realizowali kurs i śpiesznie ruszali w drogę powrotną.

by zdążyć na wieczorny samolot do macierzystej jednostki. W wyjątkowych przypadkach taki gość przylatywał helikopterem, który lądował na przygotowanym w tym celu terenie za budynkiem uczelnianym. To wiele mówiło o finansowych możliwościach KFR-u, który bez marudzenia godził się na tak ekstrawaganckie wydatki. Bo, mimo długich namysłów, miałbym problem, by wskazać miejsce na świecie, które jako cel podróży okazałoby się równocześnie tak niegościnne i tak drogie jak Krasnojarsk. Może Grenlandia albo Ziemia Ognista.

Program nauczania niczego nie pozostawiał przypadkowi. Rok rozpoczynał się od serii modułów poświęconych funkcjonowaniu KFR-u: jego hierarchii, sposobom finansowania, rolaom poszczególnych organów, technikom rekrutacyjnym i tak dalej. Wróć jeszcze do tych podstawowych lekcji udzielonych nam podczas kursów, które miały na celu przede wszystkim wyrównanie poziomu wiedzy poszczególnych studentów. Weźmy za przykład mnie: pobyt w Córdoba dał mi niezłe pojęcie o relacjach pomiędzy stacjami, biurami i centrami; nie nauczył mnie za to niczego o wyzwaniach, przed jakimi stawali nasi rekruterzy, ani o rygorystycznej procedurze budżetowej, jaką Dyrekcja Finansowa nakładała na oddziały terenowe. Pod koniec pierwszego trymestru wszyscy wiedzieliśmy o konsorcjum równie dużo - albo równie mało. Trzy miesiące intensywnych zajęć metodycznie zniwelowały różnice wynikające z ośmiu lat indywidualnych doświadczeń.

Później, przez resztę roku, uczestniczyliśmy na zmianę w wykładach teoretycznych oraz ćwiczeniach praktycznych. Te ostatnie, które przyjmowały formę studium przypadku, należały do moich ulubionych. Zazwyczaj nauczyciel przedstawiał nam prawdziwą sytuację, następnie zadawał konkretne pytanie i kazał przygotować odpowiedź na następny dzień. Przypadki, błyskotliwie przedstawione, o doskonale zakreślonych granicach, prawie zawsze wzbudzały we mnie znajome echo; nie można było mieć wątpliwości, że zostały stworzone przez agentów. Rozpoznałem zresztą parę teczek, które przeszły przez moje ręce w Córdoba, jak ta dotycząca Corporate DNA. Kursy teoretyczne poruszały bardziej eklektyczne i często niespodziewane tematy: techniki literackie, informatyka, geopoliti-

tyka, historia wojskowości i tak dalej. Zdarzało się, że rano przerebaliśmy żydowską kabałę, po południu omawialiśmy strategiczne korzyści płynące z kontrolowania Kanału Sueskiego, a po kolacji analizowaliśmy rolę rodzimych języków w powstawaniu ruchów niepodległościowych.

Jakość nauczania była wprost fenomenalna. Nie wydaje mi się, bym przez trzy lata w Akademii musiał przecierpieć choćby jeden kiepski kurs. Niektórzy wykładowcy na zawsze zapisali się w mojej pamięci, jak ten Rumun, profesor literatury rosyjskiej na Uniwersytecie w Bukareszcie, który nauczył nas charakteryzować postać, wcale jej przy tym nie opisując, albo ten Teksańczyk, emerytowany pułkownik, który wyjaśnił, w jaki sposób armia amerykańska straciła poparcie opinii publicznej podczas wojny w Wietnamie. Wszyscy olśnili mnie umiejętnością wzniesienia się ponad dogmaty i uprzedzenia, wliczając w to także tych, którzy dorastali w cieniu tłam-szących ideologii, jak na przykład ów Armeńczyk, którego ojciec został za czasów Stalina deportowany za przestępstwa gospodarcze, a który dziś rozprawiał o słabych stronach kapitalizmu. Trzeba też powiedzieć, że KFR pilnował, by bardziej kontrowersyjne tematy, takie jak inkwizycja, kolonializm czy prawa mniejszości, zostały nam przedstawione z kilku różnych punktów widzenia.

Doceniałem, oczywiście, fakt, że nasi zwierzchnicy dostrzegali złożoność świata, a czasem posuwali się nawet do jej gloryfikowania. Nic nie jest czarne albo białe, jak przypominali liczni instruktorzy, a historię piszą zwycięzcy. To jednak nie przeszkadzało im w nazywaniu rzeczy po imieniu, nawet jeśli ryzykowali, że zszokują w ten sposób zwolenników politycznej poprawności, którzy wślizgnęli się w nasze szeregi. Pamiętam zajęcia pod niepozornym tytułem *To, co wrodzone, i to, co nabyte*, które niemal przybrały nieciekawą obrót, kiedy wykładowca, Brytyjczyk nazwiskiem Wilkin, zaprezentował nam wyniki badań, wedle których Amerykanie rasy czarnej mieli iloraz inteligencji nieco niższy niż średnia krajowa, ich współobywatele pochodzenia azjatyckiego natomiast plasowali się o porównywalną liczbę punktów powyżej średniej. Kilku studentów - w tym Stephane i Buhari, jedyny czarnoskóry w naszej grupie - rozkrzyczało się, grożąc, że wyjdą z sali, jeśli Wilkin

natychmiast nie potępi badania. Wszystko wskazywało na to, że Brytyjczyk spodziewał się oburzenia, bo we wspaniale dobranych słowach wyjaśnił, że choć z założenia sprzeciwia się jakiegokolwiek stronnictwej, politycznej interpretacji, to nigdy nie usłyszymy z jego ust krytyki samej idei danego badania, zwłaszcza jeżeli przeprowadzono je w oparciu o ścisły, naukowy protokół, jak rzecz się miała w omawianym przez nas przypadku.

- Trzeba uważać, by nie pomylić ze sobą dwóch rzeczy - ciągnął. - Badacz potrzebuje wszystkich dostępnych informacji. Jeśli zabroni gromadzenia pewnych danych, tłumacząc się tym, że mogą one zagrozić jego wizji świata, dopuszcza się zdrady wobec swojego naukowego powołania i zamienia się w cenzora. Wyniki badania, o którym wspomniałem, pozostają jednoznaczne, ale na tym, oczywiście, sprawa się nie kończy. Badacze muszą teraz wybrać pomiędzy trzema potencjalnymi wyjaśnieniami: hipotezą krzywdzącej konstrukcji (obecne testy IQ zawierają niesprawiedliwe elementy, które działają na szkodę czarnych, a także, w mniejszym stopniu, białych, faworyzując Azjatów); tak zwaną hipotezą społeczną (inteligencja, którą tradycyjnie uznaje się za wrodzoną, w rzeczywistości jest też częściowo nabywana, zatem gorsze wyniki czarnych tłumaczy fakt, iż przeciętnie dorastają w mniej uprzywilejowanych środowiskach); oraz hipotezą genetyczną (czarni naprawdę są mniej inteligentni od przedstawicieli pozostałych ras). W przeciwieństwie do tego, co może wam się wydawać, ludzie, którzy odmawiają udziału w tej debacie, wyświadczają niedźwiedzią przysługę tym, których w swoim przekonaniu bronią. Schodząc z naukowej sceny, zostawiają drogę wolną szarlatanom i populistom. Lepiej by postąpili, edukując masy - które bez dwóch zdań edukacji potrzebują - i przypominając im, że istoty ludzkiej tak czy inaczej nie da się sprowadzić do garstki wskaźników.

W końcu wszyscy wrócili na miejsca i można było podjąć dyskusję. Stéphane przyznał później, że tyrada Wilkina skłoniła go do przewartościowania sposobu myślenia. (Zawsze uważałem, że począwszy od pewnego wieku, zmiana zdania to dowód odwagi, a nie niekonsekwencji).

Poziom reprezentowany przez kolegów imponował mi przynajmniej w takim samym stopniu, co poziom nauczycieli. Niektóre

projekty opracowywało się w małych grupach, więc w ciągu zaledwie kilku tygodni udało mi się poznać, choćby powierzchownie, pozostałych dziewiętnastu studentów. Z łatwością wychodziliśmy sobie naprzeciw, niewątpliwie tak z powodu wrodzonej ciekawości, jak i ze strachu przed niezaliczeniem się do żadnej z klik, które w nieunikniony sposób zaczęły się tworzyć. Nasze koleżeństwo nie stało zresztą w sprzeczności z duchem współzawodnictwa. Pierwsze sesje ćwiczeń praktycznych, podczas których żywo zachęcano nas do aktywnego uczestnictwa, jasno pokazały, że nikt nie znalazł się na Syberii przypadkiem. Ja, który do tej pory sądziłem, że będę mógł polegać wyłącznie na swoich zdolnościach, bardzo szybko pojąłem, że przyjdzie mi się jednak przyłożyć, jeśli nadal chcę być panem swojego losu. Pierwsze miesiące zaliczały się do tych najbardziej intensywnych: nikt nie porzucił jeszcze nadziei na ukończenie roku z najlepszym możliwym wynikiem, wszyscy śledzili więc uważnie oceny sąsiadów, udając, rzecz jasna, że przejmują się wyłącznie własnymi. Każde z nas inaczej radziło sobie ze stresem, począwszy od Stephane'a, który opowiadał każdemu, kto chciał słuchać, że totalnie sobie bimba (w co mocno wątpiłem, znając jego możliwości w kwestii pracy), a skończywszy na Amandzie, dziewczynie z Południowej Afryki, która parę lat później wyznała mi, że nieraz kładła się spać przy zapalonym świetle, żeby nas przekonać, iż harowała całą noc.

A jednak pewne znaki mówiły same za siebie. Bibliotekarka co dzień o północy musiała wypraszać za drzwi z dziesięcioro studentów, którzy wciąż męczyli encyklopedie przy świetle zielonych lampek. Na śniadaniu po bladych twarzach można było poznać tych - a często się do nich zaliczałem - którzy kontynuowali sesję naukową w samotności własnych klitek. Kiedy sprawa mi się podobała, gotów byłem pracować całą noc, by odkryć postać czy źródło, które w znaczny sposób poprawiłyby stosunek ryzyka do opłacalności teczki. Moja młodość zapewniała mi bezdyskusyjną przewagę nad innymi, starszymi agentami, którzy mieli trudności z ponownym wpasowaniem się w ten rytm. Osobiście odnosiłem wrażenie, że nigdy nie opuściłem szkolnej ławy; od dziesięciu lat wręczałem komuś zadania domowe: profesorom na uniwersytecie, Gunnarowi Erikssonowi, Lenie Thorsen, a dziś - wykładowcom z Akademii.



Coś się jednak zmieniło: pojawił się Internet, który upłynniał poszukiwania. Nie będę udawał, że zaraz po przyjeździe do Krasnojarska przewidziałem, iż Internet zajmie centralne miejsce w codziennym życiu, ale intuicja szybko mi podpowiedziała, że przed KFR-em otwiera on niezwykle możliwości i że z czasem pozwoli na fenomenalny wzrost produktywności. Scenarzyści, dla których istotną część pracy polegała na zanurzeniu się w tekście, mogli wreszcie bez wysiłku podążać za swoimi pomysłami i za pośrednictwem linków odkrywać nieprawdopodobne analogie prowadzące do objawienia. A możliwe, że fałszerze mogli zyskać jeszcze więcej: rozsiewanie plotek, tworzenie źródeł odniesienia, modyfikacja baz danych, wszystko to stało się dziecinnie proste dla każdego, kto opanował arkania działania sieci i potrafił zacierać za sobą ślady. Quinteros, którego łatwiej było wyobrazić sobie z wiecznym piórem niż z myszką w dłoni, bardzo prędko zdał sobie sprawę ze znaczenia tej rewolucji i powołał do życia serię fakultatywnych seminariów, podczas których rosyjscy specjaliści, wywodzący się, jak podejrzewałem, z KGB, zapoznali nas z podstawowymi technikami hakerskimi. Nie opuściłem ani jednego zajęcia.

Po dwóch latach w Córdoba, gdzie często czułem się jak wyrzucona na brzeg ryba, wreszcie znalazłem się w swoim żywiole. Program nauczania zdawał się stworzony specjalnie dla mnie, by schlebić moim mocnym stronom i ukryć słabości. Ani polarne zimno, ani nawał pracy, ani zaostrzona konkurencja nie sprawiły nigdy, żebym żałował powrotu na stare śmieci. Każdego dnia ocierałem się o najbystrzejsze umysły świata, napotykałem mężczyzn i kobiety, którzy, mimo różnic etnicznych, kulturowych i religijnych, mówili wspólnym językiem i nieustannie próbowali się nawzajem zrozumieć. Przede wszystkim jednak odczuwałem niemal permanentne intelektualne uniesienie, rodzaj prawdziwej radości, przewyższający wszystkie inne jej formy, którym, na całe szczęście, możemy cieszyć się aż po kres naszych dni. Wszystko mogło stać się jej przyczyną: nazwisko legendy, zbyt piękne, by mogło być prawdziwe, które faktycznie okazywało się fałszem; trymestralne raporty autorstwa An-goui Djiba na temat wykonania Planu; odkrycie, że pomysł na teczkę, który nagle przyszedł wam do głowy, został zrealizowany przed

siedmioma laty przez słoweńskiego agenta; rozkoszne poczucie, że nawet siedząc w koszarach w najdalszej głębi Syberii, kształtujecie aktualności na całym świecie.

I chociaż postanowiłem na nowo złączyć swój los z losem KFR-u, zachowywałem stałą czujność. Nie ufałem już swoim instynktom. Im bardziej spontaniczny zdawał się dany impuls, tym bardziej stawałem się podejrzliwy. Wierzyłem w słowa przełożonych wyłącznie w takim zakresie, co do którego mogłem samodzielnie się upewnić. Ze szczególną, wręcz ekstremalną ostrożnością potraktowałem te sławne sekrety, które ujawniono nam w toku pierwszych wykładów. Czego się dowiedzieliśmy? Ze jedynie członkowie Komitetu Wykonawczego znają historię początków oraz cel istnienia KFR-u i że nie mamy co strzepić sobie języków, pytając o te sprawy po raz kolejny. Ze członkowie Komitetu, w liczbie sześciu, sami uzupełniają jego skład, a decyzje podejmują kolegialnie, bo wszystkie głosy posiadają taką samą wagę. Ze organizacja czerpie środki z fortuny wniesionej przez swojego założyciela lub założycieli, którą od tamtej pory udało się pomnożyć do bajecznych rozmiarów. Ze funduszami zarządzają trzy instytucje finansowe, spośród tych cieszących się w świecie największą renomą, które sądzą, że pracują dla amerykańskiej fundacji.

Ogólnie rzecz biorąc, uznałem te nowiny za raczej pozytywne. Może i na razie nie poznam tajemnicy KFR-u, ale przynajmniej tylko ode mnie zależy, czy pewnego dnia ją odkryję: moje szanse, by wspiąć się na sam szczyt w hierarchii organizacji, okazały się sześciokrotnie wyższe, niż wcześniej zakładałem; a do tego KFR wydawał się wystarczająco bogaty, by móc oprzeć się pokusie wykorzystywania swoich umiejętności do niecznych celów. Nie miałem też nic do zarzucenia „trzem tandemom podstawowych zasad”, by użyć sformułowania Quinterosa, którym ten z pełną powagą uraczył nas pewnego dnia. A były to: tolerancja i relatywizm, wolność ciała i ducha oraz nauka i postęp. W tej dewizie odnalazłem cechy, którymi zjednali mnie sobie Gunnar Eriksson czy Angoua Dji-bo. A jednak, dla uzyskania pełnego obrazu trzeba by ją uzupełnić o tchórzostwo Diaza czy okrucieństwo Khoyoulfaza. Słono zapłaciłem za wiedzę, że prawda o konsorcjum kryje się przynajmniej

w takim samym stopniu w tym, co organizacja postanawia przemilczeć, jak i w tym, czym się chwali.

Niestety - albo stety, z punktu widzenia organizacji - moi koledzy nie posiadali tego samego doświadczenia co ja. Zadziwiła mnie ich dobrodusznna naiwność. Protestowali, kiedy wykładowcy nie odpowiadali na ich pytania, ale z trudem dopuszczali możliwość, by mogli ich okłamać. Gdy dyrektor finansowy opowiedział nam o ogromie środków, jakimi dysponuje, Stéphane Brioncet odwrócił się do mnie i szepnął mi na ucho:

- Przynajmniej wiemy teraz, że KFR nie jest szóstą rodziną mafijną.

Natychmiast odparowałem:

- Ach tak? Sądzisz, że gdyby tak było, powiedzieliby nam o tym?

Nie miałem serca przygnębiać Stéphane'a. Swego czasu ja również brałem słowa mojego opiekuna prowadzącego za dobrą monetę. I jeśli trzeba było, aby umarł człowiek, żebym nauczył się czytać między wierszami, to czy przyzwoitość pozwalała życzyć podobnej lekcji każdemu ze studentów?

Tymczasem konsekwentnie odpuszczałem sobie wieczorki urodzinowe oraz inne libacje, które moi współtowarzysze organizowali z najbliższej okazji. Och, jasne, nadal zachowywałem się uprzejmie i koleżeńsko, ale nikomu się nie zwierzałem. W innym życiu bez wątpienia mógłbym zaprzyjaźnić się z Amandą i z Ichiro, Japończykiem, ale zwyczajnie nie miałem na to siły. Choć oboje byli ode mnie o sześć czy siedem lat starsi, czułem się dla nich za stary, przedwcześnie zużyty. I co za ironia losu, że jedyna osoba w całej Akademii, z którą mógłbym odbyć konwersację jak równy z równym, nie chciała ze mną rozmawiać...

Pierwsze miesiące okazały się najtrudniejsze. Nikt do mnie nie pisał i ja też do nikogo nie pisałem. Gunnar nie dawał znaku życia; pewnie dostawał informacje bezpośrednio od Quinterosa. Brakowało mi Youssefa i Magawati. Uznałem nieodwołalnie, że odepchnęliby mnie, gdybym wyciągnął do nich rękę. Nie czułem się na siłach, aby znieść odrzucenie.

Pocieszenie w tej samotności znajdowałem w wędrówkach po okolicy, która zmieniła się wraz z nadejściem pogodnych dni.

W powszechnym mniemaniu słowo „Syberia” pochodzi z języka tureckiego i oznacza: „uśpiona ziemia”. Zupełnie jak w baśniach las budził się po trwającej osiem miesięcy nocy. Życie powolutku odzyskiwało panowanie nad światem. Śnieg się roztopił, odsłaniając gąbczastą, torfową ziemię, której Mongołowie używali niegdyś jako opału. Drzewa iglaste oraz brzozy wyprostowały się od napływu wiosennych soków, stawiając czoła atakom bobrów, które wyłoniły się wygłodniałe ze swych nor i zatapiały zęby w świeżej korze. Jesiotry, jeszcze niedawno uwięzione pod metrową warstwą lodu, pływały leniwie, grzejąc brzuchy w słońcu. Jeśli oddaliło się kawałek od Akademii, można było dostrzec stada reniferów kroczące ku tundrze, gdzie miały spędzić lato, jak każdego roku od tysiącleci.

Im bardziej samotny się czułem, tym bardziej poszukiwałem izolacji. Wyruszałem bez uprzedzenia, na dwie godziny albo na dwa dni, z plecakiem i lornetką na szyi. Gdy zmęczyłem się marszem, zamykałem oczy i napełniałem płuca tym nieopisanym zapachem, mieszaniną leśnych woni, metanu oraz pyłków, który tak bardzo przypominał to, co poczuć można w islandzkiej kniei. Niejeden raz przemknęła mi przez głowę myśl, że łatwo mógłbym się zgubić. Żeby się podręczyć, zastanawiałem się, kto jako pierwszy zauważyłby moje zniknięcie. Nigdy nie odnaleźliby mojego ciała.

Akademia, natura - powinienem być szczęśliwy, ale nie byłem. Doskonale radziłem sobie w życiu zawodowym, lecz nie potrafiłem nawet stwierdzić, czy posiadam jakieś życie prywatne. Stopniowo zmieniałem się w maszynę - maszynę do dopracowywania scenariuszy, do kontrolowania źródeł. Wciąż dostrzegałem piękno świata

- nawet wśród najgorszej udręki oszczędzono mi tej ostatniej kary
- ale czułem się społecznie niedopasowany.

Nigdy jeszcze moja więź z ludzkością nie wydawała mi się tak wątła.

Pierwsze oceny posypały się w czerwcu, a wraz z nimi posypały się nadzieje niektórych studentów. Ranking, uaktualniany co tydzień, wywieszono w głębi sali wykładowej. Udawało mi się utrzymywać w pierwszej trójce, ramię w ramię z Leną Thorsen i Japończykiem Ichiro Harakawą. Miałem nadzieję, że okaże się to łatwiejsze, ale nie wypadało mi narzekać.

Z początkiem września seria dobrych ocen pozwoliła mi tymczasowo uplasować się na szczycie listy. Nie odczułem z tego powodu szczególnej radości, zamiast tego wykalkulowałem, że jeśli nie zdarzy się żaden nieprawdopodobny wypadek, to właśnie zapewniłem sobie możliwość wyboru, do którego organu dołączę pod koniec roku. Mogłem więc nieco spuścić z tonu i zabrać się za projekt, który leżał mi na sercu: napisanie czwartej teczki. Kiedy zwierzyłem się ze swoich zamiarów Quinterosowi, spojrzał na mnie, jakbym stracił rozum. Czy chciałem ryzykować swoją przyszłość z powodu teczki, która równie dobrze mogła poczekać rok czy dwa? Zeby mnie złamać, zaproponował, że złoży w moim imieniu prośbę o uznanie pierwszeństwa; była to rzadko stosowana procedura, w której agent w ramach zabezpieczenia ujawniał zarys swojego scenariusza, aby Londyn przez określony okres czasu blokował podobne projekty. Wyjaśniłem Quinterosowi, przy zachowaniu największej możliwej skromności, że czuję się na siłach, żeby wcisnąć tworzenie projektu w swój rozkład zajęć, i że w żadnym wypadku nie pozwoliłbym, by moje niewinne hobby kolidowało z jego diabolicznym wyścigiem szczurów. Tak naprawdę czułem

w sobie palącą energię, której nie mogły ugasić wyłącznie spacery po lesie.

Quinteros niechętnie ugiął się przed moimi argumentami, a potem, ponieważ nie brał porażek do siebie, zaproponował mi pomoc. Wiedziałem, że będę jej potrzebował.

Pomysł na tę teczkę przyszedł mi do głowy rok wcześniej, podczas pobytu w Bremie, kiedy stacja ARD wyemitowała program o zlikwidowanej enerdowskiej policji, Ministerium für Staatssicherheit, znanej powszechnie jako Stasi. W miarę jak byli dowodzący Stasi decydowali się na zwierzchnia, coraz lepiej dało się ocenić wpływ, jaki organ ten wywarł na niemieckie społeczeństwo w czasie zimnej wojny. By podać tylko jeden przykład procederów, jakich dopuszczano się w tym okresie w krajach bloku wschodniego, w strukturze Stasi istniała specjalna komórka, której zadaniem było wysyłanie anonimowych listów z pogrózkami do zachodniemieckich Żydów, by skłonić ich do uwierzenia w odrodzenie ekstremalnej prawicy. Instytucja posiadała tecki na wszystkie ważne osobistości w Zachodnich oraz Wschodnich Niemczech, ale także na setki tysięcy zwykłych obywateli, których jedyną zbrodnię stanowiło czasem pokierowanie na ulicy zagranicznego turysty.

Reportaż stał się jeszcze bardziej interesujący, kiedy dotknął tematu archiwów Stasi. W 1989 roku, przeczuwając bliski koniec, zwierzchnicy Stasi zarządzili zniszczenie wszystkich kompromitujących dokumentów, czyli niemalże wszystkiego, co zapełniało szafy siedziby przy Normannenstrasse. Miliony stron przepuszczono przez niszczarki, które nie zostały stworzone z myślą o tak intensywnym użytkowaniu i wkrótce wyzionęły ducha. Wtedy wszystko, co się dało, rwano gołymi rękami. Gdy runął Mur, BND - zachodniemiecka agencja kontrwywiadowcza - przechwyciła ponad siedemnaście tysięcy worków zawierających wyczerpującą relację z tajnej działalności byłego NRD w postaci cienkich zadrukowanych pasków.

Można by pomyśleć, że na tym historia się zakończy. Ale nie. Rozumiejąc symboliczną wagę tych worków, kanclerz Kohl przekazał je niedawno grupie ekspertów z Zirndorfu, zlecając im odtworzenie tak wielu porozrywanych kartek, jak to tylko możliwe. Sekretarki Stasi w pośpiechu darły niektóre dokumenty w poprzek,

a nie wzdłuż. Zachowały się więc całe linijki tekstu, także przy odrobinie szczęścia i mnóstwie cierpliwości specjalistom być może uda się poskładać do kupy poszczególne akapity, a nawet całe strony. Aby przekonać niedowiarków, którzy całą sprawę uznali za jakiś dowcip, na zakończenie reportażu pokazano fascynujący materiał filmowy: brzuchaty jegomość, którego podpis na dole przedstawił widzom jako Karla Vollbrechta, profesora historii współczesnej na Uniwersytecie w Heidelbergu, grzebał w stercie konfetti, z której wydobywał obiecujące paski i umieszczał je starannie przed sobą z nadzieją, że w końcu rzuci mu się w oczy jakieś powiązanie. Gdyby nie melodramatyczny komentarz mówiący o „pracy niezbędnej dla zachowania pamięci narodu niemieckiego”, z łatwością można by wziąć profesora Vollbrechta za pensjonariusza domu spokojnej starości pochłoniętego układaniem puzzli.

Ta sama myśl musiała przemknąć przez ciasny umysł mojego szwagra, gdyż wyłączając telewizor i raczej nie przebierając w słowach, ustalił zależność pomiędzy eksperymentem z Zirndorfu a niedawnym wzrostem podatków. Ja sam nie potrafiłem stwierdzić, czy Kohl postępuje słusznie czy też nie, wiedziałem za to, że na coś wpadłem: te worki z archiwami w strzępach pomogą mi stworzyć to, co zawsze uważałem za najdelikatniejszy element teczki - źródło odniesienia.

Ale na początek musiałem obmyślić scenariusz. W ciągu kilku miesięcy po wizycie w Bremie zgromadziłem obfitą dokumentację na temat Stasi. Jak za każdym razem, kiedy natykałem się na obiecujący temat, kupiłem brulion, w którym notowałem bez ładu i składu wszystkie swoje refleksje, uwagi dotyczące postaci oraz referencje bibliograficzne.

Od dnia, w którym Gunnar musiał wytłumaczyć mi, czym jest legenda, przeczytałem na temat szpiegostwa wszystko, co się dało, i umierałem z ochoty, by stworzyć scenariusz, który rozgrywałby się w świecie tajnych służb. Zainteresowałem się wobec tego agencją Hauptverwaltung Aufklärung (HVA), najbardziej tajemniczą jednostką w Stasi, wschodniemieckim odpowiednikiem amerykańskiego CIA albo Pierwszego Głównego Dyrektoriatu KGB. HVA, w latach 1957-1986 zarządzana żelazną ręką Markusa Wolfa,

nadzorowała tysiące ulokowanych za granicą agentów, którzy, często dostarczając ściśle tajnych informacji, służyli - albo wierzyli, że służą - interesom NRD. Jednego z nich, Niemca nazwiskiem Gunter Guillaume, spotkał niezwykle los. Wysłany w latach pięćdziesiątych do Niemiec Zachodnich z misją przeniknięcia do świata polityki, wspinał się po szczeblach kariery w Socjaldemokratycznej Partii Niemiec, SPD, aż został osobistym asystentem - a także przyjacielem - kanclerza Willy ego Brandta.

Jednak w roku 1973 anonimowe źródła zwróciły uwagę BND na działania Guillaume'a. Zachodnioniemiecka tajna policja niezwłocznie poinformowała o tym Brandta, poprosiła jednak, by chwilowo w żaden sposób nie zmieniał swoich przyzwyczajzeń. Co ciekawe, Guillaume'a aresztowano dopiero w kwietniu 1974 roku. Wybuchł ogromny skandal. Nie oszczędził Brandta, który zamierzał ze sobą skończyć (znaleziono napisany jego ręką list samobójczy), a później zmienił zdanie i zadowolił się złożeniem dymisji. Piętnaście lat później, po upadku Muru Berlińskiego, Markus Wolf oświadczył, że nigdy nie planował doprowadzenia do upadku Brandta i że zdemaskowanie Guillaume'a stanowiło jedną z najbardziej dotkliwych porażek Stasi.

W historii Guntera Guillaume'a kryły się dwa elementy, które zdawały się nieprawdopodobne. Po pierwsze, agencja HVA, sekretna odnoga Stasi, była elitarną jednostką, która budziła niemal taki sam strach i szacunek, co izraelski Mosad. Mówiło się, że jej szef, Markus Wolf, posłużył Johnowi le Carrému, autorowi powieści *Druciarz, krawiec, żołnierz, szpieg*, za wzór dla postaci asa wywiadu Karli. Trudno mi było uwierzyć, że taki profesjonalista, który w dodatku bezpośrednio „opiekował się” Guillaumeem, pozwolił na kompromitację swojego agenta albo chociaż nie wyciągnął go z RFN-u, zanim jego przykrywka została spalona.

Zachowanie BND w tej sprawie wprawiało mnie w równie wielkie zdumienie. Podjęcie decyzji o aresztowaniu Guillaume'a zajęło zachodnioniemieckim tajnym służbom prawie dziewięć miesięcy, dziewięć miesięcy, w czasie których podejrzany mógł w dalszym ciągu zdradzać tajemnice państwowe, dziewięć miesięcy, kiedy mógł przeprowadzić zamach na życie Brandta, z którym



na co dzień przebywał. Czym wytłumaczyć taki brak ostrożności ze strony BND? Pozostawały mi jedynie domysły: czyżby Brandt z początku nie chciał uwierzyć w winę swojego przyjaciela i zabronił służbom specjalnym go aresztować? To bardzo możliwe: w okresie, o którym mowa, Brandt i Guillaume wyjeżdżali nawet wspólnie na wakacje! Czyżby BND namieszała Guillaume'owi w głowie i przeciągnęła na swoją stronę, zmuszając, by dostarczał Stasi specjalnie w tym celu przygotowane fałszywe dokumenty? W to trochę wątpiwałem. A może BND miała wątpliwości co do motywów informatora i wzdragała się przed oskarżeniem Guillaume'a bez dowodów? Czułem, choć nie umiałem wytłumaczyć dlaczego, że ta trzecia hipoteza jest najbardziej prawdopodobna.

Kopiąc głębiej, odgrzebałem inny skandal. W maju 1972 roku Brandt cudem obronił się przed wotum nieufności - różnica wynosiła zaledwie dwa głosy oddane w tajnym głosowaniu. Dwadzieścia pięć lat później wielu historyków oceniało, że Brandt zawdzięczał swoje polityczne ocalenie odstępstwu garstki deputowanych z partii CDU, których głosy zostały kupione przez Stasi. Ten epizod, o ile faktycznie miał miejsce, dodawał wiarygodności słowom Markusa Wolfa: skoro Stasi gotowa była zapłacić za utrzymanie Brandta przy władzy, to z pewnością nie ucieszyła się z jego dymisji. Usiłowałem postawić się na miejscu Wolfa: ulokowanie informatora na najwyższym szczeblu RFN-u zajęło mu dwadzieścia lat; skoro najtrudniejsza część zadania została już wykonana, to w jego interesie leżało, by Brandt pełnił funkcję kanclerza tak długo, jak to możliwe.

Ale być może pobłażliwość Stasi względem Brandta miała inne wytłumaczenie. Gdy tylko został wybrany, Brandt odróżnił się od wszystkich poprzedników, prowadząc politykę otwartości na blok wschodni. W tamtym czasie nie mówiło się już o zjednoczeniu Niemiec, ale Brandt oznajmiał każdemu, kto chciał go słuchać, że nie obawia się dialogu z NRD, Polską, a nawet Związkiem Radzieckim. Ten pragmatyzm, który konserwatystów przyprawiał o zgrzytanie zębów, zyskał kanclerzowi niezrównaną popularność wśród młodych oraz intelektualistów.

Potrzebowałem kilku miesięcy, by zebrać wszystkie te elementy w całość, a przede wszystkim - by zanurzyć się w niezwykłym

klimacie epoki. Wreszcie pewnego wieczoru poczułem się gotowy, aby wypełnić luki w historii, i zabrałem się za pisanie scenariusza. Widziałem sprawy następująco:

W H VA istniała grupka agentów, którzy zdecydowanie - choć skrycie - sprzeciwiali się zachodnioniemieckiemu kanclerzowi. Przewodził im niejaki Andreas Stepanek, na wskroś upolityczniony czeski imigrant, który miał w Stasi rangę pułkownika. Stepanek instynktownie nie ufał Brandtowi, któremu przypisywał makiawe-liczne zamiary. Jego zdaniem *Ostpolitik*, tak pozytywnie oceniana przez zachodnie media, stanowiła przynętę, za pomocą której kanclerz chciał obłaskawić wschodnioniemieckie społeczeństwo, żeby w odpowiednim momencie przełknęło zjednoczenie, które nieodwołalnie rozdarłoby blok socjalistyczny. Stepanek miał powody, by czuć niechęć wobec państwa niemieckiego. Jego rodzice, którzy w 1921 roku uczestniczyli w tworzeniu czeskiej partii komunistycznej, KSC, zostali przez nazistów deportowani i zginęli w roku 1943 w Terezynie. Po wyzwoleniu obozu młodego, osieroconego Andreeasa umieszczono u rodziny zastępczej w Magdeburgu. Zapisał się do młodzieżowej organizacji komunistycznej, gdzie zauważył go Erich Mielke, który miał później objąć funkcję szefa Stasi. W 1962 roku Mielke napisał do swojego „kolegi i przyjaciela” Markusa Wolfa (w rzeczywistości był on jego podwładnym), prosząc go, by znalazł dla Stepanka miejsce w HVA.

Stepanek był fanatykiem. Pragnął zjednoczenia Niemiec, jednakże przeprowadzonego pod kierunkiem NRD, co miałyby zwiastować zwrócenie się całej Zachodniej Europy ku bezpiecznej radzieckiej przystani. Pod koniec lat sześćdziesiątych zgromadził wokół siebie około piętnastu oficerów Stasi, głównie współpracowników z H VA. Nie wszyscy działali z pobudek ideologicznych, niektórym było do tego daleko. Jeden z nich miał niepełnosprawne dziecko, a brakowało mu środków, by leczyć je na Zachodzie. Inny chował urazę do Brandta, który jeszcze jako burmistrz Berlina zadał się z jego żoną (Brandt był niepoprawnym donżuanem). Trzeci zabił przed wojną funkcjonariusza policji w Monachium i wiedział, że gdyby doszło do unifikacji, trafiłby do więzienia. Lecz interesowne alianse niekoniecznie muszą okazać się mniej trwałe i odkąd Brandt

został kanclerzem, konspiratorzy - którzy oparli się pokusie, by nadać sobie nazwę czy wybrać znak rozpoznawczy - robili wszystko, co w ich mocy, aby włączyć do gry CDU. Uważali, że lepszy pewny wróg niż charyzmatyczny wolny strzelec o podejrzanych zamiarach.

W 1972 roku Stepankowi się zdawało, że nadszedł jego wielki dzień. CDU przygotowywało się do zgłoszenia wotum nieufności, które wedle wszelkiego prawdopodobieństwa miało spowodować upadek rządu Brandta. Gazety już przedstawiały lidera CDU, Rainera Barzela, jako przyszłego kanclerza RFN-u. A jednak, na przekór oczekiwaniom, Brandt ocalił głowę. Kiedy Stepanek się dowiedział, że Stasi kupiła głosy dwóch parlamentarzystów z CDU (którzy powinni byli poprzeć wniosek o wotum nieufności, a zamiast tego poparli Brandta), wpadł w szal, kierując swoją wściekłość przeciwko Markusowi Wolfowi, i zrozumiał, że jeśli chce przyspieszyć upadek Brandta, lepiej zrobi, zajmując się tym osobiście.

Szczęście mu sprzyjało. Wiosną 1973 roku Stepanek jadł kolację ze swym mentorem, Erichem Mielkem. Nieczęsto zdarzało się Mielkemu spożywać posiłek z osobą, do której miał całkowite zaufanie, a tamtego wieczoru nieco przesadził ze sznapssem i pozwolił sobie na zwierzenia. H VA miała wysoko postawiony kontakt w administracji Brandta. Ten stuknięty Wolf (Mielke i szef agencji nie znosili się nawzajem) nie chciał mu wyjawiać tożsamości swojego agenta (jemu, dyrektorowi Stasi!), lecz Mielke samodzielnie doszedł do wniosku, że musi chodzić o Guillaume'a. Stepanek, który do tej pory zręcznie sterował rozmową, powstrzymał się od dociekań. Już się zastanawiał, w jaki sposób napuścić na Guillaume'a BND.

Celowo pozostał przy klasycznych rozwiązaniach. Zwerbował czeską dziewczynę na telefon, zamieszkałą w Berlinie Evę Brzynę, z której usług korzystał już parę lat wcześniej w celu skompromitowania bawarskiego przemysłowca. Rzecz jasna BND w żadnym razie nie uwierzyłaby w spontaniczne wyznanie kobiety lekkich obyczajów, więc Stepanek także wysmażył pewną historyjkę: następnym razem, gdy Brzyna weźmie udział w „prywatnym wieczorku”, zamierzał anonimowo powiadomić zachodnioniemiecką policję obyczajową, która zgodnie z zasadami przeprowadzi nalot i zgarnie wszystkich obecnych. Wówczas Brzyna miała zaproponować glinia-

rzom układ: jeśli zagwarantują jej nietykalność, być może uda jej się pomóc państwu niemieckiemu w zdemaskowaniu pewnego łajdaka, jednego z jej klientów, którego pewnej nocy nakryła na wysyłaniu zakodowanych wiadomości za pomocą śmiesznego urządzonego i którego nieco później rozpoznała na „rządowym zdjęciu” (to Stepanek podsunął jej to umyślnie nieprecyzyjne sformułowanie). Wszystko rozegrało się zgodnie z planem: policja obyczajowa brutalnie przerwała orgię, na której zebrała się hamburska śmietanka towarzyska, zapuszkowała pół tuzina prostytutek i chętnie nadstawiła ucha, gdy w odpowiedzi na groźbę oddania sprawy do prokuratury Brzyna zaproponowała dobiecie targu. Jeszcze tej samej nocy zjawił się funkcjonariusz BND, by pokazać Evie fotografie, a ta oficjalnie zidentyfikowała Guntera Guillaume'a. Kiedy ją uwolniono, Brzyna odczekała kilka dni, a następnie ponownie zgłosiła się do Stepanka po odbiór wypłaty w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy niemieckich marek.

Mijały tygodnie i Stepanek stawał się coraz bardziej nerwowy. Guillaume nadal towarzyszył Brandtowi we wszystkich podróżach, z uśmiechem na ustach i w ciemnych okularach na nosie. A przecież rewelacje Brzyny nie pozostały niezauważone. BND uznała je, przynajmniej z pozoru, za wiarygodne. Guillaume lubił handel miłością i nie gardził kobietami, które ją sprzedawały. Brzyna nie miała kartoteki. Istniała oczywiście kwestia jej czechosłowackiego pochodzenia, ale mieszkała w Niemczech od prawie dwudziestu lat i nic nie wskazywało, by kiedykolwiek, pośrednio czy bezpośrednio, pracowała dla Moskwy.

Ale Stepanek, mimo swojej pozycji, dysponował jedynie przeciętną wiedzą na temat technik kontrwywiadu, bo inaczej wiedziałby, że szef BND, Gerhard Wessel, będzie się długo namyślał, zanim cokolwiek zrobi. W rzeczywistości Wessel podjął jedynie dwie decyzje: osobiście poinformował Willy ego Brandta i kazał otworzyć śledztwo w sprawie Guillaume'a. Zbieg okoliczności - mniej niezwykły, niż mogłoby się zdawać, gdyż Stasi zinfiltrowała cały aparat policyjny RFN-u - sprawił, iż jeden ze śledczych pracował dla Wolfa. Ten zrozumiał, że dni Guillaume'a są prawdopodobnie policzone. Ponieważ nie należał do tych, którzy pozwalają jedne-

mu ze swych agentów pójść na dno, nie spróbowałszy jakoś temu zaradzić, zapytał swoich kontaktów w BND, kto zadenuncjował Guillaume'a. Doniesiono mu o roli odegranej przez Brzynę, dodając, że prostytutka była zachodnioniemieckiej policji nieznana. Pod wpływem impulsu Wolf sprawdził rejestry Stasi. Eva Brzyna miała teczkę: pomogła skompromitować pewnego bawarskiego biznesmena podczas pomniejszej operacji nadzorowanej przez pułkownika Stepanka. Stepanek? Ten Stepanek, którego zatrudnił na rozkaz tego śmierdzącego szczura, Mielkego? Odtworzenie przebiegu wydarzeń zajęło Wolfowi trzy minuty.

To, czego nie udało mu się odgadnąć, uzyskał na torturach. Przesłuchanie odbyło się w dźwiękoszczelnej salce w podziemiach Normannenstrasse. Początkowo Stepanek zgrywał twardziela, ale puścił farbę, kiedy Wolf zaproponował, by sprawdzili, jak dobrze przewodzi prąd elektryczny. Wyjawiał liczne szczegóły, nawet te, o które go nie pytano, w tym nazwiska swoich czternastu współ-konspiratorów. Wolf sporządził mnóstwo notatek.

Ciąg dalszy, niestety, łatwo dało się przewidzieć. Wolf zmobilizował wszystkich swoich agentów wewnątrz BND, aby maksymalnie opóźnili dochodzenie. Pozwolił, by rozeszła się wiadomość, że Eva Brzyna okazjonalnie pracuje dla Stasi, mając nadzieję, iż BND zacznie wówczas podejrzewać próbę destabilizacji ze strony Niemiec Wschodnich i zastanowi się dwa razy, zanim oskarży Guillaume'a.

Rzeczony Guillaume zawiesił, rzecz jasna, swą nielegalną działalność. Z milczenia Brandta wywnioskował, iż kanclerz nie wierzy w jego winę, odrzucił więc oferty wydostania go z kraju, które kilkakrotnie składał Wolf.

Wolf nie darzył swoich odpowiedników w szeregach BND wielkim szacunkiem, nie wątpił jednak, że ostatecznie zdemaskują Guillaume'a. Asystent kanclerza został aresztowany 24 kwietnia 1974 roku. Nie krył zdumienia. Tego samego dnia sąd wojskowy Stasi uznał Stepanka i jego klikę winnymi zdrady stanu. Skazano ich na śmierć. Wyrok wykonano natychmiast, za pomocą strzału w głowę.

- Niech zgadnę: podejrzewam, że pańska teczka wpisuje się w szóste zalecenie Planu Trzyletniego - rzucił Quinteros po hiszpańsku.

Przedłożyłem mu swój scenariusz poprzedniego wieczoru i byłem trochę zaskoczony, że tak szybko wezwał mnie, by go omówić. A jeszcze bardziej zdziwił mnie fakt, że najwyraźniej nie zamierzał podzielić się ze mną swoimi wrażeniami na temat mojej pracy, dopóki w nieodwołalny sposób nie potwierdzi jej zgodności z wymogami administracyjnymi.

- Absolutnie - przytaknąłem odrobinę nerwowo.

Angoua Djibo i jego ekipa zauważyli, iż po krótkim okresie euforii wywołanej upadkiem żelaznej kurtyny kilka krajów Europy Wschodniej oraz byłych republik radzieckich dało się podejść podstępnej nostalgii, która w niektórych przypadkach doprowadziła nawet do ponownego wyboru dawnych komunistycznych przywódców. Wobec tego szóste zalecenie nakazywało wszystkim autorom teczek dotyczących zimnej wojny, aby podkreślali, a nawet akcentowali tyranie, jakiej te rzekomo demokratyczne państwa poddawały swoich obywateli. Byłem nerwowy, bo obawiałem się, że dyrektor Akademii zauważy, iż spośród wszystkich byłych członków Układu Warszawskiego Niemcy Wschodnie zdawały się jedynym krajem, który trwale wyleczył się z tej choroby.

Podczas gdy Quinteros ważył wszystkie za i przeciw, wyjrzałem za okno. Płatki śniegu trzepotały w świetle poranka. Jesień nie potrwała nawet miesiąca, a już ustąpiła miejsca zimie.

- Nie ma innej opcji - ocenił w końcu Quinteros, zdejmując nakrętkę z wiecznego pióra. Chwycił teczkę i starannie poprawił atramentem widniejącą na okładce adnotację „D6” wykonaną ołówkiem podczas pierwszej lektury, a następnie dodał swoje inicjały.

- Muszę powiedzieć - podjął nieco zasmuconym tonem - że spodziewałem się po panu czegoś oryginalniej szego. O sprawie Brandta i Guillaume'a napisano już całe tomy. Co więc tak bardzo pana zainteresowało? Toczona na odległość walka między Wolfem a tym nędznym czeskim pułkownikiem zaślepionym ideologią?

- Nie - odparłem. - Podzielał pańską opinię: sam scenariusz jest interesujący tylko w pewnym stopniu. Ale już o wprowadzaniu go w życie bym tego nie powiedział.

- Myślałem o tym, oczywiście - rzekł Quinteros. - Będzie pan musiał to wszystko udokumentować, skonstruować legendę Stepan-ka, napisać raport policyjny z aresztowania Evy Brzyny, a to jeszcze nie wszystkie i wcale nie najtrudniejsze elementy. Boję się, że ryzyko okaże się nieproporcjonalnie wysokie w stosunku do stawki, o jaką toczy się gra.

- Nie byłbym tego taki pewien - oznajmiłem z uśmiechem.

I opowiedziałem mu historię siedemnastu tysięcy worków z archiwami Stasi oraz niedawnej decyzji Helmuta Kohla, by powierzyć ich rekonstrukcję zespołowi specjalistów. W miarę jak przedstawiałem szczegóły planu, zmieniały się emocje na twarzy Quinterosa: najpierw odmalowało się na niej podekscytowanie, później entuzjazm, a wreszcie niedowierzanie.

- Chce pan powiedzieć, że przygotowuje źródła, a następnie własnoręcznie przepuści je przez niszczarkę? - spytał w końcu, kręcąc głową.

- Właśnie tak. W zeszłym tygodniu kupiłem przez pośrednika używane urządzenie z dokładnie tego samego modelu, którego używano w Stasi. Nic tak nie przypomina skrawka papieru jak inny skrawek papieru. Nikomu ani przez chwilę nie przyjdzie do głowy, że odtworzone dokumenty mogą być fałszywe. Wiem, że może się to wydawać paradoksalne, ale nigdy więcej nie zdarzy się, by tak delikatne źródła były tak mało narażone na podejrzenia, iż ktoś przy nich manipulował.

- Bardzo zręcznie - wymamrotał Quinteros wyraźnie poruszony tak śmiałym posunięciem.

- Niestety, jest jedna wada tego planu... - westchnąłem, jakbym dopiero teraz zdał sobie z niej sprawę.

- Wada? Jaka wada? - zapytał spanikowany Quinteros. Zabawnie było patrzeć, jak szybko przywłaszczył sobie tę teczkę.

- Nie mamy żadnej kontroli nad czasem - wyjaśniłem. - Według moich informacji eksperci z Zirndorfu przerabiają jeden worek na trzy miesiące. Jeśli pomnoży się to przez siedemnaście tysięcy worków... pozwolę panu samodzielnie dokonać obliczeń. Musimy zresztą wsunąć nasze fałszywe dokumenty do kilku różnych worków, żeby odzwierciedlić fakt, że akt dotyczących Guillaume'a, Stepan-ka i Brzyny, by wspomnieć tylko o tej trójce, nie przechowywano w jednym miejscu.

- Ale w takim razie - jęknął załamany Quinteros - specjaliści nie znajdą źródeł jednocześnie. Jak je ze sobą połączą?

Było to pytanie, które już sto razy obracałem w głowie podczas moich niekończących się spacerów po lesie.

- Czytałem, że zaczynają od najmniej zniszczonych dokumentów. Sądzę, że mógłbym pomanipulować grubością pasków i kierunkiem wsuwania kartek do niszczarki w taki sposób, żeby mniej więcej zdeterminować, kiedy dany worek zostanie zbadany. Zresztą nie zależy mi, żeby afera wybuchła od razu. Guillaume i Brandt zmarli już parę lat temu, ale inni bohaterowie wciąż żyją, poczynając od Markusa Wolfa i Ericha Mielkego...

- W takim razie - przerwał mi Quinteros - czemu upierał się pan, żeby napisać teczkę już teraz? Nic pana nie gonilo.

- Pan nie rozumie - oświadczyłem, nie od razu zdając sobie sprawę z własnej impertynencji. - Worki nie zostaną w Zirndor-fie na zawsze. Za kilka lat, a może kilka miesięcy, rząd federalny każe je przetransportować do Ministerstwa Obrony albo jakiegoś instytutu, do którego nie będziemy już mieli tak łatwego dostępu.

Quinterosowi rozbłysły oczy.

- Podsumowując, już dziś podpali pan bardzo długi lont.

- Można tak powiedzieć, owszem - uśmiechnąłem się, smakując tę metaforę. Pod maską ugrzecznionego biurokraty odkryłem daw-



nego agenta i opiekuna prowadzącego. - Sporo się zastanawiałem, jak przeprowadzić tę intrygę. Funkcjonuje ona na paru poziomach. Eksperci natkną się najpierw na akta Guillaume'a. Ponieważ będę musiał napisać je w oparciu o publicznie dostępne dokumenty, celowo nie bardzo je rozbuduję, ale mimo to zawrę w nich parę wybranych elementów: garstkę zakodowanych wiadomości od Wolfa, w których prosi swojego agenta, by dowiedział się czegoś na pewne konkretne tematy, raport z rekrutacji Guillaume'a, profil psychologiczny potwierdzający jego upodobanie do luksusowych prostytutek i tak dalej.

Parę lat później specjaliści zrekonstruują dwa kolejne źródła, ale nie przyjdzie im do głowy, by je ze sobą połączyć. Pierwsze,teczka Evy Brzyny, pokaże, w jaki sposób Stasi, wiedząc, że Guillaume znalazł się pod ścianą, próbowała go ratować, dyskredytując zeznanie panienki do towarzystwa. Nazwisko Stepanek pojawi się tu po raz pierwszy, przy okazji wzmianki o pułkowniku Stasi, który kilka lat wcześniej nadzorował pierwszą operację Brzyny. Drugim źródłem będzie sprawozdanie ze ściśle tajnego procesu piętnastu oficerów Stasi sądzonych za zdradę stanu. W tym dokumencie oskarżeni nie zostaną wymienieni z nazwiska...

- Widzę, dokąd pan zmierza - podjął Quinteros. - Dopiero po kolejnych paru latach odgrzebią w końcu teczkę niejakiego An-dreasa Stepanka, sązonego, skazanego i rozstrzelanego za zdradę stanu w tym samym dniu, w którym aresztowano Guillaume'a. BND połączy go z tym Stepankiem, który kontrolował Evę Brzy-nę, i wreszcie będzie mogła przypisać nazwisko anonimowemu informatorowi, który zadenuncjował Guillaume'a.

- Właśnie tak - potwierdziłem, pod wrażeniem żywości umysłu Quinterosa. - Dodajmy do tego, że w teczce Stepanka znajdzie się uwaga o jego uprzywilejowanych relacjach z Erichem Mielkem, a BND będzie miała całościowy obraz wewnętrznych walk, jakie targały Stasi.

Quinteros milczał przez kilka chwil. Widziałem, że ponownie odtwarza w głowie ciąg rozumowania.

- Nie wiem, co powiedzieć - odezwał się w końcu. - Tworzy pan układankę w układance, to doprawdy mistrzostwo.

- Dziękuję - odparłem tak skromnie, jak się dało. - Ja dostrzegam nawet trzy układanki: trzeba zebrać w całość skrawki, fizycznie zbliżyć do siebie podrzucone źródła i wreszcie zrekonstruować historię Andreasa Stepanka.

- A niech mnie! - wykrzyknął Quinteros. - Proszę się pospieszyć z dopracowywaniem tej teczki, żebym mógł ją włączyć do przyszłorocznego programu zajęć Akademii.

- No właśnie - zacząłem. - Zaoferował mi pan pomoc...

- I nadal oferuję. Co mogę dla pana zrobić?

- Na początek będę potrzebował informacji o magazynie w Zirndorfie: jaką ma ochronę, czy worki są zapieczętowane, tego typu rzeczy...

- Zaraz dzwonię do Monachium. Tak się to załatwia. Coś jeszcze?

Urzędnik ustąpił miejsca człowiekowi akcji, przyzwyczajonemu do szybkiego podejmowania decyzji. Postanowiłem to wykorzystać.

- Przydadzą mi się również próbki tajnych kodów używanych przez Stasi oraz kompletna lista podróży Guillaume'a w latach 1969-1974.

- Hmm... Powinienem móc to dla pana zdobyć - ocenił Quinteros, który robił notatki, żeby o niczym nie zapomnieć.

- No i oczywiście germanista. Jeśli to możliwe, to z pewnym doświadczeniem w domenie wywiadu.

- Wszystko pan dostanie, biorę to na siebie.

Praca nad źródłami zajęła mi nieskończenie więcej czasu niż napisanie scenariusza. Potraktowałem je z quasi-thorsenowską skrupulatnością. Ja, który zwykle polegałem na pierwszym szkicu, wypełniłem sprawozdaniami z procesu Stepanka dziesiątki zeszytów. Przystudiowałem tysiące wiadomości przekazywanych między Nor-mannenstrasse a agentami, żeby przyswoić sobie styl Wolfa i wyszukać najbardziej dla niego charakterystyczne skrótory oraz zwroty. Zmusiłem się do naskrobania pięćdziesięciostronicowej historii życia Stepanka, a skończyło się na tym, że wykorzystałem ledwie dwa czy trzy epizody. Robiłem postępy wolniej niż zwykle, lecz po raz pierwszy odczuwałem przy tym prawdziwe fałszerskie upojenie,

i to mimo że, *patrzac* obiektywnie, ryzyko demaskacji nigdy wcześniej nie było tak niskie.

W dniu 5 grudnia 1996 roku zaprosiłem Quinterosa, który wprost nie mógł się tego doczekać, do pomocy przy przedostatnim etapie projektu, tym najbardziej paradoksalnym, bo polegającym na metodycznym zniszczeniu tego, co z takim trudem stworzyłem, i wrzuceniu butelki do morza z nadzieją na bystrość przyszłych pokoleń. Elementy teczki, jeden po drugim, znikwały w niszczarce, której ustawienia zmieniałem dla każdego dokumentu według instrukcji Quinterosa. Kiedy zamknę oczy, wciąż jeszcze słyszę jego drżący głos: „Rozstaw: cztery milimetry. Włożyć dłuższym bokiem. Na mój rozkaz - ładuj!”. Maszyna wypluwała wówczas kilka czarno-białych pasków, które ostrożnie wkładałem do zawczasu opisanej plastikowej torebki.

Zachowałbym się naprawdę nie w porządku, gdybym odmówił dyrektorowi Akademii tej drobnej uprzejmości, biorąc pod uwagę, jak bardzo mi pomógł przez te ostatnie miesiące. Wygrzebał na przykład kilka świadectw byłych agentów, którzy pracowali dla Wolfa i Mielkego i którzy zaoszczędzili mi paru prawdopodobnie zabójczych dla mojej teczki błędów.

Planowałem wkraść się do magazynu w Zirndorfie wieczorem dwudziestego czwartego grudnia. Biuro w Monachium zapewniło sobie współpracę dwóch spośród trzech stróżów, którzy mieli czuwać tej nocy. Ustalono, że około siedemnastej zadzwonią oni do firmy ochroniarskiej, która ich zatrudniała, i oznajmia, że nie mogą przyjść na swoją zmianę z powodu grypy żołądkowej. Dyspozytor z początku będzie wyklinał na tych leserów, którzy migają się od obowiązków, by móc spędzić Boże Narodzenie z rodziną, a później zda sobie sprawę, że nie ma już czasu na znalezienie zastępstwa. Pozostawał zatem jeden strażnik oraz alarm, którego kod dezaktywujący znałem, sprawa wydawała się więc prosta.

Niestety, Quinteros nie chciał o tym słyszeć. Dzień przed moim wyjazdem do Monachium wezwał mnie do swojego gabinetu.

- Czego ja się dowiaduję? Ze mój najlepszy student chce ryzykować karierę, bawiąc się we włamywacza? Przecież zna pan politykę organizacji: regularnie podzlecamy takie podstawowe zadania.

-To złożona operacja - broniłem się - nie jestem pewien, czy będę miał dostęp do wszystkich worków. Trzeba będzie improwizować, a może nawet wszystko odwołać.

- Ależ to się nie trzyma kupy. Pan nie umie nawet posłużyć się wytrychem. I co pan powie, jeśli pana złapią? Już widzę nagłówki gazet: „Islandczyk fałszuje archiwa Stasi”...

Jak mu wytłumaczyć, że od czasu galosza czułem się niezdolny do narażania cudzego życia? To była moja teczka i zamierzałem wziąć na siebie całą odpowiedzialność.

- Wszystko przewidziałem - zapewniłem. - Podam się za entuzjastę Układu Warszawskiego, który chciał zdobyć pamiątkę z czasów zimnej wojny.

Quinteros wydał z siebie stłumiony śmieszek.

- To zabawne. Dokładnie takich samych instrukcji udzieliłem dwóm facetom, których zatrudniłem. Tyle że oni pochodzą z Niemiec Wschodnich, Berlin stworzył dla nich odpowiednie przykrywki, a ich sąsiedzi zeznają przed BND, że każdego roku świętowali rocznicę urodzin Ericha Honeckera. Ach, byłbym zapomniał, specjalizują się w walce wręcz, będą wyposażeni w noktowizory, przeszli szkolenie z oszukiwania wykrywacza kłamstw i nie pogrążą KFR-u z tego prostego powodu, że nie wiedzą o jego istnieniu.

Drań pomyślał o wszystkim. Westchnąłem.

- Więc nie lecę do Monachium?

- Ależ tak - odrzekł Quinteros. - Po południu dwudziestego czwartego wyda im pan szczegółowe instrukcje i będzie pan na nich czekał na lotnisku w Norymberdze, skąd ruszą w dalszą drogę, gdy tylko doprowadzą misję do końca.

Wszystko potoczyło się zgodnie z planem. Przekazałem wskazówki najemnikom Quinterosa w pokoju hotelowym na przedmieściach Monachium. Wręczyłem im także plan magazynu, sfotografowany przed miesiącem u architekta, który zaprojektował budynek. Nasze motywy były im absolutnie obojętne. Kiedy próbowałem wytłumaczyć jednemu z nich, dlaczego należy umieścić zniszczone dokumenty w trzech różnych workach, przerwał mi i poprosił, żebym raczej podał mu markę i model systemu alarmowego.

Weszli do magazynu o dwudziestej pięćdziesiąt dwie, a wyłonili się z niego o dwudziestej pierwszej szesnastce, w porę, by zdążyć na ostatni lot do Berlina. Odcięli alarm i unieszkodliwili kamery ochrony, ale stróż niczego nie zauważył, bez reszty pochłonięty oglądaniem programów rozrywkowych w telewizji. Mężczyźni, profesjonaliści do ostatniej chwili, oddali mi plan magazynu i plastikowe torebki, a następnie zniknęli w tłumie. Zdałem sobie sprawę, że nie znam nawet ich nazwisk.

Z Norymbergi poleciałem na Islandię. Spędziłem króciutki tydzień w Húsavíku u matki, która sądziła, że jestem wicedyrektorem w syberyjskim przedsiębiorstwie leśnym. Wróciłem do Krasnojarska na sylwestra, w samą porę, by spędzić wigilię Nowego Roku w sali telewizyjnej, w wyłącznym towarzystwie Charliego Chaplina.

W Krasnojarsku na nowo odkryłem w sobie pasję do kina. Akademia, która nigdy nie skąpiła grosza, jeśli chodziło o dostarczanie studentom rozrywki na długie zimowe wieczory, posiadała kilka tysięcy kaset wideo ze wszystkimi wyobrażalnymi kombinacjami języków i napisów. Wystarczyło wspomnieć przy bibliotekarce tytuł filmu, by tydzień później znaleźć go na półce. Obejrzałem ponownie całego Hitchcocka, nawet dzieła z okresu angielskiego, mniej znane od tych, które sir Alfred zrealizował w Hollywood, całego Fritza Langa i Mankiewicza. Bez końca puszczałem sobie dwanaście obrazów Kubricka, szczególnym uczuciem darząc genialnego *Doktora Strangelove'a*.

Na koniec Stéphane Brioncet wprowadził mnie w twórczość Chrisa Markera. Wiele o tym francuskim reżyserze czytałem przy okazji *Bettlerkóniga*, ale nie widziałem żadnych jego filmów. Stéphane twierdził, że Markera (pod którym to pseudonimem krył się Christian-François Bouche-Villeneuve) otaczała w kręgach francuskich intelektualistów wyjątkowa aura, którą artysta zawdzięczał, co ciekawe, swojemu jedyjnemu filmowi fabularnemu, swego rodzaju powieści w obrazach pod tytułem *Filar*. W *Filarze* grupa naukowców wysyła pewnego człowieka w przeszłość z nadzieją, że wróci stamtąd z czymś, co pomoże ocalałym egzystującym w paryskich katakumbach, odkąd miasto zrównała z ziemią wojna nuklearna. Czy było to zasługą planów statycznych, głosów szepczących po niemiecku

naukowców, czarno-białych, gruboziarnistych zdjęć czy bogactwa tekstu, z całości emanował poetycki ładunek, z jakim nigdy więcej się w kinie nie spotkałem. Po stworzeniu tego arcydzieła Marker dużo podróżował, kręcąc głównie dokumenty, które można było postrzegać jako przejaw zaangażowania, ale które wyrażały przede wszystkim jego nieustannie odradzające się oczarowanie urokiem świata. Wiele bym dał, by go poznać.

Trzeba przyznać, że w kwestii rozrywek Akademia biła na głowę berliński bunkier Adolfa Hitlera. Podczas tych pierwszych sześciu miesięcy spędziłem najjaśniejsze spośród moich wolnych chwil na oglądaniu filmów i na połykaniu klasyków literatury południowoamerykańskiej - Borgesa, Cortazara, Garcii Marqueza, Bioya Casaresa. Nocami, kiedy wspomnienie o Johnie Harkleroadzie nie pozwalało mi spać, wędrowałem do laboratorium językowego i wkładałem słuchawki, żeby utrzymać swój niemiecki oraz francuski na dobrym poziomie. Dzięki rozmowom ze sprzątaczkami nauczyłem się podstaw rosyjskiego.

Pozostali studenci preferowali mniej intelektualne przyjemności. Prawie w każdy piątek i sobotni wieczór wyprawiali się do modnych nocnych klubów Krasnojarska, by wmieszać się w tłum pijanych techników rolnych oraz żołnierzy na przepustce. Oparty łokciami o parapet okna, obserwowałem dziewczyny pomalowane niczym kradzione samochody, schodzące ostrożnie po oblodzonych stopniach pałacyku myśliwskiego i znikające na tylnych siedzeniach ziłów. Ci najbardziej zmotywowani po paru godzinach snu wracali do miasta nawet w niedziele, żeby kibicować niezliczonym drużynom piłkarskim i hokejowym Krasnojarska. Zdolność ludzi do aktywnego zainteresowania klubem lub sportem, o którego istnieniu tydzień wcześniej nawet nie słyszeli, nigdy nie przestanie mnie zadziwiać. Co do mnie, pozostałem wierny drużynie futbolowej mojej młodości, Ungmennafelag Grindavíkur, która w sześćdziesiąt jeden lat po swoim powstaniu wciąż goniła za pierwszym tytułem w narodowych mistrzostwach.

Nie trzeba jednak być jasnowidzem, by odgadnąć, co jeszcze dręczyło wszystkich studentów, jedenastu nieżonatych chłopaków i dziewięć niezamężnych dziewczyn, których kariera zawodowa

zdawała się skazywać na wieczną samotność. Według Stephane'a, który rozwinął w sobie uczucie do Irlandki Aoify (do tej pory nieodwzajemnione), Akademia stanowiła naszą ostatnią szansę na znalezienie bratniej duszy. Szczerze wierzył, że członkowie KFR-u, nawet jeśli w młodości nie pogardzali sypianiem z kim popadnie, ostatecznie pobierali się między sobą. Wywnioskował z tego, że nigdy już nie trafi nam się tak szeroki wybór, jak w czasie tych trzech lat spędzonych w szkolnych ławach. Ze słów Stephane'a wynikało, że powinienem się pospieszyć: Amanda była już zajęta (koleżanka z RPA od lata bez pamięci kochała się w Rosjaninie, Waleriju), Lena unikała mnie niczym trędowatego, a od Aoify radził trzymać się z daleka, jeśli mi życie miłe. Biorąc to wszystko pod uwagę, pozostawało mi jedynie sześć szans na to, by wyjechać z Krasnojarska zaobraczkowanym.

Nawet zakładając, że taki był mój cel, niepowodzenie, które parę tygodni później spotkało Matta Coxa, skutecznie przekonało mnie, że te rzeczy rządzą się własnymi prawami. Jedliśmy wszyscy razem kolację w kantynie, kiedy zjawiała się Lena ze swoją tacą i usiadła przy osobnym stole przed Amerykaninem, który zaproponował, że przycisnie się do sąsiada, żeby zrobić jej miejsce. Musieliśmy mieć jakieś wspólne przeczucie, bo nagle rozmowy ucichły.

- Dziękuję, Matt - rzekła Lena - ale wolę zjeść sama, żeby przejrzeć notatki z zajęć. Ach, tak właściwie to jestem ci winna odpowiedź. - Odwróciła się do nas i wyjaśniła: - W Wigilię Matt poprosił mnie o rękę. Pokazał mi diament tak wielki, że podejrzewam, iż ukradł go Buszmenom. Zażyczyłam sobie trochę czasu do namysłu.

A potem ciągnęła, nawet nie patrząc Amerykaninowi w oczy:

- Odpowiedź brzmi „nie”, oczywiście. No bo bądźmy poważni, Matt: wyobrażasz mnie sobie przepasaną fartuszką w kuchni w Lansing, Michigan?

Cox siedział przodem do mnie. Nie udało mu się powstrzymać rumieńca, ale zmusił się, by odparować z tym opanowaniem, które zawsze podziwiałem u Amerykanów:

- A kto powiedział, że mieszkalibyśmy w Stanach? Możemy osiąść w dowolnym miejscu.

Najwyraźniej lepiej by zrobił, gdyby milczał, ponieważ Lena, która przygotowała sobie ripostę, dobiła go bez litości:

- Możesz sobie mówić, co chcesz. Ale biorąc pod uwagę twoją aktualną pozycję w rankingu, obawiam się, że nie będziesz miał żadnego wpływu na wybór swojej następnej placówki.

Następnie odwróciła się na pięcie i poszła usiąść w głębi sali, podczas gdy ja po raz kolejny zastanawiałem się, kiedy los wreszcie łaskawie uwolni mnie od towarzystwa Leny Thorsen.



Setki godzin spędzonych nad teczką o Stasi nieszczególnie mi zaszkodziły. Na początku ostatniego tygodnia egzaminów nadal zajmowałem trzecie miejsce w klasyfikacji.

Atmosfera w budynku mieszkalnym zrobiła się zauważalnie napięta. Wyjścia stały się rzadsze, sala telewizyjna opustoszała i coraz częściej można było o drugiej w nocy spotkać przy kominku we foyer kolegę studenta z nosem w wydawanym przez CIA atlasie świata. Quinteros, prawdziwy wirtuoz arkuszy kalkulacyjnych, niczego nie pozostawił przypadkowi: do rozdzielenia była jeszcze wystarczająca liczba punktów, aby osoby, którym wiodło się dotąd najgorzej, nie traciły nadziei i by ci z najwyższymi lokatami nie mogli tak całkiem spocząć na laurach.

Bo chociaż nie wątpiłem już, że dostanę się do któregoś z najważniejszych organów, jedynie uplasowanie się w pierwszej trójce zagwarantowałyby mi możliwość wyboru Planu, na który zdecydowałem się nieodwołalnie po wizycie złożonej nam w zimie przez Angouę Djiba.

Od tamtego czasu lepiej rozumiałem funkcję Planu. Młodzi agenci zwykle znają ten organ jedynie dzięki pisanyemu urzędniczym językiem instrukcjom, do których opiekunowie prowadzący każą się skrupulatnie stosować. Z biegiem lat nauczyłem się postrzegać dyrektywy z Toronto jako intelektualną barierę, którą przy odrobinie zręczności zazwyczaj dało się obejść. Tworzyłem więc te czki bez zaglądania do Planu, wiedząc, że w odpowiednim momencie bez trudu znajdę sposób na podpięcie ich pod którąś dyrektywę. I tak

właśnie *Bettlerkónig* stał się refleksją na temat własności ziemskiej, ateczka o Stasi - bezlitosną krytyką państwa policyjnego. Te dwa zagadnienia były mi z początku obojętne, ale udawałem, że się nimi przejmuję, żeby zyskać pieczętkę. Chłopak taki jak Youssef postępował odwrotnie. Wczytywał się w Plan, aż znał go praktycznie na pamięć, następnie wybierał dyrektywę, która najbardziej zgadzała się z jego osobistymi przekonaniem, a wreszcie zabierał się za pisanie pozbawionego wielkiego polotu scenariusza i dziwił się, gdy jego dzieło określano jako „poprawne”. Nieco zbyt szybko doszedłem do wniosku, że w Planie nigdy bym się nie rozwinął, a zresztą tam na pewno poszukują osób pilniejszych i mniej kreatywnych niż ja.

Sześć wykładów, które wygłosił dla nas Djibo w styczniu i lutym 1997 roku, sprawiło, że całkiem przewartościowałem swoje stanowisko. Bo kiedy słuchało się szefa Planu, stawało się jasne, że jego zarządzenia w logiczny sposób wypływają z refleksji KFR-u nad kierunkiem, w jakim zmierza historia, nigdy na odwrót. Przykładowo, jeśli w ostatnim Planie Trzyletnim uznano za konieczne, aby podkreślić niebezpieczeństwa totalitaryzmu, to dlatego, że garstka mężczyzn i kobiet, do których być może już wkrótce się przyłączę, oceniła, iż kilka rozsądnie pomyślanych teczek może powolutku - ale skutecznie - przywrócić światu równowagę i zapobiec jego ponownemu osunięciu się w ciemności, z których dopiero co z takim trudem się wydobył.

Szczerze mówiąc, już sam fakt, że ludzie o różnych horyzontach, reprezentujący różne kultury, potrafią dojść do porozumienia we wszystkich tych tematach, które powodują ogólnoświatowe spory, zdawał mi się godny podziwu. Komitet Wykonawczy Planu, w którym zasiadali przedstawiciele wszystkich głównych grup etnicznych oraz religii, nie miał w świecie żadnego odpowiednika; nawet delegaci ONZ-etu reprezentowali wyłącznie interesy państw, które ich wybrały. Mędrcy z Toronto, jak nazywaliśmy ich w konsorcjum, w dniu swojej nominacji składali przysięgę, że będą służyć rodzajowi ludzkiemu, nie zważając na uprzedzenia i wierzenia, które od zarania dziejów dzieliły narody. Opierali się na pracach tysięcy historyków ze wszystkich zakątków ziemi, nie próbując ustalić, który ma rację, a który się myli, wręcz przeciwnie, starając się utworzyć syntezę ze wszystkich tekstów, żywili bowiem głębokie,

osobiste przekonanie, że postęp ludzkości dokonuje się poprzez asymilację, nigdy zaś przez odrzucenie. Jak my wszyscy, dostrzegali rozwój neokonserwatyizmu w Waszyngtonie, mozolne powstawanie Unii Europejskiej, pojawienie się radykalnego odłamu islamistycz-nego w Afganistanie czy łamanie praw człowieka w Chinach. Ale w przeciwieństwie do większości z nas powstrzymywali się przed oddzielaniem dobrych zjawisk od złych. Bardziej niż osądzać, pragnęli rozumieć i wychodzili z założenia, że ponieważ wszyscy ludzie są równi, jakaś część ludzkości nigdy nie może mieć absolutnej racji ani całkowicie się mylić. Jeśli Chiny zwlekały z liberalizacją, to niewątpliwie dlatego, że krajem zamieszkiwanym przez ponad miliard obywateli nie da się - przynajmniej obecnie, pod koniec XX wieku - rządzić w taki sam sposób, w jaki włada się Danią czy Singapurem. Jeśli neokonserwatyści zyskiwali na poparciu, to bez wątpienia dlatego, że wcale nie byli w błędzie, kiedy twierdzili, że Stany Zjednoczone jako jedyne zapewniają bezpieczeństwo planety, podczas gdy Europa stopniowo rezygnuje z tej misji, wydając coraz większy odsetek swoich bogactw na opiekę społeczną. Toronto, powiedział nam Djibo, przypomina salę konferencyjną, do której wpuszcza się Amerykanina, Irańczyka, Chińczyka i Francuza, o ile przysięgną, że postarają się w jak największej liczbie spraw dojść do porozumienia, nie musząc przy tym tłumaczyć się przed liderami politycznymi lub zwierzchnikami religijnymi.

- Jesteśmy niezwykle pełni ufności w przyszłość rodzaju ludzkiego - zadeklarował Djibo w podsumowaniu swojego ostatniego wykładu. - Wszystkie wskaźniki, które stosujemy - a co niektóre zebrane przez nas dane sięgają paręset lat wstecz - świecą na zielono: śmiertelność noworodków, przewidywana długość życia, al-fabetyzacja, liczba ofiar wojen religijnych czy epidemii - wszystkie te wartości ewoluują w pożądanym kierunku. Światowa gospodarka doświadcza bezprecedensowej ekspansji, podsycana rozwojem handlu międzynarodowego oraz innowacjami technologicznymi. Nie znaczy to, oczywiście, że każdy zyskuje na globalizacji tyle samo. Japonia i niektóre państwa europejskie, które utraciły zarówno ochotę do pracy, jak i do rodzenia dzieci, mają powody do zmartwień. Francuzi, którym redystrybucja nie schodzi z ust, nie mogą jakoś dojść do

wniosku, że powinni podzielić się swoim bogactwem z Hindusami lub Chińczykami. A jednak jedno zlikwidowane stanowisko pracy na Zachodzie to dziesięć rodzin wychodzących z biedy w Chinach albo w Indiach. Co za szkoda, że tylu myślicieli i dziennikarzy zamyka oczy na liczby, które same w sobie mogą ukazać rozmiary trwającej rewolucji. Będą wam wyklądać, że AIDS jest przekleństwem naszej epoki, udając, że zapomnieli - swoją drogą, czy kiedykolwiek o tym wiedzieli? - że dzuma zebrała w Europie w samym tylko roku 1348 więcej ofiar niż AIDS na całym świecie w ciągu dwudziestu lat. Albo że na wykorzenie dzumy trzeba było czekać jeszcze pięć wieków, podczas gdy nikt nie może przewidzieć, czy AIDS wciąż będzie zabijać za pięćdziesiąt lat. Jeśli dołączycie do Planu, nauczymy was, jak pozbyć się kłapek na oczach, aby zacząć postrzegać ludzkość jako niewidzialne ciało, które każdego dnia nabiera pewności i sprawności w kształtowaniu własnego losu.

Nie potrafiłem wytłumaczyć, dlaczego ta przemowa wywarła na mnie tak wielkie wrażenie. Z pewnością lepiej, niż ja byłbym w stanie to zrobić, wyraziła to poczucie, którego mgliście doświadczałem, poczucie, że uczestniczę w narodzinach cywilizacji światowej, która musiała dopiero znaleźć sposób na rządzenie sobą, ale która zdawała się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej zjednoczona wokół kilku kluczowych zasad, takich jak wolność, nauka oraz dostatek materialny. Przez długi czas ludzie mogli się nawzajem ignorować. Tak Egipcjanie, jak i Chińczycy wierzyli, że panują nad światem, a nigdy się nawet nie spotkali; katolicy i muzułmanie od zakończenia krucjat siedzieli w swoich obozach; Północ zapomniała o Południu. Ale teraz nie było to już możliwe. Massmedia, transport powietrzny i edukacja zniosły odległości i każdego z nas skonfrontowały z odmiennymi stylami życia, wznecając, niestety, zazdrość, urazę lub oburzenie. Powoli, powoli mieszkańcy Europy Wschodniej zaczęli marzyć o samochodach i pralkach; narody wyrosłe w tradycji chrześcijańskiej odkryły, jak niesprawiedliwy los cierpią kobiety w tylu innych społeczeństwach; a liczni muzułmanie poczuli się znieważeni upadkiem obyczajowym Zachodu. W niektórych przypadkach szok okazał się zbyt brutalny i spowodował nieoczekiwane konsekwencje: ludy obalały tyranów, imamowie ogłaszali fatwę za

fatwą. Ale w tym samym czasie mnożyły się organizacje zorientowane na dialog - ONZ, G8, OPEC, Klub Paryski - a debaty szły naprzód. Nikt już nie wątpił, że trzeba będzie nauczyć się żyć wspólnie. Jak powiedział Chris Marker: „w XIX wieku ludzkość wyrównała rachunki z przestrzenią; w XX wieku stawką w grze stało się współistnienie różnych epok”.

Pomimo wrażenia, że lepiej niż większość kolegów z Akademii wychwytyję melodię pobrzmiwającą w kakofonii historii, nigdy nie sądziłem, iż mógłbym wnieść w nią swój wkład, pisząc partyturę. A jednak to właśnie proponował nam Djibo, prezentując koncepcję historycznego wspornika. Od czasu do czasu jakaś ideologia do tego stopnia oddalała się od swojego początkowego założenia, że zaczynała przypominać te postacie z kreskówek, które zbiegają z urwiska i pędzą dalej w powietrzu, lecz spadają, gdy tylko zdadzą sobie sprawę, że właśnie przeczą powszechnym prawom grawitacji. Analitycy Planu próbowali na kilka lat do przodu przewidzieć moment, kiedy te reżimy, które uznawaliśmy za niezniszczalne, gwałtownie skruszą się pod ciężarem własnej niespójności. Przygotowywane wówczas dyrektywy nie służyły niczemu innemu, jak tylko przyspieszeniu historii, w taki sam sposób, w jaki odczynnik chemiczny zmusza cząsteczki w zawieszynie do osadzenia się na dnie naczynia. Widząc nasze niedowierzanie, Djibo przywołał przykład Iliego, owego agenta z Krajowy, który - przy niezamierzonym współudziale ze strony CNN - okazał się katalizatorem upadku Ceausescu. Rumuni od dawna wiedzieli, że komunizm poniósł porażkę, ale nigdy nie znaleźli w sobie dość siły, by obalić jego przedstawiciela. A jednak w chwili, gdy ujrzeli zdjęcia masowych grobów w Timisoarze, otrząsnęli się z odrętwienia i tłumnie powstali. Trzy dni później Ceausescu już nie żył. Jak to ujął Djibo: „rumuński reżim był niczym ranny byk, wystarczyła jedna dobrze wycelowana banderilla, by położyć mu kres”. Skromność powstrzymała go przed dodaniem, że plan trzyletni na okres 1989-1991 zachęcał agentów KFR-u do „ukazywania niesprawiedliwości oraz aktów okrucieństwa popełnianych w imię komunizmu”.

Słowa Djiba nieco mnie uspokoiły. Kiedy Amanda Postlewaite zapytała, czy w jego historycznym humanizmie należy się do-

patrywać wskazówki co do celu działania KFR-u, Kameruńczyk uśmiechnął się i odparł enigmatycznie: „Częściowo, choć nie tylko”. Sam fakt, że Djibo nie całkiem uniknął odpowiedzi na to pytanie, wystarczył, by zelektryzować obecnych. Po raz pierwszy członek Komitetu Wykonawczego zgodził się nieco uchylić rąbka tajemnicy otaczającej powody istnienia naszej organizacji. Miało minąć jeszcze sporo czasu, zanim dostąpię bardziej znaczącego objawienia -jeśli w ogóle mnie to czeka - ale odnosiłem wrażenie, że od teraz łatwiej mi przyjdzie godzenie się z własną niewiedzą.

W porównaniu z tym prezentacje dwóch pozostałych organów wypadły raczej blado. Mimo wysiłków Claasa Verplancka, holenderskiego szefa Głównego Inspektoratu, nie potrafiłem wyobrazić sobie siebie jako superkontrolera, który wpada niespodziewanie do jakiejś stacji, żeby ocenić bezpieczeństwo protokołów transmisyjnych albo poszanowanie dla najnowszego zarządzenia Działu Kadr w kwestii molestowania seksualnego. Rozumiem, oczywiście, że każda organizacja potrzebuje nadzorców, i zawsze podziwiałem oddanie stróżów porządku, ale siebie zwyczajnie w tej roli nie widziałem.

Pozostawały jeszcze Operacje Specjalne. Nikczemny Khoyoul-faz nie raczył się do nas pofatygować (rzekomo wypełniał akurat misję) i przysłał swojego japońskiego zastępcę, niejakiego Ito, który ograniczył się do powtórzenia nam ze swoim okropnym akcentem tego, co już wiedzieliśmy: Operacje Specjalne interwenują za każdym razem, gdy KFR znajdzie się w niebezpieczeństwie, i skupiają niecałą setkę agentów, których znajomość wstydliwych sekretów organizacji zobowiązuje do zachowywania ścisłej tajemnicy. Zresztą prestiż tego organu zwalniał Ito z konieczności bycia genialnym: wszyscy moi koledzy i koleżanki marzyli o dołączeniu do Operacji Specjalnych. Tego wieczoru, kiedy świętowaliśmy koniec egzaminów, usłyszałem nawet, jak Stephane Brioncet porównuje „chłopców z OS” do agentów „00” z brytyjskiego MI6, owej szpiegowskiej elity z licencją na zabijanie. Powstrzymałem się przed poinformowaniem go, że Khoyoulfaz sięga po broń jeszcze chętniej niż James Bond. I tak by mi nie uwierzył.

Wreszcie nadszedł wielki dzień. Tego rana w budynku mieszkalnym panowała dziwna atmosfera, bo podekscytowanie na myśl

o wyjeździe na wakacje (w królewskim goście przyznano nam po dwa miesiące wolnego) kłóciło się z niepokojem, że wylądujemy w dolnej połowie rankingu. Wyjątkowo zjedliśmy śniadanie razem, w ramach jakiejś naiwnej próby potwierdzenia solidarności względem administracji, która szykowałą się, by nas rozdzielić. Widząc nas usadowionych przed różnymi daniami - filety śledziowe z ryżem dla Ichiro, miska płatków dla Matta, omlet dla Amandy - postronny obserwator nigdy by nie pomyślał, że tworzymy jedną ekipę. A jednak tego ranka duch koleżeństwa stał się namacalny. Nawet Lena, która, spodziewając się nadchodzących zaszczytów, nałożyła niezauważalny makijaż, wyglądała na ożywioną i śmiała się z dowcipów Stéphane'a.

Nagle Luis Carildo, Meksykanin, skupił na sobie uwagę, stukając nożem w szklankę. Chciał nam życzyć przyjemnych wakacji i podziękować za „wspaniały rok”. Dopiero gdy moi sąsiedzi parsknęli śmiechem, zdałem sobie sprawę, że Luis naśladuje Alfredo Quinterosa: przybrał ten sam emfaticzny ton, używał tych samych nic nieznaczących przymiotników, mówił z tym samym biurokratycznym zadęciem, obwieszczając nam, że zważywszy na aktualną sytuację geopolityczną, zarekomendował zarządowi Akademii założenie kamer bezpieczeństwa w toaletach oraz pod prysznicami budynku mieszkalnego. Ciche śmieszki zmieniły się w dzikie wycie, gdy Luis zaczął ocierać czoło serwetką, którą następnie wepchnął do rękawa, wciskając ją z trudem aż na wysokość bicepsa (Quinteros przechwalał się, że codziennie rano robi dwieście pompek; biorąc pod uwagę jego zaokrągloną sylwetkę, nigdy w to nie wierzyliśmy). Później wyjął z kieszeni kartkę i odczytał listę „specjalnych trofeów”, przyznając każdemu unikalną nagrodę odzwierciedlającą jego wkład w życie grupy. Tytułom nie brakowało ani humoru, ani zasadności. Stéphane i Lena zostali wyróżnieni w kategorii „Najbardziej niezmienny humor”, Stéphane w podkategorii „dobry”, a Lena w podkategorii „zły”, Witalij otrzymał miano „Najlepszego wykonawcy” (śpiewał we foyer *Borysa Godunowa* w pełnym kostiumie), Chinka Ling Yi zaś - „Najlepszego źródła referencji” (potrafiła bez wysiłku wyrecytować setki statystyk gospodarczych lub demograficznych dotyczących dowolnego kraju na świecie).

Kiedy przyszła kolej na mnie, Luis nadał mi przydomek „samotnego kowboja”, nawiązując do moich niekończących się wypraw do lasu. Otworzyłem usta, by zaprotestować, ale wybuchy śmiechu uświadomiły mi, że Meksykanin trafił w sedno. I raptem dotarło do mnie, że zmarnowałem rok. Och, jasne, kończyłem jako jeden z najlepszych, a mojateczka o Stasi zapisze się w annałach KFR-u. Ale poniosłem porażkę w podstawowej kwestii, nie rozumiejąc, co Akademia ma mi do zaoferowania. Podczas gdy otaczało mnie dziewiętnaście najbardziej wyjątkowych umysłów na ziemi, ja spędziłem rok zamknięty w swoim pokoju, tnąc papier na skrawki i w kółko oglądając krótkometrażowe filmy francuskiego dokumentalisty. Nie byłem w stanie odnowić kontaktu z Youssefem i Magawati. I wreszcie ja, który tak się chlubiłem swoją otwartością, wybrałem się do Krasnojarska tylko raz, żeby zabawić się w tajnych agentów w strefie przemysłowej na przedmieściu Norymbergi. To było żałosne, do oczu napłynęły mi łzy.

Nagrodziliśmy Luisa oklaskami, a potem wszyscy wokół mnie wstali. Nadszedł czas. Poczulem, że Stéphane dotyka mojego ramienia, ale prawie nie słyszałem jego głosu. Miałem wrażenie, jakby ktoś napchał mi waty do uszu. Implikacje mojego objawienia kotłowały mi się w mózgu. Ten rok przeciekł mi między palcami niczym woda... Podobna szansa już nigdy więcej się nie powtórzy... Milion dolarów poszedł z dymem... Obrabowałem kogoś innego z miejsca w Akademii... Ta ponura fascynacja syberyjską tajgą... I słowa Djiba z Honolulu... „Możecie wiele się od siebie nawzajem nauczyć... To różnorodność, jakiej nie znajdziecie nigdzie indziej na świecie... Każde z was jest wyjątkowe... Nie pozwólcie, by wasze bogactwo zgasło razem z wami.

Ruszyłem za Stéphanem jak automat. Nie mogłem dalej tak żyć, oszukując otoczenie oraz samego siebie. Musiałem wybrać między teraźniejszością a przeszłością, między światem żyjących a tym zamieszkiwanym przez widma.

Reszta poranka stanowi w mojej głowie jedynie mgliste wspomnienie. Quinteros miał na sobie biały, świeżo wyprasowany garnitur. Wydaje mi się, że w swoim przemówieniu porównał KFR do armii, jemu zaś przypadło teraz zadanie mianowania dowódców.



Tak czy owak, byłem zbyt oszołomiony, by nadążać za jego wojskowymi metaforami. A może w ogóle pomyliło mi się z innym dniem, dyrektor tak chętnie perorował. Ktoś musiał odkręcić kaloryfery do oporu, bo pociliśmy się jak szczury. A może to tylko ja? Lena jeden jedyny raz usiadła w ostatnim rzędzie. Będzie mogła lepiej nacieszyć się sukcesem, widząc, jak się ku niej odwracamy. Ona nie wyglądała, jakby dokuczał jej upał.

W końcu Quinteros wyjął z kieszeni kopertę, po raz enty objaśniając nam zasady przebiegu ceremonii, która miała zaraz nastąpić. Każdy z nas, usłyszawszy swoje nazwisko, powinien wskazać organ, do którego chciałby dołączyć, o ile zostaną jeszcze wolne miejsca. Osoby zajmujące gorsze pozycje zostaną skierowane do dyrekcji centralnych. No proszę, zapomniał nawoskować buty. On również się pocił, ale nie tak obficie jak ja. Otarł czoło chusteczką, tą sławną chusteczką, która mieszkała w jego rękawie.

Lenę wywołał jako pierwszą. Żadna niespodzianka. Była z nas najmocniejsza, najambitniejsza, a także najbardziej pracowita. Uśmiechnęła się, kiedy odwróciliśmy się jak jeden mąż, a ja pojąłem, że się nie pomyliłem. Wybrała Operacje Specjalne. W jej głosie nie zabrzmiał ani cień wahania. Tylko ja wiedziałem, ile musiała ją kosztować decyzja o służeniu pod rozkazami Yakouba Khoyoulfaza, jednak urok prestiżu okazał się nieodparty. Jeśli wszyscy prymusi Akademii wstępowali do Operacji Specjalnych, to Lena Thorsen po prostu nie mogła postąpić inaczej. Zabawny sposób kierowania własnym życiem; choć w tej chwili wcale nie czułem się odpowiednią osobą do prawienia jej morałów.

Tak czy inaczej, opcja wybrana przez Lenę zwiększała moje szanse na dostanie się do Planu. Parsknąłem nerwowym śmiechem na myśl, że właśnie wyświadczyła mi przysługę.

- Dobrze się czujesz, brachu? - wymamrotał Stéphane. - Jesteś zlany potem.

- Wzywam teraz Sliva Dartunghuvera - ogłosił Quinteros, nie pozostawiając mi czasu na odpowiedź.

Podniosłem się mechanicznie. Gafa. Nie mieliśmy wstawać. Lena nie wstała. Quinteros stał, ale to co innego. Lena wybrała Operacje Specjalne. Patrzyła na mnie. Wszyscy na mnie patrzyli.

A niech mnie, ależ tu gorąco. Stracony rok. Teraz, kiedy już stałem, nie mogłem usiąść z powrotem. Czego ode mnie chcieli ci wszyscy ludzie? Czemu zawsze tyle się ode mnie wymaga?

- Wybieram Operacje Specjalne - oznajmiłem nieswoim głosem.

Pokusa okazała się zbyt silna.

Pokusa, by dołączyć do najbardziej tajemniczego organu w konsorcjum, który, jeśli nawet nie wyjawia mi celu istnienia organizacji, to pozwoli poznać niektóre z jej najlepiej strzeżonych sekretów.

Pokusa, by ponownie spotkać się z Khoyoulfazem, by przebywać w jego towarzystwie przez dwa lata i uzyskać odpowiedź na pytanie, które obsesyjnie dręczyło mnie od czasu przyjazdu do Akademii: jak taki tępy brutal może zarządzać najsubtelniejszą jednostką KFR-u? Coś z pewnością mi umykało.

Pokusa, by po raz kolejny obrać najtrudniejszą ścieżkę, na której groziło mi najwięcej cierpień, ale która pewnego dnia mogła dostarczyć mi najwięcej dumy.

I wreszcie - po co zaprzeczać? - pokusa, by po raz kolejny iść w ślady Leny Thorsen, z którą, jak się zdawało, już pierwszego dnia u Baldura, Furuseta i Thorberga podjąłem bezlitosną walkę. Zacząłem marzyć o Nagrodzie za Najlepszą Teczke w dniu, w którym Gunnar poinformował mnie, że Lena wylądowała w Honolulu ledwie na drugim stopniu podium. Podobnie byłem prawie pewny, iż Lena, nie mogąc znieść faktu, że przez długi czas wyprzedzałem ją na liście, mocno się przyłożyła w ciągu tych ostatnich tygodni, żeby tylko mnie przeskoczyć. Jakimi uczuciami byśmy się wzajemnie darzyli, ta rywalizacja dla obojga odgrywała istotną rolę w naszym pięciu się w górę. W drodze na szczyt czekały nas już chyba nie więcej niż trzy lub cztery zakręty, ale sądzę, że nie miałbym odwagi podjąć wędrówki, gdybym nie wiedział, że Lena maszeruje u mojego boku.

Po ogłoszeniu decyzji usiadłem z powrotem w stanie szoku. Tak naprawdę doszedłem do siebie dopiero parę godzin później, kiedy Stéphane znalazł mnie, żeby pożegnać się przed wyjazdem na lotnisko. Bynajmniej nie spodziewałem się ujrzeć go tak szczęśliwym, bo siedemnaste miejsce na liście skazywało go na dykcję centralne. Lecz Aoifa, która uplasowała się tylko trochę wyżej, na pozycji piętnastej, zabierała go do Irlandii, by przedstawić go swoim rodzicom. Zamierzali się pobrać jeszcze przed początkiem kolejnego roku akademickiego.

- W tych warunkach, stary - zażartował Stéphane - zrozumiesz chyba, że porzucam cię, byś toczył ten homerycki bój wraz z wal-kirią i samurajem. - Ichiro Harakawa zdobył trzeci bilet wstępu do Operacji Specjalnych.

Ostatnia seria egzaminów niewiele namieszała w rankingu. Jedyne Matt Cox wywołał zdumienie, wykonując niesamowity przeskok i zaklepując sobie miejsce w Głównym Inspektoracie. Tego wieczoru przy piwie wyznał mi, że publiczny docinek Leny ukłuł go do żywego i że chciał nam pokazać, do czego w rzeczywistości jest zdolny.

-Jej postępowanie było wstrętne - skomentował trzeźwo - co nie zmienia faktu, że zawdzięczam jej mój wynik końcowy. - Bez dwóch zdań, pomyślałem, ta Dunka ma dar do skłaniania mężczyzn, by przechodzili samych siebie.

Amanda Postlewaite, Ling Yi („źródło referencji”) oraz Francesco Cinotti dołączyli do Planu, a Buhari Obawan, Witalij Ora-zow, Ana Gomes i Matt Cox do Głównego Inspektoratu. Luis, nasz dyżurny komik, skończył jako jedenasty. Nie przeszkodziło mu to w zaproponowaniu nam po kolacji seansu karaoke we foyer. Po raz kolejny zaskoczyły mnie rozmiary oraz różnorodność kolekcji płyt Akademii. Luis wziął na warsztat twórczość Rolling Stonesów, Witalij okazał się prawdziwym koneserem zespołów Sex Pistols i The Cure. Po raz pierwszy od półtora roku zapomniałem o Khoyoul-fazie, śpiewając z Amandą duety Johna Travolty i Olivii Newton-John. Lena nuciała w swoim kąciku. Wcześniej poszła się położyć. Ona, Ichiro i ja mieliśmy nazajutrz rano spotkanie z instruktorem z Operacji Specjalnych, według Quinterosa jedynie w celach zapo-

znawczych. Nie widziałem powodu, dla którego miałbym się ograniczać, więc tego wieczoru bez umiaru osuszałem taśmowo przygotowywane przez Matta koktajle z tequili, wódki i grenadyny.

Dwie godziny snu później pchnąłem drzwi małej salki konferencyjnej, gdzie czekali już Thorsen i Harakawa. Lena z dezaprobatą rzuciła okiem na moją fryzurę. Ichiro, który też nieźle sobie popił, stoicko wpatrywał się w jeden punkt na suficie. Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu. Ichiro i ja nie byliśmy w stanie mówić. Co do Leny, zwykle zachowywała swoje uwagi dla osób przewyższających ją rangą.

Nagle drzwi się otworzyły i do pomieszczenia wszedł Khoyoulfaz. Od wczoraj przygotowywałem się na taką ewentualność. Na zawsze zapamiętam, że w pierwszym odruchu Lena odwróciła się w moją stronę, jakbym siłą woli mógł sprawić, że azerbejdżański kolos wyparuje. Wzruszyłem ramionami w bezradnym geście. W końcu skoro Khoyoulfaz przewodził Operacjom Specjalnym, to zdawało się naturalne, że będzie chciał jak najszybciej nas poznać.

- Dzień dobry - zaczął, sadowiąc się przed nami. - Nazywam się Yakoub Khoyoulfaz i zarządzam Operacjami Specjalnymi.

Sam dźwięk jego głosu wystarczył, żebym wytrzeźwiał. A jednak nic w tym wstępie nie pozwalało przypuszczać, że już kiedyś spotkał Lenę i mnie.

- Na początek chciałbym wam pogratulować wspaniałych wyników. Szczegółowo przestudiowałem wasze teczki, prześledziłem fluktuację waszych pozycji w rankingu na przestrzeni całego roku i nie mam najmniejszych wątpliwości, że przypadli mi w udziale trzej najlepsi studenci Akademii.

Operacje Specjalne stanowią odrębny organ w ramach KFR-u. W przeciwieństwie do Planu czy Głównego Inspektoratu, które zatrudniają osoby na wszystkich poziomach organizacji, my rekrutujemy jedynie trzech nowych agentów rocznie, zwykle najlepszych w danej grupie. Ten tryb selekcji pociąga za sobą kilka różnorodnych skutków: każdy z nas dał dowód swojej wartości oraz determinacji; jest nas zaledwie setka, więc wszyscy znamy się nawzajem; i wreszcie - i na to kładę nacisk - jesteśmy bardziej zgrani niż palce jednej dłoni.

Ponieważ nasz organ skupia tak wąskie grono, a jego spistość przesądza o sukcesie, osobiście przeprowadzę dużą część waszego szkolenia. Koniec z wykładami profesorów i testami pisemnymi: kolejne lata spędzicie w terenie, czyli tam, gdzie KFR będzie was potrzebował, zawsze w parze z bardziej doświadczonym agentem. Do Krasnojarska wracać będziecie wyłącznie w przerwie między dwoma misjami i nigdy na dłużej niż kilka dni...

Coś tu nie grało. Khoyoulfaz, którego miałem przed oczami, nie był tym samym, który znokautował mnie półtora roku temu w Córdobie. Och, był to, oczywiście, ten sam człowiek - z tym samym byczym karkiem, tym samym torsem zapaśnika - ale zdawał się wyposażony w odmienną osobowość. Ubrał się nienagannie, w garnitur z granatowego kaszmiru i krawat z monogramem. Mówił bardziej zrównoważonym, mniej donośnym głosem. I wreszcie jego ton, pełen szacunku i ciepła, nie zawierał w sobie najmniejszego śladu owej wulgarności, która poprzednio tak mnie zszokowała. Nie potrafiłem już sobie wyobrazić, by mógł nazwać Lenę „słodziutką” albo czyścić paznokcie maczetą. Szczerze mówiąc, biła od niego charyzma, której trudno było się oprzeć.

- Nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć wam udanych wakacji. Wróćcie do mnie wypoczęci i gotowi, bo zaczniemy od razu z grubej rury.

Spotkanie dobiegło końca. Jednak kiedy się podnosiliśmy, Khoyoulfaz przytrzymał mnie za ramię. Podskoczyłem instynktownie i wyrwałem mu rękę. W oczach Leny wyczytałem, że scenka pod tytułem „przerażony królik złapany w światła samochodowych reflektorów” nie umknęła jej uwagi.

- Niech pan się uspokoi - wyszeptał Khoyoulfaz. Potem dodał głośniej: - Dziękuję, Harakawa. Dartunghuver, Thorsen, wy jeszcze zostańcie.

Ichiro nie skomentował tego ani słowem i zostawił nas samych. Kilka sekund później drzwi znowu się otworzyły, wpuszczając do środka starego znajomego.

- Gunnar? - wykrzyknąłem. - Co pan tu robi?

- Dobrze pana widzieć - dodała Lena, która wyglądała, jakby jej ulżyło na widok znajomej twarzy. Trzeba przyznać, że w prze-

szłości dowiodłem już, iż nie dam rady obronić jej przed Khoyoulfazem.

Gunnar uściskał mnie, Lenie zaś skinął jedynie głową. Następnie zajął miejsce między nami, na siedzeniu zajmowanym wcześniej przez Ichiro.

- Ach, moje dzieci, za nic w świecie nie przegapiłbym tej chwili: dwoje z moich dawnych podopiecznych przyjętych do Operacji Specjalnych tego samego dnia!

- To się zdarza po raz pierwszy - wtrącił Khoyoulfaz kpiąco. - Chcesz, żeby ci to wygrawerować na pamiątkowej tabliczce?

- Nie nabijaj się ze mnie - odparł Gunnar. - To najpiękniejszy dzień w mojej karierze.

Wymieniliśmy z Leną spojrzenia. Jej mózg pracował na najwyższych obrotach. Mój także, póki co bez rezultatów.

- Tak, widzę, że winny wam jestem wyjaśnienie - odezwał się Gunnar. - Na ten moment może wam ono nie przypaść do gustu, ale jestem pewien, że z czasem zrozumiecie.

- Niech pan pozwoli, że sami o tym zdecydujemy, Gunnar - wycedziła Lena przez zęby. Teraz już się nie bała, tylko wpadła w złość, bo niczego nie nienawidziła bardziej niż niespodzianek.

- Naturalnie - zgodził się Gunnar pojednawczo. Odwrócił się do mnie. - Moja opowieść dotyczy przede wszystkim ciebie, Sliv. Rozpoczyna się pięć lat temu, wraz z twoim przybyciem do Baldura, Furuseta i Thorberga. Od razu pojąłem, że mam do czynienia z wyjątkową jednostką. Twoja wyobraźnia, intelektualna ciekawość i zrozumienie świata stawiały cię wyżej od wszystkich moich poprzednich rekrutów. Bardzo proszę, Leno, niech się pani nie obraża; wie pani, co sędzę o pani zdolnościach falsyfika-torskich.

-Ja się nie obrażam - odparła Lena sucho. - Proszę mówić dalej.

- Zmusiłem się, żeby zachować zimną krew. Obecny tu Yakoub powie ci, że nasze najlepsze nabytki często stawały się przyczyną najdotkliwszych z punktu widzenia organizacji katastrof. Uzdolnionym scenarzystom zagraża nonszalancja, poczucie, że z pomocą samej tylko wyobraźni uda im się wykaraskać z najgorszych tarapatów. Nawet nie zdając sobie z tego sprawy, podejmują coraz to większe

ryzyko, nieustannie przysparzając pracy osobom odpowiedzialnym za ich nadzorowanie.

- O tym mogę zaświadczyć - wymamrotała Lena pod nosem.

-Już z lektury twojej pierwszej teczki jasno wynikało, że cierpisz z powodu tej wady - ciągnął Gunnar, nie zważając na szpilę wbity mi przez Lenę. - Twój scenariusz o Buszmenach charakteryzował się siłą i rozmachem, którym nie dało się oprzeć, ale brakowało ci cierpliwości i staranności. W tym projekcie nie doszukałem się jeszcze żadnej dramatycznej gafy i jestem przekonany, że gdyby nie pierwsza nagroda w Honolulu, mógłbyś się poprawić. Niestety, to przyznanie ci tego trofeum okazało się niedźwiedzią przysługą. Umocniło cię w twoich skłonnościach. Uznałeś, świadomie albo i nie, że jakoś twoich scenariuszy zawsze zrekompensuje przeciętność fałszerstw. Potwierdzenie tej tezy znalazłem w twojej trzeciej teczce o *Bettlerkónigu*, wspomniałem projekcie, najeżonym jednakowoż błędami, które po stokroć go dyskwalifikowały. Zrozumiałem, że wyczerpałeś już możliwości oferowane przez pierwszą posadę i że w Reykjavíku niczego więcej się nie nauczysz. Poprosiłem, żeby cię przeniesiono. Dział Kadr chciał wysłać cię do Centrum w Hong Kongu, które sprawuje kontrolę nad wszystkimi kwestiami związanymi z falsyfikacją, abyś nauczył się w innych teczkach dostrzegać to, czego brakowało w twoich. Ja wolałem zadzwonić do mojego przyjaciela, Alonsa Diaza, który zgodził się przyjąć cię w Córdobie, gdzie jak miałem nadzieję, korzystałbyś z bardziej indywidualnego traktowania. Nie mogłem przewidzieć, że w międzyczasie Alonso zachoruje, a Lena będzie zbyt przeciążona pracą, by poświęcić ci uwagę, której potrzebowałeś.

- Nie byłem przeciążona - zaprotestowała Lena. - Jasno poukładałam sobie priorytety.

- Mamy to gdzieś, Leno. Niech mu pani pozwoli skończyć -rzuciłem poirytowany do granic możliwości.

- Najłagodniej rzecz ujmując, twoje przeniesienie nie przyniosło oczekiwanych rezultatów - kontynuował Gunnar niewzruszenie. - Pozostawiony samemu sobie, w nieznanym kraju i na stanowisku, o którym nie miałeś bladego pojęcia, zaczęłaś podejmować jeszcze więcej ryzykownych decyzji, kończąc na tym szalonym ra-



porcie o zagrożeniu trzęsieniem ziemi w Maharasztrze, który wywołał oburzenie na najwyższych szczeblach organizacji.

- A przecież go ostrzegałam - wymruczała Lena. Posłałam jej mordercze spojrzenie.

- Jeden z członków Komitetu Wykonawczego zadzwonił do mnie w środku nocy, żeby zapytać, czy całkiem ci odbiło. Co to ma znaczyć, że ten błazen tak otwarcie pozwala, by jego sekretna działalność wpływała na jego przykrywkę? Dział Kadr, który wciąż nie mógł strawić faktu, że obszedłem ich, kontaktując się bezpośrednio z Diazem, umieścił cię pod obserwacją. Od tego dnia wszystkie teczki, które przekazywałeś Lenie, trafiały także do Głównego Inspektoratu, gdzie studiowano je, by ocenić twoje postępy. Przez kilka miesięcy udawało ci się ich nabierać, ale pewnego dnia zatelefonował do mnie Claas Verplanck, szef GI, żeby zdać mi raport z tego, co zrobiłeś z teczką o Corporate DNA. Twoje ozdobniki nie wprawiły go wcale w dobry humor. Nie mógł ci wybaczyć przede wszystkim tego, że przepuściłeś nazwiska Fiedlera i Staransky ego. Nigdy nie słyszałem go tak zdenerwowanego. „Co on sobie w ogóle wyobraża? Ze Berlin ma całe półki gotowiutkich legend? Trzeba powstrzymać tego chłopaka, zanim zdąży wszystko schrzanić”. Zwołał w Londynie spotkanie kryzysowe, żeby postanowić coś w twojej sprawie. Wokół stołu zebrało się pięć osób, prawa ręka Verplancka, przedstawiciel Działu Kadr, dwóch członków personelu Komitetu Wykonawczego oraz twój sługa uniżony. Przeanalizowaliśmy wszystkie możliwości: przywrócenie cię do cywila, wysłanie na intensywny staż do Hong Kongu, skierowanie do Planu, na stanowisko, gdzie nie miałbyś żadnego kontaktu z pracą terenową...

Ja przekonywałem, by dać ci jeszcze jedną szansę. Uważałem, że nie uświadamiasz sobie ryzyka, jakie niosą ze sobą twoje działania, ponieważ sądzisz - rzecz jasna błędnie - że dotyczą one jedynie ciebie. Znając wyznawane przez ciebie zasady moralne oraz twój zmysł etyczny, zasugerowałem, że przyswoisz sobie lekcję dopiero w momencie, gdy dotrze do ciebie, że twoje czyny wpływają także na życie innych. Reprezentanci Komitetu Wykonawczego uprawnili mnie do przeprowadzenia eksperymentu, nie kryjąc, że w razie porażki zaliczę upadek razem z tobą.

Główny Inspektorat przesłał mi więc cały zbiór teczek, nad którymi pracowałeś wówczas w Córdoba. Z miejsca wybrałem tę o galoszu. Już zaczynało się mówić o francuskich próbach nuklearnych na Południowym Pacyfiku i powoli zarysowywały się ich polityczne implikacje. Jeśli chcesz znać moje zdanie, pod względem scenariusza Chandrapaj się nie wysilił. Ale jego źródła trzymały się kupy. W szczególności zaś włączył do raportu Greenpeace'u ten sławetny wykres ilustrujący spektakularny wzrost liczby galosza w tej części świata, nie twierdził jednak, że dane pochodzą z nowozelandzkiego Ministerstwa Rolnictwa i Rybołówstwa. To ja umieściłem tę wzmiankę w dwóch kopiach teczki zarchiwizowanych w Córdoba.

Następnie zadzwoniłem do Alonsa Diaza i poprosiłem, by jeszcze wzmógł presję na Lenę. Biedny drań, żałuję, że nie mogłem mu tego oszczędzić. Ciąg dalszy znasz. Lena kazała ci ponownie zajrzeć do teczki, a tam odkryłeś niemiłą niespodziankę. Spodziewałem się, że źle zareagujesz, ale tym razem przeszedłeś samego siebie. Kiedy zatelefonowałeś do Wellington w środku nocy, podając się za niemieckiego dziennikarza, nie tylko nieoczekiwanie wyposażyłeś mnie w dramatyczne narzędzie, ale też dowiodłeś, do jakiego stopnia stałeś się niebezpieczny.

- Nie miałem pojęcia... - wymamrotałem zgnębiony. - Trzeba mi było powiedzieć...

- Nie usłuchałby pan - skontrowała nieubłaganie Lena.

- I w tym momencie ja wkraczam do akcji - wtrącił się Khoyoulfaz, o którym prawie zapomniałem na czas opowieści Gunnara. - Eriksson zadzwonił do mnie wiosną dziewięćdziesiątego piątego, w kwietniu albo w maju, teraz już nie pamiętam. Słyszałem o panu wcześniej, Sliv, ale kiedy Eriksson streścił mi całą historię, nie mogłem uwierzyć własnym uszom. To ja wpadłem na pomysł z usunięciem Harkleroda. Gunnar sądził, że nie ma potrzeby posuwać się aż tak daleko, ale przekonałem go, że nie dostanie pan nauczki, o ile w grę nie będzie wchodziło ludzkie życie. Ten John Harkleroad, który odebrał pański telefon w lecie dziewięćdziesiątego piątego, jak najbardziej istnieje. Ale ten John Harkleroad, nad którego grobem się pan modlił, to legenda zapewniona przez Berlin. Zainkasowaliśmy czeki, które wysłał pan wdowie, żeby pana nie zaalarmować.

ale oddamy pieniądze. Prawdziwy John Harkleroad ma się świetnie, tak samo jak pani Harkleroad oraz ich dwie córeczki.

- Mój Boże - westchnąłem, nie mogąc powstrzymać łez. - Proszę wybaczyć - wybełkotałem. - To tak nagle...

Gunnar podał mi chusteczkę higieniczną.

- Nie musisz się usprawiedliwiać - powiedział. - To my jesteśmy ci winni przeprosiny.

- Zwłaszcza ja - dorzucił Khoyoulfaz. - Porządnie przemodelowałem panu twarz.

- Ale czy to znaczy - odezwałem się, wciąż w to nie wierząc - że od początku do końca odgrywał pan komedię?

- Gunnar poprosił, żebym dodał sytuacji nieco dramatyzmu - wyjaśnił Khoyoulfaz. - Nie musiał dwa razy powtarzać. W młodości występowałem w teatrze, wygląda na to, że mam skłonność do farsy. Nic pan nie podejrzewał?

- Nie - odparłem, grzebiąc we wspomnieniach. - Chociaż właściwie tak, na początku, kiedy mówił pan o małym Leonidzie, którego znaleziono w cementowych bucikach w zatoce w Sydney. Brzmiało to jak z kiepskiego filmu o mafii. I później też, kiedy zaczął pan jeść stek palcami...

- O tym mi nie wspominałeś — zaśmiał się Gunnar. - Widzę, że naprawdę się wczułeś.

- No tak, może trochę przesadziliśmy - przyznał Khoyoulfaz. - Ale wyglądaliście na tak przerażonych, że zdaje mi się, że łyknęlibyście wszystko.

Myśli kłębiły mi się w głowie.

- A Jones? - spytałem nagle. - Byłem przekonany, że to on jest szefem.

- To był mój pomysł - poinformował Khoyoulfaz. - Guillermo pracuje dla mnie. Uroczy chłopak, będzie pan miał okazję go poznać.

- A jak ja się w to wszystko wpisuję?

Wszyscy trzej odwróciliśmy się w stronę Leny. Były to pierwsze słowa, jakie wyrzekła od czasu rewelacji Khoyoulfaza.

- Tak, co ze mną? - podjęła wyższym niż zwykle głosem, w którym przebijało oburzenie. - Opowiadają panowie tę historię tak, jak gdyby dotyczyła jedynie Dartunghuvera. Aleja zostałam na pół

roku zawieszona i upokorzona przed własnym zespołem, choć nie miałam sobie nic do zarzucenia. I po co: żeby Sliv zrozumiał wreszcie coś, co przez dwa lata kładłam mu do głowy?

- Przykro mi, Leno - rzekł Gunnar pokornie. - Stała się pani przypadkową ofiarą. Może pani być pewna, że Dział Kadr oraz Komitet Wykonawczy doceniły pani mimowolną pomoc. Kazali mi zresztą przekazać, że wszelkie wzmianki o zawieszeniu zostaną usunięte z pani dokumentacji.

- A moja pensja?

- Otrzyma pani całość, wraz z odsetkami.

- Dziękuję, Gunnarze - rzuciła Lena, nieco uspokojona. - To dla mnie ważne.

- Widzę - odparł Gunnar. - Do tego stopnia, że przyćmiewa pani ulgę w związku z faktem, iż śmierć Johna Harkleroda nie ciąży już pani na sumieniu.

- A jednak - odezwałem się. - Czy to naprawdę było konieczne?

Gunnar i ja rozsiedliśmy się wygodnie w zile, który wiózł nas na lotnisko w Krasnojarsku. Wiedząc, że jeszcze tego dnia planowałem wracać do Reykjavíku, Gunnar zabukował bilet na ten sam lot. „Na wypadek, gdybyś chciał mi zadać kilka pytań” - wyjaśnił.

- Co masz na myśli?

- Tę całą teatralną otoczkę: wulgarność Khoyoulfaza, małego Leonida... Wystarczyłoby mi oznajmić, że John Harkleroad zostanie wyeliminowany z powodu mojego niedopatrzenia, wtedy również dostałbym porządną nauczkę.

- Twoja głowa może tak - odrzekł Gunnar - ale nie twoje ciało. Umysłowi możemy wciskać kit, ale swoich wnętrzności nie jesteśmy w stanie kontrolować. Chciałem, żebyś fizycznie odczuł swoją winę, żebyś miał mdłości, gdy tylko coś przypomni ci o teczce na temat galosza.

- No to się panu udało - oświadczyłem w zamyśleniu. - Wymiotuję za każdym razem, kiedy słyszę nazwę „Nowa Zelandia”.

-Trzeba było, żebyś raz a porządnie zajrzał za kulisy - ciągnął Gunnar. - Żebyś zrozumiał, że gdy scenarzyści nawalą, to nie inni scenarzyści wyciągają ich z kłopotów, ale profesjonaliści, którym płaci się za sprzątnięcie cudzego bałaganu, dlatego krytykowanie ich metod byłoby z naszej strony nie w porządku. Operacje Specjalne to ostatnia instancja. Jeśli wydają się tak brutalne, to dlatego, że w bardzo krótkim czasie muszą naprawić sytuacje, które pogarszały się przez całe miesiące, a czasem nawet lata. Przypominają w tym

chirurga, który musi przeprowadzić natychmiastową operację, bo wcześniejsi lekarze postawili błędną diagnozę.

- Dręczy mnie jeszcze inne pytanie: dlaczego kazaliście nam podpisać rozkaz wykonania misji? Wątpię, żeby Operacje Specjalne zawracały sobie głowę tego rodzaju formalnościami.

- Masz rację - przyznał Gunnar. - Powiedzmy, że chciałem zobaczyć, jak z Leną zareagujecie. Yakoub nie ukrywał długo swojego zamiaru usunięcia Harkleroda, ale poprosiłem go, żeby przedłużył tę rozmowę. Przeczuwałem, że w obliczu nieszczęścia oboje ujawnicie swoją prawdziwą naturę.

-1...? - spytałem z niepokojem.

- I jestem z ciebie dumny - odparł Gunnar prosto. - Biłeś się jak lew.

- Lew z mocno stępnionymi kłami - dodałem ze smutną ironią. - Khoyoulfaz posłał mnie na deski jednym ciosem.

- A jednak trzeba było stanąć do walki - stwierdził Gunnar, nie kryjąc rozgoryczenia. Nie powiedział tego na głos, ale stało się jasne, że zachowanie Leny go rozczarowało.

- Była pod ogromną presją - przypomniałem, sam siebie zaskakując. - Umierający szef, dziesiątki teczek piętrzących się na biurku, a do tego wszystkiego jeszcze podwładny, który mógł zniszczyć jej karierę, działając według własnego widzimisie.

- Mimo wszystko - rzekł Gunnar, pogrążony w myślach - postąpiła źle. Jak z tym pytaniem o zaległe wypłaty, tak od razu, cóż za brak przyzwoitości...

Już wyrobił sobie opinię i nie mogłem zrobić nic, by ją zmienić. Przez kilka chwil milczeliśmy. Od czasu do czasu nasz kierowca klaskał językiem o podniebienie. Będzie mi brakowało syberyjskiego lasu, pomyślałem, spoglądając na przysypane śniegiem sosny migające za oknem.

Nagle Gunnar zapytał dziwnie drżącym głosem:

- Masz mi to za złe, prawda? Wiesz, potrafię to zrozumieć. Nie wiem, jak zareagowałbym na twoim miejscu.

Dopakowując walizki w budynku mieszkalnym, znalazłem chwilę, by przygotować sobie odpowiedź, ale cieszyłem się, że zadał mi to pytanie.

- Nie, Gunnarze - zapewniłem. - Nie mam panu za złe. Muszę to jeszcze przemyśleć, ale wierzę, że działał pan z dobroci serca. Gdybym nadal podążał tym torem, którym podążałem, wkrótce zostałbym wykluczony z KFR-u. Uznał pan, myśląc być może również w pewnym stopniu o sobie, ale, tego jestem pewien, przede wszystkim o mnie, że to byłaby wielka szkoda, więc podjął pan jedyną decyzję, która pozwalała odmienić bieg rzeczy. Ale powinien pan też wiedzieć, że przeżyłem osiemnaście potwornych miesięcy. Nic tego nie wymaże.

- Mimo wszystko, cieszę się, że tak to odbierasz - powiedział Gunnar, wydając z siebie pełne ulgi westchnienie. - Bez przerwy myślę o tym liście, który do mnie napisałeś po wyjeździe z Córdo-by. Wiesz, o tym, w którym...

- Pamiętam ten list - przerwałem zawstydzony. ***Gunnarze, chciałbym napisać „Drogi Gunnarze”, ale to ponad moje siły. Kochałem Pana, przez pewien czas traktowałem Pana nawet jak ojca. Ale Pan mnie zdradził, sprawiając, że straciłem szacunek do siebie, a tego nigdy Panu nie wybaczę.***

- Zapomnijmy o nim, jeśli się pan zgodzi - zaproponowałem, patrząc mu głęboko w oczy.

Twarz Gunnara pojaśniała.

- Ach, drogi chłopcze, nie masz nawet pojęcia, jak wielką mi sprawiasz radość. Wiesz, przez moment...

Dostrzegłem, że jest niebezpiecznie poruszony, powstrzymałem go więc:

- A niech mnie, Gunnarze, proszę nawet nie zaczynać! Nie mówmy o tym więcej.

- Masz rację - zgodził się z uśmiechem. - Idźmy dalej. Jestem pewien, że chcesz mi zadać jeszcze jakieś pytania.

- Właściwie tak. Jest jedno, które od rana ciśnie mi się na usta: czy KFR zabija w swojej obronie?

- Wedle mojej wiedzy, nigdy do tego nie doszło - odparł Gunnar. - Ale to jeden z najpilniej strzeżonych sekretów organizacji. Powinieneś zadać to pytanie Yakoubowi; ze względu na swoje stanowisko niewątpliwie wie na ten temat więcej niż ja. Ale sądzę, że teraz rozumiesz, dlaczego w pewnych bardzo szczególnych okolicz-

nościach Operacje Specjalne mogą zostać zmuszone do sięgnięcia po radykalne środki.

Faktycznie rozumiałem. Pozostawało ustalić, czy będę umiał z tym żyć.

- Ale wiesz, że jednego jestem pewien - podjął Gunnar. - Jeśli to się już kiedyś zdarzyło, nikt nie potraktował sprawy lekko. Podobna decyzja z pewnością trafiłaby do Komitetu Wykonawczego, a wierz mi, dla nich zasady to nie żarty.

- Czy Angoua Djibo należy do Komitetu Wykonawczego? - spytałem.

Gunnar tylko skinął głową. Ta odpowiedź mnie usatysfakcjonowała, przynajmniej na razie. Darzyłem Djiba zaufaniem.

- Uważa pan, że dobrze zrobiłem, wstępując do Operacji Specjalnych?

- Tak - rzekł Gunnar. - Ściślej mówiąc, miałem nadzieję, że właśnie takiego wyboru dokonasz. Jako instruktor Yakoub nie ma sobie równych, jego ludzie go uwielbiają. Wiele się od niego nauczysz. Główny Inspektorat? W to nigdy nie wierzyłem, po tygodniu zanudziłbyś się na śmierć...

- A Plan?

- Gotów jestem się założyć, że w końcu wylądujesz w Planie. Idealnie pasujesz do profilu: bezgraniczna ciekawość, nieskończona tolerancja i przenikliwe rozumienie historii. A propos, czytałem twoją teczkę o Stasi. Chciałem ci pogratulować: to bez porównania najlepsza rzecz, jaką do tej pory stworzyłeś, zarówno pod względem scenariusza, jak i pracy włożonej w przygotowanie źródeł.

- Dziękuję - odpowiedziałem, rumieniąc się z radości. Gunnar okazał się pierwszą osobą, która zauważyła, ile uwagi poświęciłem przy tym projekcie falsyfikacji. - Ale skoro myśli pan, że jestem stworzony do Planu, to czemu nie miałbym od razu do niego dołączyć?

- Żeby nie skończyć jak ci agenci z Toronto, którzy żyją w wyimaginowanym świecie. Ach, gdybyś ich widział! Uznają własne dyrektywy za coś w rodzaju niezawodnego vademecum. Słuchając ich, pomyślałbyś, że obalenie komunizmu czy wysłanie człowieka w kosmos było tylko troszkę trudniejsze niż wymyślenie amazońskiego



plemienia: weź sporą porcję czwartej dyrektywy, dodaj szczyptę instrukcji numer siedem, wstaw do piekarnika, a po godzinie wyjmij z formy. Parę lat w Operacjach Specjalnych nauczy cię, że sprawy wcale nie przedstawiają się tak prosto.

Kierowca po raz kolejny zaklął językiem i skierował ziła na zjazd prowadzący na lotnisko. Postanowiłem zadać pytanie, które gnębiło mnie od rana.

- Quinteros powiedział nam, że jedynie członkowie Komitetu Wykonawczego znają cel KFR-u.

- Podejrzewam, że skoro Quinteros tak twierdzi, to tak musi być - skomentował ostrożnie Gunnar.

- Sądzi pan, że nadal mam szansę, by pewnego dnia dołączyć do Komitetu Wykonawczego? Aż do dzisiejszego ranka wydawało mi się, że raczej tak; ale teraz nie jestem już tego taki pewien. Wszyscy ci ludzie na wysokich stołkach, którzy wyrobili sobie na mój temat złą opinię... Z pewnością nie pomoże mi to w dalszym robieniu kariery.

Widziałem, że Gunnar się waha.

- Niech mi pan powie prawdę - poprosiłem. - Mam prawo wiedzieć, czy jestem spalony.

- Ważę słowa, bo nie chcę ci robić fałszywych nadziei - odparł Gunnar. - Ale tak, uważam, że nadal masz duże szanse. Gdyby Dział Kadr i Główny Inspektorat chciały się ciebie pozbyć, zrobiłyby to po raporcie w sprawie Maharasztry, oszczędzając sobie tego spersonalizowanego okresu próbnego, który wymagał zaangażowania dziesiątek osób i kosztował małą fortunę. Myślę sobie, że skoro szychy z Komitetu Wykonawczego uważnie śledzą każdy twój krok, to z pewnością mają w związku z tym jakiś plan. Zresztą od roku zachowujesz się nienagannie. Twoja reakcja na sprawę z Har-kleroadem, twoje wyniki końcowe, ta teczka o Stasi: nazbierałeś sobie punktów. Quinteros poinformował mnie tylko, że prawie nie wychodziłeś z pokoju...

- To się zmieni - oświadczyłem. - Postanowiłem nieodwołać.

Ził zatrzymał się przed terminalem linii Aeroflot. Gunnar wezwał wózek bagażowy i oznajmił, że załatwi mi transfer do pierwszej klasy.

- Wychowankowie Akademii nie podróżują w klasie ekonomicznej. Nie mówili wam tego w Krasnojarsku?

- Nie - wyznałem. - Albo ja nie zwróciłem uwagi.

- Poważny błąd, mój chłopcze. Nigdy nie wolno pogardzać dodatkowymi przywilejami.

Pociąg mojego mentora do zewnętrznych przejawów dostatku pozostawał dla mnie zagadką. Znałem jego teorię: KFR, nie mogąc zaoferować pensji porównywalnych z tymi płaconymi przez międzynarodowe korporacje, przynajmniej nie truł swoim agentom z powodu rachunków za poniesione koszty. Co mi w tym nie pasowało, to fakt, że ten lotniskowy epikureizm nie współgrał z wizją młodego Gunnara, którą nosiłem w głowie: uzdolnionego agenta, który prędko wspinał się po szczeblach organizacji i który zdawał się predestynowany do objęcia najwyższych posad, aż jego kariera zatrzymała się w tajemniczy sposób zaraz po ukończeniu Akademii, w połowie lat siedemdziesiątych. Co się więc stało i dlaczego odsunięto go na bok? Gunnar zawsze unikał odpowiedzi na to pytanie. Zadowolony się stwierdzeniem, że nie chciał porzucić Islandii, argument, który moim zdaniem, nie trzymał się kupy: wszystko go ciekawiło, władał kilkoma językami i na mnie, który widziałem, jak zmieniał się na Grenlandii, we Francji i w Rosji, nieodparcie robił wrażenie jednej z tych osób, które zabierają swoje życie ze sobą i są szczęśliwe w dowolnym miejscu na świecie. Zauważyłem zresztą, że Khoyoulfaz i Quinteros okazywali mu względy nieprzystające do zajmowanej przez niego pozycji w strukturze organizacji: był w końcu tylko szefem stacji, piastował więc stanowisko, do którego już teraz pretendować mógł każdy spośród moich kolegów z roku. Co należało z tego wynioskować? Ze szanowali odkrywcę dwóch akademickich prymusów czy że traktowali ulgowo nosiciela jakichś wstydliwych sekretów? Miałem szczerą nadzieję, że pewnego dnia się tego dowiem.

Nasz lot - a raczej nasze loty, ponieważ musieliśmy się przesiąść w Moskwie oraz w Londynie - odbyły się bez przeszkód. Gunnar, rozwalony w wielkim skórzanym fotelu, napychał się kawiozem i popijał wódkę, racząc mnie najnowszymi ploteczkami z Baldura, Furusetta i Thorberga. Martwił go mój następca. W ciągu trzech lat stworzył tylko dwie teczki, obie równie przeciętne.

- Albo tracę do tego rękę - rozważał Gunnar, przekręcając kieliszek w dłoni - albo wyczerpałem już swój limit czempionów. Tak czy owak, może najlepiej bym zrobił, przechodząc na emeryturę.

- Zdążył już sporo wypić i nie potrafiłem ocenić, czy mówi poważnie.

Wylądowaliśmy w Reykjavíku około północy. Zamierzałem znaleźć nocleg w jakimś hotelu w centrum miasta, a nazajutrz rano wsiąść w pierwszy autokar do Husavíku. Gdy już mieliśmy się rozstać, Gunnar rzucił mimochodem:

- Ach, byłbym zapomniał: twoja indonezyjska przyjaciółka nie przestaje do mnie wydzwaniać.

- Magawati? - spytałem, nagle czując w gardle gulę. - I co pan jej mówi?

- Och, wciąż te same bzdury, że żyjesz, ale ja nie zostałem upoważniony do podania jej twoich danych kontaktowych. No chyba że jednak mnie do tego upoważniasz, oczywiście - dodał, puszczając do mnie oko, co sprawiło, że obejrzała się za nami stewardesa linii Iceland Air.

- Już panu tłumaczyłem, Gunnarze, że Maga to moja przyjaciółka. I nie ma potrzeby, żeby jej pan przekazywał moje dane, sam do niej zadzwonię. Nie zostawiła przypadkiem swojego numeru telefonu?

- A i owszem - przytaknął Gunnar. - Pamiętam, że gdzieś go notowałem, tylko gdzie? - Przybrał zmartwioną minę i udał, że przeszukuje swój neseser, a później klepnął się w czoło otwartą dłonią i, jak za sprawą magii, wyjął z kieszeni marynarki kawałek kartki.

- No i proszę. Wiedziałem, że ją zachowałem. Wyrwałem Gunnarowi kartkę z rąk. Obok numeru widniał

dopisek: „Dzwonić w dzień i w nocy”.

- W Hiszpanii? - spytałem. Ostatnim razem, gdy rozmawiałem z Magawati, wciąż mieszkała w Dżakarcie.

- W Barcelonie, gwoli ścisłości - uzupełnił Gunnar, delektując się tymi swoimi dziecinnymi gierkami. - No dobrze, ja uciekam. Wpadnij kiedyś do biura, wiele osób ucieszy się na twój widok.

Patrzyłem, jak zamykają się za nim drzwi windy. Która była godzina w Barcelonie? Druga rano? „Dzwonić w dzień i w nocy”

- napisała. Popchnąłem wózek w stronę budki telefonicznej i wsu-

nąłem w otwór kartę kredytową. Łączenie trwało tak długo, że już zacząłem podejrzewać, iż Gunnar zrobił mi jakiś dowcip. Wreszcie w moim bębunku usznym rozbrzmiał sygnał. Zdałem sobie sprawę, że ściskam słuchawkę tak mocno, aż zbieleły mi knykcie.

- Halo? - odezwał się nagle nieprzytomny głos.

- Maga? To ja. - Nic więcej nie przyszło mi do głowy.

- Sliv? - wykrzyknął głos. - Sliv, to ty? Wszystko dobrze?

- Doskonale - odparłem w żalostnej próbie powstrzymania zalewu emocji. - Dzwonię do ciebie z lotniska w Reykjavíku. Wiem, że jest późno, ale Gunnar Eriksson właśnie przekazał mi twój numer telefonu i nie mogłem się powstrzymać.

- Dobrze zrobiłeś. Co się stało, Sliv?

- To długa historia, moja karta kredytowa by tego nie wytrzymała. Nie chcę o tym rozmawiać przez telefon, opowiem ci wszystko, kiedy spotkamy się twarzą w twarz. Jesteś w Barcelonie?

- Już od roku.

- Jesteś szczęśliwa? - spytałem bez namysłu. Usłyszałem, jak śmieje się na drugim końcu linii.

- Nie bawisz się dziś we wstępy...

- Straciłem dużo czasu. Odpowiedz mi.

- Tak, Sliv, jestem szczęśliwa. A nawet bardzo szczęśliwa. Choć będę jeszcze szczęśliwsza, kiedy cię uściskam.

Wyobraziłem ją sobie, jak siedzi oparta o ścianę, powoli się budząc. Tak bardzo mi jej brakowało...

- Wkrótce przyjadę - zapewniłem. - Najpierw muszę przytulić moją mamę w Husavíku. Zadzwoń znowu, żeby dać znać, kiedy się zjawię.

- A ja zawiadomię Youssefa. Nigdy nie zrozumiał twojego milczenia.

- Wolałbym, żebyś na razie się z tym wstrzymała - wyznałem. - Boję się jego reakcji. Jeśli ci to nie przeszkadza, chciałbym najpierw zobaczyć się tylko z tobą.

Nie wydawała się zszokowana moją prośbą.

- Jak chcesz - zgodziła się. - Dobranoc, Sliv. Odwiesiłem słuchawkę, wykończony, lecz mimo wszystko dumny ze sposobu, w jaki rozegrałem dzisiejszy dzień. Na przestrzeni

kilku godzin odzyskałem swoje życie, nie uległem pokusie zatracenia się w urazie, a później odnowiłem kontakt z Magawati. Wkrótce przyjdzie czas na Youssefa.

Nazajutrz wróciłem do matki i jej baranów. W styczniu chorowała - sąsiad zajmował się zwierzętami - ale zdążyła już całkiem wyzdrowieć. Po kazaniu na temat mojego wyglądu (najwyraźniej kiepskiego) zabrała się za mój niepotrzebnie wysublimowany styl życia (gdyby wiedziała!) i próbowała mnie przekonać, żebym przeniósł się z powrotem na Islandię i znalazł sobie żonę. Chciała mieć więcej wnuków i za wzór postawiła mi moją siostrę Mathilde i to, jaka jest szczęśliwa. Nie mogłaby trafić gorzej. Otarliśmy się o kłótnię, gdy zasugerowała, że odwiedzi mnie w Krasnojarsku. Zeby ją zniechęcić, musiałem odmalować Syberię w takich barwach, że zastanawiała się na głos, co mnie trzyma w samym środku tego pandemonium. Wreszcie uzgodniliśmy, że spotkamy się latem w Petersburgu, skąd wyruszymy w rejs po Morzu Bałtyckim.

Zafundowałem sobie terapię snem, na nowo odkrywając rozkoszną przyjemność nocy bez rojeń. Wybrałem się też do Baldura, Furusetta i Thorberga, gdzie - Gunnar nie kłamał - powitano mnie niczym syna marnotrawnego. W końcu, nie powstrzymując się dłużej, kupiłem bilet na samolot do Barcelony z otwartą datą powrotu. Zadzwoiłem do Magawati, żeby poinformować ją o swoim przybyciu. Podała mi adres przy La Rambli. Zabroniłem jej wychodzić po mnie na lotnisko.

Wylądowałem w Barcelonie w pierwszych dniach marca. Już było przyjemnie, jak na Islandii w samym środku lata. Była to moja pierwsza wizyta w Hiszpanii. Taksówkarz od razu zauważył mój argentyński akcent. Tydzień wcześniej może próbowałbym go ukryć, ale teraz nie wstydzilem się wyniesionego z Córdoby dziedzictwa.

Kierowca wysadził mnie na skraju Placu Katalońskiego, przed dwupiętrowym budynkiem pokrytym brunatnożółtym tynkiem. Ze swojego okna Magawati miała widok na całą ulicę, aż po pomnik Krzysztofa Kolumba. Powoli wszedłem po schodach z plecakiem na ramieniu. Serce waliło mi jak szalone, ale nie z powodu wspinaczki.

Zatrzymałem się przed drzwiami. Do moich uszu dociera ły jedynie krzyki dzieci grających w piłkę na podwórzu na tyłach. Wziąłem głęboki wdech i nacisnąłem dzwonek.

Otworzył Youssef. Padliśmy sobie w ramiona.

- To długa historia - ostrzegłem.

- Mamy mnóstwo czasu - odpowiedziała Magawati.

I tak wszyscy wiedzieliśmy, że nasze wylewnie okazywane uczucia nie będą całkiem szczere, dopóki przyjaciele nie wysłuchają mojej opowieści. Gdy minął spontaniczny zryw, który kazał Yous-sefowi porwać mnie w ramiona, odzyskał on swoją zwykłą sztywność. Siedział po turecku na kanapie, niewątpliwie trzymając dłoń Magawati nieco bliżej własnego kolana, niż zezwalał Koran, i wyraźnie oczekiwał wyjaśnień.

Nie szczędziłem ich. Cofnąłem się ponad trzy lata w przeszłość, do początków raportu o Maharasztrze. Bez uników opisałem, jak pospiesznie odbębniłem sprawdzanie źródeł w teczce dotyczącej galosza, żeby móc wyjechać do Patagonii. Kiedy dotarłem do pożałowania godnego epizodu z nocnym telefonem do Johna Harkleroda, spostrzegłem, że Youssef marszczy brwi. Nic nie powiedział, ale dobrze wiedziałem, co sobie myśli: on nigdy by tak nie spanikował. Opracowałyby kilka strategii, a następnie oceniłby je na podstawie obiektywnych kryteriów. Metoda Thorsen w pigułce.

Gdy doszedłem do wizyty Khoyoulfaza z Jonesem, Maga i Youssef zaczęli śledzić opowieść ze zdwojoną uwagą. Na ich twarzach obserwowałem kolejno te same emocje, które towarzyszyły swego czasu mnie: dziecinny strach przed otrzymaniem reprimendy, później nadzieję, że Operacje Specjalne znalazły rozwiązanie, które mnie umknęło, a wreszcie przerażenie, kiedy mężczyźni zasugerowali fizyczną eliminację Johna Harkleroda.

- Ach, dranie! — zagrział Youssef. - W głębi duszy zawsze to wiedziałem. Od samego początku nas oszukują.

- Pozwól mu mówić, Youssefie - wtrąciła Magawati. - Jeszcze nie skończył.

Odmalowałem im scenę w najdrobniejszych szczegółach: moje bezowocne debaty z Jonesem, niesmaczne uwagi Khoyoulfaza, niemal natychmiastową rezygnację Leny, a wreszcie ów rozkaz wykonania misji, który kazano nam podpisać, „żeby papiery były w porządku”.

- Lena podpisała nawet bez czytania - oznajmiłem. - Ja odmówiłem, uznając to za kwestię honorową, bo nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić. Na nic się to nie zdało. Ogłuszyli mnie, a potem odurzyli. Kiedy obudziłem się u siebie, było już za późno, Harkleroad został usunięty.

- Niewyobrażalne... - wybełkotał Youssef, oszołomiony niczym bokser na linach. - Biedny człowiek... Ty oczywiście złożyłeś wypowiedzenie?

- Jeszcze tego samego dnia - przytaknąłem. - Spakowałem swoje drobiazgi i wróciłem do Europy...

- Zawiadomiłeś policję?

- Nie - odrzekłem zawstydzony.

- Nie siedzielibyśmy tutaj, gdyby to zrobił - zauważyła mądrze Magawati, jak zwykle zdecydowana, by najpierw zebrać wszystkie elementy układanki, a dopiero potem się wypowiedzieć.

- Ale dlaczego? - dociekał Youssef. Widziałem wyraźnie, że powstrzymywał się, by nie krzyczeć.

- Nie wiem - wyznałem. - Chciałem trochę się zastanowić, przygotować strategię. A poza tym nie mogłem pogodzić się z myślą, że was aresztują, was i setki innych agentów, którzy niczym sobie na to nie zasłużyli. Wiem, że trudno to pojąć. Zanim mnie osądzicie, posłuchajcie dalszego ciągu.

Opowiedziałem im o tygodniach spędzonych na ścinaniu drzew w lesie w Husaviku, o ciągłych telefonach od Gunnara i wreszcie o spotkaniu z nim w portowej kawiarni. Zrelacjonowałem naszą rozmowę tak wiernie, jak się tylko dało.

- Co za odrażająca logika! - wybuchnął Youssef. - Nic nie powiedział przy zatrudnieniu, bo się bał, że cię przerazi? Wiel-



kie nieba, rozumiem go! Kto chciałby dołączyć do bandy morderców?

- Przynajmniej znamy teraz ich sposób myślenia - skomentowała Magawati, której opanowanie robiło na mnie wrażenie. Właśnie wyjawilem jej, że jej pracodawca metodycznie usuwa ludzi, którzy staną mu na drodze, ona zaś zachowała na tyle zimnej krwi, aby próbować wyłuskać z tej rewelacji kierujące KFR-em motywy.

Dochodziłem teraz do najdelikatniejszej części całej historii, owego listu, w którym prosiłem Gunnara, żeby przyjął mnie z powrotem. Aż za dobrze przewidziałem reakcję Youssefa, więc zastrzegłem się od razu:

- Wiem, że wyda wam się to niepojęte. Tak naprawdę na moją decyzję złożyły się dwa czynniki. Odwiedziłem siostrę w Niemczech i ta wycieczka w zwyczajne życie przekonała mnie, że nigdy nie uda mi się do tego wrócić. Zdałem sobie sprawę, że falsyfikacja stanowi część mojej egzystencji, że stała się pryzmatem, przez który patrzę na świat, narkotykiem, który zażywam ze wstydem, ale bez którego nie potrafię się już obejść. Nienawidząc się więc za tę słabość, ponownie pogrążyłem się w nałogu jak pierwszy lepszy narkoman.

- Ja też już kiedyś to czułam - powiedziała Magawati, choć podejrzewałem, że próbuje tylko podtrzymać mnie na duchu. - To wrażenie, że bez KFR-u życie byłoby beznadziejnie nudne.

- A ten drugi czynnik? - przerwał Youssef obcesowo.

- Przeanalizowałem argumenty Gunnara z każdej możliwej strony i doszedłem do wniosku, że nie są całkowicie bezpodstawne. Mój błąd nie polegał na tym, że zapomniałem sprawdzić tego nieszczęsnego źródła; popełniłem go kilka lat wcześniej, nie dociekając, w jaki sposób KFR reaguje w sytuacji zagrożenia. Najpierw sądziłem, że Gunnar okłamał mnie przez przemilczenie, lecz potem pojąłem, że wolał, bym samodzielnie doszedł do prawdy.

- Co za zaślepienie... - skomentował lakonicznie Youssef, który nie krył już rozdrażnienia. Wstał i otworzył okno, jakby ta litania głupstw sprawiła, że powietrzem w pokoju nie dało się już oddychać.

- Musiałeś przechodzić ciężkie chwile - odezwała się Magawati, po raz kolejny usiłując załagodzić sytuację. - Jak zareagowali na twoją prośbę? Przyjęli cię z powrotem?

- Nawet lepiej, dali mi awans i wysłali do Akademii.

Opowiedziałem im o rocznym pobycie w Krasnojarsku, nie pomijając moich wędrówek ani trudności z ustosunkowaniem się do otoczenia. Na sam koniec nowina o wybiegu Gunnara kompletnie ich oszołomiła - i sprawiła, że odjęło im mowę.

Tym razem to ja zbliżyłem się do okna. Panujące na ulicy ożywienie przywodziło na myśl Córdobę. Słońce prawie całkiem schowało się już za masywnym budynkiem pobliskiego uniwersytetu; spacerowicze zaczęli obsiadać tarasy kawiarni, gdzie, sącząc drinki, wkrótce podejmą najdelikatniejszą decyzję dnia: w której restauracji zjeść kolację.

- Czemu nic nam nie powiedziałaś, Sliv? - zapytał głos za moimi plecami. Magawati.

- Bo było mi wstyd, oczywiście - odparłem, nie odwracając się. Na rogu placu drobna staruszka wystrojona w bejsbolówkę z olimpijskimi pierścieniami sprzedawała losy totolotka. To mi przypomniało, że nigdy nie poprosiłem Stephane'a, żeby mi opowiedział o roli, jaką odegrał przy wyborze Atlanty na gospodarza letnich igrzysk w 1996 roku.

- Kiedy teraz o tym myślę, kolekcjonowałem błędy niczym znaczki. Podczas rekrutacji nie zadałem Gunnarowi żadnych istotnych pytań. Wymyśliłem trzęsienie ziemi, kiedy kazano mi kontrolować źródła. Dałem się nabrać komediantowi amatorowi, który jadł palcami. Złożyłem, a potem wycofałem swoje wypowiedzenie i wreszcie przeżyłem rok, nie rozumiejąc nawet, że to niemożliwe, by Yakoub Khoyoulfaz jednocześnie zarządzał Operacjami Specjalnymi i czyścił sobie paznokcie majchrem. Przypominacie sobie tę dyskusję w Patagonii, gdy Youssef zadeklarował, że zrezygnuje, jeśli się dowie, że wywiedli go w pole? Wtedy się z nim zgadzałem, ale kiedy wybiła godzina prawdy, zachowałem się jak tchórz.

- Ja tak tego nie widzę - oświadczyła Magawati, podczas gdy ja nadal studiowałem trwający na ulicy spektakl.

- A ja naprawdę nie wiem, jak można to widzieć inaczej - rzekł Youssef, który pewnie żałował, że jeszcze nie tak dawno temu mi współczuł.

- Powinieneś być z nami o tym porozmawiać - ciągnęła Ma-gawati, ignorując uwagę Youssefa. - Przyjaciele pomagają, a nie osądzają.

- Przyjaźń zakłada szacunek - wymruczał Youssef pod nosem, ale tak, bym go usłyszał.

Odwróciłem się i wytrzymałem jego spojrzenie.

- Czego cię ta historia nauczyła? - spytał Youssef, wstając, by znaleźć się na tym samym poziomie co ja.

- Co masz na myśli? - chciała wiedzieć Maga.

- Przecież to proste! - huknął Youssef. - Sądził, że zabił człowieka, i wolał zadekować się na Syberii wraz ze swoimi współnikami, niż donieść na nich na policję, a wszystko po to, by ostatecznie odkryć, że jego przyszły szef nieźle się zabawiał jego kosztem. Myślę sobie, że nawet jeśli Sliv z natury nie wykazuje szczególnych skłonności do wyrzutów sumienia, to musiał wyciągnąć z tej przygody jedną czy dwie lekcje. Nieprawdaż, Sliv?

Jego agresywność była bolesna. Dla mnie, ale z pewnością również dla niego.

- Uznałem, że mój los nierozdzielnie złączony jest z losem KFR-u - odparłem. - Nadal będę wspinał się po szczeblach prowadzących do Komitetu Wykonawczego, mając nadzieję, że kiedy już dotrę na szczyt, cel działania KFR-u dorówna moim oczekiwaniom.

Youssef nie powstrzymał się przed szyderczym prychnięciem: -Wybacz, ale to najgłupszy wniosek, do jakiego mogłeś dojść!

- Youssef! - zawołała Maga.

- Taka prawda - kontynuował Youssef. - Serio, na co im było to całe przedstawienie? Nie słuchałeś poleceń LenyTborsen? Wielka mi rzecz! Twój kochany Gunnar mógł wsiąść w samolot i zjawić się u ciebie niespodziewanie, żeby ci wytłumaczyć, na jakie ryzyko twoja beztroska naraża organizację. Jesteś dosyć bystrym chłopcem, zrozumiałbyś przekaz.

- To by nie było to samo - zaprotestowałem. - Jestem dziś lepszym agentem.

- Już przedtem byłeś bardzo dobrym agentem - zripostował Youssef. Były to pierwsze miłe słowa, jakie padły z jego ust.

- No nie wiem - rzuciłem.

I to była prawda: nie wiedziałem. Dobry agent nigdy nie przedłożyłby własnej przyjemności nad bezpieczeństwo przyjaciół i kolegów.

- Kontrola umysłów to zawsze pierwszy krok na drodze do totalitaryzmu - ciągnął Youssef, który nigdy nie potrafił oprzeć się pokusie, by nadać swoim wybuchom złości teoretycznego charakteru. - Zaufajcie nam, zrobimy wam dobrze, choćby i wbrew waszej woli... To wszystko bzdury, jeśli chcesz znać moje zdanie!

- Djibo wygłosił dla nas dwadzieścia godzin wykładów o przyszłości ludzkości - odparowałem od razu. - Nie twierdę, że mogę się z tobą równać w kwestii myślenia konceptualnego, ale nie odniosłem wrażenia, żeby wprowadzanie powszechnej jednomyślności figurowało wysoko na liście priorytetów KFR-u.

Youssef ruszył w moją stronę ze swoimi stu dwudziestoma kilogramami mięśni. Cofnąłem się instynktownie, wyczuwając, że gotowy jest się na mnie rzucić.

- Pozbawili cię wolnej woli, Sliv, rozumiesz? Nic tego nie usprawiedliwia.

- Może nie byłem już w stanie z niej korzystać - odrzekłem, trochę za późno zdając sobie sprawę z absurdalności tej odpowiedzi.

Youssef odsunął się, spoglądając na mnie z przerażeniem. Potem odwrócił się gwałtownie i w trzech krokach znalazł się przy drzwiach mieszkania.

- Dokąd idziesz? - spytała Magawati.

- Dość już na dzisiaj usłyszałem - oświadczył Youssef, a później trzasnął drzwiami.

Znów usiadłem naprzeciwko Magi. Ta potyczka mnie oszołomiła.

- Teraz rozumiesz, dlaczego chciałem na początku zobaczyć się tylko z tobą - westchnąłem.

- Przepraszam - powiedziała Maga. - Kiedy oznajmiłeś, że przyjeżdżasz do Barcelony, nie mogłam się powstrzymać, żeby do niego nie zadzwonić. Wiesz, on ciężko zniósł twoje milczenie.

Nie tak ciężko jak ja, pomyślałem.

- A jednak Youssef ma trochę racji - podjęła łagodnie Maga. - Wydaje się, jakbyś cierpiał na syndrom sztokholmski, broniąc tych, którzy zadali ci ból.

- Możliwe - wymruczałem.

-1 nie chciałabym uciekać się do taniej psychologii, ale słuchając cię, pomyślałam sobie, że już straciłeś ojca. W głębi duszy nie byłeś może gotowy, by stracić też Gunnara.

Ponieważ nie reagowałem, dorzuciła:

-1 nie mam wątpliwości, że on nawet trochę to wykorzystał.

- A niech mnie, Maga, ty też zaczynasz? Łatwo ci mówić, bo sama masz rodziców i Youssefa!

Od razu pożałowałem tych słów. Ani przez chwilę nie wątpiłem w dobre intencje Magawati. Odezwała się ze smutkiem:

- Spotkaliśmy się dopiero dwie godziny temu, a już się kłócimy. ..

- Wiem - jęknąłem. -1 właśnie tego chciałem uniknąć...

- Ale może to część procesu zdrowienia, kto wie.

Przez kilka chwil milczeliśmy. Ostatnie promienie słońca wypełniały pokój niesamowitym światłem.

- A ty - zagadnąłem - jakie wnioski wyciągasz z całej tej historii?

- Masz na myśli: poza faktem, że Lena Thorsen to suka?

- Tak, poza tym, bardzo cię proszę. Nie czuję się na siłach, by wdawać się w dyskusję na ten temat, zwłaszcza z tobą.

- Wnioskuje z niej przede wszystkim, że KFR ma względem ciebie wielkie plany. Te wszystkie wybiegi, a wreszcie przyjęcie do Akademii... Zastanawiam się zresztą, czy Youssef nie jest odrobinę zazdrosny. Odnosi wrażenie, że praca na obecnym stanowisku przypomina wegetację. Mam nadzieję, że z tobą o tym porozmawia.

- Ja też mam taką nadzieję. Powiem mu, żeby wytrzymał. W Akademii wszystkie problemy nabierają innego wymiaru. A jeśli zostanie przyjęty do Planu, w końcu spotka rozmówców na swoim poziomie.

- Obyś miał rację - wymamrotała w zamyśleniu. Nagle podniosła się z miejsca.

- Dobrze, nie będziemy czekać na Youssefa - postanowiła. - Znam go, wróci dopiero jak już się położysz. Nakryjesz do stołu? Ja w międzyczasie upiczę coś na kolację.

Przeszliśmy to kuchni.

- Podoba ci się? - spytała Maga, widząc, że oddają się kontemplacji ściany wyłożonej płytkami azulejo.

- Jest wspaniała.

- To jeden z przykładów arabskiego dziedzictwa, znajdziemy ich całę mnóstwo w kulturze hiszpańskiej.

- Nie mówiłaś, w jaki sposób trafiłaś do Hiszpanii.

- Sama poprosiłam, żeby mnie tu wysłali. Biuro w Barcelonie zajmuje się sytuacją kobiet na świecie, a ten temat zawsze leżał mi na sercu. Poprosiłam o przeniesienie z początkiem dziewięćdziesiątego szóstego roku, kiedy afgańscy talibowie zaczęli zamykać szkoły dla dziewcząt w kontrolowanej przez siebie strefie. Nie można powiedzieć, by sytuacja jakoś szczególnie się od tamtego czasu poprawiła, ale przynajmniej mam wrażenie, że wnoszę swój wkład.

- Nie bardzo widzę, w jaki sposób KFR mógłby pomóc sprawie kobiet. Sfałszujecie konstytucję Arabii Saudyjskiej, żeby przyznać im prawo głosu?

Maga parsknęła śmiechem.

- Zeby Operacje Specjalne zwały nam się na głowę i zgotowały gehennę? Ja może dziękuję. Nie, pracujemy przede wszystkim nad reprezentacją kobiet w religijnej ikonografii. Weźmy na przykład stanowiska publiczne. Większość sunnitów uważa, że kobiety nie mogą sprawować funkcji politycznych, ponieważ Mahomet miał powiedzieć, że naród rządzony przez kobietę zdąża ku zagładzie. Stowarzyszenia feministyczne od dziesiątków lat na próżno usiłują racjonalnymi argumentami przekonać państwa arabskie, że kobiety dysponują takimi samymi zdolnościami co mężczyźni. Za to KFR woli upowszechniać wierzenie, wedle którego Prorok regularnie zasięgał rady swojej małżonki Aiszy w sprawach związanych z zarządzaniem miastem.

- A jednak - zacząłem - sędzę, że zwycięstwo miałoby słodszy smak, gdyby zostało osiągnięte na drodze rozumu.

- Typowo męska refleksja, jeśli wolno mi zauważyć. Niektóre z tych kobiet znajdują się w takim położeniu, że pragną zmian i mają gdzieś, co je spowoduje.

- Punkt dla ciebie - przyznałem z uśmiechem. - A co o tym myśli Youssef ?

- Mniej więcej to samo co ty, choć wiemy też, że dodatkowo mierzi go nasze wtrącanie się w życie Mahometa. Jakby talibowie nie interpretowali Koranu tak, jak im akurat pasuje.

- Widziałem was razem na sofie. Długo jesteście razem?

- Prawie pół roku.

- Nie pytam, czy to coś poważnego...

- A możesz mi wskazać coś, co w wykonaniu Youssefa poważne nie jest? - odparła z rozbawieniem.

Zjedliśmy we dwoje, siedząc w kuchni. Magawati zbombardowała mnie pytaniami o Akademię. Opisałem jej to dziwne uczucie, którego doświadczyłem, jakbym został odcięty od rodzaju ludzkiego. Wysłuchała mnie z uwagą, a później przedstawiła mi swoją analizę.

- To zabawne - stwierdziła. - Kiedy o tym mówisz, można odnieść wrażenie, że ograniczyłeś kontakt z kolegami z powodu ich naiwności i niedojrzałości. Tymczasem ja jestem przekonana, że w głębi duszy uważałeś, że to ty nie jesteś ich godzien.

Po kolacji Maga poszła spać. Rozmyślałem o jej uwadze, wyciągnięty na rozkładanej kanapie w salonie, kiedy usłyszałem przekręcany w zamku klucz Youssefa. Starał się nie hałasować. Zapaliłem światło i ściągnąłem z siebie okrycie.

Olbrzymia sylwetka Youssefa zamajaczyła w drzwiach.

- Miałem nadzieję, że już śpisz - oznajmił, siadając na skraju łóżka.

- Czekałem na ciebie.

- Chciałem cię przeprosić - rzekł tonem pełnym skruchy, z niezaprzeczalną szczerością.

- Nie masz za co przeproszać, Youssef - zaprotestowałem.

- Uznajmy, że nie mam, ale i tak to robię - odparł z uśmiechem. Żaden z nas nie wiedział, co powiedzieć. Wreszcie Youssef podjął:

- Bałem się o ciebie, rozumiesz? Bałem się, że naprawdę spotkało cię coś złego.

- Poprosiłem Gunnara, żeby wam przekazał, że mam się dobrze, chociaż to było kłamstwo.

- Naprawdę powinieneś być o tym z nami pogadać.

- Wiem - przyznałem po raz pierwszy. - Powinienem był do was zadzwonić jeszcze tego samego dnia. Potem zrobiło się już za późno. Im dłużej zwlekałem, tym większe czułem do siebie obrzydzenie. W Patagonii byłeś gotów rzucić wszystko w diabły z powodu tej afery z ropą, a ja, ja nie miałem odwagi, by odejść przez śmierć człowieka.

- Musiałeś okropnie cierpieć - powiedział Youssef. - Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co przeszedłeś.

Rozwarł przede mną ramiona. Jego uścisk okazał się tak silny, że przez chwilę zwątpiłem w szczerłość jego słów, podejrzewając, że próbuje mnie udusić.

- Rozumiesz - kontynuował, odsuwając się ode mnie - wolna wola to świętość. Możesz mnie głodzić, wtrącić do więzienia albo torturować, lecz nigdy nie pozbawisz mnie zdolności myślenia. I to właśnie mam im za złe - że zaciemnili twój osąd.

- Masz rację. Ale jednocześnie uważam, że Gunnar wiedział, co robi. Nigdy nie zastosowałby tej samej metody na przykład względem ciebie. Z pewnością zdawał sobie sprawę, że ja jestem bardziej elastyczny, bardziej plastyczny...

- Chcesz powiedzieć: mniej zasadniczy?

- To też - przytaknąłem z uśmiechem. - Tak czy owak, uznał, że wyjdę z tej próby niemalże bez szwanku. Fakty pokazują, że się nie mylił.

Youssef chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

- Idziesz ze mną do kuchni? Coś bym przekąsił. Ruszyłem za nim. Zabrał się do szykowania omleta, podczas gdy ja popijałem piwo.

- Wspomniałeś wcześniej o Djibie - odezwał się nagle. - Widziałeś się z nim znowu?

- W Akademii. Przyjechał wygłosić serię wykładów.

- Opowiadaj. Chcę wiedzieć wszystko.

Bez trudu spełniłem jego prośbę. Ostatnia prezentacja Djiba na zawsze wryła mi się w pamięć.

- Koniecznie muszę wstąpić do Planu - stwierdził w zamyśleniu Youssef, kiedy skończyłem. - Maga i ja wysłaliśmy wiadomość, w której informujemy, że żadne z nas nie zamierza pójść na Aka-



demie bez tego drugiego. To, rzecz jasna, działa na niekorzyść jednego z nas i obawiam się, że raczej Magi.

Nie podjąłem wątku. Miał, oczywiście, rację. Pociągnąłem długi łyk piwa, a później zmieniłem temat.

-Jest jeszcze coś, o czym wam nie powiedziałem. Jedynie sześciu członków Komitetu Wykonawczego zna cel KFR-u.

Ta rewelacja nie wywarła na Youssefie takiego wrażenia, jakiego się spodziewałem.

- O ile w tym wszystkim w ogóle jest jakiś sens. Czasami w to wątpię. Weźmy na przykład tę Inicjatywę w sprawie Ropy: otaczają mnie sami profesjonaliści, co jeden to mądrzejszy, zaczynamy odnotowywać pierwsze rezultaty, ale wciąż nie mogę pojąć, jaki zamysł za tym stoi.

-Jakiś na pewno - oświadczyłem, machinalnie bawiąc się pustą butelką. - Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej.

- KFR-owi zagrażają trzy niebezpieczeństwa: nierozwaga, zdrada oraz błąd. Zapamiętajcie sobie dobrze te pojęcia; odnajdziecie je u źródeł wszystkich spraw, którymi zajmują się Operacje Specjalne, zazwyczaj pojedynczo, czasem parami. Zaraz opowiem wam historię, która - co wyjątkowe - łączy w sobie wszystkie trzy.

Słuchając perorującego z dużą swobodą Yakouba Khoyoulfaza, po raz kolejny zadałem sobie pytanie, jak mogłem wziąć go za zabójcę. Poprzedniego wieczoru, gdy dotarłem do budynku mieszkalnego, znalazłem w swoim pokoju kosz owoców z przypiętą do niego wizytówką Khoyoulfaza oraz dopiskiem: „Mam nadzieję, że wakacje się udały”; dziś rano nalegał, by osobiście podać nam wszystkim herbatę w filiżankach z chińskiej porcelany. Albo był usłużny z natury, albo wcielał się w dżentelmena z taką samą łatwością, z jaką odgrywał brutala.

W istocie nie miało to wielkiego znaczenia. Rozpocząłem drugi rok z apetytem godnym pacjenta, który wierzył, iż cierpi na nieuleczalną chorobę, lecz właśnie się dowiedział, że lekarz postawił błędną diagnozę. Minęło kilka tygodni, zanim w pełni zdałem sobie sprawę z ważności ujawnionych przez Gunnara sekretów i fizycznie odczułem, jak niepokój zwalnia swój uścisk. Wsparcie przyjaciół w tym przejściowym okresie okazało się decydujące. Magawati ponownie wprowadziła mnie w świat przytulnej wesołości barce-łońskich barów tapas, podczas gdy Youssef, z którym wybrałem się później na dwutygodniową wędrowkę z plecakiem po Wietnamie, pomógł mi ujrzeć moją przygodę w kategoriach rytuału przejścia.

Skoro uwolniłem się od brzemienia winy, mogłem teraz, zdaniem przyjaciela, poświęcić się pogoni za świętym Graalem, to jest odkryciem celu KFR-u oraz znalezieniem własnego miejsca we wszechświecie. Ujmując to moimi własnymi, prostszymi słowy, wreszcie mogłem na nowo zjednać sobie przyjaciół i pokazać Komitetowi Wykonawczemu, na co mnie stać.

- Zaczniemy od nierozwagi - ciągnął Khoyoulfaz. - Komitet Wykonawczy już lata temu zrozumiał, że nie sposób precyzyjnie zdefiniować podobne pojęcie w organizacji, której członkom płaci się za podejmowanie skalkulowanego ryzyka. To dlatego wolą opierać się na klasyfikacji, która dowiodła już swojej skuteczności, a która dzieli agentów na trzy grupy: graczy, idealistów i krzyżowców.

Graczy napędza adrenalina. Podejmują więcej ryzyka niż pozostali, ponieważ poszukują czegoś, co wywrze ogromny wpływ i zapewni im miejsce w panteonie KFR-u. Zwykle są lepszymi scenarzystami niż fałszerzami, źle znoszą zależność hierarchiczną i w pogardzie mają dyrektywy Planu, uznając je za czynnik hamujący ich wyobraźnię. Mało ich obchodzi poprawa losu ludzkości, oceniają teczki z czysto estetycznego punktu widzenia i zabiliby własnego ojca, matkę, byle tylko ujrzeć jedno ze swoich dzieł na pierwszej stronie „Le Monde” czy „New York Timesa”. Niewielu z nich trafia do Akademii; zazwyczaj kończą jako agenci drugiej lub trzeciej klasy.

Lena zerknęła na mnie z ukosa. To prawda, że z wyjątkiem ostatniego punktu opis graczy zdawał się stworzony specjalnie dla mnie.

- Drugą grupę stanowią idealisci. Wstąpili do KFR-u, żeby zmieniać świat. Dla nich każdateczka służy zniesieniu niesprawiedliwości lub zwróceniu uwagi na jakąś społeczną dysfunkcję. Zawsze przedkładają wartość moralną scenariusza nad jego jakość. Dobrze dogadują się z przełożonymi, o ile ci podzielają ich przekonania. Prawie wszyscy lądują w Planie.

Youssef, pomyślałem natychmiast.

- I wreszcie krzyżowcy, najbardziej oddani KFR-owi. Czują się w obowiązku, by bronić naszej organizacji przed światem zewnętrznym, ale także przed jej własnymi demonami. Jako lepsi fał-

szerze niż scenarzyści, mają tendencję do tworzenia solidnych, acz pozbawionych wyobraźni teczek. Rzadko spotkacie ich na podium w Honolulu, ale regularnie zasilają szeregi studentów Akademii. Najlepsi dołączają do Głównego Inspektoratu, gdzie mogą bez reszty poświęcić się swojej pasji dla norm i procedur.

Tutaj odnalazłem pewne cechy charakterystyczne Leny. Ale ona była zbyt ambitna jak na Główny Inspektorat. Szykowała się na Komitet Wykonawczy i nic innego.

- Każdy agent w różnym stopniu wpisuje się w te archetypy. Wszyscy wstąpiliśmy do KFR-u dla dreszczyku emocji, wszyscy boimy się dekonspiracji i wszyscy wolimy - w każdym razie wtedy kiedy to możliwe - usuwać nierówności niż je utrzymywać. To proporcja występowania tych trzech podstawowych składników czyni nas wyjątkowymi; do tej pory nie natknąłem się nigdy na agenta, który byłby wyrzeźbiony z jednego bloku skały.

Muszę mu przedstawić Youssefa. Mój sudański przyjaciel przypominał monolit - w każdym znaczeniu tego słowa.

- Wkrótce zrozumiecie, że gracze są najbardziej podatni na uleganie nierozwadze, przez co narażają KFR na niebezpieczeństwo. Nawet najlepsi gracze czasami przegrywają, tyle że w naszym wypadku każda porażka stwarza zagrożenie dla tysięcy jednostek. Oto węzeł gordyjski naszej organizacji: potrzebujemy graczy, ale w każdej chwili mogą nas oni kosztować życie. Właśnie dlatego staramy się minimalizować ryzyko, które sobą reprezentują, umieszczając ich pod skrzydłami doświadczonych opiekunów prowadzących albo i pod nadzorem Głównego Inspektoratu.

Czasami wmawiamy im nawet, że mają na sumieniu śmierć człowieka, uzupełniłem w myślach. Natychmiastowy efekt gwarantowany.

- Ale gdybyśmy musieli martwić się jedynie nierozważnymi agentami, praca w Operacjach Specjalnych byłaby fraszką. Niestety, regularnie stawiamy czoła przypadkom zdrady, które na swój sposób są jeszcze poważniejsze. Nie mówię tu o pomniejszych szantażystach, którzy oczyma duszy już widzą się na wyczekiwanej emeryturze i sądzą, że KFR gotowy jest kupić ich milczenie za cenę złota. Mówię o agentach, którzy - najczęściej dla własnego zysku - wy-

korzystują swoje falsyfikatorskie talenty w sprawie nie zatwierdzonej uprzednio przez naszą organizację, jak ten agent ze Stuttgartu, który zlecił fałszerzowi nazwiskiem Konrad Kujau wykonanie notatników Fiihrera, a następnie sprzedał je magazynowi „Stern” za dziesięć milionów marek, albo jak ten Amerykanin, który doniósł na nas do FBI i którego *in extremis* udało nam się zamknąć w szpitalu psychiatrycznym...

Khoyoulfaz, widząc, że zadrzałem, posłał mi uśmiech. Aż za dobrze wyobrażałem go sobie w białym fartuchu, demonstrującego skany mózgu i tłumaczącego, że przyczyną schizofrenii u jego pacjenta był upadek z konia w okresie dojrzewania.

- Ale nie będę się dłużej rozwodził nad tą kwestią - podjął Khoyoulfaz. - Do radzenia sobie z przypadkami zdrady będziecie wykwalifikowani dopiero po ukończeniu Akademii.

Szkoda, pomyślałem, te są prawdopodobnie najciekawsze. A także wymagają od Operacji Specjalnych zastosowania najmniej honorowych metod, co tłumaczyłoby rezerwę Khoyouffaza.

- Błędy - kontynuował ten ostatni - to bezkonkurencyjnie najpopularniejsza przyczyna naszych interwencji. Bez trudu odgadnicie, jakie zdarzają się najczęściej: demaskacja źródła odniesienia, sprzeczne modyfikacje, przesadna szczegółowość...

- Niezgodności historyczne, fizyczne niemożliwości, niezdarne fałszerstwa... - uzupełniła Lena, spoglądając na mnie, jakby chciała mi przypomnieć, że w Córdobie dopuściłem się każdego z tych uchybień po kilkanaście razy.

- Wszyscy popełniamy błędy - zauważył Khoyoulfaz, nieświadomie przychodząc mi na ratunek. - Nie ufajcie agentom, którzy mają się za nieomylnych: ponieważ są zbyt dumni, żeby wezwać posiłki, próbują rozprawić się ze swoimi pomyłkami samodzielnie i zazwyczaj skutek jest taki, że jedynie pogarszają sprawę. To tym większa głupota, że nam udaje się natychmiastowo rozwiązać dziewięćdziesiąt dziewięć procent zgłaszanych problemów. Zresztą to, co nazywamy „błędem”, wynika czasem ze zwykłego pecha: na przykład jakiś historyk odkrywa nowe źródło, którego nie mogliście sfalszować - z tego prostego powodu, że nie wiedzieliście o jego istnieniu.

W obliczu błędu mamy tak naprawdę tylko trzy opcje: poprawkę, porzucenie oraz przeróbkę scenariusza. Poprawka stanowi, oczywiście, preferowane rozwiązanie, ale nie zawsze jest to możliwe. Weźmy podręcznikowy przypadek: dzwoni do nas młody agent, który zdał sobie sprawę, że zapomniał wpisać daty urodzin jednej ze swoich postaci do państwowego rejestru.

- Pff! - prychnęła pogardliwie Lena, jakby Khoyoulfaz właśnie obraził jej inteligencję.

- A jednak - właśnie tego rodzaju sprawami zajmujemy się na co dzień - ciągnął Khoyoulfaz. - Waszym pierwszym odruchem będzie wykonanie telefonu do Berlina, który pod stołem opłaca tysiące urzędników administracyjnych na całym świecie. Najczęściej załatwią za was tę sprawę, ale nie zawsze.

- Co mogłoby im w tym przeszkodzić? - spytał Ichiro.

- Fakt, że rejestr trzyma się w sejfie albo strony są ponumerowane, a wpisy wprowadzane zbyt ciasno, by zmieścił się między nimi jakiś nowy. Wtedy będziecie musieli się zastanowić, czy nie lepiej zostawić wszystko tak, jak jest.

- Porzucić sprawę? - upewniła się Lena niedowierzającym tonem.

- Czasami to najlepsza decyzja - wyjaśnił Khoyoulfaz. - Bo czym tak naprawdę ryzykujemy? Nawet w przypadku kontroli - a tak szczerze, kto grzebie w dokumentach urzędu miejskiego? - historycy odnotują brak i wysnują najróżniejsze hipotezy: czyżby nasz bohater okazał się dzieckiem nieznanymi rodziców? A może zmienił tożsamość, by uniknąć powołania do wojska lub uciec przed natrętną małżonką? Przy odrobinie szczęścia ta niejasność nawet się teczce przysłuży.

- Szczęście... - powtórzyła Lena ze wzgardą.

- Właśnie tak - odparł Khoyoulfaz, prawie nie zauważając jej irytacji. — Nasze zadanie nie polega tu na niczym innym, jak tylko na ocenie prawdopodobieństw, wbijcie to sobie do głowy raz na zawsze. Jeśli wstrzymanie się od działania wydaje się mniej ryzykowne niż nocna wyprawa z włamaniem do Archiwum Państwowego - wtedy nie robicie nic, ja wam to mówię.

- Wspomniał pan o trzeciej opcji... - odezwał się, by rozluźnić atmosferę.

- Tak, dziękuję, Sliv. Jeśli nie uda się wam naprawić błędu, a nie chcecie zdawać się na łut szczęścia, zawsze możecie przerobić scenariusz, innymi słowy: obmyślić jego nową wersję, która wyjaśni błąd zamiast go usunąć. Ciągłe na tym samym przykładzie: możecie umieścić akt urodzenia w rejestrze pobliskiej miejscowości uzdrowiskowej i oznajmić, że matka wybrała się tam, by odpocząć przed porodem. Zwracam jednak waszą uwagę na fakt, że jak w przypadku każdego scenariusza, to rozwiązanie będzie wymagało rygorystycznie przeprowadzonej falsyfikacji, może nawet trudniejszej niż przy teczce początkowej. Ale to nie powinno was zrażać, prawda, Leno?

Thorsen się zaczerwieniła, ale nie otworzyła ust. Ichiro uśmiechnął się uprzejmie. Jeśli chodzi o mnie, delectowałem się zakończeniem przemowy Khoyoulfaza. Dyrektor Operacji Specjalnych nie wymienił fizycznej eliminacji jako strategii dopuszczalnej podczas naszych interwencji. Jedynie z kwestią zdrady rozprawił się trochę za szybko, jak na mój gust, może dlatego, że w tych wyłącznych przypadkach KFR pozwalał sobie na usuwanie przeciwników. Czy byłem gotów to zaakceptować? Musiałem to przemyśleć.

- Nie ma pytań? - zagadnął Khoyoulfaz. - No to czas na pewną historię: znam ją od jednego z jej bohaterów, Turka Memeta Okura, który uczył mnie przed dwudziestoma pięcioma laty w Hamburgu. W wieku osiemdziesięciu paru lat nic nie sprawiało temu byłemu dyrektorowi OS większej przyjemności niż dzielenie się swoimi doświadczeniami ze studentami. On sam przeszedł szkolenie w latach dwudziestych, w czasach, gdy KFR, będący wówczas organizacją bardziej scentralizowaną i mniej biurokratyczną, nie wahał się powierzać młodym agentom ogromnych odpowiedzialności. Okur dopiero co został skaptowany przez Operacje Specjalne - Akademia jeszcze wtedy nie istniała - gdy jego szef wysłał go do Londynu, by na miejscu, jak to ujął, wyjaśnił sprawę listu Zi-nowjewa.

Okur był w szoku. List Zinowjewa od kilku tygodni stanowił główny temat rozmów, a on ani przez chwilę nie podejrzewał, że KFR mógł maczać w tym palce. Tak z ciekawości, czy któreś z was zna główne wątki tej afery?

Ja słyszałem o niej po raz pierwszy. Rzut oka na Lenę i Ichiro upewnił mnie, że dzielają moją ignorancję.

- Zastanawiam się, czego oni was uczą na tej Akademii - wymruczał pod nosem Khoyoulfaz. - W roku tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym, zaledwie cztery dni przed wyborami parlamentarnymi, brytyjski dziennik „The Daily Mail” opublikował list napisany rzekomo przez Grigorija Zinowjewa, ówczesnego lidera radzieckiego Kominternu, i skierowany do komitetu centralnego brytyjskiej partii komunistycznej. Zinowjew wzywał w nim swych angielskich towarzyszy do zorganizowania zamieszek społecznych w celu przygotowania rewolucji, która pewnego dnia zniszczy dominującą burżuazję. Z punktu widzenia rządu laburzystów odezwa nie mogła się ukazać w gorszym momencie. Od kilku miesięcy trwały bowiem prowadzone pod kierunkiem premiera Ramsaya MacDonalda negocjacje dotyczące traktatu pokojowego z Rosją, na przekór życzeniom posłów Partii Konserwatywnej, którzy z zasady odrzucali przymierze z państwem radzieckim. List Zinowjewa, który w jednej chwili ukazał motywacje Związku Radzieckiego w jasnym świetle, rzucił nie lada cień na politykę rządu, tym bardziej że Zinowjew odczekał parę tygodni, nim zdementował pogłoskę, jakoby miał być autorem wiadomości. Chociaż MacDonald publicznie podważał autentyczność listu, nie udało mu się odwrócić powstałej tendencji, co skończyło się miażdżącą klęską laburzystów przy urnach. W miesiąc później nowy rząd konserwatywny opowiedział się przeciwko ratyfikacji angielsko-radzieckiego traktatu.

Tak jak pewnie wy teraz, Memet O kür dopuszczał kilka możliwości. List mógł być oczywiście autentyczny, gdyż w tamtych czasach Komintern znano z tego, że wspierał logistycznie oraz finansowo europejskie partie komunistyczne. Ale Okur prędko doszedł do przekonania, że list to fałszerstwo. Zinowjew podpisywał się w nim jako Przewodniczący Prezydium Komitetu Wykonawczego Kominternu, podczas gdy w rzeczywistości pełnił funkcję Przewodniczącego Komitetu Wykonawczego. Zresztą, w innym fragmencie tekstu mówił o III Międzynarodówce Komunistycznej, którego to określenia używali wówczas wyłącznie ludzie Zachodu. Skoro Zinowjew nie był autorem listu, to kto, waszym zdaniem, go napisał?



- Brytyjscy konserwatyści pragnący skompromitować MacDonalda?
- zasugerowała Lena.
- NKWD, żeby zasiać zamęt w Wielkiej Brytanii? - poddał Ichiro.
- My? - strzeliłem.

Khoyoulfaz z satysfakcją powiódł po nas wzrokiem.

- Można by powiedzieć, że się co do was nie pomyliłem - rzekł z uśmiechem. - Okur przedstawił właśnie te trzy hipotezy swojemu przełożonemu, który wysłuchał go z uwagą, a następnie oznajmił, że wie, kto jest winowajcą: agent KFR-u nazwiskiem Phillip Murray ze stacji w Birmingham. Murray, agent drugiej klasy specjalizujący się w ruchach rewolucyjnych, założył się z kolegą o sto funtów, że w najbliższych wyborach parlamentarnych zwyciężą konserwatyści. A ponieważ na miesiąc przed głosowaniem laburzyści wciąż mieli pewne szanse na wygraną, obmyślił plan z listem Zinowjewa. Jako wielki znawca komunizmu bez trudu uderzył w odpowiedni ton, popełnił jednak dwa błędy techniczne, które w późniejszym czasie zwróciły uwagę ekspertów odpowiedzialnych za ocenę autentyczności dokumentu. Pozostawało znaleźć sposób na rozpowszechnienie listu: Murray dogadał się z agentem specjalnym najwyższej klasy z biura w Manchesterze, który z powodów ideologicznych - nie cierpiało laburzystów - zgodził się przekazać kopię wiadomości brytyjskim tajnym służbom, gdzie ktoś zaaranżował jej wyciek do „Daily Mail”.

Zważcie, że Murraya pewnie nikt nigdy by nie niepokoił, gdyby nie zainsynuował, mając się za spryciarza, że w celu wygrania zakładu nieco dopomógł szczęściu. Jego kolega, podejrzewając jakąś nieuczciwą sztuczkę, zawiadomił Operacje Specjalne, które wszczęły śledztwo.

Okur uwielbiał opowiadać tę historię, gdyż łączy ona w sobie wszystkie zachowania, które uzasadniają istnienie Operacji Specjalnych.

Po pierwsze - nierozwagę, uosabianą przez tego kretyna Murraya, który gotów był odmienić bieg Historii, byle tylko wygrać zakład - dochodzenie ujawniło zresztą, że grywał na wyścigach konnych i że Główny Inspektorat już rok wcześniej umieścił go pod obserwacją. Po drugie, mamy zdradę w wykonaniu agenta z Man-

chesteru, który naraził KFR na dekonspirację, bo nie lubił Ramsaya MacDonalda. I wreszcie, po trzecie, błędy, które nieuniknienie wślizgują się do teczki, której nikt nie sprawdza.

A na ironię losu zakrawa fakt, że Murrayowi mimo to udało się doprowadzić do porażki laburzystów. Nigdy się nie dowiemy, czy w przeciwnym razie MacDonald zostałby ponownie wybrany, lecz wszyscy historycy uznają, że list Zinowjewa mocno zaważył na ostatnich dniach jego kampanii.

- Ale jaką rolę odegrał Okur, skoro jego szef znał już winnego? - chciałem wiedzieć. Ichiro kiwnął głową. Zadawał sobie to samo pytanie.

- Powierzono mu przeróbkę scenariusza - odparł Khoyoul-faz, który, widać było, nigdy nie miał dość opowiadania tej historii. - Zastanówcie się. O poprawkach nie było już mowy: list został przecież opublikowany. Porzucenie sprawy nie wchodziło w rachubę: i angielskie, i rosyjskie tajne służby zdążyły otworzyć śledztwo. Pozostawało tylko jedno rozwiązanie: dostarczenie śledczym wiarygodnego winowajcy, którego jednak nie dałoby się pochwycić. Nie domyślcie się, o kogo chodzi?

- O przedstawicieli białej emigracji? - zasugerował Ichiro. Khoyoulfaz na kilka sekund oniemiał z wrażenia.

- Strzał w dziesiątkę. Okur wykoncypował sobie, że owych rosyjskich monarchistów, którzy uciekli przed radzieckim reżimem, oburzyła wieść, iż Anglia negocjuje traktat pokojowy z bolszewikami, wobec czego zatrudnili nadbałtyckich fałszerzy do napisania listu Zinowjewa. Podrzucił parę wskazówek tu i tam: telegramy między różnymi podgrupami białej emigracji rozsianymi po wielkich europejskich stolicach, ślady płatności dla litewskiego pośrednika, na wpół zatarta notka ujawniająca, jaką drogą list trafił do MI5. Ten ostatni dokument, którego jedyny cel stanowiło zniechęcenie brytyjskich tajnych służb do zbyt ochoczego popychania śledztwa naprzód, wspaniale spełnił swoje zadanie. Skandal związany z listem Zinowjewa przycichł, a KFR-u nigdy nie niepokojono.

- A Murray? - spytałem.

- Ach, tak, Murray - powtórzył Khoyoulfaz, jakby nazwisko sprawcy całego zamieszania przypomniało mu się zupełnie znie-

ka. - To Okur negocjował z nim warunki jego odejścia. Uzgodnili, że złoży dymisję. Sądzę, że zachowałby prawo do emerytury, lecz ostatecznie zrzekł się jej, gdy Okur pokazał mu inny list: skierowany do towarzysza Zinowjewa i ujawniający tożsamość człowieka, który, podszywając się pod niego, storpedował traktat angielsko-rosyjski. Bo widzicie, w kwestiach dyscypliny Sowietów się nie patyczkowali. A tak swoją drogą, zastanawiam się, czy ten imbecyl dostał swoje sto funtów - dorzucił w zamyśleniu.

Yakoub Khoyoulfaz nie wierzył w lekcje teoretyczne. „To dobre dla kujonów z Głównego Inspektoratu” - mawiał żartobliwie. Sam był zagorzałym zwolennikiem nauczania poprzez rzucenie studenta na głęboką wodę. Po dwóch tygodniach komandoskiego przeszkolenia w Krasnojarsku wypchnięto mnie ze spadochronem na pierwszą misję w Szwecji. Niklas Sundström, dyrektor sztokholmskiego biura, potrzebował pomocy przy uporządkowaniu teczki traktującej o nastoletniości Augusta Strindberga, w której biografowie zwykle zajmujący się tym wielkim człowiekiem zaczęli dopatrywać się sprzeczności. Sundström zgodnie z regulaminem zaalarmował Komitet Wykonawczy, jedyny organ uprawniony do wezwania Operacji Specjalnych.

W poniedziałek rano zgłosiłem się do Sundströma, który przyjął mnie z otwartymi ramionami. Ku mojemu ogromnemu zdumieniu, przedstawił mnie swojemu zespołowi jako „mesjasza z Krasnojarska”. Po pełnych ulgi minach jego współpracowników poznałem, że w jednostkach postrzegano Operacje Specjalne zupełnie inaczej, niż bym się tego spodziewał. Agenci terenowi wcale nie widzieli w nas sędziów czy cenzorów, wręcz przeciwnie, uważali nas za nieomylnych magików zdolnych sprawić, że problemy powstałe w wyniku ich własnej niezdarności po prostu znikną. W konsekwencji rozwijali przed nami czerwony dywan, rezerwowali pokoje w najlepszych hotelach i nadstawiali ucha na nasze najdrobniejsze zachcianki.

Uwielbiałem te krótkie misje - zwykle nie trwały dłużej niż kilka dni - podczas których lądowałem w nieznanym kraju, kaza-

lem sobie wytłumaczyć sytuację i natychmiast przystępowałem do pracy. Problematyka bywała niewiarygodnie zróżnicowana, tak jeśli chodzi o tematy, jak i o obierane sposoby postępowania. Pamiętam na przykład pobyt w Minneapolis (gdzie zimy prawie w niczym nie ustępują tym syberyjskim), w czasie którego w ciągu jednego weekendu przerobiłem przy pomocy dwóch młodych agentów całą politykę sanitarną Lesotho. Szybko robiłem postępy, jakby wszystkie poprzednie doświadczenia miały jedynie na celu przygotowanie mnie do wykonywania tego zawodu. Widziałem teraz wyraźniej, co dała mi praca w Córdoba; od razu dostrzegałem błędy w prezentowanych mi teczkach i bez wahania określałem, z jakim prawdopodobieństwem mogą zostać odkryte. Parę telefonów wystarczało mi zwykle, by ocenić skalę niezbędnych napraw. Mimo że z natury bardziej skłaniałem się ku przerabianiu scenariuszy niż wprowadzaniu w życie poprawek, nie pozwalałem już, aby moje postępowanie było podyktowane osobistą przyjemnością. Rekompensatę stanowiło poczucie satysfakcji, jakiego doświadczałem za każdym razem, kiedy zamykałem sprawę: ja, który jeszcze niedawno narażałem tę organizację na szwank, stałem się teraz jej najbardziej sumiennym i wcale zdolnym obrońcą.

Nowa posada niosła też ze sobą nie mniej istotny aspekt towarzyski. Moja sieć kontaktów rosła w oczach. Doskonale wyczuwałem, że gdziekolwiek bym się udał, moja reputacja mnie wyprzedza, i że rozmówcy niezmiennie starają się zyskać moją aprobatę. Ponieważ szefowie jednostek tradycyjnie zapraszali wizytujących agentów Operacji Specjalnych do swojego stołu, dyskutowałem jak równy z równym z dyrektorami biur starszymi ode mnie o dwadzieścia czy trzydzieści lat.

Oczywiście nie pracowałem sam. Zawsze towarzyszyłem jakiemuś bardziej doświadczonemu agentowi, zwykle najwyższej klasy, który - choć ściśle nadzorował moje poczynania - chętnie przekazywał mi swoją część obowiązków, żeby móc pogawędzić z dawnymi znajomymi. Wcale się z tego powodu nie obrażałem: byłem młody i musiałem jeszcze wiele się nauczyć. Zresztą od tych weteranów oczekiwałem czegoś innego: że podzielą się ze mną swoim doświadczeniem. Niektórzy mieli na koncie kilkaset misji i mogli

mnożyć anegdoty całymi godzinami. Uwielbiałem skłaniać ich do mówienia o samym konsorcjum, o tym, w jaki sposób rola Operacji Specjalnych ewoluowała w czasie albo o sztywnym podziale władzy pomiędzy naszym organem a Komitetem Wykonawczym. Dzięki nim dowiedziałem się w ciągu tych pierwszych sześciu miesięcy w OS więcej niż przez pierwsze pięć lat razem wziętych.

Dwukrotnie spotkał mnie ogromny przywilej trafienia do zespołu z Khoyoulfazem, który swoją uprzejmością dosłownie podbił moje serce. Dla niego KFR był jedynie idea; liczyli się mężczyźni i kobiety, którzy go tworzyli. „Nasza organizacja” - wyjaśnił - „liczy nie więcej niż kilku tysięcy członków. Jeśli dysponuje się cierpliwością oraz dobrą pamięcią, istnieje możliwość poznania prawie wszystkich”. Sprawiał wrażenie, że wszędzie czuje się jak w domu. Widziałem, jak w Kongu jadł małpę, a w Bangkoku szarańcze. Starannie dobierał dla nas misje. Pierwsza, szczególnie kłopotliwa, przerosła moje kompetencje i dała mi pojęcie o jego zawodowym obyciu. Druga okazała się trywialna, mieliśmy więc czas, by powrócić do jego numeru aktorskiego z Córdoby. Doceniłem bystrość szefa Operacji Specjalnych, kiedy zauważył coś, do czego sam przed sobą nie ośmielałem się przyznać, a mianowicie, że musi minąć kilka lat, zanim całkowicie pozbędę się wspomnienia tamtego dnia. „Lena pogrzebała je na dnie pamięci, ale widzę, że ty nie chcesz zapomnieć. Dobrze, że się znamy. Postaram się, żebyś jeszcze podczas pobytu w Krasnojarsku spotkał się z Jonesem”.

Problem polegał na tym, że obecnie nieczęsto ściągałem na Syberię. Świat stał się moim domem. Ponieważ żyłem w samolotach, całkiem naturalne mi się zdawało, że w czwartek kończę misję w Karaczi, a w poniedziałek zaczynam nową w Brisbane. Gdy tylko się dało, fundowałem sobie parę dni zwiedzania, wobec czego prawie nigdy nie lądowałem po drodze w Akademii. To niestety oznaczało, że nigdy nie nadrobiłem straconego na pierwszym roku czasu, który powinienem był spędzić z pozostałymi studentami. Luis Carildo nadal będzie mnie postrzegał jako samotnego kowboja i musiałem przyznać, że trochę mnie to smuciło. Od czasu do czasu dzwoniłem do Stephane'a Brionceta, któremu monotonię posady w Dziale Kadr osładzało wciąż całkiem nowe szczęście małżeńskie.

Lenę widziałem w tym roku tylko raz. Przybyłem zaraz po niej do Mediolanu, gdzie przyspiliła jakiegoś żartownisia, który w ramach zabawy naprowadził włoską policję na trop wymaginowanych mafiosów. W niespełna tydzień zraziła do siebie całe biuro.

Z początkiem grudnia Khoyoulfaz powierzył mi pierwszą samodzielną misję. W przeciwieństwie do większości teczek, które wymagały natychmiastowej interwencji, ta nie przedstawiała się jako sprawa szczególnie pilna i można było się nią zająć z Krasnojarska. KFR-owi nie groziło jeszcze niebezpieczeństwo wykrycia, ale jeden ze scenariuszy, powstały w latach pięćdziesiątych, zewsząd docze-kiwał się teraz krytyki, istniało więc ryzyko, że projekt się posypie.

Zabrałem się do lektury teczki, która składała się z ponad tysiąca stron. Niedługo po drugiej wojnie światowej norweski agent trzeciej klasy, Ole Gabriel Hagen, wbił sobie do głowy, że przekona świat, iż Wikingowie odkryli kontynent amerykański kilka wieków przed Krzysztofem Kolumbem. Było to całkiem wiarygodne: Wikingowie odkryli Islandię w 870 roku, a w X wieku skolonizowali Grenlandię; stąd tylko krok dzielił od przypuszczenia, że mogli dopłynąć aż do Ameryki. Zresztą wiele skandynawskich legend wspomina o podobnej odysei. Ale w roku 1950 żaden historyk nie traktował ich poważnie.

Notatki Hagen, z pietyzmem przechowywane w archiwach KFR-u, nie rzucały wiele światła na jego intencje. Oficjalnie Hagen chciał przypomnieć Stanom Zjednoczonym o długu, jaki mają wobec Europy (w okresie, gdy plan Marshalla pozwalał im wierzyć, że już go spłaciły), przy okazji zaś podkreślał korzyść, jaką będzie dla KFR-u możliwość odwoływania się do postaci z mitologii nordyckiej w celu wytłumaczenia amerykańskich idiosynkrazji. Podejrzywałem, że prawdziwe wyjaśnienie okazałoby się bardziej prozaiczne: Hagen był nałogowym graczem (jego osobistą teczkę zdobiły liczne cytaty z Głównego Inspektoratu), który zafascynował się Wikingami w dniu, kiedy odkrył, że pochodzi w niemal prostej linii od sławnego wojowniczego władcy Haralda Sinozębego.

Plan Hageny był prosty jak budowa cepa: należało sprawić, że Ameryka pojawi się na *mappa mundi* sprzed 1492 roku. Przedsięwzięcie stanowiło dla niego projekt życia i nie zamierzał zaniedbać

żadnego aspektu. Najpierw próbował zdobyć - nieoficjalnymi kanałami - bardzo stary, niezapisany pergamin, ale wszystkie kawałki, które mu dostarczano, okazywały się albo już wcześniej używane, albo zbyt świeże. W roku 1951, po trzech latach poszukiwań, posunął się do nabycia za pośrednictwem pewnej organizacji religijnej zbiorów bibliotecznych andaluzyjskiego klasztoru z tego jedynie względu, że znajdowało się wśród nich parę zwojów pergaminu z baraniej skóry datowanych na pierwszą połowę XV wieku.

Tworzenie *mappa mundi* było wysiłkiem zbiorowym. Hagen koordynował prace pięciu kartografów specjalizujących się w średniowieczu, na żadnym etapie nie zdradzając im, oczywiście, do czego zamierza wykorzystać wspólne dzieło. Dokonał kilku mocno dyskusyjnych wyborów, stosując się do dwóch nadrzędnych zasad: przedstawienie Europy, Afryki oraz Azji musiało w największym możliwym stopniu odpowiadać innym dokumentom z tamtej epoki, co niebezpośrednio miało uwiarygodnić obecność Ameryki; mapa musiała też zawierać pewne elementy zaczerpnięte z legend skandynawskich (co Lena w swojej pedanterii nazwałaby „czynnikami potwierdzającym”).

Najlepszy fałszerz KFR-u - Grek nazwiskiem Kandalis, którego syna zatrudniłem przed trzema laty w Córdoba - zajął się praktyczną realizacją projektu. Zmarnował trzy płachty pergaminu, nim Hagen uznał, że rezultat go zadowala. Norweg nie pozwolił sobie, rzecz jasna, na ukazanie Ameryki w kształcie, jaki znamy obecnie. Narysował owalną wyspę ciągnącą się z północy na południe, o rozmiarach mniej więcej połowy Europy, obok której zamieścił łaciński tekst znaczący w przybliżeniu: „Z woli Boga, po długiej podróży z Grenlandii ku najdalszym zakątkom Oceanu Zachodniego, nawigując na południe wśród lodów, dwaj druhowie, Bjarni oraz Leif Eriksson, odkryli nieznaną ląd, niezwykle żyzny i porośnięty winoroślą, który nazwali Winlandią”. Uśmiechnąłem się, czytając te linijki, nawiązywały one bowiem do dobrze znanej islandzkim uczniom legendy spisanej w *Sadze o Eryku Rudym*.

Hagen, który wiedział, że jego dzieło zostanie skrupulatnie zbadane, stwierdził, że mapa wyda się bardziej wiarygodna, jeśli pojawi się w towarzystwie innych, prawdziwie autentycznych oka-



zów. Szczęśliwym trafem KFR posiadał w swojej kolekcji - z którą zetknąłem się tu po raz pierwszy i o którą zamierzałem wypytać Khoyoulfaza - bezcenny manuskrypt: kodeks pod tytułem *Historia Tartarorum* {*Historia Tatarów*} relacjonujący podróż franciszkańskiego mnicha, Jana di Piano Carpiniego, do chana Karakorum w okolicach 1245 roku. W płomiennym liście noszącym datę 12 stycznia 1953 Hagen błagał Komitet Wykonawczy, by pozwolono mu połączyć historię Tatarów i mapę Winlandii w jedną całość.

Ugrał sprawę wiosną 1953 (podpis widniejący u dołu pisma ze zgodą okazał się, oczywiście, nieczytelny). W roku 1957 mapa Winlandii pojawiła się u genewskiego antykwariusza, następnie przeszła przez ręce kilku właścicieli, w tym marszanda Laurence'a C. Whittena oraz filantropa Paula Mellona, który ostatecznie, w 1965 roku, podarował ją Uniwersytetowi Yale w atmosferze wielkiego rozgłosu. Yale niezwłocznie zwrócił się do doktora Raleigha Ashlina Skeltona, emerytowanego brytyjskiego kartografa, którego raport potwierdzający autentyczność dokumentu przyniósł dwie nieoczekiwane konsekwencje: Yale ubezpieczył mapę Winlandii na skromną sumę dwudziestu pięciu milionów dolarów, a Ole Gabriel Hagen otrzymał awans na agenta specjalnego najwyższej klasy.

Hagen nie rozkoszował się jednak swoim tryumfem długo. W roku 1972 inny doktor, Walter McCrone, zbadał atrament mapy i wykazał obecność śladów anatazu, skryzalizowanej odmiany dwutlenku tytanu, przed XX wiekiem nieznanego. Jakby od lat czekali na ten znak, liczni historycy wyszli z cienia, wymieniając nieścisłości dokumentu. Powszechnie szacuje się, że pierwszy rejs dookoła Grenlandii odbył się w roku 1990; jak to więc możliwe, że mapa Winlandii przedstawia Grenlandię w niemal całkowicie dokładnych kształtach i rozmiarach? Również lingwistom nie brakowało argumentów. W tekście łacińskim kilkakrotnie pojawiał się dyftong podczas gdy piętnastowieczni kopiści zadowalali się użyciem zwykłego „e”; a poza tym, nigdy nie zlatynizowaliby nazwiska „Eriksson” na „Erissonius” - ten zwyczaj pojawił się dopiero w XVII wieku.

Wobec lawiny zgodnych zastrzeżeń kuratorzy z Yale ostrożnie się wycofali, ogłaszając, iż przychylą się do dominującej opinii: mapa Winlandii to fałszerstwo. Hagen przyjął ten nagły przewrót

niczym zdradę. W swoim dzienniku (załączonym do teczki) atakował tchórzostwo „tych akademików, którzy zawsze przytakują ostatniemu mówcy”. W latach osiemdziesiątych zaczął tracić rozum. Raport medyczny przygotowany na zlecenie Głównego Inspektoratu stwierdza, że w ostatnich latach życia Hagen tak zaangażował się w swoją sprawę, iż zdarzało mu się zapominać, że od początku istniała ona wyłącznie w jego wyobraźni. Popełnił samobójstwo w roku 1990, kiedy dowiedział się, iż Yale wypożyczył mapę Winlandii British Muséum na wystawę zatytułowaną „The Fake Exhibition”, a więc prezentującą fałszywki. Mapę umieszczono tam na honorowym miejscu, tuż obok Całunu Turyńskiego.

Yale mógł się ugiąć, ale KFR pozostał lojalny wobec swoich. Jeden ze współpracowników i przyjaciół Hageny z biura w Oslo, Svein Jacobsen, ogłuszony jego śmiercią, wyznaczył sobie szalony cel: sprawić, by mapa Winlandii ponownie została uznana za autentyczną. Poprosił o wsparcie Operacje Specjalne. Khoyoulfaz nie miał serca odmówić. KFR przeznaczył znaczne środki na bezprecedensową operację dywersyjną. Podstęp częściowo zadziałał: w 1992 roku Thomas Cahill, amerykański historyk, oznajmił, że wykrył anataz w paru innych średniowiecznych manuskryptach, których autentyczność nie podlegała żadnej dyskusji; dodał jednak, że anataz na mapie Winlandii był innego pochodzenia, prawdopodobnie syntetycznego. Mimo to kilku historyków na nowo uwierzyło w odyseję Leifa Erikssona; pamięć Olego Gabriela Hageny została tymczasowo uratowana.

Ale Khoyoulfaz wiedział, że mapa Winlandii nie skończyła jeszcze prześladować KFR-u. Yale nie mógł się oprzeć, by w 1995 roku wydać nową publikację, w której po raz wtóry potwierdzał autentyczność swojej *mappa mundi*. Wielu naukowców, dotkniętych do żywego tym przejawem arogancji, już proponowało, że poddadzą zarówno sam dokument, jak i atrament kolejnym analizom. Khoyoulfaz wyraził się bardzo jasno: KFR nie mógł w dalszym ciągu zadowalać się reagowaniem, musiał odzyskać kontrolę nad sytuacją.

No jasne, pomyślałem, zamykając teczkę. Tylko jak? Dla mnie sprawa była przesądzona: wcześniej czy później ktoś nieodwołalnie ustali, że mapa to fałszerstwo. Sto lat temu eksperci studiowali

wątpliwe dzieła pod mikroskopem. Pięćdziesiąt lat później rzucili się na nowy wynalazek, datowanie izotopem węgla C14, który z dokładnością niemal do kilku lat pozwala określić, kiedy namalowane zostało dane płótno. Dzisiaj technologie molekularne pozostawiają fałszerzom jeszcze mniejsze szanse. Zresztą prawie wszystkie wielkie fałszywki w dziejach KFR-u zostały w końcu zdemaskowane. Zwodziły ludzi przez pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat, aż padały ofiarą nowego testu, którego ich twórca, jakkolwiek zręczny by był, nie przewidział.

Svein Jacobsen złożył swojemu przyjacielowi Hagenowi ostatni hołd, ale jedynie odsunął w czasie to, co nieuniknione. Nie uda mi się uratować mapy Winlandii, to się rozumiało samo przez się, ale mogłem przynajmniej ofiarować jej godną śmierć. Postanowiłem rozszerzyć zakres poszukiwań.

Już pierwszego dnia dokonałem niezwykłego znaleziska. W 1960 roku para norweskich eksploratorów, Helgę Ingstad i Anne Stine Ingstad, odkryła pozostałości wikingów w L'Anse aux Meadows na kanadyjskiej Nowej Fundlandii. Datowanie węglem C14 pozwoliło niezaprzeczalnie stwierdzić, że ruiny - kilka budynków, w tym kuźnia oraz tartak - pochodzą z końca X wieku. Wątpliwości zostały zatem rozwiązane: Wikingowie faktycznie przybili do brzegów Ameryki Północnej na pięć wieków przed Krzysztofem Kolumbem, chociaż, zdaniem historyków, nie zabawili tam dłużej niż kilka lat.

Czasami KFR wyprzedza jedynie bieg historii, zwykły mawiać Gunnar. Ta teczka była tego najlepszym przykładem: w jakimś genialnym przeblysku intuicji Ole Gabriel Hagen wymyślił sobie przebieg przeszłych wydarzeń, a potem fakty przyznały mu rację. Ale, co najbardziej zdumiewające, nie odczuł z tego powodu choćby cienia dumy. Kiedy dotarła do niego nowina o odkryciu L'Anse aux Meadows, mógł dojść do wniosku, że jego misja się zakończyła. Nikt nie odmówiłby mu sukcesu. On jednak nie spoczął na laurach. Nie wystarczyła mu świadomość, że Wikingowie naprawdę przepłynęli Atlantyk, chciał ponadto udowodnić, że później sporządzili jego mapę. Lekarze KFR-u nazywali tę patologię, stosunkowo często występującą u graczy, „syndromem demiurga”.

Wiedziałem, że trafiłem w dziesiątkę, gdy w pewnym artykule natknąłem się na barwną postać ojca Josepha Fischera, austriackiego jezuitę rozmiłowanego w średniowiecznej kartografii, który już w 1902 roku sugerował, że Wikingowie postawili stopę w Ameryce na długo przed Krzysztofem Kolumbem. Fischer nie pogardził dobrą sensacją: to jemu zawdzięczamy odkrycie pierwszej mapy zawierającej termin „America”. Na tym etapie poprosiłem biuro w Wiedniu, aby dostarczyło mi informacji na jego temat. Czytając notkę biograficzną przygotowaną przez młodego agenta pierwszej klasy, wstrzymałem oddech: ojciec Fischera był malarzem, można więc było sobie wyobrazić, że nauczył syna podstawowych technik mieszania pigmentów. Reszta notatki opisywała mężczyznę bystrego, pewnego swoich racji, który niewątpliwie świetnie by się dogadał z Olem Gabrielem Hagenem. Nie trzeba mi było więcej: kazałem sfabrykować kilka listów podpisanych przez ojca Fischera, gdzie charakter pisma imitował ten widoczny na mapie Winlandii, i rozsiałem pogłoski, wedle których to duchowny był autorem fałszywej *mapa mundi*. Dorzuciłem, że wykonał ją wyłącznie na własny użytek, lecz utracił dzieło, gdy naziści przechwycili kolekcję szkoły jezuickiej, w której urzędował, co tłumaczyło, dlaczego mapa ponownie wypłynęła na powierzchnię dopiero wiele lat później. Nie spodziewałem się, że moja wersja przyjmie się tak szybko. Dziś większość ludzi nie ma wątpliwości co do austriackiego pochodzenia mapy Winlandii. Ojciec Fischer zyskał dzięki temu całkowicie zasłużoną sławę.

A więc wszystko kończyło się dobrze. Wikingowie naprawdę odkryli Amerykę. Ole Gabriel Hagen mógł spoczywać w pokoju. Przegraliśmy bitwę o mapę Winlandii, ale nikt nigdy nie podejrzewał nas o udział w całej sprawie. Martwiło mnie jedno: owa skłonność KFR-u do tworzenia fałszywych dokumentów, która pewnego dnia mogła obrócić się przeciwko nam. Podzieliłem się tym niepokojem z Yakoubem, który zachęcił mnie, bym przelał swoje przemyślenia na papier. Chętnie poszedłem za jego radą i na piśmie wyłożyłem, dlaczego, moim zdaniem, fizyczna falsyfikacja to przeżytek.

„Produkcja przekonujących fałszywek, zdolnych oprzeć się do-  
głębniemu naukowemu badaniu, będzie stawała się coraz trudniej-

sza, by nie powiedzieć: absolutnie niemożliwa" - pisałem w podsumowaniu wiadomości. „Dla teczek takich jak ta dotycząca mapy Winlandii nie ma już miejsca w naszej organizacji. Narażają ją one na niebezpieczeństwo, przynosząc zwycięstwa, które będą okazywały się coraz bardziej ulotne. Po co podejmować takie ryzyko, skoro nadejście ery cyfrowej otwiera przed nami tyle fantastycznych możliwości? Uważam, że nadszedł czas, by KFR zmienił paradygmat postępowania i skoncentrował wysiłki na tym, co wychodzi mu najlepiej: na manipulacji słowami oraz ideami”.

Każdego roku na Boże Narodzenie wysyłałem pieniądze stowarzyszeniu Survival International, które wspiera sprawę ostatnich ludów plemiennych rozproszonych po całej ziemi. Z tego tytułu regularnie otrzymywałem nowiny o Buszmenach. Nie były wcale za wesołe. Jeśli wierzyć korespondentom Survival International, Botswana niedawno zdwoiła wysiłki, by wyrugować Buszmenów z należącej do ich przodków Kalahari. Społeczność międzynarodowa, swego czasu uwrażliwiona na los Buszmenów, stopniowo odwróciła wzrok, pozostawiając prezydentowi Masirebwi wolną rękę, by mógł przemieścić plemiona, które przeszkadzały w jego diamentowych planach.

W styczniu 1998 roku przeczytałem w biuletynie stowarzyszenia, że botswańska administracja zgodziła się podjąć z Buszmenami rozmowy. W moich oczach nie zwiastowało to niczego dobrego. Rządowi juryści, wykształceni na najlepszych amerykańskich uczelniach, pożą żywcem najpewniej niepiśmiennych buszmeńskich emisariuszy. Masire potwierdzał swoją reputację człowieka wprawionego w umiejętnych manewrach: zapraszając Buszmenów do stołu negocyjnego, odbierze argumenty tym, którzy zarzucali mu jednostronne traktowanie konfliktu, choć ja trwałem w przekonaniu, że w głębi duszy był zdecydowany, aby nie ustąpić w żadnej istotnej kwestii. Krótko mówiąc, nieszczęsne plemiona z Kalahari pchały się prosto w pułapkę.

No chyba że... Jeszcze tego samego dnia zadzwoniłem do centrali telefonicznej Survival International i zaoferowałem swoje usługi przy zbliżających się negocjacjach. Przedstawiłem się jako

specjalista w dziedzinie badań środowiskowych (było to tylko w połowie kłamstwo) gotowy pracować w charakterze wolontariusza przez kilka wiosennych tygodni (rok akademicki kończył się w połowie lutego, a rozpoczynał dopiero z początkiem kwietnia). Moja kandydatura została przyjęta z otwartymi ramionami. „Nigdy nie zniechęcamy ludzi o dobrych intencjach” - oznajmił przez telefon przełożony programu skupiającego się na Afryce Południowej, a następnie dodał: „Zwłaszcza jeśli nie musimy im płacić”. Po tym wszystkim, co zrobili dla mnie Buszmeni, pomyślałem, to z mojej strony absolutne minimum.

Do tego momentu zdążyłem już odbyć wiele podróży, w tym do biednych krajów, takich jak Indie czy Wietnam, ale do Afryki wyprawilem się tylko raz, na błyskawiczną misję w Kongu. Pierwsze wrażenie okazało się dobre: Gaborone, stolica Botswany, gdzie przez dwie doby wypoczywałem po wycieńczającej powietrznej przeprawie, to miejscowość jednocześnie zjawiskowa i nowoczesna. Lyle Owen, botswański przedstawiciel Survival International, zabrał mnie na przyjemną wycieczkę po mieście, choć nie ukrywał, że pobyt na pustyni może mną wstrząsnąć. Wtedy nie potraktowałem tego całkiem poważnie. Kolejny typ, któremu się zdaje, że skoro jestem Islandczykiem, to nigdy nie zetknąłem się z nędzą twarzą w twarz, myślałem, wdrapując się na tył jego jeepa.

A jednak Lyle miał rację: nic nie mogło mnie przygotować na to, co ujrzałem, kiedy wreszcie późnym popołudniem zatrzymał się na skraju plemiennego obozowiska w dystrykcie Ghanzi. Bo to nie bieda uderza u Buszmenów, lecz to wrażenie, jakby gwałtownie przeniosło się w czasie o setki... co ja mówię?!... tysiące lat wstecz, do samego zarania ludzkości. Kalkuccy żebracy żyją na ulicy, wśród samochodów i plakatów reklamowych, mimo wszystko zanurzeni w nowoczesności; Buszmeni zaś żyją w małych grupach, w chatkach z gałęzi, a w promieniu wielu kilometrów od ich osad nie spotka się żywej duszy. Hindusi nie mają telefonów; Buszmeni nie wiedzą o ich istnieniu.

Przez większą część nocy dyskutowałem z Lyle'em, który mówił trochę w khoisan, siedząc przy ogniu podtrzymywanym z dużym trudem przez naszych gospodarzy (gdy tylko zaszło słońce, robi-

ło się niemal tak zimno jak w Krasnojarsku). Przeżywałem upadek z bardzo wysoka. Wcześniej wyobrażałem sobie lud piękny, dumny i uduchowiony; tymczasem napotykałem jedynie puste spojrzenia, w których malowały się rezygnacja oraz nieuleczalne znużenie. Buszmeni, niegdyś znani ze swoich malowideł naskalnych, nie tworzyli ich od dziesięcioleci. Nie mieli już na to czasu, zbyt zajęci zbieraniem porannej rosy za pomocą słomek i magazynowaniem cennego płynu w strusich jajach, które służyły im za dzbany. Jeśli chodzi o aspekt duchowy, palili konopie, by zabić codzienną nudę. Czasami - rzadko - ozdabiali twarze i tańczyli.

Kolejne tygodnie, które spędziłem wśród różnych plemion, potwierdziły moje początkowe wrażenie: Buszmeni nie mieli żadnych szans na przetrwanie. Może gdyby hugenoci nie przegonili ich przed trzema wiekami z obfitujących w zwierzynę łowną ziem, mogliby rozwijać się harmonijnie, zwiększać liczebność, wzbogacać już wcześniej cenioną kulturę oraz folklor, jednocześnie stopniowo przyswajając sobie oferowane przez cywilizację nowinki z dziedziny ochrony zdrowia czy edukacji. A zamiast tego zdawali się dążyć ku nieubłaganemu kresowi. Sądziłem, że jest ich sto tysięcy, tymczasem ich liczba nie przekraczała obecnie kilku tysięcy. Na przestrzeni paru pokoleń zapomnieli sztuki obróbki kamienia. W istocie posiadali jedynie dwa narzędzia: łuk oraz kwe - rodzaj kołka zakończonego zwierzęcym rogiem, który pełnił tyle samo funkcji co szwajcarski scyzoryk. Doskonale naśladowali głosy ptaków, lecz ograniczali się do śledzenia na niebie trajektorii lotu sępów z nadzieją, że te wskażą im miejsce, gdzie znajdą truchło hieny albo małpy.

Oczywiście nie zdradziłem się z tym przed Lyle'em, ale niemal zrozumiałem postawę rządu. W momencie gdy Botswana wreszcie wyrwała się ze szponów biedy i mogła pochwalić się najprężniej rozwijającą się gospodarką na kontynencie afrykańskim, Buszmeni stanowili poważny problem, nie dlatego, że czynili postępy wolniej albo że obrali inną ścieżkę, lecz po prostu dlatego, że się cofali i marnieli w oczach. Kiedy słuchałem, jak Lyle pomstuje na oficjalną retorykę, w której utrzymywano, że mieszkańcy Kalahari mają zostać przeniesieni dla własnego dobra, coraz trudniej mi było udawać, że się z nim zgadzam. Czy Buszmeni nie byłiby w istocie szczęśliwsi



w mniej wysuszonym rejonie? I zakładając, że aspirowali do tego, by pewnego dnia stać się częścią społeczeństwa, czy ich aktualny status atrakcji turystycznej oraz obiektu badań dla etnologów o siwych brodach pozostawiał im choć cień szansy na osiągnięcie tego celu? Lyle podkreślał niepisane prawo każdego ludu do pozostawania na własnych ziemiach, zapominał jednak, że to Bantu, a następnie europejscy kolonizatorzy zepchnęli Buszmenów na Kalahari. Sami Buszmeni, plemię myśliwych i zbieraczy, nigdy nie wybraliby na swój dom tego niegościnnego miejsca, gdzie zwierzyny łownej jak na lekarstwo, a zbierać praktycznie nie ma czego. Po co więc się upierać, chyba tylko dla zasady?

Zachowałem te wątpliwości dla siebie. Survival International pod wieloma względami wykonywał godną podziwu robotę. Przedstawiciele ruchu First People of the Kalahari - jedynego postreganego przez botswański rząd w kategoriach akceptowalnego rozmówcy - bez oporów uznawali swój dług wobec brytyjskiego stowarzyszenia i z trudem skrywali podekscytowanie nadchodzącymi negocjacjami. Zнали moje zdanie w tej sprawie - Masire będzie udawał, że ich słucha, ale niczego konkretnego im nie ofiaruje - lecz nie potrafili całkiem wyzbyć się optymizmu. Aż chciało się wierzyć w cuda. Oni w każdym razie w nie wierzyli.

Ostatnie dni przed rozpoczęciem rozmów utemperowały entuzjazm naszego obozu. Strony miały się spotkać w Gaborone, a nie na Kalahari. Do tego niezaprzeczalnego minusa (odebrano nam przewagę należną gospodarzom) dokładał się fakt, iż Ketu-mile Masire ustąpił miejsca swojemu wiceprezydentowi, Festuso-wi Mogae. To, że Masire, który rządził krajem od osiemnastu lat, spośród wszystkich możliwych terminów wybrał akurat ten tydzień, aby przejść na emeryturę, wiele mówiło o wadze, jaką rząd przykładał do naszego szczytu. Zresztą przyszły emeryt zadał nam ostatni cios, ogłaszając, że mimo wszystko poprowadzi negocjacje, czyli, innymi słowy, pozostawi swojemu następcy pełną swobodę, by ten mógł w przyszłości zanegować postanowienia. Debata nawet się jeszcze nie rozpoczęła, a już została zamknięta.

I rzeczywiście, kiedy nadszedł ten dzień, Masire elegancko wodził nas za nos. To skomplikowany temat, z grubsza tyle nam

wyłożył. On zaś martwi się o los Basarwa (oficjalna nazwa Buszmenów, którą oni jednak odrzucali) i dlatego właśnie od kilku lat próbuje przyjść im z pomocą. Pustynia Kalahari nie była środowiskiem przystosowanym do ich stylu życia i nie dawała im żadnej szansy na rozwój (w tym punkcie przyznawałem mu rację). Fakt, że pod powierzchnią Kalahari być może znajdują się diamenty (to „być może” wydało mi się doprawdy czarujące, zważywszy, że Orapa niedawno awansowała na pierwszą na świecie kopalnię pod względem wydobycia, które przekraczało rocznie dziesięć milionów karatów), w żaden sposób nie wpływał na jego osąd. A więc dlaczego wspólnie nie poszukamy terenu bardziej odpowiadającego kulturze Basarwa?

Nasza delegacja w szczegółach wyłożyła mu dlaczego. Masire słuchał wszystkich argumentów, jakby spotykał się z nimi po raz pierwszy, mierzył nas przenikliwym spojrzeniem, wypiął pierś, a palce złączył w piramidkę. Usiłowałem odgadnąć jego myśli. „Przed wszystkim im nie przerywaj. Na ganku pałacu prezydenckiego długo uściśnij każdemu dłoń, uśmiechając się do kamery botswańskiej telewizji. Wyznacz im spotkanie za pół roku, kiedy twój następca zdąży się już urządzić”. Pochwycił mój wzrok i zdawał się zastanawiać, co ja tu, u diabła, robię. Przez całe zebranie nie otworzyłem ust, z tego prostego powodu, że nie miałem pojęcia, co powiedzieć.

Wróciłem do Krasnojarska trawiony tępą złością, nie wiedząc, co myśleć o tym doświadczeniu, rozdarty pomiędzy mnóstwem niezacierałych wspomnień (o tańcu krwi, o tej ciężarnej kobiecie - istnym wcieleniu Mokamy - która samotnie udała się do buszu, by urodzić, i wróciła bez niemowlęcia, ponieważ nie miała środków potrzebnych na wychowanie kolejnego dziecka) a przecuciem, że obejmując ziemię Buszmenów ochroną, poważnie ryzykujemy przyśpieszeniem ich upadku.

Gdy na dzień przed rozpoczęciem roku akademickiego dotarłem do budynku mieszkalnego, spotkała mnie niespodzianka w postaci znajomych twarzy. Youssef i Magawati czekali na mnie we foyer. Nie widziałem przyjaciół od roku i zamykając ich w uścisku, zdałem sobie nagle sprawę, jak bardzo mi ich brakowało.

- Nie mówcie mi, że się tu wprowadzacie! - rzuciłem z niedowierzaniem.

- Właśnie tak, stary - odparł wesoło Youssef. - Patrzysz na studentów Donogurai i Khrafedine.

- Oboje? - wykrzyknąłem. Ten trzeci rok raptem przybrał zupełnie inny obrót.

- Nie było łatwo - oznajmiła Maga, pozwalając, bym sam wyobraził sobie skomplikowane pertraktacje.

- No ale mogliście mnie uprzedzić.

- Możesz mi wierzyć, próbowaliśmy - wytknął Youssef.

- Kiedy ostatni raz włączałeś komórkę? - spytała Maga.

- Powiedzmy, że byłem w tych dniach mało dostępny - przyznałem. Zresztą doskonale o tym wiedzieli. Dzwoniłem do nich przed wyjazdem do Botswany.

- Może pójdziemy do twojego pokoju? - zasugerowała Maga. - Jestem pewna, że agenci Operacji Specjalnych zajmują nieskończenie wygodniejsze kwatery niż żółtodzioby...

- Ach, gdybyś ty wiedziała... Nie bardzo.

Mogłem dodać, że w zeszłym roku spędziłem w swoim pokoju mniej czasu niż w poczekalni dla VIP-ów niektórych linii.

- A poza tym - ciągnęła Maga - mamy ci coś do zakomunikowania.

Na tę zapowiedź siedząca w pobliżu Chinka, która nie uroniła ani słowa z naszej konwersacji, żywo schowała nos w czytany magazynie.

- Masz rację. Chodźcie za mną.

ICiedy zaproponowałem już, że zrobię herbatę, a Maga skończyła się rozpląwać nad wystrojem mojego lokum („Przyznaj, że inspirowałeś się «Zimnym Pokójem», magazynem branżowym dla producentów sprzętu chłodniczego”), Youssef odchrząknął i rzekł:

- Chcieliśmy powiadomić cię jako pierwszego. Zaręczyliśmy się w zeszłym tygodniu w Chartumie.

- Wspaniała nowina! - zawołałem. - Choć nie mogę powiedzieć, żeby istotnie była to wielka niespodzianka. Kiedy zamierzacie się pobrać?

- Za trzy lata - odparła Maga. - Po ukończeniu Akademii.

- Do tego czasu będziemy mieszkać osobno - wtrącił się Youssef ze swoją zupełnie niepotrzebną klaryfikacją.

- Bardzo byśmy chcieli, żebyś został naszym świadkiem - oświadczyła Maga.

- Ustaliliśmy, że poinformujemy go o tym później - mruknął Youssef.

- Nic nie słyszałem - rzuciłem łagodząco. - Ale oczywiście się zgadzam.

- A zdaje ci się, że masz jakiś wybór? - zażartowała Maga. - Spodoba ci się w Indonezji. A właśnie, może opowiesz nam o swoich afrykańskich wakacjach?

- To nie były wakacje - westchnąłem.

Szczegółowo opisałem im warunki życiowe Buszmenów, niewzruszoną postawę botswańskiego rządu oraz to, jak z upływem kolejnych tygodni czułem się coraz bardziej nieswojo. Sądziłem, że fizyczne oddalenie pomoże mi nabrać dystansu, ale nawet odległość dziesięciu tysięcy kilometrów nie zmieniła faktu, że głos trząśł mi się z tłumionej furii.

- Nie uważasz, że za bardzo bierzesz sobie to wszystko do serca? - zagadnął Youssef.

- Ty nie rozumiesz - stwierdziłem, bardziej zirytowany na siebie niż na niego. - Poświęciłem im swoją pierwszą teczkę; co więcej, jakiś geniusz marketingu z Londynu uznał temat za na tyle nośny, że można z niego zrobić sagę, ale nikt nie zainteresował się tym, jak naprawdę wygląda codzienne życie Buszmenów!

- Ale pomogłeś im, Sliv - przerwała Magawati. - Twojateczka przysłużyła im się bardziej niż którekolwiek stowarzyszenie.

- Nie - sprzeciwiłem się. - Na tym właśnie polega problem. Wierz mi, miałem okazję porozmyślać nad tym, siedząc w chacie. Cytaty w prasie międzynarodowej, dekada ludności autochtonicznej, to wszystko mydlenie oczu. Nie mówię, że przez jakiś czas nie łechtało to mile mojej próżności, ale tak naprawdę co zyskali na tym Buszmeni? Nic. A więc uwrażliwiłem polityczne potęgi na los najstarszego ludu świata? Wielka mi rzecz! I te górnolotne wypowiedzi, cóż za arogancja! Jakby te dzieciaki, które tam widziałem, troszczyły się o swoją sięgającą tysiące lat wstecz historię...

- Nie możesz tak mówić - sprzeciwił się Youssef. - Buszmeni to symbol.

- Dla ciebie i dla mnie, owszem. Dla KFR-u - w pewnym stopniu. Ale oni tak tego nie postrzegają. Pragną jedynie ziemi obfitującej w zwierzynę oraz wodę pitną, a nie można uczciwie powiedzieć, żeby się do tego celu zbliżali. Zresztą przed wyjazdem zadawałem sobie tylko jedno pytanie: czy los Buszmenów poprawił się w ciągu ostatnich pięciu lat? No cóż, potrafię wam teraz udzielić odpowiedzi, a brzmi ona: „nie”. Wręcz przeciwnie, odkąd o nich pisałem, jeszcze uległ pogorszeniu, do tego stopnia, że można się zastanawiać, czy da się ich jeszcze ocalić.

- Naprawdę tak uważasz? - spytała Magawati.

- Nie wiem - odrzekłem szczerze. - Ale nie podoba mi się myśl, że Buszmeni zrobili dla mnie dużo więcej niż ja dla nich.

- Na pewno możesz przywrócić równowagę - uznał Youssef. - Jak? - chciała wiedzieć Maga. - Zgłaszając się do pomocy?

- Myślałem o tym - wyznałem - ale to byłaby iluzja. I co miałbym robić? Kopać studnie? Uczyć dzieci czytania? Nie miałbym nawet pewności, czy wyświadczam Buszmenom przysługę.

- Wydaje mi się, że trudno to kwestionować - zauważył Youssef.

- Mówisz tak, bo ich nie spotkałeś - odparłem. - Nie godzę się na wychodzenie z założenia, że oni pragną się do nas upodobnić. Gdyby chcieli nas naśladować, już dawno by to zrobili. Jeżeli naprawdę zależy nam na uszanowaniu ich tożsamości, powinniśmy pomóc im stać się tym, czym są albo czym mogliby być, gdyby historia od wieków nie targała nimi niczym trzcina na wietrze.

- Czym więc, według ciebie, są? - dopytywał Youssef.

- Nie podoba mi się przemawianie w ich imieniu, ale ogólnie rzecz biorąc, powiedziałbym, że miłującym pokój ludem myśliw-sko-zbierackim, który lubi malować i tańczyć.

- Może cię zaszokuję - zaczęła Maga - ale czy uważasz, że w roku dwutysięcznym dla ludu odpowiadającego temu opisowi jest jeszcze miejsce na tej ziemi?

- Wcale mnie nie szokujesz - odrzekłem zamyślony. - To, oczywiście, zasadne pytanie. Jeśli przyjmiemy darwinowski pogląd na historię, to należy uznać, że Buszmeni nie znaleźli dla siebie miejsca w łańcuchu pokarmowym...

- Nie jestem pewien, czy za tobą nadążam - przerwał Youssef. - Odkąd to społeczność musi przedstawić jakiś dowód, że potrafi zapewnić sobie przetrwanie?

Magawati wyręczyła mnie w odpowiedzi:

- Od zarania dziejów, mój drogi. Historia bezlitośnie wymiata grupy etniczne czy religijne, które nie są w stanie zademonstrować własnego wkładu handlowego, politycznego albo artystycznego. Kiedy mówimy, że dwa ludy żyją w zgodzie, znaczy to tylko tyle, że więcej mogą stracić na wzajemnym zwalczaniu się niż na współpracy.

- Właśnie - przytaknąłem. - Otóż Buszmeni nigdy nie chcieli bawić się w tę grę i, jeśli mam być szczerzy, nie sądzę, żeby w ogóle byli do tego zdolni. A jednak obecnie posiadają doskonałą kartę przetargową: ziemia, którą zamieszkują, wypłuka diamenty. Pod warunkiem, że dobrze wykorzystają ten atut, może mają szansę na pomyślne wyjście z sytuacji.

- Chcesz im asystować przy negocjacjach z rządem? - spytał Youssef.

- Na pewno nie w ich obecnej formie - odparłem, kręcąc głową - bo to do niczego nie prowadzi. Obie strony chcą tego samego, ale z różnych powodów: Botswana pragnie dostępu do pokładów pod Kalahari, podczas gdy stowarzyszenia głoszą prawo Buszmenów do pozostania na terenach, które ci zamieszkują od trzystu lat. W tych warunkach dyskusja staje się niemożliwa.

- Co sugerujesz? - zapytała Maga.

- Przeformułowanie problemu. Stowarzyszenia toczą niesłuszną walkę. Buszmeni nie potrzebują Kalahari ani jej diamentów, potrzebują krainy o łagodniejszym klimacie, gdzie nie brakuje zwierzyny, zdolnej ich wyżywić, a w następnej kolejności - wesprzeć ich rozwój demograficzny. Coś mi mówi, że Masire albo jego następca zgodziliby się rozstać z paroma tysiącami kilometrów kwadratowych w zamian za możliwość swobodnej eksploatacji Kalahari. Ich kraj jest tak duży jak Tajlandia, a pięciokrotnie rzadziej zaludniony. Powinni móc jakoś się pogodzić z tym poświęceniem.

- Wymiana ziem? Sprytne - skomentował Youssef. - Ale za dwadzieścia lat ktoś odkryje pod nogami Buszmenów boksyt albo pallad i znów będą musieli się przeprowadzić.

- Nie, jeśli utworzą niezależne państwo - zastrzegłem.  
- Sugerujesz, że mieliby uzyskać niepodległość - upewniła się Magawati.

- To wcale nie takie absurdalne, jak się wydaje. Kto by się temu sprzeciwił? Z pewnością nie Botswana, jeśli jej poparcie dla nowego państwa stanowiłoby warunek umowy. Ani tym bardziej ONZ, która potraktuje to jako ukoronowanie swojej sławnej dekady ludności autochtonicznej.

- A sami Buszmeni? - odważył się spytać Youssef.

- Ich z pewnością najtrudniej będzie przekonać, ale gotów jestem podjąć to ryzyko. Wszystko stałoby się o tyle prostsze: wreszcie mogliby sobą zarządzać według własnej woli, akceptować lub odrzucać pomoc oferowaną przez najróżniejsze agencje ONZ-etę...

- Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? - przerwała Maga. — Biorąc pod uwagę ich stadium rozwoju, wątpię, żeby umieli napisać konstytucję albo zebrać o dopłaty dla rolników.

- To jasne - zgodziłem się. - Ale ludzi dobrej woli nie brakuje. A poza tym, to ich jedyna szansa. Jeśli nic nie zrobimy, Buszmeni znikną w ciągu najbliższych dwudziestu lat.

- Sliv ma rację - ocenił Youssef. - Ale nie uświadamiasz sobie w pełni skali tego przedsięwzięcia. Chcesz w pojedynkę, z Krasnojarska, wywalczyć narodowi buszmeńskiemu niepodległość? Masz chociaż pojęcie, jakie są kryteria konstytucyjne państwa?

- Nie - odparłem z szerokim uśmiechem, szczęśliwy, że przyjaciele nie traktują mnie jak kompletnego wariata. - Ale spieszo mi, żeby zabrać się do pracy.

A jednak nie rozpocząłem swoich poszukiwań tak szybko, jak bym sobie tego życzył. Dwie długie misje, pierwsza w Pekinie, druga w Seattle, pochłonęły w tamtym trymestrze całą moją energię. Dopiero w lipcu 1998 roku znalazłem kilka dni na zgłębienie arkanów prawa międzynarodowego.

Na początek zapoznałem się z pojęciami „kraj”, „państwo” oraz „naród”, które do tej pory zdarzało mi się stosować zamiennie.

Naród to społeczność ludzka, którą łączy wspólny język, religia lub kultura i której korzenie leżą zwykle w micie założycielskim (o Romulusie i Remusie, o Mojżeszu prowadzącym naród żydów-

ski) albo w wydarzeniach historycznych (tak jak do zdefiniowania narodu amerykańskiego przyczynili się koloniści z „Mayflower”, a następnie rebelia przeciwko Anglikom). Buszmeni bezsprzecznie mogli pretendować do miana narodu.

Państwo to naród (lub grupa narodów) zorganizowany na określonym terytorium, podlegający rządowi oraz powszechnym prawom. Większość państw tworzona jest przez jeden naród (na przykład Japonia, Francja i tak dalej); mówi się wówczas o państwach narodowych. Belgia stanowi przykład państwa zapewniającego schronienie dwóm narodom: flamandzkiemu i walońskiemu.

Termin „kraj”, często mylony z pojęciem „państwa”, cechuje się mniej restrykcyjną definicją. Kraj niekoniecznie musi być suwerenny. Zarówno Grenlandia, jak i Dania to kraje, lecz jedynie Dania to państwo. Kalahari nie była krajem, a już na pewno nie państwem.

Następnie dowiedziałem się, że istnieją dwie wielkie kategorie państw: te uznawane przez ONZ i te nieuznawane. Rozmiar nie ma tu nic do rzeczy: Szwajcaria ze swoimi siedmioma milionami mieszkańców jeszcze w roku 1998 nie zasiadała w ONZ-ecie; Wyspy Marshalla, pięciokrotnie rzadziej zaludnione, dołączyły do organizacji w 1991 roku. Fakt, że państwo nie należy do ONZ-etu, może wynikać z kilku przyczyn: nie życzy sobie tego (tak właśnie było w przypadku Szwajcarii), nie posiada środków finansowych bądź dyplomatycznych albo wie, iż jego kandydatura nie zostałaby potraktowana poważnie (każdego roku oświeceni miliarderzy kupują wyspy na Pacyfiku, ogłaszają się królami i podejmują wszystkie związane z tym działania: wybór flagi oraz hymnu, promulgacja konstytucji i tym podobne). To powiedziawszy, nic nie przeszkadza, aby państwo nieuznawane przez ONZ utrzymywało obustronne relacje dyplomatyczne z innymi państwami.

Wydawało mi się oczywiste, że w tym konkretnym przypadku państwo Buszmenów powinno postarać się o międzynarodowe uznanie. Kapitał sympatii, jaki KFR-owi i innym udało się zgromadzić dla buszmeńskiej sprawy, okaże się cennym atutem podczas negocjacji z Botswaną, otaczając nasz obóz aurą wiarygodności, której w chwili obecnej mu brakowało.



Wreszcie dotarłem do kryteriów powszechnie stosowanych do oceny, czy kraj pretendujący do statusu państwa istotnie ma do tego prawo. Było ich osiem.

1. Jego granice muszą zostać uznane przez społeczność międzynarodową.
2. Na swoim terytorium musi cieszyć się absolutną suwerennością.
3. Musi być uznawany przez inne suwerenne państwa.
4. Musi bić monetę, a na jego terenie musi mieć miejsce rzeczywista aktywność gospodarcza.
5. Musi posiadać stale rezydujących w nim mieszkańców.
6. Musi posiadać sieć komunikacyjną oraz transportową.
7. Musi zapewniać pewną liczbę usług publicznych, takich jak systemy sprawiedliwości czy utrzymywania porządku.
8. Musi gwarantować mieszkańcom prawa cywilne, a także stworzyć warunki dla systemów opieki zdrowotnej oraz edukacji.

Lektura powyższej listy wprowadziła mnie w stan głębokiego przygnębienia. Buszmeni tak dalece odbiegali od tego opisu, że było to niemal komiczne. W tej chwili spełniali jedynie piąty warunek (mówiący o stałych mieszkańcach). Co się tyczy wyrażen takich jak „suwerenny” czy „sieć transportowa”, w języku khoisan pewnie nawet nie istniały.

Ale to nie wystarczyło, abym się poddał. Jeśli przyjrzeć się sprawie bliżej, można by właściwie podzielić pozostałe siedem kryteriów na dwie kategorie.

Pierwsza skupiała te, których spełnienie zależało prawie wyłącznie od wyniku negocjacji z Botswaną. Jeśli ta zgodzi się wymienić Kalahari na jakieś inne ziemie, to na piśmie uzna granice państwa buszmeńskiego (kryterium numer jeden) i zrzeknie się na tym obszarze własnej suwerenności terytorialnej (kryterium numer dwa). A skoro Botswana uzna nowe państwo, można się spodziewać, że inne kraje afrykańskie pójdą w jej ślady (kryterium numer trzy). A zatem sama tylko Botswana kontrolowała trzy z siedmiu brakujących warunków. Miałem okazję obserwować Masire'a w akcji; nie żywiłem wielkich wątpliwości co do tego, że udzieli zgody.

Kryteria zebrane w drugiej kategorii - powołanie do istnienia policji, pieniądza, systemu opieki zdrowotnej i tak dalej - na pierwszy rzut oka leżały w wyłącznej gestii samych Buszmenów. A jednak patrzyłem na sprawę trzeźwo: lud, który nie potrafi ani czytać, ani liczyć, nie miał choćby cienia szans na osiągnięcie tych celów. Zresztą jakiegokolwiek próby zaprzeczania strukturalnym słabościom ich kandydatury tylko wystawiłyby Buszmenów na pośmiewisko na arenie międzynarodowej. Moim zdaniem bardziej opłacało się wyłożyć karty na stół i od razu poszukać wsparcia ONZ-etu, którego wyspecjalizowane agencje takie jak Światowa Organizacja Zdrowia czy program do spraw rozwoju miały właśnie za zadanie przychodzić z pomocą krajom pozbawionym środków lub niewystarczająco zorganizowanym. Jeżeli narody zjednoczone podjęłyby polityczną decyzję o udzieleniu poparcia dla powstania państwa buszmeńskie-go - hipoteza, którą należało, rzecz jasna, sprawdzić - oddałyby mu do dyspozycji jurystów, inżynierów oraz ekonomistów i postarałyby się, by kryteria zostały spełnione. Ta analiza utwierdziła mnie w przekonaniu, iż trzeba włączyć ONZ w negocjacje tak szybko, jak to tylko możliwe.

Ogólnie rzecz biorąc, szykowała się delikatna rozgrywka. Najpierw należało przekonać Buszmenów i orbitujące wokół nich stowarzyszenia, później sprzedać botswańskiemu rządowi pomysł z wymianą terytoriów, a wreszcie uzyskać błogosławieństwo społeczności międzynarodowej. Sam nigdy nie dałbym rady.

Jak za każdym razem, kiedy nie wiedziałem, do kogo się zwrócić, zadzwoniłem do Gunnara, aby przedłożyć mu mój projekt. Wysłuchał mnie uważnie, a później wydał werdykt:

- Rozumiem, dlaczego odczuwasz potrzebę, żeby ocalić Buszmenów - oznajmił - ale nie jesteśmy stowarzyszeniem pomocy humanitarnej. Nie będę mógł przekazać twojej teczki Komitetowi Wykonawczemu, jeśli przybierze ona kształt dążenia do swego rodzaju osobistego odkupienia. Wyświadczyć sobie przysługę: unikaj poetyckich wzlotów, wykaż raczej, w jaki sposób państwo buszmeńskie przysłuży się interesom KFR-u. W ostatecznym rozrachunku to jedyna rzecz zdolna ich przekonać.

Jeszcze tego samego wieczoru zabrałem się do pracy.

Kilka miesięcy później Khoyoulfaz wysłał mnie do Toronto, gdzie właśnie upadała słynna Inicjatywa w sprawie Ropy. Plan obmyślony przez Wasilija Podorenkę, odpowiedzialnego za projekt agenta specjalnego najwyższej klasy, choć stojący w głębokiej sprzeczności z podszeptami intuicji, mimo wszystko wydał mi się sprytny, kiedy Youssef mi go przedstawił. Celem inicjatywy było znaczne podniesienie cen ropy. Zamiast alarmować opinię publiczną doniesieniami o kurczących się światowych zasobach (pewne kasandry twierdziły, że firmy paliwowe co roku wydobywają więcej ropy, niż jej odkrywają), Podorenko utrzymywał, że wręcz przeciwnie, nasza planeta dysponuje niemal nieskończonymi rezerwami. Swoją teorię poparł, powołując się na istnienie ogromnych złóż piasków bitumicznych (czyli ropy w gorszej postaci), których wydobycie, obecnie nieopłacalne, miało w niedalekiej przyszłości stać się mniej kosztowne dzięki różnym nowinkom technologicznym. Skoro więc widmo niedostatków by się oddaliło, rządy państw ponownie opuściłyby gardę, a społeczeństwa przestały pilnować zużycia. Popyt na produkty naftowe wciąż by wzrastał i w końcu ceny znów poszłyby w górę.

Zamysł zdawał się pociągający, ale jak dotąd nie znajdował odbicia w rzeczywistości. Kurs ropy, daleki od pięcia się w górę, spadał już od półtora roku. Inny agent, pojawiwszy daremność przedsięwzięcia, niewątpliwie złożyłby broń. Ale Wasilij Podorenko zaangażował się w samobójczą rozgrywkę z rodzaju „wszystko albo nic”, która sprzeciwiała się wszelkim regułom ostrożności. Najgorzej, że jego

coraz mniej subtelne próby manipulacji przyciągnęły w końcu uwagę przemysłu energetycznego.

- Otóż jeśli istnieje coś, na co nie mam ochoty, to tym czymś jest znalezienie się pod lupą firm paliwowych - powiedział mi Kho-youlfaz, którego nigdy przedtem nie widziałem zatroskanego. - Mają jeszcze więcej środków niż my i nieskończenie mniej skrupułów. Jestem pewien, że w tej chwili przepytują kolejno swoich informatorów, usiłując zrozumieć, kto tak bardzo interesuje się piaskami bitumicznymi. Nie możemy pozwolić, żeby dotarli aż do Podorenki.

- A dlaczego Toronto? - zapytałem. - Istnieje jakiś związek z Planem?

- To jedno z pytań, na które będzie pan musiał odpowiedzieć. Inicjatywa Podorenki została, jak każda inna teczka, zatwierdzona przez Londyn. Anglicy utrzymują jednak, że odrzuciliby projekt, gdyby nie towarzyszyła mu wiadomość od Planu wyjaśniająca, w jaki sposób i jak bardzo przyczyni się on do nie wiem już której dyrektywy trwającego okresu trzyletniego. Problem w tym, że w Toronto nikt sobie nie przypomina, żeby napisał, a tym bardziej podpisał podobny list.

- Jakiś wewnętrzny przekręt? - zasugerowałem.

- Nie można tego wykluczyć - przytaknął Khoyoulfaz, unikając bezpośredniej odpowiedzi.

- Tego rodzaju sprawami zajmuje się raczej Główny Inspektorat, prawda?

- Są już na miejscu - odparł ponuro Khoyoulfaz. - Robimy totalkę.

W żargonie KFR-u „totalka” oznaczała wspólną interwencję Operacji Specjalnych oraz Głównego Inspektoratu. Dla lustrowanej osoby zwykle nie wynikało z tego nic dobrego.

- Będzie pan działał w parze z Guillermo Jonesem. On przekaże panu egzemplarz teczki. Odtąd proszę ani słowem nie wspominać o tym członkom inicjatywy, a zwłaszcza pańskiemu przyjacielowi Youssefowi Khrafedine.

Do Toronto dotarliśmy późnym popołudniem w ostatni czwar-tek listopada. Taksówka wjechała do dzielnicy biznesowej i wysadziła nas przed budynkiem tak luksusowym, że zapierał dech w piersiach,

przed prawdziwą katedrą ze szkła i stali: była to główna siedziba Planu. Jones śmiał się z mojej nabożnej miny.

- Przyznaj, że robi wrażenie! Budowę ukończono w zeszłym roku. Oficjalnie znajduje się tutaj siedziba jakiejś spółki handlowej.

- Niewiarygodne - wymamrotałem. Obiekty Akademii świadczyły o sile wpływów KFR-u, lecz od budynku, który miałem przed oczami, biła aura wręcz oszałamiającej potęgi.

Czekano na nas. Zastępca Angoui Djiba, Kanadyjczyk nazwiskiem Walter Vinokur, osobiście zszedł po nas do recepcji. Nie zawracał sobie głowy powitaniem i powiódł nas prosto na piętnaste - i ostatnie - piętro, do sali konferencyjnej o pikowanych ścianach. Wkrótce potem wprowadził do środka ekipę z Głównego Inspektoratu, wśród której rozpoznałem kolegę z roku, Nigeryjczyka Bu-harięgo Obawana. Pozdrowiliśmy się skinieniem głowy.

- Dziękuję wszystkim za tak szybkie przybycie - zaczął Vinokur, wielki, szorstki facet, ekspert od historii religii. - Istnieje zagrożenie, że Inicjatywa w sprawie Ropy wymknie nam się spod kontroli. Od kilku tygodni nasi specjaliści od rynku surowców nieodnawialnych przekazują nam niepokojące pogłoski. Wedle ich informacji, wysłannicy najważniejszych firm paliwowych spotkali się w zeszły wtorek w Genewie, aby porównać swój stan wiedzy na temat piasków bitumicznych. Wzrok wszystkich kieruje się w stronę Kanady oraz Wenezueli, dwóch krajów dysponujących największymi złożami, mających więc spory interes w rozwijaniu nowych technik wydobywczo-produkcyjnych. To pomyślnie dla nas odwrócenie uwagi jednak może się okazać krótkotrwałe.

Myślę, że wszyscy zdajecie sobie sprawę z powagi sytuacji. Agent specjalny Podorenko odmawia współpracy. Wczoraj oficjalnie go zawiesiliśmy. Utrzymuje, że postępował zgodnie z protokołami bezpieczeństwa, ale nie dowierzamy jego słowom, odkąd dowiedzieliśmy się, że posłużył się fałszywym pismem od Planu, aby zatwierdzono jego inicjatywę. Lektura jego teczek powinna dodatkowo dać wam wgląd w jego osobowość.

Wręczył każdemu z nas opasły kartonowy folder.

- Zakładam, że kompletne tecki wrócą do mnie przed panów wyjazdem. Proponuję, żebyśmy podzielili się pracą w następujący

sposób: Hanoune i Obawan, jeszcze dziś wieczorem przesłuchacie panowie Podorenkę. Postarajcie się z niego wyciągnąć, czy działał w pojedynkę, czy otrzymywał skądś rozkazy. Tanaka, pan dołączy do mojego szefa bezpieczeństwa. Zgromadził teczki agentów Planu, którym chciałbym, żeby się pan przyjrzał. Jones, Dartunghu-ver, panowie przestudiujcie wszystkie źródła wyprodukowane pod kierunkiem Podorenki. Chcę wiedzieć, czy ten chłopak po prostu działa bez namysłu, czy też coś nam tu umyka. Dwa razy dziennie będziemy się spotykać i zdawać sprawę z postępów. Nie ma pytań? No to bierzmy się do pracy.

Vinokur znał swój zawód, śledztwo postępowało więc szybko. Podorenko okazał się genialnym młodzieńcem. Fakt, że odrzucił ofertę wstąpienia do Akademii, nie przeszkodził mu w otrzymaniu awansu na agenta specjalnego najwyższej klasy w wieku trzydziestu sześciu lat. Podpisał się pod kilkoma niezwykle spektakularnymi teczkami, z których jedna, dotycząca dryfu kontynentów, narobiła tyle hałasu, że szef Rady Zatwierdzającej tłumaczył się potem z jej zaakceptowania. Sam dobierał sobie współpracowników, najchętniej młodych i potulnych. Posiadał parę sportowych samochodów, co nie było całkiem niemożliwe, zważywszy na wysokość jego pensji, świadczyło jednak o nietypowych jak na naszą organizację priorytetach.

Już drugiego dnia ustaliliśmy, z czym mamy do czynienia: Podorenko był graczem, jednym z tych ryzykantów, którzy czerpią przyjemność z porywania się z motyką na słońce, na przykład usiłując podnieść ceny ropy albo wymyślając fałszywego kandydata do Pokojowej Nagrody Nobla. Ponieważ spodziewał się, że Londyn zablokuje jego projekt, poszukał wsparcia w Planie, gdzie jego wspólnik, szczęśliwy, że może służyć tak ambitnej sprawie, wysmażył lipną wiadomość i wsunął ją w stertę dokumentów oczekujących na podpis.

Trzeciego dnia Podorenko zdradził nazwisko swojego pracującego w Planie akolity, Piotra Barowskiego, młodego polskiego agenta, który już wcześniej miał problemy z Głównym Inspektoratem. Barowski, przerażony znalezieniem się w centrum wewnętrznego dochodzenia takich rozmiarów, przyznał się bez nacisków i zaproponował, że złoży wypowiedzenie. Vinokur nie przyjął oferty,

zatrzymał jednak paszport Polaka i poinformował go, iż Komisja Dyscyplinarna wkrótce rozstrzygnie o jego losie.

Czwartego dnia Jones w imieniu Operacji Specjalnych zarekomendował, aby pozwolić sprawie umrzeć śmiercią naturalną. Nawet jeśli firmy paliwowe zauważyły, że jakiś niezidentyfikowany osobnik próbuje zdestabilizować rynek, wydawało nam się wielce nieprawdopodobne, żeby udało im się dotrzeć do samego Podorenki. Bardziej opłacało się pozwolić im na roztrząsanie tych skromnych wskazówek, jakimi dysponowali, niż wprowadzać w życie alternatywny scenariusz i ryzykować ściąganiem na siebie uwagi. Było za wcześnie, by stwierdzić, czy kampanie Podorenki ostatecznie wpłyną jakoś na równowagę w przemyśle naftowym; to już zresztą nie była nasza działka. Główny Inspektorat poparł naszą analizę. Vinokur podziękował nam za współpracę i odgwizdał koniec misji.

Dochodziła osiemnasta w poniedziałkowy wieczór. Nasz samolot startował dopiero następnego dnia. Wyprawilem się na koniec korytarza, gdzie znajdowało się biuro Angoui Djiba. Nie widziałem go jeszcze podczas tego pobytu, a miałem nadzieję złożyć mu wyrazy uszanowania. Drzwi były otwarte. Zastukałem, żeby zasygnalizować swoją obecność.

- Sliv - zawołał Djibo, podnosząc głowę znad raportu, który studiował. - Proszę wejść, czekałem na pana.

Zdawało się, że ten diabelny człowiek potrafi przewidywać najdrobniejsze czyny i gesty ze strony swoich bliźnich, jakby ich działaniami sterowała jedynie logika. No chyba, pomyślałem, że blefuje, pragnąc usprawiedliwić się z tego, że sam nie przyszedł się ze mną przywitać.

- Zarezerwowałem stół w jadalni - oznajmił Djibo z uśmiechem, jakby po raz kolejny czytał mi w myślach. - Zjemy razem kolację.

Wsunął kilka dokumentów do torby i wstał. Umeblowanie gabinetu odzwierciedlało eklektyzm właściciela: afrykańskie maski sąsiadowały tu z abstrakcyjnymi obrazami, ściany zdobiło parę starych map. Na półce regału dostrzegłem różę pustyni podobną do tej, którą Djibo wręczył mi cztery i pół roku wcześniej w Honolulu.

Jadalnia mogła pomieścić od ośmiu do dziesięciu biesiadników. Jednakże tego wieczoru stół nakryto dla dwóch osób. Główny kelner wyrecytował menu i dodał, że pozwolił sobie podać vouvray oraz przystawkę - rosół ze szpinakiem.

- I dobrze pan zrobił - skomentował Djibo, jak zwykle czujny w kwestii wyboru wina. - Ogromnie się cieszę, że pana widzę - podjął, kiedy kelner czmychnął. - To ja poprosiłem Yakouba, żeby przydzielił panu tę misję. Nie widziałem pana od ilu? Od roku?

- Od dziewięciu miesięcy. Odkąd przyjechał pan do Krasnojarska, żeby wygłosić tę serię wykładów o Planie.

- Widać, z jakim skutkiem, skoro Lena i pan zdecydowaliście się na Operacje Specjalne.

- To tylko znaczy...

- Proszę się nie usprawiedliwiać - przerwał Djibo. - Tylko się z panem drocę. Jestem pewien, że dokonał pan dobrego wyboru. Yakoub nie przestaje rozpływać się w pochwałach pod pańskim adresem.

- Miło mi to słyszeć. To wyjątkowy nauczyciel.

- Czasami stosuje trochę niekonwencjonalne metody, ale myślę, że można śmiało powiedzieć, iż Operacje Specjalne nigdy nie działały tak sprawnie, jak pod jego kuratelą.

Mógłbym rozwinąć temat nieortodoksyjnych metod Khoyoulfaza, ale nie chciałem wciągać Djiba w tę rozmowę. Z pewnością nie sprowadził mnie do Toronto po to, żeby rozwodzić się nad przeszłością.

- Chciałem poinformować pana o następstwach pańskiego pisma w sprawie mapy Winlandii - rzekł.

- Rzeczywiście, zastanawiałem się, co z tego wynikło.

- Komitet Wykonawczy je przeczytał. Prawdę mówiąc, figurowało nawet w porządku obrad jednego z naszych spotkań. To dość rzadkie w przypadku dokumentu nadesłanego przez agenta trzeciej klasy. Wszyscy zaaprobowaliśmy pańską decyzję o porzuceniu projektu związanego z Winlandią i mówię to, choć osobiście wiele mnie ona kosztowała. Dobrze znałem Olego Gabriela Hagenę. Przyjaźń, jaką go darzyliśmy, jego koledzy i ja, od dłuższego czasu przyćmiewała nasz osąd. Powinniśmy byli położyć kres tej historii



dużo wcześniej, kiedy ten amerykański akademik zbadał atrament mapy i znalazł w nim ślady nieznanego w średniowieczu anatazu. -Też tak uważam — przyznałem.

- Pańska sugestia, by zrezygnować z wszelkich form fizycznej falsyfikacji, wzbudziła dyskusję zupełnie innego rodzaju - ciągnął Djibo. - Temat niezaprzeczalnie jest na czasie. Yakoub Khoyoul-faz regularnie się skarży, że jego ludzie spędzają czas na łataniu łódek, które zewsząd nabierają wody. Do niektórych teczek powraca co roku, doskonale wiedząc, że nie mają przyszłości, że prędzej czy później trzeba je będzie storpedować, tak jak pan storpedował mapę Winlandii. Zgadzam się z panem, że walka z postępem naukowym to próżny trud; zresztą, jak na ironię, zarząd Planu wychwala ów postęp we wszystkich dyrektywach.

- To nie tylko próżny trud - zaznaczyłem. - To niebezpieczne.

- A jednak niektórzy członkowie Komitetu Wykonawczego zażarcie bronią fizycznej falsyfikacji - kontynuował Djibo, jak gdyby mnie nie dosłyszał. - Podkreślają, że nasza organizacja zawdzięcza jej niektóre spośród swoich najwspanialszych sukcesów i że, odrzucając ją, odcięłaby się od części swojego dziedzictwa. Mają, naturalnie, rację.

- Oczywiście - przytaknąłem - ale musimy myśleć przede wszystkim o przetrwaniu. Jeśli nie będziemy uważać, skończy się na tym, że fizyczna falsyfikacja nas pogrąży.

Djibo nie odpowiedział. Wyglądał na zatopionego w rozmyśleniach. Zgadywałem, że debaty - dotyczące podstawowych wartości KFR-u - musiały być burzliwe.

- Poddaliśmy sprawę pod głosowanie - oznajmił. - Po każdej ze stron opowiedziały się trzy osoby. Wydawało się, że osiągnęliśmy impas. A potem, w drugiej turze, jeden z nas zmienił zdanie. Zwolennikom pańskiego pisma udało się przepchnąć je czterema głosami do dwóch. GI redaguje właśnie dyrektywę, która zakazuje stosowania fizycznej falsyfikacji.

- To mądra decyzja - uznałem, powstrzymując się od wszelkiego tryumfalizmu. Podejrzewałem, sądząc po tonie jego głosu, że to Angoua Djibo był owym członkiem Komitetu Wykonawczego, który przeszedł do opozycyjnego obozu.

- Spodziewam się żywego sprzeciwu ze strony weteranów -podjął Djibo. - Dyrektywa diametralnie zmieni ich sposób pracy. Może zresztą poproszę pana, żeby zrobił pan rundę objazdową po najważniejszych jednostkach i wyjaśnił, co skłoniło nas do wprowadzenia tej reformy.

- Do usług - odparłem.

Kelner zabrał mój pusty talerz i położył na jego miejscu turbota z ziemniakami w mundurkach. Djibo studiował etykietę na butelce meursaulta premier cru z 1990 roku.

- Chciałbym również słowem omówić z panem ten dokument, który skierował pan do Gunnara Erikssona - odezwał się niedbale, napełniając mój kieliszek.

- Ten o Buszmenach? - spytałem, a wszystkie moje zmysły raptem się natężyły.

-To projekt pod każdym względem wyjątkowy.

- Dziękuję - rzuciłem. - Włożyłem w niego wiele serca.

- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedział Djibo. - Właśnie dlatego nie chciałem, żeby na kogokolwiek innego spadł obowiązek poproszenia pana, by pan od niego odstąpił.

Niebo runęło mi na głowę.

- Odstąpić? Ale dlaczego?

- Ponieważ nie wpisuje się w priorytety KFR-u - wyjaśnił prosto Djibo.

Wyczytałem w jego oczach, że ubolewa z tego powodu, poczułem się więc w prawie bić się o moją sprawę.

- W takim razie może naszedł czas, żeby przewartościować nasze priorytety. Czy pomyślał pan o ogromnych korzyściach, jakie przyniosłoby nam państwo buszmeńskie: legend, ile dusza zapragnie, możliwość drukowania własnych paszportów, nie wspominając już o poczcie dyplomatycznej czy reprezentacji w ONZ-ecie? Naprawdę nie chciałby pan wiedzieć, o czym się mówi w kuluarach Organizacji Narodów Zjednoczonych?

- Nie potrzebujemy ambasadora w ONZ-ecie, żeby wiedzieć, co oni tam knują - stwierdził Djibo.

- Naturalnie. Ale proszę przyznać, że takie państwo wzmocniłoby naszą organizację, zapewniłoby jej schronienie przed poli-

cjami innych krajów, jednocześnie udzielając jej głosu w ważnych międzynarodowych kwestiach, jednym słowem: zinstytucjonalizowały ją. Zapewniam pana, że nie jestem tak całkiem naiwny, wiem, że na to trzeba by czasu. Negocjacje potrważą całe lata, może nawet dziesiątki lat, ale jestem przekonany, że gra jest warta świeczki.

Djibo pochylił się do przodu i spojrzał mi prosto w oczy.

-Ja to wszystko wiem, Sliv. Czytałem pańską teczkę. Wszystkie pana argumenty są zgodne z prawdą, chociaż pominął pan, pewnie idąc za radą Erikssona, najważniejszy spośród nich: konieczność naprawienia niesprawiedliwości, jaką historia wyrzuciła Buszmenom. Proszę mi wierzyć, nikt nie jest bardziej ode mnie wyczulony na ich los. Ale w tej chwili nie możemy się zaangażować w tę walkę. Prowadzimy wiele innych, ważniejszych, a przede wszystkim takich, w których mamy większe szanse na zwycięstwo.

- Na przykład? - spytałem beczelnie.

- Dobrze pan wie, że panu nie odpowiem - rzekł Djibo, nie obrażając się na moją zuchwałość. - Mogę jedynie prosić, aby mi pan zaufał, kiedy powołuję się na wyższy interes KFR-u.

- Och nie! - rzuciłem wściekle, odpychając od siebie talerz. - Nie będzie mi pan serwował tych oklepanych banałów! Nie sądzi pan, że zapłaciłem już daninę wyższemu interesowi?

-Wiemy o odwadze i lojalności, jakim dał pan dowód w pewnych trudnych momentach - przyznał dyplomatycznie Djibo.

- W trudnych momentach? - uniosłem się. - O mało co nie rzuciłem się z okna! Angouo, czy pan mnie nie zna? Nigdy nie znajdzie pan bardziej zaangażowanego, bardziej oddanego żołnierza ode mnie. Pewnie nigdy się nie ożenię, przyjaciół mogę policzyć na palcach jednej ręki, a matkę widuję raz do roku. Wspinam się po tak zwanych szczeblach kariery szybciej niż ktokolwiek inny, ale wygląda na to, że moje zdanie nadal nie jest warte złamanego grosza. Te dwa pisma stanowią zresztą tego przykład: Komitet Wykonawczy przyjmuje jedno i odrzuca drugie, nie dając mi nawet szansy, bym mógł je obronić.

- Broni ich pan swoimi słowami - sprostował Djibo. - A są one wielce elokwentne.

- Co nie zmienia faktu, że kiedy przychodzi co do czego, decyzje podejmuje się bez mojego udziału. Chciałbym, żeby ktoś się ze mną skonsultował, Angouo. Nie chcę już być człowiekiem, który rzuca pomysły w powietrze, a ktoś inny przygląda się temu, od czasu do czasu jakiś sobie zachowując.

- Pańska godzina nadejdzie...

- Ale kiedy? Kiedy, Angouo? Przecież wyrobiłem sobie markę, prawda? Opublikowałem cztery teczki, z których o dwóch uczą w Akademii, oparłem się pokusie, by zadenuncjować KFR, choć nawet mój opiekun prowadzący przytrzymał mi głowę pod wodą, i nienagannie wypełniam obowiązki w Operacjach Specjalnych. Czego wam jeszcze trzeba? Proszę mi powiedzieć, a ja to zrobię.

Djibo upił łyk meursaulta, aby zyskać na czasie. Fizycznie czuł, jak adrenalina odpływa gdzieś w głąb mojego ciała.

- Nie ma nic więcej do zrobienia - odpowiedział w końcu. - Niech pan w dalszym ciągu postępuje tak samo, utrzymując zaangażowanie i stawiane sobie wymogi na dotychczasowym poziomie. Nie mam uprawnień, by składać panu obietnice, jestem jednak pewien, że w końcu zdobędzie pan władzę, do jakiej pan aspiruje.

- Mam gdzieś władzę - odparowałem. - Chcę po prostu poznać wszystkie elementy układanki, móc ofiarować własne zdanie i dyskutować z osobami o takich samych kompetencjach.

- Pańska godzina nadejdzie - powtórzył Djibo. - Ale musi pan być cierpliwy.

- Za trzy miesiące skończę trzydzieści lat - oznajmiłem, nie bardzo wiedząc, co pragnę w ten sposób udowodnić.

- O tym właśnie mówię. Wciąż jest pan młodym mężczyzną. Niech mi pan zaufa, Sliv.

- Dlaczego miałbym panu ufać? - spytałem, bo brakowało mi argumentów.

- Nie mogę za pana odpowiedzieć na to pytanie - odparł Djibo. Zupełnie jakby podsłuchiwał przyczajony za drzwiami, kelner

wszedł, żeby pozbierać talerze. W milczeniu patrzyliśmy, jak się krząta, Djibo kręcił winem w kieliszku, a ja rozmyślałem nad jego ostatnimi słowami.

Odezwał się telefon. Kelner odebrał, a potem wręczył słuchawkę Djibowi, który pozwolił, by to jego rozmówca wziął na siebie ciężar podtrzymywania konwersacji.

- Dzwonił Vinokur - oznajmił, rozłączając się. - Poprosił agentów z moskiewskiego biura, żeby przyjrzeni się kontom bankowym Podorenki. Właśnie poinformowali nas o wynikach. W ciągu ostatnich miesięcy Podorenko otrzymał kilka przelewów na znaczne kwoty. Wszystko wskazuje na to, że po cichu pracował dla biznesmena z bliskiego otoczenia Kremla, który w dziewięćdziesiątym czwartym roku zakupił dwa ogromne złoża piasków bitumicznych w Albercie.

- W dziewięćdziesiątym czwartym? - zdziwiłem się. - Przed rozpoczęciem inicjatywy?

- No właśnie. Jej sukces przyniósł mu paręset milionów dolarów zysku.

- A więc Podorenko to kanciarz... I pomyśleć, że miałem go za gracza.

- Chciał, żebyśmy w to wierzyli. Spektakularne scenariusze, sportowe samochody: wszystko to stanowiło element jego przykrywk.

- A Barowski? - zapytałem wciąż w stanie szoku.

- Śledztwo pokaże, ale prawdopodobnie został zmanipulowany przed Podorenką.

Popijając kawę, dyskutowaliśmy o konsekwencjach tego teatrzyku.

- Tak czy inaczej - podsumował Djibo - zostaniecie tu jeszcze przez kilka dni.

Faktycznie okazało się, że rozwikłanie całej sprawy zajęło nam tydzień. Podorenko od lat oddawał swojemu oligarsze drobne przyśługi, ale jego przekręt mający na celu zwiększenie wartości kanadyjskich złóż bitumicznych przewyższał wszystkie poprzednie operacje pod względem brawury i złożoności. Teraz lepiej rozumiałem, dlaczego odmówił udzielenia Youssefowi odpowiedzi, gdy ten wypytywał o cele projektu.

Podorenko i Barowski zostali wykluczeni z KFR-u i odesłani do cywila. Zanim wypuściliśmy Rosjanina, zatroszczyliśmy się,

by się dowiedział o garści wstydlivych sekretów, które znaleźmy na jego temat oraz na temat jego mentora. W burzliwym środowisku, z którego wywodzili się obaj mężczyźni, publiczne ujawnienie tych tajemnic równałoby się wyrokowi śmierci.

Wróciłem do Krasnojarska targany sprzecznymi uczuciami.

Komitet Wykonawczy przyjął jedną z moich propozycji. Lepiej, powiązał mnie z ogłoszeniem przełomowej dyrektywy. Po raz pierwszy miałem wrażenie, że zapisuję się w historii KFR-u.

A jednak do szczęścia trzeba mi było dużo więcej. Angoua Djibo praktycznie unicestwił jedyny projekt, który naprawdę leżał mi na sercu, któremu poświęciłem sześć ostatnich miesięcy życia. Przywołując „inne, ważniejsze walki”, przypomniał mi, że KFR nie należy do swoich agentów i nie poczuwa się do obowiązku, by angażować się w ich sprawy, jakkolwiek szlachetne by były. Buszmeni musieli znaleźć sobie innego rzecznika. Podejrzywałem, że niestety nie okaże się to łatwe.

W ostatecznym rozrachunku, myślałem w samolocie niosącym mnie z powrotem na Syberię, Djibo po raz kolejny dostarczył mi tyle samo powodów do podziwu, co do nienawiści do KFR-u. Okazał mi zaufanie, powierzając misję objechania świata i sprzedania weteranom organizacji drażliwej reformy. Wiedział, że dzięki kilku starannie dobranym słowom wzbudzi moją ciekawość: na czym mogły polegać te inne walki, ważniejsze niż pomoc tyranizowanemu przez historię ludowi w uzyskaniu niepodległości? A jednocześnie ukazał mi KFR jako organizację bardziej troszczącą się o wewnętrzną spójność niż o zewnętrzną działalność, bardziej martwiącą się przetrwaniem niż osiąganymi wynikami.

Ta daleka od sensacji konstatacja nie powinna stanowić niespodzianki. A jednak po raz pierwszy od trzech lat czułem, że je-

stem w stanie obiektywnie ocenić KFR. Przez półtora roku - od przyjazdu Jonesa i Khoyoulfaza do Córdoba do chwili podjęcia decyzji o wstąpieniu do Operacji Specjalnych - nie mogłem osądzać KFR-u, nie oceniając przy tym samego siebie. Nasze losy były nierozzerwalnie związane, a moja miażdżąca nienawiść do własnej osoby nie pozostawiała żadnych szans mojemu pracodawcy, jawiącemu mi się na zmianę jako narkotyk, któremu nie mogłem się oprzeć i za to się nie cierpiałem, i jako czynnik odpowiedzialny za śmierć Johna Harkleroda, jako instrument i współwinowajca mojego upadku. A później depresja gwałtownie ustąpiła miejsca euforii w dniu, w którym Gunnar uwolnił mnie spod brzemia poczucia winy. Przez kolejne półtora roku ulegałem czarowi Yakouba Khoyoulfaza i znów zacząłem przypisywać KFR-owi tysięczne cnoty i możliwości (wliczając w to moc przesuwania granic), czasami pozwalając, by przygasał ten zmysł krytyczny, którego rozwinięcie kosztowało mnie tyle cierpień. Ten etap kończył się dziś i, tak samo jak moje postargentyńskie zgnębienie, które stało się już zaledwie złym wspomnieniem, wkrótce wyda mi się pewnie okresem pełnym anachronizmów, a nawet całkowicie do niczego nieprzystającym.

Ale bez wątpienia koniecznie musiałem przejść przez te dwie fazy, żebym w końcu odważył się spojrzeć prawdzie w oczy: do tej pory KFR stanowił jedynie lustro, w którym odbijało się to, co sobie o nim roiłem. Będąc idealistą, widziałem ideał, który przekształcił się w coś godnego pogardy, kiedy sam sobą zacząłem gardzić. Dopóki nie poznam jego celu, nadal będzie odzwierciedlał moje własne pragnienia. Nie ukaze mi, kim jestem. W najlepszym wypadku może mi pomóc w odkryciu tego.

Kończył się jeden cykl, ale z pewnością rozpoczynał się inny, którego kształtów jeszcze nie rozróżniałem i co do którego wątpilem w głębi duszy, by miał przynieść mi mniej powodów do frustracji niż ten poprzedni. Ale ostatecznie pragnąłem od niego tylko jednego: żeby udzielił mi odrobinki szczęścia, ziarenka radości, która w dniu ślubu Youssefa i Magawati nie pozwoli mi poddać się rozgoryczeniu czy zazdrości.

Ostatnie miesiące roku przeminęły z ogromną prędkością: kolejne misje, co jedna to bardziej nietypowa, a przy tym odleglejsza



(w Delhi, w Panamie, w Wenecji...), trzymały mnie z dala od Krasnojarska, gdzie Youssef i Magawati kończyli swój pierwszy rok. Choć czekała ich jeszcze ostatnia seria egzaminów, na razie oboje mieli szansę na wybór odpowiadającego im organu: Planu w przypadku Youssefa, który dzięki rozpracowaniu Inicjatywy w sprawie Ropy utwierdził się w przekonaniu, iż KFR z dużą determinacją tropi czarne owce w swoich szeregach, i Operacji Specjalnych w przypadku Magi, której nic nie sprawiało większej radości niż wysłuchiwanie moich relacji z dochodzeń.

A ja, jak wszyscy agenci trzeciej klasy, mogłem po ukończeniu Akademii osiedlić się w dowolnym mieście. Po rozważeniu kilku lokalizacji w Ameryce Południowej postanowiłem wrócić do Rey-kjaviku. Brakowało mi Gunnara, moja matka tęskniła za synem, a poza tym bawiła mnie perspektywa służenia globalnej organizacji z jednej z najmniejszych stolic świata. Lena Thorsen po raz kolejny doszła do przeciwnych wniosków niż ja i ogłosiła, że zamierza urządzić się w Los Angeles.

Podczas gdy na korytarzach budynku mieszkalnego mnożyły się przyjęcia pożegnalne, przyjaciele wykorzystali moje trzydzieste urodziny jako pretekst do zorganizowania w przeddzień mojego wyjazdu wycieczki-niespodzianki do Krasnojarska. Niczego nie przeczuwając, dopakowywałem właśnie walizki, kiedy Stéphane wpadł do pokoju i pociągnął mnie, odmawiając odpowiedzi na zadawane przeze mnie pytania, do zila, w którym czekali już na nas Youssef, Maga i Aoifa (w piątym miesiącu ciąży). Kierowca ruszył natychmiast i zawiózł nas do Nikołaja, najlepszej restauracji w mieście, w której najkrótsze menu składa się z siedmiu dań, takich jak bliny, kawior, pielmieni (pierożki z mocno doprawionym mięsem, stanowiące syberyjską specjalność) i pirojki (rodzaj bułeczek nadziewanych rybą lub mięsem). Youssef, który jak zwykle jechał na wodzie mineralnej, zgodził się mimo to wznieść wraz z nami serię toastów, które zdawały się obmyślane specjalnie po to, by wywołać u mnie rumieniec.

- Za najlepszego scenarzystę, jakiego dane mi było spotkać - rzucił Stéphane, stukając swoim kieliszkiem wódki o mój.

- Za idealistę nieświadomego własnego idealizmu - przelicytował go Youssef, gdy Stéphane ponownie napełnił nasze kieliszki.

- Za mojego przyjaciela, Sliva - powiedziała Maga, patrząc mi prosto w oczy.

- Za przyszłego ojca chrzestnego naszego dziecka - wyrwała się Aoifa, ściskając wolną dłoń Stéphane'a w swojej.

- Poważnie? - spytałem zaskoczony. - Ale chyba nie liczycie, że będę je uczył katechizmu? Rzecz w tym, że mógłbym przejawiać tendencję do traktowania Pisma z pewną dozą dowolności...

Aoifa zrobiła przerażoną minę.

- Nie sądzisz chyba, że powierzę edukację religijną mojego dziecka luteraninowi? I do tego fałszerzowi! - wykrzyknęła.

- Nauczysz je innych rzeczy - wtrącił Stéphane.

- Jak rąbać drewno, przewidzieć trzęsienie ziemi, orientować się w syberyjskiej tajdze... - wyliczyła Magawati, podczas gdy ja wyraźnie drżącą ręką napełniałem kieliszki.

- Moja kolej - oznajmiłem, unosząc swoje naczynie. - Piję za prawdziwych przyjaciół: za ciebie, Stéphane, bo kierowałeś moją dłoń, kiedy pisałem swoją pierwszą teczkę, a wszyscy wiemy, jaki sukces odniosła i jakie wywołała poruszenie; za ciebie, Youssefie, bo pomagasz mi stawiać pytania, na które nie zawsze mam odwagę odpowiedzieć; za ciebie, Mago, bo wybaczasz, nie osądzając; za ciebie, Aoifo, i za noszone przez ciebie dziecko, które będę kochał jak swoje własne.

- Za nas wszystkich! - zawołał Stéphane, zanim oczy do reszty nam zwilgotniały.

- Za nas wszystkich! - powtórzyliśmy chórem.

Chris Marker włożył w usta jednego ze swoich bohaterów następujące słowa: „Po kilku podróżach dookoła świata interesuje mnie już jedynie banalność”. Wydaje mi się, że rozumiem, co chciał przez to powiedzieć. Żaden obraz z licznych podróży dookoła świata nie wrył się w mojej pamięci tak mocno jak tamta noc. Pamiętam Stéphane'a, który pstryknięciami palców sprawiał, że dania i napoje zjawiały się jak za sprawą magii; Youssefa, który zgodził się, „żeby mi zrobić przyjemność”, zatańczyć razem z nami do wściekłego rytmu kozackich skrzypiec; Magę, która przez cały wieczór nie odrywała ode mnie spojrzenia, a w końcu zapytała, jakby bała się wypuścić mnie spod swoich skrzydeł, „czy jestem gotowy”.

-Jak nigdy dotąd - odparłem z uśmiechem.

Wreszcie, z wybiciem drugiej w nocy, właściciel restauracji wystawił nas za drzwi. Skądś, jak diabeł z pudełka, wyskoczył ził wraz z kierowcą, który pospieszył, aby otworzyć nam drzwi, w żaden sposób nie komentując naszego pożałowania godnego stanu. Zostawiłem tylne siedzenie dwóm parom, a sam wdrapałem się do przodu. Aoifa i Maga rozmawiały przez kilka minut, a później zapadła cisza, ta sama leśna cisza, która uderzyła mnie przed trzema laty po przybyciu do Akademii.

Trzydzieści lat, pomyślałem, zamykając oczy. Osiągnąwszy wiek, w którym Picasso zdążył już namalować *Panny z Avinionu*, a Mozart skomponował większość swoich dzieł, ja ciągle się bałem, że poświęcam życie idei, która nie jest tego warta. Czy mogło być inaczej? Jeśli dobrze się nad tym zastanowić, wstępując do KFR-u podjąłem tylko jedno ryzyko, było ono jednak znaczne: złożyłem swój los w ręce innych ludzi (głównie Gunnara Erikssona oraz Angoui Djiba), zakładając, że wartość każdego z nich - która się zresztą potwierdziła - odzwierciedla wartość organizacji, do której przynależą. Z perspektywy czasu to rozumowanie wydało mi się niezwykle kruche. Niestety, innego na podporządkowaniu nie miałem. Czasami jedynie wspinając się po schodach, można się przekonać, dokąd prowadzą.

Zerknąłem do tyłu. Maga zasnęła z głową na ramieniu Youssefa. Stéphane cicho pochrapywał. Ufności wyraźnie nam nie brakuje, pomyślałem. Oto my, pięć błyskotliwych istot o zmysłach zmaconych alkoholem, upchniętych w samochodzie pędzącym z zawrotną prędkością w noc, a za kierownicą człowiek, którego nie znamy nawet z nazwiska.

Ponieważ siedziałem z przodu, wbiłem wzrok w drogę w śmiechu wartym wysiłku, aby nie zasnąć, lecz nadal czuwać.

Ciąg dalszy nastąpi.